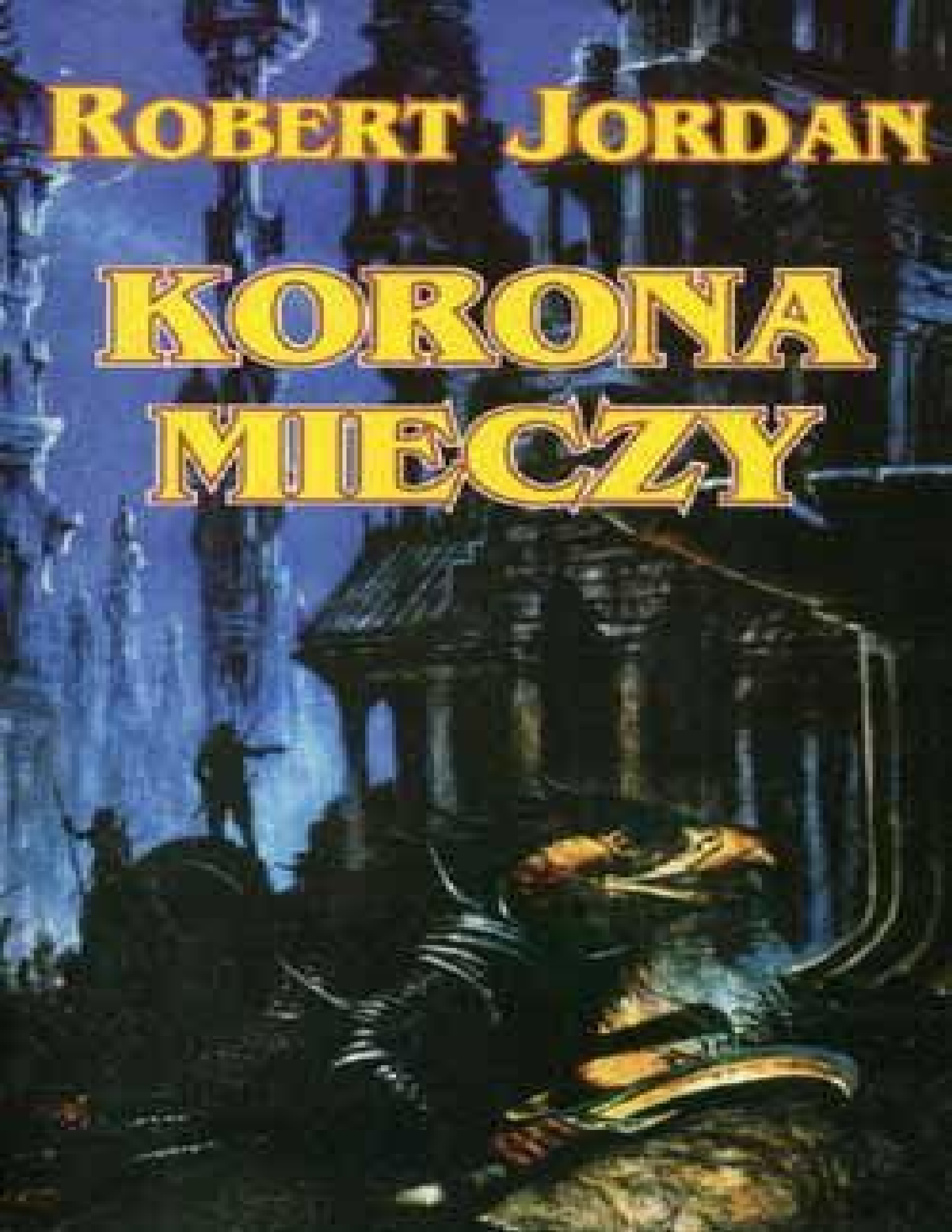


ROBERT JORDAN

KORONA  
MIECZY



**ROBERT JORDAN**

**KORONA MIECZY**

**(PRZEŁOŻYŁA KATARZYNA KARŁOWSKA)**

**SCAN-DAL**

# Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA](#)

[ROZDZIAŁ 1 WZORY WEWNĄTRZ WZORÓW](#)

[ROZDZIAŁ 2 NOC SWOVAN](#)

[ROZDZIAŁ 3 DROBNE POŚWIĘCENIA](#)

[ROZDZIAŁ 4 NASTĘPNE DRZWI OBOK TKACZA](#)

[ROZDZIAŁ 5 RODZINA](#)

[ROZDZIAŁ 6 DUSZOŁAPKA](#)

[ROZDZIAŁ 7 SŁOWA, KTÓRYCH NIE DA SIĘ COFNAĆ](#)

[ROZDZIAŁ 8 SAMOTNY](#)

[ROZDZIAŁ 9 CHLEB I SER](#)

[ROZDZIAŁ 10 ŚWIĘTO PTAKÓW](#)

[ROZDZIAŁ 11 PIERWSZA FILIŻANKA](#)

[ROZDZIAŁ 12 MASHIARA](#)

[ROZDZIAŁ 13 ZAPIECZĘTOWANE DLA PŁOMIENIA](#)

[ROZDZIAŁ 14 KĄPIEL](#)

[ROZDZIAŁ 15 TA' VEREN](#)

[ROZDZIAŁ 16 W LESIE](#)

[ROZDZIAŁ 17 OSTRZA](#)

[ROZDZIAŁ 18 LIST Z PAŁACU](#)

[ROZDZIAŁ 19 SZEŚĆ PIĘTER](#)

[ROZDZIAŁ 20 OBIETNICE, KTÓRYCH NIE MOŻNA ZŁAMAĆ](#)

[ROZDZIAŁ 21 WŁÓCZNIE](#)

[ROZDZIAŁ 22 KORONA MIECZY](#)

[GLOSARIUSZ](#)

# ROZDZIAŁ 1

## WZORY WEWNĄTRZ WZORÓW

Sevanna z pogardą spoglądała na swoje towarzyski, siedzące – w szatach aż poszarzałych od kurzu – razem z nią w kręgu na niewielkiej polanie. Niemal całkowicie bezlistne gałęzie ponad ich głowami dostarczały odrobinę przynoszącego chłód cienia. Choć miejsce, w którym Rand al'Thor ciskał śmiercią, znajdowało się ponad sto mil na zachód, tamte wciąż jednak sprawiały wrażenie, jakby cały czas miały ochotę oglądać się przez ramię. Pozbawione namiotów-łazni nie były w stanie porządnie się wykąpać, tylko pośpiesznie przemywały twarze i dłonie pod koniec kolejnego dnia. Osiem małych srebrnych filiżanek, każda z innego kompletu, stało obok niej na zeschniętych liściach, a przy nich napełniony wodą srebrny dzbanek, lekko odkształcony w trakcie ich odwrotu.

– Albo *Car'a'carn* nas nie ściga – oznajmiła nagle – albo nie potrafi nas znaleźć. Obie możliwości uznaję za zadowalające.

Kilka naprawdę aż podskoczyło. Okrągła twarz Tion zbladła, a Modarra zaczęła rozcierać przedramiona. Modarra byłaby nawet ładna, gdyby nie jej wzrost i gdyby nie próbowała przez cały czas matkować tym, które akurat znalazły się w pobliżu. Alarys z niezwykłą pieczołowitością zaczęła nagle wygładzać spódnice, już i tak przecież schludnie rozłożone na ziemi wokół niej, próbując nie zwracać uwagi na to, czego nie chciała dostrzec. Kąciki wąskich ust Meiry opadły, ale któżby potrafił powiedzieć, czy znamionowało to dezaprobatę względem nie skrywanego strachu, jakim napawał pozostałe *Car'a'carn*, czy też strach własny? Miały zresztą wszelkie powody, aby się bać. Minęły dwa pełne dni od bitwy, a przy Sevannie zgromadziło się mniej niż dwadzieścia tysięcy włóczni. Nie dotarła jeszcze na miejsce Therava wraz z większością Mądrych, które atakowały od zachodu. Niektóre z nieobecnych pewnie spróbują powrócić na Sztylet Zabójcy Rodu, jak wiele jednak nigdy już nie zobaczy wschodu słońca? Nikt nie pamiętał takiej rzezi, tylu zabitych w tak krótkim czasie. Nawet włócznie *algai'd'siswai* nieprędko zatańczą. Sporo więc było powodów do obaw, jednak nie istniało żadne usprawiedliwienie dla ich okazywania. Jak można pozwolić, by twarz odbijała wnętrze – przecież nie były żadnymi mieszkankami mokradeł, które obnażają swe serca i dusze na oczach wszystkich.

Rhiale chyba w końcu pojęła w czym rzecz.

– Jeżeli mamy to zrobić, lepiej zaraz zacznijmy -mruknęła aż sztywna z zażenowania. Była jedną z tych, które wcześniej okazały strach.

Sevanna wyjęła z sakwy niewielką szarą kostkę i umieściła na zbrązowiałych liściach pośrodku kręgu. Someryn położyła dłonie na kolanach. Pochyliła się głęboko do przodu, by dokładnie jej się przyjrzeć. Wyglądało to tak, jakby chciała wręcz wyskoczyć ze swojej czerwonej bluzki. Nosem niemalże dotknęła kostki. Wszystkie ścianki sześcianu pokrywały skomplikowane wzory, a zbliżywszy wzrok, można było dostrzec delikatniejsze wzory wewnątrz, a w nich następne, nakreślone jeszcze subtelniejszym rytmem, wreszcie prawie niewidoczną mgiełkę kolejnych szczebli komplikacji wzoru. W jaki sposób można było je wykonać – tak drobne, tak cienkie, tak precyzyjne – Sevanna nie miała pojęcia. Kiedyś myślała, że kostka jest wykonana z kamienia, teraz jednak nie była już tego taka pewna. Wczoraj upuściła ją przypadkowo na kamień i nawet jedna linia rzeźbień nie została zarysowana. Jeśli to w ogóle były rzeźbienia. Ta rzecz musiała być *ter'angralem* – tyle tylko wiedziały.

– Najślabszym z możliwych strumieni Ognia należy lekko musnąć tutaj, to miejsce, które wygląda jak wykrzywiony sierp księżyca – poinformowała je – i jeszcze jednym tutaj, na górze, ten

znak przypominający grot błyskawicy. – Someryn wyprostowała się raptownie.

– Co się wówczas stanie? – zapytała Alarys, przeczesując włosy palcami. Gest z pozoru wydawać się mógł zupełnie przypadkowy, wiadomo jednak, że zawsze znajdowała sposób na to, by przypomnieć pozostałym, iż jej włosy mają czarną barwę, w odróżnieniu od powszechnie spotykanej słomianej lub rudej.

Sevanna uśmiechnęła się. Cieszyło ją zawsze, gdy wiedziała coś, o czym one nie miały pojęcia.

– Użyję jej do przywołania mieszkańca mokradeł, od którego ją otrzymałam.

– Tyle już zdążyłaś nam powiedzieć – oznajmiła Rhiale ze skwaszoną miną, a Tion bez osłonek zapytała:

– W jaki sposób go wezwiesz? – Mogła się obawiać Randa al’Thora, ale poza nim już nikogo. Z pewnością zaś nie Sevanny.

Belinde delikatnie pogładziła tajemniczy sześcian kościstym palcem, zmarszczyła czoło nad wypłowiałymi od słońca brwiami.

Zachowując niewzruszone oblicze, Sevanna z irytacją opanowała mimowolne gesty dłoni, które jakby same z siebie próbowały musnąć naszyjnik lub poprawić szal.

– Powiedziałam wam wszystko, co wiem. – Jej zdaniem zresztą znacznie więcej niż naprawdę było konieczne, niemniej nie dało się inaczej. W przeciwnym razie wszystkie zostałyby z tyłu razem z włóczyniami i resztą Mądrych, jedząc czerstwy chleb i suszone mięso. Lub nawet wędrowałyby już na wschód, poszukując jakichś śladów tych, którym udało się przetrwać. I oglądając za siebie w poszukiwaniu oznak pościgu. Wyruszywszy późno, wciąż mogły przebyć pięćdziesiąt mil bez zatrzymywania się. – Słowami nie obedrzenie odyńca ze skóry, podobnie jak nie jesteście w stanie zabić go gadaniem. Jeżeli postanowiliście przedostać się do gór, a potem już do końca życia uciekać i ukrywać się, to w takim razie idźcie. Jeśli nie, zróbcie to, co konieczne, a ja zadbam o resztę.

W błękitnych oczach Rhiale widać było bezmyślny opór, podobny wyraz miały szare oczy Tion. Nawet Modarra spoglądała, jakby miała wątpliwości, a przecież ona, oraz Someryn, w największym stopniu uznawały jej władzę.

Sevanna czekała, z pozoru zupełnie spokojna, nie miała ochoty niczego mówić im po raz drugi, czy choćby o cokolwiek pytać. Wewnątrz jednak aż wrzała z gniewu. Nie dopuści do porażki, tylko z tego powodu, że te kobiety mają tchórzliwe serca.

– Jeśli tak trzeba – westchnęła w końcu Rhiale. Z wyjątkiem nieobecnej Theravy ona przeciwstawiała jej się najczęściej, jednak Sevanna żywiła w związku z tym swoje nadzieje. Kark, który odmawiał ugięcia się, bardzo często okazywał się później najbardziej podatny. Sprawdzało się to zarówno w przypadku kobiet, jak i mężczyzn. Rhiale i pozostałe spojrzały teraz na kostkę, niektóre zmarszczyły brwi.

Sevanna oczywiście nie mogła niczego dostrzec. Zdała sobie sprawę, że w istocie, nawet gdyby nic nie zrobiły, mogłyby się spokojnie upierać, że kostka nie funkcjonuje, ona zaś nie miała sposobu, by się przekonać, czy nie kłamia.

Niemniej jednak w pewnej chwili Someryn wciągnęła ze świstem powietrze, a Meira wyszeptała:

– Pobiera więcej. Patrzcie. – Wskazała dłonią. – Ogień tutaj i tutaj, i Ziemia, i Powietrze oraz Duch, kiedy wypełnić te żłobienia.

– Nie wszystkie – powiedziała Belinde. – Można to zrobić na różne sposoby, jak sądzę. I są też miejsca, gdzie strumienie... skręcają się... wokół czegoś, czego nie ma. -Na jej czole pojawiły się zmarszczki: – Musi pobierać też męską część.

Kilka odsunęło się nieznacznie, poprawiając szale, wygładzając spódnicę, jakby chciały

otrzepać je z ziemi. Sevanna oddałaby wszystko, by zobaczyć to, co one. Jak mogą być takie tchórzliwe? Jak mogą pozwalać sobie na okazywanie tego?

Na koniec Modarra rzekła:

– Ciekawe, co się stanie, jeśli dotkniemy go Ogniem w innym miejscu?

– Szkatułka foniczna może się stopić, jeśli zasilicie ją w nieodpowiedni sposób albo przeniesiecie za dużo Mocy – oznajmił męski głos dobiegający jakby znikąd. – Szkatułka może nawet...

Głos urwał się nagle, gdy kobiety w jednej chwili skoczyły na równe nogi, rzucając czujne spojrzenia między drzewa. Alarys i Modarra posunęły się nawet do tego, że wyciągnęły swoje noże zza pasów, choć jaki z nich właściwie pożytek, skoro dysponowały Jedyłą Mocą? Wśród przegowanych słonecznych cieni nie poruszało się nic, nawet ptak.

Sevanna ani drgnęła. Od początku wierzyła w moc tych kobiet, o wiele większą niż sugerował tamten mieszkaniec mokradeł. Sama kostka nie budziła żadnych wątpliwości. A głos, który się rozległ, z pewnością należał do Caddara. Mieszkańcy mokradeł zawsze miewali wiele imion, o nim nie wiedziała nic ponad to. Człowiek wielu tajemnic, tak o nim myślała.

– Wracajcie na swoje miejsca – rozkazała. – I splećcie strumienie, jak były. W jaki niby sposób mam go wezwać, skoro wy boicie się nawet jego głosu?

Rhiale odwróciła się z otwartymi ze zdziwienia ustami i niedowierzaniem w oczach. Bez wątpienia zastanawiała się, skąd ona wie, że zaprzestały przenoszenia – ta kobieta naprawdę nie potrafiła myśleć zbyt jasno. Powoli, niespokojnie, znowu zbiły się w krąg.

– A więc jesteś wreszcie – powiedział głos Caddara, nadal dochodzący jakby znikąd. – Czy masz al’Thora?

Coś w tonie jego głosu wzbudziło jej czujność. Nie mógł wiedzieć. Ale wiedział. Zrezygnowała więc ze wszystkiego, co wcześniej zamierzała powiedzieć.

– Nie, Caddar. Mimo to wciąż musimy porozmawiać. Zobaczymy się za dziesięć dni w miejscu, gdzie spotkaliśmy się po raz pierwszy. – Była w stanie szybciej dotrzeć do tej doliny w Sztylcie Zabójcy Rodu, potrzebowała jednak czasu, by się przygotować. Skąd wiedział?

– Dobrze chociaż, że powiedziałaś mi prawdę, dziewczyno – sucho rzucił Caddar. – Nauczysz się jeszcze, że nie lubię; jak się mnie okłamuje. Nie zrywajcie połączenia, żebym mógł zlokalizować miejsce; a zaraz przybędę.

Sevanna wstrząśnięta patrzyła na kostkę.

“Dziewczyno?”

– Co powiedziałaś? – zapytała.

“Dziewczyno!”

Nie mogła uwierzyć własnym uszom. Rhiale w bardzo znaczący sposób starała się na nią nie patrzeć, zaś usta Meiry wykrzywił uśmiech, osobliwy, choćby dlatego; że tak rzadko na nich gościł.

Westchnienie Caddara rozniosło się po polanie.

– Powiedz swojej Mądrej, żeby robiła dokładnie to, co właśnie robi... i nic innego... a ja do ciebie przybędę. – Wymuszona cierpliwość przebijała wyraźnie w jego głosie niczym zgrzytanie kamieni w żarnach. Kiedy już dostanie to, czego chciała od tego mieszkańca mokradeł, odzieje go w biel *gai’shain*. Nie; w czerń!

Co masz na myśli, mówiąc; że przybędziesz, Caddar? Odpowiedzią było milczenie. – Caddar, gdzie jesteś? – Cisza. – Caddar?

Pozostałe wymieniły zaniepokojone spojrzenia.

– Czy on oszalał? – zapytała Tion. Alarys mruknęła, że inaczej być nie może, zaś Belinde

gniewnie dopytywała się, jak długo jeszcze będą trwały te bzdury.

– Póki nie powiem; że już koniec – cicho odrzekła Sevanna, wpatrując się w kostkę. W sercu czuła delikatne ukłucia nadziei. Jeśli mógł tego dokonać, wówczas z pewnością dostarczy również resztę z tego, co obiecał. I może... Nie, nie będzie rozbudzać w sobie nadmiernych oczekiwań. Spojrzała w górę, poprzez gałęzie, które niemalże splatały się ze sobą w prześwicie polany. Słońcu zostało jeszcze trochę drogi do szczytu nieboskłonu. – Jeśli nie przybędzie przed południem, ruszamy.

Tymi słowami jakby przepełniła kielich ich wytrzymałości – zaczęły narzekać jedna przez drugą.

– A do tego czasu będziemy tu tkwić niczym martwe kamienie? – Alarys odrzuciła głowę w ćwiczoną chyba latami geście, przerzucając wszystkie włosy na jedno z ramion. – Czekać na mieszkańca mokradeł?

– Cokolwiek on ci obiecał, Sevanna – oznajmiła Rhiale, chmurząc czoło – nie może być tego warte.

– On jest szalony – warknęła Tion.

Modarra skinęła głową w kierunku kostki.

– A co, jeśli wciąż nas słyszy?

Tion parsknęła pogardliwie, Someryn zaś rzekła:

– Dlaczego miałoby nas interesować, czy jakiś mężczyzna słyszy, co mówimy? Niemniej, ja nie mam ochoty czekać na niego.

– Co, jeśli on jest taki, jak ci mieszkańcy mokradeł w czarnych kaftanach? – Belinde zacisnęła usta tak mocno, że stały się niemal tak wąskie jak wargi Meiry.

– Nie gadaj głupstw – warknęła Alarys. – Mieszkańcy mokradeł z miejsca zabijają takich ludzi. Cokolwiek twierdzą *algai'd'siswami*, to musiało być dzieło Aes Sedai. I Randa al'Thora. – Dźwięk tego imienia sprawił, że zapadła bolesna cisza, nie trwała jednak długo.

– Caddar musi mieć taką samą kostkę jak ta tutaj – powiedziała Belinde. – I musi mieć kobietę z darem, która sprawia, że kostka działa.

– Aes Sedai? – Rhiale parsknęła z niesmakiem. – Nawet jeśli jest z nim dziesięć Aes Sedai, proszę niech przyjdą. Zajmiemy się nimi tak, jak sobie na to zasłużyły.

Meira zaśmiała się sucho, stosownie do wyrazu jej wąskiej twarzy.

– Chyba już zaczynasz wierzyć, że to one zabiły Desaine.

– Uważaj na to, co mówisz! – warknęła Rhiale.

– Tak – wymamrotała niespokojnie Someryn. – Nieostrożne słowa mogą wpaść w niepowołane uszy.

Śmiech Tion był krótki i nieprzyjemny.

– Cała wasza banda ma mniej odwagi niż jeden mieszkaniec mokradeł. – Co sprawiło, że Someryn oczywiście odwarknęła jej, a potem Modarra, zaś Meira wyrzekła słowa, które należałoby potraktować jako wyzwanie, gdyby nie były Mądrymi, Alarys zareagowała na nie jeszcze ostrzej, a Belinde...

Ich sprzeczka irytowała Sevannę, chociaż równocześnie stanowiła gwarancję, że nie będą przeciwko niej spiskować. Nie dlatego jednak uniosła dłoń, nakazując milczenie. Rhiale spojrzała na nią spod zmarszczonych brwi, już otworzyła usta, lecz w tej chwili usłyszały to, co ona. Coś zaszeleściło wśród zeschniętych liści zalegających u podnóża drzew. Żaden Aiel nie czyniłby takiego hałasu, nawet jeśli któryś zdecydowałby się podejść do Mądrych nie wezwany, żadne zwierzę nie zbliżyłoby się na tyle do ludzi. Tym razem ona również, jak pozostałe, powstała.

Pojawiły się dwie sylwetki, mężczyzna i kobieta, pod ich stopami gałęzie pękały z takim

trzaskiem, że mogliby obudzić chyba nawet kamień. Tuż przed skrajem polany przystanęli, mężczyzna pochylił lekko głowę, by przemówić do kobiety. To był Caddar w swoim niemalże całkowicie czarnym kaftanie obrzeżonym koronką wokół szyi i przy mankietach. Przynajmniej nie miał miecza. Wyglądali, jakby się kłócili. Sevanna pomyślała, że powinna przecież słyszeć choćby szmer ich słów, jednak panowała absolutna cisza. Caddar był niemal o dłoń wyższy od Modarry – wysoki jak na mieszkańca mokradeł, czy nawet na Aiela – a kobieta sięgała mu nie wyżej jak do piersi. Ciemnowłosa i smagła jak on, piękna na tyle, by Sevanna poczuła ukłucie zazdrości, miała na sobie czerwone jedwabie tak skrojone, że ukazywały więcej dekoltu, niżli to miało miejsce w przypadku Someryn.

Jakby myśli miały siłę wezwania, Someryn stanęła obok Sevanny.

– Ta kobieta ma dar – wyszeptwała, nie spuszczać oczu z tych dwojga. – Splotła zabezpieczenie. – Zaciskając usta, dodała jeszcze niechętniej: – Jest silna. Bardzo silna. – W jej ustach takie słowa naprawdę dużo znaczyły. Sevanna nigdy nie potrafiła pojąć, dlaczego siła władania Mocą tak mało znaczyła wśród Mądrych... równocześnie będąc za to niewymownie wdzięczna, inaczej jej sprawa byłaby z góry przegrana... ale Someryn chwaliła się, że nigdy w życiu nie spotkała kobiety równie silnej jak ona sama. Z tonu jej głosu Sevanna łatwo wywnioskowała, że tamta kobieta musi być znacznie silniejsza.

W chwili obecnej nie dbała wcale, czy tamta potrafi przenosić góry, czy też ledwie zapalić świecę. Musiała być Aes Sedai. Jej oblicze nie posiadało cech charakterystycznych, jednak kilka twarzy tych, które Sevanna spotkała, również ich nie miało. W ten sposób zapewne Caddar był w stanie uruchomić swój *ter'angreal*. Dzięki temu właśnie potrafił je znaleźć i przybyć. Nadzwyczaj szybko, właściwie bez zbędnej zwłoki. Wynikające stąd możliwości sprawiały, że jej nadzieje rosły. Pozostawała jednak kwestia wzajemnych stosunków – kto, mianowicie, będzie rozkazywał?

– Przestańcie już przenosić – nakazała. Wciąż, być może, słyszał dzięki kostce wszystko, co mówiły.

Rhiale obdarzyła ją spojrzeniem, w którym zobaczyła prawie litość.

– Someryn już dawno przestała, Sevanna.

Teraz jednak nic już nie mogło zepsuć jej nastroju. Uśmiechnęła się i powiedziała:

– Bardzo dobrze. Pamiętajcie, co wam mówiłam. Ja będę prowadziła rozmowę. – Większość z tamtych skinęła głowami, Rhiale jednak prychnęła. Sevanna nie przestała się uśmiechać. Mądrych nie sposób było obrócić w *gai'shain*, jednak tak wiele zużytych obyczajów zostało już odrzuconych, że i ten również może spotkać podobny los.

Caddar i kobieta ruszyli naprzód, a Someryn znowu szepnęła:

– Wciąż nie wypuszcza Źródła.

– Usiądź obok mnie – pośpiesznie nakazała jej Sevanna. – Dotkniesz mojej nogi, kiedy będzie przenosić. – Jakże było to dla niej upokarzające. Ale musiała wiedzieć.

Usiadła, podwijając pod siebie nogi, pozostałe przyłączyły się do niej, zostawiając miejsce dla Caddara i kobiety. Someryn usiadła dostatecznie blisko, by ich kolana stykały się ze sobą. Sevanna żałowała, że nie ma krzesła.

– Widzę cię, Caddar – oznajmiła formalnie, mimo doznanej uprzednio obrazy. – Usiądź razem ze swoją kobietą.

Chciała się przekonać, jak Aes Sedai zareaguje na jej słowa, ale tamta tylko nieznacznie uniosła brwi i uśmiechnęła się leniwie. Jej oczy były tak czarne jak jego, czarne jak oczy kruka. W postawach pozostałych Mądrych zaznaczyła się pewna sztywność. Gdyby tamte Aes Sedai przy studniach nie dały Randowi al'Thorowi wyrwać się na wolność, z pewnością zabiłyby lub schwytały



wszystkie, co do jednej. Ta tutaj Aes Sedai musiała być tego świadoma – skoro Caddar najwyraźniej wiedział, co się tam wydarzyło – jednak z jej twarzy można było wyczytać każde chyba z uczuć, oprócz jednego – strachu.

– To jest Maisia – oznajmił Caddar, siadając na ziemi, w niewielkiej przestrzeni, jaką dlań zostawiły. Z jakiegoś powodu nie lubił zbliżać się do ludzi bardziej niż na odległość ramienia. Być może obawiał się ciosu nożem. – Powiedziałem ci, byś wykorzystywała pojedynczą Mądrą, Sevanna, nie sześć. Niektórzy mężczyźni mogą nabrać podejrzeń. – Z jakiegoś powodu wydawał się rozbawiony.

Natomiast jego kobieta, Maisia, kiedy wymienił jej imię, przerwała na moment wygładzanie fałd swych spódnic i spojrzała na niego z taką wściekłością, jakby chciała obedrzeć go żywcem ze skóry. Być może wolała, aby jej imię pozostało tajemnicą. Jednak nie powiedziała nic. Po chwili usiadła obok niego, jej uśmiech powrócił tak raptownie, jakby w ogóle nigdy nie zniknął. Nie pierwszy raz Sevanna była wdzięczna, że u mieszkańców mokradeł wszystkie uczucia widoczne są jak na dłoni.

– Przyniosłeś tę rzecz, którą można kontrolować Randa al'Thora? – Nawet nie zerknęła na dzban z wodą. Skoro on okazał się tak niegrzeczny, dlaczego ona miałaby zachowywać się uprzejmie? Kiedy pierwszy raz się spotkali, odnosił się do niej zupełnie inaczej. Być może obecność Aes Sedai dodawała mu śmiałości.

Caddar spojrzał na nią pytająco. Podobnie jak Maisia.

– Po co, skoro go nie schwytałaś?

– Schwytam – oznajmiła bezbarwnym głosem, a on się uśmiechnął. Podobnie Maisia.

– Kiedy więc to uczynisz? – W jego uśmiechu wyraźnie mogła dostrzec zwątpienie i niedowierzanie. Uśmiech kobiety zaś był szyderczy. Dla niej również znajdzie się czarna szata. – Dzięki temu, co posiadam, można go kontrolować, gdy już zostanie schwytany, ale nie można go tym pokonać. Nie chcę ryzykować, że dowie się o mnie, póki go nie złapiesz. – W najmniejszym stopniu nie wydawał się zawstydzony koniecznością wyrażenia na głos swych obaw.

Sevanna zdławiła w sobie uczucie rozczarowania. Jedna z nadziei rozwiązała się, ale wciąż były pozostałe. Rhiale i Tion splotły dłonie i patrzyły wprost przed siebie, poza krąg, poza miejsce, gdzie siedział; już nie było warto go słuchać. Rzecz jasna nie wiedziały wszystkiego.

– Co z Aes Sedai? Czy dzięki tej rzeczy je również można kontrolować? – Rhiale i Tion przestały wpatrywać się w przestrzeń. Brwi Belinde zadrżały, a Meira po prostu spojrzała wprost na nią. Sevanna mogła tylko przeklinać brak samokontroli u tamtych.

Caddar był jednak równie ślepy jak wszyscy mieszkańcy mokradeł. Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się.

– Chcesz powiedzieć, że nie udało ci się z al'Thorem, ale złapałaś Aes Sedai? Próbowalaś schwytać orła, a w ręku zostało ci tylko kilka skowronków!

– Czy możesz dostarczyć coś takiego dla Aes Sedai? – Miała ochotę zgrzytać zębami. Poprzednim razem potrafił okazać jej stosowną grzeczność.

Wzruszył ramionami.

– Być może. Jeśli cena okaże się odpowiednia. – W tej chwili, jak nigdy przedtem, cała sprawa była zupełnie bez znaczenia. A skoro już o tym mowa, Maisia również straciła wszelkie zainteresowanie. Dziwne, jeśli rzeczywiście była Aes Sedai. A przecież nie mogła być nikim innym.

– Twój język ciska kwieciste słowa na wiatr, mieszkańcu mokradeł – orzekła Tion bezbarwnym głosem. – Jaki masz dowód na to, co mówisz? – Chociaż raz Sevanna nie miała pretensji, że któraś odezwiała się za nią.

Twarz Caddara skurczyła się nagle, jakby był co najmniej wodzem klanu, jakby potrafił zrozumieć obrazę, ale w jednej chwili uśmiech znów powrócił na jego usta.

– Jak sobie życzysz. Maisia, zabaw się ze szkatułką foniczną na ich użytek.

Someryn poprawiła spódnicę i przycisnęła mocno kłykcie do uda Sevanny, a wtedy szara kostka uniosła się w powietrze, na wysokość kroku. Zaczęła podskakiwać w tę i we w tę, jakby podrzucana wieloma dłońmi, potem przekrzywiła się i zawisła na osi przechodzącej przez jeden z rogów niczym bąk, wirując coraz szybciej i szybciej, póki jej kontury nie zaczęły się zamazywać.

– Może chciałabyś zobaczyć, jak balansuje nią na swoim nosie? – zapytał Caddar, wyszczerzając zęby w uśmiechu.

Smągła kobieta przymrużyła oczy, patrzyła prosto przed siebie, uśmiech na jej twarzy był już wyraźnie wymuszony.

– Sądzę, że pokazałam już dość, Caddar – oznajmiła chłodno. Za to kostka... szkatułka foniczna? ... nie przestawała wirować.

Sevanna powoli odliczyła do dwudziestu, wreszcie przemówiła.

– Wystarczy.

– Możesz już przestać, Maisia – powiedział Caddar. -Odłóż ją z powrotem na miejsce. – Dopiero wówczas kostka powoli opadła i osiadła na ziemi, w miejscu gdzie początkowo spoczywała. Mimo smągłej skóry twarz kobiety wyraźnie pobladła. Z wściekłości.

Będąc sama, Sevanna roześmiałaby się i zatańczyła z radości. W obecnej sytuacji musiała bardzo się starać, by żadne z przepełniających ją uczuć nie odbiło się na twarzy. Rhiale i pozostałe były zbyt zajęte pogardliwą obserwacją Maisii, by cokolwiek zauważyć. Co działało na jedną kobietę posiadającą dar, będzie też działać na inne. Nie będzie tak w przypadku Someryn i Modarry, być może jednak dla Rhiale i Theravy... Nie mogła jednak wyglądać na zbyt zadowoloną, skoro tamte wiedziały przecież, że nie istnieją żadne pojmane Aes Sedai.

– Oczywiście – ciągnął dalej Caddar – zajmie mi trochę czasu, zanim będę mógł wam dostarczyć wszystko, co chcecie. – Jego oczy rozświetlił chytry błysk, daremnie próbował go skryć. Być może inny mieszkaniec mokradeł niczego by nie dostrzegł. – Ostrzegam was jednak, cena nie będzie niska.

Sevanna mimowolnie pochyliła się do przodu.

– A sposób, dzięki któremu dostałeś się tutaj tak szybko? Ile chcesz za to, żeby ona nas nauczyła? – Udało jej się zachować głos pozbawiony całkowicie wyrazu, jednak obawiała się, że pogarda, którą czuła w tej chwili, może być słyszalna. Mieszkańcy mokradeł zrobią wszystko dla złota.

Być może mężczyzna ją usłyszał. Wyraźnie widziała, jak jego oczy rozszerzyły się z zaskoczenia, dopiero po chwili odzyskał panowanie nad sobą. Przynajmniej w takim stopniu, na jaki było go stać. Przez chwilę wpatrywał się w swoje dłonie, a kąciki jego ust wygięły się nieznacznie. Dlaczego więc jego uśmiech wciąż był tak pełen zadowolenia?

– To nie jest coś takiego, czego ona byłaby w stanie dokonać – powiedział głosem tak delikatnym jak skóra na jego dłoniach – przynajmniej nie sama z siebie. To coś w rodzaju szkatułki fonicznej. Mogę dostarczyć wam kilka, jednak cena będzie jeszcze wyższa. Wątpię, by to, co zgromadziłyście w Cairhien, wystarczyło. Na szczęście, możecie wykorzystać, hm... szkatułki podróżne, aby przenieść waszych ludzi na bogatsze ziemie.

Nawet Meira musiała bardzo się starać, żeby na jej twarzy nie było widać targającej nią żądy. Bogatsze ziemie spowodują, że nie trzeba będzie walczyć z tymi głupcami, którzy poszli za Randem al'Thorem.

– Opowiedz mi o nich więcej – chłodno zażądała Sevanna. – Bogatsze ziemie mogą nas zainteresować. – Jednak nie na tyle, by zapomniała o *Car'a'carnie*. Caddar da jej wszystko, co obiecał, zanim obróci go w *da'tsang*. Najwyraźniej bardzo lubił nosić czerń. Wtedy niepotrzebna mu będzie nawet odrobina złota...

Obserwator niczym duch przemykał się między drzewami, nie wydając najcichszego odgłosu. To naprawdę cudowne, jak wiele można się dowiedzieć dzięki szkatułce fonicznej, zwłaszcza w świecie, w którym najwyraźniej istniały jeszcze tylko dwie identyczne. Czerwona suknia stanowiła cel, za którym łatwo było podążać, żadne z dwojga zaś ani razu nie obejrzało się za siebie, nawet po to, by sprawdzić, czy nie śledzi ich któryś z tych tak zwanych Aielów. Graendal dalej zachowała Maskę Zwierciadeł, która skrywała jej prawdziwą postać, jednak Sammael zrezygnował ze swojej – znowu rozbłysła jego złota broda, dalej jednak wciąż był o ponad głowę wyższy od niej. Pozwolił także, by łącząca ich więź również zanikła. Obserwator przez chwilę zastanawiał się, czy w danych okolicznościach jest to mądre postępowanie. Nigdy nie przestał dumać nad tym, ile z chełpliwej brawury tamtego było wynikiem jego czystej głupoty i najzwyczajniejszej ślepoty. Nie wypuścił jednak *saidina*, może nie był całkiem nieświadomy niebezpieczeństwa.

Obserwator szedł za nimi i słuchał. Nie mieli pojęcia o jego obecności. Prawdziwa Moc, czerpana wprost od Wielkiego Władcy, nie dawała się ani zobaczyć, ani wykryć przez nikogo, kto z niej nie korzystał. Przed oczami latały mu czarne płatki. Oczywiście zawsze była jakaś cena, w tym przypadku rosła wraz z każdym zaczerpnięciem, on jednak chętnie ją płacił, kiedy to było konieczne. Uczucie towarzyszące wypełnieniu Prawdziwą Mocą równało się niemalże z tym, jakie przepełniało go, kiedy klęczał pod Shayol Ghul, pławiąc się w chwale Wielkiego Władcy. Uczestnictwo w tej glorii było bólu.

– Oczywiście, że musiałem zabrać cię ze sobą – warknął Sammael, następując na uschnięte pnące. Z dala od miasta nigdy nie czuł się dobrze. – Sama twoja obecność stanowiła odpowiedź na setkę ich pytań. Ledwie potrafiłem uwierzyć, że ta głupia dziewczyna naprawdę sama zaproponowała mi dokładnie to, czego chciałem. – Zachichotał. – Być może ja również jestem *ta'veren*.

Gałązka, która zatarasowała Graendal drogę, ugięła się, a potem odskoczyła z ostrym świstem. Przez krótką chwilę kołysała się, jakby chciała uderzyć jej towarzysza.

– Ta głupia dziewczyna wykroi ci serce i zje na surowo, jeśli tylko dostrzeże najmniejszą szansę ku temu. – Gałązka odgięła się znowu. – Ze swojej strony też mam kilka pytań. Nigdy nie sądziłam, że twój rozejm z al'Thorem potrwa choćby chwilę dłużej niżli to konieczne, jednak to...?

Brwi obserwatora uniosły się. Rozejm? Podejrzenie równie ryzykowne jak fałszywe, wedle wszelkich świadectw.

– Nie ja zaaranżowałem jego porwanie. – Sammael obdarzył ją spojrzeniem, które sam zapewne uznał za czujne, chociaż, tak naprawdę, zniekształcająca jego oblicze blizna wykrzywiła je w zwierzęcy niemalże grymas. – Aczkolwiek maczała w tym palce Mesaana. Może Demandred i Semirhage również, mimo iż tak się to wszystko skończyło, niemniej Mesaana z całą pewnością. Być może powinnaś rozważyć powtórnie, co twoim zdaniem Wielki Władca miał na myśli, gdy wspomniał, że al'Thorowi nie ma się stać żadna krzywda.

Graendal zamyśliła się nad jego słowami i to tak głęboko, że aż się potknęła. Sammael schwycił ją pod ramię, nie pozwolił upaść, kobieta jednak, gdy tylko odzyskała równowagę, wyszarpnęła się z jego uścisku. Interesujące, zwłaszcza biorąc pod uwagę to, co wydarzyło się na polanie. Prawdziwym przedmiotem zainteresowania Graendal byli zawsze najpiękniejsi spośród najbardziej

możnych, ale z pewnością chętnie popoflirtowałyby, po to tylko, by czas szybciej minął, z mężczyzną, którego zamierzała zabić, albo takim, który zamierzał zabić ją. Jedynymi mężczyznami, z którymi nigdy nie flirtowała, byli ci spośród Wybranych, którzy aktualnie znajdowali się wyżej od niej w hierarchii. Nie potrafiłaby przystać na to, że jest „tą gorszą” w jakimkolwiek związku.

– Dlaczego więc mamy to z nimi ciągnąć dalej? – Jej głos wrzał wręcz z wściekłości jak stopiona lava, chociaż zazwyczaj doskonale panowała nad własnymi emocjami. – Al’Thor w rękach Mesaany to jedna rzecz, a al’Thor w rękach tych dzikusów to zupełnie inna. Z pewnością jednak nie będzie miała wielkich szans, żeby coś wskórać, skoro masz zamiar wysłać te kobiety na płądrowanie gdzie indziej. Szkatułki podróżne? W co ty grasz? Czy one w ogóle biorą jeńców? Jeśli sądzisz, że nauczę je Przymusu, to wybij to sobie z głowy. Jedna z tych kobiet nie była nawet taka zupełnie beznadziejna. Nie zaryzykuję możliwości, że siła i dar zamieszkają w jednym ciele, w niej mianowicie, albo dostaną się komuś, kogo ona nauczy. A może jednak posiadasz powrósłło ukryte razem z innymi zabawkami? Jeśli zaś o ukrywaniu mówimy, to gdzie byłeś dotąd? Nie lubię, kiedy każe mi się czekać!

Sammael przystanął, obejrzał się za siebie. Obserwator zamarł w bezruchu. Owinięty materia wachlarza, poza oczami, nie musiał się martwić, że zostanie dostrzeżony. Przez lata praktyki nabrał wprawy w wielu umiejętnościach, które Sammael miał w pogardzie. A także w takich, za którymi ten przepadał.

Brama otworzyła się nagle, odcinając pół drzewa, Graendal aż podskoczyła. Przecięty pień zachwiał się jak pijany. Teraz wiedziała już, że Sammael również nie wypuścił Źródła.

– Sądzisz, że powiedziałem im prawdę? – zapytał Sammael szyderczo. – Drobnny wkład w powiększenie chaosu jest tyleż samo wart, co wielkie przedsięwzięcie. Pójdą tam, gdzie je pošlę, zrobią, co zechcą i nauczą się zadowalać tym, co im dam. Podobnie jak ty, Maisia.

Graendal pozwoliła Iluzji rozwiać się i stała teraz przed nim złotowłosa, ale równie olśniewająca jak przedtem.

– Jeśli jeszcze raz zwrócisz się do mnie tym imieniem, zabiję cię. -Jej głos był równie bezbarwny jak wyraz twarzy. Mówiła prawdę. Obserwator zeszywniał. Jeśli spróbuje, jedno z nich dwojga umrze. Czy powinien się wtrącić? Czarne plamki przemykały mu przed oczami coraz szybciej.

Sammael odpowiedział jej spojrzeniem równie twardym.

– Pamiętaj, kto zostanie Nae’blis, Graendal – powiedział i wstąpił w bramę.

Przez chwilę stała i patrzyła tylko na otwór w powietrzu. Potem obok zaczęła się formować srebrna kreska, zanim jednak jej brama ukształtowała się na dobre, rozwiązała splot, powoli, aż pręga światła skurczyła się do pojedynczego punktu i wreszcie zniknęła. Skóra obserwatora przestała mrowić, kiedy wypuściła również *saidara*. Z wyrazem determinacji na twarzy poszła za Sammaelem, a jego brama zamknęła się za nią.

Obserwator uśmiechnął się krzywo za skrywającą go maską z materii wachlarza. Nae’blis. To wyjaśniało, dlaczego Graendal była wobec niego taka pokorna, co ją powstrzymało przed zabiciem Sammaela. Nawet ją można było w ten sposób oszukać. Twierdząc tak bowiem, Sammael podejmował ryzyko znacznie większe niż wówczas, gdy głosił, że zawarł rozejm z Lewsem Therinem. Chyba że akurat była to prawda. Wielki Władca czerpał prawdziwą rozkosz, napuszczając swe sługi wzajem na siebie, aby stwierdzić, które z nich okaże się silniejsze. A tylko najsilniejsi mieli prawo kąpać się w blasku jego chwały. Niemniej jednak, prawdy z jednego dnia, następnego mogły okazać się fałszem. Obserwator widział już, jak między wschodem i zachodem słońca prawda po stokroć zmieniała swe oblicze. Więcej niż raz sam był odpowiedzialny za tę zmianę. Przez chwilę

zastanawiał się, czy nie wrócić i nie zabić tych siedmiu kobiet na polanie. Umrą szybko, wątpił, by wiedziały, w jaki sposób tworzy się prawdziwy krąg. Czarne plamki zupełnie przyćmiły jego wzrok, sypiąc skośną zadymką. Nie, niech wszystko toczy się swoim trybem. Na razie.

Usłyszał niemalże jak świat wrzasnął, gdy użył Prawdziwej Mocy do wyrwania niewielkiej dziury w materii jego rzeczywistości i wyszedł poza wzór. Sammael nie miał pojęcia, jak wiele prawdy zawierały jego słowa. Niewielki przyrost chaosu może być równie istotny jak poważniejsze przedsięwzięcia.

# ROZDZIAŁ 2

## NOC SWOVAN

Noc spłynęła powoli nad Ebou Dar, jedynie biel jasnych ścian opierała się jeszcze postępującym ciemnościom. Mniej lub bardziej liczne grupki świętujących, z krótkimi gałązkami wiecznie zielonych drzew wplecionymi we włosy, tańczyły na ulicach pod jasną tarczą księżyca w trzeciej kwadrze -nieliczni tylko mieli przy sobie latarnię, kołysząc się do wtóru muzyki fletów, rogów i rytmu bębnów w oberżach i pałacach, tanecznym krokiem zmiierzając od jednego miejsca obchodów święta do drugiego – jednak przez większość czasu ulice pozostawały puste. W oddali zaszczekał pies, potem dołączył do niego drugi, znacznie bliżej, odpowiadając mu z wściekłością, póki znienacka nie zaskowytał i zamilkł.

Mat wspiał się na palce i nasłuchiwał, uważnie przepatrując wzrokiem cienie księżycowej poświaty. To tylko kot przemknął przez ulicę. Odgłos plaskania bosych stóp ścichł w oddali. Właściciel jednej pary z pewnością nie będzie w stanie iść szybko, drugi również krwawił. Kiedy się pochylił, nogą zawadził o pałkę długości jego ramienia leżącą na kamieniach bruku; grube mosiężne gwoździe, którymi została nabita, zaśniły w świetle księżyca. Z pewnością strzaskałaby mu czaszkę. Pokręcił głową, wytarł ostrze noża o kaftan człowieka leżącego u jego stóp. Z brudnej pomarszczonej twarzy patrzyły w niebo puste oczy. Żebrak, sądząc po tym, jak wyglądał i po otaczającym go zapachu. Mat nie słyszał dotąd, by żebracy atakowali ludzi, być może jednak czasy były cięższe, niż podejrzewał. Wielki jutowy worek spoczywał obok jednej z wyciągniętych dłoni. Tamci z pewnością nazbyt optymistycznie ocenili ewentualną zawartość jego kieszeni. Tym workiem mógłby okryć się od głowy po kolana.

Na północy niebo ponad miastem znienacka rozbłysło światłem, po którym nastąpił głuchy grzmot z towarzyszącą mu przepyszną eksplozją lśniących smug zieleni, a potem nowy wybuch skropił deszczem czerwonych iskier tło pierwszego ognistego rysunku, za chwilę następny – błękitny, i jeszcze żółty. Nocne kwiaty Iluminatorów, nie tak widowiskowe, jak byłyby przy bezksiężycowej pochmurnej nocy, wciąż jednak zapierały dech w piersiach. Fajerwerkom mógł się przyglądać tak długo, aż nie padnie z głodu. Nalesean wspominał o pewnym Iluminatorze – Światłości, czy to naprawdę było dopiero tego ranka? – ale już żadne świetlne kwiaty nie rozwinęły się na nocnym niebie. Kiedy Iluminatorzy sprawiają, iż niebo “rozkwita” – taką terminologią oni sami się posługiwali – wówczas sadzą zazwyczaj więcej niż cztery kwiaty. Najwyraźniej ktoś, kto dysponował zasobami gotówki, zapłacił za Noc Swovan. Żałował, że nie wie, kto to był. Iluminator, który gotów był sprzedać swe nocne kwiaty, sprzedałby z pewnością więcej niż jeden.

Wsunął nóż z powrotem do rękawa, podniósł z chodnika kapelusz i szybko odszedł z miejsca bójki, a odgłos jego kroków niósł się echem po pustych ulicach. Zza zatrzaśniętych w większości na głucho okiennic nie wymykał się nawet promyczek światła. W całym mieście pewnie trudno byłoby szukać lepszego miejsca na zbrodnię. Walka z trzema żebrakami trwała zaledwie kilka minut i nie widział jej nikt. W tym mieście, jeśli się nie zachowywało ostrożności, można było zostać zmuszonym do stoczenia trzech, czterech walk dziennie, jednakowoż szanse na spotkanie dwóch band rabusiów jednego dnia były równie wielkie jak szanse spotkania żołnierza Gwardii Obywatelskiej, który odmówi wzięcia łapówki. Co się stało z jego szczęściem? Gdyby tylko te przekłete kości przestały się toczyć w głowie. Nie biegł, ale również nie ociągał się, z jedną dłonią wciąż na rękojeści noża pod kaftanem i oczyma bacznie obserwującymi najłżejsze poruszenie wśród cieni. Nie dostrzegł wszakże nikogo prócz kilku grupek świętujących na ulicach.

Ze wspólnej sali “Wędrowniej Kobiety” usunięto stoły, wyjąwszy kilka, które ustawiono pod ścianami. Fleciści i bębniści grali porywającą muzykę dla czterech szeregów roześmianych ludzi, którzy poruszali się w sposób przypominający na poły taniec z figurami, a na poły dżigę. Obserwując ich, powtarzał ich ruchy. Kupcy zza miasta, w wełnach dobrego gatunku, podskakiwali obok mieszkańców miasta w brokatowych jedwabnych kamizelach albo tych bezużytecznych kaftanach zwisających z ramion. Spośród tłumu tańczących rzuciły mu się w oczy dwie kobiety – bez wątpienia przynależące do grupy kupców, jedna szczupła, druga nieco pulchniejsza, obie wszakże poruszały się ze swobodnym wdziękiem. Poza nimi godnych uwagi było kilka miejscowych kobiet odzianych w najlepszą odzież, o głęboko wyciętych dekoltach obrzeżonych odrobiną koronki tudzież wieloraką różnaitością haftów, żadna jednak nie miała na sobie jedwabi. Nie żeby odmówił tańca kobiecie w jedwabiach – nigdy nie odmawiał żadnej kobiecie, niezależnie od wieku czy pozycji społecznej – jednak moźni dzisiejszą noc spędzali w pałacach albo w domach bogatych kupców i bankierów. Ci ludzie zaś pod ścianami, łapiący odrobinę oddechu przed następnym tańcem, często zanurzali twarze w kuflach lub porywali napełnione szkło z tac roznoszonych wciąż przez służące. Pani Anan z pewnością sprzeda dzisiaj tyle wina, co w normalnych okolicznościach przez tydzień. Ale z kolei mieszkańcy miasta nie dysponowali szczególnie wyrafinowanym smakiem.

Ćwicząc kolejny krok tańca, zobaczył Cairę, która przepychała się z tacą przed tłum. Podnosząc głos, aby go usłyszała w przeraźliwym zgiełku muzyki, zadał kilka pytań, a na koniec jeszcze złożył zamówienie na kolację, a mianowicie rybę na złoto, wonne danie, które kucharka pani Anan wypracowała do perfekcji. Mężczyźni potrzebne były siły, żeby dobrze tańczyć.

Caira poczęstowała ciepłym uśmiechem człowieka w żółtej kamizeli, który porwał kufel z jej tacy i rzucił na nią monetę, ale o dziwo, tym razem na widok Mata zareagowała zgoła inaczej. W istocie spojrzała nań, zaciskając wargi w cieniutką kreskę, co w jej przypadku stanowiło niemałe dokonanie.

– Jestem twoim małym króliczkiem, tak? – Z wiele mówiącym parsknięciem ciągnęła niecierpliwie dalej, odpowiadając na jego zadanie przed chwilą pytania. – Chłopak został zagnany do łóżka, w którym od dawna winien przebywać, i nie wiem, gdzie są lord Nalesean albo Harnan, albo pan Vanin, tudzież ktokolwiek inny. A kucharka powiedziała, że nie poda niczego prócz zupy i chleba, tym, co tylko moczą usta w winie. Chociaż, dlaczego mój pan miałby zechcieć ryby na złoto, skoro w jego pokoju czeka nań dama cała w złocie, tego z pewnością nie mogę wiedzieć. Jeśli mój pan mi wybaczy, są ludzie, którzy muszą ciężko zapracować na swój chleb. – Szybko odeszła na bok, niosąc tacę i uśmiechając się szeroko do każdego mężczyzny w zasięgu wzroku.

Mat popatrzył za nią spod zmarszczonych brwi. Kobieta cała w złocie? W jego pokoju? Skrzynia ze złotem spoczywała obecnie w niewielkiej skrytce pod kuchenną podłogą, tuż przed frontem paleniska. Znienacka kości w jego głowie zaczęły toczyć się z łoskotem grzmotu.

W miarę jak powoli wspinał się po schodach, odgłosy zabawy cichły za jego plecami. Przed drzwiami do swego pokoju zatrzymał się, wsłuchując w grzechot kości. Dwukrotnie już dzisiaj próbowano go obrabować. Po dwakroć jego czaszka mogła zostać rozbita. Pewien był, że tamta, która była Sprzymierzeńcem Ciemności, nie mogła go zauważyć, nikt też z pewnością nie określiłby jej jako “kobiety w złocie”, jednak... Musnął palcami rękoięść noża pod kaftanem, potem cofnął je zaraz, gdy przed oczyma stanął mu obraz wysokiej kobiety padającej na ziemię z rękoięścią noża sterczącą między piersiami. Jego noża. Po prostu musi liczyć na swoje szczęście. Westchnął i pchnął drzwi.

Uczestniczka Polowania, z której Elayne zrobiła swojego Strażnika, odwróciła się, ważąc w dłoni drzewce nie naciągniętego łuku z Dwu Rzek, złoty warkocz zwisał przerzucony przez jedno

ramię. Spojrzenie jej błękitnych oczu spoczęło na nim zdecydowanie, twarz ściągnął grymas determinacji. Wyglądała na gotową zbić go tym drzewcem, jeśli nie dostanie tego, o co jej chodzi.

– Jeśli chodzi o Olvera – zaczął i nagle jakaś zapadka w jego pamięci otworzyła się, rozproszyła się mgła skrywająca pewien dzień, pewną godzinę życia.

“Nie było nadziei. Seanchanie znajdowali się na zachodzie, a Białe Płaszcze na wschodzie, żadnej nadziei i tylko niewielka szansa, a więc uniósł poskręcany Róg i zadał weń, do końca nie wiedząc, czego oczekiwać. Rozległ się głos złoty niczym sam Róg, tak słodki, że nie miał pojęcia, czy śmiać się, czy płakać. Poniósł echem, którym zdawały się śpiewać ziemia i niebios. Nim jeszcze ścichł jego pojedynczy, czysty ton, wokół zaczęła gęstnieć mgła, pojawiając się, jakby znikąd, cienkimi pasmami z początku, potem coraz grubszymi, skłębionymi, póki wszystkiego nie zasnuła masywna powłoka zalegająca ponad ziemią. I z chmury tej zjechali oni, jakby z górskiego zbocza, martwi bohaterowie z legend, przemocą wezwani na ten świat dźwiękiem Rogu Valere. Prowadził ich sam Artur Hawkwing, wysoki, z jastrzębim nosem, za nimi zaś jechali pozostali, było ich nieco ponad setkę. Tak niewielu. Wszyscy jednak, których Koło będzie wplatać bez końca, aby strzegli Wzoru, aby tworzyli legendę i mit. Mikel Czyste Serce i Shivan Myśliwy za swą czarną maską. Powiadano, iż jego pojawienie się zwiastuje Koniec Wieku, zagładę tego, co było i narodziny tego, co będzie, jego i jego siostry, Calian, zwanej Wybierającą, która teraz jechała w czerwonej masce przy jego boku. Amaresu z Mieczem Słońca lśniącem w jej dłoniach oraz Paedrig, złotousty głosiciel pokoju, a za nim, ściskając srebrny łuk, z którego nigdy nie chybiała...”

Zamknął raptownie drzwi, wsparł się o nie całym ciężarem. W głowie mu się zakręciło, patrzył jak przez mgłę.

– Jesteś nią. Prawdziwą Birgitte. Żeby me kości obróciły się w popiół, to niemożliwe. Jak? Jak?

Kobieta z legendy westchnęła z rezygnacją i ustawiła drzewce jego łuku w kącie razem z włócznią.

– Zostałam wydarta przed czasem ze swego miejsca, Trębacz na Rogu, przez Moghedien porzucona na śmierć i uratowana tylko dzięki Elayne, która nałożyła na mnie więź zobowiązań. – Mówiła powoli, wpatrując się w niego uważnie, jakby chciała zdobyć pewność, że zrozumie. – Cały czas obawiałam się, że możesz pamiętać, kim byłam.

Mat, wciąż czując się tak, jakby otrzymał cios między oczy, z niemądrym grymasem opadł na krzesło obok stołu. Kim była, dobre sobie. Pięściami wsparta pod boki, stała naprzeciw niego z wyzywającym spojrzeniem, niczym nie różniąc się od Birgitte, którą wówczas widział spływającą z nieba. Nawet ubranie było to samo, jednakże krótki kaftan był czerwony, a szerokie spodnie żółte.

– Elayne i Nynaeve wiedzą o wszystkim i nic mi nie powiedziały, prawda? Zmęczony już jestem tymi sekretami, Birgitte, a one gromadzą sekrety tak, jak w stodole z ziarnem gromadzą się szczury. Bez reszty stały się już Aes Sedai, w oczach i w sercu. Nawet Nynaeve jest już po dwakroć tak obca jak niegdyś.

– Ty też masz swoje własne tajemnice. – Zaplotła ramiona na piersiach, usiadła w nogach jego łóżka. Ze sposobu, w jaki nań spoglądała, można było sądzić, że jest jakimś dziwakiem spotkanym w karczmie. – Choćby fakt, że nie powiedziałaś im, iż zadałeś w Róg Valere. A i tak sądzę, że jest to jeden z pomniejszych sekretów, jakie przed nimi skrywasz.

Mat zamrugał. Zakładał, że jej powiedziały. Mimo wszystko była tą Birgitte.

– Jakie niby skrywam sekrety? Te kobiety doskonale wiedzą, zarówno o tym, co mam pod paznokciami u stóp, jak i o czym śnię. – To była Birgitte. Oczywiście. Pochylił się naprzód. – Spraw, żeby zaczęły się zachowywać w zgodzie ze zdrowym rozsądkiem. Jesteś Birgitte Srebrny Łuk.



Możesz sprawić, że będą cię słuchać. W tym mieście każde skrzyżowanie stanowi wilczy dół, a ja obawiam się, że w miarę upływu czasu ryzyko staje się coraz większe. Przekonaj je, żeby zrezygnowały, zanim będzie za późno.

Roześmiała się. Przyłożyła dłoń do ust i roześmiała się!

– Odniosłeś mylne wrażenie, Trębacz na Rogu. To nie ja nimi dowodzę. Jestem Strażnikiem Elayne. Muszę okazywać posłuszeństwo. -Jej uśmiech stał się ponury. -Birgitte Srebrny Łuk. Na wiarę w Światłość, nie jestem pewna, czy dalej jestem tą samą kobietą. Tak wiele z tego, czym byłam i co znałam, rozwiało się niczym mgła w letnim słońcu od czasu tych moich dziwnych nowych narodzin. Nie jestem już heroiną, tylko zwykłą kobietą, która musi dawać sobie radę w życiu. A skoro już mowa o twoich tajemnicach. W jakim języku rozmawiamy twoim zdaniem, Trębacz na Rogu?

Otworzył usta... i zamarł, kiedy do niego dotarło, co właśnie powiedziała.

*Nosane iro gavane domorakoshi, Diynen'd'ma'purvene?* – “Jakież to język, w którym mówimy – ty, który Zadałeś w Róg?” Poczul, jak jeżą mu się włosy na karku.

– Stara krew – powiedział ostrożnie. I tym razem nie w Dawnej Mowie. – Pewna Aes Sedai powiedziała mi kiedyś, że stara krew wciąż jest silna w... A teraz z czego się do cholery śmiejesz?

– Ech ty, Mat – udało jej się wykrztusić, a równocześnie robiła wszystko, by nie zgiąć się w pół ze śmiechu. Przynajmniej przestała już używać Dawnej Mowy. Otarła łzę z kącika oka. – Niektórzy ludzie potrafią powiedzieć kilka słów, inni zdanie czy dwa, i tak właśnie odzywa się głos starej krwi. Zazwyczaj nie rozumieją tego, co mówią, niekiedy ledwo przeczuwają znaczenie wypowiedzianych słów. Ale ty... W jednym zdaniu jesteś Wysokim Księciem Eharoni, w następnym Pierwszym Lordem Manetheren, akcent i idiomatyka doskonałe. Nie, nie przejmuj się. U mnie twoja tajemnica jest bezpieczna. – Zawahała się. – Ale czy moja jest bezpieczna u ciebie?

Machnął dłonią, wciąż zbyt oszołomiony, żeby się obrazić.

– Czy ja wyglądam na kogoś, kto by mełł po próżnicy ozorem? – mruknął. Birgitte! We własnej osobie! – Żebym szezł, powinienem się chyba napić. – Zanim jeszcze na dobre skończył zdanie, wiedział już, że popełnił błąd. Kobiety nigdy...

– Uważam, że to świetny pomysł – powiedziała. -Mnie również nie zaszkodzi dzban wina. Krew i popioły, kiedy zrozumiałam, że mnie rozpoznałeś, omal się nie udławiłam własnym językiem.

Usiadł sztywny, jakby go ktoś szturchnął i zagapił się na nią.

Spojrzała mu w oczy, mrugnęła wesoło i uśmiechnęła się szeroko.

– We wspólnej sali panuje taki rejwach, że możemy rozmawiać spokojni, iż nikt nas nie podsłucha. Poza tym mam ochotę posiedzieć sobie trochę z ludźmi i popatrzeć. Za każdym razem, gdy rzucę choćby przelotnie okiem na męczyznę, Elayne prawi mi kazania, jakich nie powstydziliby się rajca z Tovan.

Przytaknął, zanim zdążył pomyśleć. Z tamtych cudzych wspomnień wiedział, że Towanie byli surowymi i krytycznymi ludźmi, których abstynencja graniczyła niemalże z udręką; przynajmniej byli tacy bardzo dawno temu, od ich czasów minęło bowiem co najmniej tysiąc lat. Nie wiedział, czy zaśmiać się, czy znowu jęknąć. Z jednej strony szansa porozmawiania z Birgitte – Birgitte! Nie był pewien, czy kiedykolwiek się z tym oswoi – z drugiej wszak wątpił, by przez ten łoskot kości grzechoczących mu pod czaszką w ogóle potrafił usłyszeć muzykę we wspólnej sali. Ale jakimś sposobem ona musi być kluczem do wszystkiego. Człowiek posiadający choć odrobinę oleju w głowie natychmiast wdrapałby się na parapet i uciekł przez okno.

– Myślę, że dzban czy dwa nam nie zaszkodzi – rzekł.

Mimo iż, o dziwo, ostra słońca bryza znad zatoki niosła lekkie niczym muśnięcie tchnienie chłodu, Nynaeve odczuwała przytłaczający ciężar nocy. Odgłosy muzyki i urywane wybuchy śmiechu docierały do wnętrza pałacu, rozlegały się również na jego korytarzach i w komnatach, tu już znacznie słabsze. Tylin osobiście zaprosiła ją na bal. Podobnie zresztą jak Elayne i Aviendhę, wszystkie jednak zgodnie odmówiły, mniej lub bardziej grzecznie. Aviendha oznajmiła, że istnieje tylko jeden rodzaj tańca; w który miałyby ochotę puścić się z mieszkańcem mokradeł, co sprawiło, iż Tylin zamrugła niepewnie. Nynaeve ze swej strony chętnie by nawet skorzystała z zaproszenia -tylko głupiec by przepuścił okazję do tańca– jednak wiedziała, że gdyby poszła, to robiłaby na miejscu dokładnie to, co w tej chwili, czyli siedziała w kącie, zamartwiając się i próbując nie ogryźć swych paznokci do żywego mięsa.

Tak więc teraz siedziały wszystkie razem, zamknięte w swych apartamentach z Thomem i Juilinem, rozdrażnione niczym koty w klatce, podczas gdy wszyscy pozostali w Ebou Dar weselili się. Cóż, w każdym razie ona była rozdrażniona. Co mogło zatrzymać Birgitte? Ile czasu trzeba, żeby powiedzieć mężczyźnie, iż będzie potrzebny im z samego ranka? Światłości, cały ten wysiłek na marne, a od dawna już powinny leżeć w łóżkach. Od bardzo dawna. Gdyby tylko potrafiła zasnąć, mogłaby zapomnieć tę potworną podróż łodzią o poranku. A najgorsze ze wszystkiego było to, że wedle jej wycucia pogody zbliżała się burza, wkrótce już wiatr miał wyć za oknami, a świat przesłoni kurtyna deszczu tak gruba, że nie będzie widać na dziesięć stóp. Niełatwo jej przyszło pojąć, że teraz, gdy Słuchała Wiatru, najwyraźniej słyszała wyłącznie kłamstwa. Przynajmniej wydawało jej się, że wreszcie to pojęła. Nadciągała inna burza, bez wichru i deszczu. Nie mając dowodów, była jednak gotowa założyć się o to, że zje swe pantofle, jeśli w tym wszystkim, przynajmniej po części, nie brał udziału Mat Cauthon. Miała ochotę spać przez miesiąc, przez rok, byle tylko zapomnieć o zmartwieniach, póki Lan nie obudzi jej pocałunkiem, jak w opowieści o Tali i Królu Słońca. Co było oczywiście zupełnie idiotyczną, sentymentalną mrzonką – ta opowieść wszak stanowiła jedynie bajkę, na dodatek bardzo niestosowną, a ona nie miała zamiaru być pieszczoszką żadnego mężczyzny, nawet Lana. Sama go znajdzie, jakimś sposobem, i zwiąże zobowiązaniami; wtedy będzie należał do niej. Tak zrobi... Światłości! Gdyby nie sądziła, że pozostałe mogą na nią patrzeć, zzułaby pantofle!

Godziny wlekły się. Przeczytała kilkakrotnie krótki list, który Mat zostawił u Tylin. Aviendha siedziała w milczeniu na bladozielonych płytkach posadzki obok krzesła z wysokim oparciem, jak zawsze ze skrzyżowanymi nogami, trzymając na kolanach oprawiony w tłoczoną złotem skórę egzemplarz *Podróży Jaina Długi Krok*. Nie denerwowała się wcale, przynajmniej nic nie było po niej widać, ale ta kobieta nie drgnęłaby nawet wtedy, gdyby ktoś wpuścił jej jadowitego węża pod suknię. Po powrocie do pałacu znowu zawiesiła na szyi delikatny naszyjnik ze srebra, który zazwyczaj nosiła niemalże dniem i nocą. Podróż łodzią stanowiła wyjątek, powiedziała im, że nie chce ryzykować jego utraty. Nynaeve zastanawiała się bezsensownie, dlaczego tamta nie nosi swojej bransolety z kości słoniowej. Podśluchiwała kiedyś rozmowę na ten temat, coś o tym, że nie będzie jej nosić, póki Elayne nie dostanie podobnej; mało w tym było sensu. I zresztą sama rozmowa znaczyła oczywiście równie niewiele jak bransoleta. Leżący na kolanach list znowu przykuł jej uwagę.

Stojące lampy w salonie sprawiały, że nie miała kłopotów z czytaniem, chociaż chłopięcy, kiepsko ukształtowany charakter pisma Mata nastroczał nieco trudności. Niemniej to treść listu sprawiała, że żołądek Nynaeve skręcał się w supeł.

“Tutaj nie ma nic, tylko upał i muchy, a jednego i drugiego możemy mieć w Caemlyn pod dostatkiem.”

– Pewny jesteś, że nic mu nie zdradziłeś? – zapytała.

Po przeciwnej stronie pomieszczenia Juilin zamarł z dłonią uniesioną nad planszą do gry w kamienie i rzucił jej spojrzenie pełne urażonej niewinności.

– Ile razy będę musiał to jeszcze powtarzać? – Urażona niewinność to jedna z tych rzeczy, które mężczyznom wychodzą najlepiej, zwłaszcza wówczas, gdy ich wina jest równie niewątpliwa, jak w przypadku lisa przyłapanego w kurniku. Na domiar wszystkiego, rzeźbienia otaczające plansze przedstawiały właśnie lisy.

Thom, siedzący po przeciwnej stronie inkrustowanego lazurytem blatu i odziany w świetnie skrojony kaftan z brązowej wełny, w równie niewielkim stopniu wyglądał na barda, co na mężczyznę, który był niegdyś kochankiem królowej Morgase. Przygarbiony, siwowłosy, z długimi wąsami i krzaczastymi brwiami, cały – od błękitnych oczu do podeszew butów – aż trząśł się od wymuszonej bezczynności.

– Nie bardzo sobie wyobrażam, jak to niby miałyby się stać, Nynaeve – oznajmił sucho – skoro do dziś wieczora nic nam nie powiedziałaś. Powinnyście wysłać Juilina i mnie.

Nynaeve parsknęła głośno. Jakby ci dwaj i tak, od chwili gdy przybyły na miejsce, na jedno tylko słowo Mata, nie biegali dookoła niczym kury z obciętych głowami, wtrącając się w sprawy jej i Elayne. Zresztą nie potrafili nawet minuty spędzić razem, żeby nie zacząć plotkować. Mężczyźni tak właśnie postępowali. Oni... Prawdą było jednak to, co niechętnie musiała przyznać, że żadnej z nich nie przyszło do głowy zlecenie im tego zadania.

– Hulalibyście gdzieś i pili z nim razem – wymruczała. -Nie mówcie mi, że tak by nie było. – Mat zapewne właśnie gdzieś to robił, a Birgitte przestępowała z nogi na nogę w jego gospodzie. Ten człowiek potrafił zepsuć nawet najlepszy plan.

– A nawet gdyby? – Oparta o ścianę obok jednego z wysokich okien sklepionych łukami, spoglądając w noc przez pomalowany na biało żelazny parawan balkonu, Elayne zachichotała. Przytupywała do taktu nogą, jednak sposób, w jaki potrafiła wyłowić jedną melodię spośród wszystkich, które zlewały na zewnątrz swe tony, stanowiło zagadkę. -Jest to przecież noc na... hulankę.

Nynaeve spojrzała na nią spod zmarszczonych brwi. W miarę upływu nocy Elayne zachowywała się coraz dziwniej. Gdyby nie znała jej lepiej, podejrzewałaby, że tamta wymyka się potajemnie na zewnątrz, by tu i ówdzie pociągnąć łyk wina. Spory łyk, jeśli już o tym mowa. Co było zupełnie nieprawdopodobne, nawet gdyby przez cały czas nie spuszczała jej z oka. Obie miały za sobą raczej dość niefortunne doświadczenia ze zbyt dużą ilością wypitego wina i od tamtego czasu żadna nie piła więcej niż jednorazowo pojedynczy puchar.

– Mnie natomiast interesuje Jaichim Carridin – powiedziała Aviendha, zamykając książkę i kładąc ją obok siebie na posadzce. Nie przyjmowała do wiadomości żadnych uwag na temat tego, jak dziwnie wygląda, gdy tak siedzi na posadzce w błękitnej jedwabnej sukni. – U nas Tych Co Prowadzają Się Z Cieniem zabija się natychmiast, gdy zostaną odkryci, i żaden klan, szczerp, społeczność lub choćby pierwsza siostra nie podniesie ręki, by zaprotestować. Jeśli Jaichim Carridin jest jednym z Tych Co Prowadzają Się Z Cieniem, to dlaczego Tylin Mitsobar go nie zabije? Dlaczego my tego nie zrobimy?

– U nas rzeczy są nieco bardziej skomplikowane -odrzekła jej Nynaeve, chociaż sama się nad tym zastanawiała. Oczywiście nie nad tym, dlaczego Carridin nie został jeszcze zabity, ale dlaczego pozwalano mu wciąż swobodnie wchodzić do pałacu i wychodzić, kiedy mu się żywnie podobało.

Dziś jeszcze widziała go na korytarzu, już po tym, jak otrzymała list od Mata i po tym, jak poinformowała Tylin, co zawierał. A wcześniej on przez ponad godzinę rozmawiał z Tylin i odszedł, nie ponosząc żadnego uszczerbku na honorze. Miała zamiar omówić całą sprawę z Elayne, ale kwestie, co właściwie Mat wie i skąd, wciąż nie pozwalały im skoncentrować się na zagadnieniu. Ten człowiek mógł przysporzyć im kłopotów. W jakiś sposób wydawało się to nieuniknione. Cała ta sprawa potoczy się niepomyślnie, niezależnie od tego, co którakolwiek z nich przedsięwzięmie. Nadchodził czas złej pogody.

Thom odchrząknął.

– Tylin jest słabą królową, Carridin zaś ambasadorem wielkiej potęgi. – Umieścił kamień na planszy i wpatrywał się w nią przez parę chwil. Zabrzmiało to tak, jakby zastanawiał się na głos. – Z definicji Inkwizytor Białych Płaszcy nie może być Sprzymierzeńcem Ciemności, przynajmniej tak się tę kwestię pojmuje w Fortecy Światłości. Jeśli ona go aresztuje lub choćby rzuci nań oskarżenie, to zanim mrugnie, zobaczy legion Białych Płaszcy pod bramami Ebou Dar. Być może nawet zostawią jej tron, ale odtąd będzie tylko marionetką, której sznurki pociąga się pod Kopułą Prawdy. Jeszcze nie jesteś gotów się poddać, Juilin?

Łowca złodziei spojrzał na niego dziko, potem powrócił do pełnego irytacji namysłu nad planszą.

– Nie uważam jej za tchórza – powiedziała Aviendha z niesmakiem, a Thom poczęstował ją rozbawionym uśmiechem.

– Nigdy jeszcze nie stanęłaś twarzą w twarz z czymś, czego nie potrafiłaś pokonać, dziecko – zauważył uprzejmie -z czymś wystarczająco silnym, by postawić cię przed wyborem, że albo ocalejesz, uciekając, albo dasz się pożreć żywcem. A więc póki się tak nie stanie, wstrzymaj się z osądzaniem Tylin. – Z jakiegoś powodu twarz Aviendhy poczerwieniała. W normalnych okolicznościach ukrywała swoje emocje tak dobrze, że jej oblicze zdawało się wykute z kamienia.

– Wiem – oznajmiła zniecka Elayne. – Znajdziemy dowód, który nawet Pedron Niall będzie musiał uznać. – Powróciła w podskokach na środek komnaty. Nie, to był właściwie krok taneczny. – Przebierzemy się i będziemy go śledzić.

I nagle stała przed nimi już nie Elayne w zielonej sukni z Ebou Dar, lecz kobieta Domani w ściśle przylegających do ciała błękitach. Nynaeve aż podskoczyła, zanim zdążyła się zorientować, o co chodzi, a potem zacisnęła usta w milczącej przygnanie skierowanej względem samej siebie. Tylko to, że nie potrafiła dostrzec w danej chwili splotów, nie stanowiło wystarczającej wymówki, by bez reszty dać się zaskoczyć Iluzji. Rzuciła spojrzenie w kierunku Thoma i Juilina. Nawet Thom aż otworzył usta ze zdumienia. Nieświadomie musiała ścisnąć warkocz. Elayne miała zamiar wszystko zdradzić! Co się z nią działo?

Iluzja działała tym lepiej, im nowy wizerunek bliższy był oryginału, przynajmniej w kwestii kształtów i rozmiarów, tak więc gdy Elayne zawirowała, by obejrzeć się w jednym z dwóch wielkich zwierciadeł w komnacie, fragmenty sukni Ebou Dar zaczęły prześwitywać przez ubiór Domani. Zaśmiała się i klasnęła w dłoń.

– Och, on nigdy mnie nie rozpozna. Ani ty, prawie-siostro. – Ale tymczasem obok fotela Nynaeve siedziała już kobieta z Tarabonu, z piwnymi oczami i ze słomkowej barwy warkoczami, w które wpleciono czerwone paciorki, w sukni stanowiącej zaledwie cień wcześniejszej ściśle przylegającej sukienki z marszczonego jedwabiu. – I z pewnością nie zapomnimy o tobie – paplała dalej Elayne. – Wiem, co ci się spodoba.

Tym razem Nynaeve zdołała dostrzec poświatę otaczającą Elayne. W ściekła się nie na żarty. Mimo iż oczywiście widziała otaczające ją sploty, nie mogła wiedzieć, jaki wizerunek zamierzyła

dla niej Elayne. Trzeba było spojrzeć w jedno ze zwierciadeł. Z powierzchni lustra popatrzyła na nią kobieta Ludu Morza, najwyraźniej wstrząśnięta, z tuzinem pierścieni, z klejnotami w uszach i ponad dwudziestoma złotymi medalionami kołyszącymi się na łańcuszku zaczepionym o kółko w nosie. Oprócz biżuterii miała na sobie szerokie spodnie z pokrytego brokatem zielonego jedwabiu... i nic więcej, na modłę kobiet Atha'an Miere, gdy znajdują się poza zasięgiem spojrzenia z lądu. Była to tylko Iluzja. Pod splotami wciąż pozostawała przyzwoicie odziana. Ale... Obok swojego odbicia zobaczyła twarze Thoma i Juilina, na obu zastygł grymas resztkami sił powstrzymywanego śmiechu.

Z jej gardła wydobył się dziwny skrzek.

– Zamknijcie oczy! – krzyknęła na mężczyzn i zaczęła skakać dookoła, wymachiwać rękami, robić wszystko, byle tylko jej suknia stała się na powrót widoczna. – Zamknijcie je, obyście szczęśli! – Och. Zamknęli. Zjeżona z obrazu, przestała brykać. Oni jednak teraz nie skrywali już uśmiechów. A skoro już o tym mowa, to Aviendha śmiała się zupełnie otwarcie, kołysząc w przód i w tył.

Nynaeve szarpnęła za swoje suknie-w lustrze wyglądało to tak, jakby kobieta Ludu Morza schowała dłoń do kieszeni spodni – i zmierzyła Elayne groźnym spojrzeniem.

– Przestań już, Elayne! – Kobieta Domani popatrzyła na nią i z niedowierzaniem otworzyła szeroko oczy oraz usta. Dopiero wówczas Nynaeve zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo jest wściekła; Prawdziwe Źródło zapraszająco otwierało się przed nią tuż za skrajem pola widzenia. Objęła *saidara*, cisnęła tarczę między Elayne i Źródło. Albo raczej próbowała. Odgródzenie kogoś, kto właśnie czerpał Moc, nie było łatwe, nawet jeśli dysponowało się większą siłą. Kiedyś, jeszcze jako dziewczynka, uderzyła młotem pana Luhhana w kowadło, z całej siły, a wtedy rezonans jego wibracji przeszył ją od głowy aż po palce stóp. Teraz wrażenie było dwakroć silniejsze. – Na miłość Światłości, Elayne, czy ty jesteś pijana?

Poświata otaczająca kobietę Domani zgasła, a wraz z nią zniknęła ona sama. Nynaeve doskonale zdawała sobie sprawę, że otaczające ją sploty również musiały się rozproszyć, nie mogąc się powstrzymać, zerknęła szybko w lustro i dopiero na widok Nynaeve al'Meara w błękitach w żółte paski wciągnęła uspokajający oddech.

– Nie – powoli powiedziała Elayne. Jej twarz płonęła czerwienią, ale przyczyn tego stanu nie należało się doszukiwać w przepelniającej ją konfuzji, a przynajmniej nie do końca. Uniosła podbródek, w głosie zabrzmiały lodowate tony. – Nie jestem pijana.

Drzwi na korytarz rozwarły się z trzaskiem i do środka z szerokim uśmiechem na twarzy wtoczyła się Birgitte. Cóż, być może nie tak do końca się zataczała, niemniej nie kroczyła pewnie.

– Nie spodziewałam się, że będziecie na mnie czekały -oznajmiła pogodnie. – Cóż, z pewnością zainteresuje was, co mam do powiedzenia. Ale najpierw... – Krokiem nieco nazbyt sztywnym, charakterystycznym dla kogoś, w którym żołądku znalazła się znaczna ilość wina, zniknęła w swoim pokoju.

Thom patrzył na drzwi z pełnym zadumy uśmiechem, na twarzy Juilina zastygł grymas niedowierzania. Wiedzieli, kim była, znali całą prawdę o niej. Elayne zaś tylko patrzyła z wściekłością, nie opuszczając pobródka. Z sypialni Birgitte dobiegł plusk, jakby ktoś jednym chlupnięciem opróżnił dzban na podłogę. Nynaeve wymieniła zmieszane spojrzenia z Aviendhą.

Birgitte pojawiła się na powrót – z włosów i twarzy ściekały jej krople wody, kaftan zamókł od ramion aż po łokcie.

– No, trochę już rozjaśniło mi się w głowie – powiedziała i z westchnieniem opadła na jeden z foteli na kółkach. – Ten wasz człowiek musi mieć chyba wydrażoną nogę i dziurę w podeszwie stopy. Przepił nawet Beslana, już zaczynałam podejrzewać, że dla tego chłopca wino to zwykła woda.

– Beslana? – powiedziała Nynaeve, unosząc głos. – Syna Tylin? A co on tam robił?

– Dlaczego na to pozwoliłaś, Birgitte? – wykrzyknęła Elayne. – Mat Cauthon zdeprawuje chłopca, a jego matka nas będzie o to obwiniać.

– Ten chłopiec ma tyle lat, co ty – poinformował ją zrzędliwie Thom.

Nynaeve i Elayne wymieniły skonsternowane spojrzenia. O co mu chodzi? Wszyscy przecież wiedzieli, że mężczyzna dojrzewa intelektualnie dziesięć lat później niż kobieta, o ile w ogóle.

Konsternacja zniknęła z twarzy Elayne, a kiedy znowu spojrzała na Birgitte, zastąpił ją wyraz zdecydowania zmieszany w równych proporcjach z gniewem. Najwyraźniej szykowała się ostra wymiana zdań między tymi kobietami, z pewnością padną słowa, których jutro będą żałować.

– Gdybyście ty i Juilin mogli nas teraz zostawić same, Thom – szybko powiedziała Nynaeve. Było bardzo mało prawdopodobne, że sami zrozumieją, iż tak właśnie trzeba postąpić. – Potrzebujecie snu, żeby o pierwszym brzasku być już na nogach. – Siedzieli bez ruchu, gapiąc się na nią niczym skończeni idioci, dlatego też dodała twardszym już głosem: – Może by tak od razu?

– Wynik tej gry ustalony został już dwadzieścia ruchów temu – powiedział Thom, zerkając na planszę. – Co byś powiedział na to, żebyśmy przeszli do naszego pokoju i zaczęli nową? Mogę dać ci dziesięć kamieni, w dowolnym momencie gry i w każdym miejscu na planszy.

– Dziesięć kamieni? – jęknął Juilin, odsuwając swój fotel. – Zaproponujesz mi również krem rybny i mleczne bułki? Kłócili się przez całą drogę do drzwi, kiedy jednak już do nich dotarli, jak jeden mąż spojrzeli za siebie z ponurą urazą. Nie wybaczy im, jeśli nie będą spali przez całą noc tylko dlatego, że wcześniej wysłała ich do łóżka.

– Mat nie zdeprawuje Beslana – oznajmiła sucho Birgitte, gdy drzwi zamknęły się za mężczyznami. – Wątpię, by udało się to dziewięciu tancerkom piór dysponującym statkiem pełnym brandy. Nie wiedziałyby, jak zacząć.

Nynaeve poczuła ulgę, gdy usłyszała te słowa, chociaż w głosie tamtej pobrzmiwały jakieś dziwne tony – zapewne wpływ wypitego alkoholu – jednak to nie o Beslana chodziło. Powiedziała to, a Elayne szybko dodała:

– Nie, nie zdeprawuje. Upiłaś się, Birgitte! I ja to czuję. Wciąż czuję się tak pijana, że trudno mi się skoncentrować. Nie tak powinna działać więź zobowiązań. Aes Sedai nie przewracają się, chichocząc, kiedy ich Strażnicy wypiją za dużo. – Nynaeve wyrzuciła ręce w górę.

– Nie patrz na mnie w ten sposób – powiedziała Birgitte. – Wiesz więcej ode mnie. Dotąd Aes Sedai i Strażników dzieliła bezwzględna różnica płci. Może o to chodzi. Może jesteśmy zbyt podobne do siebie. – Jej uśmiech był nieznacznie niesympatyczny. Najwyraźniej w dzbanie nie było dość wody. – Przypuszczam, że to może być nieco kłopotliwe.

– Czy możemy trzymać się tego, co istotne? – zapytała napastliwym tonem Nynaeve. – Na przykład kwestii Mata? – Elayne już otworzyła usta, by odpowiedzieć Birgitte, zamknęła je jednak szybko, a czerwone plamy na jej policzkach tym razem już jednoznacznie znamionowały upokorzenie. – Dobrze – ciągnęła dalej Nynaeve. – Teraz powiedz nam, czy Mat pojawi się rano, czy też znajduje się w równie skandalicznym stanie jak ty?

– Może się pojawi – odrzekła Birgitte, biorąc filiżankę miętowej herbaty z rąk Aviendhy, która oczywiście znowu zaraz usiadła na posadzce. Elayne przez chwilę zerknęła na nią spod zmarszczonych brwi, a potem, na domiar wszystkiego, podwinęła nogi i usiadła obok!

– Co masz na myśli, mówiąc: może? – dopytywała się Nynaeve. Przeniosła i fotel, na którym zasiadała wcześniej, uniósł się w powietrze i podfrunął do niej; a nawet jeśli z łoskotem osiadł na podłodze, to tak właśnie miało być. Nieumiarowane picie, siadanie na podłodze. Do czego to doprowadzi? – Jeśli oczekuje, że same przyjdziemy doń na czworakach...!

Birgitte pociągnęła łyk herbaty, mruknawszy z wdzięcznością i, o dziwo, kiedy spojrzała na Nynaeve po raz wtóry, nie wydawała się już tak bardzo pijana.

– Wybiłam mu to z głowy. Nie sędzę, żeby mówił to naprawdę poważnie. Wszystko, czego teraz chce, to przeprosin i podziękowania.

Oczy Nynaeve omal nie wyszły z orbit. Wybiła mu to z głowy? Przeprosiny? Wobec Matrима Cauthona?

– Nigdy – warknęła.

– Za co mamy go przeprosić? – chciała wiedzieć Elayne, jakby miało to jakieś znaczenie. Udawała, że nie dostrzega spojrzenia Nynaeve.

– Za Kamień Łzy – powiedziała Birgitte, a Nynaeve aż odrzuciła głowę do tyłu. Tamta w ogóle już nie była pijana. – Mówi, że poszedł do wnętrza Kamienia, razem z Juilinem, aby uwolnić was dwie z lochu, z którego nie byliście w stanie wydostać się same. – Powoli pokręciła głową, zdumiona. – Nie wiem, czy zrobiłabym to samo dla kogokolwiek innego prócz Gaidala. Z pewnością nie poszłabym do Kamienia. On mówi, że podziękowałyście mu wyłącznie zdawkowo i doprowadziłyście do tego, że czuł się tak, jakby miał być wam wdzięczny, że nie otrzymał kopniaka.

Była to prawda, do pewnego stopnia przynajmniej, jednak całkiem przekrecona. Mat stał sobie wtedy z tym swoim szyderczym uśmiechem, mówiąc, że znowu musi za nie wyciągać kasztany z ognia lub coś w tym rodzaju. Nawet wówczas wydawało mu się, że może im mówić, co mają robić.

– Lochu strzegła tylko jedna Czarna siostra – mruknęła Nynaeve – i nią się zajęliśmy. – Prawda, nie wymyśliły wówczas jeszcze, w jaki sposób, osłonięte tarczą, mają otworzyć drzwi. – Be'lala tak naprawdę wcale nie interesowałyśmy... to była jedynie pułapka na Randa. Z tego, co wiemy, być może wówczas już nie żył, zabity przez Moiraine.

– Czarne Ajah – głucho brzmiący głos Birgitte był pozbawiony wyrazu. – I jeden z Przeklętych. Mat nawet o nich nie wspomniał. Powinniście podziękować mu na kolanach, Elayne. Obie. Ten mężczyzna sobie na to zasłużył. Zresztą Juilin również.

Krew napłynęła Nynaeve do twarzy. Nawet nie wspomniał...? Ten wstrętny, godny najwyższej pogardy mężczyzna!

– Nie przeproszę Matrима Cauthona nawet na łożu śmierci.

Aviendha pochyliła się ku Elayne, dotknęła jej kolana.

– Prawie-siostro, ujmę to delikatnie. – Wyglądała i mówiła z równą delikatnością, jaką może okazywać kamienny słup. – Jeśli jest to prawdą, macie *toh* względem Matrима Cauthona, i ty, i Nynaeve. I od dawna nic innego nie robicie, jak tylko poprzez swoje działania zwiększacie jego wagę.

– *Toh!* – wykrzyknęła Nynaeve. Te dwie wciąż mówiły o tych głupstwach z *toh*. – Nie jesteśmy Aielami, Aviendha. A Mat Cauthon jest cierniem w stopie każdego, kogo przyjdzie mu spotkać.

Jednak Elayne skinęła głową.

– Rozumiem. Masz rację, Aviendha. Ale co mamy zrobić? Będziesz musiała mi pomóc, prawie-siostro. Nie zamierzam zostać Aielem, jednak chcę... chcę, byś była dumna ze mnie.

– Nie przeprosimy go! – warknęła Nynaeve.

– Dumna jestem, że cię znam – powiedziała Aviendha, lekko muskając policzek Elayne. – Przeprosiny są jedynie początkiem, same teraz już nie wystarczą, żeby sprostać takiemu *toh*.

– Czy ty mnie słuchasz? – dopytywała się natarczywie Nynaeve. – Powiedziałam, że nie, nie przeproszę! Rozmawiały ze sobą dalej, jakby jej nie słyszały. Tylko

Birgitte patrzyła na nią, a na jej twarzy zastygł grymas niezbyt odległy od otwartego śmiechu. Nynaeve ścisnęła warkocz obiema dłońmi. Wiedziała, że dobrze zrobiła, kiedy odesłała Thoma i

Juilina.



# ROZDZIAŁ 3

## DROBNE POŚWIĘCENIA

Zerkając na godło ponad sklepieniami łukiem drzwiami gospody, na którym nieporządnie odrysowana kobieta z kosturem podróżnym patrzyła z nadzieją w dal, Elayne żałowała, że nie została w łóżku, miast zrywać się o pierwszym brzasku. Nie chodziło wszak o to, by móc się wyspać. Plac Mol Hara za jej plecami był całkowicie pusty, wyjąwszy kilka zaprzężonych w woły i osły wozów o skrzypiących osiach, zdążających na targowiska oraz gromadkę kobiet balansujących wielkimi koszami na głowach. Jednonogi żebrak zasiadł ze swoją miseczką przy rogu budynku gospody, pierwszy z wielu, którzy później zapełnią plac; już dała mu srebrną markę, nawet w obecnym czasie dość, by wyżywił się przez tydzień, on jednak z bezzębnym uśmiechem wepchnął ją tylko pod obszarpany kaftan i czekał dalej. Niebo wciąż było szare, ale dzień już niósł obietnicę żaru. Tego ranka z trudem przychodziło utrzymywanie koncentracji na tyle silnej, by lekceważyła wzmagający się upał.

Ostatnie pozostałości kaca Birgitte błękały się gdzieś pod jej czaszką, coraz słabsze, ale zniknąć ze szczętem nie chciały. Oby tylko jej niewielkie umiejętności Uzdrawiania nie okazały się zbyt skromne. Miała nadzieję, że Aviendha i Birgitte w przebraniach Iluzji uda się tego ranka dowiedzieć czegoś użytecznego na temat Carridina. Nie znaczyło to bynajmniej, że Carridin potrafił odróżnić którąkolwiek z nich od praczki, jednak lepiej dmuchać na zimne. Dumna była, że Aviendha nie nalegała, by przyjść razem z nią, co więcej, nawet zaskoczyła ją sama propozycja. Aviendha nie sądziła, by potrzebny był jej ktoś, kto będzie ją obserwował, kto upewni się, że zrobi wszystko, jak należy.

Z westchnieniem wygładziła suknię, chociaż w istocie nie było po temu potrzeby. Ta błękitno-kremowa suknia, z odrobiną kremowej koronki z Vandalry, sprawiała, że czuła się odrobinę zbyt... wyeksponowana. Tylko jeden raz zdarzyło jej się kapryścić przed wdzieniem lokalnego ubioru, wtedy gdy ona i Nynaeve podróżowały do Tanchico razem z Ludem Morza, jednak na swój własny sposób moda Ebou Dar była prawie... Westchnęła znowu. Próbowwała odwlec nieuniknione. Aviendha powinna chyba jednak przyjść i zaprowadzić ją za rękę.

– Nie przeproszę – oznajmiła znienacka Nynaeve. Obiema dłońmi ścisnęła swą szarą suknię, patrząc na “Wędrowną Kobietę”, jakby sama Moghedien czyhała za drzwiami tej oberży. – Nie zrobię tego!

– Mimo wszystko powinnaś wdziąć biel – mruknęła Elayne, zarabiając tym sobie podejrzliwe spojrzenie z ukosa. Po chwili więc dodała: – Sama mówiłaś, że jest to kolor stosowny na pogrzeby. – Tym z kolei wywołała pełne satysfakcji skinienie głową, chociaż nic takiego przecież nie miała na myśli. To naprawdę będzie katastrofa, jeśli nie zdołają zachować pokoju między sobą. Birgitte musiała tego ranka zgodzić się na napar z ziół ze szczególnie gorzkiej mieszanki, ponieważ Nynaeve twierdziła, że nie jest dość zła na to, by przenosić. W najbardziej dramatyczny z możliwych sposobów zrzędziła o włożeniu pogrzebowej bieli jako jedyne go stosownego koloru, potem upierała się, że w ogóle nie pójdzie, póki Elayne siłą nie wywleka jej z apartamentów, od którego to czasu już ze dwadzieścia razy oznajmiała, iż nie przeprosi. Pokój należało zachować, jednak... – Zgodziłaś się na to Nynaeve. Nie, nie chcę już więcej słyszeć o tym, jak to cię zaszczułyśmy. Zgodziłaś się. A więc przestań zrzędzić.

Nynaeve prawie się zapłula, wytrzeszczając oczy z wściekłości. Nie miała jednak zamiaru zawracać i ostatecznie skończyło się na pojedynczym, pełnym całkowitego niedowierzania:

“Zrzędzić?”, wymruczany pod nosem.

– Musimy raz jeszcze dokładnie to omówić, Elayne. Nie ma potrzeby tak się śpieszyć. Musi istnieć co najmniej tysiąc sposobów, dla których to nie działa, niezależnie od tego, czy w sprawę zaangażowany jest *ta'veren* czy nie, a w osobie Mata Cauthona streszcza się dziewięćset z nich.

Elayne obdarzyła ją pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

– Czy z rozmysłem wybrałaś najbardziej gorzkie zioła, w charakterze porannej kuracji? – W szeroko rozwartych oczach gniew ustąpił miejsca całkowitej niewinności, jednak policzki Nynaeve pokraśniały. Elayne pchnęła drzwi. Nynaeve poszła za nią, nie przestając jednak gderać. Elayne naprawdę nie byłaby zaskoczona, gdyby tamta wreszcie raz a porządnie ugryzła się w język. Tego ranka trudno byłoby to określić nawet jako zwykłe zrzęczenie.

W nozdrza uderzył je dochodzący z kuchni zapach pieczonego chleba. We wspólnej sali wszystkie okiennice były rozwarte, żeby zapewnić dostęp świeżego powietrza. Jedna służąca o pulchnych policzkach stała na czubkach palców na niewielkim stołku, próbując ściągnąć przywiedłe gałązki roślin wiecznie zielonych znad okien, pozostałe natomiast stawiały na swoich miejscach stoły, ławy i krzesła usunięte na czas tańców. Tak wcześniej nikogo więcej nie było w środku, wyjąwszy kościstą dziewczynę w białym fartuchu, wymachującą bez większego przekonania miotłą. Mogłaby być nazwana urodiwą, gdyby jej ust nie wydymał nie znikający nawet na chwilę dąs. Bałagan był stosunkowo niewielki, wzięwszy pod uwagę, że w czasie świąt gospody cieszyły się sławą miejsc niebezpiecznych, a nawet zakazanych. Jakaś część jej duszy pragnęła wszakże chociaż raz takową zobaczyć.

– Czy możesz mi pokazać drogę do pokojów Mata Cauthona? – zapytała z uśmiechem chuda dziewczynę, wsuwając jej w dłoń dwa srebrne grosze. Nynaeve parsknęła. Sama była skąpa niczym przykrótka sukienka, żebrakowi dała jednego miedziaka!

Dziewczyna popatrzyła na nie ponuro – i co zaskakujące, na monety również – a potem wymamrotała coś ze skwaszoną miną, co brzmiało jak:

– Kobieta na złoto wczorajszej nocy, a damy dziś o poranku. – Niechętnie wskazała im drogę. Przez moment Elayne myślała, że tamta zamierza wzgardzić groszami, ale kiedy już się odwracała, dziewczyna porwała jej monety z dłoni bez jednego chociaż słowa podziękowania, zatrzymując się tylko na tyle, by wcisnąć je za stanik... jakby nie miała już innych miejsc... a potem wróciła do zamiatania, najwyraźniej próbując miotłą zbić na śmierć deski podłogi. Być może zresztą miała w dekolcie sukienki wszytą specjalną kieszonkę.

– Sama widzisz – narzekała pod nosem Nynaeve. -Wspomnisz moje słowa, on na pewno próbował zawrócić w głowie tej dziewczynie. I takiego mężczyznę ty każesz mi przeproszać.

Elayne, nie odezawszy się ani słowem, poszła w kierunku stromych schodów w głębi sali. Jeśli Nynaeve nie przestanie narzekać... Pierwszy korytarz na prawo, powiedziała dziewczyna, a potem ostatnie drzwi po lewej, jednak kiedy już doszła na miejsce, zawahała się, przygryzła dolną wargę.

Nynaeve cała aż się rozpromieniła.

– Sama teraz widzisz, że to był zły pomysł, nieprawdaż? Nie jesteśmy Aielami, Elayne. Nawet dosyć lubię tę dziewczynę, szczególnie biorąc pod uwagę, że ciągle bawi się tym swoim nożem, ale tylko pomysł, jakie bzdury ona wygaduje. To jest zupełnie niemożliwe. Na pewno zdajesz sobie z tego sprawę.

– Nie zgadzałyśmy się na nic, co by było niemożliwe, Nynaeve. – Zachowanie zdecydowanego tonu głosu wymagało pewnego wysiłku. Jedna z rzeczy, które zasugerowała Aviendha, mówiąc najwyraźniej zupełnie poważnie... Naprawdę zaproponowała, by ten mężczyzna je zbił! – To, na co

się zgodziłyśmy, jest jak najbardziej możliwe. – Ledwie. Głośno zastukała w kasetonowe drzwi; była w nich wyrzeźbiona ryba, pasiasta, z pyskiem. Na wszystkich drzwiach oberży widniały odmienne rzeźbienia, głównie przedstawiające ryby. Nikt nie odpowiedział na pukanie.

Nynaeve głośno wypuściła powietrze, które wstrzymywała od jakiegoś czasu.

– Może wyszedł. Będziemy musiały chyba przyjść innym razem.

– O tej godzinie? – Zastukała raz jeszcze. – Mówiłaś, że on zawsze wyleguje się w łóżku tak długo, jak tylko może. – Z wnętrza wciąż nie dobiegał najłżejszy nawet odgłos.

– Elayne, jeśli można sądzić po stanie Birgitte, ostatniej nocy Mat upił się jak szewc. Nie podziękujecie nam, że go obudziłyśmy. Dlaczego po prostu sobie nie pójdziemy i...

Elayne nacisnęła klamkę i weszła do środka. Nynaeve ruszyła za nią z westchnieniem, które zapewne można było usłyszeć aż w pałacu.

Mat Cauthon leżał na płask w łóżku przykrytym dzierganą czerwoną kapą, czoło i oczy zakrywało mu mokre płótno, z którego krople ściekały na poduszkę. Pokój trudno było nazwać schludnym, wyjąwszy brak kurzu. Jeden but spoczywał na umywalni – na umywalni! – obok białej miednicy pełnej świeżej wody, stojące lustro było przekrzywione, jakby wpadł na nie i nie chciało mu się już go prosto postawić, pognieciony kaftan wisiał na drabinkowym oparciu krzesła. Resztę rzeczy miał na sobie, w tym również czarną szarfę, której najwyraźniej nie zdejmował nigdy, a także drugi but. Pod rozwiązaną koszulą widać było medalion ze srebrnym lisem.

Widok wisiora sprawił, że zaczęły swędzieć ją palce. Jeżeli naprawdę leżał tutaj nieprzytomny od wczorajszego pijaństwa, być może mogła zdjąć go niepostrzeżenie. Niezależnie od wszystkiego i tak miała zamiar przekonać się, w jaki sposób ta rzecz pochłania Moc. Badanie, jak działają rozmaite rzeczy, stanowiło przedmiot jej nieustającej fascynacji, ale ten lisi łeb wydawał jej się wszystkimi zagadkami świata zebranymi w jedną.

Nynaeve złapała ją za rękaw i pociągnęła w kierunku drzwi, szepcząc:

– Śpi – i coś jeszcze, czego nie usłyszała. Zapewne było to kolejne błaganie, by wyjść.

– Daj mi spokój, Nerim – wymamrotał nagle. – Mówiłem ci już wcześniej, nie chcę niczego prócz nowej głowy. I zamknij cicho drzwi, w przeciwnym razie uszy ci oberwę.

Nynaeve aż podskoczyła i zdwoiła wysiłki odciągnięcia jej w stronę wyjścia, jednak Elayne nawet nie drgnęła.

– To nie Nerim, panie Cauthon.

Uniósł głowę z poduszki, obiema dłońmi przesunął odrobinę płótno i spojrzał na nie zaczerwienionymi oczyma.

Uśmiechnęta szeroko Nynaeve nie czyniła najmniejszych wysiłków, by ukryć radość, jaką napawał ją jego stan. Elayne z początku nie potrafiła pojąć, dlaczego sama również ma ochotę się uśmiechnąć. Jej jedyne doświadczenie z wypiciem zbyt wielkiej ilości wina pozostawiło po sobie tylko współczucie dla każdego, kto znalazł się w identycznym położeniu. Poczwała gdzieś w głębi czaszki, prawie nieuchwytny, ból głowy Birgitte i wtedy zrozumiała. Z pewnością nie pochwałała tego, że Birgitte pławi się w dzbanach z winem, niezależnie już od powodów, ale w równym stopniu nie mogła jej się podobać myśl, że ktoś potrafiłby robić cokolwiek lepiej od jej Strażnika. Głupia myśl. Żenująca. Ale przysparzała też satysfakcji.

– Co wy tu robicie? – zapytał ochryple, potem mrugnął i ściszył głos. – W środku nocy.

– Jest ranek – ostro oznajmiła Nynaeve. – Nie pamiętasz, jak się umawiałeś z Birgitte?

– Czy możecie nie mówić tak głośno? – wyszeptał, zamykając oczy. W następnej chwili jednak wytrzeszczył je znowu. – Birgitte? – Usiadł gwałtownie, przerzucił nogi przez krawędź łóżka. Chwilę siedział w ten sposób, wbijając wzrok w deski podłogi, z łokciami na kolanach i medalionem

zwisającym luźno z rzemyka na szyi. W końcu odwrócił głowę, by spojrzeć na nie z głębi swego nieszczęścia. Chociaż, być może tylko jego oczy tak wyglądały. – Co ona wam powiedziała?

– Przekazała nam twoje żądania, panie Cauthon – oficjalnie oznajmiła Elayne. Tak właśnie musi czuć się człowiek stojący przed pieńkiem kata. Nie można już nic zrobić, tylko stać z dumnie uniesioną głową i czekać na wszystko, cokolwiek się zdarzy. – Chciałabym z całego serca podziękować panu za uratowanie mnie z Kamienia Łzy. – Oto zaczęła i jakoś wcale nie bolało. Przynajmniej nie bardzo.

Nynaeve stała obok z pałającymi oczami, jej usta zaciskały się coraz mocniej. Ta kobieta chyba nie zamierzała wszystkiego zrzucić na jej barki. Elayne objęła Źródło, zanim zdążyła się zorientować, co robi, i przeniosła cienki strumyczek Powietrza, który pacnął ucho Nynaeve, dokładnie w taki sam sposób, w jaki dłoń mogłaby dać jej pstryczka. Tamta chwyciła się za ucho i spojrzała jeszcze groźniej, jednak Elayne odwróciła się już z powrotem do Mata Cauthona i spokojnie czekała.

– Ja również ci dziękuję – wykrztusiła w końcu Nynaeve, całkowicie zgnębiona. – Z całego serca.

Elayne nie umiała się powstrzymać i zanim pojęła, co robi, przewróciła oczyma. Cóż, sam prosił, żeby mówiły cicho. Ale najwyraźniej nie usłyszał. Co dziwniejsze, wzruszył ramionami, jakby pograżony w kompletnej konfuzji.

– Och, tamto. To nic takiego. Najprawdopodobniej same byście się szybko wydostały bez mojej pomocy. – Zatopił twarz w dłoniach i raz jeszcze przycisnął mokrą chusteczkę do oczu. – Kiedy będziecie wychodzić, czy mogłybyście poprosić Carę, żeby mi przyniosła dzban winnego ponczu? Szczupła dziewczyna, śliczna, z ciepłymi oczyma.

Elayne drgnęła.

“Nic takiego?” – Ten człowiek domagał się przeprosin, przymuszając do nich, poniżył je, a teraz mówi, że to nic takiego? Nie zasługiwał na żadne współczucie ani litość! Wciąż obejmowała *saidara* i rozważała nawet smagnięcie go znacznie mocniejszym ciosem niżli wcześniej Nynaeve. Oczywiście, nic by jej z tego nie przyszło, póki miał na szyi ten lisi łeb. Ale przecież tym razem medalion zwisał swobodnie, nie dotykając skóry. Czy osłaniał go w równym stopniu, kiedy...?

Nynaeve przerwała jej milczące spekulacje, rzucając się na niego z palcami zakrzywionymi jak szpony. Elayne udało się jakoś zagrozić jej drogę i schwycić za ramiona. Przez dłuższą chwilę stały niemalże nos w nos, wyjąwszy to, że jedna była znacznie wyższa od drugiej; na koniec Nynaeve, skrzywiwszy się, odstąpiła na bok, Elayne zaś poczuła, że już może bezpiecznie ją puścić.

Mat wciąż skrywał twarz w dłoniach, zupełnie nieświadom tego, co się dzieje. Niezależnie już, czy medalion chronił go czy nie, była gotowa porwać z kąta drzewce jego łuku i zbić, aż zawyje. Poczwała, jak pałą ją policzki, powstrzymała Nynaeve przed zniszczeniem wszystkiego, tylko po to, by samej nie myśleć o niczym innym. Gorzej, z paskudnego, pełnego samozadowolenia uśmiechku jakim ją tamta poczęstowała, nietrudno było wywnioskować, że wie, co jej chodzi po głowie.

– To nie wszystko, panie Cauthon – oznajmiła, garbiąc się nieco. Z twarzy Nynaeve zniknął ostatni ślad uśmiechu. – Chcemy również przeprosić za to, że zwlekaliśmy tak długo z wyrażeniem ci naszej wdzięczności. I również przepraszamy... pokornie... – Zająknęła się odrobinę na tym słowie...za sposób, w jaki ostatnimi czasy cię traktowaliśmy. – Nynaeve wyciągnęła dłoń, jakby ją zaklinała, ale na to też nie zwróciła uwagi. – Aby udowodnić głębię żalu, jaki odczuwamy, solennie obiecujemy, co następuje... – Aviendha powiedziała, że przeprosiny to dopiero początek. – Nie będziemy bagatelizować twych zasług ani poniżać cię w żaden sposób, ani też krzyczeć na ciebie z jakiegokolwiek powodu, ani... ani próbować wydawać ci rozkazów. – Nynaeve mrugnęła. Elayne

również poczuła, jak jej usta mimowolnie zaciskają się, jednak mówiła dalej: – Rozumiejąc twoją jak najbardziej stosowną troskę o nasze bezpieczeństwo, nie będziemy opuszczać pałacu, nie mówiąc ci uprzednio, dokąd się udajemy, i będziemy słuchać twoich rad. – Światłości, nie miała najmniejszego zamiaru zostać Aielem ani robić żadnej z tych rzeczy, jednak zależało jej na szacunku Aviendhy. – Jeśli... jeśli zdecydujesz, że my... – Nie chodziło nawet o zamiar zostania jej siostrą-żoną... sama idea była skrajnie nieprzyzwoita! ... ale naprawdę tamtą lubiła. – ... niepotrzebnie narażamy się na niebezpieczeństwo... – To nie była przecież wina Aviendhy, że Rand skradł serca im obu. I jeszcze Min. – ...zgodzimy się na strażników, jakich nam wyznaczysz... – Los, albo *ta'veren*, cokolwiek to było, właśnie się objawiało. Obie kobiety kochała niczym siostry. – ... i zatrzymamy ich przy sobie tak długo, jak to tylko będzie możliwe. – A żeby szczeł ten mężczyzna, który jej to robił! Ale nie Mata Cauthona miała na myśli. – Tak przysięgam na andorański Tron Lwa. – Oddychała ciężko, jakby właśnie przebiegła milę bez zatrzymywania się. Nynaeve patrzyła oczami borsuka przypartego do muru.

Powoli odwrócił głowę w ich stronę, odrobinę tylko, odsłaniając jedno przekrwione oko.

– Twój głos brzmi tak, jakbyś miała w gardle żelazny pręt, moja pani – powiedział szyderczo. – Możesz mówić do mnie Mat. – Co za odrażający mężczyzna! Nie poznałby się na grzeczności, nawet gdyby nosem w nią wszedł! To złośliwe oko spojrzało w jej stronę. – A co z tobą, Nynaeve? Słyszałem właśnie od niej mnóstwo “my”, ale ani słowa od ciebie.

– Nie będę na ciebie krzyczeć – krzyknęła Nynaeve. -I cała reszta, tak samo. Obiecuję ci... ty...! -Zaczęła bełkotać, jakby zaraz miała połknąć język, w momencie gdy zrozumiała, że nie może wyzwać go żadnym ze słów, na które sobie w jej mniemaniu zasłużył, nie łamiąc jednocześnie złożonej właśnie przed chwilą obietnicy. A jednak efekt, jaki wywarły jej słowa nie mógł być chyba większy.

Krzyknął, zadrżał, upuścił ręcznik, a potem ścisnął głowę obiema dłońmi. Oczy wyszły mu z orbit.

– Przeklęte kości – zaskowytał albo w każdym razie wydał z siebie bardzo zbliżony odgłos. Elayne nagle przyszło do głowy, że on właśnie może stanowić bardzo dobre źródło dosadnego języka. Stajenni i im podobni zawsze starali się wyraźnie hamować w momencie, gdy ją dostrzegali. Oczywiście obiecała, że go ucywilizuje, że uczyni go przydatnym dla Randa, ale nie powinna chyba zanadto wtrącać się w jego język. W tej chwili zrozumiała nagle, że bardzo wielu czynności się nie wyrzekła. Gdy wspomni o tym Nynaeve, z pewnością nieco ją uspokoi.

Po dłuższej chwili przemówił głosem bez wyrazu:

– Dziękuję ci, Nynaeve. -Przerwał i z trudem przełknął ślinę. – Myślałem już sobie, że skoro się tak zachowujecie, musicie być kimś innym w przebraniu. Ponieważ najwyraźniej wciąż jeszcze żyję, równie dobrze możemy zająć się od razu resztą. Zdaje mi się, że Birgitte napomknęła, iż potrzebujecie mnie, abym coś dla was znalazł. Co to takiego?

– Nie znajdziesz tego – zdecydowanie oznajmiła Nynaeve. Cóż, być może nawet bardziej ostro niż tylko zdecydowanie, Elayne jednak nie miała zamiaru przywoływać jej do porządku. On zasługiwał na każde skrzywienie ust. – Ty będziesz nam tylko towarzyszył, a to coś znajdziemy my.

– Już się wycofujesz, Nynaeve? – W jakiś sposób udało mu się prześmiewczo wykrzywić usta. – Właśnie przed chwilą obiecałaś, że będziesz robić, co ci każę. Jeżeli potrzebny jest ci oswojony *ta'veren* na smyczy, idź poproś Randa albo Perrina i zobaczymy, jaką otrzymasz odpowiedź.

– Nic takiego nie obiecywałyśmy, Matrimie Cauthon -warknęła Nynaeve, stając na palcach. – Ja nic takiego nie obiecywałam! – Wyglądała tak, jakby zaraz znowu miała się na niego rzucić. Nawet włosy w jej warkoczu wydawały się jeżyć.

Elayne lepiej potrafiła powściągnąć swój temperament. Donikąd nie dojdą, obrażając go.

– Będziemy słuchać twoich rad i korzystać z nich, jeśli okażą się rozsądne, panie... Mat – w jej głosie zabrzmiała lekka przygana. Z pewnością nie może naprawdę myśleć, że obiecały... Jednak patrząc na niego, zrozumiała, że tak właśnie myśli. Och, Światłości! Nynaeve miała rację. On rzeczywiście przysporzy im kłopotów.

Ale nie straciła panowania nad sobą. Przeniosła znowu i przewiesiła jego kaftan na właściwe miejsce, mianowicie na jeden z kołków przy drzwiach, a potem usiadła na krześle, sztywno wyprostowana, pieczołowicie układając spódnice. Dotrzymanie obietnic złożonych panu Cauthonowi – Matowi – nie będzie łatwe, ona jednak nie pozwoli, by, cokolwiek on zrobi lub powie, dotknęło ją do żywego. Nynaeve zmierzyła wzrokiem jedyne oprócz zajętego przez Elayne miejsce nadające się do siedzenia – niski rzeźbiony podnózek – i została tam, gdzie była. Jedną z jej dłoni drgnęła w stronę warkocza, ale opanowała się natychmiast i zaplotła ramiona na piersiach. Nie przestała wszak złowieszczo postukiwać stopą o podłogę.

– Atha'an Miere nazywają to Czarą Wiatrów, panie... Mat. Jest to *ter'angreal*...

W końcu błysk podniecenia przebił się przez jego osłabienie.

– To ci dopiero znalezisko – mruknął. – W Rahad. -Pokręcił głową i wzdrygnął się. -To wam teraz powiem. Żadna z was nawet stopy nie postawi na drugim brzegu rzeki bez czterech lub pięciu moich Czerwonorekich na każdą. Ani nie wyściubi nosa z pałacu, jeśli już o tym mowa. Czy Birgitte powiedziała wam o liście, który wetknięto w mój kaftan? Jestem pewien, że jej mówiłem. I jeszcze jest Carridin oraz Sprzymierzeńcy Ciemności, nie powiecie mi, że on czegoś nie knuje.

– Każdej siostrze, która wspiera Egwene na Tronie Amyrlin, grozi niebezpieczeństwo ze strony Wieży. – Wszędzie w towarzystwie ochrony? Światłości! W oczach Nynaeve zapaliły się niebezpieczne błyski, zaczęła szybciej postukiwać nogą. – Nie możemy się przed tym chować, pa... Mat, i nie będziemy. Jaichimem Carridinem zajmiemy się w swoim czasie. – Nie obiecały mówić mu wszystkiego i nie pozwolą, by wpływał na zasadniczy kierunek ich działań. – Obecnie mamy przed sobą ważniejsze sprawy.

– W swoim czasie? – zaczął, a głos unosił mu się z niedowierzania, jednak Nynaeve natychmiast ucięła:

– Czterech na każdą z nas? – zapytała kwaśno. – To jest zupełnie bez sensu... – Na chwilę przymknęła powieki, a potem zaczęła już łagodniejszym tonem. Nieznacznie łagodniejszym. – Chciałam powiedzieć, że to nieroztropnie. Elayne, ja, Birgitte i Aviendha. Nie masz tak wielu żołnierzy. W każdym razie tym, czego naprawdę potrzebujemy, jesteś ty. – Te ostatnie słowa wyszły jej z gardła jak wyciągane przemocą. Zbyt wyraźnie przypominały przyznanie się do porażki.

– Birgitte i Aviendha nie potrzebują nianieki – zauważył nieobecny tonem. – Przypuszczam, że ta Czara Wiatrów jest znacznie ważniejsza od sprawy Carridina, jednak... Wydaje mi się niewłaściwe pozwalać, by Sprzymierzeńcy Ciemności spacerowali sobie samopas.

Twarz Nynaeve powoli pokryła się purpurą. Elayne szybko zerknęła w stojące w zasięgu jej wzroku lustro i z ulgą stwierdziła, że jej udało się opanować. Przynajmniej na zewnątrz. Ten człowiek był doprawdy nie do wytrzymania! Nianieki? Sama nie miała pojęcia, co byłoby gorsze: gdyby tę jawną obrazę wypowiedział zupełnie świadomie, czy też gdyby wymknęła mu się niechcący? Znowu zerknęła na swoje odbicie w lustrze i odrobinę opuściła podbródek. Nianki! Cała była czystym spokojem.

Patrzył na nie tymi swoimi przekrwionymi oczami i najwyraźniej niczego nie dostrzegał.

– Co Birgitte wam powiedziała? – zapytał, a Nynaeve odwarknęła:

– Tego już wystarczy, przypuszczam, nawet jak na ciebie. Z jakiegoś niewytłumaczonego

powodu wydawał się zaskoczony i raczej zadowolony.

Nynaeve wzdygnęła się, potem zaplotła ramiona ciasniej, właściwie niemalże się nimi objęła.

– Ponieważ jesteś w stanie uniemożliwić ci udanie się dokądkolwiek z nami... nie patrz tak na mnie, Macie Cauthon, to nie jest dokuczanie, to sama prawda!... możesz spędzić ranek na przeprowadzce do pałacu. I nie myśl sobie, że pomożemy ci nieść twoje rzeczy. Nie obiecywałam, że będę jucznym koniem.

– “Wędrowną Kobieta” jest dla mnie dostatecznie dobra – zaczął ze złością, potem opanował się, a na jego twarz wypełził znamionujący głęboki namysł grymas. W oczach Elayne był to właściwie grymas przerażenia. To go oduczmy warczeć, kiedy głowę ma niczym melon. Przynajmniej ona sama tak się czuła wtedy, kiedy wypłała za dużo. Rzecz jasna, on nie wyciągnie żadnych wniosków z tego faktu. Mężczyźni wiecznie wsadzają swoje łby do ognia, sądząc, że tym razem ich nie oparzą, to zawsze powtarzała Lini.

– Nie możemy się spodziewać, że znajdziemy Czarę za pierwszym razem, gdy tylko spróbujemy – ciągnęła dalej Nynaeve – niezależnie od tego, czy będzie z nami *ta'veren*. Kolejne wyprawy będą łatwiejsze, jeśli nie będziesz musiał za każdym razem przechodzić przez plac. – Jeśli nie będą musiały czekać na niego każdego ranka, to w istocie miała na myśli. Wedle tego, co sobie zapewne myślała, picie stanowiło tylko jedną spośród licznych wymówek, które znajdzie sobie po to, by móc wylegiwać się w łóżku całymi godzinami.

– A ponadto – dodała Elayne – będziesz mógł dzięki temu nie spuszczać nas z oka. – W gardle Nynaeve zaczął już nabrzmiwać jakiś dziwny odgłos, do złudzenia przypominający jęk. Czy ona nie rozumie, że jego trzeba skusić? Przecież w ten sposób bynajmniej nie obiecywała mu, że pozwoli, by cały czas kontrolował je.

Najwyraźniej jednak nie słyszał ani jej, ani Nynaeve. Wymęczone oczy patrzyły na skroś nich.

– Dlaczego teraz właśnie musiały się, cholera, zatrzymać? – jęknął tak cicho, że ledwie go usłyszała. A cóż to miało, na Światłość, znaczyć?

– Komnaty pałacu są stosowne nawet dla króla, panie... Mat. Tylin sama je wybrała, dokładnie pod jej własnymi apartamentami. Wykazała sporo osobistego zainteresowania całą sprawą, Mat, nie chciałbyś teraz chyba obrazić królowej, co?

Jedno spojrzenie na jego twarz i Elayne pośpiesznie przeniosła, otwierając okno i wylewając przez nie zawartość miednicy. Jeśli kiedykolwiek w życiu widziała mężczyznę, który mógł w każdej chwili opróżnić swój żołądek, to właśnie taki patrzył na nią przekrwionymi oczyma.

– Nie rozumiem, o co tyle hałasu – powiedziała. Jednak w przeciwieństwie do swych słów chyba jednak rozumiała. Niektóre ze służących pewnie pozwalały się podszczypywać, wątpiła jednak, by w pałacu było to też możliwe, zapewne nie. Nie będzie również mógł pić i grać po całych nocach. Tylin z pewnością nie zgodzi się, by dawał zły przykład Beslanowi.

– Wszyscy musimy być gotowi na poświęcenia. – Z wysiłkiem poprzestała tylko na tym stwierdzeniu, nie wspominając już, że jego poświęcenie jest drobne i stanowi słuszną decyzję, ich natomiast jest monstrualne i niesprawiedliwe, niezależnie od tego, jak to określiła Aviendha. Przy czym Nynaeve z pewnością buntowała się przeciwko jakimkolwiek poświęceniom.

Znowu ukrył twarz w dłoniach, trzęsły mu się ramiona, z głębi gardła wyrwały takie odgłosy, jakby się dusił. Śmiał się! Uniosła odrobinę miednicę na strumieniu Powietrza, zastanawiając się, czy nie cisnąć nią. Kiedy jednak na powrót uniósł oczy, z jakiegoś powodu wydawał się rozeźlony.

– Poświęcenia? – warknął. – Gdybym poprosił was, byście zrobiły to samo, wytargałybyście wszystkie uszy w zasięgu ręki i spuściły mi dach prosto na głowę! – Czy wciąż jeszcze był pijany?

Postanowiła zlekceważyć to jego przerażające spojrzenie.

– Skoro już mowa o twojej głowie, jeśli miałbyś ochotę na Uzdrawianie, pewna jestem, że Nynaeve chętnie ci pomoże. – Jeśli kiedykolwiek tamta była dostatecznie wściekła, żeby przynosić, owa chwila nastąpiła obecnie.

Nynaeve wzdrygnęła się leciutko i spojrzała na nią kątem oka.

– Oczywiście – powiedziała szybko. – Jeśli tylko zechcesz. – Kolor jej policzków potwierdzał wszystkie podejrzenia Elayne dotyczące tego ranka.

Wdzięczny, jak zawsze, wyszczerzył zęby.

– Po prostu zapomnijcie o mojej głowie. Znakomicie radzę sobie bez Aes Sedai. – A potem, chyba tylko dlatego, by wszystko dodatkowo skomplikować, z wahaniem w głosie dodał: – W każdym razie dziękuję, że zaproponowałyście. – Jakby naprawdę chciał to powiedzieć!

Elayne jakoś udało się nie wgapić w niego. Jej wiedza dotycząca mężczyzn ograniczała się do Randa i tego, co powiedziały jej Lini oraz Matka. Czy Rand okaże się równie niezrozumiały jak Mat Cauthon?

Tuż przed odejściem wymusiła jeszcze na nim obietnicę, że natychmiast wyruszy do pałacu. Raz danego słowa zawsze dotrzymywał, to Nynaeve musiała mu przyznać, aczkolwiek niechętnie. Wystarczyło jednak, jej zdaniem, zostawić tylko najmniejszą szczelinę, a znajdzie setki sposobów, by się przez nią prześlizgnąć. Co zawsze podkreślała z lubością. Złożył jej więc obietnicę, a towarzyszył temu ponury, niechętny grymas – chociaż być może to znowu te przepite oczy. Kiedy postawiła miednicę u jego stóp, naprawdę wydawał się wdzięczny. Jednak tym razem nie znalazła w sobie współczucia. Nie ma mowy.

Kiedy już znalazły się na korytarzu i zamknęły drzwi od pokoju Mata, Nynaeve pogroziła pięścią w stronę sufitu.

– Ten mężczyzna byłby zdolny kamień wyprowadzić z równowagi! Bardzo dobrze, że sam zajmie się swoją głową! Słyszysz mnie? Zadowolona jestem! On jeszcze przysporzy nam kłopotów. Na pewno.

– Wy dwie więcej jemu przysporzycie kłopotów niż on kiedykolwiek wam. – Mówiąca te słowa kobieta szła korytarzem w ich stronę, miała włosy lekko przyprószone siwizną, twarde rysy twarzy i rozkazujący głos. Na jej twarzy zastygł lekki mars, niemalże grymas. Mimo noża małżeńskiego między piersiami, zbyt jasna karnacja skóry zdradzała, że nie jest rodowitą mieszkanką Ebou Dar. – Nie mogłam wprost uwierzyć, kiedy Cairra mi powiedziała. Wątpię, bym w życiu widziała tyle głupoty wciśniętej naraz w dwie sukienki.

Elayne zmierzyła kobietę wzrokiem. Nawet jako nowicjuszka nie musiała się godzić, by mówiono do niej tym tonem.

– A kimże ty możesz być, poczciwa kobieto?

– Mogę być i jestem Setalle Anan, właścicielka tej gospody, dziecko – padła sucha odpowiedź, a równocześnie kobieta otworzyła drzwi na końcu korytarza, potem schwyciła każdą z nich pod ramię i pociągnęła za sobą tak gwałtownie, że Elayne naprawdę miała wrażenie, iż jej nogi unoszą się ponad podłogą.

– Padła pani ofiarą jakiegoś nieporozumienia, pani Anan – powiedziała chłodno, kiedy kobieta puściła je, chcąc zatrzaskać drzwi.

Nynaeve wszakże nie była w nastroju na uprzejmości. Wyciągnęła dłoń tak, że jej Wielki Wąż wyraźnie był widoczny i powiedziała zapalczywie:

– No to sobie popatrz...

– Bardzo ładne – powiedziała kobieta i pchnęła je tak mocno, że siadły natychmiast na brzegu łóżka. Elayne wybałuszyła oczy z niedowierzaniem. Natomiast ta kobieta stanęła przed nimi, z



ponurym obliczem, pięściami na biodrach, przysiąc by można: matka, która zamierza udzielić ostrej reprimendy córkom. – Wymachiwanie tym tylko świadczy, jak głupie jesteście. Ten młody człowiek chętnie posadzi was sobie na kolanie... po jednej na każdym, z pewnością, jeśli pozwolicie... skradnie kilka pocałunków i może jeszcze coś, ile zechcecie mu dać, ale nie zrobi wam krzywdy. Wy możecie wszakże wyrządzić mu krzywdę nielichą, jeśli dalej będziecie tak postępować.

Wyrządzić mu krzywdę? Kobieta myślała, że one... powiedziała, że posadzi je sobie na kolanach... myślała, że... Elayne nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać, wstała jednak i wygładziła suknię.

– Jak już powiedziałam, pani Anan, padłaś ofiarą nieporozumienia. – Jej głos przybrał łagodniejsze tony, kiedy ciągnęła dalej, zmieszanie powoli ustępowało miejsca spokojowi. – Jestem Elayne Trakand, Dziedziczka Tronu Andoru i Aes Sedai z Zielonych Ajah. Nie mam pojęcia, co sobie myślisz... – Omal nie dostała zęza, kiedy pani Anan przytknęła palec wskazujący do jej nosa.

– Elayne, jeśli tak rzeczywiście masz na imię, wszystkim, co powstrzymuje mnie przed zaciągnięciem cię na dół do kuchni i wyszorowaniem ci ust, tobie i tej drugiej głupiej dziewczynie, jest możliwość, że naprawdę potrafisz trochę przenosić. Czy też jesteś na tyle głupia, by nosić pierścień, nawet tego nie umiejac? Ostrzegam cię, to nie zrobi żadnej różnicy w oczach sióstr mieszkających w Pałacu Tarasin. Czy wiesz choćby o ich obecności? Jeżeli tak, to naprawdę, nie jesteś tylko głupia, jesteś skończoną idiotką.

Gniew Elayne wzrastał z każdym słowem tamtej. Głupia dziewczyna? Skończona idiotka? Nie pozwoli sobie na to, z pewnością nie zaraz po tym, jak musiała pełzać przed Matem Cauthonem. Sadzać na kolanie? Mat Cauthon? Jakoś zachowała zewnętrzne opanowanie, jednak Nynaeve nie wytrzymała.

Patrzyła z wściekłością, a poświata *saidara* wokół niej stawała się coraz jaśniejsza, wreszcie skoczyła na równe nogi. Strumienie Powietrza otoczyły panią Anan od ramion aż po kostki, przyciskając jej spódnicę i halki do nóg, tak ściśle, że omal jej nie dusząc.

– Tak się składa, że jestem akurat jedną z tych sióstr, co mieszkają w pałacu. Nynaeve al'Meara z Żółtych Ajah, mówiąc ściśle. A teraz, może chcesz, żebym ja cię zawlokła do kuchni? Wiem co nieco o tym, jak się szoruje usta. – Elayne odsunęła się od jednego z wyciągniętych ramion karczmarki.

Kobieta musiała czuć nacisk strumieni, a nawet półgłupia wiedziałaby, czym są owe niewidzialne więzy, jednak nawet nie mrugnęła! Jej zielone oczy o nakrapianych tęczęwkach zwężyły się, i tyle.

– A więc przynajmniej jedna z was potrafi przenosić – powiedziała spokojnie. – Powinam pozwolić ci zawlec mnie na dół, dziecko. Cokolwiek mi zrobisz, w południe znajdziesz się już w rękach prawdziwych Aes Sedai, mogę się założyć.

– Czy ty mnie nie słyszysz? – pytała Nynaeve. – Ja...!

Pani Anan nawet się nie zająknęła.

– Nie tylko spędzicie najbliższy rok, zanosząc się łkaniem, ale będziecie to robić w obecności każdego człowieka, któremu powiedziałyście, że jesteście Aes Sedai. Możecie być pewne, zmuszą was byćście wszystko wyznały. Zmienią wasze wątroby w wodę. Powinam pozwolić wam pójść sobie swoją błędną drogą albo przynajmniej pobiec do pałacu natychmiast, jak mnie tylko puścicie. Jedynym powodem, że tego nie robię, jest fakt, iż z lorda Mata uczynią przykład niemalże w takim samym stopniu jak z was, jeśli pojawi się choć najlżejsze podejrzenie, że wam pomagał, a, jak powiadam, lubię tego młodzieńca.

– Ja zaś powiadam ci... – spróbowała znowu Nynaeve, jednak karczmarka wciąż nie dawała jej

dojść do słowa. Związana jak tobołek, ta kobieta zachowywała się niczym głaz toczący się ze stoku. Mknęła przez całe zbocze niczym lawina miażdżąca wszystko na swej drodze.

– Upieranie się przy swoich kłamstwach nikomu nie wyszło na dobre, Nynaeve. Wyglądasz, jakbyś miała lat może dwadzieścia jeden, plus minus rok, a więc możesz mieć więcej o dziesięć lat, jeśli już zaczęło się spowolnienie. Od czterech lub pięciu lat mogłabyś nawet nosić szal. Wyjąwszy jedną rzecz. – Jej głowa, jedyna część ciała, którą mogła poruszyć, szarpnęła się w kierunku Elayne. – Ty, dziecko, nie jesteś nawet na tyle stara, by osiągnąć spowolnienie, a żadna kobieta nie przywdziała szala w tak młodym wieku. Nie zdarzyło się to nigdy w historii Wieży. Nawet jeśli kiedykolwiek byłaś w Wieży, założę się, że nosiłaś biel i piszczalaś za każdym razem, gdy Mistrzynie Nowicjuszek spojrzała w twoją stronę. Przekonałaś jakiegoś złotnika, żeby zrobił dla ciebie ten pierścień... słyszałam, że zdarzają się tacy głupcy... albo może Nynaeve ukradła go dla ciebie, zakładając, że sama ma prawo nosić swój. W każdym razie, ponieważ ty nie możesz być siostrą, żadna z was być nią nie może. Żadna Aes Sedai nie podróżowała by z kobietą, która takową udaje.

Elayne zmarszczyła brwi, bezmyślnie przygryzła dolną wargę. Spowolniona. Spowolnienie. Skąd karczmarka w Ebou Dar знаła te słowa? Może Setalle Anan jako dziewczyna udała się do Wieży, chociaż z pewnością nie zabawiła w niej długo, ponieważ najwyraźniej nie potrafiła przenosić. Elayne wiedziałyby o tym, choćby zdolności tamtej były tak mizerne jak u jej matki, a Morgase Trakand dysponowała potencją tak niewielką, że zostałaby odesłana w ciągu kilku tygodni, gdyby nie była Dziedziczką Tronu.

– Uwolnij ją, Nynaeve – powiedziała, uśmiechając się.

Teraz naprawdę poczuła się znacznie życzliwiej usposobiona do tej kobiety. To musiało być okropne, odbyć całą podróż do Tar Valon tylko po to, by zostać odesłaną. Nie istniał żaden powód, dla którego ta kobieta powinna im uwierzyć – poczuła się nagle tak, jakby coś ją delikatnie połaskotało, nie potrafiła jednak powiedzieć co – nie było żadnego powodu, wszakże jeśli odbyła podróż do Tar Valon, to mogła się też przejść przez Mol Hara, a Merilille czy też któraś z pozostałych sióstr wyprowadziłyby ją z błędu.

– Uwolnić ją? – jęknęła Nynaeve. – Elayne?

– Uwolnij ją. Pani Anan, jak rozumiem jedynym sposobem przekonania cię...

– Sama Zasiadająca na Tronie Amyrlin i trzy siostry na dodatek mnie nie przekonają, dziecko. – Światłości, czy ona kiedykolwiek pozwoliła komuś skończyć zdanie. – A teraz nie mamy już czasu na dalsze gierki. Mogę pomóc wam dwóm. A przynajmniej znam takie, które mogą. Kobiety przygarniające zabłąkane owieczki. Możecie podziękować lordowi Matowi, że zechciałam was do nich zabrać, ale muszę wiedzieć. Byłyście kiedykolwiek w Wieży, czy jesteście dzikuskami? Jeśli tam byłyście, to czy uciekłyście, czy zostałyście wygnane? Chcę prawdy. Z każdym rodzajem dziewczyn postępują w inny sposób.

Elayne wzruszyła ramionami. Zrealizowały wszystko, po co tu przybyły, była już gotowa przestać marnować czas i zabrać się za to, co należało zrobić w następnej kolejności.

– Jeżeli nie sposób cię przekonać, to nie ma sensu dłużej marnować czasu. Nynaeve? Już pora, byśmy ruszały.

Sploty pętające karczmarkę zniknęły, poświata otaczająca Nynaeve również, jednak sama Nynaeve nie ruszała się z miejsca i stała tak, obserwując kobietę pełnym nadziei wzrokiem i oblizując wargi.

– Znasz grupę kobiet, które mogą nam pomóc?

– Nynaeve? – powiedziała Elayne. – My nie potrzebujemy pomocy. Jesteśmy Aes Sedai, pamiętasz?

Pani Anan rozejrzała się ukradkiem w obie strony, potem ostrym ruchem strzepnęła spódnice, by schować halki. Jednak jej uwagę bez reszty pochłaniała Nynaeve; Elayne zaś w całym swoim życiu nigdy jeszcze nie czuła się tak lekceważona.

– Wiem o kilku kobietach, które przyjmują niekiedy dzikuski, uciekinierki albo kobiety, które zawiodły podczas inicjacji na Przyjętą lub wyniesienia do szala. Musi ich być w sumie jakieś pięćdziesiąt wszystkich razem, chociaż ta liczba się zmienia. Mogą wam pomóc ułożyć sobie życie bez ryzyka, że natraficie na prawdziwą siostrę, a wtedy pożałujecie, iż nie obdarła was tylko ze skóry i nie poszła sobie. Tylko mi nie kłamcie. Byłyście kiedykolwiek w Wieży? Jeżeli uciekłyście, to możecie równie dobrze zechcieć znowu wrócić. Nawet podczas Wojny Stu Lat Wieża jakoś wyłapywała większość uciekinierek, a więc nie powinniście sądzić, że obecne drobne kłopoty ją powstrzymają. W takim przypadku proponowałabym wam przejść przez plac i zdać się na łaskę sióstr. Niewielkiej łaski możecie od nich oczekiwać, jednak, uwierzcie mi, będzie ona większa niżli wówczas, gdy zawloką was z powrotem siłą. Po tym nawet nie będziecie mogły pomyśleć o opuszczeniu terenów Wieży bez pozwolenia.

Nynaeve wzięła głęboki oddech.

– Powiedziano nam, byśmy opuściły Wieżę, pani Anan. To mogę pani przysiąc, niezależnie, jak będzie brzmiało pytanie.

Elayne patrzyła z niedowierzaniem.

– Nynaeve, o czym ty mówisz? Pani Anan, my jesteśmy Aes Sedai.

Pani Anan tylko się zaśmiała.

– Dziecko, pozwól mi porozmawiać z Nynaeve, która przynajmniej wydaje się dosyć stara, żeby mieć odrobinę oleju w głowie. A ty, nie mów takich słów w obecności Kręgu, bo z pewnością nie spodobają im się. Nie dbają o to, czy umiesz przenosić, one również potrafią, i wychłostają ci pośladki albo wyrzucą na zbity nos, jeśli uprzesz się, by odgrywać głupią.

– Co to jest Krąg? – dopytywała się Elayne. – My jesteśmy Aes Sedai. Przejdź przez plac do Pałacu Tarasin i wtedy zobaczymy.

– Ja się nią zajmę – miała czelność rzec Nynaeve, równocześnie marszcząc brwi i krzywiąc się do Elayne, jakby to nie ona najwyraźniej oszalała.

Pani Anan zwyczajnie pokiwała głową.

– Dobrze. Teraz zdejmijcie te pierścienie i wyrzucie je. Krąg nie pozwala na ten rodzaj udawania. Przetopią je, byście miały od czego zacząć. Sądząc po wyglądzie waszych sukien, dysponujecie pieniędzmi. Jeśli je ukradłyście, nie pozwólcie, by Reanne się dowiedziała. Jedną z pierwszych zasad, których będziecie się musiały nauczyć, jest to, że nie wolno kraść, nawet gdy się głoduje. One nie chcą ściągać na siebie niczyjej uwagi.

Elayne ścisnęła dłoń w pięść i schowała za plecami. I tylko patrzyła, jak Nynaeve pokornie ściąga pierścień i wsuwa go do sakwy przy pasie. To była ta sama Nynaeve, która wyła za każdym razem, gdy Merilille albo Adelas, czy którakolwiek z tamtych traktowały ją tak, jakby nie była pełną siostrą!

– Zaufaj mi, Elayne – powiedziała Nynaeve.

Co Elayne z pewnością przyszłoby znacznie łatwiej, gdyby tylko miała choćby najlżejsze pojęcie, do czego tamta zmierza. A jednak, postanowiła jej zaufać. Raczej.

– Drobne poświęcenie – wymamrotała. Aes Sedai mogły obyć się bez pierścienia, gdy zaistniała potrzeba, ona również, uchodząc mimo to dalej za pełną siostrę, ale teraz należał już do niej mocą prawa. Zdjęcie złotej obrączki sprawiało niemalże fizyczny ból.

– Porozmawiaj ze swoją przyjaciółką, dziecko – niecierpliwie przykazała Nynaeve pani Anan.

– Reanne Corly nie pozwoli sobie na to całe ponure wydymanie ust, a jeśli okaże się, że przez was zmarnowałam cały ranek... Chodźcie, chodźcie. Macie szczęście, że lubię lorda Mata.

Elayne udało się zachować niewzruszoną twarz, ale niewielu już brakowało. Ponure wydymanie warg? Kiedy tylko będzie miała sposobność kopnie Nynaeve tam, gdzie ją naprawdę zaboli!

# ROZDZIAŁ 4

## NASTĘPNE DRZWI OBOK TKACZA

Nynaeve chciała wymienić z Elayne parę słów, ale tak, żeby karczmarka ich nie słyszała, jednak nieprędko trafiła się taka możliwość. Kobieta wypchnęła je wręcz z pomieszczenia, w całkiem udatnej imitacji zachowania więziennej strażniczki; wrzące w niej niecierpliwości nie ostudziło nawet ostrożne spojrzenie na drzwi od pokoju Mata. W tylnej części gospody znajdowała się druga klatka schodowa, pozbawiona poręczy, kamienne stopnie wiodły na dół do wielkiej, rozgrzanej, pełnej woni pieczonego ciasta kuchni, w której najgrubsza kobieta, jaką Nynaeve kiedykolwiek w życiu zdarzyło się widzieć, wymachiwała wielką drewnianą warząchwią niczym buławą i kierowała trzema innymi kucharkami, wyjmującymi chrupiące brązowe bochny z pieca i natychmiast zastępującymi je kluchami bladego ciasta. Zawartość wielkiego kotła, z niewymyślną białą owsianką podawaną tutaj na śniadanie, bulgotała na jednym z obłożonych białymi kaflami palenisk.

– Enid – zwróciła się pani Anan do grubej kobiety -wychodzę na chwilę. Muszę zabrać tę dwójkę dzieci do kogoś, kto będzie wiedział, jak się nimi zaopiekować.

Enid wytarła wielkie, powalane mąką dłonie w białą ścierkę i z dezaprobatą przyjrzała się Nynaeve oraz Elayne. Wszystko w niej było wielkie i grube: złana potem twarz o oliwkowej cerze, ciemne oczy, cała reszta; wyglądała jak zestaw wielkich kul wtłoczonych w sukienkę. Małżeński nóż, który nosiła na śnieżnobiałym fartuchu, błyszczał pełnym tuzinem kamieni.

– Czy to są te dwie wyszczekane panny, o których Cairra nie przestaje paplać, pani? Trochę nazbyt chyba wystrojone jak na gust młodego lorda. On lubi, kiedy dziewczyny więcej chichoczą. – Z tonu głosu można było łatwo wywnioskować, że ta myśl ją rozbawiła.

Karczmarka pokręciła głową z irytacją.

– Nieraz mówiłam tej dziewczynie, żeby trzymała język za zębami. Nie pozwolę, żeby tego rodzaju plotki rozprowadano pod “Wędrowną kobietą”. Skarć za mnie Cairę, Enid, i użyj swojej warząchwi, jeśli będzie trzeba. – Spojrzenie, którym obrzuciła Nynaeve i Elayne, było tak pełne dezaprobaty, że Nynaeve omal nie jęknęła. – Czy ktokolwiek, komu nie brakuje szóstej kleпки, uwierzy, że te dwie są Aes Sedai? Wydadzą wszystkie pieniądze na sukienki, żeby wyrzucić wrażenie na mężczyźnie, a potem będą głodować, póki nie zwróci uwagi na ich uśmiechy. Aes Sedai! – Nie dając Enid nawet szansy odpowiedzi na pytanie, prawą ręką schwyciła ucho Nynaeve, lewą ucho Elayne i w trzech szybkich krokach zaciągnęła je na podwórze stajni.

Nie dłużej też trwało oszołomienie, w jakim pogrążyła się Nynaeve. Potem wyrwała się, a przynajmniej próbowała, w tej samej chwili bowiem kobieta puściła jej ucho, co spowodowało, że tylko niezgrabnie zatoczyła się kilka kroków; spojrzała więc na tamtą, a jej oczy płonęły z urazy. Bynajmniej nie zgadzała się na takie brutalne wleczenie. Elayne uniosła podbródek, spojrzała tak zimno, że Nynaeve nie zdziwiłoby, gdyby zobaczyła szron siadający na jej lokach.

Z rękoma wspartymi na biodrach pani Anan sprawiała wrażenie, że wcale jej to nie obchodzi. Zresztą, może tak i było naprawdę.

– Spodziewam się, że po takim pokazie żadna już nie uwierzy Cairze – oznajmiła spokojnie. – Gdybym tylko mogła być pewna, że wy potraficie trzymać język za zębami, powiedziałabym i zrobiła wszystko w sposób znacznie bardziej przekonujący. -Była spokojna, ale ani miła, ani uprzejma; zakłóciły przecież normalny tok wydarzeń jej poranka. -A teraz chodźcie za mną i nie zgubcie się. A jeśli tak się stanie, nie ważcie się ponownie pokazywać w pobliżu mojej gospody, bo w przeciwnym razie natychmiast pošlę kogoś do pałacu, aby zawiadomił Merilille i Teslyn. Obie są prawdziwymi

siostrami i najpewniej rozetną was przez środek, a potem rozerwą na dwoje.

Elayne popatrywała to na karczmarkę, to na Nynaeve. Nie było to żadne spojrzenie spod zmarszczonych brwi, ani też rozplomienione wściekłością, jednak znaczyło mniej więcej to samo. Nynaeve zaczynała wątpić, czy tamta da radę znieść wszystko. Rozważała nawet możliwość, by zakończyć udawanie, gdy jednak przypomniała sobie, jaka jest alternatywa, postanowiła zacisnąć zęby – wszystko będzie lepsze niż Mat.

– Nie zgubimy się, pani Anan – powiedziała, starając się ze wszystkich sił, aby zabrzmiało to odpowiednio pokornie. Ostatecznie uznała, że udało jej się zupełnie nieźle, biorąc pod uwagę jak obce z natury było jej to uczucie. – Dziękujemy, że nam pomogłaś. – Uśmiechając się do karczmarki, równocześnie dokładała wszelkich starań, by ignorować Elayne, której spojrzenie stało się jeszcze bardziej znaczące, wręcz natarczywe. Najpierw należało zadbać, by tamta dalej uważała, że warto się dla nich trudzić. – Jesteśmy naprawdę wdzięczne, pani Anan.

Pani Anan spojrzała na nią z ukosa, potem parsknęła i pokręciła głową. Nynaeve postanowiła, że kiedy wszystko się skończy, zawlecze karczmarkę do pałacu siłą, jeśli będzie trzeba, i zmusi pozostałe siostry, aby w jej obecności poświadczyły, kim jest.

O tak wczesnej porze podwórze stajni było puste, wyjąwszy samotnego chłopca w wieku lat dziesięciu czy jedenastu z kubłem zaopatrzonym w przetak, z którego rozpryskiwał wodę, by ubita ziemia się nie kurzyła. Pomalowane na biało ściany stajni były szeroko otwarte, a w nich stał wózek, na którym spoczywały widły do łajna. Z wnętrza dobiegały takie odgłosy, jakby ktoś właśnie płoszył wielką żabę, Nynaeve potrzebowała dobrej chwili, by zrozumieć, że to ktoś śpiewa. Czy muszą wziąć konie, aby dotrzeć na miejsce? Nawet krótka przejażdżka z pewnością nie będzie należała do rzeczy przyjemnych – miały zamiar przejść tylko przez plac i wrócić nim słońce stanie wysoko na niebie, dlatego nie wzięły ani parasolek, ani płaszczy z kapturami.

Pani Anan powiodła je jednak przez podwórze, a potem wąską ścieżką między stajnią i wysokim murem, zza którego wyzierały korony przygarbionych od suszy drzew. Bez wątpienia był to czyjś ogród. Niewielka furtka na końcu wychodziła na zakurzoną alejkę, również tak wąską, że promienie wschodzącego słońca jeszcze do niej nie dotarły.

– Teraz trzymajcie się blisko mnie, dzieci, żeby nie musiała tego powtarzać – pouczyła je karczmarka, spoglądając w głąb ocienionej alejki. – Zgubicie się gdzieś, a przysięgam, że sama, we własnej osobie udam się do pałacu.

Nynaeve poszła za nią, ściskając warkocz obiema dłońmi, po to chyba tylko, żeby jej ręce nie skoczyły tej Anan do gardła. Jak bardzo chciałyby znaleźć w nim choć jeden siwy włos. Najpierw pozostałe Aes Sedai, potem Lud Morza – Światłości, o nich naprawdę nie chciała myśleć! – i teraz ta karczmarka! Nikt nie bierze cię na poważnie, jeśli nie masz we włosach przynajmniej odrobiny siwizny; w jej ocenie, nawet pozbawione śladów upływu lat oblicza Aes Sedai nie mogły równać się z tym.

Elayne unosiła spódnice, chroniąc je przed powalaniem w kurzu, a i tak z każdym krokiem ich pantofle wzbijały w powietrze drobne obłoczki pyłu osiadającego na lamówkach.

– Niech się zastanowię – powiedziała miękko Elayne, patrząc prosto przed siebie. Miękko, ale zimno. W rzeczy samej, lodowato. Nynaeve podziwiała sposób, w jaki tamta potrafiła rozedrzyć kogoś na strzępy, nie podnosząc nawet głosu. Przynajmniej zazwyczaj podziwiała... teraz miała tylko ochotę wytargać ją za uszy. – Mogłybyśmy siedzieć spokojnie w pałacu, pijąc herbatę z czarnej porzeczkii, rozkoszując się chłodną bryzą i czekać, aż pan Cauthon przeniesie swoje rzeczy. Może Aviendha i Birgitte wróciłyby wcześniej i mogły się pochwalić jakimś sukcesem. Razem postanowiłybyśmy, jak dokładnie postępować z tym mężczyzną. Czy zwyczajnie damy mu się

prowadzić po ulicach Rahad i zaczekamy na to, co się stanie, czy będziemy wchodziły do budynków podobnych do tamtego, czy też jemu pozwolimy wybierać? Ten ranek można było wykorzystać na setki rozmaitych sposobów, włączywszy w to naradę, czy bezpiecznie możemy wrócić do Egwene... w ogóle jeszcze kiedykolwiek... po tej umowie, którą wymusił na nas Lud Morza. Wcześniej czy później, będziemy o tym musiały porozmawiać, nawet wiedząc, że i tak nic nam już nie pomoże. A zamiast tego poszłyśmy sobie na spacer, któż wie, jak długi... a jeśli dalej będziemy wędrowały w tym samym kierunku, przez cały czas ze słońcem świecącym w oczy, dostaniemy zmarszczek od ich mrużenia... tylko po to, by odwiedzić kobiety, dające schronienie uciekinierkom z Wieży. Jeśli o mnie chodzi, nie interesuje mnie chwytanie uciekinierek, ani tego ranka, ani żadnego innego. Pewna jestem jednak, że potrafisz mi wszystko tak wyjaśnić, abym zrozumiała. Tak bardzo chciałabym zrozumieć. Nienawidzę myśli, że będę musiała kopniakami przegnać cię całą drogę przez Mol Hara i to zupełnie po nic.

Nynaeve przymknęła oczy. Kopniakami? Elayne naprawdę zaczynała się robić coraz bardziej gwałtowna, wszystko przez to, że spędzała tyle czasu z Aviendhą. Ktoś powinien wreszcie przemówić im do rozumu.

– Słońce nie stoi jeszcze dość wysoko na niebie, byśmy musiały cały czas mrużyć oczy – wymamrotała. Niestety wkrótce już tak będzie. – Pomyśl, Elayne. Pięćdziesiąt... pięćdziesiąt kobiet, które potrafią przenosić i pomagają dzikusom oraz dziewczynom relegowanym z Wieży. – Czasami czuła ukłucie winy, gdy używała słowa “dzikuska”, w ustach większości Aes Sedai stanowiło ono obrazę, miała zamiar jednak sprawić, że pewnego dnia będzie brzmiało niczym oznaka zaszczytu. – A ona określiła je mianem: “Kraż”. W moich ustach nijak się to nie kojarzy z grupką przyjaciółek. Brzmi jak nazwa organizacji. – Alejka wiła się między wysokimi murami i tyłami budynków, na wielu spośród warstwy tynku prześwitywała goła cegła, między ogrodami pałacowymi i sklepami, w których przez otwarte tylne drzwi mogły oglądać jubilerów, krawców czy drzeworytników. Pani Anan cały czas oglądała się przez ramię, by sprawdzić, czy idą za nią. Nynaeve częstowała ją za każdym razem uśmiechem, skinieniem głowy, w nadziei, że tamta wyczyta z nich nieustającą gotowość.

– Nynaeve, gdyby choć dwie kobiety potrafiące przenosić założyły zorganizowaną społeczność, siostry z Wieży wsiadłyby na nie niczym stado wilków. A poza tym skąd niby pani Anan miałyby wiedzieć, czy potrafię czy nie? Sama wiesz, że kobiety, które umieją przenosić, nie obnoszą się z tym wszem i wobec. A jeśli już, to doprawdy nigdy nie trwa to zbyt długo. W każdym razie nie potrafię pojąć, dlaczego miałyby to stanowić jakąś różnicę. Nawet jeśli Egwene chce jakimś sposobem włączyć w obręb Wieży wszystkie kobiety, które zdolne są przenosić, nie na tym polega nasze zadanie. – Tony lodowatej cierpliwości pobrzmiwające w głosie Elayne sprawiły, że palce Nynaeve jeszcze mocniej zacisnęły się na warkoczu. Jakim sposobem ta kobieta może być taka tępa? Znowu obnażyła zęby w uśmiechu adresowanym do pani Anan, a potem udało jej się nawet powstrzymać paskudny grymas, kiedy karczmarka znowu zaczęła patrzeć przed siebie.

– Pięćdziesiąt kobiet to nie dwie – wyszeptała Nynaeve gwałtownie. Potrafią przecież przenosić, muszą umieć, od tego zależało wszystko. – Wydaje się zupełnym absurdem zakładać, że ten Kraż istnieje w tym samym mieście, co magazyn pełen *angreali* i nic nie wie na ich temat. A jeśli wiedzą... – Nie potrafiła się powstrzymać, żeby w afektowany sposób nie osłodzić tonu swego głosu nutą odczuwanej satysfakcji. – ...znajdziemy Czarę bez pomocy pana Matrima Cauthona. I będziemy mogły zapomnieć o tych absurdalnych obietnicach.

– One nie stanowiły wyłącznie łapówki, Nynaeve -nieobecny głosem oznajmiła Elayne. – Ja swoich dotrzymam, podobnie zresztą jak i ty, jeśli masz choćby odrobinę honoru, a wiem, że masz. –

Spędzała zdecydowanie zbyt dużo czasu z Aviendhą. Nynaeve naprawdę chciałyby się dowiedzieć, skąd Elayne wpadła na pomysł, że wszystkie muszą postępować zgodnie z tym absurdalnym aielowym ji-jak-tam-mu-było.

Elayne przygryzła dolną wargę, zmarszczyła brwi. Cały jej chłód jakby zupełnie rozwiął się bez śladu, znów, przynajmniej z pozoru, była sobą. Na koniec oznajmiła:

– Gdyby nie pan Cauthon, nigdy byśmy nie poszły do tej karczmy, a więc nigdy byśmy nie spotkały nadzwyczajnej pani Anan i nigdy nie dowiedziały się o żadnym Kręgu. Jeśli zatem Krąg faktycznie doprowadzi nas do Czary, będziemy musiały jemu przyznać zasługę pierwszej przyczyny w tym łańcuchu zdarzeń.

Mat Cauthon – to imię aż wyło w jej głowie. Nynaeve potknęła się o własne nogi, musiała puścić warkocz, żeby unieść spódnice. Uliczka nie była nawet w połowie tak równa jak wybrukowany plac, co dopiero mówić o posadzkach pałacu. Niekiedy zdarzało się tak, że Elayne zachowująca się władczo była znacznie lepsza od trzeźwo myślącej Elayne.

– Doprawdy nadzwyczajna – wymruczała. – Unadzwyczajnię ją, póki nie dostanie zęza. Nikt nigdy nie potraktował mnie w ten sposób, Elayne, nawet ludzie, którzy mi nie wierzyli, nawet Lud Morza. Większość trzymałaby się z daleka, gdyby dziesięcioletnia choćby dziewczynka twierdziła, że jest Aes Sedai.

– Większość ludzi wcale nie wie tak naprawdę, jak wygląda twarz Aes Sedai, Nynaeve. Sądzę, że ona pewnego razu musiała odwiedzić Wieżę, wie o rzeczach, o których w żaden inny sposób dowiedzieć się nie mogła.

Nynaeve parsknęła, patrząc z wściekłością na plecy idącej przed nimi kobiety. Setalle Anan mogła być sobie dziesięć razy w Wieży, sto nawet, ale będzie musiała uznać Aes Sedai w osobie Nynaeve al'Meara. I przeprosić. I dowie się też, jak to jest, kiedy ktoś ciągnie cię za ucho! – Pani Anan zerknęła za siebie, a Nynaeve poczęstowała ją swoim nieco zeszywniałym uśmiechem, kłaniając się tak, jakby głowę miała przymocowaną na zawiasach.

– Elayne? Jeśli te kobiety naprawdę wiedzą, gdzie jest Czara... Nie musimy przecież wcale mówić Matowi, jak ją znalazłyśmy... – Nie do końca było to pytanie.

– Nie pojmuję, jakim to sposobem – odparła Elayne, potem zabiła resztkę jej nadziei, dodając: – Ale będę musiała zapytać Aviendhę, by mieć pewność.

Gdyby nie uznała, że w tej sytuacji Anan porzuci je natychmiast, Nynaeve z pewnością zaczęłyby krzyczeć.

Promenadowa alejka wyprowadziła je na ulicę i odtąd nie mogły już dalej wieść swoich bezowocnych rozmów. Skrawek tarczy słońca oślepiająco zerkał sponad dachów przed nimi, Elayne nadzwyczaj ostentacyjnie osłoniła oczy daszkiem dłoni. Nynaeve zmusiła się, by nie postąpić podobnie. Nie było wcale tak źle. Naprawdę, prawie wcale nie musiała ich mrużyć. Czyste niebieskie niebo szydziło z jej umiejętności przewidywania pogody, wciąż miała przecież wrażenie, że nad miasto właśnie nadciąga burza.

Mimo wczesnej pory na krętej ulicy znajdowało się kilka barwnie lakierowanych powozów i co najmniej kilkanaście jeszcze bardziej jaskrawych lektyk, niesionych przez dwóch lub nawet czterech bosych ludzi, każdy w kamizelce w czerwone i zielone pasy, poruszających się truchtem, żeby ich skryci za drewnianymi ażurowymi okiennicami pasażerowie jak najmniej ucierpieli od upału. Wozy i wózki toczyły się z turkotem po kamieniach bruku, a i piesi powoli wychodzili na ulicę, w miarę jak otwierały się drzwi sklepów i właściciele podnosili markizy; czeladnicy w kamizelkach spieszyli ze zleceniami, tragarze balansowali wielkimi zwiniętymi dywanami na ramionach, akrobaci, zonglerzy i muzycy przygotowywali się do występów na wybranych rogach ulic, domokrażcy obnosili tace pełne



szpilek, wstążek lub przywiedłych owoców. Minęło już sporo czasu, od kiedy na otwartym targowisku rybnym i mięsnym wybiła godzina szczytu; wyłącznie kobiety handlowały rybami i mięsem, z wyjątkiem rzeźników specjalizujących się w wołowinie.

Przepychając się przez tłum, lawirując między furami, powozami i lektykami, które najwyraźniej nie miały zamiaru nawet na moment zwolnić, pani Anan szła szybkim krokiem, aby nadrobić stracony czas. A czasu rzeczywiście traciły sporo. Karczmarka najwyraźniej była kobietą wszem i wobec znaną, zatrzymywali ją więc i właściciele sklepów, i rzemieślnicy oraz inne karczmarki, stojące w drzwiach swych przybytków. Ze sprzedawcami i rzemieślnikami wymieniała po kilka słów, ewentualnie poprzestawała na uprzejmym skinieniu głową, ale przy karczmach zatrzymywała się zawsze na krótką pogawędkę. Już za pierwszym razem Nynaeve zapragnęła, by cała sytuacja się więcej nie powtórzyła, po drugim modliła się o to. Za trzecim razem już tylko wpatrywała się tępo przed siebie i na próżno starała nie słyszeć ani słowa. Twarz Elayne ściągała się coraz bardziej, jej grymas nabierał coraz większego chłodu, podbródek uniosła tak wysoko, że dziwnym zdawało się, iż w ogóle jeszcze może iść, nie potykając na każdym kroku.

Miała swoje powody, to Nynaeve musiała z niechęcią jej oddać. W Ebou Dar ktoś, kto nosił jedwabie, mógł pojawić się może na placu, ale z pewnością nie powinien dalej zapuszczać się w miasto. Wszyscy piesi w zasięgu wzroku mieli na sobie wełny lub len, rzadko ozdobione w szczególnie wymyślny sposób, wyjąwszy jednego żebraka, który zdobył gdzieś wyrzucony fragment jedwabnej garderoby, poszarpany na brzegach i bardziej przypominający dziurę obszytą materiałem niżli prawdziwą tkaninę. Żałowała tylko, że pani Anan nie wybrała jakiejś innej wymówki tłumaczącej osobliwe towarzystwo, w którym udała się na poranną przechadzkę po ulicach. Modliła się o to, by nie musieć wysłuchiwać po raz kolejny opowieści o dwóch dziewczynach latawicach, które wydały wszystkie swoje pieniądze na suknie, aby zrobić wrażenie na mężczyźnie. Mat jakimś sposobem dobrze wychodził w tych opowieściach, a żeby szczęśliwie! Wspaniały młody człowiek... gdyby tylko pani Anan nie była już mężatką... niesamowity tancerz, z odrobiną diabła za skórą, jak to przystoi mężczyźnie. Wszystkie kobiety śmiały się. Jednak ani jej, ani Elayne nie było do śmiechu. Nie były przecież bezmózgimi małymi podfruwajkami – takiego właśnie słowa używała, Nynaeve bez trudu jednak potrafiła zgadnąć co tamta miała na myśli – podfruwajkami, które straciły wszystkie pieniądze w pogoni za mężczyzną, a do sakiewek napchały kawałki mosiądzu i blaszek, by oszukać głupców, pozbawionymi szóstej klepki idiotkami, które skończyłyby na żebrach czy złodziejstwie, gdyby pani Anan nie знаła kogoś, kto mógł im dać robotę w kuchni.

– Nie musi przecież stawać przy każdej karczmie w mieście – warknęła Nynaeve, kiedy odchodziły od ogromnej trzypiętrowej “Samotnej Gęsi”, której właścicielka, jakby całkowicie wbrew pokornej nazwie swego lokalu, nosiła wielkie rubinowe kolczyki w uszach. Pani Anan teraz już ledwie oglądała się za siebie, by sprawdzić, czy idą za nią. – Czy zdajesz sobie sprawę, że nigdy nie będziemy mogły pokazać się w tych wszystkich miejscach?

– Podejrzewam, że właśnie o to chodzi. – Każde słowo wychodzące z ust Elayne, aż zgrzytało lodem. – Nynaeve, jeśli kazałaś nam szukać wiatru w polu... – Nie było potrzeby kończyć tę groźbę. Z Birgitte i Aviendhą do pomocy, Elayne mogła swobodnie naprzykrzać się jej do czasu, aż sama uzna, że ma dość.

– Zaprowadzą nas prosto do Czary-upierała się, klaszcząc równocześnie w dłonie, by odstraszyć żebraka z potworną purpurową blizną, zakrywającą całkiem jedno z oczu; potrafiła w końcu rozpoznać pastę z mąki zafarbowaną płaskościem, kiedy już ją miała przed oczyma. – Nie mam najmniejszych wątpliwości. – Elayne tylko parsknęła, ale za to w wyjątkowo obraźliwy sposób.

Nynaeve straciła rachubę mostów, które przekroczyły, wielkich i małych, ponad

zakotwiczonymi barkami. Tarcza słońca wypełzła nad dachy domów, potem wzniosła się jeszcze wyżej. Droga nie wypadła tak prosto, jakby mogła -najwyraźniej ta Anan specjalnie zbaczała z drogi, by odwiedzić wszystkie możliwe gospody – niemniej zasadniczo kierowały się na wschód, a Nynaeve już zaczęła myśleć, że muszą być gdzieś w pobliżu rzeki, kiedy kobieta o migdałowych oczach zmienacka odwróciła się w ich stronę.

– Od teraz uważajcie na to, co mówicie. Odzywajcie się, kiedy was zapytają, a poza tym milczcie. Przysporzycie mi kłopotów, a... – Po raz ostatni zmarszczyła brwi, wymamrotała pod nosem, że najpewniej i tak popełnia błąd, a potem ruchem głowy dała im znak, że mają podążać za nią i ruszyła w kierunku domu o płaskim dachu po przeciwnej stronie ulicy.

Dom nie był szczególnie okazały, dwa piętra bez jednego nawet balkonu, popękane tynki, spod których w wielu miejscach wyzierała goła cegła, otoczenie też trudno było nazwać szczególnie miłym, ponieważ po jednej stronie stukały krosna tkacza, z drugiej dobiegał z niczym nie dający się pomylić zapach warsztatu farbiarza. Drzwi wszakże otworzyła pokojówka, siwiejąca już kobieta o kwadratowej szczęce, z ramionami niczym kowal i stalowym błyskiem w oczach, których wyrazu nie osłabiał nawet pot strumieniami ściekający po twarzy. Nynaeve weszła za panią Anan do wnętrza i uśmiechnęła się. Gdzieś w tym domu kobieta właśnie przenosiła.

Pokojówka o wydatnej szczęce najwyraźniej знаła Setalle Anan z widzenia, jednak na jej widok zareagowała doprawdy osobliwie. Ukłoniła się, okazując nieklamany szacunek, choć najwyraźniej była zdziwiona, widząc ją tutaj i nie do końca przekonana, że jest to właściwe. Kilkakrotnie załamała ręce, zanim wreszcie wpuściła je do środka. Widok dziewczyn przyjęła jednak bez poprzedniej ambiwalencji. Zaprowadzono je do salonu znajdującego się na pierwszym piętrze, a potem pokojówka zwróciła się do nich zdecydowanie:

– Nawet nie drgnijcie ani nie ruszajcie niczego, w przeciwnym razie przekonacie się, do czego stara jest zdolna – po czym zniknęła.

Nynaeve spojrzała na Elayne.

– Nynaeve, jedna przenosząca kobieta nie oznacza... -Wrażenie uległo zmianie, stało się na moment silniejsze, potem osłabło do poziomu mniej intensywnego niż na początku. – Nawet dwie kobiety, niczego nie znaczą – upierała się Elayne, ale w jej głosie dało się uchwycić pierwsze wątpliwości. – To była najgorzej ułożona pokojówka, jaką w życiu widziałam. – Zajęła czerwony fotelik o wysokim oparciu, po chwili Nynaeve usiadła również, jednak tylko przysiadając na poręczu. To nagła ochota przekonania się, co będzie dalej, sprawiała, że nie potrafiła zająć wygodnej pozycji, bynajmniej nie zdenerwowanie. Na pewno nie.

Pomieszczenie nie było szczególnie bogato urządzone, jednak niebiesko-białe płytki posadzki lśniły wypolerowane, zaś bladozielone ściany sprawiały wrażenie, jakby je świeżo odmalowano. Oczywiście nigdzie nie było nawet śladu złocień, jednak subtelne rzeźbienia pokrywały czerwone foteliki ustawione pod ścianami oraz kilka małych stoliczków w tym samym kolorze, co posadzka, tylko o ciemniejszym odcieniu. Lampy zwisające z uchwytych wykonano z mosiądzu, jednak wypolerowane były aż do połysku. Zręcznie ułożone gałęzie wieczniezielonych drzew wypełniały otwór wygaszonego kominka, którego gzyms był rzeźbiony, a nie tylko wyciosany z prostego kamienia. Tematyka rzeźbień mogła się wydawać nieco dziwna – składało się na nią to wszystko, co ludzie z okolic Ebou Dar określali jak Trzynaście Grzechów: człowiek z oczyma tak wytrzeszczonymi, żeomalże nie przesłaniały mu twarzy, symbolizował Zazdrość; człowiek z językiem wywieszonym do kostek przedstawiał Plotkę; wykrzywiony, przyciskający monety do piersi mężczyzna miał znamionować Chciwość, i tak dalej – niemniej widok sprawił, że poczuła się spokojna. Ktokolwiek mógł pozwolić sobie na ten pokój, mógł także zadbać o świeże tynki na froncie

domu, a jedynym powodem, dla którego tego nie zrobił, była zapewne dbałość o to, by nie zwracać na siebie uwagi, by się ukryć.

Pokojówka zostawiła drzwi otwarte, usłyszały nagle zbliżające się korytarzem głosy.

– Wprost nie potrafię uwierzyć, że je tutaj przyprowadziłaś. – Ton mówiącej aż nabrzmiewał niedowierzaniem i gniewem. – Wiesz, jakie staramy się być ostrożne, Setalle. Wiesz więcej, niż powinnaś, toteż z pewnością wiesz również o tym.

– Bardzo mi przykro, Reanne – odparła sztywno pani Anan. – Chyba naprawdę nie pomyślałam. Więc... wezmę na siebie zarówno odpowiedzialność za postępowanie tych dziewczątek, jak i podporządkuję się waszemu osądowi.

– Oczywiście, że nie! – Na chwilę ton głosu Reanne wzniósł się w wyższe rejestry, takie było jej zaskoczenie. – Chciałam powiedzieć, że... to znaczy, nie musisz, ale... Setalle, przepraszam, że podniosłam na ciebie głos. Powiedz, że mi wybaczasz.

– Nie masz powodów, żeby mnie przepraszać, Reanne. – Karczmarce udało się nadać swemu głosowi brzmienie równocześnie pełne żalu i niechęci. – Postąpiłam źle, przyprowadzając je tutaj.

– Nie, nie, Setalle. Nie powinnam się tak do ciebie odzywać. Musisz mi wybaczyć. Proszę.

W tym momencie Setalle Anan i Reanne Corly weszły do saloniku, a Nynaeve aż zamrugowała ze zdziwienia. Na podstawie posłyszanych głosów spodziewałaby się kogoś znacznie młodszego od pani Anan, jednak Reanne miała włosy całkowicie niemalże pokryte siwizną, a twarz pobrużdżoną zmarszczkami znamionującymi, że często się uśmiechała, choć obecnie wykrzywiał ją grymas niepokoju. Dlaczego starsza kobieta tak się poniżała przed młodszą i dlaczego młodszą jej na to pozwalała, nawet jeśli nie do końca z przekonaniem? Światłość jedna wiedziała, że obyczaje tutaj były odmienne, niektóre nawet w większym stopniu, niż jej się to podobało, wszakże z pewnością szacunek dla starszych musiał być wszędzie taki sam. Rzecz jasna, ona sama nigdy nie potrafiła okazać stosownej pokory przed Kołem Kobiet u siebie w domu, to jednak...

Oczywiście Reanne potrafiła przenosić – tego oczekiwała, w każdym razie miała nadzieję, że tak będzie – ale nie spodziewała się, że będzie aż taka silna. Reanne nie dysponowała dostępem do takich ilości Mocy jak Elayne, czy choćby Nicola – żeby szczęła ta paskudna dziewczyna! – jednak z łatwością dorównałaby Sheriam, powiedzmy, lub Kwamesie albo Kirunie. Niewiele spotykało się kobiet tak silnych, a choć ona sama znacznie je dystansowała, zaskoczyło ją znalezienie całej tej mocy tutaj właśnie. Kobieta musiała być jedną z dzikusek, a Wieża powinna była już dawno znaleźć sposób, aby taką jak ona dostać w swoje ręce, nawet gdyby miała nosić przez całe życie suknię nowicjuszeki.

Nynaeve powstała, kiedy tamte przeszły przez drzwi, podnosząc się, wygładziła spódnice. Nie ze zdenerwowania, z pewnością, na pewno nie. Och, żeby tylko wszystko poszło dobrze...

Ostre błękitne oczy Reanne spoczęły na nich obu; roztaczała wokół siebie atmosferę, jaka towarzyszy komuś, kto właśnie zastał w swojej kuchni dwie ociekające gnojem świnię, które świeżo uciekły z chlewika. Przyłożyła do twarzy niewielką chusteczkę, chociaż we wnętrzu domu było chłodniej niż na zewnątrz.

– Zakładam, że będziemy musiały coś z nimi począć – wymruczała – jeśli rzeczywiście są tymi, za które się podają. – Obecnie jej głos znowu poruszał się w wysokich rejestrach, był dźwięczny i niemal dziewczęcy. Kiedy skończyła zdanie, z jakiegoś powodu nieznacznie wzdrygnęła się i spod oka zerknęła na karczmarcę, co wywołało kolejny potok niechętnych przeprosin ze strony pani Anan oraz następną rundę prób pani Corly zapewnienia tamtej, że nic nie szkodzi. W Ebou Dar, kiedy ludzie naprawdę próbowali być grzeczni, wzajemne przeprosiny mogły trwać i godzinę.

Elayne podniosła się także, na jej twarzy zastygł nieco wymuszony uśmiech. Uniosła brew i

spojrzała na Nynaeeve, palcem podparła policzek, wspierając łokieć we wnętrzu drugiej dłoni.

Nynaeeve odkaszlnęła.

– Pani Corly, nazywam się Nynaeeve al’Meara, a to jest Elayne Trakand. Szukamy...

– Setalle wszystko mi o was powiedziała-złowieszco przerwała jej niebieskooka kobieta. Niezależnie od tego, ile miała siwych włosów na głowie, Nynaeeve podejrzewała, że musi być twarda niczym kamienny mur. – Zachowaj cierpliwość, dziewczyno, a zaraz się wami zajmę. – Odwróciła się do Setalle, ocierając policzki chusteczką. W jej głosie zabrzmiały znowuż ledwie tłumione tony nieśmiałości. – Setalle, gdybyś mogła nas zostawić same, muszę przepytać te dziewczyny i...

– Patrzcie, kto do nas wrócił po tych wszystkich latach – oznajmiła niska krępa kobieta, w średnim wieku, wpadając do pokoju i wiodąc za sobą drugą. Mimo iż miała na sobie powszechnie spotykaną w Ebou Dar suknię z czerwonym pasem, jej akcent był czysto cairhieniański. Jej towarzyszka, równie spocona, w ciemnych, prosto skrojonych wełnach kupca, była o głowę od niej wyższa i nie starsza niż Nynaeeve; oczy miała ciemne, skośne, nos zakrzywiony, usta szerokie. – To Garenia! Ona... – Strumień słów urwał się znieacka, kiedy zdała sobie sprawę z obecności pozostałych.

Reanne złożyła dłonie jakby do modlitwy, albo może jakby chciała kogoś uderzyć.

– Berowin – oznajmiła ostro – pewnego dnia spadniesz w przepaść, zanim zdasz sobie sprawę, że nie masz ziemi pod stopami.

– Przykro mi, Najstar... -Zarumieniwszy się, Cairhienianka spuściła wzrok. Saldaeanka nagle zaś zaczęła się z zainteresowaniem przyglądać okrągłej broszy z czerwonych kamieni przypiętej do staniczka sukni.

Nynaeeve natomiast nie mogła się powstrzymać i obdarzyła Elayne triumfującym spojrzeniem. Obie nowo przybyłe potrafiły przenosić, a nadto gdzieś w domu inna kobieta wciąż obejmowała *saidara*. A więc jeszcze dwie, a chociaż Berowin nie była szczególnie silna, Garenia prześcigała nawet Reanne; mogłaby dorównać Lelaine lub Romandzie. Nie żeby miało to jakieś znaczenie, oczywiście, jednak czyniło to w sumie przynajmniej pięć. Elayne uniosła jeszcze wyżej podbródek, co jak zawsze znamionowało upór, potem jednak westchnęła i nieznacznie skinęła głową. Czasami przekonanie jej wymagało niewiarygodnych iście wysiłków.

– Masz na imię Garenia? – zapytała powoli pani Anan, obserwując ją spod zmarszczonych brwi. – Bardzo przypominasz kogoś, kogo raz spotkałam. Nazywała się Zarya Alaese.

Ciemne skośne oczy zmrużyły się z zaskoczenia. Kobieta, która była saldaeańskim kupcem, wyciągnęła z rękawa koronkową chusteczkę i otarła nią policzki.

– Imię otrzymałam po siostrze babci – powiedziała po chwili. – Wszyscy mówili, że jestem do niej bardzo podobna. Czy miała się dobrze, gdy ją widziałas? Po tym, jak odeszła, by stać się Aes Sedai, całkowicie zapomniała o swojej rodzinie.

– Siostra twojej babki. – Karczmarka zaśmiała się cicho. – Oczywiście. Miała się dobrze, kiedy ostatnio ją widziałam, ale od tamtej pory minęło wiele czasu. Byłam wówczas młodsza, niż ty jesteś teraz.

Reanne próbowała coraz natarczywiej zwrócić na siebie jej uwagę, w pewnym momencie niemalże już chwyciła ją za łokieć, wreszcie, najwyraźniej nie potrafiąc już dłużej wytrzymać, odezwała się:

– Setalle, naprawdę mi przykro, ale muszę cię po raz drugi prosić, żebyś zostawiła nas same. Wybaczysz mi, że nie odprowadzę cię do drzwi?

Pani Anan zaczęła ze swej strony przeproszać, jakby to była jej wina, że tamta nie chce jej odprowadzić na dół, a potem wyszła, obrzuciwszy jeszcze Nynaeeve i Elayne ostatnim,

powątpiewającym spojrzeniem.

– Setalle! – wykrzyknęła Garenia, kiedy karczmarka wyszła. – To była Setalle Anan? W jaki sposób ona...? Na Światłość Niebios! Nawet po siedemdziesięciu latach Wieża mogłaby...

– Garenia – bardzo ostro przerwała jej pani Corly. Obrzuciła na dodatek spojrzeniem nawet chyba jeszcze bardziej surowym i twarz Saldaeanki oblała się purpurą. – Ponieważ wy dwie już tutaj jesteście, możemy przepytać je we trójkę. Wy, dziewczyny, zostańcie, gdzie stoicie i nie odzywajcie się. – Ostatnie zdanie adresowane było do Nynaeve i Elayne. Tamte kobiety zaś skupiły się w kącie pomieszczenia i zaczęły szeptać do siebie przyciszonymi głosami.

Elayne przysunęła się bliżej Nynaeve.

– Nie lubię, gdy traktuje się mnie tak, jakbym była nowicjuską, skoro już nią nie jestem. Jak długo masz zamiar ciągnąć tę farsę?

Nynaeve syknęła na nią, by zamilkła.

– Próbuję słuchać, Elayne – szepnęła.

Wykorzystanie Mocy oczywiście nie wchodziło w rachubę. Każda z nich trzech zorientowałaby się natychmiast. Na szczęście nie splotły żadnych zabezpieczeń przeciwko podsłuchiowaniu, być może nie wiedziały, jak to zrobić, zresztą, niekiedy ich głosy wznosiły się dostatecznie, by dało się coś usłyszeć.

– ...powiedziała, że mogą być dzikuskami – mówiła Reanne, a na twarzach pozostałych pojawił się szok i obrzydzenie.

– Wobec tego pokażemy im drzwi – powiedziała Berowin. – Tylne drzwi. Dzikuski!

– Dalej chcę wiedzieć, kim jest ta Setalle Anan – wtrąciła Garenia.

– Jeśli nie potrafisz trzymać się tematu – pouczyła ją Reanne – być może powinnaś spędzić tę turę na farmie. Alice znakomicie potrafi uczyć koncentracji. A teraz... – Słowa ścichły w niezrozumiały szmer.

Pojawiła się kolejna pokojówka, szczupła kobieta – nawet ładna, gdyby nie ponury wyraz twarzy – w prostej sukni z szarej wełny i długim białym fartuchu. Postawiła na jednym ze stoliczków tacę lakierowaną na zielono, a potem ukradkiem wytarła policzki rogiem fartucha i zajęła się rozstawianiem emaliowanych niebieskich filiżanek oraz dzbanka od kompletu. Brwi Nynaeve uniosły się do góry. Ta kobieta również potrafiła przenosić, nawet jeśli w niewielkim stopniu. Co robiła w roli służącej?

Garenia zerknęła przez ramię, wzdrygnęła się.

– Cóż zrobiła Derys, żeby zasłużyć sobie na karę? Sądziłam, że prędzej ryba zaśpiewa, niżli ona choćby naruszy regułę, cóż dopiero złamie?

Berowin parsknęła głośno, natomiast jej odpowiedź była ledwie słyszalna:

– Chciała wyjść za mąż. Dlatego szybciej zacnie swą turę i zaraz po Święcie Półksiężyca pojedzie z Keraille. To załatwi sprawę pana Denala.

– A może obie macie ochotę okopywać ziemię dla Alise? – sucho ucięła Reanne i głosy pozostałych znowu ścichły.

Nynaeve poczuła, jak ogarnia ją uniesienie. Nie dbała szczególnie o reguły, przynajmniej o reguły innych ludzi – tamci rzadko kiedy widzieli całą sytuację tak jasno jak ona, a przez to ustanawiali głupie reguły; dlatego, na przykład, tej kobiecie, Derys, nie wolno było wyjść za mąż, kiedy chciała? – jednak reguły i kary za ich naruszenie wskazywały na zorganizowaną społeczność. A więc miała rację. I pozostawała jeszcze jedna rzecz. Póty lekko ciągnęła za rękaw Elayne, póki tamta nie nachyliła do niej głowy.

– Berowin nosi czerwony pas – wyszeptwała. To czyniło z niej Mądrą Kobietę, jedną z

osławionych uzdrowicielek z Ebou Dar, których sława sięgała daleko, ustępując jedynie Uzdrawiającym Aes Sedai. Mówiono, że potrafią wyleczyć niemalże wszystko. Rzekomo miały posługiwać się wyłącznie ziołami i zgromadzoną wiedzą, jednak... – Jak wiele Mądrych Kobiet widziałyśmy, Elayne? Ile potrafiło przynosić? Ile pochodziło z Ebou Dar lub choćby z Altary?

– Siedem, licząc Berowin – usłyszała niespieszną odpowiedź – a tylko jedna, z całą pewnością, pochodziła stąd. – Ha! Pozostałe najwyraźniej były skądinąd. Elayne wciągnęła głęboki oddech, niemniej mówiła cicho dalej: – Żadna jednak nawet nie dorównywała siłą tym kobietom. – Przynajmniej nie zasugerowała, że mogły się jakimś sposobem pomylić, wszystkie tamte Mądre Kobiety dysponowały darem. – Nynaeve, naprawdę chcesz powiedzieć, że te Mądre Kobiety... wszystkie Mądre Kobiety... mogą...? – To by przekraczało najbardziej niewiarygodne wyobrażenia.

– Elayne, to miasto posiada gildię ludzi, którzy każdej nocy zamiatają place! Przypuszczam więc, że właśnie odnalazłyśmy Starożytny Skryty i Tajemniczy Zakon Żeński Mądrych Kobiet.

Uparta Elayne tylko pokręciła głową.

– Wieża przysłałaby tutaj sto sióstr już całe lata temu, Nynaeve. Dwieście. Coś takiego winno być zduszone w zarodku właściwie natychmiast.

– Może Wieża nie ma pojęcia – powiedziała Nynaeve. – Może gildia do tego stopnia trzyma się w ukryciu, że Wieża nigdy nie uznała jej za godną trudu. Nie istnieją prawa zabraniające ci przynosić, jeśli nie jesteś Aes Sedai, nie wolno ci tylko twierdzić, że nią jesteś, albo nadużywać Mocy. Tudzież dyskredytować sióstr. – To ostatnie oznaczało, na przykład, sytuację, która mogła prawdziwą Aes Sedai postawić w złym świetle, gdyby ktoś uznał cię za takową, a zdaniem Nynaeve, wszystko dzisiaj szło już zdecydowanie za daleko. Prawdziwy kłopot polegał jednak na tym, że nie wierzyła, aby tak było. Wieża z pozoru wiedziała wszystko i najprawdopodobniej zniszczyłaby ukryty krąg, gdyby tworzące go kobiety potrafiły przynosić. Jednak musiało przecież istnieć jakieś wyjaśnienie dla tego...

Nie do końca świadomie zarejestrowała, że któraś z tamtych objęła Prawdziwe Źródło, i niemal natychmiast przekonała się o tym na własnej skórze. Poczowała, że otwierają jej się usta, kiedy strumień Powietrza pochwyił jej warkocz przy podstawie czaszki i pchnął ją na czubkach palców przez cały pokój. Elayne biegła tuż obok niej, z twarzą czerwoną z wściekłości. Najgorsze ze wszystkiego było, że obie odgradzono tarczami od Źródła.

Krótki bieg skończył się przed panią Corly i pozostałymi dwoma, które zasiadły tymczasem pod ścianą, dopiero wtedy ich stopy dotknęły całą swą powierzchnią podłogi. Wszystkie kobiety otaczała poświata *saidara*.

– Powiedziano wam, byście były cicho – ostro stwierdziła Reanne. – Jeśli postanowimy wam pomóc, będziecie się musiały nauczyć, że oczekujemy bezwzględności posłuszeństwa w nie mniejszym stopniu niż sama Biała Wieża. – Ostatnie słowa wypowiedziała tonem pełnym szacunku. – Powiem wam, że traktowane byłybyście znacznie łagodniej, gdyby nie to, że trafiłyście do nas w cokolwiek nietypowy sposób. – Strumień ściskający warkocz Nynaeve zniknął. Elayne gniewnie odrzuciła głowę, kiedy ją również uwolniono.

Pełne przerażenia zdumienie zastąpiła płomienna wściekłość, gdy Nynaeve zrozumiała, że Berowin nie usunęła tarczy. Większość Aes Sedai, z którymi miała do czynienia, była silniejsza od Berowin, właściwie prawie wszystkie. Zebrała się w sobie i spróbowała sięgnąć do Źródła, spodziewając się, że rozniesie sploty tamtej na strzępy. Przynajmniej pokaże tym kobietom, że nie pozwoli się... Sploty... rozciągnęły się. Krągła Cairhienianka uśmiechnęła się, zaś twarz Nynaeve pociemniała. Tarcza rozciągała się coraz bardziej, nadymając niczym piłka. Nie przerwie się. To jest niemożliwe. Każda kobieta, rzecz jasna, mogła ją odgradzić od Źródła, jeśli przyłapała ją z

zaskoczenia, a słabsza kobieta mogła utrzymać raz splecioną tarczę, ale nie do tego stopnia słabsza. To było niemożliwe!

– Może ci pęknąć żyłka, jeśli będziesz dalej się tak wysilać – powiedziała Berowin tonem niemalże takim, jakby prowadziła zwykłą towarzyską rozmowę. – My nie próbujemy sięgać wyżej naszych możliwości, jednak wraz z upływem czasu umiejętności stają się coraz bardziej wyrafinowane, a w moim przypadku ta sztuczka może być uznane niemalże za Talent. Potrafiłabym przytrzymać jedną z Przeklętych.

Nynaeve wykrzywiła się i poddała. Mogła poczekać. Mogła, bo i tak nie miała innego wyboru.

Przyszła Derys z tacą, rozdała filiżanki ciemnej herbaty. Trzem siedzącym kobietom. Nawet nie spojrziała na Nynaeve czy Elayne, tylko ukłoniła się tamtym i wróciła do swego stolika.

– Mogłyśmy pić herbatę z czarnej porzeczki, Nynaeve – powiedziała Elayne, rzucając jej takie spojrzenie, że ta omal się nie cofnęła. Być może lepiej będzie nie czekać zbyt długo.

– Bądź cicho, dziewczyno – choć ton głosu pani Corly był spokojny, jednak w ruchu ręki ocierającej chusteczką twarz czaił się gniew. – Doniesiono nam wszystko na wasz temat: że jesteście obie bezczelne i kłótlive, że uganiacie się za mężczyznami i kłamiecie. Do tego dodać mogę jeszcze, że nie potraficie stosować się do najprostszych poleceń. Wszystko to się musi zmienić, jeśli chcecie skorzystać z naszej pomocy. Wszystko. To jest najbardziej nietypowe. Bądźcie wdzięczne, że w ogóle chcieliśmy z wami rozmawiać.

– Naprawdę potrzebujemy waszej pomocy – powiedziała Nynaeve. Jakże pragnęła, by Elayne przestała tak złowrogo na nią patrzeć. To było jeszcze gorsze niż zimne spojrzenie tej Corly. A przynajmniej równie złe. – Rozpaczliwie poszukujemy pewnego *ter'angreal*...

W tym momencie Reanne Corly weszła jej w słowo, z taką obojętnością, jakby w ogóle do niej nie docierało, że ona cokolwiek mówi:

– Zazwyczaj z góry znamy dziewczęta, które się do nas przyprowadza, musimy się więc upewnić, że jesteście tymi, za które się podajecie. Z ilu drzwi do Biblioteki Wieży mogą korzystać nowicjuszeki, i które są to drzwi? – Upiła łyk herbaty, czekała.

– Z dwojga. – Słowa wypłynęły niczym jad z ust Elayne. – Jest to główne wejście od wschodu, wtedy gdy posyła je siostra, albo małe drzwi na południowo-wschodnim krańcu, zwane Drzwiami Nowicjuszek, kiedy udają się tam z własnej woli. Jak długo jeszcze, Nynaeve?

Garenia, która trzymała tarczę Elayne, przeniosła kolejny cienki strumień Powietrza, nie będąc przy tym delikatna. Elayne zadrżała, potem znowu, a Nynaeve aż mrugnęła, dziwiąc się, że tamta nie schwyciła się z tyłu za suknię.

– Grzeczne słowa stanowią kolejny wymóg – wymruczała gniewnie Garenia z ustami ukrytymi w filizance.

– To jest właściwa odpowiedź – oznajmiła pani Corly, jakby nic więcej się nie wydarzyło. Jednakże obdarzyła Saldaeankę przelotnym spojrzeniem ponad krawędzią swojej filiżanki. – A teraz, ile jest mostów w Wodnym Ogrodzie?

– Trzy – warknęła Nynaeve, głównie dlatego, że wiedziała. Ponieważ nigdy nie była nowicjuską, nie miała pojęcia o istnieniu biblioteki. – Musimy wiedzieć...

Berowin nie posiadała dość Mocy, by upleść jeszcze jeden strumień Powietrza, ale pani Corly mogła to zrobić i zrobiła. Ledwo mogąc utrzymać niewzruszony wyraz twarzy, Nynaeve wczepiła dłonie w fałdy sukni, by nawet nie drgnęły. Elayne miała na tyle śmiałości, by rzucić jej lekki, zimny uśmiech. Zimny, lecz pełen satysfakcji.

Tamte nękały je jeszcze kilkunastoma pytaniami, począwszy od tego, ile pięter posiadają kwatery nowicjuszek – dwanaście – do kwestii, w jakich okolicznościach nowicjuszka może pojawić

się w Komnacie Wieży – aby dostarczyć wiadomość albo w sytuacji, gdy jest wydalona z Wieży za jakieś przestępstwo; w żadnych innych – nękały je, zaś Nynaeve nie mogła wtrącić więcej jak dwa słowa, a i na te w całkowitym milczeniu odpowiadała czynem straszliwa Corly. Zaczynała się już czuć jak nowicjuszka w Wieży, im również nie pozwalano odezwać się ni słowem. To była jedna z niewielu odpowiedzi, jakie знаła, na szczęście Elayne zawsze chętnie pomagała, gdy ona milczała. Nynaeve mogłoby powiedzieć się lepiej, gdyby pytania dotyczyły Przyjętych, przynajmniej odrobinę lepiej, ale tamte interesowało tylko to, co mogła wiedzieć nowicjuszka. Tak więc kontentowała się tym, że Elayne ma ochotę dalej wszystko ciągnąć, chociaż wnioskując z białych policzków i uniesionego podbródka, nie miało to potrwać zbyt długo.

– Przypuszczam, że Nynaeve naprawdę tam była -oznajmiła na koniec Reanne, wymieniając spojrzenia z pozostałymi dwoma. – Gdyby Elayne nauczyła ją wszystkiego, z pewnością zrobiłaby to lepiej. Niektórzy ludzie żyją w nieustającej mgle. – Garenia parsknęła, potem powoli pokiwała głową. Skinienie Berowin było nazbyt żywe, by Nynaeve mogło się podobać.

– Proszę – oznajmiła grzecznie. Potrafiła być grzeczna, gdy istniały po temu powody, niezależnie od tego, co o niej mawiano. – Naprawdę musimy odnaleźć *ter'angreal*, który wśród Ludu Morza nosi miano Czary Wiatrów. Znajduje się on w zakurczonym magazynie, gdzieś w Rahad, a ja sądzę, że wasza gildia, wasz Krąg, musi wiedzieć, gdzie on jest. Proszę, pomóżcie nam. – Nagle zobaczyła przed sobą trzy skamieniałe oblicza.

– Nie istnieje żadna g i l d i a – oznajmiła zimno pani Corly – jest tylko kilka przyjaciółek, dla których zabrakło miejsca w Białej Wieży... – Znowu ten pełen szacunku ton. – ...i które są na tyle niemądre, aby od czasu do czasu wyciągnąć pomocną dłoń ku tym, które znalazły się w potrzebie. Nie mamy też żadnego zbioru *ter'angreali*, ani *angreali*, ani *sa'angreali*. Nie jesteśmy Aes Sedai. – Słowo “Aes Sedai” również niosło w sobie nutę nabożnej iście czci. -W każdym razie nie jesteście tu po to, by zadawać pytania. To my mamy do was jeszcze trochę pytań, chcemy się bowiem dowiedzieć, jak daleko posunęłyście się w nauce, a potem zostaniecie zabrane na wieś i oddane pod opiekę przyjaciółce. Zostaniecie u niej, póki nie zdecydujemy, co z wami zrobić w następnej kolejności. Póki nie uzyskamy pewności, że siostry was nie szukają. Przed wami zaczyna się nowe życie, nowa szansa, musicie tylko zechcieć ją dostrzec. Cokolwiek stanęło wam na przeszkodzie w Wieży, tutaj się nie liczy, czy był to brak umiejętności, czy strach, czy co tam jeszcze. Nikt was nie będzie zmuszał, byście się uczyły albo robiły coś, czego nie potraficie. To, czym jesteście, zupełnie nam wystarcza. Teraz.

– Wystarczy -powiedziała Elayne głosem niczym podmuch zimy. – Tego już wystarczy, Nynaeve. Czy może chcesz czekać na wsi, nie wiadomo jak długo? One tego nie mają, Nynaeve. – Wyjęła swój Pierścień z Wielkim Wężem z mieszka, wsunęła złoty krąg na palec. Ze sposobu, w jaki patrzyła na siedzące kobiety, nikt by się nie domyślił, że jest odgradzona tarczą. Była królową wyprowadzoną z równowagi. Była Aes Sedai do szpiku kości, oto czym była. – Jestem Elayne Trakand, Głowa Domu Trakand. Jestem Dziedziczką Tronu Andoru i Aes Sedai z Zielonych Ajah. Domagam się, byście mnie natychmiast uwolniły. – Nynaeve jęknęła.

Garenia skrzywiła się z niesmakiem, a oczy Berowin rozszerzyły w przerażeniu. Reanne Corly pokręciła głową ponuro, kiedy jednak się odezwała, jej głos brzmiał twardo i nieustępliwie niczym żelazo.

– Miałam nadzieję, że Setalle przemówiła wam do rozumu, byście nie popełniały tego szczególnego kłamstwa. Wiem, jak to trudno dumnie wyruszać do Białej Wieży, a potem stanąć przed koniecznością powrotu do domu i przyznania się do porażki. Ale tego nigdy nie wolno mówić, nawet żartem!



– Ja nie żartuję – oznajmiła lekko Elayne.

Garenia pochyliła się naprzód z twarzą nachmurzoną, już formował się przed nią splot Powietrza, ale pani Corly uniosła dłoń.

– A ty, Nynaeve? Czy ty również trwasz w tym... szaleństwie?

Nynaeve nabrała powietrza do płuc. Te kobiety na pewno wiedzą, gdzie jest Czara, muszą wiedzieć!

– Nynaeve! – zawołała z irytacją Elayne. Nynaeve rozumiała, że tego już tamta z pewnością jej nie zapomni, nawet gdyby później musiały uciekać. Umiała tak zręcznie wypominać najdrobniejsze potknięcia, że w końcu traciło się grunt pod nogami.

– Jestem Aes Sedai z Żółtych Ajah – powiedziała zmęczonym głosem Nynaeve. – Prawdziwa Amyrlin, Egwene al’Vere, wyniosła nas do szala w Salidarze. Ona sama nie jest starsza od Elayne, musiałyście o tym słyszeć. – Wyraz tych twardej twarzy nie zmienił się nawet na jotę. – Wysłała nas, byśmy odnalazły Czarę Wiatrów. Za jej pomocą będziemy w stanie poprawić pogodę. – Nic się nie zmieniło. Próbowwała powściągnąć swój gniew, naprawdę próbowała. Ale on dalej wrzał, niebaczny na jej wysiłki. – Musicie przecież tego chcieć! Rozejrzycie się dookoła! Czarny dławi świat! Jeśli dysponujecie choćby wskazówką tyczącą tego, gdzie jest Czara, powiedzcie nam!

Pani Corly dała znak Derys, która podeszła i zabrała filiżanki, rzucając pełne strachu spojrzenia szeroko rozwartych oczu na Nynaeve i Elayne. Kiedy odchodziła, tym razem naprawdę uciekając z pokoju, trzy kobiety powstały powoli i stały tak niczym ponurzy sędziowie ogłaszający wyrok.

– Przykro mi, że nie chcecie naszej pomocy – oznajmiła zimno pani Corly. – Żałuję, że w ogóle wdałam się w całą sprawę. – Sięgnęła do swojej sakiewki, a potem wcisnęła po trzy srebrne marki w dłonie Nynaeve i Elayne. – Dzięki nim uda wam się przeżyć jakiś czas. Możecie otrzymać trochę pieniędzy za te suknie. Tak mi się wydaje, nawet jeśli nie będzie to tyle, ile za nie zapłaciłyście. Stanowią nieszczerze stosowne ubiory do podróży. Jutro o świcie wyjedziecie z Ebou Dar.

– Nigdzie nie wyjedziemy – odparła Nynaeve. – Proszę, jeśli tylko wiecie... – Równie dobrze mogłaby nie rzec nic. Słowa wypowiedane równym głosem nie przestawały płynąć:

– W tej samej chwili zaczniemy rozpowszechniać wasze opisy i zadamy o to, by dotarły do uszu sióstr w Pałacu Tarasin. Jeśli zostaniecie dostrzeżone po wschodzie słońca, dopatrzemy, aby siostry dowiedziały się, gdzie was szukać, jako i Białe Płaszcz. Staniecie wówczas przed wyborem: uciekać, poddać się siostronom albo zginąć. Odejdźcie, nie wracajcie, a będziecie żyły długo, jeśli tylko uda wam się porzucić ten odrażający i niebezpieczny podstęp. Skończyliśmy z wami. Berowin, zajmij się nimi, proszę. – Przepchnęła się między nimi i wyszła z pokoju, ani razu nie odwracając głowy.

Nynaeve z oporami dała się zagnać na dół i dalej do frontowych drzwi. Nie mogła oczekiwać, że osiągnie cokolwiek swoimi wysiłkami, oprócz tego, że ją wyrzucą siłą, ale nie lubiła się poddawać. Światłości, naprawdę nie lubiła! Elayne jednak szła spokojnie, aż sztywna z determinacji, by natychmiast stąd wyjść i mieć wszystko za sobą.

W małym korytarzu wejściowym Nynaeve postanowiła spróbować raz jeszcze.

– Proszę, Garenia, Berowin, jeśli znacie choćby najdrobniejszą wskazówkę, powiedzcie nam. Cokolwiek. Musicie rozumieć, jakie to jest ważne. Musicie!

– Najbardziej ślepi są ci, którzy zamykają oczy – zacytowała Elayne, tak że swobodnie mogły ją usłyszeć.

Berowin zawahała się, ale Garenia nie miała żadnych wątpliwości. Stała twarzą w twarz z Nynaeve.

– Czy bierzesz nas za idiotki, dziewczyno? Oto, co ci powiem. Gdybym miała w tej sprawie coś

do powiedzenia, dostarczyłabym was związane na farmę niezależnie od tego, co mówicie. Kilka miesięcy pod czujnym okiem Alise, a nauczyłybyście się uważać na słowa i wyrażać wdzięczność za pomoc, na którą naplułyście.

Nynaeve zastanawiała się, czy nie uderzyć tamtej w nos, nie potrzebowała *saidara*, by zrobić użytek z pięści.

– Garenia – oznajmiła ostro Berowin. – Przeproś! Nie przetrzymujemy nikogo wbrew jego woli, dobrze o tym wiesz. Przeproś natychmiast!

I cud nad cudami, kobieta, która znajdowała się bardzo blisko szczytu, gdyby była Aes Sedai, spojrzała spode łba na kobietę stojącą blisko dna i spłonęła rumieńcem.

– Proszę o wybaczenie – wymamrotała, kierując swe słowa do Nynaeve. – Czasami mój charakter bierze nade mną górę i mówię rzeczy, jakich mówić nie mam prawa. Pokornie błagam o wybaczenie. – Kolejne spojrzenie z ukosa na Berowin, która skinęła głową i wydała z siebie westchnienie najczystszej ulgi.

Kiedy Nynaeve wciąż gapiała się na nie, tarcze zniknęły, a ona i Elayne zostały wypchnięte na ulicę – drzwi zatrzasnęły się za nimi z hukiem.

# ROZDZIAŁ 5

## RODZINA

“Niewiarygodne” – pomyślała Reanne, obserwując przez okno, jak dwie dziwne dziewczyny znikają w głębi ulicy wśród tłumu domokrażców, żebraków i okazjonalnych lektyk. Wróciła do pokoju narad, gdy tylko tamte zeń wyprowadzono. Nie miała pojęcia, co o nich myśleć, a niewzruszone obstawanie przy tak jawnie absurdalnych przekonaniach, pogłębiało tylko jej konfuzję.

– Nie pociły się – wyszeptała przy jej ramieniu Berowin.

– Tak? – Była w stanie zaaranżować wszystko tak, by wieści dotarły do Pałacu Tarasin w ciągu godziny, gdyby tylko nie dała słowa. I gdyby nie niebezpieczeństwo. Strach kłębił się w jej żołądku, taka sama panika, która zdjęła ją po pierwszym przejściu przez srebrne łuki, podczas inicjacji na Przyjętą. To był ten strach, jaki kasał ją w latach, które potem nadeszły. I podobnie jak w tych latach opanował ją po raz kolejny; tak naprawdę, nie zdawała sobie sprawy, że inny strach, strach przed tym, iż znowu mogłaby uciec z wrzaskiem, już dawno zablokował najdrobniejszą nawet możliwość takiego postępowania. Modliła się, by te dziewczyny porzuciły swe szaleństwo. Modliła się, żeby, jeśli to nie nastąpi, zostały schwytane daleko od Ebou Dar, i żeby je albo uciszono, albo im nie uwierzono. Środki ostrożności i tak trzeba będzie przedsięwziąć, wznieść zabezpieczenia, których nie używano od lat. Jednakowoż, skoro Aes Sedai były niemalże wszechmocne, żadne zabezpieczenia i tak na nic się nie zdadzą. To akurat podpowiadał jej jakiś wewnętrzny głos.

– Najstarsza, czy to możliwe, aby jedna z nich dwóch rzeczywiście była...? Przenosiłyśmy przecież i...

Berowin urwała z żalną miną, ale Reanne nie musiała się zastanawiać, nie miała żadnych wątpliwości, odsyłając młodszą dziewczynę. Dlaczego którakolwiek Aes Sedai miała udawać, że jest czymś gorszym, tak znacznie gorszym? Poza tym każda prawdziwa Aes Sedai natychmiast kazałaby im klęknąć i błagać o litość, na pewno zaś nie stałaby sobie tak pokornie.

– Nie przenosiłyśmy w obecności Aes Sedai – oznajmiła zdecydowanie. – Nie złamałyśmy reguły. – Zasady reguły stosowały się do niej z taką samą surowością jak do pozostałych; pierwsza stanowiła, że wszystkie są jednością, nawet te przez czas jakiś stojące ponad innymi. Jak mogłoby być inaczej, skoro stojące wyżej musiały przecież kiedyś zstąpić w dół? Tylko dzięki ciągłym zmianom i pozostawaniu w ruchu, mogły pozostać nie odkryte.

– Ale niektóre z plotek rzeczywiście wspominają, że Amyrlin to jakaś dziewczyna, Najstarsza. A ona wiedziała...

– Buntowniczką. – Reanne włożyła w to słowo całe niedowierzanie, jakie odczuwała. Że którakolwiek ośmieliła się zbuntować przeciwko Białej Wieży! Nie należało się dziwić, że zupełnie niewiarygodne historie szły w ślad za takim absurdem!

– A co z Logainem i Czerwonymi Ajah? – dopytywała się Garenia, aż Reanne musiała zmierzyć ją surowym spojrzeniem. Kobieta naląła sobie następną filiżankę herbaty i teraz popijała, udając, że nie zwraca uwagi.

– Jakakolwiek jest prawda, Garenio, nie naszą jest rzeczą krytykować poczynania Aes Sedai. – Usta Reanne zacisnęły się. To, co powiedziała, stanowiło ledwie zarys uczuć, jakie żywiła wobec buntowniczek, jak jednak Aes Sedai mogły zrobić coś takiego?

Saldaeanka pochyliła głowę w milczącej zgodzie, być może jednak chciała ukryć skrzywione w uporze usta. Reanne westchnęła. Ona sama już dawno porzuciła marzenia o zostaniu Zieloną Ajah, ale były przecież i takie, które jak Berowin wierzyły, w całkowitym sekrecie, jak im się wydawało,

że jakimś sposobem uda im się wrócić pewnego dnia do Białej Wieży, że jednak zostaną Aes Sedai. I były też kobiety, jak Garenia, równie kiepsko dochowujące sekretu swych pragnień, które wszak były dziesięciokrotnie bardziej zakazane. Ona, w głębi duszy, chętnie przyjmowałyby w swe szeregi dzikuski, a nawet organizowała poszukiwania dziewczynek, które można by uczyć!

Garenia wszakże jeszcze nie skończyła, zawsze spacerowała po cienkiej linii odgraniczającej dyscyplinę i nierzadko ją zresztą przekraczała.

– A co w obecnej sytuacji poczniemy z tą Setalle Anan? Dziewczyny wiedziały o Kręgu. Ta kobieta musiała im powiedzieć, ale skąd ona wiedziała... – Wzruszyła ramionami w sposób, który w oczach pozostałych z pewnością wydawałby się nazbyt ostentacyjny, nigdy jednak nie potrafiła zbyt dobrze ukrywać emocji. Nawet kiedy powinna. – Ta, która nas przed nią zdradziła, musi zostać odnaleziona, a jej zdrada również ukarana. A karczmarzkę trzeba nauczyć, jak trzymać język za zębami! – Berowin aż zaparło dech w piersiach, z oczyma szeroko rozwartymi od przeżytego wstrząsu opadła na krzesło tak ciężko, że nieomal podskoczyło.

– Pamiętaj, kim ona jest, Garenio – ostro oznajmiła Reanne. – Gdyby Setalle nas zdradziła, czołgałybyśmy się teraz do Tar Valon, przez całą drogą błagając o zmiłowanie. – Gdy po raz pierwszy przybyła do Ebou Dar, opowiadano jej historię o kobiecie, którą zmuszono, by się czołgała aż do samej Białej Wieży, by przekonać się, że i tak jeszcze niczego nie przeżyła, gdy wreszcie Aes Sedai zaczęły zadawać jej pytania. – Tych kilku sekretów, które zna, nie wyjawi z wdzięczności, a wątpię, by akurat to jej uczucie miało się rozwiać. Umarłaby podczas pierwszego porodu, gdyby Rodzina nie pomogła. To, co ona wie, wie od beztrioskich języków, które inne rozpuszczały, sądząc, że niczego nie słyszy, ich właścicielki zostały zresztą ukarane ponad dwadzieścia lat temu. – A jednak żałowała, że nie istnieje sposób, by mogła raz jeszcze poprosić Setalle o większą dyskrecję. Powinna mówić nadzwyczaj ostrożnie w obecności tych dziewczyn.

Kobieta ponownie skłoniła głowę, ale jej usta zakrzepły w upartym grymasie. Przynajmniej część obecnej tury, zdecydowała Reanne, Garenia spędzi w odosobnieniu, a ona udzieli jej szczegółowych zaleceń, jak się nauczyć trzymania języka za zębami. Alise rzadko zabierało więcej niż tydzień, by przekonać kobietę, że upór nie popłaca.

Zanim jednak zdążyła poinformować o tym Garenię, w drzwiach pojawiła się Derys, ukloniła i zapowiedziała Sarainę Vostovan. Swoim zwyczajem Sarainya weszła natychmiast do środka, nie dając Reanne czasu, aby mogła ją stosownie powitać. W jakiś sposób ta uderzająco urodziwa kobieta sprawiała, że Garenia wydawała się bardziej uległa, mimo iż tamta ściśle trzymała się wszystkich postanowień reguły. Reanne pewna była, że gdyby zostawiono jej wybór, nosiłaby włosy zaplecione w warkoczyki, a w nich dzwoneczki, i mniejsza o to, jak by to wyglądało z czerwonym pasem. Ale z kolei, gdyby dano jej wybór, nawet jednej tury nie odsłużyłaby w pasie.

Sarainya ukloniła się w drzwiach, rzecz jasna, i uklękła przed nią, pochyliła głowę, ale pięćdziesiąt lat bynajmniej nie skłoniło jej do zapomnienia, iż byłaby kobietą o znacznej mocy, gdyby potrafiła zmusić się do powrotu do domu, do Arafel. Ukłon i cała reszta stanowiły koncesję. Kiedy wreszcie przemówiła, tym swoim mocnym dźwięcznym głosem, myśli o tym, czy ta kobieta kiedykolwiek się poprawi oraz problemy z Garenią, całkowicie umknęły z głowy Reanne.

– Callie nie żyje, Najstarsza Siostró. Poderżnięto jej gardło i została obrabowana nawet ze swych pończoch, jednak Sumeko mówi, że to Jedyna Moc ją zabiła.

– To niemożliwe! – wybuchnęła Berowin. – Żadna Kuzynka nie zrobiłaby takiej rzeczy!

– Aes Sedai? – zapytała Garenia, choć raz się wahając. – Ale jak? Trzy Przysięgi. Sumeko musi się mylić.

Reanne podniosła dłoń, nakazując milczenie. Sumeko nigdy się nie myliła, nie w takiej kwestii.

Zostałaby Żółtą Ajah, gdyby nie załamała się całkowicie podczas prób poprzedzających przywdzianie szala, a chociaż było to zabronione, mimo niezliczonych kar ciągle pracowała, by nauczyć się więcej, kiedy myślała, że nikt jej nie widzi. A zatem nie mogła tego zrobić żadna Aes Sedai, to oczywiste, żadna Kuzynka też by tego nie zrobiła, natomiast... Te dziewczyny, takie natrętne, wiedzące, czego wiedzieć nie powinny. Krąg istniał już zbyt długo, zapewniając wsparcie tylu kobietom, aby teraz miał zostać zniszczony.

– Oto, co należy zrobić – oznajmiła im. Znowu poczuła to znajome ukłucie strachu, jednak teraz ledwie zwróciła na nie uwagę.

Nynaeve odchodziła spod drzwi małego domku ogarnięta wściekłością. To było zupełnie niewiarygodne! Te kobiety stworzyły gildię, wiedziała, że tak jest! Cokolwiek mówiły, pewna była, że wiedzą również, gdzie jest Czara. Zrobiłaby wszystko, co konieczne, byle tylko zmusić je do wyznania. Udawanie pokory w ich obecności przez kilka godzin i tak stanowiło zadanie łatwiejsze, niżli włóczenie się za Matem Cauthonem przez, światłość jedna wiedziała, ile dni.

“Powinnam być tak pokorna, jak chcieli” – pomyślała ze złością. – “Pomyślałyby o mnie, że jestem miękka jak stary pantofel. Mogłam...” – Było to kłamstwo i sama o tym wiedziała, bez potwierdzającego tego ohydneho niesmaku, którego nie sposób zapomnieć. Gdyby dały jej najmniejszą choćby możliwość, potrząsałaby tymi kobietami, póki nie powiedziałyby jej tego, co chciała wiedzieć. Dałaby im odczuć Aes Sedai, póki by nie zaczęły piszczeć!

Z ukosa zmierzyła ponurym wzrokiem Elayne. Tamta wydawała się całkowicie pogrążona w myślach. Nynaeve żałowała, że nie ma pojęcia, jakie są te myśli. Zmarnowany poranek, a na dodatek omal nie zostały ostatecznie poniżone. Nie lubiła się mylić. A poza tym, nie przywykła jeszcze, aby się do tego przyznawać! A teraz musiała przeprosić Elayne. Naprawdę nienawidziła przeproszać. Cóż, i tak będzie to wystarczająco nieprzyjemne, gdy znajdą się w swoich pokojach. Należało mieć przynajmniej nadzieję, że Birgitte i Aviendha jeszcze nie wróciły. W każdym razie nie zaczęły przeproszać na ulicy, nie wiadomo, kto mógłby się napatoczyć. Ciżba ludzka zgęstniała, chociaż tarcza słońca, przeświecająca przez kłębiące się chmary ptactwa krzyczące nad głowami, nie wisiała dużo wyżej na niebie niżli wtedy, kiedy widziały ją po raz ostatni.

Znalezienie drogi powrotnej bynajmniej nie było łatwe, po tym całym kluczeniu i zawracaniu. Nynaeve przynajmniej z pięć razy musiała pytać o kierunek, podczas gdy Elayne patrzyła w drugą stronę, udając obojętność. Szły tak więc przez mosty, przeciskając się między wozami i wózkami, uskakując z drogi rozpedzonym lektykom, które lawirowały w tłumie, a cały czas pragnęła, by Elayne wreszcie się odezwała. Nynaeve sama najlepiej wiedziała, jak podsycać w sobie urazę, a im dłużej w takich przypadkach milczała, tym gorzej później było, gdy się już odezwała, a więc im dłużej Elayne szła w całkowitym milczeniu, tym bardziej ponura stawała się wizja tego, co czeka je obie, gdy wrócą do pokoi. To sprawiało, że zaczynała się gotować w środku. Przyznała, że się pomyliła, nawet jeśli tylko sama przed sobą. Elayne nie miała prawa sprawiać, by cierpiała w ten sposób. Pod wpływem tych myśli tak wykrzywiła twarz, że nawet ludzie, którzy nie dostrzegli ich pierścieni, ustępowali im z drogi. Natomiast ci, którzy je zauważali, zazwyczaj znajdowali dość nagłych powodów, by znaleźć się kilka ulic dalej. Nawet niektórzy tragarze lektyk najwyraźniej je omijali.

– Na ile lat wyglądała ci ta Reanne? – zapytała zniecierpliwiona Elayne. Nynaeve omal nie podskoczyła. Znajdowały się niemalże już przy samym Mol Hara.

– Pięćdziesiąt lat. Może sześćdziesiąt. Nie wiem, dlaczego miałoby to mieć jakieś znaczenie. – Przebiegła oczyma tłum, by zorientować się, czy ktoś nie stoi dostatecznie blisko, aby je słyszeć.

Obok przechodziła wędrowną handlarka, na swej tacy niosła żółte kwaśne owoce nazywane cytrynami. Kiedy spoczęło na niej spojrzenie Nynaeve, próbowała w pół słowa urwać swe nawoływania, z tym skutkiem, że kaszel i charczenie zgięły ją wpół nad tacą. Nynaeve parsknęła. Ta kobieta przypuszczalnie podsłuchiwała, jeśli wręcz nie chciała odciąć im sakiewek. – One tworzą gildię, Elayne, i one wiedzą, gdzie jest Czara. Po prostu wiem, że tak jest. – Było to coś, czego wcale nie zamierzała powiedzieć. Gdyby teraz przeprosiła Elayne za to, że ją tam zaciągnęła, może nie skończyłoby się wszystko aż tak źle.

– Tak przypuszczam – odparła tamta nieobecny głosem. – Zakładam, że jest to możliwe. Jak to się stało, że ona się tak postarzała?

Nynaeve zatrzymała się jak wryta pośrodku ulicy. Po całej tej kłótni, po tym, jak wyrzucono je na ulicę, ona sobie coś tam przypuszcza?

– Cóż, ja przypuszczam, że postarzała się w ten sam sposób, co reszta z nas, dzień za dniem. Elayne, jeśli nie uwierzyłaś, dlaczego oznajmiłaś kim jesteś, niczym Rhiannon w Wieży? – Nynaeve spodobało się to porównanie. Wedle jej wiedzy, królową Rhiannon spotkał los dalece odbiegający od oczekiwania.

Jednak sens przypowieści najwyraźniej nie dotarł do Elayne, mimo całego jej wykształcenia. Odsunęła Nynaeve na bok, by uchronić ją przed wpadnięciem pod zielony powóz, który z grzechotem przemknął obok nich – ulica była w tym miejscu stosunkowo wąska – i tym sposobem znalazły się przed frontem sklepu szwaczki, z szerokim wejściem, ukazującym kilka manekinów odzianych w na poły ukończone suknie.

– Nie zamierzały nam niczego powiedzieć, Nynaeve, nawet gdybyś uklękła przed nimi na kolanach i błagała. – Nynaeve obrażona już otworzyła usta, ale moment później zamknęła je szybko. Nigdy nawet nie wspomniała o błaganii. A zresztą, dlaczego tylko ona miałaby to robić? W każdym razie, lepsza już była nawet najgorsza kobieta niż Mat Cauthon. Elayne jednak miała muchy w nosie i nie wolno jej było rozpraszać. – Nynaeve, ona musiała wejść w spowolnienie jak wszystkie pozostałe. Jak stara musiałaby być, żeby wyglądać na pięćdziesiątkę albo sześćdziesiątkę?

– O czym ty mówisz? – Nynaeve nie myśląc wiele, zapamiętała położenie sklepu, dzieła szwaczki wyglądały obiecująco i warte były poświęcenia im bliższej uwagi. – Ona prawdopodobnie w nie większym stopniu przenosi niż potrafi nam pomóc, zapewne bojąc się, żeby jej nie wzięto za siostrę. Z pewnością nawet nie chce, by jej twarz wyglądała na zbyt gładką.

– Nigdy nie uważałaś na zajęciach, nieprawdaż? – mruknęła Elayne. Potem zobaczyła pulchną szwaczkę w drzwiach i pociągnęła Nynaeve w kierunku rogu budynku. Kobieta miała takie ilości koronek przy sukni – skrywały cały staniczek i spływały nawet na wyeksponowane halki-że zanosilo się, iż Nynaeve istotnie coś u niej zamówi, a wróżyło to długie oględziny. – Nynaeve, zapomnij na chwilę o sukienkach. Kto jest najstarszą Przyjętą, jaką pamiętasz?

Obdarzyła Elayne spojrzeniem całkowicie pozbawionym wyrazu. Tamta powiedziała to takim tonem, jakby ona nigdy nie myślała o niczym innym! A przecież słuchała. Przynajmniej czasami.

– Elin Warrel, jak mniemam. Wydaje mi się, że jest w moim wieku. – Oczywiście suknia szwaczki wyglądałaby znacznie lepiej z bardziej skromną linią karczku i mniejszą ilością koronek. Uszyta z zielonego jedwabiu. Lan lubił zieleń, chociaż z pewnością nie miała zamiaru dla niego wybierać barwy sukni. Błękit też przecież lubił.

Elayne wybuchnęła takim śmiechem, że Nynaeve zastanowiła się, czy przypadkiem nie myślała na głos. Spłonęła rumieńcem i próbowała coś wyjaśnić – była pewna, że jej się uda, pewnie w okolicach Bel Tine – ale tamta nie dopuściła jej nawet do słowa.

– Siostra Elin przyjechała ją odwiedzić tuż przed twoją pierwszą wizytą w Wieży, Nynaeve. Jej

młodsza siostra. A miała siwe włosy. Cóż, przynajmniej po części. Musiała mieć ponad czterdzieści lat, Nynaeve.

Elin Warrel miała ponad czterdziestkę? Ale...!

– O czym ty mówisz, Elayne?

W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby je podsłuchiwać, nikt nawet nie poświęcał im drugiego spojrzenia, prócz wciąż pełnej nadziei szwaczki, jednak Elayne zniżyła głos do szeptu.

– My spowalniamy, Nynaeve. Gdzieś między dwudziestym a dwudziestym piątym rokiem życia zaczynamy się starzeć coraz wolniej. W jakimś stopniu zależy to od tego, jak jesteśmy silne, ale moment, w którym się to zaczyna, nie jest od tego zależny. Dotyczy to każdej kobiety, która potrafi przetrwać. Takimi mówiła, że oznacza to również początek uzyskiwania tego pozbawionego śladów czasu wyglądu, chociaż nie wydaje mi się, by którakolwiek doszła do tego, jeszcze zanim zaczęła nosić szal, przynajmniej od roku czy dwóch, czasami zaś było to pięć i więcej lat. Pomyśl. Wiesz, że każda siostra, która ma siwe włosy, jest stara, nawet jeśli nie wolno ci o tym wspominać. A więc jeśli Reanne spowolniła, a na pewno musiała, to ile może mieć lat?

Nynaeve nie obchodziło, ile lat może mieć Reanne. Chciało jej się płakać. Nic dziwnego, że nikt nie chciał wierzyć w to, ile ma lat. To wyjaśniało, dlaczego członkinie Koła Kobiet jeszcze w domu wciąż zaglądały jej przez ramię, jakby niepewne, czy osiągnęła już wiek, w którym mogą jej w pełni zaufać. Zdobycie tej nie tkniętej czasem twarzy było w porządku, ale kiedy będzie miała wreszcie siwe włosy?

Zamrugnęła, odwróciła się gniewnie... i w tym momencie coś uderzyło ją w tył głowy, nieco z boku. Zachwiała się zdumiona i zwróciła ku Elayne. Dlaczego tamta ją uderzyła? Tylko, że Elayne leżała już jak długa na ziemi, z oczyma zamkniętymi, a na jej skroni nabrzmiewał wielki czerwony guz. Nynaeve kręciło się w głowie, ale uklękła na ziemi i wzięła przyjaciółkę w ramiona.

– Twoja przyjaciółka musiała zachorować – powiedziała kobieta z długim nosem, klękając obok i nie dbając o to, że jej żółta suknia ukazywała zbyt wiele łona nawet wedle norm Ebou Dar. – Pozwól, niech ci pomogę.

Wysoki mężczyzna, w haftowanej jedwabnej kamizelce, przystojny, pominawszy może nieco zbyt lekki uśmiech, pochylił się, by wziąć Nynaeve za ramiona.

– Mam tutaj powóz. Zabierzemy was w jakieś wygodniejsze miejsce niż kamienie bruku.

– Odejdźcie – grzecznie nakazała im Nynaeve. – Nie potrzebujemy waszej pomocy.

Mężczyzna jednak cały czas próbował ją podnieść, zaprowadzić do czerwonego powozu, z którego wyglądała wyraźnie zaciekawiona kobieta w błękitach o zaskoczonym wyrazie twarzy. Tamta pierwsza zaś, z długim nosem, już próbowała podnieść Elayne, dziękując mężczyźnie za pomoc i trajkocząc, jak to niby jego powóz wydaje się świetnym pomysłem. Jakby znikąd wokół zaczynał się gromadzić tłum gapiów, skupionych w półokręgu, kobiety mruczały ze współczuciem coś o omdleniu od gorąca, mężczyźni obiecywali pomoc w zanieśieniu dam. Wychudzony człowiek, niebawem śmiały, sięgnął po sakiewkę Nynaeve tuż pod jej nosem.

Wciąż jeszcze kręciło się jej w głowie, wystarczająco, by łatwo było sięgnąć po *saidara*, jednak jeśli tym wszystkim trajkoczącym ludziom nie udało się jej rozgniewać, sprawił to widok tego, co leżało na chodniku. Strzała ze stępionym kamiennym grotem. Ta, która musnęła ją, lub ta, która trafiła Elayne. Przeniosła, a chuderlawy kieszonkowiec zgiał się wpół, ściskając się za brzuch i kwicząc niczym zarzynane prosię. Kolejny strumień i kobieta z długim nosem padła na wznak, wrzeszcząc dwa razy głośniejsze. Mężczyzna w jedwabnej kamizelce najwyraźniej zdecydował, że mimo wcześniejszych jego zapewnień nie potrzebują pomocy, ponieważ odwrócił się i pobiegł w kierunku powozu, ona jednak nie przepuściła mu i tak. Jego głos zagłuszyłby ryk rozwścieczonego

byka, w tej samej chwili kobieta schwyciła go za kamizelkę i wciągnęła do powozu.

– Dziękujemy, ale nie potrzeba nam pomocy – krzyknęła Nynaeve grzecznie.

Niewielu jednak zostało tych, którzy mogli ją usłyszeć. Kiedy stało się jasne, że użyto Jedynej Mocy – a w oczach większości wystarczającym dowodem byli ludzie przewracający się i krzyczący bez widocznej przyczyny – wszyscy pośpiesznie się rozeszli. Kobieta z długim nosem jakoś wzięła się w garść i zdołała wskoczyć na tył czerwonego powozu, niepewnie czepiając się jakichś uchwytów, podczas gdy woźnica w ciemnej kamizelce popędzał konie przez tłum, odtrącając ludzi na boki. Nawet kieszonkowiec odkuśtykał tak szybko, jak tylko był zdolny.

Nynaeve nie przejęłaby się mniej, nawet gdyby ziemia się rozstała i pochłonęła całą zgraję. Z obolałą klatką piersiową splotła delikatne strumienie Wiatru, Wody, Ziemi, Powietrza i Ducha, pośpiesznie zlewając je ze sobą, i przepuściła przez ciało Elayne. To był prosty splot, zdecydowała nie przysparzać sobie dodatkowych kłopotów, dość już tego, że lekko kręciło się jej w głowie, a kiedy poznała rezultat, mogła odetchnąć spokojnie. Opuchlizna nie była poważna, kości czaszki Elayne nienaruszone. W normalnych okolicznościach skierowałyby te same strumienie, tworząc z nich bardziej skomplikowany splot Uzdrawiania, który sama odkryła. W tej chwili jednak stać ją było jedynie na proste sploty. Za pomocą wyłącznie Ducha, Wiatru i Wody dokonała Uzdrawienia, którym Żółte posługiwały się od niepamiętnych czasów.

Elayne nagle otworzyła oczy i westchnęła, wypuszczając chyba całe powietrze z płuc, potem zaczęły nią wstrząsać drgawki, szarpała się niczym pstrąg schwytny w sieć, obcasy pantofli kopały w bruk. Trwało to, rzecz jasna, jedynie chwilę, ale w tym krótkim momencie opuchlizna skurczyła się i zniknęła.

Nynaeve pomogła jej się podnieść – a potem obok pojawiła się kobieca dłoń, trzymająca kubek wody.

– Nawet Aes Sedai mogą być po czymś takim spragnione – oznajmiła szwaczka.

Elayne już sięgnęła po kubek, ale Nynaeve zacisnęła palce na jej nadgarstku.

– Nie, dziękujemy. – Kobieta wzruszyła ramionami i już miała odejść, gdy Nynaeve dodała, innym tonem: -Dziękuję ci. – Im częściej się mówiło te słowa, tym łatwiej przychodziły.

Ocean koronek zakołysał się, kiedy szwaczka znowu wzruszyła ramionami.

– Szyję suknie dla wszystkich. Potrafiłabym lepiej dobrać kolory od tych, które nosisz. – Zniknęła w sklepie. Nynaeve spod zmarszczonych brwi patrzyła w ślad za nią.

– Co się stało? – dopytywała się Elayne. – Dlaczego nie pozwoliłaś mi się napić? Jestem spragniona i głodna.

Obrzuciwszy szwaczkę ostatnim niechętnym spojrzeniem, Nynaeve pochyliła się i podniosła strzałę.

Tamtej nie trzeba było dalszych wyjaśnień. W jednym momencie otoczyła ją poświata *saidara*.

– Teslyn i Joline?

Nynaeve pokręciła głową, lekkie zawroty głowy powoli mijały. Nie sądziła, żeby te dwie mogły się do czegoś takiego zniżyć. Doprawdy, nie!

– Co z Reanne? – zapytała cicho. Szwaczka dalej stała w drzwiach, wciąż z nadzieją w oczach. – Może chciała zadbać o to, byśmy naprawdę odjechały. Albo, co gorsza, to mogła być Garenia. – To było niemalże równie przerażające, jak Teslyn i Joline. I dwakroć bardziej drażniące.

W jakiś sposób Elayne udawało się pozostać piękną, nawet wówczas, gdy się gniewała.

– Ktokolwiek to był, zajmiemy się nim. Zobaczysz. -Grymas rozwiął się bez śladu. – Nynaeve, jeśli Krąg wie, gdzie jest Czara, znajdziemy ją, ale... – Przygryzła wargę, wahając się. – Znam tylko jeden sposób, żeby mieć pewność.



Nynaeve pokiwała powoli głową, chociaż wolałaby raczej zjeść garść ziemi. Dzisiejszy poranek przez chwilę wydawał się taki jasny, a potem już tylko nurkował w coraz większą ciemność, począwszy od tej sprawy z Reanne aż do... Och, Światłości, jak długo jeszcze, zanim posiwieją jej włosy?

– Nie płacz, Nynaeve. Mat nie może być taki straszny. Znajdzie ją dla nas w ciągu kilku dni, wiem to.

Nynaeve rozplakała się na dobre.

# ROZDZIAŁ 6

## DUSZOŁAPKA

Moghedien nie znosiła tego nawracającego snu, ale mimo iż ze wszystkich sił chciała się obudzić, chciała krzyczeć, wszystkie jej wysiłki spełzały na niczym. Sen pochwyił ją mocniej niż jakiegokolwiek kajdany. Początek przeminał szybko, niewyraźną smugą zmazanych kształtów. Żadnej litości, znacznie wcześniej będzie musiała przeżyć pozostałą część.

“Ledwie rozpoznała kobietę, która weszła do namiotu stanowiącego jej więzienie. Halima, sekretarka jednej z tych idiotek, które zwały się Aes Sedai. Idiotki, a jednak trzymały ją dość krótko na tej smyczy ze srebrnego metalu przymocowanej do jej szyi, trzymały krótko i zmuszały do posłuszeństwa”. – Szybko, szybko, chociaż modliła się o to, by wszystko szło wolniej. – “Kobieta przeniosła, aby oświetlić wnętrze i Moghedien zobaczyła jedynie światło. To musiał być *saidin*, spośród żyjących jedynie Wybrani wiedzieli, jak zaczerpnąć Prawdziwej Mocy” -Mocy pochodzącej od samego Czarnego – “i niezbyt byli do tego skorzy, wyjąwszy najbardziej nagłą potrzebę, jednak to było przecież niemożliwe!” -Smuga zamazanych w pędzie kształtów. – “Kobieta wymieniła imię: Arangar i zwróciła się do Moghedien imieniem, którym wzywano ją do Szczeliny Zagłady, a potem zdjęła naszyjnik *a’dam*, krzywiąc się z bólu, jakiego nie powinna znosić żadna kobieta. I znowu...” – Jak wiele już razy musiała to robić? – “...znowu Moghedien uplotła niewielką bramę we wnętrzu namiotu. Przeskoczyła, aby dać sobie czas do namysłu w nieskończonej ciemności, ale tylko weszła na platformę, przypominającą niewielki zamknięty marmurowy balkon wyposażony z góry w wygodne krzesło, a już znalazła się na czarnych stokach Shayol Ghul, na zawsze skąpanych w półmroku, gdzie z kanałów wentylacyjnych i tuneli wydostawały się para, dym i gryzące wyziewy, a wtedy Myrddraal podszedł do niej, w swym czarnym niczym noc ubiorze, przypominający białego jak robak, bezokiego mężczyznę, jednak wyższy, potężniej zbudowany niżli którykolwiek Półczłowiek, jakiego dotąd w życiu widziała. Zmierzył ją aroganckim spojrzeniem, nieproszony podał swe imię, a potem kazał iść za sobą; nie było to postępowanie, na jakie zazwyczaj pozwalały sobie Myrddraale względem Wybranych”. – I teraz krzyczała w głębi swego umysłu, ponieważ sen znowu ruszył szybciej, zlewając się w smugę kształtów, za którymi nie mogły nadażyć oczy, niemożliwych w ogóle do pojęcia, ale... – “...teraz, gdy szła w ślad za Shaidarem Haranem ku wejściu do Szczeliny Zagłady, teraz wszystko toczyło się normalnym już tempem i wydawało bardziej realne niż *Tel’aran’rhiod*, czy choćby świat jawy”.

Oczy Moghedien ronily łzy spływające po policzkach, które wszak już lśniły wilgocią. Jej ciało drżało na twardym sienniku, ramiona i nogi szarpały się, gdy walczyła rozpaczliwie, jednak na próżno, aby się obudzić. Nie miała już pojęcia, że śni – wszystko wydawało się tak realne – jednak głęboka pamięć nie została naruszona i w tych głębiach instynkty wrzeszczały, walcząc o wydostanie się na wolność.

“Dobrze знаła ten pochyły tunel, z którego sufitu niczym kły zwisały kamienne sztylety, zaś ściany lśniły bladym światłem. Wiele razy odbywała tę podróż w dół, od dnia, jakże to już dawno temu, gdy po raz pierwszy złożyła hołd Wielkiemu Władcy i oddała mu swą duszę, nigdy jednak nie była w takiej sytuacji jak teraz, nigdy dotąd jej porażka nie wyszła na jaw w całej swej przerażającej rozciągłości. Dotąd zawsze udawało jej się skryć konsekwencje chybionych poczynań, nawet przed samym Wielkim Władcą. Przynajmniej po wielokroć jej się udawało. Tutaj można było dokonać rzeczy, jakie nie były możliwe nigdzie indziej. Zdarzały się tu rzeczy, jakich próżno by szukać w innych światach.

Wzdrygnęła się, gdy jeden z kamiennych kłów musnął jej włosy, natychmiast jednak wzięła się w garść, przynajmniej na tyle, na ile była w stanie. Te kolce i ostrza nie czyniły najmniejszej szkody owemu nazbyt wyrosniętemu Myrddaralowi, lecz chociaż był od niej wyższy o ponad głowę, sama musiała uważać, by nie nadziać się na jeden z ostrych szpikulców. Tutaj rzeczywistość stanowiła glinę w dłoniach Wielkiego Władcy i często dawał wyraz swemu niezadowoleniu, odmieniając ją. Kamienny kiel ukłuł ją w ramię, musiała pochylić się, aby uniknąć kolejnego. W tunelu nie było już miejsca na to, by mogła iść wyprostowana. Skłoniła mocniej głowę, pochylona spieszyła śladem Myrddraala, próbując zbliżyć się do niego. On szedł cały czas tym samym tempem, jednak niezależnie od tego, jak się starała, przestrzeń między nimi nie zmniejszała się. Sufit opuszczał się coraz niżej - kły Wielkiego Władcy, które rozszarpały zdrajców i głupców - aż wreszcie Moghedien musiała opaść na czworaki i tak pełzła przed siebie, a potem jeszcze bardziej musiała przytulić się do ziemi. W tunelu światło rozbłyskiwało i migotało, dobiegając z wejścia do Szczeliny właściwej, dokładnie przed nią, a Moghedien czołgała się już na brzuchu, podciągając dłońmi, zapierając stopami. Kamienne szpice kłuły jej ciało, rozdzierały suknię. Ciężko dysząc, pokonała resztę dystansu, prześlizgując się między nimi do wtóru odgłosu dartej wełny.

Obejrzała się za siebie przez ramię i zadrżała spazmatycznie. Tam, gdzie winno znajdować się wejście do tunelu, stała gładka kamienna ściana. Być może Wielki Władca wszystko dokładnie zgrał w czasie, a być może, gdyby była wolniejsza...

Ustęp skalny, na którym leżała, sterczał ponad nakrapianym czarnymi plamami jeziorem płynnej skały, po którego powierzchni tańczyły płomienie wysokości człowieka, tańczyły, gasły i pojawiały się znów. Ponad głową sklepienie jaskini wznosiło się ku otwartemu wierzchołkowi góry, nad którym pędziły oszalałe stada chmur, paskowane czerwienią, żółcią i czernią, gnane na skrzydłach samych wiatrów czasu. W niczym nie przypominały zaciągniętego czarnymi chmurami nieba widzianego z zewnątrz Shayol Ghul. Jednak żaden z tych przedziwnych widoków nie przykuł jej spojrzenia i to nie tylko dlatego, że widziała je po wielokroć wcześniej. Do Szybu uchodzącego w miejsce, gdzie został uwięziony Wielki Władca, było tak samo daleko jak we wszystkich pozostałych miejscach świata, jednak tutaj mogła poczuć jego tchnienie na własnej skórze, tutaj mogła pławić się w promiennej chwale Wielkiego Władcy. Strumienie Prawdziwej Mocy omiatały jej ciało, a były tak silne, że gdyby spróbowała przenieść, spaliłaby się na popiół. Takiej ceny nie miała zamiaru w żadnym wypadku płacić.

Zaczęła podnosić się na kolana, a wtedy poczuła uderzenie między łopatki, które cisnęło ją znowu na powierzchnię tego skalnego występu, odbierając oddech. Oszołomiona, próbowała zaczerpnąć powietrza, potem zerknęła przez ramię. Myrddraal stał nad nią, z jednym ciężkim butem wspartym na jej grzbiecie. O mało co objęłaby *saidara*, chociaż przenoszenie w tym miejscu bez wyraźnego przyzwolenia było najszybszą drogą do samobójstwa. Arogancja na stoku to jedno, ale to?!

- Wiesz, kim jestem? - zapytała. - Jestem Moghedien! - Spojrzenie bezokiego spoczęło na niej, jakby była robakiem; często widywała, jak Myrddraale patrzyły w ten sam sposób na zwykłych ludzi.

MOGHEDIEN. Głos wewnątrz jej głowy przegnał wszystkie myśli o Myrddraalach, omal nie wygnał z niej w ogóle wszelkich myśli. Zestawiony z tym przeżyciem najmocniejszy uścisk ludzkiego kochanka był niby kropla wody w oceanie. JAK DALEKO SIĘGAJĄ KONSEKWENCJE TWJEJ PORAŻKI, MOGHEDIEN? WYBRANI ZAWSZE BYLI NAJSILNIEJSI, TY JEDNAK POZWOLIŁAŚ SIĘ ZŁAPAC. UCZYŁAŚ TE, KTÓRE MI SIĘ SPRZECIWIAJĄ, MOGHEDIEN.

Trzepocząc powiekami, z całej siły próbowała odnaleźć w sobie spójny tok myśli.

- Wielki Władco, uczyłam je tylko najdrobniejszych rzeczy i walczyłam z nimi, jak mogłam.

Nauczyłam je sposobu, za pomocą którego rzekomo wykrywa się przenoszenie u mężczyzny. – Udało jej się roześmiać. – Wprawianie się w nim przysparzało im takich bólów głowy, że całymi godzinami nie były w stanie przenosić. – Milczenie. Może to i lepiej. Na długo przed jej uwolnieniem zrezygnowały z męczących prób, ale Wielki Władca nie musiał o tym wiedzieć. – Wielki Władco, wiesz jak dobrze ci służyłam. Służyłam przyczajona pośród cieni, a twoi wrogowie nigdy nawet nie poczuli ukąszenia, póki moja trucizna nie krążyła już w ich żyłach. – Nie ośmielała się powiedzieć, że rozmyślnie dała się złapać, ale mogła to zasugerować. – Wielki Władco, wiesz, jak wielu twoich wrogów powaliłam podczas Wojny o Moc. Pośród cieni, niewidoczna, a jeśli nawet dostrzegana to lekceważona ze względu na znikomość zagrożenia. A wtedy...

MOI WYBRANI ZAWSZE SĄ NAJMOCNIEJSI. PORUSZA ICH MOJA DŁOŃ.

Ten głos echem odbijał się pod jej czaszką, zmieniając jej kości w płonąca słodycz, a mózg stawiając w ogniu. Myrddraal trzymał dłoń jej podbródek, zadzierając głowę do góry, aż wreszcie odzyskała zdolność widzenia i zobaczyła, że w drugiej ręce ściska nóż. Wszystkie jej marzenia miały umrzeć tutaj, zabite jednym ciosem podcinającym gardło, jej ciało posłuży za karmę dla trolloków. Może Shaidar Haran zechce dla siebie wybrać najlepszy kawałek. Może...

Nie. Wiedziała, że zaraz umrze... jednak ten Myrddraal nie dostanie nawet kawałka jej ciała! Sięgnęła, by objąć *saidara*, i wtedy poczuła, jak oczy wychodzą jej z orbit. Nie wyczuła nic. Nic! To było tak, jakby ją ujarzmiono! Wiedziała, że tak się nie stało – powiadano, że rozdarciu towarzyszy największy ból, jaki tylko można sobie wyobrazić, którego żadna siła nie ugasi – ale...!

I w tej chwili całkowitego oszołomienia Myrddraal przemocą otworzył jej usta, przesunął ostrzem po języku, a potem przekłuł ucho. I jakby wszystko naraz trafiło na swoje miejsce wraz z jej krwią i śliną, wiedziała, zanim jeszcze to nastąpiło, że wyciągnie coś, co wygląda niczym maleńka krucha klatka upleciona ze złotego drutu i kryształu. Niektóre rzeczy można było zrobić tylko tutaj, niektóre tylko tym, którzy potrafili przenosić, i ona sama przywiodła tu tak wielu mężczyzn i tak wiele kobiet – tylko i wyłącznie w tym celu.

– Nie – szepnęła. Nie potrafiła spuścić wzroku z *cour'souvry*. – Nie, tylko nie ja! Nie ja!

Nie zwracając na nią uwagi, Shaidar Haran zebrał palcem płyny jej ciała z ostrza noża do wnętrza *cour'souvry*. Kryształ nabrał mleczno-różowej barwy – akt pierwszy zastawienia. I drugi – lekkim skrzętem nadgarstka cisnął duszołapkę ponad jezioro płynnej lawy. Kryształowo-złota klatka poleciała w górę i zatrzymała się nagle, wisząc w powietrzu dokładnie w tym miejscu, gdzie najpewniej znajdował się otwór Szybu, gdzie Wzór był najciemniejszy.

Moghedien zapomniała o Myrddraalu. Wyrzuciła ręce w stronę Szybu.

– Litości, Wielki Władco! – Nigdy nie podejrzewała nawet, by Wielki Władca Ciemności posiadał choćby odrobinę miłosierdzia, ale gdyby umieszczono ją w klatce ze wściekłymi wilkami albo z *darath* podczas wylinki, błagałaby tak samo. W niektórych okolicznościach, skłonny jesteś błagać nawet o rzeczy całkowicie niemożliwe. *Cour'souvra* wisiała w powietrzu, obracając się powoli, iskrząc w świetle roztańczonych ogni poniżej. – Służyłam ci całym moim sercem, Wielki Władco. Błagam o litość. Błagam! Litości!!!

WCIAŻ JESZCZE MOŻESZ MI SŁUŻYĆ!

Głos pogrzył ją w ekstazie przekraczającej wszelkie pojęcie, ale w tej samej chwili roziskrzona duszołapka nagle zapłonęła blaskiem tak jaskrawym jak światło słońca, i zdjeta uniesieniem, poczuła równocześnie ból, jakby to jej ciało zatoneło w ognistym jeziorze. Ból i ekstaza mieszały się ze sobą, a ona zawyła, ciskając się niczym oszalałe zwierzę, szarpiąc w nie kończącym się bólu, nie kończącym – póki Wiek bólu chyba nie minął i nie zostało już nic, prócz cierpienia i wspomnień o cierpieniu, aż wreszcie, najmizerniejszym aktem łaski, pochłonęła ją ciemność”.

Leżącą na sienniku Moghedien targwały dreszcze. Tylko nie znowu to samo. Proszę.

“Ledwie rozpoznała kobietę, która weszła do namiotu stanowiącego jej więzienie”.

Proszę, wyło coś w głębi jej duszy.

“Kobieta przeniosła, aby oświetlić wnętrze i Moghedien zobaczyła jedynie światło”.

Pogrążona w głębokim śnie szarpała się, drżąc na całym ciele. Proszę!

“Kobieta wymieniła imię: Arangar, i zwróciła się do Moghedien imieniem, którym wzywano ją do Szczeliny Zagłady...”

– Obudź się kobieto – oznajmił głos, którego brzmienie do złudzenia przypominało trzask przegniłych kości, i wtedy Moghedien otworzyła oczy. Omal nie pożałowała, że dalej nie śni swego koszmaru.

W całkowicie pozbawionych jakichkolwiek cech szczególnych ścianach jej niewielkiego więzienia próżno byłoby szukać okien lub drzwi, a chociaż kul jarzeniowych lub lamp też nie było, światło jednak skądś docierało. Nie miała pojęcia, od jak dawna się tu znajduje, wiedziała tylko, że w nieregularnych odstępach czasu przynoszono jej pozbawione smaku jedzenie, że pojedyncze wiadro służące do intymnych potrzeb opróżniano jeszcze bardziej nieregularnie, i że jakimś sposobem dostarczano jej mydło oraz kubek perfumowanej wody, by mogła jakoś się umyć. Nie miała pojęcia, czy traktować to jako akt łaski czy nie; dreszcz radości, który ogarniał ją na widok zwykłego wiadra wody, przypominał, jak nisko upadła. Ale teraz w celi oprócz niej znajdował się Shaidar Haran.

Pośpiesznie zwlokła się z siennika, uklękła i dotknęła czołem kamiennej podłogi. Zawsze robiła wszystko, co konieczne, aby przetrwać, a Myrddraal chętnie uczył ją nadzwyczaj poniżających ją sposobów przetrwania.

– Z radością witam cię, *Mia’cova*. – Zbitka słów w tytule parzyła język. Oznaczał on „Tego Który Mnie Posiada” albo po prostu „Posiadacza”. Dziwna tarcza, którą Shaidar Haran odgradził ją od Źródła... Myrddraale nie potrafiły robić takich rzeczy, ten jednak najwyraźniej tak... tej tarczy teraz nie zastosował, ale nawet przez myśl jej nie przeszło przenieść. Prawdziwej Mocy, rzecz jasna, jej odmówiono, tę można było zaczerpnąć jedynie z błogosławieństwem Wielkiego Władcy, ale obecność Źródła przysparzała udręki, chociaż jego poświata zdawała się nieco odmieniona. Ale dalej nie miała w najmniejszym stopniu ochoty, by go dotknąć. Za każdym razem, kiedy ją odwiedzał, przynosił ze sobą duszołapkę. Przenoszenie w nazbyt bliskiej odległości od własnej *cour’souvra* było skrajnie bolesne, a im bliżej, tym większy ból; bliskość, w jakiej się znajdowała, gwarantowała zapewne, że nie przeżyłaby nawet zwykłego dotknięcia Źródła. A to i tak było najmniejsze z niebezpieczeństw, jakie oferowała duszołapka.

Shaidar Haran zachichotał, wydając dźwięk taki, jakby ktoś pocierał o siebie kawałki wysuszonej starej skóry. To także różniło go od innych Myrddraali. Znacznie okrutniejsze niż trolloki, które były po prostu krwiożercze, Myrddraale w swym okrucieństwie okazywały chłód i całkowity brak namiętności. Shaidar Haran wszakże często zdradzał rozbawienie. Mogła uważać, że miała szczęście, wykręciwszy się, jak dotąd, kilkoma siniakami. Większość kobiet na jej miejscu znajdowałaby się obecnie na krawędzi szaleństwa, jeśli już nie poza nią.

– Jesteś gotowa okazać posłuszeństwo? – zapytał ten szeleszczący, skrzypiący głos.

– Tak, z całą gotowością okazuję posłuszeństwo, *Mia’cova*. – Cokolwiek, byle tylko przeżyć. Ale nie potrafiła powstrzymać jęku, gdy poczuła, jak zimne palce zniemacka wczepiają się w jej włosy. Na ile była w stanie, próbowała sama się podnieść, jednak on dalej szarpał. Przynajmniej tym razem jej stopy wciąż opierały się na podłodze. Wspomnienia zeszłych wizyt sprawiały, że sporego wysiłku wymagało, by odruchowo nie szarpnąć się, czy nie krzyknąć, albo po prostu sięgnąć od razu

po *saidara*, by wreszcie nastąpił koniec.

– Zamknij oczy – nakazał – i trzymaj zamknięte, póki nie każę ci ich otworzyć.

Moghedien zacisnęła z całej siły powieki. Jedną z lekcji, jakich udzielił jej Shaidar Haran, polegała na całkowitym posłuszeństwie. Poza tym z zamkniętymi oczyma mogła przynajmniej próbować udawać, że znajduje się zupełnie gdzie indziej. Cokolwiek było konieczne...

Nieoczekiwanie dłoń trzymająca ją za włosy wykonała gwałtowny ruch naprzód, a ona nie potrafiła powstrzymać okrzyku. Myrddraal chciał ją pchnąć na ścianę. Uniosła dłonie, próbując powstrzymać uderzenie, a wtedy Shaidar Haran ją puścił. Przebiegła, zataczając się prawie dziesięć kroków – ale przecież cela nie miała dziesięciu kroków nawet po przekątnej. Zapachniało dymem, poczuła słabą woń dymu palonego drewna. Jednak wciąż trzymała oczy mocno zamknięte. Dalej konsekwentnie nie zamierzała narażać się na nic gorszego niż siniaki, a i tych starała się unikać, jak tylko to było możliwe i przez tak długo, jak tylko da się wytrzymać.

– Już możesz spojrzeć – oznajmił głęboki głos.

Tak też zrobiła, z całą konieczną ostrożnością. Słowa wypowiedział wysoki młody mężczyzna, o szerokich ramionach, w czarnych butach i spodniach oraz rozchełstanej obszernej białej koszuli. Teraz obserwował ją zaskakująco niebieskimi oczyma z głębokiego wyściełanego fotela, ustawionego przed frontem marmurowego kominka, na którym płomienie skakały po kłodach drewna. Znajdowała się w obitym boazerią pomieszczeniu, które w obecnych czasach mogło należeć do bogatego kupca albo szlachcica średniej rangi, meble były lekko rzeźbione i nosiły ślady pozłoty, dywany utkano w czerwono-złote arabeski. Nie miała jednak wątpliwości, że znajduje się gdzieś blisko Shayol Ghul, miejsce bowiem nie miało w sobie nic z *Tel'aran'rhiod*, co stanowiło jedyną inną możliwość. Gwałtownie kręcąc głową, nabrała tchu. Myrddraala nigdzie nie było widać. Ciasny uścisk *cuande* na klatce piersiowej zniknął, jakby go nigdy nie było.

– Czy przyjemnie spędziłaś czas w wakuoli?

Moghedien poczuła, jak lodowate palce wpijają się w jej czaszkę. Nie była ani badaczem, ani wynalazcą, ale знаła to słowo. Nie przyszło jej wszakże nawet do głowy, by zapytać, skąd młody człowiek żyjący w tej epoce mógł o niej wiedzieć. Niekiedy we Wzorze występował rodzaj baniek, chociaż ktoś taki jak Mesaana powiedziałaby, że to zbyt proste wyjaśnienie. Do wakuoli można było wejść, jeśli się wiedziało jak, a potem manipulować nią podobnie jak resztą świata – badacze niekiedy dokonywali eksperymentów w wakuolach, niejasno pamiętała, że ktoś jej o tym wspominał – ale tak naprawdę znajdowały się one poza Wzorem, a czasami nawet zapadały w siebie albo odrywały odeń i odpływały. Nawet Mesaana nie potrafiła powiedzieć, co się dalej z nimi działo – oprócz tego, że to, co było w środku, na zawsze znikало ze świata.

– Jak długo to trwało? – Zaskoczona była, że jej głos jest tak pewny. Ruszyła na młodego człowieka, który siedział sobie tylko, ukazując w uśmiechu białe zęby. – Pytałam, jak długo to trwało? A może nie wiesz?

– Widziałem, jak przybyłaś... – Urwał, uniósł srebrny puchar ze stolika stojącego obok krzesła, oczy wciąż uśmiechały się do niej ponad jego brzegiem, kiedy pił. – ...przedostatniej nocy.

Nie potrafiła ukryć pełnego ulgi westchnienia. Jedną z rzeczy, o których powinien wiedzieć każdy, kto wchodził do wakuoli, był fakt, że czas płynął w niej inaczej, niekiedy wolniej, innym razem szybciej. A bywało i tak, że znacznie szybciej. Nie byłaby więc bardzo zaskoczona, dowiadując się, że Wielki Władca uwięził ją na sto lat albo tysiąc i wypuścił na świat pozostający już w jego całkowitej władzy, aby musiała pożywiać się pospółu z sępami na resztkach padliny, podczas gdy pozostali Wybrani staliby na szczycie. Wciąż pozostawała jedną z Wybranych, przynajmniej we własnych oczach. Póki Wielki Władca sam nie powie, że jest inaczej. Nigdy nie

słyszała o kimś, kto by się uwolnił z zastawionej już duszołapki, ale ona znajdzie jakiś sposób. Zawsze istniał jakiś sposób dla tych, którzy zachowywali ostrożność, a upadali ci, co nazywali ostrożność tchórzostwem. Ona sama zaprowadziła paru tych tak zwanych odważnych do Shayol Ghul, by tam dopasowano dla nich *cour'souvry*.

Nagle przyszło jej do głowy, że ten człowiek wie naprawdę dużo jak na zwykłego Sprzymierzeńca Ciemności, zwłaszcza że nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Przerzucił jedną nogę przez poręcz fotela, leniwie i beczelnie poddając się jej oględzinom. Graendal mogłaby go pojmać, oczywiście gdyby dysponował pozycją lub majątkiem; jednak trochę nazbyt wydatny podbródek zapewne uczyniłby go w jej oczach nie dość przystojnym. Nie sądziła, by kiedykolwiek widziała tak błękitne oczy. Patrząc, jak beczelnie zachowuje się w jej obecności i pamiętając, co tak niedawno musiała ścierpieć z rąk Shaidara Harana, nadto czując obecność Źródła i doskonale wiedząc, że Myrddraala nie ma w pobliżu, zaczęła się nawet zastanawiać nad udzieleniem temu młodemu Sprzymierzeńcowi Ciemności ostrej lekcji. Stan, w jakim znajdowały się jej suknie, dodatkowo jątrzył jeszcze jej nastrój; sama pachniała delikatnie perfumowaną wodą do mycia, jednak nie miała możliwości, by uprać prostą wełnianą suknię, w której uciekła od Egwene al'Vere, na dodatek rozdartą podczas pamiętnej wędrówki do Szczeliny. Ostrożność w końcu przeważyła – pomieszczenie musiało znajdować się niedaleko od Shayol Ghul – ale niewiele brakowało.

– Jak się nazywasz? – zapytała ostro. – Czy masz w ogóle pojęcie, z kim rozmawiasz?

– Tak, mam, Moghedien. Możesz mówić na mnie Moridin.

Moghedien aż zaparło dech. Nie chodziło o imię, każdy głupiec mógł kazać nazywać się Śmiercią. Ale zobaczyła maleńką czarną plamkę, wystarczającą jednak, żeby ją dostrzec, która przefrunęła skroś jednego z tych błękitnych oczu, a potem skroś drugiego, w tej samej linii. Ten Moridin korzystał z Prawdziwej Mocy i to nie jeden raz. Znacznie częściej. Wiedziała, że oprócz al'Thora przetrwali jeszcze w tych czasach mężczyźni potrafiący przenosić – ten mężczyzna miał mniej więcej podobną sylwetkę – ale nie oczekiwała, że któremuś z nich Wielki Władca wyświadczy ten szczególny zaszczyt. Zaszczyt, w którym wszakże kryła się pułapka, o czym każdy z Wybranych wiedział. Na dłuższą metę Prawdziwa Moc uzależniała znacznie poważniej niż Jedyne Moc; osoba dysponująca silną wolą była w stanie stłumić pragnienie zaczerpnięcia więcej *saidara* lub *saidina*, ale jej przynajmniej trudno było uwierzyć, że istnieje wola równie niezłomna, by oprzeć się Prawdziwej Mocy, przynajmniej nie po tym, jak już *saa* pojawiła się w oczach. Ostateczna cena była odmienna, ale nie mniej straszna.

Dumnie, jakby ta jej podarta brudna suknia to był najwspanialszy strój, zajęła fotel naprzeciw niego.

– Podaj mi trochę tego wina, to ci opowiem. Tylko dwadzieścioro dziewięcioro w całych dziejach zostało obdarzonych...

Ku jej całkowitemu zaskoczeniu, roześmiał się.

– Nic nie rozumiesz, Moghedien. Wciąż służysz Wielkiemu Władcy, ale nie całkiem w takim samym charakterze jak dotąd. Czas, kiedy mogłaś rozgrywać własne gry, przeminął. Gdyby przez przypadek nie udało ci się zrobić wtenczas czegoś dobrego, już byłabyś martwa.

– Jestem jedną z Wybranych, chłopcze – powiedziała, czując, jak wściekłość bierze w niej górę nad ostrożnością. Wyprostowała się w fotelu, patrząc nań z perspektywy całej wiedzy Wieku, przy którym obecny wyglądał niewiele lepiej niż epoka glinianych lepierek. Jak wiele tej wiedzy ona sama posiadała, a w pewnych dziedzinach związanych z Jedyną Mocą nie było nikogo, kto by ją prześcignął. Nieomal nie objęła Źródła, nie bacząc na to, jak blisko znajduje się Shayol Ghul. – Przepuszczalnie nie tak dawno temu, twoja matka moim imieniem straszyla cię, gdy byłeś

niegrzeczny, ale wiedz również, że dorośli mężczyźni, którzy potrafiliby cię złamać niczym gałązkę, pocili się, słysząc je. Lepiej pilnuj swego języka, póki ze mną rozmawiasz!

Zagłębił rękę w rozcięciu koszuli, a wtedy ona poczuła, jak język przysycha jej do podniebienia. Przed oczyma miała drobną klatkę ze złotego drutu i czerwonego niczym krew kryształu, zawieszoną na rzemyku. Jak przez mgłę, w rozcięciu koszuli mignęła jej chyba jeszcze jedna, identyczna, ale nie potrafiła oderwać oczu od swojej. Bez najmniejszych wątpliwości była jej. Delikatnie musnął ją palcem, a ona poczuła tę pieszczotę w swoim umyśle, w swojej duszy. Zniszczenie duszołapki nie wymagało wiele większego nacisku od tego, który on obecnie stosował. Mogła być na przeciwległym krańcu świata, albo nawet jeszcze dalej, i nie miałoby to żadnego znaczenia. Ta jej część, która była nią, zostanie oddzielona – wciąż będzie widziała swoimi oczyma i słyszała uszami, smakowała to, co zagości na jej języku, czuła wszelki dotyk, ale będzie bezradna niczym automat, w całości posłuszna woli tego, kto akurat trzyma w ręku *cour'souvrę*. Niezależnie od tego, czy istniał jakiś sposób uwolnienia się z niej czy nie, duszołapka była dosłownie tym, co głosiła jej nazwa. Poczowała, jak krew odpływa jej z twarzy.

– Teraz już rozumiesz? – zapytał. – Wciąż służysz Wielkiemu Władcy, ale teraz twoja służba polega na robieniu tego, co ja ci każę.

– Rozumiem, *Mia'cova* – odparła automatycznie.

Znowu się roześmiał, głębokim dźwięcznym głosem, którym szydził z niej i schował duszołapkę za koszulę.

– Skoro już pojęłaś swoją lekcję, takie rzeczy chyba nie będą konieczne. Będę mówił do ciebie Moghedien, a ty będziesz mnie nazywać Moridin. Wciąż jesteś jedną z Wybranych. Któż mógłby cię zastąpić?

– Tak, oczywiście, Moridin – odrzekła bezdźwięcznie. Cokolwiek rzekł, ona dobrze wiedziała, że odtąd ma już swego pana.



# ROZDZIAŁ 7

## SŁOWA, KTÓRYCH NIE DA SIĘ COFNAĆ

Morgase leżała bezsennie, wpatrując się w sufit poprzez mrok rozjarzony księżycową poświatą, i próbowała myśleć o swojej córce. Była nakryta pojedynczą narzutą z jasnego lnu, ale mimo upału pocila się w nocnej koszuli uszytej z grubej wełny i zasnurowanej ciasno po samą szyję. Zresztą nawet nie chodziło o pot, po prostu nieważne, ile razy się kąpała albo jak czysta była woda, Morgase nie czuła się czysta. Elayne z pewnością jest bezpieczna w Białej Wieży. Niekiedy zdawało jej się, że upłynęły całe lata, odkąd, jakby na siłę, zaufała Aes Sedai, a jednak, jakkolwiek paradoksalne mogło się to zdawać, Wieża stanowiła najbezpieczniejsze miejsce dla Elayne. Próbowwała też myśleć o Gawynie – bez wątplenia przebywa w Tar Valon razem ze swoją siostrą, bardzo z niej dumny, jakże gorliwy w swym pragnieniu zostania jej tarczą, gdy tylko zajdzie potrzeba – i o Galadzie – dlaczego nie pozwalają jej go zobaczyć? Kochała go równie mocno, jakby narodził się z jej ciała, a pod wieloma względami on potrzebował jej miłości bardziej od tamtych. Naprawdę starała się o nich myśleć. A jednak trudno było myśleć o czymkolwiek z wyjątkiem... Wielkie oczy wpatrywały się w mrok, lśniąc od nie wylanych łez.

Zawsze uważała, że jest dostatecznie odważna, by robić to, co należało, stawiać czoło wszystkiemu, cokolwiek by się działo; zawsze wierzyła, że potrafi się pozbierać i kontynuować walkę. Rhadam Asunawa pierwszy nauczył ją, że jest inaczej, podczas tamtej jednej, nie kończącej się godziny, po której nie zostało nic więcej prócz kilku sińców, już blaknących. Eamon Valda dokończył tę nietypową edukację jednym pytaniem. Rana, którą jej odpowiedź pozostawiła w sercu, nie zagoiła się. Powinna była osobiście udać się do Asunawy i powiedzieć mu, że niech sobie robi, co chce najgorszego. Powinna była... Modliła się o bezpieczeństwo Elayne. Może to niesprawiedliwe, że żywiła większe nadzieje odnośnie do Elayne, niż wiązała je z Galadem albo Gawynem, ale Elayne miała być następną królową Andoru. Wieża nie przepuści okazji, by osadzić Aes Sedai na Tronie Lwa. Gdyby tylko mogła zobaczyć Elayne, zobaczyć raz jeszcze swoje dzieci.

Coś zaszeleściło w mroku sypialnej komnaty, a ona wstrzymała oddech, z trudem powstrzymując się od drżenia. Białe światło księżycy ledwie pozwalało jej dostrzec postumenty baldachimu łoża. Valda wyjechał wczoraj na północ z Amadoru, razem z Asunawą i tysiącami Białych Płaszczy, mieli zetrzeć się z Prorokiem, ale jeśli wrócił, jeśli...

Sylwetka w ciemnościach przeobraziła się w kobietę, za niską, by mogła to być Lini.

– Domyślałam się, że pewnie jeszcze nie śpisz – odezwał się cicho głos Breane. – Wypij, to ci pomoże. – Cairhienianka usiłowała wcisnąć srebrny puchar w ręce Morgase. Dobywał się zeń nieco kwaskowaty zapach.

– Powinnaś poczekać, dopóki nie otrzymasz polecenia, że masz mi podać coś do picia – prychnęła, odpychając puchar. Ciepły płyn wylał jej się na dłoń, na lniane prześcieradło. – Prawie już spałam, ale ty weszłaś tu, tupiąc głośno – skłamała. – Zostaw mnie samą!

Kobieta zamiast usłuchać, patrzyła na nią z góry, jej twarz pozostawała ukryta w mroku. Morgase nie lubiła Breane Taborwin. Niezależnie od tego, czy istotnie pochodziła ze szlacheckiego rodu, obecnie podupadłego, jak niekiedy twierdziła, czy też była tylko zwykłą służką, która nabyła umiejętności podszywania się pod lepszych od siebie, Breane słuchała rozkazów, kiedy jej się chciało i nazbyt swobodnie popuszczała cugli językowi. Czego dowiodła nawet teraz.

– Beczysz niczym owca, Morgase Trakand. – Mówiła cichym głosem, a jednak wyraźnie słyhać było w nim gniew. Z głośnym brzękiem odstawiła kubek na mały stolik; zawartość naczynia ochlapała tym razem blat. – Ba! Wielu ludziom zdarzyło się oglądać gorsze rzeczy. Ty żyjesz. Nie masz ani jednej połamanej kości, nie postradałaś zmysłów. Wytrwaj, pogódź się z przeszłością i żyj dalej. Jesteś taka nerwowa, że mężczyźni chodzą obok ciebie na palcach, nawet pan Gill. Lamgwin prawie nie zmrużył oka przez te trzy noce.

Morgase oblała się rumieńcem irytacji, nawet w Andorze słudzy nie przemawiali takim tonem.

Zacisnęła dłoń na ramieniu kobiety, ale przepelniający ją niesmak walczył o lepsze z niepokojem.

– Oni nie wiedzą, prawda? – Gdyby wiedzieli, staraliby się ją pomścić, uratować. Zginęliby. Tallanvor by zginął.

– Lini i ja nic im o tobie nie powiedziałyśmy – odparła szyderczym tonem Breane, wyrywając rękę i wykonując nią gest podkreślający słowa. – Gdybym знаła jakiś sposób, by oszczędzić tego Lamgwinowi, pozostali dowiedzieliby się, jaką to jesteś rozbeczaną owcą. On widzi w tobie wcielenie Światłości, ja kobietę, która nie ma odwagi, żeby sprostać wymogom czasów, które nastały. Nie pozwolę, by zginął przez twoje tchórzostwo.

Tchórzostwo. Ogarnęła ją wściekłość, jednak nie zdobyła się na żadne słowa. Jej palce wczepiły się w fałdy prześcieradła. Nie sądziła, by potrafiła z zimną krwią podjąć decyzję, że okłamać Valdę, gdyby jednak tak się w końcu stało, jakoś to przeżyje. W każdym razie, tak w tej chwili sądziła. Całkiem odmienna sprawa to powiedzieć “tak”, tylko dlatego, że bała się kolejnej konfrontacji z powrozami i igłami Asunawy i do czego ostatecznie mógłby się posunąć. Jakkolwiek przeraźliwie krzyczałaby w rękach Asunawy, było to niczym wobec cierpień, których przysparzał jej Valda – nie wyobrażała sobie, że tyle będzie potrafiła znieść. Mogła zapomnieć z czasem dotyk Valdy, obraz jego łoża, ale nigdy nie zmyje ze swych ust hańby, jaką okryło ją owo “tak”. Breane cisnęła jej prawdę w twarz, teraz nie miała pojęcia, co na to odpowiedzieć.

Wyratowało ją niespodziane łomotanie pośpiesznych kroków wysokich butów dobiegające z przedsionka. Drzwi sypialni otwarły się z rozmachem, a rozpedzony mężczyzna dał krok do środka i zatrzymał się.

– A więc nie śpisz, to dobrze – Tallanvor odezwał się dopiero po chwili – sprawiając, że jej serce znowu zabiło, sprawiając, że odetchnęła. Usiłowała wyzwolić dłoń z uścisku Breane... nie pamiętała, kiedy ją pochwyciła... ale ku jej zdumieniu tamta uścisnęła ją raz, przelotnie, i dopiero potem puściła.

– Coś się dzieje – mówił dalej Tallanvor, podchodząc długimi krokami do pojedynczego okna. Stanąwszy z boku, jakby nie chciał, by go zauważono, wyteżył wzrok, wpatrując się w noc. Księżycowa poświata obrysowała zarys jego sylwetki. – Panie Gill, wejdź tu i opowiedz, coś widział.

W drzwiach pojawiła się głowa, załśniła w mroku łysina. Za jej plecami, w drugim pokoju poruszał się zwały cienia – Lamgwin Dorn. Kiedy do Basela Gilla dotarło, że ona nadal leży w łóżku, błydy cień okalający jego czaszkę zamigotał nerwowo, gdy odwracał głowę w inną stronę, mimo iż zapewne sporo trudności sprawiało mu dostrzeżenie czegokolwiek więcej oprócz kształtów samego łoża. Pan Gill był znacznie masywniej zbudowany niż Lamgwin, jednak dużo niższy.

– Wybacz mi, moja królowo. Nie chciałem... – Odkasznął nerwowo, podeszwy jego butów zaszurały na posadzce. Gdyby miał czapkę, obracałby ją teraz w dłoniach i miał nerwowo. – Byłem w Długim Korytarzu, siedłem do... do... – “Do wychodka”, tego właśnie nie potrafił wymówić. – W każdym razie wyrzałem przez jedno z okien i zobaczyłem... hm... wielkiego ptaka, chyba... jak lądował na szczycie Południowych Koszar.

– Ptak! – Słyszając przenikliwy głos Lini, pan Gill nie malże wskoczył do pokoju, ustępując tamtej drogi. Może zresztą zareagował tak gwałtownie nie na sam ton tamtej, lecz ostry kuksaniec w jego mocne żebra. Lini zazwyczaj wykorzystywała każdą sposobność do okazania swojej powagi, jaką dawały jej siwe włosy. Przeszła obok Gilla, zawiązując po drodze pasek przy swojej podomce. – Durnie! Tumany o mózgach wołu! Obudziliście moją...! – Zatrzymała się, odchrząknęła ostro. Lini wprawdzie nigdy nie zapomniła, że była kiedyś niańką Morgase, a także niańką jej matki, ale też zawsze dbała o zachowanie stosownych form w obecności osób trzecich. Musiała być naprawdę zła,

że teraz straciła panowanie nad sobą, zdradzał to ton jej głosu. – Obudziliście królową z powodu jakiegoś ptaka! – Przyklepawszy siatkę na włosach, automatycznym ruchem wcisnęła pod nią kilka pasem, które się wymknęły podczas snu. – Czyś ty pił, panie Gill? – Morgase sama się nad tym zastanawiała.

– Nie wiem, czy to był ptak – zaprotestował pan Gill. – To nie przypominało żadnego ptaka, ale co jeszcze lata oprócz nietoperzy? A było wielkie. Z grzbietu zsunęli się jacyś ludzie, a jeszcze jeden człowiek siedział mu na karku, kiedy ponownie wzbił się do lotu. Kiedy biłem się po twarzy, żeby się rozbudzić, wylądował jeszcze jeden taki... stwór... i zsiadło z niego więcej ludzi, a potem pojawił się następny i wówczas stwierdziłem, że czas najwyższy powiadomić lorda Tallanvora. – Lini nie parsknęła wprawdzie, ale Morgase niemalże czuła jej spojrzenie, wcale zresztą nie na nią skierowane. Mężczyzna zaś, który porzucił swoją oberżę, by pójść za nią, z pewnością je poczuł. – Przysięgam na Światłość, moja królowo – upierał się.

– Na Światłość! – odezwał się Tallanvor niczym echo tamtego. -Coś... coś właśnie wylądowało na dachu Północnych Koszar. – Morgase nigdy przedtem nie słyszała, by był równie wstrząśnięty. Myślała tylko o tym, jak zmusić ich wszystkich do wyjścia, żeby mogła zostać sam na sam ze swoim nieszczęściem, ale najwyraźniej nie mogła na to liczyć. Pod wieloma względami Tallanvor był gorszy od Breane. Znacznie gorszy.

– Moja podomka – powiedziała i tym razem Breane prędko ją podała. Pan Gill pospiesznie odwrócił twarz do ściany, kiedy wstawała z łoża i nakładała jedwabną szatę.

Podeszła do okna, zawiązując szarfę. Długi budynek Północnych Koszar majaczył po przeciwnej stronie szerokiego dziedzińca: cztery zwaliste piętra ciemnego kamienia zwieńczone płaskim dachem. Nie paliły się żadne światła, ani tu, ani w ogóle nigdzie na terenie Fortecy. Wszędzie panował całkowity bezruch i cisza.

– Nic nie widzę, Tallanvorze.

Odciągnął ją.

– Popatrz tam – powiedział.

Innym razem pożałowałyby, że zdjął dłoń z jej ramienia, a potem zirytowała – zarówno z powodu swego żalu, jak i tonu jego głosu. Teraz, po tym, co zrobił jej Valda, czuła wyłącznie ulgę. Ale irytację również, wywołaną tą ulgą, jak i niestosownie troskliwym tonem jego głosu. Okazywany przezeń szacunek o całe mile odbiegał od tego, co winien był jej jako poddany, wszystko przez ten jego upór, jego młodość. W istocie niewiele był starszy od Galada.

Cienie drżały w migotliwej poświacie księżyca, ale oprócz tego panował całkowity bezruch. Gdzieś w mieście Amador zawył pies, odpowiedziały mu następne. Potem, kiedy już otworzyła usta, żeby odprawić Tallanvora i wszystkich pozostałych, bezkształtna dotąd ciemność na szczycie masywnego budynku Koszar sprężyła się i oderwała od dachu.

“Coś”, tak to nazwał Tallanvor, a ona nie potrafiła znaleźć lepszego miana. Podłużnego kształtu, szersze niż wysokość przeciętnego mężczyzny, wyposażone w wielkie żebrowane skrzydła, które wykonywały koliste ruchy jak u nietoperza w locie, gdy to “coś” sfruwało w stronę dziedzińca. Jeszcze jakaś postać – człowiek – siedzący tuż za wygiętym “karkiem”. A potem te skrzydła zagarnęły powietrze i ten dziwny stwór poszybował w górę, przesłaniając tarczę księżyca, przemknął ponad jej głową, wlokąc długi cienki ogon za sobą.

Morgase powoli zamknęła usta. Na myśl przychodził jej jedynie Pomiot Cienia. Trolloki i Myrddraale nie były jedynymi stworzeniami Ugoru, które wykoślawił Cień. Nigdy jej nie wspomniano o takim ptako-stworze, ale jej nauczycielki w Wieży twierdziły, że żyją tam monstra, jakich nikt nigdy na tyle wyraźnie nie widział-a jeśli tak, to nie przeżył spotkania z nimi – by potem je

opisać. Ale żeby tak daleko na południu? Jak to możliwe?

Znienacka, przy głównej bramie rozbłysło światło, zawtórował mu donośny huk i po chwili wszystko się powtórzyło, w dwóch jeszcze miejscach wzdłuż wielkiego zewnętrznego muru. Tam też były bramy, tak przynajmniej sądziła.

– A cóż to takiego, na Szczelinę Zagłady? – mruknął Tallanvor w chwili ciszy, dzielącej huki od łomotu dzwonów bijących na trwogę. Podniósł się krzyk, towarzyszyły mu wrzaski i ochryple buczenie wydawane przez rogi. Ogień eksplodował w huku błyskawicy, po chwili znowu.

– Jedyne Moc – wydyszała Morgase. Sama wprawdzie nie potrafiła przenosić – to znaczy potrafiła w takim stopniu, że właściwie równało się to praktycznej niezdolności – ale dostrzec przenoszenie innych umiała. Pomysły odnośnie do Pomiotu Cienia utraciły sens. – To... to zapewne Aes Sedai. – Usłyszała, że za jej plecami komuś głośno zapało dech: Lini albo Breane. Basel Gill mruknął podnieconym tonem: “Aes Sedai”, a Lamgwin odburknął mu coś tak cicho, że nic nie rozumiała. Gdzieś w mroku metal szczęknął o metal, zaryczał ogień i z bezchmurnego nieba runęła pręga błyskawicy. Po mieście również rozniosły się głosy gongów alarmowych... dopiero teraz!... ale były zdumiewająco nieliczne.

– Aes Sedai. – W głosie Tallanvora słyszało się zwątpienie. – Czemu teraz? Żeby cię uratować, Morgase? Myślałem, że nie używają Mocy przeciwko ludziom, jedynie przeciw Pomiotowi Cienia. A jeśli to skrzydlate stworzenie nie było Pomiotem Cienia, to chyba w życiu żadnego nie widziałem.

– Nie masz pojęcia, o czym mówisz! – odrzekła, patrząc mu gniewnie w oczy. – Ty...! – We framugę okna uderzył bełt z kuszy, wzbijając maleńką fontannę drewnianych odłamków, poczuła na twarzy podmuch powietrza, gdy bełt zrykoszetował i wbił z donośnym trzaskiem w jeden z postumentów baldachimu łoża. Kilka cali w prawo i wszystkie jej kłopoty znalazłyby swój kres.

Nie drgnęła nawet, ale Tallanvor natychmiast odciągnął ją od okna, ciskając przekleństwo. Nawet w świetle księżyca widziała grymas na jego obliczu. Przez chwilę myślała, że dotknie jej twarzy. Sama nie wiedziała, czy, gdyby to zrobił, powinna zapłakać, krzyknąć, kazać mu iść precz na zawsze czy...

Zamiast tego powiedział:

– Najprawdopodobniej to ci ludzie, ci Shaminowie czy też jak tam się nazywają. – Uparcie wierzył w te dziwaczne, nieprawdopodobne opowieści, które przenikały do Fortecy. – Myślę, że już teraz mogę nas stąd wydostać, lada chwila wszystko ogarnie chaos. Chodź.

Nie skorygowała go, niewielu ludzi wiedziało cokolwiek na temat Jedynej Mocy, a jeszcze mniej na temat różnic między *saidarem a saidinem*. Pomysł miał jednak swoje dobre strony. W zamęcie walki być może rzeczywiście uda im się uciec.

– Zabierać ją w coś takiego! – zaskrzeczała Lini. Za oknami rozjarzone światła pochłonęły poświatę księżyca, zgiełk ludzkiej wrzawy oraz szczęk mieczy utonęły w grzmotach i łomocie uderzających błyskawic. – Myślałam, że masz więcej rozumu, Martynie Tallanvorze. “Tylko głupcy całują szerszenie albo gryzą ogień”. Słyszałeś, jak mówiła, że to Aes Sedai. Uważasz, że ona się nie zna? Naprawdę?

– Mój Panie, jeśli to Aes Sedai... – Pan Gill zawiesił głos.

Tallanvor cofnął dłonie i burknął ledwie słyszalnie, że żałuje, iż nie ma miecza. Pedron Niall pozwolił mu zatrzymać ostrze, Eamon Valda nie obdarzył takim zaufaniem.

Czuła, jak na moment w jej piersi wzbiera rozczarowanie. Gdyby tylko się uparł, powlókł ją... Co się z nią dzieje? Gdyby spróbował ją zawlec dokądkolwiek z jakiegokolwiek powodu, wygarbowałaby mu skórę. Musiała wziąć się w garść. Valda zawiódł jej zaufanie-nie, on zwyczajnie podarł je na strzępy – ale teraz musi zebrać te strzępy i na powrót pozszywać. W niepojęty sposób.

Jeśli w ogóle warto zszywać łachmany.

– Dowiem się przynajmniej, o co chodzi – warknął Tallanvor, idąc do drzwi. -Jeżeli to nie są twoje Aes Sedai...

– Nie! Zostaniesz tutaj. Proszę. – Była zadowolona, że ciemności mętnej poświaty skrywają jej wściekle zarumienioną twarz. Sądziła, że prędzej odgryzłaby sobie język, nim wypowie to słowo, ale wymknęło jej się, zanim zdążyła się zorientować, co mówi. Podjęła więc dalej, bardziej stanowczym tonem: – Zostaniesz tutaj, strzegąc swej królowej, jak stanowi twa powinność.

W mętym świetle widziała jego twarz, a ten ukłon wydał się całkiem poprawny, ale założyłaby się o ostatniego miedziaka, że jedno i drugie przepelniała złość.

– Będę w przedsionku. – Cóż, ton nie pozostawiał wątpliwości. Chociaż raz przynajmniej, nie obeszło jej ani to, jak bardzo jest zły, ani to, że prawie wcale nie starał się tego ukryć. Niewykluczone, że własnymi rękoma zabije kiedyś tego irytującego człowieka, ale z pewnością nie umrze on tej nocy, zasieczony przez żołnierzy, nie wiedzących, po której jest stronie.

Nie było już nadziei na sen, zresztą wcześniej i tak nie mogła zmrużyć oczu. Umyła twarz i zęby, nie zapalając żadnej z lamp. Breane i Lini pomogły jej włożyć niebieską suknię z zielonymi cięciami oraz kaskadami śnieżystej koronki przy mankietach i pod brodą. Bardzo by się nadała na przyjęcie Aes Sedai. Tej nocy szalał *saidar*. To musiały być Aes Sedai. No bo niby któż inny?

Gdy dołączyła do mężczyzn w przedsionku, ci siedzieli w ciemności rozświetlanej jedynie światłem księżyca wpadającym przez okno i sporadycznymi błyskami ognia utkanego z Mocy. Nawet świeca mogła przyciągnąć czyjaś niepożądaną uwagę. Lamgwin i Pan Gill poderwali się kolejno ze swych krzeseł, Tallanvor wstał znacznie wolniej, a ona nie potrzebowała światła, by wiedzieć, że przygląda się jej z ponurą miną. Wściekła, że musi mu to puścić płazem – a była przecież jego królową! – ledwie mogąc zapanować nad tonem głosu, nakazała Lamgwinowi, by przyniósł więcej wysokich drewnianych krzeseł i ustawił je z dala od okien. Siedzieli i czekali, milcząc. Na zewnątrz nadal pobrzmiwały echem łomoty i ryki gromów, łkały rogi, krzyczeli ludzie, a wszystko to stanowiło tło dla strumieni *saidara*. Morgase czuła, jak napływają, cofają się i znowu wzbierają.

Po upływie co najmniej godziny odgłosy bitwy zaczęły powoli cichnąć i zamierać. Czyjeś głosy nadal wykrzykiwały niezrozumiałe rozkazy, zawodzili ranni, a niekiedy odzywały się te osobliwe rogi, ale nie było już słyhać szczęku stali uderzającej o stal. Przepływ *saidara* znacznie osłabł, nie miała wątpliwości, że gdzieś we wnętrzu Fortecy kobiety nadal obejmowały Źródło, ale sądziła, że teraz już nie przenoszą. Po tamtym zgiełku i zamieszaniu spokój, który teraz zapanował, wydawał się niemal całkowity.

Tallanvor poruszył się, ale zanim zdążył wstać, gestem ręki kazała mu pozostać na miejscu, przez moment miała jednak wrażenie, że jej nie usłucha. Nocy ubywało i przez okna powoli wpełzało światło przedświt, wywołując z mroku pochmurną minę Tallanvora. Trzymała dłonie nieruchomo na podołku. Cierpliwość była jedną z rzeczy, których ten młody mężczyzna musiał się nauczyć. Cierpliwość stanowiła drugą z kolei ze szlacheckich zalet, zaraz po odwadze. Słońce wzeszło. Lini i Breane szeptały między sobą coraz bardziej zaniepokojonymi głosami, spoglądając w jej kierunku. Tallanvor rzucał groźne spojrzenia swymi gorejącymi ciemnymi oczami, siedząc sztywno w granatowym kaftanie, który tak dobrze na nim leżał. Pan Gill wiercił się niespokojnie, gładząc kolejno to jedną, to drugą dłońią po siwej głowie i ocierając różowe policzki chusteczką. Lamgwin skulił się w krześle, ciężkie powieki niegdysiejszego ulicznego zabijaki nadawały mu wygląd półśpiącego, ale kiedy zerkał na Breane, na jego pokrytej bliznami twarzy ze złamanym nosem migotał uśmiech. Morgase skupiła się na własnym oddechu, jakby wykonywała ćwiczenia, które zadawano jej podczas miesięcy spędzonych w Wieży. Cierpliwość. Jeżeli ten ktoś prędko się nie

zjawi, to może oczekiwać kilku ostrych słów, Aes Sedai czy nie Aes Sedai!

Wbrew sobie aż podskoczyła w miejscu, słysząc nagły odgłos łomotania do drzwi wiodących na korytarz. Zanim zdążyła nakazać Breane, by sprawdziła, kto tam, drzwi otworzyły się z impetem, uderzając gwałtownie o ścianę. Morgase wbiła wzrok w tego, który wszedł do środka.

Wysoki smagłokóry mężczyzna o haczykowatym nosie odwzajemnił się chłodnym spojrzeniem; zza ramienia wystawała mu długa rękojeść miecza. Jego pierś pokrywała dziwna zbroja, nakładające się płytki lśniły złoto i czarno, a przy biodrze trzymał hełm, który przypominał łeb owada, czarno-złoto-zielony, z trzema długimi cienkimi zielonymi pióropuszcami. Tuż za nim stało dwóch jeszcze odzianych w identyczne zbroje i z takimi samymi hełmami, aczkolwiek bez pióropuszy; ich zbroje wydawały się raczej pomalowane niż polakierowane, ponadto w rękach trzymali naciągnięte kusze. Dalsi żołnierze stali w korytarzu na zewnątrz, z włóczniami, które zdobiły złoto-czarne chwosty.

Tallanvor, Lamgwin i nawet przysadzisty pan Gill poderwali się na równe nogi, stając między nią a jej osobliwymi gośćmi. Musiała utorować sobie między nimi drogę.

Spojrzenie mężczyzny z haczykowatym nosem spoczęło na niej; zaczął mówić, zanim jeszcze zdążyła zażądać wyjaśnień.

– Tyś jest Morgase, królowa Andoru? – Jego głos brzmiał tak oschle i wymawiał słowa tak rozwlekłe, że ledwie go rozumiała. Ubiegł jej odpowiedź. – Pójdiesz ze mną. Sama – dodał, kiedy Tallanvor, Lamgwin i pan Gill ruszyli do przodu jak jeden mąż. Kuszniczy zaprezentowali swoją broń; krótkie bełty wyglądały na stworzone do wybijania dziur w zbroi, ciało z pewnością nie stanowiło dla nich żadnej przeszkody.

– Nie zgłaszam sprzeciwu wobec tego, by moi ludzie pozostali tu do mojego powrotu – powiedziała ze znacznie większym spokojem, niż w istocie odczuwała. Kim są ci ludzie? Znała akcent, jakim mówiono we wszystkich krajach, znała się na zbrojach. – Jestem pewna, że znakomicie dopilnujesz mojego bezpieczeństwa, kapitanie...?

Nie podał nazwiska, tylko gestem nakazał szorstko, że ma iść za nim. Ku jej bezmiernej uldze Tallanvor nie awanturował się i poprzestał na groźnych spojrzeniach, ku z kolei jej wielkiej irytacji pan Gill i Lamgwin najpierw popatrzyli na niego, zanim wreszcie odstępili na bok.

W korytarzu żołnierze utworzyli szyk, biorąc ją w środek, mężczyzna z haczykowatym nosem i dwaj kusznicy szli na czele. Gwardia honorowa, próbowała sobie wmówić. Po tak krótkim czasie, jaki upłynął od bitwy, poruszanie się bez ochrony byłoby skrajną głupotą; mogli się kręcić jacyś maruderzy, biorąc zakładników albo wręcz zabijając każdego, kto wpadnie im w ręce. Bardzo chciała uwierzyć w te wyjaśnienia.

Próbowała spytać oficera, ale ten nie odzywał się ani słowem, na moment nie zwolnił kroku, nie odwrócił nawet głowy, toteż poniechała dalszych prób. Żaden z żołnierzy nawet na nią nie zerknął. Mężczyźni o twardym spojrzeniu, tego pokroju, który znała z własnej gwardii, mężczyźni, których widywała już przedtem w walce, więcej niż raz. Ale pod czym dowództwem walczyli? Ich buty łomotały na kamieniach posadzki równym rytmem werbla, niosąc się złowieszczym pogłosem, wzmacnianym dodatkowo przez nagie korytarze Fortecy. Utrzymane właściwie w bezbarwnej tonacji, ciągnące się ściany nie były ozdobione niczym prócz z rzadka rozwieszonych gobelinów, przedstawiających wyłącznie jakieś krwawe bitwy Białych Płaszczy.

Zorientowała się, że prowadzą ją w stronę kwater Lorda Kapitana Komandora i w żołądki poczuła mdłości – wcześniej zdążyła się znakomicie oswoić z otoczeniem, w jakim żył Pedron Niall, jednak podczas kilku dni, które upłynęły od jego śmierci, zaczęła się go panicznie lękać. Kiedy minęli róg, wzdrygnęła się na widok jakichś dwóch tuzinów łuczników maszerujących za oficerem, w workowatych spodniach i skórzanych napierśnikach pomalowanych w poziome niebieskie oraz

czarne paski. Każdy miał na głowie stalowy stożkowaty hełm obrzeżony wstęgą szarej stalowej kolczugi, zakrywającą mu czoło aż do oczu; tu i tam pod osłonami sterczały wąsy. Oficer łuczników skłonił się przed tym, który szedł na czele jej eskorty, ten tylko uniósł rękę w odpowiedzi.

Tarabonianie. Nie widziała ich od dobrych paru lat, ale ci mężczyźni, mimo dziwnych pasków, byli Tarabonianami, gotowa była się założyć o to, że zje swe pantofle. A jednak nic tu nie miało sensu. Tarabon stanowił obecnie chaos wcielony, pogrążony w wojnie domowej prowadzonej równocześnie przez sto chyba partii, w której główne stronnictwa gromadziły się wokół kolejnych pretendentów do tronu oraz Zaprzysięgłych Smokowi. Tarabon żadną miarą nie mógł zaatakować samego Amadoru. Chyba że, jakimś cudem, jeden z pretendentów pokonał pozostałych oraz Zaprzysięgłych Smokowi i... Coś takiego było niemożliwe, ponadto nie tłumaczyło owych dziwnie odzianych żołnierzy tudzież tamtej skrzydlatej bestii, ani...

Dotąd sądziła, że napatrzyła się już w życiu na różne dziwne rzeczy. Myślała, że wie, co to mdłości. A potem ona i jej gwardia skręcili za następny róg i naprzeciw nim wyszły dwie kobiety.

Jedna była szczuplejsza, niska jak każda Cairhienianka i bardziej smagła od wszystkich Tairenian, w błękitnej sukni, która kończyła się przed kostkami; srebrne błyskawice rozwidlały się na czerwonych wstawkach na piersi i po bokach szerokich dzielonych spódnic. Druga kobieta w ciemnoburym szarościach górowała wzrostem nad większością mężczyzn, miała jasne włosy sięgające do ramion, wyszczotkowane do połysku, oraz przerażone zielone oczy. Srebrna smycz łączyła srebrną bransoletę na nadgarstku niższej kobiety z naszyjnikiem noszonym przez wyższą.

Stały z boku, żeby przepuścić eskortę Morgase, a kiedy mężczyzna z haczykowatym nosem wymamrotał *“Der’sul’dam”* – tak się przynajmniej Morgase wydawało, niewyraźny akcent utrudnił zrozumienie – a wypowiedział to takim tonem, jakby przemawiał do prawie, ale nie całkiem jemu równej, ciemna kobieta skłoniła się nieznacznie, szarpnęła za smycz i jasnowłosa kobieta padła na posadzkę, skłaniając głowę na kolana i przyciskając wyciągnięte przed siebie dłonie do kamiennej posadzki. Kiedy Morgase i eskortujący ją żołnierze przechodzili obok, ciemnowłosa pochyliła się, by poklepać drugą czule po głowie, jak się poklepuje psa a, co gorsza, klęcząca kobieta podniosła na tamtą wzrok pełen zadowolenia i wdzięczności.

Morgase zdobyła się na niemały wysiłek, konieczny by iść dalej, by zapanować nad uginającymi się kolanami, zdławić mdłości wykręcające żołądek. Już sama służalczość była czymś złym, ale ona nie miała wątpliwości, że poklepana po głowie kobieta potrafiła przenosić. Niemożliwe! Szła dalej oszołomiona, zastanawiając się, czy to przypadkiem nie jakiś sen, koszmar. Modliła się, by tak było. Do jej świadomości niezbyt wyraźnie docierało, że zatrzymywali się, by zabrać kolejnych żołnierzy, tych w czerwono-czarnych zbrojach, po czym...

Komnata audiencyjna Pedrona Nialla – obecnie Valdy, a właściwie tego, kto zajął fortecę – została zmieniona. Wielkie słońce osadzone w posadzce pozostało, ale zniknęły wszystkie sztandary zdobyte przez Nialla, które Valda zatrzymał, jakby mu się należały, mebli też nie było, wyjąwszy rzeźbione w proste wzory krzesło z wysokim oparciem, na którym zasiadali i Niall, i Valda; po obu jego bokach stały teraz dwa wysokie jaskrawo pomalowane parawany. Na jednym widniał czarny ptak drapieżny z białym czubem, okrutnym dziobem i rozpostartymi szeroko skrzydłami o białych koniuszkach, na drugim żółty kot w białe cętki z jedną łapą ułożoną na podobnym do jelenia zwierzęciu o połowę od niego mniejszym, przyozdobionym długimi prostymi rogami i białymi paskami.

W pomieszczeniu przebywało kilkoro ludzi, ale tyle tylko zdążyła zauważyć, zanim na przód wystąpiła kobieta o srogiej twarzy, odziana w niebieską szatę, z jedną stroną czaszki wygoloną, pozostałe włosy zaplotła w długi brązowy warkocz przewieszony przez prawe ramię. Jej niebieskie

oczy, pełne pogardy, mogły równie dobrze należeć do tego orła albo kota.

– Stoisz przed Wysoką Lady Suroth, która prowadzi Tych Którzy Przybyli Wcześniej i przygotowuje Powrót -zaintonowała tym samym bełkotliwym akcentem.

Mężczyzna o haczykowatym nosie bez ostrzeżenia schwycił Morgase za kark i przymusił, by klęknęła obok niego. Oszołomiona, po części przynajmniej dlatego, że z zaskoczenia gwałtowną napaścią straciła oddech, zobaczyła, że mężczyzna całuje posadzkę.

– Puść ją, Elbar – wycedziła gniewnie druga kobieta. – Nie należy tak traktować Królowej Andoru.

Mężczyzna, Elbar, uniósł się na kolana z pochyloną głową.

– Korzę się, Wysoka Lady. Dopraszam się wybaczenia. -Jego głos był tak zimny i beznamiętny, jak tylko akcent na to pozwalał.

– Nie bardzo mam chęć ci wybaczyć, Elbar. – Morgase podniosła wzrok i aż się cofnęła na widok Suroth, która włosy po bokach czaszki miała wygolone, na szczycie postawiony czub z lśniących czarnych włosów, z tyłu zaś grzywę spływającą na plecy. – Może kiedyś zostaniesz ukarany. A teraz odmelduj się. Zostaw mnie! Idź! – Jej dłoń wykonała zamaszysty gest, błyskając paznokciami długości co najmniej cała, palec wskazujący i środkowy każdej dłoni zdobiły paznokcie lśniące niebieskim lakierem.

Elbar uklonił się na klęczkach, po czym podniósł gładko i, idąc tyłem, wycofał się z komnaty. Do Morgase dopiero teraz dotarło, że żaden z pozostałych żołnierzy nie wszedł za nimi do środka. I zrozumiała coś jeszcze. Elbar spojrział na nią po raz ostatni, zanim całkiem zniknął, miast przelotnej odrazy wobec kogoś, kto przyczynił się do jego ukarania, on... się zastanawiał. Nie będzie żadnej kary; cała ta wymiana zdań została z góry zaaranżowana.

Suroth podeszła posuwistymi krokami do Morgase, starannie przytrzymując niebieską szatę, eksponując śnieżnobiałe spódnice ozdobione setkami drobniutkich plis. Całą szatę pokrywały haftowane pnącza oraz okazałe żółte i czerwone kwiaty. Morgase zauważyła, że mimo tych energicznych ruchów, kobieta nie podeszła do niej, dopóki nie powstała z posadzki.

– Czy nic ci się nie stało? – spytała Suroth. – Jeśli coś ci się stało, wymierzę mu podwójną karę.

Morgase otrzepała suknię, dzięki temu nie musiała patrzeć na ten fałszywy uśmiech, który ani przez moment nie pojawił się w oczach tej kobiety. Skorzystała z okazji, żeby się rozejrzeć po komnacie. Pod jedną ze ścian klęczeli czterej mężczyźni i cztery kobiety, wszyscy młodzi i bardziej niż przystojni, wszyscy odziani... Gwałtownie oderwała wzrok. Te długie białe szaty były niemalże przezroczyste! Przy każdym z przeciwległych końców parawanów klęczały jeszcze dwie kobiety, przy czym w każdej z tych par jedna odziana była w szarą suknię, druga w niebieską obramowaną wyhaftowanymi błyskawicami, związane srebrzystą smyczą łączącą nadgarstek jednej z karkiem drugiej. Morgase nie stała dostatecznie blisko, by orzec to z całym przekonaniem, a jednak czuła mdlącą pewność, że dwie odziane na szaro kobiety potrafią przenosić.

– Nic mi nie jest, dzie... – Na posadzce spostrzegła jakiś ogromny kształt rudawej barwy, stertę garbowanych krowich skór, być może. I nagle ta sterta uniosła się. – Co to jest? – Jakoś udało jej się nie wytrzeszczyć oczu, ale pytanie wymknęło jej się z ust, zanim zdołała zapanować nad językiem.

– Podziwiasz mojego *lopara*? – Suroth odsunęła się na bok, ruchem znacznie szybszym od posuwistych kroków, jakimi do niej podchodziła. Ogromna istota uniosła wielki, okrągły łeb i podsunął ku niej, najwyraźniej chcąc, by podrapała go pod brodą. Stworzenie przywodziło Morgase na myśl niedźwiedzia, mimo iż było co najmniej półtora raza większe od największego niedźwiedzia, o jakim jej kiedykolwiek opowiadano, a na dodatek skórę miało całkiem bezwłosą, pysk płaski, ślepie otoczone grubymi fałdami skóry. – Almandaragala podarowano mi, gdy był jeszcze



szczeniakiem, z okazji mojego pierwszego dnia prawdziwego imienia. Już tego samego roku, gdy osiągnął zaledwie ćwierć swych obecnych rozmiarów, udaremnił pierwszą próbę zamachu na moją osobę. – W głosie kobiety słyszało się prawdziwą tkliwość. Kiedy go gładziła, wargi... *lopara*... odwinęły się, ukazując potężne spiczaste zęby, a cały stwór wyprężył przednie łapy, odsłaniając pazury i sześć długich palców przy każdej. I zaczął mruczeć basowym grzotem chóru setki kotów.

– Osobliwe – powiedziała słabym głosem Morgase. Dzień prawdziwego imienia? Do ilu prób zabicia tej kobiety doszło, że potrafiła mówić o pierwszym zamachu na jej życie tak beztrąsko?

Lopar zaskowytał nagłaco, kiedy Suroth go zostawiła, po chwili jednak legł znowu spokojnie, wspierając łeb na łapach. Jego oczy nie podążyły śladem tamtej, tylko skupiły się niepokojuco na Morgase, co jakiś czas łypiąc w stronę drzwi albo wąskich otworów strzelniczych.

– Ale, rzecz jasna, *lopar*, niezależnie od jego lojalności, nawet nie dorównuje *damane*. – Tym razem w głosie Suroth nie pojawiło się żadne uczucie. – Pura i Jinjin mogłyby wymordować ze stu skrytobójców, zanim Almandaragal mrugnąłby okiem. – Na dźwięk obu imion niebiesko odziana kobieta szarpnęła za swoją srebrzystą smycz, a ta, której szyję otaczał drugi koniec, zgięła się w pół, w identycznej pozycji, jaką Morgase widziała wcześniej w korytarzu. – Od powrotu mamy znacznie więcej *damane* niż przedtem. To ogromny teren łowiecki dla *marath'damane*. Pura – dodała zdawkowym tonem – była kiedyś... kobietą z Białej Wieży.

Pod Morgase ugięły się kolana. Aes Sedai? Przyjrzała się pochylonym plecami kobiety nazywanej Purą, nie potrafiąc uwierzyć. Żadnej Aes Sedai nie dałoby się zmusić do takiej służalczości. Nadto, każda kobieta, która potrafiła przenosić, nie tylko jakąś Aes Sedai, powinna bez trudu zdjąć tę smycz i udusić swą dręczycielkę. To w ogóle każdy powinien potrafić. Nie, ta Pura nie mogła być Aes Sedai. Morgase przelotnie zastanowiła się, czy nie będzie zbyt śmiałością poprosić o krzesło.

– To bardzo... interesujące. – Przynajmniej jej głos zabrzmiał pewnie. – Ale nie sądzę, byś zaprosiła mnie tutaj, żeby rozmawiać o Aes Sedai. – W zasadzie – nie została zaproszona. Suroth wpatrywała się w nią, nie poruszając ani jednym mięśniem, jeśli nie liczyć podrygiwania długich pomalowanych paznokci przy lewej dłoni.

– Thera! – warknęła zniechęcona kobieta o ostrych rysach z czaszką w połowie wygoloną. – *Kaf* dla Wysokiej Lady i jej gościa.

Jedna z kobiet w przezroczystych szatach, nieco starsza, ale dalej wciąż jeszcze młoda, poderwała się z gracją. Jej podobne do pączka róży usta przybrały błagalny wyraz, ale pomknęła za wysoki parawan z wizerunkiem orła i po kilku chwilach wyłoniła się ponownie, niosąc srebrną tacę z dwoma małymi białymi filiżankami. Klękając przed Suroth, pochylona ciemnowłosa głowę przy podnoszeniu tacy, przez co poczęstunek znalazł się wyżej od niej. Morgase pokręciła głową, każda służka w Andorze poproszona o coś takiego – albo o noszenie takiej szaty! – wpadłaby w nieposkromioną wściekłość.

– Kim jesteście? Skąd przybywacie?

Suroth uniosła jedną z filiżanek czubkami palców, wdychając unoszącą się z niej parę. W jej skinieniu głowy było o wiele za dużo swego rodzaju łaskawego przyzwolenia, jak na gust Morgase, ale tak czy owak przyjęła naczynie. Płyn, ciemniejszy od jakiegokolwiek herbaty, był również znacznie bardziej gorzki. Żadna ilość miodu nie uczyniłaby go smacznym. Suroth przyłożyła swoją filiżankę do ust i westchnęła z ukontentowaniem.

– Jest wiele rzeczy, które musimy omówić, Morgase, ale przy pierwszej rozmowie będę się streszczać. My, Seanchanie, wracamy, żeby odzyskać to, co ukradziono spadkobiercom Najwyższego Króla, Artura Paendraga Tanrealla. – Zadowolony, jakim najwyraźniej napawał ją *kaf*, ustąpiło

miejsca wyraźniej pobrzmiwającej w głosie, innej przyjemności znamionującej jednocześnie wyczekiwanie i pewność. Przyglądała się uważnie twarzy Morgase. Morgase zaś nie potrafiła oderwać od niej oczu. – Co było nasze, będzie znowu nasze. Tak naprawdę zawsze było, złodziej nie nabywa prawa własności ukradzionego przedmiotu. Zaczęłam moje odzyskiwanie od Tarabonu. Wielu arystokratów z tego kraju już przysięgło, że będą posłuszni, że będą oczekiwać na rozkazy i służyć, gdy nadejdą, wkrótce wszyscy złożą taką przysięgę. Ich król – nie przypominam sobie jego imienia – umarł w trakcie stawianiu mi oporu. Gdyby przeżył, to za sam bunt przeciwko Kryształowemu Tronowi, nawet nie wobec Krwi, zostałby nabity na pal. Nie udało się odnaleźć jego rodziny, by obrócić ją w mą własność, ale jest nowy Król i nowa Panarch, którzy przysięgli swoją lojalność wobec Cesarzowej, oby żyła wiecznie, i Kryształowego Tronu. Bandyci zostaną unicestwieni; w Tarabonie nie będzie więcej ni utarczek, ni głodu, ale ludzi będzie odtąd strzec dłoń Cesarzowej. Z chwilą obecną rozpoczęłam wprowadzać podobne porządki w Amadicii. Niebawem wszyscy klękną przed Cesarzową, oby żyła wiecznie, bezpośrednią następczynią wielkiego Artura Hawkwinga.

Gdyby usługująca kobieta nie odeszła wcześniej z tacą, Morgase odstawiłaby swoją filiżankę. Żadne drżenie nie zmąciło powierzchni *kaf*, ale większość tego, co ta kobieta wyrecytowała, było dla niej całkiem pozbawione sensu. Cesarzowa? Seanchanie? Jakiś rok temu krążyły dzikie pogłoski o armiach Artura Hawkwinga wracających zza Oceanu Aryth, ale wierzyli w nie tylko najbardziej naiwni, Morgase zaś wątpiła, by najgorsi plotkarze na targowiskach dalej jeszcze powtarzali tę opowieść. Czy mogło to być jednak prawdą? W każdym razie to, co zrozumiała, i tak ją przerastało.

– Wszyscy oddają cześć imieniu Artura Hawkwinga, Suroth... – zaczęła Morgase. Kobieta o ostrych rysach gniewnie otworzyła usta, po czym cofnęła się, widząc gwałtowny gest zakończonego niebieskim paznokciem palca Wysokiej Lady. – ...ale jego czas dawno przeminął. Każdy naród tutaj wywodzi się ze starożytności. Żaden kraj nie ugnie się przed tobą ani twoją Cesarzową. Nawet jeśli zajęłaś część Tarabonu... – Suroth z sykiem wciągnęła oddech, a jej oczy zaiskrzyły się – ...pamiętaj, że to niespokojny kraj, zwaśniony wewnętrznie. Amadicia nie podda się tak łatwo i wiele narodów przybędzie jej z pomocą, kiedy się dowiedzą o was. – Czy aby na pewno? – Niezależnie od tego, ilu was jest, nie znajdziecie łatwej zwierzyny na wasz rożen. Już wcześniej stawaliśmy w obliczu wielkich niebezpieczeństw i żadne nas nie pokonało. Radzę ci, abyś zawarła pokój, zanim zostaniesz zmiążdżona. – Morgase przypomniawszy sobie o szalejącym nocą *saidarze* i ze wszystkich sił unikała patrzenia na... *damane*? Tak je nazywała? Tylko dzięki wielkiemu wysiłkowi udało jej się stłumić nerwowe oblizanie warg.

Suroth uśmiechnęła się znowu tym uśmiechem maski, o oczach lśniących niczym polerowane kamienie.

– Wszyscy musimy dokonywać wyborów. Niektórzy postanowią okazywać posłuszeństwo, oczekiwać na rozkazy i służyć, gdy nadejdą, ci będą władali swymi krajami w imieniu Cesarzowej, oby żyła wiecznie. – Odjęła dłoń od filiżanki, żeby wykonać gest, nieznaczny ruch długich paznokci, i wtedy kobieta o ostrych rysach warknęła:

– Thera! Pozy Łabędzia!

Suroth z jakiegoś powodu zacisnęła usta.

– Nie Łabędzia, Alwhin, ty ślepa idiotko! – syknęła, ledwie zrozumiale, aczkolwiek to głównie jej akcent sprawiał Morgase kłopoty. Martwy uśmiech powrócił w mgnieniu oka.

Usługująca kobieta znowu podniosła się z jej miejsca przy ścianie i wybiegła na środek posadzki, poruszając się dziwacznie na palcach, zarzuciwszy sobie ręce na plecy. Powoli, ustawiona na rozjarzonym słońcu, symbolu Synów Światłości, zaczęła wykonywać coś w rodzaju stylizowanego

tańca. Najpierw uniosła ręce na podobieństwo skrzydeł, po czym złożyła je na plecach. Następnie, obracając się w miejscu, wysunęła lewą stopę, opuszczając się na ugięte kolana, z obiema rękami wyciągniętymi jakby w błagalnym geście, aż w końcu jej ręce, ciało i prawa noga ułożyły się w prostą, ukośną linię. Jej przezroczysta, biała szata sprawiała, że cały ten pokaz wyszedł skandalicznie. Morgase poczuła, jak jej policzki stają się gorące w miarę trwania tańca, o ile tak to należało nazwać.

– Thera jest nowa i jeszcze niedostatecznie wyszkolona – wymamrotała Suroth. – Pozy są najczęściej wykonywane z udziałem dziesięciu albo dwudziestu *da'covale*, mężczyzn i kobiet wybranych ze względu na nieskazitelne piękno ich kształtów, ale niekiedy przyjemnie jest popatrzeć sobie tylko na jedną. Przyjemnie jest posiadać piękne rzeczy, nieprawdaż?

Morgase zmarszczyła brwi. Jak można posiadać osobę? Suroth mówiła wcześniej o “czynieniu z kogoś własności”. Mimo iż znała Dawną Mowę, słowo *da'covale* nie było jej znajome, po zastanowieniu się jednakże, wyszło jej, że to “Osoba Która Jest Posiadana”. To obrzydliwe. Koszmarne!

– Niewiarygodne – powiedziała sucho. – Może powinnam cię opuścić, abyś mogła radować się tym... tańcem.

– Za chwilę – odrzekła Suroth, uśmiechając się do wykonującej Pozy Thery. Morgase starała się nie patrzeć. -Wszyscy muszą dokonywać wyborów, jak już powiedziałam. Były król Tarabonu postanowił się zbuntować i umarł. Była Panarch została pojmana, a mimo to nie zechciała złożyć Przysięgi. Każdy z nas ma miejsce, do którego przynależy, o ile nie zostanie wyniesiony przez Cesarzową, ale ci, którzy odrzucają propozycję zajęcia miejsca dla nich stosownego, mogą zostać zniszczeni ze szczętem. Thera dysponuje niejaką gracją. Nadto, Alwhin jest bardzo obiecującą nauczycielką, spodziewam się więc, że nie upłynie wiele lat, a Thera nabierze dość wprawy, by użyć tej gracji w Pozach. – Ten uśmiech, to roziskrzone spojrzenie przeniosły się na Morgase.

Bardzo znaczące spojrzenie, ale dlaczego? Czy to miało coś wspólnego z tańczącą? Jej imię, wymieniane tak często, jakby chciała je w ten sposób dodatkowo zaakcentować. Ale co...? Morgase gwałtownie obróciła głowę i zagapiła się na kobietę, stojącą na czubkach palców i powoli wykonującą piruet w miejscu, ze złożonymi dłońmi i ramionami wyciągniętymi tak wysoko, jak się dało.

– Nie wierzę w to – wydyszała. – I nie uwierzę!

– Thera – powiedziała Suroth – jak brzmiało twoje imię, zanim stałaś się moją własnością? Jaki posiadałaś tytuł?

Thera zastygła wyprężona i drżąca, rzucając spojrzenie, zdradzające po części zwykłą panikę, po części zaś najczystsze przerażenie, panika przeznaczona była dla Alwhin o ostrych rysach, a przerażenie dla Suroth.

– Thera miała na imię Amathera, jeżeli to zadowala Wysoką Lady -powiedziała bez tchu. – Thera była Panarch Tarabonu, jeżeli to zadowala Wysoką Lady.

Filizanka wypadła z dłoni Morgase, roztrzaskując się na posadzce w kawałki i zalewając ją smolistą *kaf*. To na pewno kłamstwo! W życiu nie poznała Amathery, ale słyszała o niej swego czasu. Nie. Wiele kobiet w stosownym wieku mogło mieć duże ciemne oczy i wydatne usta. Pura nigdy nie była Aes Sedai, a ta kobieta...

– Poza! – warknęła Alwhin i Thera sunęła dalej, nie rzuciwszy już więcej ani jednego spojrzenia na Suroth czy kogokolwiek innego. Kimkolwiek była, najwyraźniej główną jej myślą było teraz palące pragnienie nie popełnienia błędu. Morgase ze wszystkich sił starała się nie zwymiotować.

Suroth podeszła bardzo blisko, z wyrazem twarzy tak lodowatym jak sam środek zimy.

– Każdy staje w obliczu jakiegoś wyboru-powiedziała cicho. Głosem jednak mogłaby znakować stal. – Niektórzy z moich więźniów powiadają, żeś spędziła jakiś czas w Białej Wieży. Zgodnie z prawem żadna *marath'damane* nie może uniknąć smyczy, ale ja daję słowo, że ciebie, która nazwałaś moje słowo kłamstwem, taki los nigdy nie spotka. – Naciskiem położonym na słowo “taki” dała jasno do zrozumienia, że jej obietnica nie tyczy żadnego innego spośród możliwych losów. Uśmiech, który nawet na chwilę nie ogarnął oczu, powrócił. – Liczę, że zdecydujesz się złożyć przysięgę, Morgase, i władać Andorem w imieniu Cesarzowej, oby żyła wiecznie. – Morgase po raz pierwszy nabrała absolutnej pewności, że kobieta kłamie. – Porozmawiam z tobą jutro albo może pojutrze, jeśli znajdę czas.

Odwróciwszy się, Suroth posuwistymi krokami ruszyła w stronę krzesła z wysokim oparciem, mijając pod drodze samotną tancerkę. Kiedy usiadła, z gracją rozkładając szatę, Alwhin warknęła znowu. Zdawała się nie znać innych sposobów komunikacji.

– Wszyscy! Pozy Łabędzia! – Młodzi mężczyźni i kobiety klęczący pod ścianą poderwali się i przyłączyli do Thery, zgodnie naśladowując jej ruchy przed krzesłem Suroth. Jedynie wzrok *lopara* zdradzał, że ktoś nadal przyjmuje istnienie Morgase do wiadomości. Nie sądziła, by kiedykolwiek, przez całe swoje życie, spotkała się z tak jednoznaczną odprawą. Zebrawszy swe spódnice, chowając pod nie swoją godność, wyszła.

Jak można było się tego spodziewać, nie uszła daleko sama. W przedsionku niczym posągi stali żołnierze z włóczniami ozdobionymi czerwono-czarnymi chwostami, z twarzami równie obojętnymi jak błysk ich lakierowanych hełmów, ze stalowym wzrokiem nieruchomych oczu, wyczepionych jakby zza szczęk monstrualnych owadów. Jeden, niewiele wyższy od niej, bez słowa zajął miejsce przy jej boku, a potem odeskortował ją z powrotem na pokoje, gdzie z kolei drzwi strzegli dwaj Tarabonianie z mieczami, w stalowych napierśnikach pomalowanych w poziome paski. Skłonili się nisko, z dłońmi na kolanach, i uznała, że to przed nią, dopóki eskortujący ją mężczyzna nie odezwał się, zresztą po raz pierwszy.

– Honory przyjęte – rzekł surowym oschłym głosem i Tarabonianie wyprostowali się, nawet na nią nie spojrzawszy, dopóki nie dodał: – Dobrze jej pilnujcie. Nie złożyła Przysięgi. – Znad stalowych kolczug błysnęły w jej stronę spojrzenia, ale krótkie ukłony wyrażające zgodę były skierowane do Seanchanina.

Zrobiła wszystko, by nie wbiec pospiesznie do środka, ale gdy tylko drzwi zamknęły się za nią, przystanęła, oparta o nie, starając uspokoić wirujące myśli. Seanchanie i *damane*, Cesarzowe, przysięgi i ludzie stanowiący własność. Lini i Breane stały na środku pokoju i patrzyły na nią.

– Czego się dowiedziałaś? – spytała cierpliwym tonem Lini, jakby pytała dziecko o treść książki, którą właśnie przeczytało.

– Koszmar i szaleństwo – westchnęła Morgase. Nagle wyprostowała się i z niepokojem rozejrzała po wnętrzu. – Gdzie jest...? Gdzie są mężczyźni?

Breane odpowiedziała na to nie zadane pytanie uszczypliwie drwiącym tonem:

– Tallanvor poszedł czegoś się wywiedzieć. – Wspierała ręce na biodrach, a jej twarz przybrała wyraz śmiertelnej powagi. – Lamgwin, a także pan Gill poszli razem z nim. A czego ty się dowiedziałaś? Kim są ci... Seanchanie? – Wymówiła to słowo niepewnie, krzywiąc się przy tym. – Tyle sami słyszeliśmy. – Udawała, że nie dostrzega kąśliwego spojrzenia Lini. – Co mamy teraz robić, Morgase?

Morgase precyzyjnie się między obiema kobietami, podchodząc do najbliższego okna. Nie tak wąskie jak te w komnacie audiencyjnej, wyglądało z wysokości dwudziestu stóp albo i więcej na

kamienny bruk dziedzińca. Ponura kolumna złożona z obdartych mężczyzn z obnażonymi głowami, wśród których zdarzali się poowijani zakrwawionymi bandażami, wlokła się przez dziedziniec pod czujnym wzrokiem Tarabonian z włóczyniami. Na szczycie pobliskiej wieży stało kilku Seanchan, lustrujących okolicę przez otwory w blankach. Jeden z nich miał na głowie hełm udekorowany trzema cienkimi piórami. W oknie po drugiej stronie dziedzińca pojawiła się jakaś kobieta, w sukni z odznaczającą się czerwoną wstawką ozdobioną wyhaftowanymi błyskawicami, przyglądała się z nie ukrywaną niechęcią wziętym do niewoli Białym Płaszczom. Ci potykający się mężczyźni wyglądali na oszołomionych, niezdolnych uwierzyć w to, co się stało.

Co teraz zrobić? Morgase bała się podjąć decyzję. Miała wrażenie, że oprócz wyboru, jaki owoc zjeść na śniadanie, od wielu miesięcy nie podjęła żadnej ważniejszej decyzji, która nie doprowadziłaby w końcu do katastrofy. Wybór, powiedziała Suroth. Wesprzeć tych Seanchan w przejściu Andoru, albo... Ostatnia rzecz, jaką mogła zrobić dla Andoru. Pojawił się tył kolumny, za którym szli dalsi Tarabonianie, do których przyłączali się ich krajanie mijani po drodze. Skok z dwudziestu stóp i Suroth utraci swe poparcie. Może było to tchórzliwe wyjście, ale jej własny brak odwagi nie był już dla niej czymś nowym. Niemniej, królowa Andoru nie powinna umierać w taki sposób.

Bezglóśnie wymówiła nieodwołalne słowa, których użyto zaledwie dwa razy przez całą, liczącą dwa tysiące lat historię Andoru.

– W imię Światłości zrzekam się Wysokiego Tronu Domu Trakand na rzecz Elayne Trakand. W imię Światłości zrzekam się Różanej Korony i ustępuję z Tronu Lwa na rzecz Elayne, Głowy Domu Trakand. W imię Światłości poddaję się woli Elayne z Andoru jako jej posłuszna poddana. – Nic z tego tak naprawdę nie czyniło Elayne królową, ale przygotowywało do tego grunt.

– Czemu się tak uśmiechasz? – spytała Lini.

Morgase odwróciła się powoli.

– Myślałam o Elayne. – Nie sądziła, że stara piastunka stoi dostatecznie blisko, aby usłyszeć coś, czego nikt raczej nie powinien był słyszeć.

Oczy Lini stały się większe, oddech uwiązł jej w gardle.

– Masz natychmiast odejść od okna! – warknęła i wcielając słowa w czyn, chwyciła ją za ramię i siłą odciągnęła.

– Lini, zapominasz się! Przestałaś być moją niańką jeszcze...! – Morgase zrobiła głęboki wdech i dalej mówiła łagodniejszym już tonem. Spojrzenie w te przestraszone oczy nie było łatwe – przecież Lini nic nie mogło nastraszyć! -To, co robię, będzie najlepsze – wyjaśniła jej łagodnie. -Nie ma żadnego innego wyjścia...

– Żadnego innego wyjścia? – wtrąciła się gniewnym głosem Breane, wczepiając dłonie w fałdy spódnic tak silnie, że aż jej się trzęsły. Najwyraźniej wolałaby je zacisnąć na gardle Morgase. – Co ty za bzdury wygadujesz? A jeśli ci Seanchanie pomyślą, że cię zabiliśmy? – Morgase zacisnęła usta, czyżby jej zamiary tak łatwo można było już odczytać?

– Zamknij się, kobieto! – Lini nigdy się nie złościła ani nie podnosiła głosu, a teraz zrobiła i jedno, i drugie, jej zwiędłe policzki poczerwieniały. Uniosła kościstą rękę. – Trzymaj usta zamknięte albo cię spoliczkuję, bo zachowujesz się, jakbyś była głupsza, niż jesteś!

– Spoliczkuj ją, jeśli już koniecznie chcesz kogoś spoliczkować! – krzyknęła w odpowiedzi Breane tak zapalczywie, że aż się zapłuła. – Królowa Morgase! Wyśle ciebie, mnie i mojego Lamgwina na szubienicę, łącznie z jej drogocennym Tallanvorem, ponieważ nie ma w sobie nawet tyle odwagi co mysz!

Otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł Tallanvor, co położyło kres tej zaognionej dyskusji.

Żadna nie zamierzała krzyknąć w jego obecności. Lini właśnie udawała, że ogląda rękaw Morgase, jakby ten domagał się naprawy, gdy w ślad za Tallanvorem do środka weszli pan Gill i Lamgwin. Breane uśmiechnęła się przelotnie i wygładziła spódnice. Mężczyźni oczywiście niczego nie zauważyli.

Za to Morgase zauważyła zmiany, które w nich zaszły. Przede wszystkim Tallanvor przypasał miecz i podobnie uczynił pan Gill, a także Lamgwin, tyle że ten miał krótki oręż. Zawsze odnosiła wrażenie, że sprawniej posługuje się pięściami niż bronią. Zanim zdążyła zapytać, kościsty człowieczek, który zamykał ten pochód, starannie zamknął za sobą drzwi.

– Wasza Wysokość – powiedział Sebban Balwer – wybacz to najście. – Nawet jego ukłon i uśmiech zdawały się nadzwyczaj oszczędne, precyzyjne, ale kiedy objął wzrokiem pozostałe kobiety, Morgase stwierdziła, że niezależnie od tego, czy tamci mężczyźni zauważyli, jaka atmosfera panuje w pokoju, dawny sekretarz Pedrona Nialla zorientował się na pewno.

– Jestem zdziwiona, że cię widzę, panie Balwer – powiedziała. – Słyszałam, że spotkały cię pewne nieprzyjemności ze strony Eamona Valdy. – Słyszała, jak Valda mówił, że jeżeli jeszcze raz zobaczy Balwera, to kopniakiem wyrzuci go poza mury Fortecy. Uśmiech Balwera stężał, doskonale wiedział, co powiedział Valda.

– On ma plan, jak nas stąd wydostać – wtrącił Tallanvor. – Dzisiaj. Zaraz. – Spojrzał na nią, bynajmniej nie tak, jak poddany spogląda na królową. – Przyjmujemy jego ofertę.

– Jak? – spytała powoli, walcząc o to, by ustać prosto na uginających się nogach. Jaką to pomoc mógł zaoferować ten pedantyczny, przypominający wyschły patyk, człowieczek? Uciezka. Chciała usiąść, ale nie zamierzała tego zrobić, nie wtedy, gdy Tallanvor patrzył na nią w taki sposób. Co prawda, ona nie była już jego królową, ale on o tym nie wiedział. Przyszło jej do głowy jeszcze jedno pytanie. – Dlaczego? Panie Balwer, nie odrzucę żadnej oferty pomocy, ale dlaczego miałbyś ryzykować własnym życiem? Jeśli ci Seanchanie się dowiedzą, sprawią, że pożałujesz.

– Opracowałem te plany jeszcze przed ich atakiem – odparł ostrożnie. – Zdawało się... niegodne... zostawiać Królową Andoru w rękach Valdy. Możesz to uważać za mój rewanż. Wiem, że nie jestem kimś, na kogo w ogóle warto spojrzeć, Wasza Wysokość... – Kaszlnął z pogardą, zasłoniwszy usta dłonią. – ...ale plan się powiedzie. Ci Seanchanie w rzeczy samej go ułatwią; bez nich przez wiele dni nie byłem gotów. W świeżo podbitym mieście udziela dużej swobody każdemu, kto zechce złożyć ich Przysięgę. Nie minęła godzina od wschodu słońca, a ja już uzyskałem glejt, który zezwala mi oraz dziesięciu innym, którzy złożyli Przysięgę, na opuszczenie Amadoru. Oni wierzą, że zamierzam kupić wino oraz wozy do jego transportu na wschód.

– To na pewno jakaś pułapka. – Słowa miały w jej ustach gorzki posmak. Lepsze okno niż wpaść w czyjeś sidła. – Nie dopuszczają, byś roznosił wieści o nich, uprzedzając ich armię.

Balwer przekrzywił głowę i zaczął wykonywać gest mycia dłoni, po czym nagle znieruchomiał.

– Tak naprawdę, Wasza Wysokość, to zastanawiałem się nad tym. Oficer, który dał mi glejt, powiedział, że to nie ma znaczenia. Jego dokładne słowa: “Powiedz, komu zechcesz, coś widział i niech wiedzą, że się nam nie oprą. Wasze kraje i tak niebawem się o wszystkim dowiedzą”. Widziałem kilku kupców, jak składali Przysięgę tego ranka i odjeżdżali swoimi wozami.

Tallanvor podszedł do niej blisko. Zbyt blisko. Niemal czuła jego oddech. Czuła jego wzrok.

– Godzimy się na jego ofertę – powiedział, ale tak cicho, żeby tylko ona słyszała. – Nawet gdybym miał cię związać i zakneblować, sądzę, że on i w takich okolicznościach wymyśli jakiś sposób. Wygląda na bardzo przedsiębiorczego małego człowieczka.

Odwzajemniła mu spojrzenie. Okno albo... szansa. Gdyby tylko Tallanvor trzymał język za zębami, byłoby łatwiej powiedzieć: “Przyjmuję z wdzięcznością, panie Balwer”... ale i tak

ostatecznie to powiedziała. Odsunęła się, jakby chciała spojrzeć na Balwera tak, by nie była zmuszona wyciągać szyi ponad ramieniem Tallanvora. Jego bliskość była zawsze taka denerwująca. Był po prostu za młody. – Co należy zrobić najpierw? Wątpię, by gwardziści przy drzwiach przepuścili nas na twój glejt.

Balwer skłonił głowę, jakby chwalił jej przezorność.

– Obawiam się, że musi im się przydarzyć nieszczęśliwy wypadek, Wasza Wysokość. – Na te słowa, jak na sygnał, Tallanvor wydobyl sztylet z pochwy, a Lamgwin rozprostował ręce niczym przężący się *lopar*.

Nie wierzyła, że wszystko może okazać się takie łatwe, nawet wtedy, gdy już spakowali to, co byli w stanie udźwignąć, a dwaj Tarabonianie zostali wepchnięci pod jej łożę. Przy głównej bramie, niezdarnie przytrzymując swój lniany płaszcz podróżny zakrywający tobołek na plecach, ukłoniła się, układając dłonie na kolanach tak, jak ją tego nauczył Balwer, podczas gdy ten zapewniał strażników, że przysięgli okazywać posłuszeństwo; oczekiwać rozkazów i służyć, gdy nadejdą. Zastanawiała się, jak zagwarantować, by nie wzięto jej żywcem. Dopiero wtedy, gdy już naprawdę opuścili Amador, mijając ostatnie strażę, na koniach, które dzięki Balwerowi już na nich czekały, zaczęła wierzyć. Z pewnością Balwer spodziewał się jakiejś znacznej nagrody za wyratowanie Królowej Andoru. Nie powiedziała nikomu, że od tamtych słów nie ma odwrotu, wiedziała, że je wymówiła i nikt poza nią nie musiał o tym wiedzieć. Próżno żałować. A teraz przekona się, jakiego rodzaju życie będzie miała bez tronu. Życie z dala od mężczyzny, który był o wiele za młody i nazbyt wielu przysparzał kłopotów.

– Dlaczego się tak smutno uśmiechasz? – spytała Lini, ściągając wodze swej brunatnej klaczy o wydętych bokach, by podjechać bliżej. Zwierzę wyglądało tak, jakby pogryzły je mole. Gniadosz Morgase nie był lepszy, wszystkie konie znajdowały się w opłakanym stanie. Seanchanie mogli dać Balwerowi glejt, ale z pewnością nie przyzwoite wierzchowce.

– Czeka nas jeszcze długa droga – powiedziała Morgase i uderzyła piętami boki klaczy, która ruszyła w ślad za Tallanvorem w sposób, który od biedy przypominał kłus.

# ROZDZIAŁ 8

## SAMOTNY

Perrin wsunął drzewce topora w pętlę przy pasie, umieszczoną po przeciwnej stronie ciała niż kołczan, wziął z kąta nie naciągnięty łuk, przewiesił sobie sakwy podróżne przez ramię i, nie oglądając się za siebie, opuścił pokoje, które dzielił z Faile. Byli tu szczęśliwi – przez większość czasu. Nie przypuszczał, by kiedykolwiek miał jeszcze wrócić. Czasami zastanawiał się, czy fakt, że był z Faile szczęśliwy w jakimś miejscu, oznaczał, iż nigdy w to miejsce już nie wracał. Miał nadzieję, że tak nie jest.

Słudzy, których widział na pałacowych korytarzach nosili jednolicie czarną liberię, być może Rand tak nakazał, a może sami wpadli na ten pomysł. Bez liberii zachowywali się niespokojnie, jakby brakowało im wyraźnych insygniów przynależności, przez Asha'manów zaś czerń mogła uchodzić za barwę Randa. Ci, którzy zauważali Perrina, pierzchali w popłochu, najszybciej jak potrafili, nie czekając z żadnymi ukłonami czy dygnięciami. Wlókł się za nimi zapach strachu.

Chociaż raz to nie jego żółtych oczu się bano. Tym razem przebywanie w towarzystwie człowieka, który stał się tego ranka przedmiotem gniewu Smoka Odrodzonego, mogło okazać się niebezpieczne. Perrin wyswobodził ramię spod sakiew. Minęło wiele czasu, odkąd po raz ostatni ktoś dał radę poderwać go z ziemi i cisnąć jak szmacianą lalką. Oczywiście nikt nigdy nie użył do tego celu Mocy. Jeden moment zapamiętał szczególnie wyraźnie.

“Podniósł się z posadzki, trzymając za ramię, opierając się plecami o powierzchnię czworokątnej kolumny, która znalazła się wcześniej na jego drodze. Doszedł do wniosku, że mogło mu pęknąć kilka żeber. Gromadka arystokratów rozproszonych w Wielkiej Komnacie Słońca, którzy przyszli prosić Randa o to czy tamto, próbowała patrzeć w inną stronę, udawać że wcale ich tu nie ma. Tylko Dobraine patrzył, potrząsając siwą głową, a Rand tymczasem kroczył przez salę tronową.

– Z Aes Sedai postąpię, jak zechcę! – krzyknął Rand. – Słyszysz mnie, Perrin? Jak ja zechcę!

– Właśnie oddałeś je w ręce Mądrych – odwarknął, odsuwając się od kolumny. – Nie wiesz, czy sypiają na jedwabiach, czy też już poderżnięto im gardła! Nie jesteś Stwórcą!

Rand warknął ze wściekłością i odrzucił głowę w tył.

– Jestem Smokiem Odrodzonym – ryknął. – Nie obchodzi mnie, jak się je traktuje! Zasłużyły na loch! – Perrin poczuł, jak włosy mu się jeżą na karku, kiedy Rand spuścił wzrok, przedtem wbiły w sklepiony sufit. W zestawieniu z ich wyrazem niebieski lód zdawałby się ciepły i przytulny, wrażenie podkreślała udręka wykrzywiająca jego twarz. – Zejdź mi z oczu, Perrin. Słyszysz mnie? Wynoś się z Cairhien! Dzisiaj! Zaraz! Nie chcę cię już nigdy oglądać! – Obróciwszy się na pięcie, odszedł, ciągnąc za sobą grupkę arystokratów, którzy omal nie padali na posadzkę, gdy ich mijał.

Perrin wytarł kciukiem strużkę krwi, ciekącą z kącika ust. Przez krótką chwilę przekonany był, że Rand go zabije.

Kręcąc głową, żeby wyzbyć się tego wspomnienia, skrzył i za rogiem niemalże wpadł na Loiala. Ogir, z dużym tobołkiem przytroczonym do pleców oraz skórzaną torbą na ramieniu, tak wielką, że pomieściłaby owcę, posługiwał się toporem o długim drzewcu jak kosturem. Sądząc po wypychających je kształtach, przepastne kieszenie jego kaftana pełne były książek.

Na jego widok Loial zastrzygł włochatymi uszami, po chwili jednak obwisły mu nisko. Twarz pokryła się bruzdami i czoło zmarszczyło, aż końce brwi opadły na policzki.

– Słyszałem, Perrin – zahuczał ze smutkiem. – Rand nie powinien był tego robić. Słowa wypowiedziane w pośpiechu rodzą przewlekłe kłopoty. Wiem, że to przemyśli. Może już jutro...



– Nic się nie stało – zapewnił go Perrin. – Cairhien jest i tak za bardzo... ugłaskane... jak dla mnie. Jestem kowalem, nie dworakiem. Jutro już mnie tu nie będzie.

– Weź Faile i pojedźcie ze mną. Karldin i ja zamierzamy odwiedzić *steddin*, Perrin. Oni wszyscy czekają przy Bramach. -Jakiś młody mężczyzna o pociągłej twarzy i jasnych włosach stojący za Loialem przestał wreszcie spoglądać krzywo to na Perrina, to na Ogira. Też miał torbę i tobolek, a przy boku miecz. Mimo niebieskiego kaftana Perrin rozpoznał jednego z Asha'manów. Karldin nie wyglądał na zadowolonego, kiedy rozpoznał Perrina, wydzielając zimny, zły zapach. Loial spojrzął w głąb korytarza. – Gdzie jest Faile?

– Ona... ma spotkać się ze mną przy stajniach. Trochę się posprzeczailiśmy. – Oto prosta prawda, Faile, niekiedy, najzwyczajniej lubiła trochę pokrzyczeć. Zniżył głos: – Loial, nie chciałbym rozmawiać z tobą w miejscu, gdzie każdy może nas słyszeć. Chodzi mi o Bramy.

Loial parsknął tak głośno, że byk chyba podskoczyłby ze strachu, ale ściszył zaraz głos.

– Nie widzę nikogo oprócz nas – przemówił basem. Nikt w odległości dwóch albo trzech kroków za Karldinem nie usłyszałby go wyraźnie. Jego uszy chlasnęły jak z batatak można to było chyba określić – po czym przywarły gniewnie do czaszki. – Wszyscy się boją, że ktoś ich z tobą zobaczy. I to po tym wszystkim, co zrobiłeś dla Randa.

Karldin szarpnął Loiala za rękaw.

– Musimy jechać – powiedział, spoglądając ponuro na Perrina. Jego zdaniem każdy, na kogo krzyczał Smok Odrodzony, natychmiast winien być wygnany za bramę miasta. Perrin zastanawiał się, czy w tym momencie miał w sobie Moc.

– Tak, tak – mruknął Loial, machając dłonią wielkości szynki, jednak tylko wsparł się na stylisku topora, krzywiąc w zadumie. – Nie podoba mi się to, Perrin. Rand cię przegnał. Mnie odsyła. Jak mam dokończyć książkę... – Zastrzygł uszami i zakasłał. – Cóż, nie tylko o to mi chodzi. Ale najpierw ty, potem ja, a Światłość jedna wie, gdzie jest Mat. W następnej kolejności pozbędzie się Min. Schował się przed nią tego ranka. Posłał mnie, żebym jej powiedział, iż go nie ma. Moim zdaniem, wiedziała, że kłamię. W końcu zostanie zupełnie sam, Perrin. “To straszne być samotnym”. Tak mi powiedział. Zamierza odtrącić wszystkich swoich przyjaciół.

– Koło obraca się tak, jak chce – odrzekł Perrin. Loial zamrugnął, słysząc echo słów Moiraine. Perrin dużo o niej myślał ostatnimi czasy; wywierała dobry wpływ na Randa, powściągała go. - Żegnaj, Loial. Pilnuj się i nie ufaj nikomu, kiedy nie musisz. – Nie patrzył przy tym na Karldina.

– Ty wcale tak nie myślisz, Perrin. – Loial zdradzał głosem, że jest zdumiony. – To niemożliwe. Jedźcie ze mną, ty i Faile.

– Spotkamy się kiedyś, któregoś dnia – powiedział łagodnie Perrin i pospieszył przed siebie, zanim zostałby zmuszony do powiedzenia czegoś jeszcze. Nie lubił nikogo okłamywać, zwłaszcza przyjaciela.

W północnych stajniach sprawy wyglądały z grubsza tak samo jak w pałacu. Stajenni zauważyli, że wchodzi do środka i, porzuciwszy widły oraz zgrzebła, stłoczyli się przy małych drzwiach na tyłach budynku. Szuranie na wysokim stryszku, które mogłoby umknąć innym uszom, zdradzało, że ktoś tam się ukrył – Perrin słyszał nadto nerwowe, przestraszone dyszenie. Wyprowadził Steppera z marmurowego boksu – marmur był zielony w złote żyłki, nałożył mu wędzidło i uwiązał gniadego ogiera do połączanego kółka. Poszedł po derkę i siodło pozostawione w pomieszczeniu również wyłożonym marmurem, połowa ze znajdujących się tam siodeł nabijana była srebrem i złotem. Ta stajnia była znakomicie dopasowana wystrojem do pałacu, posiadała nawet wysokie marmurowe kolumny oraz także posadzki, dobrze że choć marmur w boksach był usłany słomą. Wyjechał na zewnątrz, zadowolony, że zostawia za sobą cały ten przepych.

Wyjechał z miasta od północy i ruszył drogą, którą zaledwie przed kilkoma dniami przybył, desperacko pragnąc zobaczyć się z Randem. Jechał, dopóki fałdy terenu za jego plecami nie skryły Cairhien. Potem – w miejscu, gdzie całkiem spory las, stanowiący pozostałość dawnych borów, porastał wysokie wzgórza, dolinę między wzgórzami i kolejne wyższe jeszcze wzgórze – skręcił na wschód. Gdy tylko zapuścił się między drzewa, Faile wyjechała mu na spotkanie, Aram trzymał się tuż przy niej, zupełnie jak pies. Na jego widok twarz tamtego aż się cała rozjaśniła, choć to może za mało powiedziane: ledwie nadażał, chcąc wiernymi psimi spojrzeniami objąć i jego, i Faile.

– Mężu – powitała go. Nie nazbyt chłodno, choć w tle właściwego jej zapachu czystości i ziołowego mydła, wciąż czuł ostrą jak brzytwa woń gniewu i klującej zazdrości. Była odziana odpowiednio do podróży, w cienki płaszcz chroniący przed kurzem i czerwone rękawice dopasowane do wysokich butów wyglądających spod ciemnych i wąskich, rozciątych spódnic, które sobie upodobała. Za pas miała zatknięte co najmniej cztery sztylety.

Ruch za jej plecami zdradził czyjaś obecność – Bain i Chiad, a także Sulin, której towarzyszyło kilkanaście innych Panien. Perrin uniósł brwi. Ciekawe, co o tym pomyśli Gaul. Aiel twierdził, że nie może się doczekać, kiedy wreszcie spotka się z Bain i Chiad sam na sam. Jeszcze bardziej zaskakujący był widok pozostałych towarzyszek Faile.

– Co one tu robią? – Skinieniem głowy wskazał małą grupkę ludzi, trzymających się wraz z końmi na uboczu. Rozpoznał Selande i Camaille oraz wysokie Tairenianki, wciąż w męskich ubraniach z mieczami przy boku. Tamten zwalisty mężczyzna w kaftanie z obszernymi rękawami, który miał w zwyczaju, smarowanie brody pomadą i przycinanie jej w czubek, a włosy nosił związane wstążką, również wyglądał znajomo. Pozostałych dwóch mężczyzn z Cairhien nie znał, ale potrafił się domyślić, wnioskując z ich młodego wieku i włosów związanych wstążkami, że stanowili część “społeczności” Selande.

– Przyjęłam Selande i kilkoro jej przyjaciół na służbę u mnie. – Faile mówiła lekkim tonem, ale nagle w jej woni pojawiły się mgliste tony ostrożności. – W mieście, prędzej czy później, narobiliby sobie kłopotów. Potrzebują kogoś, kto wskazałby im drogę. Myśl o tym w kategoriach działalności charytatywnej. I dopilnuję, by ci się nie plątali pod nogami.

Perrin westchnął i podrapał się po brodzie. Mądry człowiek nie zarzucał w twarz swej żonie, że coś ukrywa. Zwłaszcza wtedy, gdy była nią Faile. Z pewnością wkrótce stanie się równie niesamowita jak matka. O ile to już nie nastąpiło. Plątali pod nogami? Ile tych... szczeniąt zabrała?

– Czy wszystko gotowe? Lada chwila jakiś idiota w pałacu stwierdzi, że wkradnie się w łaski Randa, przynosząc mu moją głowę. Do tego czasu wolałbym zniknąć.

Aram warknął w głębi gardła.

– Nie stracisz głowy, mężu. Nikt ci jej nie odbierze. – Faile pokazała białe zęby w uśmiechu i dalej mówiła szeptem, wiedząc, że on go usłyszy. – Nikt, oprócz mnie, być może. – Normalnym już głosem dodała: – Wszystko gotowe.

W pustej, raczej płaskiej kotlinie, za drzewami, obok swoich koni stali ludzie z Dwu Rzek, uformowani w dwójkową kolumnę, której koniec ginął za wzgórzem. Perrin znowu westchnął. Na czele kolumny sztandar z czerwonym wilczym łbem oraz Czerwony Orzeł Manetheren łopotały lekko na gorącym wietrze. Kolejne kilkanaście Panien przykucnęło na piętach blisko sztandarów, stojący po przeciwnej stronie Gaul miał na twarzy wyraz najbardziej ponury, jaki Perrin kiedykolwiek widział u tego Aiela.

Kiedy zsiadł z konia, podeszli do niego dwaj mężczyźni w czarnych kaftanach, salutując mu pięścią przyciśniętą do serca.

– Lordzie Perrinie – powiedział Jur Grady. – Czekamy tu od ubiegłej nocy. Wszystko gotowe.

Przy Gradym, z tą jego wyniszczoną, chłopską twarzą, Perrin czuł się niemalże swobodnie, ale z Fagerem Nealdem sprawa miała się inaczej. Jakieś dziesięć lat młodszy od Grady'ego, najprawdopodobniej też był farmerem, na ile Perrin się orientował, ale lubił zadzierać nosa i puszyć się, a ponadto smarował swe żalose wasy woskiem. W odróżnieniu od Grady'ego, który był jednym z Oddanych, Fager zaliczał się tylko do Żołnierzy, nie miał więc srebrnego miecza w kołnierzu, jednak niższa ranga bynajmniej nie oznaczała, że nie będzie odzywać się, kiedy tylko zechce.

– Lordzie Perrinie, czy naprawdę trzeba zabierać kobiety? Sam dobrze wiesz, że one nie przydadzą się na nic, a za to przysporzą kłopotów.

Niektóre z tych kobiet, o których mówił, stały obok mężczyzn z Dwu Rzek, z szalami zarzuconymi na ramiona. Z sześciu Mądrych obojętnie obserwujących dwie kobiety, w stronę których Neald skinął głową, Edarra wydawała się najstarsza. Tak naprawdę to obecność tamtych dwóch też niepokoiła Perrina. Seonid Traighan, pełna rezerwy i chłodu w zielonych jedwabiach, zawzięcie usiłowała ignorować kobiety Aielów – większość Cairhienian, przynajmniej z tych, którzy nie udawali, że są Aielami, gardziła nimi – ale na widok Perrina przełożyła wodze swojego siwka do drugiej ręki i kuksnęła Masuri Sokawę w bok. Masuri wzdrygnęła się – Brązowym dość często zdarzało się błądzić myślami w chmurach -a potem zagapiła pustym wzrokiem na Zieloną siostrę, po czym przeniosła spojrzenie na Perrina. A było to spojrzenie z tego rodzaju, jakim się obdarza osobliwe i być może niebezpieczne zwierzę. Wszystkie przysięgły posłuszeństwo Randowi al'Thorowi, ale dlaczego miałyby je okazywać Perrinowi Aybara? Wydawanie rozkazów Aes Sedai zdawało się czymś nienaturalnym. Ale, zdaniem Perrina, lepsza była taka sytuacja niż odwrotna.

– Pojadą wszyscy – odparł Perrin. – Ruszajmy, zanim nas zobaczą. – Faile parsknęła.

Grady i Neald ponownie zasalutowali i zajęli miejsca na samym środku bezleśnego terenu. Perrin nie miał pojęcia, który z nich się do tego przyczynił, ale zniecacka znajomy pionowy srebrzysty błysk w powietrzu przekształcił się w bramę, zbyt niską, by dało się przez nią przejechać konno. W prześwicie otwarcia ukazały się drzewa, do złudzenia podobne do tych, które rosły na okolicznych wzgórzach. Grady przeszedł natychmiast, ale i tak omal nie został powalony na ziemię przez Sulin i niewielką hordę Panien z zasłoniętymi twarzami. Zachowywały się zawsze tak, jakby przejście przez bramę w pierwszej kolejności stanowiło należny im zaszczyt i nie zamierzały dopuścić, by ktoś uzurpował sobie doń prawo.

Dumając nad setką problemów, których zawczasu nie przewidział, Perrin przeprowadził Steppera przez bramę. Teren po drugiej stronie był również pofałdowany, ale w znacznie mniejszym stopniu, nie było tu wprawdzie polany, niemniej las był znacznie rzadszy niż w cairhieniańskiej kotlinie, nieliczne drzewa wyższe, choć równie nagie, nawet sosny. Niewiele gatunków rozpoznał, z wyjątkiem dębów i drzew skórzanych. Powietrze zdawało się odrobinę gorętsze.

Faile ruszyła jego śladem, ale kiedy skręcił w lewo, powiodła Jaskółkę w prawo. Wyraźnie zmartwiony Aram patrzył to na jedno, to na drugie, póki Perrin nie skinął głową w kierunku żony. Były Druciarz pociągnął wałacha za nią, ale mimo iż był szybki, nie zdążył przed Bain i Chiad, które nadal nie opuściły zasłon, a potem, wbrew wyraźnym rozkazom Perrina, że następni mają być Ludzie z Dwu Rzek, z bramy wysypała się Selande oraz dobre dwa tuziny młodych Cairhienian i Tairenian wlokących za sobą swoje konie. Dwa tuziny! Kręcąc głową, Perrin stanął obok Grady'ego, który obracał się to w jedną, to w drugą stronę, obserwując rzadko porośnięty teren.

Gaul pojawił się dopiero wraz z Dannilem, stojąc na czele prowadzących swe konie ludzi z Dwu Rzek. Tuż za Dannilem niesiono te przekłete sztandary – załopotwały w górze, gdy tylko znalazły się na otwartej przestrzeni. Ten człowiek powinien sobie zgolić te głupie wasy.

– Kobiety są zupełnie niemożliwe – mruknął Gaul. Perrin otworzył usta, by bronić Faile, kiedy

uświadomił sobie, że swoje groźne spojrzenia ten rezerwuje zapewne dla Bain i Chiad. Żeby nie stać jak głupek z rozdziawionymi ustami, zapytał:

– Masz żonę, Grady?

– Sorę – odparł nieobecny tonem Grady, którego cała uwaga skupiona była na otaczających ich drzewach. Perrin gotów był się założyć, że obejmował teraz Źródło. Widoczność była tutaj znacznie lepsza w porównaniu z rodzinnymi lasami, ale mimo wszystko ktoś mógł się tu na nich zasadzić. – Tęskni za mną – ciągnął Grady, takim tonem, jakby mówił wyłącznie do siebie. – To z miejsca uczysz się wyczuwać. Chciałbym wiedzieć, dlaczego ją boli kolano.

– Boli ją kolano – powtórzył obojętnie Perrin. – Boli ją właśnie w tej chwili.

Grady jakby nagle się zorientował, że Perrin patrzy na niego wytrzeszczonymi oczyma, podobnie jak Gaul. Zamrugał i zaraz na nowo podjął obserwację terenu.

– Wybacz mi, lordzie Perrinie. Muszę pełnić straż. – Przez dłuższą chwilę milczał, po czym zaczął powoli mówić: – Jest coś, co rozpracował niejaki Canler. M’Hael nie lubi, jak próbujemy wyjaśniać różne rzeczy na własną rękę, ale jak to już się stanie... – Nieznaczny grymas na jego twarzy świadczył, że nawet wówczas Taim wcale nie przyjmował tego tak spokojnie. – Naszym zdaniem między Strażnikami a Aes Sedai istnieje coś w rodzaju więzi. Mniej więcej jeden na trzech z nas jest żonaty; w każdym razie tyle żon zostało, kiedy dowiedziały się, kim są ich mężowie. Dzięki temu, kiedy jesteś z dala od niej, wiesz, że nic jej nie jest, a ona wie, że z tobą wszystko w porządku. Mężczyzna lubi wiedzieć, że jego żona jest bezpieczna.

– Faktycznie, lubi – zgodził się Perrin. Po co Faile potrzebni byli ci durnie? Dosiadła już Jaskółki, a tamci stali obok, wpatrzeni. Wcale by się nie zdziwił, gdyby sama wpakowała się w te bzdury z *ji’e’toh*.

Seonid i Masuri majestatycznie sunęły za ostatnimi mężczyznami z Dwu Rzek w towarzystwie trzech Strażników, a Mądre podążały tuż za nimi, co nie stanowiło żadnej niespodzianki. Były tu, by mieć na oku Aes Sedai. Seonid ściągnęła wodze, jakby zamierzała zsiąść, ale Edarra powiedziała coś cichym głosem, wskazując gruby pochyłony dąb, a obie Aes Sedai popatrzyły na nią równocześnie, po czym wymieniły spojrzenia i podprowadziły swoje konie do drzewa. Sprawy toczyłyby się znacznie pomyślniej, gdyby te dwie były zawsze takie potulne jak teraz – no, może nie do końca potulne: Seonid trzymała się sztywno, jakby kij połknęła.

Potem pojawiły się remonty, stado zapasowych koni powiązanych po dziesięć, pod czujnym okiem ludzi z majątków Dobrainé’a, tamten rzekomo miał wiedzieć, jak potoczą się ich losy. Perrin natychmiast dostrzegł Stayera biegnącego samopas, dobrze by było, gdyby opiekująca się nim kobieta naprawdę знаła się na tym, co robi. Za nimi przejechały liczne fury na wysokich kołach z zapasami, woźnice poganiali konie i pokrzykiwali, jakby się bali, że brama może się zamknąć akurat teraz. Fury były liczne, ponieważ nie mogły udźwignąć tyle co wozy, z których nie skorzystano, gdyż nie zmieściłyby się w bramie. Wyglądało na to, że ani Neald, ani Grady nie potrafią wykonać tak dużej bramy jak Rand czy Dashiva.

Kiedy nareszcie przetoczyła się ostatnia skrzypiąca osiami fura, Perrin zastanowił się, czy nie nakazać, by zaraz zamknęli bramę, ale to Neald trzymał ją otwartą, a ciągle jeszcze stał po drugiej stronie, nadal w Cairhien. Chwilę później było za późno.

Berelain przeszła przez bramę, prowadząc klacz tak białą, jak Jaskółka była czarna, a on podziękował jej w duchu za to, że ta szara suknia do konnej jazdy miała karczek sięgający po samą brodę. Ale z kolei powyżej pasa była dopasowana tak ciasno jak każda taraboniańska suknia. Perrin jęknął. Razem z nią pojawili się Nurelle i Bertain Gallenne, Lord Kapitan Skrzydlatej Gwardii, siwowłosy mężczyzna, który nosił czarną opaskę na oku w taki sposób, jak inny mężczyzna nosiłby

pióro przy kapeluszu, a dalej sami członkowie Skrzydlatej Gwardii, w liczbie przekraczającej dziewięćset. Nurelle i wszyscy ci; którzy byli pod Studniami Dumai, nosili żółte wstążki związane wysoko na lewym ramieniu.

Berelain dosiadła swej klaczy i odjechała na bok razem z Gallenne, podczas gdy Nurelle ustawił Skrzydlatą Gwardię w szyku między drzewami. Berelain dzieliło od Faile co najmniej pięćdziesiąt kroków oraz kilkanaście drzew, a mimo to stanęła w taki sposób, by mogła ją widzieć. Patrzyły na siebie z twarzami tak kamiennymi, że Perrinowi ścierpła skóra. Uznał, że wyznaczenie Berelain miejsca w tyle pochodu, tak daleko od Faile, jak się da, to dobry pomysł, niemniej, każdego cholernego wieczora będzie musiał przechodzić przez to, co teraz. A żeby ten Rand szczeł!

Teraz Neald wyskoczył z bramy, gładząc swe niedorzeczne wąsy i strofując każdego, kto mógłby się przypatrywać znikającej prędkie światła. Nikt nie patrzył, więc dosiadł konia z wyrazem niezadowolenia na twarzy.

Perrin dosiadł Steppera i wjechał na niewielki pagórek. Nie każdy go widział z powodu drzew, ale wystarczało, że mogli go słyszeć. Poruszenie przebiegło po zgromadzeniu, kiedy ściągnął wodze, ludzie poprawiali się w siodłach, by lepiej widzieć.

– Jak już wiadomo wszystkim szpiegom w Cairhien – powiedział głośno – zostałem wygnany, Pierwsza z Mayene jest właśnie w drodze do domu, a wy rozwialiście się niczym mgła w promieniach słońca.

Ku jego zdumieniu roześmieli się. Podniósł się krzyk “Perrin Złotooki” i to nie tylko od strony, gdzie stali mężczyźni z Dwu Rzek. Zaczekał, aż się uciszą, co trwało chwilę. Faile ani się nie śmiała, ani nie krzyczała, podobnie Berelain. Obie kręciły głowami, jednomyślnie uważając, że nie powinien być mówić tyle, ile powiedzieć postanowił. Potem zobaczyły wzajem, co robią i zastygły w bezruchu, jak przyłapano w pułapce bursztynu. Nie lubiły się z sobą zgadzać. Perrin nie zdziwił się, gdy skupiły na nim wzrok z identycznymi minami. W Dwu Rzekach istniało takie stare porzekadło, aczkolwiek sposób jego użycia i przypisywane znaczenie zależały od okoliczności i tego, kim się było: “Wszystkiemu zawsze winny jest mężczyzna”. Nauczył się, że jedną rzeczą, w jakiej kobiety naprawdę były doskonałe, jest sprawianie, by mężczyźni do nich wzdychali.

– Niektórzy z was być może się zastanawiają, gdzie jesteśmy i dlaczego – mówił dalej, kiedy nareszcie zapadła cisza. Fala śmiechu, ale nieco bardziej stłumiona. – To Ghealdan. – Pomruki zgrozy i być może niedowierzania, że oto jednym krokiem pokonali tysiąc pięćset mil albo i więcej. – Pierwszą rzeczą, jaką musimy zrobić, jest przekonanie królowej Alliandre, że nie przybywamy tu jako najeźdźcy. -To Berelain miała rozmawiać z Alliandre i za to Faile na pewno będzie go łajac. - Następnie będziemy musieli odszukać człowieka, który mieni się Prorokiem Lorda Smoka. -To też raczej nie będzie przyjemne, Masema nie był szczególnie miły, jeszcze zanim mu odbiło. – Ten Prorok stał się przyczyną pewnych kłopotów, ale damy mu do zrozumienia, że Rand al’Thor nie życzy sobie, by kogoś strachem zmuszano do opowiedzenia się za nim i zabierzemy jego oraz tych jego ludzi, którzy zechcą pójść, do Lorda Smoka.

“I w razie potrzeby tak go nastraszymy, że aż mu spadną spodnie” – pomyślał złośliwie.

Zaczęli mu wiwatować. Pohukiwali i pokrzykiwali, że zagnają tego Proroka aż do Cairhien, do Lorda Smoka, aż w pewnym momencie Perrin zaczął mieć nadzieję, że to miejsce jest jeszcze bardziej oddalone od najbliższej wsi niż miało być. Nawet woźnice i stajenni się przyłączyli. I jeszcze żarliwiej modlił się, by wszystko poszło gładko i szybko. Im większa była odległość dzieląca Berelain oraz jego i Faile, tym lepiej. Żadnych niespodzianek – tego przecież chciał, kiedy wyruszali na południe. Najwyższy czas, żeby wreszcie przydatnym do czegoś okazało się to, iż jest *ta’veren*.

# ROZDZIAŁ 9

## CHLEB I SER

Mat wiedział, że wpadł w tarapaty już tego samego dnia, gdy wszedł do Pałacu Tarasin. Mógł odmówić. Z faktu, że te przekłete kości toczyły się albo nieruchomiały, nie wynikało bynajmniej, że musiał cokolwiek przedsięwziąć, zazwyczaj, kiedy przestawały się toczyć, było już za późno na beczyność. Problem polegał na tym, że chciał dowiedzieć się: dlaczego? Nie minęło wiele dni, a pożałował, że nie schwycił swej ciekawości za gardło i nie zadusił jej.

Po tym, jak Nynaeve i Elayne wyszły z jego izby, kiedy już potrafił się normalnie schylić, nie mając przy tym wrażeń, że odpada mu głowa, przekazał wieść swoim ludziom. Żaden nie dostrzegł ujemnych stron tego pomysłu. Chciał im zwrócić uwagę na pewne swe wątpliwości, ale nikt go nie słuchał.

– Bardzo dobrze, mój panie – mruknął Nerim, wciskając długi but na nogę Mata. – Mój pan nareszcie zamieszka w przyzwoitych pokojach. Och, jak dobrze. – Na chwilę jakby utracił swoją żalobną minę. Ale tylko na chwilę. -Wyszczotkuję ten kaftan z czerwonego jedwabiu dla mojego pana, niebieski mój pan dość paskudnie zaplamił winem. -Zniecierpliwiony Mat odczekał swoje, włożył kaftan i wyszedł na korytarz.

– Aes Sedai? – burknął Nalesean, kiedy już jego głowa wyskoczyła z otworu w czystej koszuli. Wokół niego krążył Lopin, sługa z opasłym brzuszyskiem. – A żeby mi dusza szeszła, nie przepadam za Aes Sedai, ale... Pałac Tarasin, Mat. – Mat skrzywił się. Nie dość, że ten człowiek potrafił wypić baryłkę brandy bez żadnych skutków następnego ranka, to jeszcze musiał się tak szczyrzyć od ucha do ucha? – Aha, Mat, możemy teraz zapomnieć o kościach i zagrać w karty z naszymi. – Miał na myśli arystokratów, czyli jedynych, którzy oprócz zamożnych kupców mogli sobie pozwolić na tę grę, zresztą kupcy łatwo tracili całe swoje bogactwo, gdy zaczęli grać o stawki wyznaczone przez tamtych. Nalesean energicznie zacierał dłonie, gdy tymczasem Lopin próbował ułożyć mu koronki; nawet jego broda zdawała się jeżyć ochoczo.

– Jedwabne pościele – mruknął Mat. Kto kiedy słyszał o jedwabnej pościeli? Tamte dawne wspomnienia odezwały się chórem, ale nie zamierzał dawać im posłuchu.

– Pełno szlachty – warknął z dołu Vanin, ściągając wargi, żeby splunąć. Teraz już automatycznie poszukiwał spojrzeniem pani Anan, nie zobaczywszy jej, postanowił upić łyk cierpkiego wina z pucharu, który stanowił jego śniadanie. – Ale bądź tak łaskaw i spotkaj się znowu z lady Elayne - dodał po namyśle. Uniósł wolną rękę, jakby chciał potrząsnąć dłonią czoło, najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z tego gestu. Mat jęknął. Ta kobieta zniszczyła porządnego człowieka. – Chcesz, żebym znowu poniuchał trochę wokół Carridin

a? – Vanin mówił dalej, jakby cała reszta się nie liczyła. -Na jego ulicy gromadzi się pełno żebraków, więc trudno cokolwiek zobaczyć, ale mnóstwo ludzi doń przychodzi.

Mat zapewnił go, że sobie poradzi. Nic dziwnego, że Vanina nie obchodziło, że w pałacu roi się od arystokratów i Aes Sedai, przecież miał spędzić dzień, pocąc się na słońcu, potracany przez tłoczącą się gawieź. Czyli, zdaniem Mata, znacznie przyjemniej.

Nie miało sensu ostrzegać Harnana i pozostałych z Legionu Czerwonej Ręki. Opychali się właśnie białą owsianką oraz małymi czarnymi kielbaskami, poszturchując się i wyśmiewając z pałacowych posługaczek, które, jak słyszeli, zostały wszystkie wybrane ze względu na ich urodę i które nadzwyczaj hojnie szafowały swymi wdziękami. Niepodważalny fakt, cały czas dodawali sobie ducha.

Mylił się, przypuszczając, że może sprawy przybiorą Legionu przypadnie honor dźwignia szkatuły ze złotem, z czasem lepszy obrót. Kiedy udał się do kuchni na poszukiwanie pani Anan,

chcąc uregulować rachunek, zastał tam Cairę, ale niestety w tym samym złym nastroju co poprzedniego wieczora, właściwie w jeszcze gorszym – wydeła dolną wargę, patrząc na niego spode łba, po czym wyszła drzwiami wiodącymi na podwórze stajni, otrzepując tył spódnicy. Może przytrafiło się jej jakie nieszczęście, ale dlaczego właśnie jego miała za to winić, przekraczało pojęcie Mata Cauthona.

Wyglądało na to, że Pani Anan gdzieś wyszła – stale organizowała darmowe posiłki dla uchodźców albo angażowała się w jakiś inny rodzaj pożytecznej pracy – za to Enid wymachiwała długą drewnianą łyżką na swe żwawe pomocnice i była gotowa przyjąć jego pieniądze w swą krzepką garść.

– Wyciskasz zbyt wiele melonów, młody panie, a więc nie powinieneś się dziwić, jak jeden przegniły pęknie ci w dłoni – powiedziała ponuro z jakiegoś powodu. – Albo dwa -dodała po chwili, kiwając głową. Przysunęła się do niego, zadzierając swą spoconą krągłą twarz z żarliwym spojrzeniem. – Tylko narobisz sobie kłopotów, jeśli powiesz słowo. Nieprawdaż?! – Nie zabrzmiało to jak pytanie.

– Ani słowa – zgodził się Mat. O czym, na Światłość, ona gada? Ale najwyraźniej udzielił właściwej odpowiedzi, bo przytaknęła i oddaliła się kaczkowatym chodem, wymachując łyżką dwakroć zapalczywiej niż uprzednio. Przez chwilę myślał, że zamierza go nią obić. Prawda była taka, że wszystkie kobiety miały w sobie skłonność do przemocy, nie zaś tylko niektóre.

Tak czy owak, poczuł ulgę, kiedy Nerim i Lopin wdali się we wrzaskliwą awanturę o to, którego z panów bagaż ma zostać zanieiony pierwszy. Na wygładzenie nastroszonych piór razem z Naleseanem potrzebowali dobre pół godziny. Taki służący ze zmierzwionym czubem potrafił nieźle napsuć człowiekowi krwi. Potem musiał ustalić, któremu z członków a któremu odprowadzenia koni. W każdym razie dzięki temu mógł dłużej pozostawać poza przeklętym Pałacem Tarasin.

Niemniej, gdy już rozgościł się w swoich nowych pokojach, z początku niemalże zapomniał o swoich obawach. Dostał jeden duży salon i jeden mały salonik, który tutaj nazwali “komnatą dumania”, a także ogromną sypialnię, z największym łóżem, jakie kiedykolwiek widział, którego masywne rzeźbione w kwiaty postumenty pomalowane zostały na czerwono. Większość mebli była jaskrawoczerwona albo jaskrawoniebieska, o ile nie zostały pozłoczone. Niewielkie drzwi obok łóża wiodły do ciasnej izdebki przeznaczonej dla Nerima, znakomitej zdaniem tamtego, mimo wąskiego łóżka i braku okna. Wszystkie pokoje Mata miały wysokie, zwieńczone łukami okna wychodzące na balkony z białymi balustradami z kutego żelaza, które wychodziły na Mol Hara. Stożące lampy były pozłacane, podobnie ramy luster; w komnacie dumania były dwa lustra, w bawialni trzy i aż cztery w sypialni. Zegar – zegar! – na marmurowej półce nad kominkiem w bawialni też iskrzył się od złota. Umywalka i dzban były z czerwonej porcelany Ludu Morza. Niemalże się rozczarował, kiedy odkrył, że naczynie nocne ukryte pod łóżem to zwykły garniec z powlekaną na biało ceramiki. W dużej bawialni była nawet półka zapełniona kilkunastoma książkami. Nie, żeby znowu aż tak dużo czytał.

Mimo działającej na nerwy kolorystyki ścian, sufitów i płytek posadzki, pokoje krzykiem oznajmiały bogactwo. W każdej innej sytuacji odtańczyłby skoczny taniec. W każdej innej, ale nie teraz, gdy wiedział, że tak blisko niego na samym końcu korytarza, zamieszkuje swe komnaty kobieta, która pragnie wsadzić go do ukropu i zadać w miechy. O ile Teslyn albo Merilille, względnie inna z ich gromadki, nie będą pierwsze, mimo jego medalionu. Dlaczego kości w jego głowie przestały się toczyć, gdy tylko Elayne wspomniała o tych przeklętych pokojach? Ciekawość. Z ust kilku kobiet z jego rodzinnej wioski słyszał porzekadło, zazwyczaj wtedy, gdy zrobił coś, co wówczas zdawało się zabawne: “Mężczyźni mogliby koty uczyć ciekawości, ale tamte wolą zachować zdrowy rozsądek”.

– Nie jestem żadnym przeklętym kotem – mruknął, wychodząc z sypialni do bawialni. Po prostu

musiał wiedzieć, ot i wszystko.

– To oczywiste, że nie jesteś kotem – powiedziała Tylin. – Jesteś maluśkim ponętym kaczkciem, o właśnie.

Mat wzdrygnął się i wytrzeszczył oczy. Kaczorek? I to maluśki! Ta kobieta sięgała mu dobrze poniżej ramion. Jednak nie bacząc na oburzenie, zdobył się na elegancki ukłon. Była królową; musiał o tym pamiętać.

– Wasza Wysokość, dziękuję ci za te wspaniałe apartamenty. Z chęcią bym z tobą porozmawiał, ale muszę wyjść i...

Uśmiechając się, przeszła po czerwono-zielonych płytkach posadzki, szeleszcząc warstwami niebieskich i białych halek z jedwabiu, nawet na moment nie odrywała od niego spojrzenia dużych ciemnych oczu. Zupełnie nie miał ochoty przyglądać się małżeńskiemu nożowi zagnieżdżonemu w jej hojnym rowku między piersiami. Względnie temu większemu sztyletowi nabijanemu klejnotami, który nosiła wepchnięty za równie strojny pas. Cofnął się.

– Wasza Wysokość, mam ważne...

Zaczęła coś nucić. Rozpoznał melodię, nucił ją ostatnimi czasy kilku dziewczętom. Miał dość rozumu, by jej nie odśpiewać pełnym głosem, a zresztą od słów, których używano tu, w Ebou Dar, zwiędłyby mu uszy. Tutaj tę piosenkę znano pod tytułem *Wykradnę ci oddech pocałunkami*.

Chichocząc nerwowo, postarał się, by rozdzielił ich stolik inkrustowany lapisem, ale ona jakimś sposobem obesła go pierwsza, wcale przy tym nie przyspieszywszy kroku.

– Wasza Wysokość, ja...

Przyłożyła dłoń płasko do jego piersi, skierowała go do krzesła z wysokim oparciem i usadowiła mu się na kolanach. Został pochwycony w pułapkę między nią a poręczami fotela. Och, mógł bez trudu wziąć ją na ręce i postawić na podłodze. Gdyby nie miała tego cholernego sztyletu za pasem, a wątpił, by zgodziła się, żeby on nią poniewierał, mimo iż sama zdawała się chętnie poniewierać nim. Ostatecznie to było Ebou Dar, gdzie kobieta, która zabiła mężczyznę, była z góry usprawiedliwiona, o ile nie dowiedziono jej niewątpiwej winy. Z łatwością mógłby ją podnieść, ale...

Widział w tym mieście handlarki rybami, które sprzedawały osobliwe stworzenia zwane kałamarnicami i ośmiornicami – mieszkańcy Ebou Dar jedli te stwory! – które były niczym w porównaniu z Tylin. Ta kobieta miała chyba z dziesięć rąk. Miotał się, na próżno usiłując ją odpędzić, a ona śmiała się cicho. Pomiedzy pocałunkami zadyszczanym głosem zaprotestował, że może ktoś wejść, a ona tylko zachichotała. Kiedy paplał o swoim szacunku dla jej korony, wtedy parskiała. Dowodził, że byłaby to zdrada wobec dziewczyny z rodzinnych stron, która posiadała jego serce. Tylko się roześmiała.

– Nie stanie jej się krzywda od tego, o czym nie wie -mruknęła, a jej dwadzieścia rąk nie zwolniło nawet na chwilę.

Ktoś zapukał do drzwi.

Uwolniwszy usta, krzyknął:

– Kto tam? – Cóż, był to jakiś okrzyk. Bardzo piskliwy okrzyk. Ostatecznie brakowało mu tchu.

Tylin zeszła mu z kolan i oddaliła się o trzy kroki, tak szybko, że zdawało się, iż cały czas tam stała. Ta kobieta miała czelność spojrzeć na niego z przyganą! A potem posłała mu całusa.

Pocałunek ledwie opuścił jej wargi, zanim drzwi się otworzyły i do środka wetknął głowę Thom.

– Mat? Nie byłem pewien, czy to ty. Och! Wasza Wysokość. -Jak na wynędzniałego, postarzałego i pretensjonalnego barda, Thom potrafił wykonać zamaszysty ukłon przed najlepszymi



mimo swej kulawej nogi. Juilin nie potrafił, ale zerwał z głowy swój niedorzeczny czerwony kapelusz i zrobił wszystko, na co go było stać. – Wybaczcie nam. Nie będziemy przeszkadzać... – zaczął Thom, ale Mat wtrącił się pospiesznie:

– Wejdźże, Thom! – Na powrót włożył kaftan i już zaczął wstawać, kiedy dotarło do niego, że ta cholerna kobieta w jakiś sposób rozwiązała pas przy jego spodniach tak sprytnie, iż nawet tego nie zauważył. Tych dwóch mogło nie dostrzec, że ma koszulę rozchełstaną aż do pasa, ale na pewno zauważą, że opadają mu spodnie. Niebieska suknia Tylin nawet nie była zmięta! – Wejdźże, Juilinie!

– Cieszę się, że uważasz te pokoje za znośne, panie Cauthon – rzekła Tylin, wcielenie dostojeństwa. Z wyjątkiem jej oczu w każdym razie. Kiedy stała tak, że Thom i Juilin nie mogli nic widzieć, jej oczy słały mu bowiem nie wypowiedziane słowa brzemiennie znaczeniem. – Z niecierpliwością oczekuję, iż dotrzymasz mi towarzystwa w pałacowych rozrywkach. Bez wątpienia, możliwość goszczenia *ta'veren* tutaj, gdzie jest niemalże na wyciągnięcie ręki, nie zawiedzie moich oczekiwań. Ale teraz muszę zostawić cię z twymi przyjaciółmi. Nie, nie wstawaj, proszę. – Temu ostatniemu zdaniu towarzyszył jedynie ślad drwiącego uśmiechu.

– No cóż, chłopcze – powiedział Thom, pocierając rękoma wąsy, kiedy sobie poszła – masz szczęście, sama królowa wita cię z otwartymi ramionami. – Juilin bardzo się zainteresował swoją czapką.

Mat spojrział na nich czujnie, niemalże prowokując, żeby powiedzieli jeszcze słowo – tylko jedno słowo! – ale kiedy zapytał o Nynaeve i Elayne, przestał się przejmować ich podejrzeniami. Kobiety nie wróciły. Omal nie poderwał się z miejsca, niezależnie od stanu w jakim znajdowały się jego spodnie. A więc już starały się wykręcić z ich umowy. Jego reakcja na tę myśl była tak gwałtowana, że obaj mężczyźni od razu to zauważyli. Musiał więc tłumaczyć im, o co chodzi, czemu towarzyszyły częste wybuchy ich niedowierzania oraz własne opinie na temat tej przeklętej Nynaeve al'Meara oraz Elayne, przeklętej Dziedziczki Tronu. Niewielkie były szanse, że udały się do Rahad bez niego, ale nie zdziwiłby się, gdyby próbowały szpiegować Carridina. Elayne zażąda jakiegoś wyznania i będzie się spodziewała, że tamten się załamie, Nynaeve postara się wyciągnąć wszystko z niego siłą.

– Wątpię, by miały zamiar nękać Carridina – odparł Juilin, drapiąc się za uchem. – Sądzę, że obserwować go miały Aviendha i Birgitte, przynajmniej tak słyszałem. Nie zauważyłem, kiedy wychodziły. Moim zdaniem, nie musisz się nimi przejmować, nie rozpoznają ich, nawet kiedy by przeszedł tuż obok. – Thom, który nalał sobie winnego ponczu do złotego kielicha, wytłumaczył mu, o co chodzi.

Mat zakrył oczy ręką. Przebrania sporządzone z wykorzystaniem Mocy; nic dziwnego, że wymykały się niczym węże, kiedy tylko zechciały. Te kobiety narobią kłopotów. To jest coś, w czym wszystkie kobiety celują. Prawie go nie zdziwiło, gdy się dowiedział, że Thom i Juilin wiedzą jeszcze mniej o tej Czarze Wiatrów niż on.

Kiedy wyszli, żeby się przygotować na wyprawę do Rahad, miał czas, żeby poprawić sobie ubranie, zanim Nynaeve i Elayne wrócą. Zdążył sprawdzić, co robi Olver w swoim pokoju piętro niżej. Koścista sylwetka chłopca jakoś nabrała ciała, zapewne dzięki Enid i pozostałym kucharkom w "Wędrowniej Kobiecie", które opychały go jedzeniem, ale na zawsze miał już pozostać niski, nawet jak na Cairhienianina, i nawet gdyby uszy skurczyły mu się do połowy ich obecnej wielkości, a usta straciły połowę rozmiarów, to i tak przez ten nos nigdy nie zyska miana przystojnego. Uwijały się teraz przy nim, ni mniej, ni więcej trzy posługaczki, gdy tymczasem on siedział na łóżku ze skrzyżowanymi nogami.

– Mat, czy Haesel nie ma najpiękniejszych oczu? – zapytał Olver, patrząc promiennie na

wielkooką kobietę, którą Mat poznał ostatnim razem, gdy przyszedł do pałacu. Ta odwzajemniła się i zmierzwiła chłopcu włosy. – Och, ale Alis i Loya są takie słodkie, że nie wiedziałbym, którą wybrać. – Pulchna kobieta prawie w średnim wieku uniosła wzrok znad sakiew Olvera, które właśnie pakowała, i obdarzyła go szerokim uśmiechem, a szczupła dziewczyna z ustami jak osa poklepała ręcznik, który właśnie ułożyła na umywalce, po czym rzuciła się na łóżko i zaczęła łaskotać Olvera pod żebrami, aż w końcu się przewrócił, zaśmiewając bezsilnie.

Mat parsknął. Harnan i całe tamto towarzystwo było już wystarczająco deprawujące, a teraz jeszcze te kobiety zachęcały chłopca! Czy on nauczy się kiedykolwiek zachowywać poprawnie, jeżeli kobiety robią z nim coś takiego? Olver powinien bawić się na ulicy tak jak każdy inny dziesięciolatek. Dziwne, że u niego w pokojach nie było żadnych posługaczek, które by się nań rzucały. Był pewien, że dopilnowała tego Tylin.

Zdażył sprawdzić Olvera i zajrzeć do Harnana oraz pozostałych członków Legionu, dzielących długi pokój obok stajni z szeregiem łóżek, a także wpaść do kuchni po jakiś chleb i wołowinę – nie mógł spojrzeć na owsiankę w oberży. Nynaeve i Elayne ciągle jeszcze nie wróciły. Wreszcie obejrzał książki w swojej bawialni i zaczął czytać *Podróżę Jaina Długi Krok*, aczkolwiek ledwie rozumiał choć słowo z powodu targającej nim zgryzoty. Thom i Juilin przyszedli dokładnie w tym samym momencie, gdy kobiety wtargnęły do środka, pokrzykując, że oto go znalazły, jakby naprawdę uważały, że nie dotrzyma słowa.

Spokojnie zamknął książkę, położył ją delikatnie na stole obok krzesła.

– Gdzie byliście?

– A bo co? Poszliśmy na spacer – odparła wesoło Elayne. Mat nie pamiętał, by kiedykolwiek wcześniej miała równie niebieskie oczy. Thom skrzywił się i wyciągnął nóż z rękawa, manipulując nim między palcami. Nawet nie spojrzął na Elayne.

– Piłyśmy herbatę z kilkoma znajomymi twojej karczmarki – dodała Nynaeve. – Nie będę cię zanudzała opowiastkami o szyciu. – Juilin zaczął kręcić głową, po czym znieruchomiał, kiedy to zauważyła.

– Proszę, nie nudź – odrzekł sucho Mat. Podejrzewał, że ona potrafi odróżnić jeden koniec igły od drugiego, ale podejrzewał też, że prędzej zrobi małą minę, niż zacznie gadać o szyciu. Żadna z kobiet nie połamała sobie języka na uprzejmości, potwierdzając jego najgorsze przypuszczenia. – Przykazałem dwóm ludziom, żeby towarzyszyli wam tego popołudnia; to samo będą robili dwaj inni jutro i potem każdego następnego dnia. Kiedy nie będziecie przebywać w pałacu albo pod moim okiem, dostaniecie osobistą ochronę. Oni znają już swoją kolejność. Będą przy was zawsze... zawsze... a wy będziecie mnie powiadamiać, dokąd się wybieracie. Przestaniecie przysparzać zmartwień, od których włosy mi wypadają.

Spodziewał się oburzenia i kłótni. Spodziewał się awantur o to, co obiecały albo czego nie obiecały. Spodziewał się, że żądając całego bochenka, ostatecznie dostanie piętękę, może kromkę, jeśli dopisze mu szczęście. Nynaeve spojrzała na Elayne, Elayne popatrzyła na Nynaeve.

– No jakże, osobista ochrona to wspaniały pomysł, Mat! – wykrzyknęła Elayne, potem uśmiechnęła, a w jej policzkach pojawiły dołki. – Sądzę, że miałeś rację. To bardzo sprytne z twojej strony, że już ułożyłeś harmonogram dla tych mężczyzn.

– To cudowny pomysł – dodała Nynaeve, entuzjastycznie kiwając głową. – Naprawdę bardzo sprytne z twojej strony, Mat.

Thom upuścił nóż, tłumiąc przekleństwo, po czym usiadł, ssąc skaleczony palec i gapiąc się na kobiety.

Mat westchnął. Kłopoty; z góry o tym wiedział. A ta myśl przyszła mu do głowy, zanim jeszcze

powiedziały, że ma na razie zapomnieć o Rahad.

I takim to sposobem znalazł się na ławce przed tanią tawerną blisko nabrzeża zwaną “Róża Elbaru”, gdzie popijał z poszczerbionego blaszanego kubka przymocowanego łańcuchem do ławki. Przynajmniej myli te kubki dla każdego następnego gościa. Smród unoszący się znad warsztatu farbiarza przy tej samej ulicy jedynie dodatkowo podkreślał styl lokalu. Co wcale nie znaczyło, by była to nędzna dzielnica, aczkolwiek po tak wąskiej ulicy nawet nie mogły jeździć powozy. Za to w tłumie kołysała się spora liczba pomalowanych jaskrawo lektyk. Choć przytłaczająca większość przechodniów nosiła wełnę i kamizelki gildii, nie zaś jedwab, ubrania były często świetnie skrojone, ale nierzadko postrzępione ze szczeniem. Domy i sklepy stały jak zwykle równym szeregiem z białymi tynkowanymi frontonami i choć większość była niska, a nierzadko i zniszczona, to na rogu, po jego prawej ręce stał wysoki dom jakiegoś bogatego kupca, po lewej zaś mały pałacyk – mniejszy nawet od kupieckiej kamienicy -z pojedynczą kopułą bez iglicy, za to ozdobioną zielonym pasem. Dwie tawerny i oberża w zasięgu wzroku wyglądały zachęcająco. Niestety “Róża” była jedyną, gdzie człowiek mógł usiąść na zewnątrz, jedyną usytuowaną we właściwym miejscu. Niestety.

– Wątpię, bym gdziekolwiek widział takie okazałe muszyska – narzekał Nalesean, odganiając kilka doborowych okazów od swojego kubka. – Co tym razem robimy?

– Ty wlewasz w siebie tę nędzną namiastkę wina i pocisz się jak kozioł – mruknął Mat, naciągając kapelusz, żeby lepiej osłonić oczy. – Ja zajmuję się byciem *ta'veren*. -Spojrzał spode łba na podniszczony dom, między farbiarzem a hałaśliwym warsztatem tkacza, który kazano mu obserwować: Nie poproszono... kazano... do tego doszło, chociaż próbowały to zatuszować, dwojąc się i trojąc w swoich obietnicach. Och, sprawiły, by to zabrzmiało jak prośba, sprawiły, by to ostatecznie zabrzmiało jak błaganie, w które, tak na marginesie, uwierzy nie wcześniej, jak psy zaczną tańczyć, ale i tak wiedział, że go nabierają. “Po prostu bądź *ta'veren*, Mat” przedrzeźniał. “Wiemy, że ty zwyczajnie będziesz wiedział, jak to zrobić. Ba!” Może przekłęta Dziedziczka Tronu i jej przekłete dołki w policzkach wiedziały, albo może wiedziała to Nynaeve z jej przekłętymi rękoma, które cały czas podrygiwały, bo tak im było spieszno szarpnąć warkocz, ale byłby szczeł, gdyby on sam wiedział. – Jeżeli ta, wieprz ją całował, Czara jest w Rahad, to jak mam ją znaleźć na przeciwnym brzegu choleralnej rzeki?

– Nie pamiętam, by to mówiły – rzekł sucho Juilin i upił dużego łyka jakiegoś napoju zrobionego z żółtych owoców rosnących po tutejszych wsiach. – Pytałeś o to co najmniej pięćdziesiąt razy. – Twierdził, że ten słomkowej barwy płyn odświeża w upale, ale Mat nadgryzł kiedyś jedną z tych cytryn i odtąd nie zamierzał pić niczego, co z nich zrobiono. Sam pił herbatę, czując nadal lekkie pulsowanie w głowie. Smakowała tak, jakby właściciel tawerny, chuderlawy osobnik o paciorkowatych podejrzliwych oczach, od czasu założenia miasta dokładał świeże liście i dolewał wodę do resztek z poprzedniego dnia. Smak napoju harmonizował z jego nastrojem.

– Mnie interesuje natomiast – mruknął Thom zza złożonych dłoni – dlaczego zadawały tyle pytań o twoją oberżystkę. – Zdawał się wcale nie przejmować, że kobiety miały swoje sekrety; czasami zachowywał się zdecydowanie dziwnie. – Co Setalle Anan i te kobiety mają wspólnego z Czarą?

Do zniszczonego domu istotnie stale wchodziły jakieś kobiety; niekiedy również wychodziły. Jednostajny sznur kobiet, jak trzeba, w tym niektóre odziane dobrze, mimo że nie w jedwabie, i ani jednego mężczyzny. Trzy, może cztery, miały na sobie czerwony pas Mądrej Kobiety. Mat zastanowił się, czy nie pójść za którąś z wychodzących, ale to mogłoby wyglądać na umyślne działanie. Nie wiedział, na czym polega bycie *ta'veren* – nigdy tak naprawdę nie dostrzegł w sobie ani jednej oznaki, że jest *ta'veren* – ale jego szczęście było zawsze największe, kiedy wszystko działo się przypadkowo. Tak jak w grze w kości. Większość tych żelaznych układanek z tawern była dla niego

nierozwiązywalna, jakkolwiek szczęśliwy by się czuł.

Zlekceważył pytanie Thoma; Thom zadawał je co najmniej tak samo często, jak Mat pytał o to, jak niby znaleźć Czarę. Nynaeve powiedziała mu w twarz, że wcale nie przysięgała, że powie mu wszystko, co wie, obiecała, że powie mu to, co musi wiedzieć, a potem powiedziała... Przyglądanie się, jak niemalże się dławi, próbując nie obrzucić go stekiem wyzwisk, raczej nie dostarczało zadowalającego zadośćuczynienia.

– Chyba przejdę się trochę w głąb tej uliczki – rzekł Nalesean z westchnieniem. – Na wypadek, gdyby któraś z kobiet postanowiła przeskoczyć przez mur tego ogrodu. – W zasięgu wzroku mieli widok na wąską szczelinę między domem a warsztatem farbiarza, ale za sklepami i domami biegła równolegle jeszcze jedna alejka. – Mat, powiedz mi raz jeszcze, dlaczego musimy się tym zajmować, zamiast grać w karty.

– Ja to zrobię – powiedział Mat, jakby nie słysząc ostatniego pytania. Może za murem ogrodu dowie się, jak funkcjonuje *ta'veren*. Poszedł, ale niczego się nie dowiedział.

Do czasu, gdy do ulicy zaczął zakradać się zmierzch i pojawił się Harnan w towarzystwie łysego Andoranina o skośnych oczach, o imieniu Wat, jedynym ewentualnym skutkiem bycia *ta'veren*, jaki dostrzegł, było to, że właściciel tawerny zaparzył świeży dzbanek herbaty. Smakowała równie obrzydliwie jak poprzednia.

Po powrocie do swoich pokoi w pałacu znalazł list, swego rodzaju zaproszenie, elegancko wypisane na grubym białym papierze, który pachniał niczym kwietny ogród.

“Mój ty malutki króliczku, spodziewam się gościć cię dzisiaj na kolacji w moich apartamentach”.

Bez podpisu, ale przecież nie był potrzebny. Światłości! Ta kobieta nie miała za grosz wstydu! W drzwiach wiodących na korytarz był zamontowany pomalowany na czerwono żelazny zamek, znalazł klucz i przekręcił. Potem, dla lepszego efektu, wcisnął krzesło pod zasuwę na drzwiach do pokoiku Nerima. Mógł się znakomicie obejść bez kolacji. Już miał wspiąć się na łóżko, gdy nagle zamek zaszczękał, w korytarzu jakaś kobieta roześmiała się, stwierdziwszy, że drzwi są zamknięte na klucz.

Wtedy mógł już przecież głęboko zasnąć, ale z jakiegoś powodu leżał tam, wsłuchując się w burczenie w brzuchu. Dlaczego ona mu to robi? No cóż, wiedział dlaczego, ale dlaczego jemu? Z pewnością nie zamierzała cisnąć całej przyzwoitości za stodołę, tylko po to, by dzielić łóżko z *ta'veren*. Tak czy siak, teraz był bezpieczny. Tylin nie wyważy przecież drzwi. Na pewno? Nawet ptak nie przedostanie się przez arabeski z kutego żelaza otaczające balkony. A zresztą potrzebowałyby długiej drabiny, żeby dotrzeć tak wysoko. I ludzi do jej niesienia. Chyba że opuściłaby się z dachu na linie. Albo mogłaby... Noc mijała, w żołądku burczało, wreszcie wzeszło słońce, a on na moment nie zmrużył oka ani nie pomyślał o niczym przyzwoitym. Poza tym, że podjął pewną decyzję. Wpadł mu do głowy pomysł wykorzystania komnaty dumania. Choć z pewnością nigdy w zadumę nie popadał.

Wraz z pierwszym brzaskiem wymknął się ze swoich pokoi i znalazł jednego ze sług pałacowych, którego udało mu się zapamiętać, łysiejącego mężczyznę o imieniu Madic, o pełnej samozadowolenia, pyszałkowej minie i krzywym uśmiechu mającym znamionować chyba nieustanny brak satysfakcji. Człowiek, który dawał się kupić. Aczkolwiek nie omieszkał – pełnym zaskoczenia wyrazem kanciastego oblicza i szyderczym grymasem, którego prawie nie raczył ukryć – dać jasno do zrozumienia, że on wie dokładnie, dlaczego Mat wsuwa mu złoto w garść. Krew i

przekłete popioły! Ilu ludzi wiedziało, do czego zmierza Tylin?

Nynaeve i Elayne zdawały się nie pojmować, Światłości niech będą dzięki, w związku z czym zrugwały go za to, że nie poszedł na kolację do królowej. Dowiedziały się o tym, gdy Tylin pytała o niego, czy przypadkiem nie jest niezdrów. A co gorsza...

– Proszę – powiedziała Elayne, uśmiechając się prawie tak, jakby to słowo bynajmniej nie sprawiało jej bólu -powinieneś się pokazać ze swej najlepszej strony przy królowej. Nie bądź taki nerwowy. Wieczór z nią spodoba ci się.

– Tylko nie zrób niczego, co mogłoby ją urazić – mruknęła Nynaeve. Nie było wątpliwości, jak uprzejmość boli: czoło pomarszczone z koncentracji, szczęki zaciśnięte, a ręce aż drżące, tak chciały pociągnąć za warkocz. – Chociaż raz postaraj się być w miarę... chcę powiedzieć, pamiętaj, że to przyzwoita kobieta i nie próbuj żadnych ze swoich... Światłości, wiesz, co chcę powiedzieć.

Nerwowy. Ha! Przyzwoita kobieta. Ha!

Najwyraźniej żadnej z nich w najmniejszym stopniu nie obchodziło, że zmarnował już całe popołudnie. Elayne poklepała go współczująco po ramieniu i poprosiła, żeby wytrwał przez jeszcze jeden dzień albo dwa, to z pewnością i tak lepsze niż dreptanie po Rahad w tym upale. Nynaeve powiedziała dokładnie to samo, jak kobiety mają w zwyczaju, za to bez tego klepania po ramieniu. Przyznały prosto z mostu, że zamierzają spędzić ten dzień na próbach śledzenia Carridina, razem z Aviendhą, aczkolwiek zbywały pytania o to, kogo niby mogłyby rozpoznać przed drzwiami jego pałacu. Nynaeve się to wymknęło, a Elayne spojrzała na nią takim wzrokiem, że się ucieszył, iż chociaż raz zobaczy, jak Nynaeve zostaje wytargana za uszy. Potulnie zaakceptowały jego surowy nakaz, że mają nie tracić z widoku chroniących ich ludzi i potulnie pozwoliły mu zobaczyć przebrania, jakie zamierzały włożyć. I mimo że Thom mu o tym opowiadał, to i tak przeżył wstrząs, widząc na własne oczy, jak te dwie nagle przemieniają się w mieszkanki Ebou Dar, wstrząs niemalże równie głęboki, o jaki przysporzyła go ich potulność. Cóż, Nynaeve nędznie udawała potulność i nie mogła się powstrzymać, by nie warknąć, kiedy do niej dotarło, że mówił najzupełniej poważnie, twierdząc, iż kobieta Aielów nie potrzebuje osobistej ochrony, ale była blisko. Kiedy te kobiety zaplatały ręce i posłusznie odpowiadały na jego pytania, robił się nerwowy. Wszystkie – bo Aviendha też z aprobatą kiwała głową! Był nadal urzeczony, kiedy już poszły swoją drogą. Tylko na wszelki wypadek, nie zwracając uwagi na ich nagle zaciśnięte usta, kazał zademonstrować przebrania tym mężczyznom, których posyłał z nimi w pierwszej kolejności. Vanin aż podskoczył, że przydarzyła mu się taka gratka jak osobista ochrona Elayne, tarł pięścią po czole w tę i we w tę jak jakiś dureń.

Grubas nie dowiedział się wiele, prowadząc obserwacje na własną rękę. Podobnie jak poprzedniego dnia zaskakująca liczba ludzi przybyła na wezwanie Carridina, w tym kilku w jedwabiach, jednak to nie stanowiło dowodu, że wszyscy są Sprzymierzeńcami Ciemności. Jakkolwiek było, mieli do czynienia z ambasadorem Białych Płaszczy, zatem większość pragnących handlować z Amadicią prawdopodobnie udawało się wprost do niego, a nie do ambasadora Amadicii, kimkolwiek on czy ona byli. Vanin twierdził, że dwie kobiety rzeczywiście obserwowały pałac Carridina – wyraz jego twarzy, kiedy Aviendha zniecka przeobraziła się w trzecią Ebou Dariankę, zdradzał nieliczne zdumienie – był tam także jakiś podejrzany starzec, jak na jego oko, zadziwiająco zwawy. Vaninowi nie udało mu się dobrze przyjrzeć, mimo iż spotkał go trzy razy. Po wyjściu Vanina i kobiet Mat posłał Thoma i Juilina, by sprawdzili, czego potrafią się dowiedzieć na temat Jaichima Carridina oraz przykurzonego siwowłosego starca, który interesował się Sprzymierzeńcami Ciemności. Jeżeli łowca złodziei nie potrafił znaleźć sposobu na podejście Carridina, to taki sposób nie istniał, Thom zaś najwyraźniej do perfekcji opracował metodę

zestawiania plotek i pogłosek krążących w jednym miejscu, z których zadziwiająco skutecznie destylował prawdę. Wszystko to, rzecz jasna, stanowiło najłatwiejszą część.

Przez dwa bite dni pocił się na tej ławce, co jakiś czas przechadzając się po uliczce obok farbiarza, ale nic się nie zmieniało oprócz herbaty, z każdym dniem gorszej. Wino było tak podłe, że Nalesean zaczął pić ale. Pierwszego dnia właściciel tawerny zaproponował im ryby na popołudniowy posiłek, sądząc po zapachu złapano je w poprzednim tygodniu. Drugiego dnia zaoferował gulasz z ostryg; Mat zjadł pięć misek mimo kawałków skorupki. Birgitte nie chciała skosztować ani jednej, ani drugiej potrawy.

Zdziwił się, kiedy dopadła jego i Naleseana, gdy tamtego pierwszego ranka szli spieszenie przez Mol Hara. Słońce ledwie wystawiło krawędź swej tarczy nad dachy domów, a mimo to na placu pojawili już ludzie i fury.

– Chyba musiałam na chwilę oślepnąć – roześmiała się. – Czekałam tam, w miejscu przez które, jak sądziłam, pójdziecie. Nie macie chyba nic przeciwko towarzystwu.

– Czasami chodzimy szybko – odparł wymijająco. Nalesean spojrzał na niego z ukosa; naturalnie nie miał pojęcia, dlaczego wymknęli się przez maleńkie boczne drzwiczki blisko stajni. Co wcale nie znaczyło, by Mat uważał, że Tylin rzuci się na niego w biały dzień w którejś z komnat, niemniej ostrożność nigdy nie zawadzi. – Twoje towarzystwo jest zawsze mile widziane. Hm. Dzięki.

Tylko wzruszyła ramionami i wymamrotała coś, czego nie dosłyszał i zrównała z nim krok.

Taki był początek. Każda inna kobieta, jaką w życiu poznał, zażądałaby podziękowań za coś takiego, a potem by wyjaśniała, że nie potrzebuje w zasadzie żadnych i głądziłaby o tym tak długo, że aż zapragnęłaby zatkać sobie uszy. Mogłaby też do znudzenia upominać go, że słowa wdzięczności są jednak potrzebne, a niekiedy dawałaby jasno do zrozumienia, że spodziewa się czegoś bardziej materialnego niż słowa. Birgitte tylko wzruszyła ramionami, a on, zastanawiając się nad tym przez następne dwa dni, doszedł do wniosków doprawdy zaskakujących.

Normalnie, jego zdaniem, kobiety należało adorować i obdarzać uśmiechami, należało tańczyć z nimi i całować je, jeśli na to pozwalały, pieścić się z nimi, jeśli dopisało szczęście. Wybór, za którymi kobietami się uganiać, był niemalże tak samo zabawny jak samo uganie, o ile wręcz nie dorównywał zdobywaniu. Niektóre kobiety były tylko przyjaciółkami, ma się rozumieć. Niektóre. Egwene na przykład, aczkolwiek nie był pewien, czy ta przyjaźń przetrwa, skoro została Amyrlin. Nynaeve była kimś w rodzaju przyjaciółki; pod warunkiem, że potrafiła chociaż na godzinę zapomnieć, iż oćwiczyła dół jego pleców więcej niż raz i pamiętać, że on już nie jest małym chłopcem. Jednak kobieta-przyjaciółka była kimś innym niż mężczyzna; człowiek zawsze wiedział, że jej umysł biegnie innymi drogami, że taka patrzy na świat innymi oczami niż mężczyzna.

Birgitte nachyliła się ku niemu, gdy siedzieli razem na ławce.

– Lepiej się strzeż – mruknęła. – Ta wdowa szuka nowego męża; pochwa od jej noża małżeńskiego jest niebieska. A poza tym dom, który nas interesuje, jest tam.

Zamrugał, gubiąc z oczu przyjemnie pulchną kobietę, która szła, kręcąc wydatnie biodrami, a Birgitte wyszczerzeniem zębów zareagowała na jego zbaraniały uśmiech. Nynaeve byłaby go wychłostała językiem za to, że się tak gapił i nawet Egwene okazałaby chłodną dezaprobatę. Pod koniec drugiego dnia na tej ławce zorientował się, że przecież siedział cały ten czas z biodrem przyciśniętym do biodra Birgitte i ani przez moment nie przyszło mu do głowy, żeby ją pocałować. Był pewien, że ona nie chce być przez niego całowana – szczerze mówiąc, poczułby się urażony, gdyby było inaczej, biorąc pod uwagę kundlowatych mężczyzn, którym najwyraźniej lubiła się przyglądać – nadto była przecież bohaterką legend i skrycie nadal oczekiwał, że zaraz przeskoczy

przez jakiś dom i po drodze chwyci za kark kilku Przeklętych. Ale to nie było tak: równie prędko pomyślałby o całowaniu Naleseana. W takim samym stopniu lubił Tairenianina jak i Birgitte.

Dwa dni spędzili na tej ławce, to siadając, to wstając, by przejść uliczkę obok farbiarni i pogapić się na wysoki mur z gołej cegły otaczający ogród na tyłach domu. Birgitte potrafiłaby wspiąć się na niego, ale nawet ona mogłaby złamać sobie kark, gdyby spróbowała to zrobić w sukni. Trzykrotnie pod wpływem impulsu postanawiał, że pójdzie śladem kobiety wychodzącej z domu; dwie z nich nosiły czerwony pas Mądrej Kobiety. Przypadek zdawał się przywoływać jego szczęście. Jedna z Mądrych Kobiet obesła róg, kupiła kilka pomarszczonych rzep i zaraz wróciła, druga przeszła dwie ulice, żeby kupić dwie wielkie ryby w zielone paski. Trzecia kobieta, wysoka i ciemna, w schludnej szarej wełnie, być może Tairenianka, pokonała dwa mosty, zanim weszła do dużego sklepu, gdzie powitały ją uśmiechy chuderlawego, gnącego się w ukłonach mężczyzny, a tam zaczęła doglądać pakowania lakierowanych skrzynek i tac do wypełnionych trocinami koszy, które następnie załadowano na wóz. Z tego, co usłyszał, wynikało, że miała nadzieję zdobyć za nie sporo srebra w Andorze. Matowi ledwie udało się uciec bez kupowania skrzynki. Tyle, jeśli chodzi o przypadkowe szczęście.

Pozostałym również ono nie dopisywało. Nynaeve, Elayne i Aviendha wracały ze swoich pielgrzymek po ulicach otaczających pałacyk Carridina, nie napotkawszy nikogo, kogo by rozpoznały, co bezgranicznie je zasmuciło. Nadal nie chciały powiedzieć, o kogo idzie; to raczej nie miało znaczenia, skoro tych ludzi nie można było nigdzie spotkać. Tak właśnie twierdziły, szczerząc się przy tym w wyraźnie wymuszony sposób. Te grymasy, jak sądził, miały uchodzić za uśmiechy. Szkoda, że Aviendha całą duszą wspierała te dwie, aczkolwiek był taki moment, kiedy trochę je przycisnęła, gdy Elayne warknęła na niego, a kobieta Aiel szepnęła jej coś do ucha.

– Wybacz mi, Mat – przeprosiła szczerze Elayne, z twarzą tak poczerwieniałą, że aż tworzyła śmieszny kontrast z jej jasnymi włosami. – Pokornie cię przepraszam za to, że mówiłam takim tonem. Ja... będę błagała na kolanach, jeśli zechcesz. – Nie dziwota, że pod koniec zaczął jej się łamać głos.

– Nie trzeba – odparł słabo, starając się nie okazywać swego zdumienia. – Wybaczam ci, to nic takiego. – Ale rzecz osobliwa, Elayne, przez cały ten czas, kiedy mówiła do niego, patrzyła na Aviendhę i nawet nie mrugnęła powieką, kiedy jej odpowiedział, ale gdy Aviendha skinęła głową, głośno westchnęła z ulgą. Kobiety były po prostu dziwne.

Thom doniósł, że Carridin często udziela jałmużny żebrakom, ale oprócz tego każdy szczątek informacji o jego bytności w Ebou Dar brzmiał właśnie tak, jak należało się spodziewać, w zależności od tego, czy mówiący uważał Białe Płaszczki za mordercze potwory czy też za prawdziwych zbawców świata. Juilin dowiedział się, że Carridin kupił plany Pałacu Tarasin, co mogło oznaczać, że Pedron Niall sam chce mieć pałac i zamierza skopiować do tego celu właśnie ten. O ile oczywiście jeszcze żył, po mieście rozeszły się bowiem pogłoski, jakoby umarł. Jako że zgodnie z połową plotek zabiły go Aes Sedai, wedle drugiej wersji zrobił to Rand, można się było domyślić, ile są warte. Ani Juilin, ani Thom nie dokopali się najdrobniejszego strzępu informacji o siwowłosym mężczyźnie z mocno wyniszczoną twarzą.

Frustracja z powodu Carridina, frustracja z powodu obserwowania tego przeklętego domu, a jeśli chodzi o pałac...

Mat dowiedział się, jaki będzie obrót spraw tamtej pierwszej nocy, kiedy nareszcie wrócił do swoich pokoi. Był tam Olver, już nakarmiony, który siedział skulony w fotelu z *Podróżami Jaina Długi Krok*, i wcale się nie zmartwił, gdy go tu przeniesiono z jego własnych pokoi. Na Madiku można było polegać tak samo jak na jego słowie; w każdym razie póki mieszek pełen był złota. Łóżko

Olvera stało teraz w komnacie dumania. Niech tylko Tylin spróbuje coś zrobić przy obserwującym ją dziecku! Ale królowa nie pozostała nam dłużna. Zakradł się do kuchni niczym lis, przemykając od rogu do rogu, zbiegając w mgnieniu oka po schodach – i stwierdził, że nie znajdzie tam niczego, co mógłby zjeść.

Och, powietrze wypełniała woń gotowanej strawy, pieczeni obracających się na roznach w wielkich paleniskach, garnków bulgoczących na piecach z białych płytek, a kucharki stale otwierały piekarniki, by popchnąć to czy tamto. Po prostu nie było jedzenia dla Mata Cauthona. Uśmiechnięte kobiety w nieskazitelnie białych fartuszkach lekcewały jego uśmiechy i stawały mu na drodze, przez co nie mógł się dostać do źródeł tych cudownych zapachów. Uśmiechały się i biły go po rękach, kiedy usiłował porwać bochenek chleba albo chociaż rzepę glazurowaną w miodzie. Uśmiechały się i mówiły mu, że nie powinien psuć sobie apetytu, jeżeli ma wieczerzać z królową. Wiedziały. Wszystkie, co do jednej! Nie tylko z powodu nunieńców wycofał się z powrotem do swoich pokoi, gorzko żałując tej śmierdzącej ryby podanej przez karczmarza po południu. Zamknął za sobą drzwi na zamek. Kobieta, która potrafi zagłodzić człowieka na śmierć, mogła spróbować wszystkiego.

Leżał na dywanie z zielonego jedwabiu i grał z Olverem w Węże i Lisy, kiedy przez szparę pod drzwiami ktoś wsunął kolejny liścik.

“Mówiono mi, że godniej jest polować na gołębia w locie, a potem patrzeć, jak trzepocząc skrzydłami spada, ale głodny ptak prędzej czy później przyfrunie do ręki”.

– Co jest, Mat? – spytał Olver.

– Nic. – Mat zmiął list. – Jeszcze jedną partyjkę?

– O tak. – Chłopiec gotów byłby grać w tę głupią grę cały dzień, gdyby tylko dać mu szansę. – Mat, próbowałaś choć trochę tej szynki, którą ugotowali dziś wieczorem? Nigdy nie jadłem niczego...

– Rzuć kośćmi, Olver. Rzuć tymi przeklętymi kośćmi.

Trzeciego wieczora, wracając do pałacu, kupił chleb, oliwki i kozi ser. W kuchni nadal mieli swoje rozkazy. Te cholerne kobiety po prostu śmiały się w głos, kiedy zabierały parujące półmiski z mięsem i rybami z jego zasięgu i mówiły mu, że ma sobie nie psuć przeklętego apetytu.

Zachował swoją godność. Nie porwał żadnego półmiska i nie uciekł z nim. Wykonał swój najwspanialszy ukłon, wywijając przy tym połamami nie istniejącego płaszcza.

– Łaskawe panie, wasze ciepło i gościnność są druzgoczące.

Jego wyjście wyglądałoby znacznie lepiej, gdyby jedna z kucharek nie zarechotała za jego plecami:

– Królowa już niebawem będzie się raczyła pieczoną kaczką, chłopcze.

Bardzo zabawne. Pozostałe kobiety ryknęły tak gromkim śmiechem, że chyba tarzały się po podłodze. Cholernie śmieszne.

Chleb, oliwki i słony ser złożyły się na niezły posiłek, do tego odrobina wody z umywalni do popicia. Od tamtego pierwszego dnia w jego pokoju nie pojawiał się winny poncz. Kiedy Olver usiłował mu opowiedzieć o jakiejś pieczonej rybie z sosem musztardowym i rodzynkami, Mat kazał mu poćwiczyć czytanie.

Tamtej nocy nikt nie wsunął listu pod jego drzwiami. Nikt nie potrząsał zamkiem. Zaczął myśleć, że sprawy idą ku lepszemu. Nazajutrz przypadało Święto Ptaków. Z tego, co słyszał o kostiumach, jakie nosili niektórzy ludzie, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, niewykluczone, że Tylin



znajdzie sobie nowego kaczorka, za którym mogłaby się uganiać. Ktoś mógł wyjść z tego przeklętego domu naprzeciwko “Róży Elbaru” i wręczyć mu przeklętą Czarę Wiatrów. Sprawy po prostu musiały przybrać lepszy obrót.

Kiedy się obudził trzeciego ranka w Pałacu Tarasin, w głowie toczyły mu się kości.

# ROZDZIAŁ 10

## ŚWIĘTO PTAKÓW

Obudzony grzechotem kości Mat zastanawiał się, czy nie pospać jeszcze trochę, to może przestaną, ale ostatecznie wstał bez reszty owładnięty ponurym nastrojem. Jakby nie dosyć już miał na głowie zmartwień. Przegnał Nerima i ubrał się samodzielnie, dojadając resztę chleba i sera z ubiegłej nocy, po czym poszedł zajrzeć do Olvera. Chłopiec uwijał się jak fryga, gorączkowo narzucając na siebie ubranie, by jak najszybciej wyjść, przy czym zdarzało mu się całkiem znieruchomieć z butem albo koszulą w rękę i zasypywać Mata dziesiątkami pytań, na które ten odpowiadał, mając myśli bardzo zaprzątnięte czym innym. Nie, nie pójdą dzisiaj na wyścigi i nieważne, że w Kręgu Nieba, na północy miasta, odbywają się wielkie wyścigi. Może uda im się pójść obejrzeć menażerię. Tak, Mat kupi mu maskę z piór z okazji święta. O ile kiedykolwiek wreszcie się ubierze. To sprawiło, że Olver znowu zaczął się miotać.

Tak naprawdę myśli Mata zaprzętały te przeklęte kości. Dlaczego znowu się toczą? I nadal nie wiedział, dlaczego i wcześniej tak się działo!

Kiedy Olver ubrał się wreszcie, poszedł za Matem do bawialni, mnożąc w nieskończoność swe wątpliwości i pytania, które ten słyszał jedynie w połowie – i wszedł na niego, kiedy Mat stanął jak wryty. Tylin odłożyła na stół książkę, którą Olver czytał poprzedniego wieczoru.

– Wasza Wysokość! – Wzrok Mata pomknął w stronę drzwi, które zamknął na klucz ubiegłej nocy, a które teraz stały otworem. – Co za niespodzianka. – Pociągnął Olvera przed siebie, stawiając go między sobą a tą kobietą, która tylko uśmiechała się drwiąco. Takie w każdym razie odniósł wrażenie. Natomiast najwyraźniej była z siebie zadowolona. – Właśnie miałem wyjść z Olverem. Żeby obejrzeć święto. I jakąś wędrowną menażerię. Olver chciałby dostać maskę z piór. – Zaciśnął usta, żeby przestać paplać i zaczął ostrożnie skradać się w stronę drzwi, wysługując się chłopcem jako tarczą.

– Tak... – odmruknęła Tylin, przyglądając mu się zza firanek rzęs. Nie wykonała żadnego ruchu, żeby mu przeszkodzić, ale jej uśmiech stał się szerszy, jakby tylko czekała, aż wdepnie we wnyki. – Znacznie lepiej, że ma towarzystwo, zamiast biegać z ulicznikami, co, jak się dowiaduję, zdarza mu się dość często. Dużo się słyszy o tym twoim chłopcu. Riselle?

W drzwiach pojawiła się jakaś kobieta i Mat wzdrygnął się. Wymyślna maska z oszałamiających niebieskich i złotych piór skrywała większą część twarzy Riselle, za to pióra naszyte na resztę jej kostiumu nie ukrywały wiele więcej. Posiadała najwspanialsze łono, jakie kiedykolwiek widział.

– Olver – powiedziała, delikatnie opadając na kolana – czy zechciałbyś pójść ze mną na święto? – W rękę trzymała maskę czerwono-zielonego jastrzębia, już na pierwszy rzut oka dobraną specjalnie wielkością do twarzy chłopca.

Zanim Mat zdążył otworzyć usta, Olver wyrwał mu się i podbiegł do Riselle.

– O tak, proszę. Dziękuję ci. – Ten niewdzięczny mały łobuziak śmiał się, kiedy mocował maskę jastrzębia na twarzy i przytulał się do łona Riselle. Wybiegli z pokoju, trzymając się za ręce, a Mat pozostał z głupią miną.

Dość prędko oprzytomniał, kiedy Tylin powiedziała:

– Ciesz się, że nie jestem zazdrosną kobietą, mój słodki. – Wyciągnęła zza swego złoto-srebrnego pasa długi żelazny klucz do jego drzwi i potem jeszcze jeden, podobny, po czym zamachała nimi przed jego nosem. – Ludzie zawsze trzymają klucze w szkatułce obok drzwi. – Tam właśnie

zostawił swoje klucze. – I nikt nigdy się nie zastanawia, gdzie może być drugi klucz. – Jeden klucz wrócił za pas; drugi został przekreślony w zamku z głośnym szczęknięciem, po czym dołączył do swego towarzysza. – No cóż, jagniątko. – Uśmiechnęła się.

Tego było już za wiele. Ta kobieta zrobiła nagonkę na niego, usiłowała zagłodzić go na śmierć, a teraz zamknęła go niczym... nie wiedział do czego to porównać. Jagniątko! Cholerne kości podskakiwały w jego czaszce. Poza tym miał ważne sprawy do załatwienia. Kości nigdy przedtem nie miały nic wspólnego z żadnymi poszukiwaniami, ale... Podszedł do niej dwoma długimi krokami, schwycił ją za ramię i zaczął majstrować przy jej pasie w poszukiwaniu kluczy.

– Nie mam przekłętego czasu na... – Oddech mu zamarł, kiedy ostry czubek jej sztyletu pod jego brodą zamknął mu usta i kazał stanąć na palcach.

– Zabierz rękę – rozkazała zimnym tonem. Udało mu się spojrzeć z wyżyn nosa na jej twarz. Uśmiechała się teraz. Ostrożnie puścił jej rękę. A mimo to nie zmniejszyła nacisku ostrza. Pokręciła głową. – A fe, a fe. Naprawdę staram się zachowywać wobec ciebie delikatnie, jako że jesteś cudzoziemcem, ale skoro chcesz prowadzić brudną grę... Ręce przy sobie. Ruszaj. – Czubek wbijanego w jego skórę noża wskazał kierunek. Odsuwał się niezdarnie w tył, na czubkach palców, nie chcąc, by mu pocięto gardło na plasterki.

– Co chcesz zrobić? – wybełkotał przez zęby. Mówił z wysiłkiem z powodu wyprężonej szyi. – No co? – Mógł spróbować schwycić ją za nadgarstek, potrafił szybko ruszać rękoma. – Co chcesz zrobić? – Dość szybko, z nożem już przystawionym mu do gardła? Oto pytanie. To, a także tamto, które jej zadał. Jeżeli zamierzała go zabić, to gdyby odepchnął jej nadgarstek, sztylet powędrowałby prosto do jego mózgu. – Odpowiesz mi czy nie?! – W jego głosie nie było paniki. Wcale nie wpadł w panikę. – Wasza Wysokość? Tylin?! – Cóż, chyba wpadł w lekką panikę, skoro nazwał ją po imieniu. W Ebou Dar można było przez cały dzień nazywać kobietę “kaczątkiem” albo “ciasteczkciem”, a ona reagowałaby na to uśmiechami, ale gdybyś użył jej imienia, zanim ona ci na to pozwoliła, spotkałbyś się z “gorętszym” przyjęciem niż wtedy, gdybyś molestował obcą kobietę na ulicy gdziekolwiek indziej. Wymiana kilku pocałunków też jeszcze nie stanowiła przyzwolenia.

Tylin nie odpowiedziała, tylko nadal go zmuszała do cofania się na palcach, aż wreszcie zderzył się plecami z czymś, co go zatrzymało. Przez ten przeklęty sztylet, który nie drgnął nawet o włos, nie mógł ruszyć głową, ale oczy, które miał utkwione w jej twarzy, były rozbiegane. Znajdowali się w sypialni, czuł pod łopatkami twardy postument łoża, rzeźbiony w kwiaty. Dlaczego ona prowadzi go...? Nagle twarz miał równie czerwoną jak postument. Nie. Ona nie zamierza... To nieprzyzwoite! To niemożliwe!

– Nie możesz mi tego zrobić-wymamrotał, a jeśli jego głos był odrobinę zadyszany i piskliwy, to z pewnością miał powód.

– Patrz i ucz się, mój ty kociaczku – powiedziała Tylin i dobyła swego małżeńskiego noża.

Po wszystkim, a minęło sporo czasu, z irytacją naciągnął kołdrę na pierś. Jedwabną kołdrę, Nalesean miał rację. Królowa Altary nuciała z zadowoleniem obok łoża, ręce wykręcając do tyłu, by zapiąć guziki przy sukni. On miał na sobie tylko medalion w kształcie lisiej głowy na rzemyku – na wiele się nie zdał – oraz czarną chustę zawiązaną na szyi. Wstążka na jej “prezencie”, tak to nazwała ta przekłeta kobieta. Przewrócił się na brzuch i porwał okutą srebrem fajkę i mieszek z tytoniem z małego stolika po drugiej stronie. Zapalił fajkę, posługując się złotymi szczypcami i rozżarzoną węglą ze złotej misy wyłożonej piaskiem. Zaplótł ręce na piersiach i zaciągał się zapalczywie, równocześnie krzywiąc.

– Nie powinieneś tak się szamotać, kaczorku, ani też tak nadymać. – Wyrwała sztylet wbity w postument tuż obok jej małżeńskiego noża, obejrzała jego czubek i dopiero wtedy schowała go do

pochwy. – O co chodzi? Wiesz przecież, że bawiłeś się równie dobrze jak ja, a ja... – Roześmiała się niespodzianie i to niezwykle serdecznie, jednocześnie ponownie wyjmując nóż małżeński z pochwy. – Jeżeli to element natury *ta'veren*, to musisz się cieszyć wielką popularnością.

Mat poczerwieniał ogniście.

– To nienaturalne – wybuchnął, wrywając fajkę z ust. – To ja powinienem się uganiać! – Jej zdumiony wzrok z pewnością stanowił lustrzane odbicie jego spojrzenia. Gdyby Tylin była tawernianą dziewczką, która się uśmiecha we właściwy sposób, to mógłby spróbować swego szczęścia – pod warunkiem, że tawerniana dziwka nie miała syna, który lubił robić dziury w ludziach – ale to on był tym, za którym się uganiało. Nigdy wcześniej tak o tym nie myślał. Nigdy przedtem nie musiał.

Tylin zaczęła się śmiać, kręcąc głową i ocierając oczy palcami.

– Och, mój ty gołąbku. Rzeczywiście, stale zapominam! Jesteś teraz w Ebou Dar. Zostawiłam dla ciebie mały prezent w bawialni. – Poklepała jego stopę przez prześcieradło. – Dobrze się dzisiaj najedz. Będziesz potrzebował sił.

Mat zakrył dłonią oczy i ze wszystkich sił próbował się nie rozplakać. Kiedy odjął rękę, jej już nie było.

Wstał z łoża, owinąwszy się kołdrą; z jakiegoś powodu pomysł chodzenia nago wydawał się niepokojący. Ta przekłeta kobieta mogła wyskoczyć z szafy. Ubranie, które miał przedtem na sobie, walało się po podłodze.

“Po co zaprzętać sobie głowę koronkami – pomyślał kwaśno – skoro wystarczy pociąć na kimś ubranie!”

Jednak nie miała prawa kroić jego czerwonego kaftana w taki sposób. Chyba po prostu uwielbiała obierać go swoim nożem.

Prawie nie wstrzymując oddechu, otworzył wysoką czerwono-złotą szafę. Nie ukryła się w środku. Miał ograniczony wybór, gdyż Nerim oddał większość jego garderoby do czyszczenia albo naprawy. Ubierając się szybko, wybrał prosty kaftan z ciemnobrązowego jedwabiu, po czym wepchnął pocięte szmaty tak głęboko pod łóżko, jak mógł sięgnąć; poleżą tam do czasu, aż będzie mógł się ich pozbyć tak, by Nerim nie zauważył. Albo ktoś inny, skoro już o tym mowa. Zbyt wielu ludzi wiedziało już zbyt dużo na temat tego, co się działo między nim a Tylin – nie umiałby spojrzeć w twarz temu, kto by wiedział o wszystkim.

W bawialni podniósł wieko lakierowanej skrzynki stojącej obok drzwi, po czym opuścił je z westchnieniem, bynajmniej nie oczekiwając, że Tylin odda klucz. Oparł się o drzwi. O! Nie zamknięte drzwi! Światłości, co on ma robić? Wprowadzić się z powrotem do oberży? I do Czarnej z tym, kości wcześniej się zatrzymały. Tyle że nie zdziwiłby się, gdyby Tylin przekupiła panią Anan i Enid albo oberżystkę, gdziekolwiek by się udał. Nie zdziwiłby się, gdyby Nynaeve i Elayne twierdziły, że on złamał jakąś umowę i zwolnił je tym samym z ich obietnic. A żeby te wszystkie kobiety sczeżyły!

Na jednym ze stołów leżała duża paczka zdobnie opakowana w zielony papier. Zawierała czarno-złotą maskę orła oraz kaftan pokryty dopasowanymi piórami. I oprócz tego sakiewkę z czerwonego jedwabiu zawierającą dwadzieścia złotych koron oraz pachnący kwiatami liścik.

“Kupiłabym ci kolczyk, prosiątko, ale zauważyłam, że nie masz przekłutego ucha. Każ to zrobić i sam kup sobie coś ładnego”.

Omal znowu nie załkał. To on dawał kobietom prezenty. Świat stanął na głowie! Prosiątko? O Światłości! Po jakiejś minucie wziął jednak maskę, tyle mu była dłużna, przynajmniej za sam zniszczony kaftan.

Kiedy wreszcie dotarł do małego ocienionego dziedzińca, gdzie spotykał się ze swymi towarzyszami co rano przy niedużej okrągłej sadzawce porośniętej liliami i pełnej białych ryb w jaskrawe kropki, znalazł Naleseana i Birgitte, którzy również byli już przygotowani do udziału w Świącie Ptaków. Tairenianin zadowolili się prostą zieloną maską, za to Birgitte miała na twarzy masę żółto-czerwonych piór zwieńczonych pióropuszem, spod której wyzierały rozpuszczone luźno włosy na całej długości ozdobione pojedynczymi piórkami, do tego ubrała suknię z szerokim żółtym pasem, przezroczystą pod czerwonymi i żółtymi piórami. Nie odkrywała aż tak wiele jak suknia Riselle, ale przy każdym ruchu zdawało się, że zaraz pokaże. Mat w życiu by nie pomyślał, że Birgitte też włoży suknię tak jak inne kobiety.

– Czasami zabawnie obserwować, jak się na ciebie patrzy-powiedziała, dźgając go pod żebra, kiedy skomentował jej suknię. Taki sam szeroki uśmiech mógłby mieć na twarzy Nalesean mówiący, że podszczypywanie posługaczek jest zabawne. – Jest tego dużo więcej niż nosili tancerze piór, ale nie dosyć, by krępować to ruchy, w każdym razie nie sądzę, byśmy musieli poruszać się szybko po tej stronie rzeki. – W głowie zagrzechotały mu kości. – Co cię zatrzymało? – mówiła dalej. – Mam nadzieję, że nie kazałeś nam czekać, bo chciałeś połaskotać jakąś ładną dziewczynę.

Mat miał nadzieję, że się nie zaczerwienił.

– Ja... – Nie był pewien, z jakiej wymówki powinien skorzystać, ale w tym momencie na dziedzińcu weszło pół tuzina mężczyzn w upierzonych kaftanach, wszyscy z tymi wąskimi mieczami przy biodrach, a każdy bez wyjątku miał na twarzy zdobną maskę z kolorowym czubem i dziobem, reprezentującą ptaka, jakiego nie widziały ludzkie oczy. Wyjątek stanowił Beslan, który wymachiwał swoją maską, trzymając ją za przymocowaną do niej wstążkę. – O krew i przeklęte popioły, a co ten tutaj robi?

– Beslan? – Nalesean ułożył dłonie na rękojeści miecza i z niedowierzaniem pokręcił głową. – No jakże, a żeby mi dusza szczyła, on powiada, że chce spędzić święto w twoim towarzystwie. Powiada, że to jakieś ślubowanie, które wy dwaj sobie złożyliście. Powiedziałem mu, że to będzie śmiertelnie nudne, ale nie chciał dać mi wiary.

– Jakoś sobie nie wyobrażam, by w towarzystwie Mata mogło być kiedykolwiek nudno – oświadczył syn Tylin, kłaniając się całej trójce, ale ciemne oczy zatrzymały się przede wszystkim na Birgitte. – W życiu tak się nie bawiłem, jak podczas Nocy Swovam kiedy piliśmy razem z nim i Strażnikiem lady Elayne, aczkolwiek, prawdę mówiąc, niewiele pamiętam. – Zdawał się nie rozpoznawać owego Strażnika. O dziwo, zważywszy na gust Birgitte odnośnie mężczyzn... Beslan był przystojny, może trochę za bardzo przystojny, zupełnie nie w jej typie... o dziwo, uśmiechnęła się nieznacznie i wyprężyła wdzięcznie pod wpływem jego badawczego wzroku.

W tym momencie Mata nie obchodziło, jak duże usterki charakteru zdradzała. Beslan najwidoczniej niczego nie podejrzewał, bo inaczej zapewne dobyłby już swego miecza, ale ostatnią rzeczą, jakiej Mat pragnął, na miłość Światłości, był dzień spędzony w towarzystwie tego człowieka. To byłaby istna udręka. Miał jakieś poczucie przyzwoitości, nawet jeśli brakowało go matce Beslana.

Jedyny problem stanowił Beslan, który wziął sobie mocno do serca przyrzeczenie wspólnego uczestniczenia we wszystkich świętach. Im bardziej Mat basował Naleseanowi, że zaplanowany przez nich dzień będzie nudny ponad miarę, tym większej determinacji nabierał Beslan. Po jakiejś chwili jego twarz nabrała barw i Mat już zaczął podejrzewać, że zaraz miecze wyskoczą z pochew. Cóż, przyrzeczenie to przyrzeczenie. Kiedy on, Nalesean i Birgitte opuścili pałac, obok nich stąpało dumnie pół tuzina upierzonych durniów. Mat był przekonany, że do niczego takiego by nie doszło, gdyby Birgitte ubrała się w swoje zwykłe ubranie. Cała gromadka tamtych nieustannie jej się

przyglądała z szerokimi uśmiechami na twarzach.

– Po co się tak wyginałaś, kiedy on obmacywał cię wzrokiem? – mruknął, kiedy przechodzili przez Mol Hara. Skrócił wstążkę przytrzymującą maskę orła.

– Wcale się nie wyginałam, ja się ruszałam. – Jej afektacja była tak bezczelnie sztuczna, że w innej sytuacji byłby się roześmiał. – Nieznacznie. – Szeroki uśmiech nagle powrócił na jej twarz i zniżyła głos, przeznaczając swe słowa wyłącznie dla jego uszu. – Powiedziałam ci, czasami to zabawne, jak się na ciebie patrzą; tylko dlatego, że oni wszyscy są zbyt urodziwi, wcale nie znaczy, by mi się nie podobała, że patrzą. Och, zechcesz przecież popatrzeć na nią – dodała i wskazała szczupłą kobietę, która przebiegła obok nich w niebieskiej masce sowy i w jeszcze mniejszej liczbie piór na ciele niż Riselle.

To była jedna z cech Birgitte: potrafiła szturchać go pod żebra i wskazywać mu ładne dziewczyny równie chętnie jak każdy znajomy mężczyzna i spodziewać się, że on w zamian będzie jej pokazywał to, co ona chciałaby zobaczyć, czyli zazwyczaj najbrzydszego mężczyznę w zasięgu wzroku. Niezależnie od tego, czy postanowiła chodzić tego dnia na pół naga – na ćwierć, w każdym razie – była... cóż, była przyjaciółką. Wychodziło na to, że to dziwny świat. Oto jedna kobieta, którą zaczynał uważać za kompana od kieliszka, a obok niej inna, która ugania się za nim równie zapamiętale, jak on zawsze uganiał się za ładną kobietą. Nawet bardziej zapamiętale; w życiu nie uganiał się za żadną kobietą, która dała mu do zrozumienia, że sobie tego nie życzy. Bardzo dziwny świat.

Słońce pokonało dopiero nieco więcej niż połowę drogi do zenitu, ale świętujący już wypełnili ulice, place i mosty. Akrobaci, zonglerzy i muzycy w ubraniach obszytych piórami dawali przedstawienia na każdym ulicznym rogu, muzyka częstokroć zagłuszała śmiech i pokrzykiwania. Biedniejszym wystarczało kilka piór wplecionych we włosy – piór gołębi zebranych z chodnika przez uganiające się po ulicach dzieciaki i żebraków, ale maski i kostiumy stawały się coraz zdobniejsze w miarę, jak cięższe robiły się sakiewki. Zdobniejsze i często bardziej skandaliczne. Jednak mężczyźni, jak i kobiety byli często okryci piórami, które ukazywały więcej ciała niż w przypadku Riselle czy tamtej kobiety napotkanej na Mol Hara. Tego dnia na ulicach czy nad kanałami nie odbywał się żaden handel, jednak wiele sklepów zdawało się otwartychrazem rzecz jasna z wszystkimi oberżami i tawernami – ale tu czy tam jakiś wóz przedzierał się przez ciżbę, względnie barka czekała umocowana do pachołka, a na niej afiszowali się, przybrawszy najrozmaitsze pozy młodzi mężczyźni i kobiety w jaskrawych ptasich maskach, które zakrywały im całe głowy, z rozłożystymi czubami niekiedy wznoszącymi się na wysokość pełnego kroku i poruszający długimi kolorowymi skrzydłami w taki sposób, że resztę ich kostiumów było widać jedynie w krótkich przebłyskach. Co zresztą wcale nie miało znaczenia, jeśli się nad tym zastanowić.

Wedle słów Beslana, owe inscenizacje, bo tak właśnie nazywano te widowiska, były zazwyczaj prezentowane w salach gildii, prywatnych pałacach i domach. Całe święto zazwyczaj odbywało się pod dachem. W Ebou Dar nigdy nie padał prawdziwy, porządny śnieg, nawet gdy pogoda była jeszcze normalna – Beslan powiedział, że któregoś dnia chciałby go zobaczyć – ale najwyraźniej zwykła zima była dostatecznie chłodna, by ludzie nie mogli biegać po ulicach prawie nago. Tego roku przez ten upał wszystko przeniosło się na ulice. Zaczekaj, aż zapadnie noc, powiedział Beslan, wtedy dopiero Mat miał rzeczywiście coś zobaczyć. Razem z ubywaniem słońca, ubywało też hamulców moralnych.

Zapatrzony na wysoką szczupłą kobietę sunącą przez tłum w masce, upierzonym płaszczu i oprócz tego w sześciu czy siedmiu piórach dopełniających całości odzienia, Mat zastanawiał się, jakich to hamulców pozbyli się już niektórzy z tych ludzi. Mało co, a byłby do niej krzyknął, żeby się

okryła choć tym płaszczem. Owszem, była ładna, ale tak na ulicy, na oczach Światłości i wszystkich?

Wozy, na których wieziono inscenizacje, rzecz jasna przyciągały tłumy, wielkie grupy mężczyzn i kobiet, którzy pokrzykiwali i śmiali się, rzucając monety, a niekiedy złożone banknoty na ich platformy i odpychając wszystkich innych na ulicy. Przyzwyczał się do wybiegania naprzód, dopóki nie udało im się umknąć w jakąś przecznicę albo zaczekać, aż dana sceneria nie minie ich i nie pokona skrzyżowania czy mostu. W tym czasie Birgitte i Nalesean rzucali monety brudnym ulicznikom i jeszcze brudniejszym żebrakom. Cóż, Nalesean rzucał, Birgitte skupiła się na dzieciach i wciskała każdą monetę w oblepione brudem garstki, jakby to były dary.

Podczas jednego z takich postojów Beslan znieacka położył rękę na ramieniu Naleseana, podnosząc głos, żeby przekrzyczeć wrzawę tłumu i kakofonię muzyki dochodzącą z co najmniej sześciu różnych miejsc.

– Wybacz mi, Tairenianinie, ale jemu nie. – Przez tłum przedzierał się z czujnym wyrazem twarzy jakiś obdarty mężczyzna, miał wynędzniałą twarz i wychudłe ciało, wyraźnie pogubił wszystkie żalosne pióra, jakie być może znalazł sobie do przyozdobienia włosów.

– Dlaczego nie? – spytał Nalesean.

– Nie ma na palcu kółka z brązu – odparł Beslan. – Nie należy do gildii.

– Światłości – zdziwił się Mat – to już człowiek nie może nawet żebrac w tym mieście, jeśli nie należy do gildii?

Może to sprawił jego ton. Żebrak doskoczył mu do gardła, a w jego brudnej dłoni błysnął nóż.

Nie myśląc, Mat chwycił mężczyznę za rękę i wykręcił mu ją, ciskając jego ciałem w tłum; jacyś ludzie obrzucili wyzwiskami Mata, inni żebraka, który padł jak długi. Niektórzy rzucili mu monetę.

Kątem oka Mat dostrzegł drugiego, chudego oberwańca, który próbował odepchnąć z drogi Birgitte, by dosięgnąć go długim nożem. Popęłnił jednak głupi błąd, że nie docenił kobiety z racji jej kostiumu, spod piór wyciągnęła nóż i wbiła mu go pod pachę.

– Uważaj! – krzyknął Mat do Birgitte, ale nie było czasu na ostrzeżenia; w tej samej chwili, kiedy wykrzyczał te słowa, wy dobył z rękawa swój nóż i cisnął nim. Ostrze mignęło tuż przed jej twarzą i utknęło w gardle kolejnego żebraka ze stalą w dłoni, zanim ta utkwiała między jej żebrami.

Nagle wszędzie pojawili się żebracy z nożami i pałkami nabijanymi kolcami, rozległy się wrzaski i krzyki ludzi w maskach i kostiumach, którzy na oślep usiłowali uciec. Nalesean ciął mężczyznę w łachmanach przez twarz, a ten zatoczył się w tył; Beslan ugodził w brzuch kolejnego, podczas gdy jego odziani w pióra towarzysze walczyli z jeszcze innymi.

Mat nie miał czasu, by zobaczyć coś więcej, stał wsparty plecami o plecy Birgitte i walczył z własnymi napastnikami. Czuł, jak ona porusza się za nim, słyszał jej zduszone przekleństwa, ale to wszystko ledwie do niego docierało. Birgitte potrafiła sama zadbać o siebie, ale kiedy tak patrzył na dwóch mężczyzn przed sobą, nie miał pewności, czy jego również na to stać. Jakiś zwalisty osobnik o bezzębnym szyderczym grymasie miał tylko jedną rękę i obrzmiałą jamę zamiast lewego oka, ale w rękę trzymał pałkę długości dwóch stóp, okutą żelaznymi pierścieniami, z których niczym stalowe ciernie wystawały kolce. Jego towarzysz o szczurzej twarzy miał oboje oczu i kilka zębów, a mimo zapadłych policzków i rąk, które zdawały się składać z samych kości i ścięgien, poruszał się jak wąż, oblizując przy tym usta i przerzucając zardzewiałe sztylet z ręki do ręki. Nadal dzieliła ich zbyt duża odległość, by któryś z nich mógł dosięgnąć jego ciała, tak więc tańczyli i przesuwali się, każdy czekał, aż drugi skoczy pierwszy.

– Staremu Cully to się nie spodoba, Spar – warknął roślejszy z mężczyzn, a ten o szczurzej twarzy skoczył do przodu, błyskając zardzewiałym nożem przerzucanym z ręki do ręki.

Nie przewidział ostrza, które nagle pojawiło się w lewej dłoni Mata i cięło go przez

nadgarstek. Sztylet zaszczał na bruku, ale typ i tak rzucił się na Mata. Kiedy drugie ostrze ugodziło go w pierś, pisnął, oczy mu zogniały, a potem konwulsyjnie obłąpił Mata ramionami. Szyderczy grymas łysiego pogłębił się, gdy z uniesioną pałką wkroczył do akcji. Jednak szybko zniknął, gdy dwaj żebracy rzucili się na niego, warcząc i dżgając.

Wpatrując się w to wszystko z niedowierzaniem, Mat odkopnął trupa mężczyzny o szczurzej twarzy. W promieniu pięćdziesięciu kroków na ulicy nie było nikogo oprócz walczących i wszędzie na chodnikach tarzali się żebracy, dwóch, trzech albo czasami czterech zakłuwających jednego, tłukących pałkami, kamieniami.

Beslan złapał Mata za ramię. Na twarzy miał krew, ale uśmiechał się.

– Uciekajmy stąd i niech sobie Bractwo Żebraków samo załatwia swoje interesy. Bójki z żebrakami nie przynoszą honoru, a poza tym gildia nie pozostawi żadnego z tych zabijaków przy życiu. Chodź za mną. – Nalesean patrzył chmurnie, bez wątpienia też nie dopatrywał się honoru w bójce z żebrakami, za to przyjaciele Beslana uśmiechali się, w tym kilku w poszarpanych kostiumach, a jeden ściągnął maskę, by kompan mógł mu opatrzeć cięcie na czole. Ranny też się uśmiechał szeroko. Birgitte nie odniosła żadnych, przynajmniej widocznych obrażeń, a jej kostium wyglądał równie schludnie jak w pałacu. Nóż zniknął; żadną miarą nie była w stanie ukryć go pod tymi piórami... a jednak jakoś jej się udało.

Mat nie zaprotestował, gdy go odciągali, tylko warknął:

– Czy żebracy zawsze tak atakują ludzi w tym... w tym mieście? – Beslanowi mogłoby się nie spodobać, gdyby je nazwał przeklętym miastem.

Mężczyzna roześmiał się.

– Jesteś *ta'veren*, Mat. Przy *ta'veren* zawsze dzieje się coś podniecającego.

Mat odwzajemnił się uśmiechem przez zaciśnięte zęby. Cholerny dureń, cholerne miasto i cholerny *ta'veren*. Gdyby jakiś żebrak poderżnął mu gardło, to nie musiałby wracać do pałacu, gdzie Tylin będzie go obierać niczym dojrzałą gruszkę. Nazwała go zresztą swoją małą gruszczką. Cholerny świat!

Na ulicy między warsztatem farbiarza a "Różą Elbaru" też napotkali biesiadników, z tym że niewielu równie skąpo odzianych. Najwyraźniej trzeba było mieć pieniądze, by móc chodzić prawie nago. Aczkolwiek bliscy ideału byli akrobaci przed narożnym domem kupca, mężczyźni boso i z obnażonymi torsami, w jaskrawych spodniach, kobiety w jeszcze ciaśniejszych spodniach i w cienkich bluzkach. Wszyscy mieli pióra we włosach, podobnie jak wędrowni muzykanci, którzy grali przed małym pałacykiem na przeciwległym rogu: jedna kobieta na fletcie, druga dmuchała w wielką skręconą tubę wyposażoną w małe dzwignie, a mężczyzna co sił uderzał w tamburyn. Dom, który przyszli obserwować, wyglądał na zamknięty na cztery spusty.

Herbata w "Róży" była paskudna jak zawsze, mimo to i tak była znacznie lepsza od wina. Nalesean pozostał przy kwaśnym miejscowym ale. Birgitte podziękowała, nie mówiąc za co, a Mat w milczeniu wzruszył ramionami; siedzieli tak, uśmiechali się do siebie i bębniłi palcami o kubki. Słońce weszło na dobre i Beslan usiadł, balansując na zmianę jednym butem na czubku drugiego, ale jego towarzysze zaczęli się robić nerwowi, niezależnie od tego, jak często zapewniał ich, że Mat jest *ta'veren*. Potyczka z żebrakami raczej nie dostarczyła im odpowiedniej rozrywki, ulica była zbyt wąska, by mogło nią przejechać wiele wozów, kobiety nie były tak ładne jak gdzie indziej i nawet spoglądanie na Birgitte zdawało się ich jątrzyć, gdy do nich dotarło, że nie zamierza z żadnym się całować. Protestując z żalem, że Beslan nie chce z nimi iść, odeszli pospiesznie szukać gdzieś czegoś bardziej ekscytującego. Nalesean wyprawiał się na przechadzkę po uliczce biegnącej przed warsztatem farbiarza, a Birgitte zniknęła w ciemnym wnętrzu "Róży", żeby się dowiedzieć, jak



twierdziła, czy w jakimś zapomnianym zakamarku nie kryje się coś, co nadawałoby się do picia.

– W życiu bym nie podejrzewał, że zobaczę tak odzianego Strażnika – oświadczył Beslan, zmieniając buty.

Mat zamrugał. Ten człowiek miał bystry wzrok. Birgitte na moment nie zdjęła maski. Cóż, dopóki nie wiedział o...

– Myślę, że będziesz dobry dla mojej matki, Mat.

Zakrztusiwszy się, Mat plunął herbatą w przechodniów. Kilku spiorunowało go gniewnym wzrokiem, a jedna szczupła kobieta z całkiem ładnym łonem uśmiechnęła się do niego nieco trwożliwie spod niebieskiej maski, która zapewne miała naśladować kruka. Tupnęła nogą i odeszła dumnym krokiem, kiedy nie odwzajemnił uśmiechu. Na szczęście, nikt nie zezłościł się aż tak, by doszło do czegoś więcej prócz oburzonych spojrzeń, a po chwili nikogo już nie było. A może nie na szczęście. Nie miałby nic przeciwko, gdyby w tym momencie rzuciło się na nich sześciu albo ośmiu.

– Co masz na myśli? – spytał ochryple.

Beslan odwrócił głowę ze zdziwieniem w szeroko otwartych oczach.

– No jakże, a to, że cię wybrała na swego lubego. Czemu się tak czerwienisz? Jesteś zły? Dlaczego...? – Nagle uderzył się w czoło i roześmiał. – Ty się boisz, że będę zły! Wybacz, zapominam, że jesteś cudzoziemcem. Mat, ona jest moją matką, nie żoną. Ojciec zmarł dziesięć lat temu i ona zawsze twierdziła, że jest zbyt zajęta, aby się mną opiekować. Cieszę się po prostu, że wybrała kogoś, kogo lubię. Dokąd idziesz?

Nawet do niego nie dotarło, że wstał, dopóki Beslan mu tego nie powiedział.

– Ja tylko... muszę przewietrzyć głowę.

– Przecież pijesz herbatę, Mat.

Przemykając obok zielonej lektyki, zauważył kątem oka, że drzwi domu stoją otworem i wyslizguje się z nich kobieta w płaszczu z niebieskich piór narzuconym na suknię. Nie myśląc – w głowie za bardzo mu wirowało, by mógł myśleć poprawnie – dogonił ją. Beslan wiedział! Godził się! Jego własna matka, a on...

– Mat? – krzyknął za nim Nalesean. – Dokąd idziesz?

– Jeżeli nie wrócę do jutra – zdawkowo odkrzyknął Mat przez ramię – powiedz im, że będą musiały znaleźć to na własną rękę! – Szedł w oszołomieniu za kobietą, nie słysząc, czy Nalesean albo Beslan znowu krzyczą. Ten człowiek wiedział! Przypomniawszy sobie, jak raz przyszło mu do głowy, że Beslan i jego matka są szaleni. Było z nimi jeszcze gorzej! Całe Ebou Dar było szalone! Ledwie zdawał sobie sprawę, że pod czaszką nadal toczą się kości.

Z okna pokoju narad Reanne obserwowała Solain, która zniknęła w głębi ulicy wiodącej ku rzece. Jakiś mężczyzna w brązowym kaftanie szedł jej śladem, ale gdyby spróbował ją dogonić, prędko by się przekonał, że Solain nie miała dla mężczyzn ani czasu, ani cierpliwości.

Reanne nie była pewna, dlaczego potrzeba stała się tego dnia taka silna. Przez wiele dni pojawiała się niemalże z brzaskiem i blakła razem ze słońcem, a ona przez wiele dni walczyła – zgodnie z surowymi zasadami, których raczej nie odważyły się nazwać prawem, rozkaz wydano przy księżycu w drugiej kwarcie, przed sześcioma nocami – ale dzisiaj... Wymówiła ten rozkaz, zanim pomyślała i nie potrafiła się zmusić do jego cofnięcia, aż nie nadejdzie stosowny czas. Będzie dobrze. Nikt, w całym mieście, nie natrafił na żaden ślad tych dwóch młodych idiotek zwących się Elayne i Nynaeve, nie istniała konieczność podejmowania niepotrzebnego ryzyka.

Westchnąwszy, zwróciła się w stronę pozostałych, które czekały, aż zajmie swoje krzesło i

dopiero wtedy same usiadły. Będzie dobrze tak, jak zawsze było. Sekrety zostaną dochowane, tak jak zawsze. A jednak... Nie dysponowała żadnym Przepowiadaniem ani niczym tego rodzaju, a jednak być może potrzeba coś jej mówiła. Dwanaście kobiet obserwowało ją wyczekująco.

– Sądzę, że powinnyśmy się zastanowić, czy na jakiś czas nie przenieść wszystkich, które nie noszą pasów, na farmę.

Wywiązała się krótka dyskusja, one były Starszymi, ale ona była Najstarsza. W tym przypadku, nie szkodziło bynajmniej, że zachowywały się jak Aes Sedai.

# ROZDZIAŁ 11

## PIERWSZA FILIŻANKA

– Nic nie rozumiem – zaprotestowała Elayne. Nie zaoferowano jej krzesła, w rzeczy samej kiedy zaczęła siadać, powiedziano jej szorstko, że ma stać. Skupiło się na niej pięć par oczu należących do pięciu kobiet o zaciętych ponurych twarzach. – Zachowujecie się tak, jakbyśmy zrobiły coś strasznego, podczas gdy my znalazłyśmy Czarę Wiatrów! -W każdym razie znalazły się o krok od jej znalezienia, taką miała nadzieję, wiadomość, jaką biegiem przyniósł Nalesean, bynajmniej nie była w tej kwestii jasna. Mat poszedł sobie gdzieś, na odchodnym pokrzykując, że ją znalazł. Albo Czarę albo coś bardzo do niej podobnego, przyznał Nalesean; im dłużej mówił, tym bardziej wahał się między absolutną pewnością a całkowitym zwątpieniem. Birgitte nadal obserwowała dom Reanne, wyglądała na spoconą i znudzoną. W każdym razie sprawy ruszyły. Elayne zastanawiała się, jak idzie Nynaeve. Lepiej niż jej, miała nadzieję. I z pewnością nie spodziewała się czegoś takiego, po tym, jak podzieliła się wiadomością o ich sukcesie.

– Zagroziłaś ujawnieniem tajemnicy strzeżonej od ponad dwóch tysięcy lat przez każdą kobietę noszącą szal. -Merilille siedziała sztywno wyprostowana, zrezygnowała z okazywania choćby pozorów spokoju, zaciśnięte wargi zdradzały, że znajduje się chyba na skraju apopleksji. -Chyba musiałyście być niespełna rozumu! Jedyne szaleństwo może tu stanowić jakaś wymówkę!

– A cóż to za tajemnica? – spytała podniesionym głosem Elayne.

Vandene, która stała u jednego boku Merilille, podczas gdy jej siostra zajęła miejsce u drugiego, poprawiła spódnicę z jasnozielonego jedwabiu i rzekła:

– Będzie na to dość czasu, kiedy zostaniesz poprawnie wyniesiona. Myślałam, że macie odrobinę rozsądku. – Adelas, w ciemnoszarej wełnie z brunatnym rąbkiem, przytaknęła, zwiérciadlanym odbiciem dezaprobaty Vandene.

– Tego dziecka nie należy winić za to, że ujawniła sekret, o którego istnieniu nie miała pojęcia – stwierdziła Careane Fransi, siedząca po lewej stronie Elayne, poprawiając swoje masywne ciało w zielono-złotym fotelu. Nie była krępa, ale dobrze, zbudowana, ramiona zaś miała niemal tak barczyste jak większość mężczyzn.

– Prawo Wieży nie dopuszcza takich usprawiedliwień – wtrąciła szybko Sareitha, tonem pełnym przekonania o własnej wartości, przy czym jej zazwyczaj dociekliwe spojrzenie nabrało powagi. – Gdyby pozwolić choćby na uzasadnione wymówki, to wówczas, nieuchronnie, coraz to mniej poważne wymówki byłyby tolerowane, aż wreszcie przestałoby istnieć samo prawo. – Jej krzesło z wysokim oparciem stało po prawej stronie. Tylko ona przywdziała szal, ale bawialnia Merilille została urządzona jak sala sądowa, aczkolwiek nikt jej tak nie nazwał. Jak dotąd, w każdym razie. Merilille, Adelas i Vandene potraktowały Elayne niczym sędziowie, krzesło Sareithy stało tam, gdzie stałby Tron Reprimendy, krzesło Careane zaś zajmowało miejsce Tronu Odpustu, jednak Zielona rodem z Arad Doman, która byłaby jej obrończynią, przytaknęła w zamyśleniu, podczas gdy Brązowa z Łzy, która byłaby jej oskarżycielką, kontynuowała: – Sama przyznała się do winy. Zalecam zatrzymanie tego dziecka w odosobnieniu pałacu aż do naszego wyjazdu i wyznaczenie jej jakiejś ciężkiej pracy, która zajęłaby jej umysł i ręce. Zalecam również częste chłostanie jej pantoflem, w regularnych odstępach czasu, która to kara miałaby jej przypominać, że nie wolno działać samopas za plecami sióstr. I to samo zalecam dla Nynaeve, gdy tylko zostanie odnaleziona.

Elayne przełknęła ślinę. W odosobnieniu? Wyglądało na to, że nie musiały procesu nazywać

właściwym mianem, a mimo to uznawać w pełnej rozciągłości jego prawomocność. Sareitha jeszcze nie “dorobiła się” twarzy pozbawionej piętna czasu, ale ciężar lat przeżytych przez pozostałe kobiety uciskał Elayne. Adelas i Vandene z tymi ich niemalże siwymi włosami, mimo bezwiekowych twarzy, z pewnością pamiętały echa minionych lat. Merilille miała kruczoczarne włosy, ale Elayne nie zdziwiłaby się, gdyby się dowiedziała, że ta nosiła szal tak długo albo jeszcze dłużej niż żyje większość kobiet, które nie są Aes Sedai. A skoro już o tym mowa, Careane też mogła żyć równie długo. Żadna nie dorównywała jej siłą zaczerpywanej Mocy, ale... Całe to doświadczenie Aes Sedai, cała ta wiedza. Cała ta... władza. Dobitne przypomnienie, że ona ma tylko osiemnaście lat i że jeszcze rok temu była nowicjuską.

Careane nie wykonała żadnego posunięcia, żeby odeprzeć sugestie Sareithy. Być może zrobi najlepiej, jeśli odtąd będzie broniła się sama.

– Najwyraźniej ta tajemnica, o której mówicie, ma coś wspólnego z Kręgiem, ale...

– Rodzina to nie twoja sprawa, dziecko – wtrąciła ostro Merilille. Zrobiwszy głęboki wdech, wygładziła srebrnoszare spódnice ze złotymi cięciami. – Proponuję wydać wyrok -oznajmiła zimnym tonem.

– Zgadzam się i przychyłam do twojej decyzji – powiedziała Adelas. Obdarzyła Elayne grymasem wyrażającym rozczarowanie i potrząsnęła głową.

Vandene lekceważąco machnęła ręką.

– Zgadzam się i przychyłam. Ale jednocześnie podzielim z Tronu Reprimendy. – Spojrzenie Careane mogło zawierać odrobinę sympatii. Może odrobinę.

Merilille otworzyła usta.

Nieśmiałe pukanie do drzwi zabrzmiało dość głośno w chwilowej ciszy.

– Co jest, na Światłość? – mruknęła gniewnie Merilille. – Powiedziałam Pol, żeby nie pozwoliła nikomu nam przeszkadzać. Careane?

Nie najmłodsza, ale najśłabsza Mocą Careane wstała i lekkimi, płynnymi krokami podeszła do drzwi. Mimo swej tuszy, poruszała się zawsze jak łabędź.

To była sama Pol, pokojówka Merilille, która zaczęła dygać na lewo i prawo. Szczupła siwowłosa kobieta zazwyczaj nosiła się z godnością, którą mogła iść w konkury ze swoją panią, tym razem jednak krzywiła się z niepokojem, być może spowodowanym takim wtargnięciem wbrew zaleceniom Merilille. Elayne z kolei nie była tak zadowolona z czyjegoś widoku od... od czasu, gdy w Kamieniu Łzy pojawił się Mat Cauthon. Potworna myśl. Jeśli Aviendha w miarę szybko nie dojdzie do wniosku, że wreszcie sprostowała swemu *toh*, wszystko może się skończyć w ten sposób, że jednak poprosi tego mężczyznę, aby ją zbił, tylko po to, by wreszcie położyć kres tej udreće.

– Przyniosła to sama królowa – oznajmiła zadyszczonym głosem Pol, podając list zapieczetowany dużą grudą czerwonego wosku. – Powiedziała, że jeśli nie dam go natychmiast Elayne, to wręczy jej go sama. Powiedziała, że to dotyczy matki tego dziecka. – Elayne omal nie zazgrzytała zębami. Wszystkie służące sióstr nabrały zwyczaju mówić o niej i o Nynaeve tak samo jak ich panie; nie hamowały się, jak widać, nawet w obecności samych zainteresowanych.

Rozwścieczona wyrwała z jej rąk list, nie czekając, aż Merilille powie, że jej wolno – o ile w ogóle powiedziałyby coś takiego – i przełamała kciukiem pieczęć.

“Moja lady Elayne!

Witam Dziedziczkę Tronu Andor radosnymi wieściami. Dopiero co dowiedziałem się, że Twoja matka, królowa Morgase, żyje i jest obecnie gościem Pedrona Nialla w Amadorze i życzy sobie nade wszystko połączyć się z Tobą, abyście mogły razem triumfalnie powrócić do Andoru. Oferuję eskortę dla ochrony przed bandytami obecnie nękającymi Altarę, dzięki czemu będziesz mogła dotrzeć do matki bezpiecznie i szybko. Wybacz te kilka nędznych słów nagryzmołonych w pośpiechu, ale wiem, że chciałabyś poznać te cudowne

wieści najszybciej, jak to możliwe. Wyglądam niecierpliwie chwili, gdy będę mógł pozostawić cię u boku Twej matki.

Zapieczone w imię Światłości  
Jaichim Carridin”

Zmieniła papier w garści. Jak on śmie? Ból na wieść o śmierci jej matki, o nieobecności ciała, które można by pochować, dopiero zaczynał słabnąć, a tu Carridin ośmielał się drwić z niej w ten sposób? Objąwszy Prawdziwe Źródło, gwałtownie zareagowała na te obrzydliwe kłamstwa i przeniosła; w powietrzu błysnął ogień, tak gorący, że tylko popiół spadł na niebiesko-złote płytki podłogi. Tyle z Jaichimem Carridinem. A co do tych... kobiet! Duma tysiąca lat andorańskich królowych wypełniła jej kręgosłup stalą.

Merilille poderwała się na równe nogi.

– Nie dano ci zezwolenia na przenoszenie! Uwolnisz...! – Zostaw nas, Pol – powiedziała Elayne. – Natychmiast. – Służąca wytrzeszczyła oczy, ale matka Elayne nauczyła swą córkę tak znakomicie rozkazywać, że zdawała się mówić głosem, jakim królowa przemawia ze swojego tronu. Pol dygnęła i już szła, zanim w ogóle do niej dotarło, co robi. W drodze zawahała się tylko na chwilę, zanim wybiegła na zewnątrz i zamknęła za sobą drzwi. Cokolwiek miało się wydarzyć, było przeznaczone wyłącznie dla samych Aes Sedai.

– Co w ciebie wstąpiło, dziecko? – Czysta furia znowu zmała powierzchnię spokoju, jaki niedawno na powrót odzyskała Merilille. – Natychmiast uwolnij Źródło albo przysięgam, sama w tej chwili wezmę pantofel!

– Jestem Aes Sedai. – Te słowa rozbrzmiały łoskotem upadającego zimnego kamienia i Elayne chciała, żeby tak zabrzmiały. Kłamstwa Carridina i jeszcze te kobiety. Merilille groziła, że obije ją pantoflem? One wyznaczają jej miejsce, które jej się słusznie należy jako siostrze? Wraz z Nynaeve znalazły Czarę! A w każdym razie trwały już przygotowania do jej użycia. – Chcecie mnie ukarać za to, że zagroziłam tajemnicy rzekomo znanej tylko siostronom, ale żadna nie raczyła mi zdradzić tej tajemnicy, kiedy uzyskałam szal. Chcecie mnie ukarać jak nowicjuszkę albo Przyjętą, ale ja jestem Aes Sedai. Zostałam wyniesiona do szala przez Egwene al’Vere, Amyrlin, której rzekomo służycie. Skoro zaprzeczacie, że Nynaeve i ja jesteśmy Aes Sedai, to w takim razie zaprzeczacie Zasiadającej na Tronie Amyrlin, która wysłała nas na poszukiwanie Czary Wiatrów, którą właśnie znalazłyśmy. Nie godzę się na to! Wyłumacz się, Merilille Ceandavin. Poddaj się woli Zasiadającej na Tronie Amyrlin albo zażądaj twojego procesu jako rebelianckiej zdrajczyni!

Merilille wytrzeszczyła oczy i rozdziawiła usta, ale zdawała się opanowana w porównaniu z Careane albo Sareithą, które miały takie miny, jakby zaraz miały się udławić niedowierzaniem. Vandene, z palcem przyciśniętym do warg pod nieznacznie wytrzeszczonymi oczyma, wyglądała na jedynie lekko wstrząśniętą, natomiast Adelas podała się do przodu i przyglądała się Elayne takim wzrokiem, jakby zobaczyła ją po raz pierwszy w życiu.

Elayne przeniosła, podając sobie przez powietrze jeden z wysokich foteli, po czym usiadła, starannie układając spódnice.

– Ty też możesz sobie usiąść, Merilille. – Nadal używała rozkazującego tonu – najwyraźniej był to jedyny sposób, żeby je zmusić do słuchania, ale mimo wszystko poczuła się zaskoczona, kiedy Merilille rzeczywiście opadła powoli na krzesło, wpatrując się w nią wybałuszonymi oczyma.

Pod fasadą spokoju i chłodu, wrzał gniew. Nie, nie gniew, Elayne gotowała się ze złości. Te tajemnice. Zawsze uważała, że Aes Sedai mają zbyt wiele tajemnic, nawet między sobą. Zwłaszcza między sobą. Prawda, ona sama kilka zatrzymała dla siebie, ale tylko z konieczności i nie były to sekrety przed którąś, która powinna je poznać. I te kobiety chciały ją ukarać!

– Twoja władza została ci nadana przez Komnatę Wieży, Merilille; władza moja i Nynaeve została nadana przez Zasiadającą na Tronie Amyrlin. Nasza stoi ponad twoją. Od tej pory ty będziesz przyjmowała pouczenia od Nynaeve albo ode mnie. My, ma się rozumieć, będziemy słuchały wszelkich rad, jakie mogłabyś zaoferować. – Już przedtem miała wrażenie, że Merilille czy wychodzą z orbit, a teraz...

– Niemożliwe – wykrztusiła Szara. – Jesteście...

– Merilille! – przerwała jej ostro Elayne, pochylając się do przodu. – Nadal zaprzeczasz władzy Amyrlin? Nadal się ośmielasz? – Merilille bezgłośnie poruszała ustami. Zwilżyła wargi. Nerwowo pokręciła głową. Elayne poczuła dreszcz podniecenia, całe to gadanie o przyjmowaniu poleceń przez Merilille to oczywiście bzdury, ale jej pozycja musi zostać uznana. Zarówno Thom, jak i jej matka twierdzili, że trzeba od samego początku zażądać dziesięciu rzeczy, żeby dostać jedną. A jednak to nie wystarczało, żeby złagodzić jej gniew. Częścią świadomości miała ochotę sama pochwycić pantofel i sprawdzić, jak daleko można się posunąć. Tyle że w ten sposób wszystko by zniszczyła. Wówczas zaraz sobie przypomną, ile ona ma lat i jak niedawno zdjęła suknię nowicjuszek; mogłyby nawet zacząć ją znowu uważać za głupie dziecko. Ta myśl na nowo roznieciła jej gniew. W zamian zadowolili się: – W trakcie, gdy będziecie się już spokojnie zastanawiały nad tym, co jeszcze powinno mi się powiedzieć jako Aes Sedai, Merilille, Adelas i Vandene poinstruują mnie w kwestii tej tajemnicy, której ujawnieniu rzekomo zagroziłam. Czy chcecie mi powiedzieć, że Komnata przez cały czas wiedziała o Kręgu, o tej Rodzinie, jak ją nazwałyście? – Biada Reanne z tymi jej nadziejami, że uda jej się nie ściągnąć na siebie uwagi Aes Sedai.

– Tyle o nich wiemy, ile one same chciały zdradzić siostram, jak przypuszczam – odparła Vandene. Przyglądała się Elayne z równym przejęciem, z jakim patrzyła na nią jej siostra. Mimo iż była Zieloną, cechowały ją takie same maniery jak Adelas. Careane i Sareitha wyglądały na oszołomione, ich pełne niedowierzania spojrzenia wędrowały od milczącej, spąsowiałej Merilille ku Elayne i z powrotem.

– Nawet podczas Wojen z Trollokami działo się tak, że kobiety albo zawodziły podczas Inicjacji, albo brakowało im siły, względnie odsyłano je z Wieży z jakiegokolwiek powodu. – Adelas przyjęła mentorski, ale niezbyt zaczepny ton. Brązowe często przemawiały w taki sposób, gdy coś wyjaśniały. – Biorąc pod uwagę okoliczności, raczej nie dziwi, że wiele bało się pójść w świat samotnie, ani też dlaczego uciekały do Barashty, bo tak wówczas nazywało się istniejące tutaj miasto. Przy czym, główna część Barashty znajdowała się na terenie dzisiejszego Rahad. Po Barashcie nie został nawet kamień. Wojny z Trollokami bardzo długo, prawie do samego końca, nie docierały do Eharonu, ale ostatecznie Barashta padła z kretelem tak samo jak Barsine, Shaemal czy...

– Rodzina – wtrąciła łagodnie Vandene, Adelas zamrugnęła, po czym przytaknęła. – ... Rodzina trwała mimo upadku Barashty, tak samo jak przedtem, przyjmując w swój poczet dzikuski oraz kobiety eksmitowane z Wieży. – Elayne skrzywiła się; pani Anan także twierdziła, że Rodzina przyjmował dzikuski, ale Reanne najwyraźniej zależało głównie na tym, by ona i Nynaeve dowiodły, iż nie są dzikuskami.

– Żadna jednak nie zostawała w niej długo – dodała Adelas. – Pięć lat, może dziesięć, czyli, jak przypuszczam, tyle samo, co obecnie. Jak już do nich dotrze, że ich grupka nie jest żadną namiastką Białej Wieży, odchodzą i zostają wioskowymi Uzdrowicielkami albo Wiedzącymi, czy kimś podobnym, a czasami zwyczajnie zapominają o Mocy, przestają przenosić i biorą się za jakieś rzemiosło czy handel. W każdym razie znikają, że tak powiem. – Elayne zastanawiała się, jak można zapomnieć Jedyną Moc; od kiedy ją poznasz, chęć przenoszenia, pokusa sięgania do Źródła, będzie z tobą zawsze. Aes Sedai istotnie zdawały się wierzyć, że niektóre kobiety potrafią odrzucić Moc, gdy

już się dowiedzą, że nie mogą być Aes Sedai.

Vandene kontynuowała wyjaśnienia, siostry często mówiły, wchodząc sobie niemalże w słowo, każda ciągnęła gładko od tego miejsca, gdzie jej poprzedniczka skończyła.

– Wieża wiedziała o Rodzinie niemal od samego początku, a być może dokładnie od samego początku. W czasach jej powstania bez wątpienia Wojny stanowiły kwestię priorytetową. I mimo iż nazwały się Rodziną, postępowały tak, jak tego wymagamy od takich kobiet. Do dziś żyją w ukryciu, w tajemnicy trzymając również fakt, że potrafią przenosić, z żadnych powodów nie ściągają na siebie uwagi. Przez wiele lat rozsyłały wici... potajemnie, rzecz jasna; ostrożnie... o kobietach, które kłamały, twierdząc, że należy jej się szal. Mówiłaś coś?

Elayne pokręciła głową.

– Careane, czy w dzbanku została jakaś herbata? -Careane wzdrygnęła się. – Myślę, że Adelas i Vandene chciałyby zwilżyć gardła. – Kobieta Domani prawie nie potrafiła spojrzeć na nadal gapiącą się Merilille, zanim podeszła do stołu, na którym stały srebrny dzbanek i filiżanki. – To niczego nie wyjaśnia – ciągnęła Elayne. – Dlaczego wiedza o nich to taka tajemnica? Dlaczego już dawno nie rozpedzono ich na cztery wiatry?

– No cóż, z powodu uciekinierek naturalnie. – Adelas powiedziała to tak, jakby stanowiło to rzecz najbardziej naturalną pod słońcem. – To fakt, że inne zgromadzenia były rozbijane natychmiast po tym, jak zostały wykryte... ostatnie jakieś dwieście lat temu... ale Rodzina jest mała i zachowuje się cicho. Ostatnia taka grupa przybrała nazwę Cór Milczenia, niemniej milczenie właśnie im było obce. Było ich razem jedynie dwadzieścia trzy, dzikuski zbierane i jakoś tam szkolone przez dwie były Przyjęte, ale te...

– Uciekinierki – podpowiedziała Elayne, biorąc filiżankę z rąk Careane i dziękując jej uśmiechem. Nie poprosiła o filiżankę dla siebie, ale z roztargnieniem uświadomiła sobie, że kobieta obsłużyła ją pierwszą. Vandene i jej siostra opowiedziały całkiem sporo na temat uciekinierek po drodze do Ebou Dar.

Adelas zamrugnęła i powróciła do tematu.

– Rodzina pomaga uciekinierkom. Zawsze mają dwie albo trzy kobiety w Tar Valon, które pilnują spraw. Z jednej strony nawiązują kontakt z prawie każdą wydaloną kobietą, w bardzo ostrożny sposób rozumie się, a z drugiej udaje im się znaleźć każdą uciekinierkę, czy to nowicjuszkę, czy to Przyjętą. W każdym razie żadnej nie udało wydostać się z wyspy bez ich pomocy od czasu Wojen z Trollokami.

– O tak – potwierdziła Vandene, kiedy Adelas urwała, by odebrać filiżankę z rąk Careane. Została najpierw zaferowana Merilille, ale Merilille siedziała zgarbiona i ogłupiałym wzrokiem wpatrywała się w pustkę. -Jeśli któreś rzeczywiście udaje się uciec, to cóż, wiemy dokładnie, gdzie jej szukać, i taka prawie zawsze trafia z powrotem do Wieży, żalując, że kiedykolwiek zaswędziały ją stopy. Pod warunkiem, że Rodzina nie wie, a my wiemy. Gdyby wszystko się wydało, powróciłyby czasy sprzed założenia Rodziny, kiedy kobieta uciekająca z Wieży mogła się udać w dowolnym kierunku. Było nas wtedy więcej... Aes Sedai, Przyjętych, nowicjuszek i uciekinierek... w niektóre lata dwóm spośród trzech udawało się zniknąć bez śladu, w inne nawet trzem na cztery. Dzięki Rodzinie odzyskujemy co najmniej dziewięć z dziesięciu. Rozumiesz teraz, dlaczego Wieża strzegła Rodziny i jej sekretu niczym drogocennych klejnotów.

Elayne rozumiała. Kobieta nie kończyła z Białą Wieżą, dopóki Biała Wieża nie skończyła z nią. Poza tym, nie wolno było niszczyć reputacji Wieży, w myśl której ta nieuchronnie miała łapać swoje uciekinierki. Prawie zawsze. Cóż, teraz wiedziała.

Wstała i ku jej zdumieniu Adelas też wstała, a Vandene i Sareitha gestami dłoni podziękowały

za herbatę podaną im przez Careane. Nawet Merilille, po jakiejś chwili. Wszystkie patrzyły na nią wyczekująco, łącznie z Merilille.

Vandene zauważyła jej zdumienie i uśmiechnęła się.

– Jeszcze jedna rzecz, o której być może nie wiesz. Pod wieloma względami jesteśmy podejrzliwe, my – Aes Sedai, każda zazdrosna o jej miejsce i prerogatywy, ale gdy jakaś zostanie postawiona ponad nami albo stanie ponad nami, to zazwyczaj posłusznie za nią podążamy. Nawet jeśli prywatnie utyskujemy na jej decyzje.

– No jakże, tak właśnie postępujemy! – Mruknęła Adelas radośnie, jakby właśnie coś interesującego odkryła.

Merilille zrobiła głęboki wdech, zbierając się w sobie w trakcie wygładzania spódnicy.

– Vandene ma rację – oświadczyła. – Ty sama wyniosłaś się ponad nas i muszę przyznać, że w sposób oczywisty zostałaś też nad nami postawiona. Jeżeli nasze zachowanie domaga się pokuty... Cóż, powiesz nam, jeśli tak jest. Dokąd mamy za tobą pójść? O ile wolno mi spytać? – W jej głosie nie było śladu sarkazmu, natomiast coś, czego Elayne nigdy przedtem w nim nie słyszała: uprzejmość.

Uważała, że kaida Aes Sedai jaka kiedykolwiek żyła, byłaby dumna, tak kontrolując swoje rysy, jak ona w tym momencie. Pragnęła jedynie tego, by przyznały, że ona jest Aes Sedai. Zwalczyła przelotne pragnienie, by zaprotestować, że jest za młoda, zbyt niedoświadczona. “Nie wolno wkładać miodu z powrotem do plastra”, mawiała Lini, kiedy Elayne była mała. Egwene nie była wcale starsza.

Wciągnęła głęboki oddech i uśmiechnęła się ciepło.

– Najpierw należy przypomnieć, że wszystkie jesteśmy siostrami, w każdym znaczeniu tego słowa. Musimy współpracować, Czara Wiatrów jest zbyt ważna, byśmy mogły pozwolić sobie na inne postępowanie. – Miała nadzieję, że wszystkie równie entuzjastycznie pokiwiają głowami, kiedy im powie, co zamierza Egwene. – Może powinniśmy znowu usiąść. – Zaczekały na nią i potem znowu usadowiły się w krzesłach. Miała nadzieję, że Nynaeve idzie równie dobrze bodaj w dziesiątej części. Kiedy się o tym dowie, zemdleje z oszołomienia. – Mam wam do powiedzenia coś od siebie na temat Rodziny.

Nie powiedziała wiele, a już Merilille wyglądała na bliską omdlenia i nawet Adelas i Vandene wyglądały na wyraźnie oszołomione. Ale natychmiast zaczęły mówić: “Tak, Elayne” i “Skoro tak rzeczesz, Elayne”. Być może od tej pory wszystko już miało potoczyć się gładko.

Rozkołysana lektyka przedzierała się właśnie przez tłumy świętujących zgromadzonych na nabrzeżu, kiedy Moghedien wypatrzyła tę kobietę. Odziany w zieleń i biel stangret pomagał jej wysiąść z powozu, który zatrzymał się na jednej z przystani. Twarz miała znacznie szczelniej skrytą pod pierzastą maską niż Moghedien, ale rozpoznałaby ten pełen determinacji krok, rozpoznałaby ją w dowolnych okolicznościach, w każdym świetle. Rzeźbione ekrany, które służyły jako okna w zamkniętej lektyce z pewnością niczego nie ukrywały. Dwaj mężczyźni z mieczami przy biodrach zgramolili się z dachu powozu, by pójść śladem kobiety w masce.

Moghedien załomotała pięścią w bok lektyki, krzycząc:

– Zatrzymać się! – Tragarze zatrzymali się tak szybko, że omal nie poleciała do przodu.

Otoczał ich tłum, jedni zaczęli głośno wyklinać jej tragarzy za to, że zablokowali drogę, inni burczeli tylko pod nosem niezadowoleni z kolejnej przeszkody na ich drodze. Tu, nad rzeką, tłum nie był aż tak gęsty, więc mogła coś przezeń dojrzeć. Łódź, która odbiła od pomostu, zdawała się dość charakterystyczna – dach niskiej kabiny na rufie był pomalowany na czerwono. Nie widziała śladu



zachwytu na twarzach oczekujących na długim kamiennym molo.

Zwilżyła wargi, dygocząc. Instrukcje Moridina były precyzyjne, cena za nieposłuszeństwo została określona wyraźnie i jasno. A jednak lekka zwłoka nie zawadzi. To znaczy, nie zawadzi, jeśli on nigdy się nie dowie.

Otworzywszy drzwiczki, wysiadła z lektyki i pospiesznie rozejrzała się po ulicy. O tam, ta oberża, z oknami na doki. I na rzekę. Zadarłszy spódnicę, pospieszyła przed siebie, ani trochę się nie obawiając, że ktoś mógłby wynająć jej lektykę, dopóki nie rozwiąże pętających ich splotów Przymusu, tragarze powiedzą każdemu, kto ich spyta, że są wynajęci i będą tam stali, nawet jeśli mieliby pomrzeć z głodu. Otworzyła się przed nią ścieżka, mężczyźni i kobiety w pierzastych maskach uskakiwali na bok, zanim do nich dotarła, a uskakiwali z piskami i okrzykami, jednocześnie przyciskając dłonie tam, gdzie myśleli, że ktoś ugodził ich nożem. Tam, gdzie rzeczywiście zostali ukłuci – nie było czasu na rozsnuwanie subtelnych splotów w tak wielu umysłach, ale grad igieł utkanych z Powietrza też znakomicie się przydał.

Krępa oberżystka z “Dumy Wioślarza” nieomal podskoczyła na widok Moghedien wkraczającej do jej głównej izby, w imponujących szkarłatnych jedwabiach przetykanych złotą nicią i czarnym jedwabiem, który lśnił równie mocno jak złoto. Na twarzy miała maskę z wielkim pióropuszem z kruczoczarnych piór zakończoną ostrym czarnym dziobem: kruk. To był żart Moridina, podobnie jak suknia. Jak twierdził, jego kolorami były czerń i czerwień, więc i ona będzie je nosiła, dopóki mu służy. Była ubrana w liberię, i jeśli nawet elegancką, to była zdolna zabić każdego, kto ją w niej zauważy.

Zamiast tego utkała pospiesznie splot wokół oberżystki o krągłych policzkach, która wyprostowała się raptownie i wybałuszyła oczy. Nie było czasu na subtelności. Na rozkaz Moghedien, że ma ją zaprowadzić na dach, kobieta wbiegła po schodach bez poręczy z boku izby. Raczej żaden z odzianych w pióra biesiadników nie zauważy niczego niezwykłego w zachowaniu oberżystki, pomyślała Moghedien z cichym śmiechem. W “Dumie Wioślarza” prawdopodobnie nigdy przedtem nie widziano gościa jej pokroju.

Na płaskim dachu szybko oszacowała, co byłoby dla niej bardziej niebezpieczne: czy jeśli pozwoli oberżystce żyć, czy jeśli ją zabije. Ostatecznie trupy mają swoje sposoby, by wskazać mordercę. Jeśli się chce pozostać ukrytym w cieniu, unika się zabijania, chyba że zaistnieje konieczność. Pospiesznie zmodyfikowała splot Przymusu i powiedziała kobiecie, że ma zejść na dół do swojej izby, pójść spać, a nazajutrz zapomnieć, że kiedykolwiek ją widziała. Z powodu tego pośpiechu oberżystka straci więc cały dzień albo obudzi się z nieco mniej sprawnym umysłem niż dotąd – tyle spraw w życiu Moghedien toczyłyby się łatwiej, gdyby dysponowała lepszym Talentem w stosowaniu Przymusu – koniec końców, tamta czmychnęła posłusznie i zostawiła ją samą.

W tym samym momencie, gdy drzwiczki osadzone w dachu pokrytym brudnymi białymi dachówkami opadły z łomotem, Moghedien głośno westchnęła, czując niespodzianie palce gładzące jej umysł, obmacujące duszę. Moridin robił jej czasem takie niespodzianki, by – jak powiadał – nie zapomniała... Jakby potrzeba było jeszcze dodatkowo jej przypominać! Omal nie rozejrzała się wokół siebie, spodziewając jego widoku, skóra ją mrowiła niczym pod nagłym podmuchem lodowatego wichru. Dotyk stracił na sile i znów zadygotała. Ujmując jej duszę w palce, a po chwili puszczając ją – za każdym razem naprawdę stanowił napomnienie. Trzeba się spieszyć! Moridin mógł się pojawić we własnej osobie gdziekolwiek i kiedykolwiek zechce.

Podbiegła do niskiego murku otaczającego dach i zbadła wzrokiem rozpościerającą się niżej rzekę. Dziesiątki łodzi różnorakiej wielkości pełzły między większymi statkami, na kotwicy albo pod żaglami. Większość wypatrzonych przez nią kabin była ze zwykłego drewna, tu zauważyła żółty dach,

tam niebieski, a tam, na środku rzeki, prędko kierujący się na południe... czerwony. To musiał być ten, nie wolno dłużej mitrzyć czasu.

Podniosła rękę, ale kiedy ogień stosu wystrzelił, coś wokół niej błysnęło i wtedy gwałtownie się wzdrygnęła. Moridin przybył jednak; był tutaj i teraz... Wpatrywała się w rozlatujące się gołębie. Gołębie! Omal nie zwymiotowała na dach zawartości żołądka. Spojrzawszy na rzekę, warknęła gniewnie.

Ponieważ się zawahała, ogień stosu zamiast przeciąć kabinę i pasażera, przeciął ukośnie łódź przez środek, mniej więcej tam, gdzie stał wioślarz i strażnicy. A ponieważ tknięci nim wioślarze zostali wypaleni ze Wzoru retrospektywnie na czas jeszcze przed uderzeniem ognia stosu, dwie połowy łodzi oddaliły się od siebie o dobre sto kroków. Być może więc klęska nie okaże się całkowita. Ponieważ tamten fragment środka łodzi zniknął w tym samym czasie, w którym wioślarze rzeczywiście umarli, potrwało kilka minut, zanim rzeka wtargnęła do wnętrza. W momencie, w którym na nie spojrzała, dwie części łodzi zatoneły, ginąc z zasięgu wzroku w wielkiej pianie i pociągając swą pasażerkę w głębiny.

Nagle dotarło do niej, co zrobiła. Zawsze poruszała się po mrocznych miejscach, zawsze starała się ukrywać, zawsze... Każda kobieta w mieście, która potrafiła przenosić, wiedziałaby, że ktoś zaczerpnął bardzo dużo *saidara*, nawet jeśli nie wiedziałyby po co, i każde obserwujące oko zobaczyłoby tę pręgę płynnego białego ognia przepalającego na wskroś popołudniową aurę. Strach dodał jej skrzydeł. Nie strach. Przerazenie.

Podkasawszy spódnice, zbiegła na dół po schodach, pędem pokonała główną izbę, wpadając na stoły i roztrącając ludzi starających się umknąć jej z drogi, po czym wybiegła na ulicę zbyt przestraszona, by myśleć, rękoma torując sobie ścieżkę w tłumie.

– Biegnijcie! – wrzasnęła, wpadając z impetem do lektyki. Przytrzasnęła sobie drzwiami spódnice, więc wydarła je jednym szarpnięciem. – Biegnijcie!

Tragarze rzucili się do biegu, potrząsając nią, ale nie dbała o to. Objęła się rękoma, wplatając palce w rzeźbione ekrany okien i trzęsła się niepokonanie. Nie przebaczy jej tego. Mógł przebaczyć, czy nawet nie zauważyć tej niezależnej akcji, gdyby wykonała jego polecenia szybko, skutecznie. Taka była jej jedyna nadzieja. Sprawí, że Falion i Ispan będą pełzać na brzuchach!

# ROZDZIAŁ 12

## MASHIARA

Kiedy łódź odbiła od pomostu, Nynaeve cisnęła swoją maskę na wyłożoną poduszkami ławę, skuliła się, zaplatając ręce i z całej siły ściskając warkocz. Jej oczy patrzyły ponuro w przestrzeń, obejmując swym nachmurzonym spojrzeniem równocześnie wszystko i nic. Ze Słuchania Wiatru nadal wynikało, że zbliża się nawałnica, z gatunku takich, co zrywają dachy i wywracają stodoły, omal nie zapragnęła, by rzekę choćby i teraz spieniły fale.

– Jeśli to nie chodzi o pogodę, Nynaeve – przedrzeźniała – w takim razie to właśnie ty powinnaś jechać. Pani Statków może się poczuć urażona, jeśli nie pošlemy najsilniejszej z nas. One wiedzą, że dla Aes Sedai to ma wielkie znaczenie. Ba! – przedrzeźniała Elayne. Wyjąwszy to “ba”, Elayne po prostu słusznie uznała, że wszelkie bzdury, jakie będzie musiała znieść z ust Merilille, są lepsze niż ponowne znalezienie się przed obliczem Nesty. Jak już raz zaczęło się z kimś źle, to trudno potem uzdrowić stosunki... osoba Mata Cauthona stanowiła dostateczny dowód!... i jeśli jeszcze bardziej pogorszą swoje stosunki z Nestą din Reas Dwa Księżyce, to potem zupełnie rozstawi je po kątach i będzie się nimi wysługiwała, jak tylko można.

– Straszna kobieta! – burknęła, poprawiając się na poduszkach. Aviendha nie była lepsza, kiedy usłyszała propozycję Nynaeve, aby to ona właśnie udała się do Ludu Morza, ci ludzie przecież byli nią tak zafascynowani. Zaczęła mówić piskliwym i kapryśnym głosem, zupełnie nie przypominającym głosu Aviendhy, ale trafiła w sedno. – Dowiemy się, że mamy kłopoty, gdy przyjdzie na to pora, Nynaeve al’Meara. Być może ja dowiem się czegoś, gdy będę dzisiaj obserwowała Jaichima Carridina. – Gdyby nie fakt, że nic nigdy nie zatrzymało tej kobiety, uznałaby, że Aviendha się boi, skoro tak się pali do szpiegowania Carridina. Dzień wystawiania na upalnej ulicy, popychania przez tłum, nie był niczym zabawnym, a dzisiaj będzie jeszcze gorzej z powodu święta. Nynaeve przecież nie bez racji miała prawo oczekiwać, że tamta chętnie wybierze się na miłą, odświeżającą przejażdżkę łodzią.

Łódź zachybotwała się. Miła, odświeżająca przejażdżka, powtarzała sobie. Miłe, chłodne wiatry w zatoce. Wilgotne wiatry, nie suche. Łódź kołysała się coraz mocniej.

– O krew i popioły! – jęknęła. Przerażona, przycisnęła dłoń do ust i zabębniła piętami o przód ławy w niepohamowanej wściekłości. Jeżeli dłużej przyjdzie jej się spotykać z Ludem Morza, to w efekcie jej język stanie się równie plugawy jak Mata. Nie miała ochoty myśleć o nim. Jeszcze jeden dzień splatania rąk z powodu tego... tego mężczyzny... a wyrwie sobie wszystkie włosy z głowy! Co wcale nie znaczyło, by zażądał czegoś nierozsądnego, ale stale czekała, aż to zrobi. A te jego maniery...!

– Nie! – powiedziała sobie stanowczo. – Chcę uspokoić żołądek, a nie go rozwścieczać. – Łódź zaczęła powoli się kolebać. Starła się skoncentrować na swoim ubraniu. Nie była taka sfiksowana na punkcie ubrań, jak to się czasami zdarzało Elayne, ale myślenie o jedwabkach i koronkach uspokajało.

Wszystko zostało dobrane tak, by zrobić wrażenie na Mistrzynie Statków, a tym samym odzyskać nieco utraconego gruntu, nie miała jednak pewności, czy to się na coś przyda. Zielony jedwab urozmaicony żółtymi cięciami w spódnicach, haftowany złotem na rękawach i staniczku, ze złotą koronką przy rąbku, mankietach i karczku. Być może ten ostatni powinien być wyższy, by można go było potraktować poważnie, ale nie miała niczego takiego. Biorąc pod uwagę obyczaje Ludu Morza, ten strój był bardziej niż skromny. Nesta będzie musiała ją przyjąć taką, jaka jest – Nynaeve

al'Meara nie zmienia się dla nikogo.

Wetknięte w warkocz szpilki z żółtymi opalami były jej własne – prezent od Panarch Tarabonu, ni mniej, ni więcej – ale to Tylin dostarczyła ten złoty naszyjnik, z którego szmaragdy i perły spływały aż na brzuch. W życiu nawet nie śniła o tak bogatej biżuterii; podarunek za sprowadzenie Mata, tak go nazwała Tylin, co zupełnie nie miało sensu, ale może królowa uważała, że potrzebuje wymówki dla zrobienia tak hojnego podarunku. Dwie bransolety z kości słoniowej i złota były od Aviendhy, która posiadała zaskakujący zasób biżuterii jak na kobietę, która tak rzadko nosiła coś więcej niż jeden srebrny naszyjnik. Nynaeve poprosiła ją, żeby jej pożyczyła tę piękną bransoletę z kości słoniowej rzeźbioną w róże i ciernie, której ta nigdy nie wkładała, ale o dziwo Aviendha porwała ją z jej podołka, jakby to była najcenniejsza rzecz w jej posiadaniu i żeby tego było jeszcze mało, Elayne zaczęła ją uspokajać. Nynaeve nie byłaby zdziwiona, gdyby zobaczyła, jak padają sobie z płaczem w ramiona.

Tu działo się coś dziwnego i gdyby ona nie wiedziała, że tamte są zbyt rozsądne, by sobie pozwalać na takie bzdury, podejrzewałaby, że za tym wszystkim stoi mężczyzna. Cóż, Aviendha była aż za rozsądna, Elayne nadal wzdychała do Randa, aczkolwiek Nynaeve raczej nie mogła jej winić za...

Nagle poczuła fale *saidara*, które niemalże zalały ją przemożną siłą i...

...już zalała ją słona woda, zamykając się nad głową. Młóciła ramionami, by wydostać się na powierzchnię, lecz zaplątała się w spódnicę. Nagle poczuła powietrze i złapała oddech pośród dryfujących poduszek, wytrzeszczając oczy ze zdumieniem. Po jakiejś chwili zorientowała się, że przekrzywiona bryła nad nią to jedno z siedzeń kabiny przyczepione do szczątków ścianki statku. Pod nią zachowało się trochę powietrza. Nie było go wiele, mogła dotknąć obiema rękami skromnej przestrzeni, i to nawet nie wyciągając szczególnie ramion. Ale jak...? Wyraźny łomot oznajmił, że szczątek wywróconej do góry nogami kabiny osiadł na dnie rzeki, podskakiwał i chybotał się. Miała wrażenie, że kieszeń powietrza skurczyła się odrobinę.

Przed wszystkim należało się zastanowić, jak stąd wyjść, nim zużyje całe powietrze. Potrafiła pływać – dość często pluskała się w stawach Wodnego Lasu-żle się czuła dopiero wtedy, gdy woda zaczęła nią podrzucać i kołysać. Napelniwszy płuca, złożyła się w pól i popłynęła w stronę, gdzie musiały być drzwi, wierzgając niezdarnie nogami skrępowanymi przez spódnicę. Przydałoby się zdjąć suknię, ale nie zamierzała wyskakiwać na powierzchnię rzeki w samej bieliźnie, pończochach i biżuterii. Tych też nie zamierzała porzucać. Poza tym, nie dałaby rady zdjąć sukni bez odpinania mieszka przy pasie, a wolałaby się utopić, niż utracić to, co miała schowane w środku.

Woda była czarna, bez choćby odrobiny światła. Rozczapierzone palce Nynaeve natrafiły na drewno; obmacała ażurowe rzeźbienia, aż wreszcie znalazła drzwi, podciągnęła się do ich krawędzi – i wymacała zawias. Mruczając w głowie przekleństwa, ostrożnie przesuwając palcami po drewnie, próbując znaleźć przeciwległą stronę. Tak! Uchwyt zasuwy! Podniosła go i pchnęła. Drzwi poruszyły się o jakieś dwa cale -i zatrzymały.

Wyteżając płuca, dopłynęła z powrotem do kieszeni powietrza, pozostając tam tylko na moment potrzebny, by znowu nabrać oddechu. Tym razem drzwi znalazła szybciej. Wsunęła palce do szczeliny, by sprawdzić, co blokuje drzwi. Wbiły się w muł. Może mogłaby odkopać ten maleńki pagórek, albo... Pomacała wyżej. Więcej szlamu. Czując coraz większą panikę, ryła palcami od dna szczeliny do góry, a potem, nie chcąc uwierzyć z góry na dół. Szlam, twardy, śliski szlam, wszędzie.

Tym razem, kiedy dopłynęła do kieszeni, uchwyciła się krawędzi górującej nad nią ławy i zawisała na niej, dysząc, z ciężko bijącym sercem. Powietrze zdawało się... gęstsze.

– Nie umrę tutaj – wymamrotała. – Nie umrę tutaj!

Tak długo walała pięścią w siedzenie ławy, aż poczuła, że dłoń jej sinieje, za wszelką cenę musiała się rozzłościć, bo tylko wtedy będzie mogła przenosić. Nie umrze. Nie tutaj. Nie samotnie. Nikt nigdy by się nie dowiedział, jak umarła. Żadnego grobu, tylko trup gnijący na dnie rzeki. Ręce jej opadły z pluskiem. Z trudem walczyła o oddech. W oczach płały czarne i srebrne plamki, miała wrażenie, że spogląda w głąb czarnego tunelu. Ani trochę gniewu, uświadomiła sobie ponuro. Cały czas starała się dosięgnąć *saidara*, bez wiary, że teraz go dotknie. A więc jednak umrze tutaj. Nie ma nadziei. Nie ma Lana. I kiedy już utraciła nadzieję, chybcząc się na skraju świadomości niczym migoczący płomyk świecy, zrobiła coś, czego jeszcze nigdy w życiu nie dokonała. Poddała się bez reszty.

*Saidar* wlał się w nią, wypełnił całą.

Jedynie na poły zachowała świadomość drewnianej konstrukcji ponad głową, gdy ta nagle wybrzuszyła się na zewnątrz, a potem wybuchła. W strumieniu baniek powietrza uniosła się w górę przez otwór w kadłubie, w ciemność. Niejasno zdawała sobie sprawę, że powinna coś jeszcze zrobić. I już sobie przypominała. Tak. Pomachała słabo nogami; usiłowała poruszyć rękami, tak trzeba, by szybciej popłynąć. Ale jej kończyny chyba tylko bezradnie poddawały się wodzie.

Coś ją pochwyciło za suknię i wtedy obudziła się w niej panika na myśl o rekinach, rybolwach i Światłość tylko wiedziała, co jeszcze mogło zamieszkiwać te czarne głębiny. Iskierka świadomości mówiła o Mocy, ale desperacko przebierała pięściami i nogami, czując, że jej dłonie natrafiają na coś twardego. Niestety, rozwrzeszczała się, albo przynajmniej próbowała wrzeszczeć. Woda, którą wciągnęła do gardła, wypłukała krzyk i, niemalże do końca, ostatnie skrawki świadomości.

Coś pociągnęło ją za warkocz, potem jeszcze raz i wtedy poczuła, że to coś ją wlecze... dokąds. Nie była już na tyle przytomna, żeby się opierać czy nawet specjalnie bać, że jakiś stwór pożre ją żywcem.

Nagle jej głowa wyskoczyła na powierzchnię. Od tyłu objęły ją czyjeś ręce – nie był to więc rekin – zacisnęły się silnie na jej żebrach, w znajomy sposób. Zakasłała – z nosa wylewała jej się woda – zakasłała znowu, boleśnie. I wciągnęła drżący oddech. W życiu nie smakowała czegoś równie słodkiego.

Dłoń pochwyciła ją za brodę i nagle znowu ją wleczono. Poczuła, jak ogarnia ją zmęczenie. Mogła jedynie unosić się na plecach i oddychać, wpatrywać się w niebo. Takie niebieskie. Takie piękne. Piekły ją oczy, wcale nie od słonych wód rzeki.

I wtedy została pociągnięta w górę, a następnie oparta o burtę jakiejś łodzi, czyjaś brutalna dłoń obejmująca ją za siedzenie popychała ją coraz wyżej, aż wreszcie dwaj chudzi mężczyźni z mosiężnymi kółkami w uszach wyciągnęli ręce i wciągnęli ją na pokład. Pomogli jej zrobić kilka kroków, ale ledwie ją puścili – by pomóc temu, który ją wyratował -nogi ugięły się pod nią, jakby były z nasiąkniętej wodą gąbki.

Podniósłszy się chwiejnie na czworaki, zapatrzyła się pustym wzrokiem na miecz, wysokie buty i zielony kaftan, które ktoś porzrzucał po pokładzie. Otworzyła usta – i opróżniła żołądek z wody rzeki Elbar. Z całej rzeki, jak się zdawało, a oprócz tego z popołudniowego posiłku oraz śniadania; wcale by się nie zdziwiła, gdyby zobaczyła na dodatek kilka ryb, tudzież swoje trzewiki. Ocierała usta wierzchem dłoni, kiedy nagle do jej uszu dotarły głosy.

– Czy mojemu panu nic nie jest? Mój pan bardzo długo był w wodzie.

– Zapomnij o mnie, człowieku – odparł głęboki głos. – Znajdź coś, czym można owinać panią. – Głos Lana, o którym śniła co noc.

Wytrzeszczywszy oczy, Nynaeve w ostatniej chwili zdusiła szloch. Paniczny strach, który poczuła na myśl, że zaraz umrze, był niczym w porównaniu z tym, co teraz przemknęło jej przez

głowę. Niczym! To przypominało senny koszmar. Nie teraz! Nie tak! Nie teraz, kiedy wyglądała jak podtopiony szczur i klęczała wśród zawartości własnego żołądka!

Nie myśląc, objęła *saidara* i przeniosła. Woda spłynęła potokiem z jej ubrania, włosów i zmyła wszelkie dowody jej nieszczęścia przez luk odpływowy. Niezdarnie podniosła się na nogi, poprawiła naszyjnik i zrobiła, co mogła, żeby wygładzić suknię i włosy, jednak kąpiel w słonej wodzie, a potem raptowne osuszanie pozostawiło kilka plam na jedwabiu i kilka zagnieceń, których usunięcie będzie wymagało wprawnej ręki z gorącym żelazkiem. Niektóre pasma włosów usiłowały oderwać się od czaszki, a opale w warkoczu były niczym cętki na zjeżonym ogonie wściekłego kota.

To nie miało znaczenia. Była teraz wcieleniem spokoju, chłodna niczym wczesny wiosenny wiatr, opanowana jak... Obróciła się na pięcie, zanim zdążył ją zająć od tyłu i tak zaskoczył, że całkiem by się pograżyła.

Dopiero wtedy do niej dotarło, jak szybko się poruszała, gdy zobaczyła, że Lan właśnie robi dopiero drugi krok od balustrady. Był najpiękniejszym mężczyzną, jakiego w życiu widziała. W przemoczonej koszuli, spodniach i skarpetach był olśniewający, z tymi włosami ociekającymi wodą, które przylgnęły do jego kanciastych rysów, a... Na jego twarzy wykwitał rozdwojony purpurowy siniec, jakby od ciosu. Przycisnęła dłoń do ust, przypomniawszy sobie, że jej pięść trafiła...

– Och nie! Och Lan, strasznie przepraszam! Ja nie chciałam! – Nie bardzo zauważyła, kiedy pokonała dzielącą ich przestrzeń, po prostu już tam była, stając na palcach, by lekko dotknąć palcami jego rany. Zręczny splot z wszystkich Pięciu Mocy i już ogorzały policzek był nietknięty. Ale mógł odnieść jeszcze jakąś inną ranę. Utknęła sploty, żeby go zbadać; na widok nowych blizn skrzywiła się wewnętrznie, poza tym znalazła też coś dziwnego, niemniej zasadniczo zdawał się zdrowy jak młody byk. Był również bardzo mokry, dlatego że ją ratował. Osuszyła go tak jak siebie, woda zachlupotała wokół jego stóp. Nie potrafiła przestać go dotykać. Obie dłonie gładziły twarde policzki, patrzyła w te cudowne niebieskie oczy, na silny nos, jędrne wargi, uszy. Przyczesła palcami jedwabiste czarne włosy, poprawiła rzemyk ze splecionej skóry, który je przytrzymał. Jej język też zdawał się wieść własne życie. – Och, Lan – zamruczała. – Ty naprawdę tu jesteś. – Ktoś zachichotał. Nie ona! Nynaeve al'Meara nie chichotała; ale ktoś to zrobił. – To nie sen. Och, Światłości, jesteś tutaj. Jakim sposobem?

– Jakiś sługa w Pałacu Tarasin powiedział mi, że udałaś się nad rzekę, a przechodzień na pomoście wiedział, którą łódź zabrałaś. Gdyby Mandarb nie zgubił podkowy, byłbym tu już wczoraj.

– Nie obchodzi mnie to. Jesteś tu teraz. Jesteś. – Naprawdę nie chichotała.

– Może ona jest Aes Sedai-mruknął jeden z marynarzy niezbyt cicho – ale ja nadal twierdzę, że to kaczątko, które koniecznie chce się wcisnąć do paszczy wilka.

Twarz Nynaeve oblała się szkarłatnym pąsem. Przycisnęła dłonie do boków, tupiąc o pokład. Innym razem dałaby temu człowiekowi popalić, i to tak, że wiedziałby za co. Innym razem, kiedy potrafiłaby pomyśleć. Obecność Lana sprawiła, że wszystkie myśli uleciały z głowy. Chwyciła go za ramię.

– W kabinie będziemy mogli porozmawiać prywatnie. – Czyżby jeden z wioślarzy zrobił szyderczą minę?

– Mój miecz i...

– Ja to wezmę – powiedziała, chwytając jego rzeczy z pokładu splotami Powietrza. Jeden z tych gburów naprawdę sztychł. Jeszcze jeden splot Powietrza otworzył drzwi kabiny; zagnała Lana, jego miecz oraz resztę do środka i zatrzasnęła za nimi drzwi.

Światłości, wątpiła, by nawet Calle Coplin z Dwu Rzek była kiedykolwiek tak śmiała, a wszak tyłu kupców znało przyrodzone znamię Calle, ilu widziało jej twarz. Ale to wcale nie było tak samo.

Wcale nie! Ostatecznie nic takiego, że była odrobinę mniej... ochocza. Jej ręce znowu powędrowały do jego twarzy-tylko po to, żeby trochę jeszcze wygładzić jego włosy; tylko po to – a on delikatnie ujął jej nadgarstki swymi potężnymi dłońmi.

– Myrelle ma teraz moją więź – powiedział cicho. -Pożycz mi tobie, dopóki nie znajdziesz sobie własnego Strażnika.

Spokojnie wyzwoliwszy prawą rękę, uderzyła go w twarz najsilniej, jak mogła się zamachnąć. Ledwie poruszył głową, więc wyzwoliła drugą rękę i uderzyła go jeszcze mocniej.

– Jak mogłeś? – Dla lepszego efektu wzmocniła to pytanie jeszcze jednym ciosem. – Wiedziałeś, że ja czekam! – Jeszcze jeden wydawał się niezbędny, by to zabrzmiało dobitnie. – Jak mogłeś zrobić coś takiego? Jak mogłeś jej pozwolić?-Jeszcze jeden policzek. – A żebyś szczeł, Lanie Mandragoran! A żebyś szczeł! A żebyś szczeł, do Szczeliny Zagłady! A żebyś szczeł!

Ten mężczyzna-ten przeklęty mężczyzna! -nie powiedział ani słowa. Nie mógł, rzecz jasna; co niby miał jej powiedzieć na swoją obronę? Stał tylko tam, podczas gdy ona obsypywała go ciosami, i nie zrobił ani jednego ruchu, a jego nie zmrużone oczy patrzyły dziwnie, niewykluczone, że dlatego, iż ona tak się czerwieniła z jego powodu. I o ile jej ciosy zrobiły na nim raczej niewielkie wrażenie, to ją zaczęły wściekle piec wnętrza dłoni.

Ponuro zacisnęła pięść i zdzieliła go w brzuch z całej siły. Sapnął. Lekko.

– Porozmawiamy o tym spokojnie i racjonalnie – powiedziała, odsuwając się od niego. – Jak dorośli. – Lan tylko przytaknął, usiadł i przysunął sobie swoje buty! Odsunawszy włosy z twarzy lewą ręką, schowała prawą za plecami, żeby nie widział, jak rozpręża obolałe palce. Nie miał prawa być taki twardy, nie kiedy ona chciała go zbić. Płonne nadzieje, że choć złamała mu zebro.

– Powinnaś jej podziękować, Nynaeve. – Jak ten człowiek mógł mówić tak spokojnie! Wsunawszy jedną nogę w but energicznym ruchem, pochylił się, by wziąć drugi, nie patrząc na nią. – Nie chciałaś, abym był z tobą związany.

Splot Powietrza chwycił garść jego włosów i boleśnie zadarł mu głowę.

– Jeśli się ośmielisz... jeśli się kiedykolwiek ośmielisz... wygadywać te bzdury, że nie chcesz mi dawać wdowich chwastów, Lanie Mandragoran, to ja... to ja... -Nie umiała wymyśleć niczego odpowiednio silnego. Skopanie go byłoby prawie niczym. Myrelle. Myrelle i jej Strażnicy. A żeby szczeł! Darcie z niego pasów by nie starczyło!

Wyglądał, jakby wcale nie był zmuszony do trwania zgiętym w pół, z wykrzywionym karkiem. Wsparł tylko ręce na kolanach i, obserwując ją z tym dziwnym wyrazem w oczach, powiedział:

– Nie chciałem ci mówić, ale masz prawo wiedzieć. -Jednak w jego głosie pojawiło się wahanie, a przecież Lan nigdy się nie wahał. – Kiedy umarła Moiraine... kiedy więź łącząca Strażnika z jego Aes Sedai pęka... dochodzi do zmian...

W trakcie gdy to mówił, ona objęła się ramionami, ściskając mocno, żeby nie dygotać. Bolała ją zaciśnięta z całej siły szczeka. Uwolniła przytrzymujący go splot, jakby po prostu oderwała rękę, uwolniła *saidara*, ale on tylko się wyprostował i nadal relacjonował całą tę grozę, nawet się nie wzdrygnawszy, i nadal ją obserwował. Nagle zrozumiała, co dziwnego kryje się w jego oczach, zimniejszych niż samo serce zimy. To były oczy człowieka, który wie, że jest martwy i nie potrafi się zmusić, żeby to jeszcze go poruszało, człowieka, który czeka, niemalże z tęsknotą na ten długi sen. Zapiekły ją oczy od nie wylanych łez.

– Tak więc sama widzisz – zakończył z uśmiechem, który objął tylko usta; uśmiechem pełnym akceptacji nieuchronnego – kiedy już będzie po wszystkim, ją czeka rok, może kilka lat bólu, ja będę wciąż martwy. Tobie tego oszczędzono. To mój ostatni podarunek dla ciebie, *Mashiara*. – *Mashiara*. Jego utracona miłość.

– Będiesz moim Strażnikiem, dopóki nie znajdę sobie jakiegoś? – Sama siebie zadziwiła tym obojętnym głosem. Nie mogła zalać się łzami. Nie robi tego. Teraz, bardziej niż kiedykolwiek, musiała zebrać wszystkie swoje siły.

– Tak – odparł ostrożnie, wciągając drugi but. Zawsze trochę przypominał na poły oswojonego wilka, ale teraz, przez te oczy, wydawał się znacznie mniej oswojony.

– To dobrze. – Poprawiwszy spódnice, oparła się pokusie, by podejść do niego. Nie mogła dopuścić, by dostrzegł jej strach. – Ponieważ ja go znalazłam. Ciebie. Czekałam i życzyłam dobrze Moiraine, nie będę życzyła dobrze Myrelle. Ona mi odda więź z tobą. – Myrelle robi to, choćby przyszło jej wlec za włosy tę kobietę do Tar Valon i z powrotem. Skoro już o tym mowa, mogłaby ją wlec dla samej zasady. – Nic nie mów – powiedziała ostro, kiedy otworzył usta. Potarła palcami mieszek przy pasie, gdzie spoczywał jego ciężki złoty sygnet owinięty w jedwabną chusteczkę. Z wysiłkiem złagodziła ton głosu, Lan był chory, a ostre słowa nigdy nie pomagają w chorobie. Ale kosztowało ją to tyle... Pragnęła go zbesztać, miała ochotę wyrwać sobie warkocz z korzeniami za każdym razem, gdy myślała o nim i tej kobiecie. Zmagając się z sobą, by zachować spokojny głos, mówiła jednak dalej:

– W Dwu Rzekach, Lan, ofiarowanie komuś pierścienia, oznacza zaręczyny. – To było kłamstwo i poczęści spodziewała się, że skoczy na równe nogi ze złości, ale tylko zamrugał ze znużeniem. Poza tym wyczytała o takim pomysle w jakiejś opowieści. – Jesteśmy zaręczeni od bardzo dawna. Dzisiaj zostaniemy sobie poślubieni.

– Kiedyś modliłem się o to – odrzekł cicho i pokręcił głową. – Wiesz, dlaczego tak nie może być, Nynaeve. A nawet gdyby mogło, to Myrelle...

Mimo iż sobie obiecywała, że powstrzyma swój temperament, że będzie delikatna, objęła *saidara* i wcisnęła mu do ust knebel z Powietrza, zanim zdążył wyznać to, czego nie chciała słyszeć. Dopóki tego nie wyzna, mogła udawać, że nic się nie stało. Ale kiedy dopadnie Myrelle! Opale wplecione we włosy odcisnęły się boleśnie we wnętrzu jej dłoni i była zmuszona puścić warkocz. Zaczęła znowu gładzić jego włosy, żeby zająć czymś palce, podczas gdy on wpatrywał się w nią z oburzeniem. – Udzielę ci krótkiej lekcji na temat różnic między żonami a innymi kobietami – oznajmiła lekko. Co za zmagania. – Byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś więcej nie wymieniał imienia Myrelle w mojej obecności. Pojmujesz?

Przytaknął, więc uwolniła splot, a on tylko krótką chwilę poruszał szczęką, po czym powiedział:

– Bez wymieniania imion, Nynaeve, zdajesz sobie przecież sprawę, że dzięki więzi ona wie o wszystkim, co ja czuję. Gdybyśmy byli mężem i żoną...

Miała wrażenie, że jej twarz zaraz stanie w ogniu. W ogóle o tym nie pomyślała! Przeklęta Myrelle!

– Czy istnieje sposób, by sprawdzić, czy ona wie z całą pewnością, że to ja? – spytała w końcu, a jej policzki niemalże płonęły. Zwłaszcza kiedy opadł na ściankę kabiny, śmiejąc się ze zdumieniem.

– Światłości, Nynaeve, ale z ciebie jastrzębica! Światłości! Nie śmiałem się od... – Jego rozweselenie zanikło, chłód, który zasnuwał mu oczy, powrócił w mgnieniu oka. – Naprawdę wolałbym, żeby tak mogło być, Nynaeve, ale...

– Może i będzie – przerwała mu. Mężczyźni zawsze uzyskiwali przewagę, jeśli nazbyt długo dopuszczało się ich do głosu. Usadowiła mu się na kolanach. Jeszcze nie byli małżeństwem, prawda, ale jego kolana były bardziej miękkie niż te nie wyściełane ławy. Posunęła się trochę, by usiąść wygodniej. Może trochę przesadziła z tą miękkością jego kolan, w każdym razie nie były twardsze niż ławy. – Równie dobrze mógłbyś się poddać, Lanie Mandragoran. Moje serce należy do ciebie. Ty należysz do mnie i ja cię nie puszcę. Będiesz moim Strażnikiem i moim mężem, i to bardzo długo.



Nie pozwolę ci umrzeć. Czy to rozumiesz? Potrafię być tak uparta, jak tylko trzeba.

– Nie zauważyłem – odparł, a ona zmrużyła oczy. Jego głos brzmiał strasznie... sucho.

– Jak sam dobrze wiesz, może to długo potrwać – dodała stanowczo. Wykręciwszy szyję, wyjrzała przez ażurowe okienko w kadłubie za jego plecami, po czym okręciła się, by zerknąć przez takie samo w przedzie kabiny. Mijali długie kamienne mola wystające z kamiennego nabrzeża; w przedzie widziała jedynie kolejne przystanie i miasto połyskujące bielą w popołudniowym słońcu. – Dokąd płyniemy? – spytała półgłosem.

– Powiedziałem im, że mają nas wysadzić na brzegu, gdy tylko wciągnę cię na pokład – odparł Lan. – Wydawało się, że najlepiej będzie jak najszybciej uciec od rzeki.

– Ty...? – Zaciśnęła zęby. On nie wiedział, dokąd ona płynęła, ani dlaczego, zrobił to, co mógł, na podstawie najlepszej wiedzy, jaką dysponował. I uratował jej życie. -Jeszcze nie mogę wrócić do miasta, Lan. – Odkaslnęła i zmieniła ton. Nieważne, jak delikatnie musiała się z nim obchodzić, cała ta słodycz mogła sprawić, że znowu robi jej się mdło. – Muszę się dostać do statku Ludu Morza, do “Biegającej z Wiatrem”. – Znacznie lepiej, ton lekki, ale nie za lekki i stanowczy.

– Nynaeve, płynąłem tuż za twoją łodzią. Widziałem, co się stało. Byłaś pięćdziesiąt kroków przede mną, a potem pięćdziesiąt kroków za mną, tonęłaś. To musiał być ogień stosu. -Nie musiał już nic dodawać, powiedziała to za niego, a zresztą i tak wiedziała więcej niż on.

– Moghedien! – zawołała bez tchu. Och, to mógł być jakiś inny Przeklęty, ewentualnie któraś z Czarnych Ajah, ale ona wiedziała. Cóż, pokonała Moghedien, nie raz, ale dwa razy. Mogła ją pokonać trzeci raz, jeśli to się okaże konieczne. Najwidoczniej jednak jej twarz nie wyrażała tego przekonania.

– Nie bój się – powiedział Lan, dotykając jej policzka. – Nigdy się nie bój, kiedy ja jestem blisko. Jeśli będziesz musiała stanąć twarzą w twarz z Moghedien, to już ja dopilnuję, byś była dostatecznie zła, by przenieść. Jak się zdaje, posiadam pewne talenty w tym kierunku.

– Nigdy więcej mnie nie rozzłościś – zaczęła i urwała, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma. – Nie jestem zła – dodała powoli.

– Nie teraz, ale kiedy będziesz musiała...

– Nie jestem zła – roześmiała się. Z zachwytem kopnęła nogą i uderzyła go pięściami w pierś, zaśmiewając się. Wypełnił ją *saidar*, nie tylko dzięki życiu i radości, ale tym razem również z przejęcia. Poglądziła go po policzku lekkimi jak puch splotami Powietrza. – Nie jestem zła, Lan.

– Nie masz już blokady. – Uśmiechnął się szeroko, dzielając jej zachwyty, ale ten uśmiech nie dodał ciepła jego oczom.

“Zajmę się tobą, Lanie Mandragoran” – obiecała sobie w duchu. – “Nie pozwolę ci umrzeć”. Wsparłszy się na jego piersi, wpadła na pomysł, że go pocałuje i nawet... “Nie jesteś Calle Coplin” – powiedziała sobie stanowczo.

Nagle przyszła jej do głowy pewna straszna myśl. Tym bardziej wydała jej się straszna, że nie wpadła na nią wcześniej.

– Co z wioślarzami? – spytała cicho. – Z moją ochroną? – Westchnęła, gdy bez słowa pokręcił głową. Osobista ochrona. Światłości, to oni potrzebowali jej ochrony, a nie na odwrót. Kolejne cztery zgony, za które należało winić Moghedien. Cztery, oprócz tych wszystkich tysięcy, jednak te ofiary były bardziej osobiste. Nie zamierzała jednak załatwiać porachunków z Moghedien w tym akurat momencie.

Powstawszy, zaczęła sprawdzać, co mogłaby począć ze swoim odzieniem.

– Lan, czy mógłbyś kazać załodze zawrócić? Każ im wiosłować, ile tylko mają sił. – W takim stanie nie pokaże się w pałacu przed zapadnięciem zmroku. -I dowiedz się też, czy któryś z nich ma

grzebień. – Nie pokaże się Neście w takim stanie.

Lan podniósł kaftan i miecz, po czym uklonił się przed nią.

– Jak każesz, Aes Sedai.

Wydymając wargi, patrzyła, jak drzwi zamykają się za nim. Czy on się z niej wyśmiewał? Była gotowa się założyć, że ktoś na “Biegającej z Wiatrem” mógłby dać im ślub. I na podstawie tego, co sama przeżyła wśród Ludu Morza, nie miała najmniejszych wątpliwości, iż Lan Mandragoran obieca zrobić to, co mu każą. Zobaczymy wtedy, kto się będzie śmiał.

Łódź zaczęła zawracać, kołyszając się i podskakując, a razem z nią podskakiwał żołądek Nynaeve.

– O Światłości! – jęknęła, padając na ławę. Dlaczego nie utraciła tego wszystkiego razem z blokadą? Trzymanie *saidara*, razem ze świadomością każdego dotyku powietrza na skórze, dodatkowo wszystko pogarszało. Wypuszczenie Źródła na nic się nie zdało. Nie będzie znowu chorowała. Sprawi, że Lan będzie należał do niej, raz na zawsze. Ten dzień jeszcze okaże się cudownym dniem. Żeby tylko zniknęło to przeczucie nadciągającej burzy.

Słońce wisiało już ponuro ponad dachami domów, kiedy Elayne zastukała do drzwi. Świątujący tańczyli i płasali na ulicy za jej plecami, wypełniając powietrze śmiechem, pieśnią i wonią perfum. W głębi serca pożałowała, że nie miała okazji naprawdę cieszyć się świętem. Byłoby zabawnie wdziac taki kostium jak Birgitte. Czy choćby taki, jaki widziała na Riselle, jednej z pokojówek Tylin. Pod warunkiem, że nie musiałyby zdejmować z twarzy maski. Zastukała jeszcze raz, mocniej.

Drzwi otworzyła siwowłosa pokojówka z mocno zaznaczoną szczęką, na jej twarzy odmalowała się nagła furia, kiedy Elayne zsunęła swoją zieloną maskę.

– To ty! Co ty tu znowu...! – Furia ustąpiła miejsca upiornej bladości, kiedy Merilille, Adelas i pozostałe zdjęły swoje maski. Kobieta wzdrygała się na widok każdej odsłaniającej się kolejno twarzy tak charakterystycznie wyzbytej piętna upływu lat, nawet u Sareithy. Być może już po prostu zobaczyła to, co miała zobaczyć.

Wydawszy nagły okrzyk, pokojówka usiłowała zatrzaskać drzwi, ale Birgitte przepchnęła się obok Elayne, otwierając je na powrót ozdobionym piórami ramieniem. Służąca zrobiła kilka chwiejnych kroków w tył, po czym opamiętała się, ale obojętnie, czy chciała uciekać czy krzyczeć, Birgitte ją ubiegła, chwytając pod ramię.

– Spokojnie – powiedziała stanowczym tonem. – Nie chcemy żadnej awantury ani pokrzykiwania, prawda? – Zdawało się, że ona tylko trzyma kobietę za rękę, niemalże ją wspierając, ale ta stała rzeczywiście bardzo prosto i bardzo spokojnie. Wpatrując się szeroko rozwartymi oczyma w zwieńczoną pióropuszem maskę trzymającej ją kobiety, powoli potrząsnęła głową.

– Jak ci na imię? – spytała Elayne, podczas gdy wszystkie wtoczyły się do holu. Zamknięte drzwi zagłuszyły harmider dobiegający z zewnątrz. Oczy pokojówki przemykały od jednej twarzy do drugiej, jakby nie potrafiła na żadnej zatrzymać wzroku.

– C-c-cedora.

– Zaprowadź nas do Reanne, Cedora. – Tym razem Cedora przytaknęła, z taką minę, jakby zaraz miała zacząć płakać.

Cedora sztywnymi krokami poprowadziła je na górę, Birgitte nadal trzymała ją za rękę. Elayne zastanawiała się, czy nie kazać jej, by puściła tę kobietę, ale ostatnią rzeczą, jakiej sobie życzyła, było podnoszenie larum, przez co mieszkańcy domu rozbiegliby się we wszystkich kierunkach. Birgitte użyła więc swych mięśni, a Elayne dzięki temu nie musiała przenosić. Pomyślała, że Cedora

jest bardziej przestraszona niż obolała i że, tak czy owak, tego wieczoru wszyscy tutaj będą się co najmniej odrobinę bali.

– T-t-tutaj – wyjąkała Cedora, wskazując skinieniem głowy jakieś czerwone drzwi. Drzwi do izby, w której ona i Nynaeve odbyły tamtą niefortunną rozmowę. Otworzyła je i weszła do środka.

Była tam Reanne, siedziała przed kominkiem rzeźbionym w przedstawienia Trzynastu Grzechów, a oprócz niej tuzin kobiet, których Elayne nigdy przedtem nie widziała; zajmowały wszystkie krzesła pod jasnozielonymi ścianami; były złane potem, bo wszystkie okna zawarto na głucho, a zasłony zaciągnięto. Większość nosiła suknie uszyte na modłę obowiązującą w Ebou Dar, mimo iż tylko jedna miała skórę o oliwkowej karnacji; na twarzach większości widniały zmarszczki i włosy przószyła siwizna. Wszystkie co do jednej potrafiły przenosić, w mniejszym lub większym stopniu. Siedem nosiło czerwony pas. Wbrew sobie westchnęła. Kiedy Nynaeve miała rację, to tak często cię o tym informowała, aż miałaś ochotę krzyczeć.

Reanne poderwała się na równe nogi, z czerwoną ze złości twarzą, podobnie jak Cedora i jej pierwsze słowa też były niemalże identyczne:

– To ty! Jak śmiesz mi pokazywać swoją twarz...? -Słowa i furia równie szybko zamarły, kiedy tuż za Elayne do izby weszła Merilille wraz z pozostałymi. Jasnowłosa kobieta w czerwonym pasie i śmiałym dekolcie wydała jakiś słaby okrzyk, po czym oczy zapadły jej się w głąb czaszki i osunęła się bezwładnie na swoje czerwone krzesło. Żadna nie wykonała nawet ruchu, żeby jej pomóc. Żadna nawet nie spojrzała na Birgitte, gdy ta prowadziła Cedorę do kąta i tam ją ustawiła. Omal nie przestały oddychać. Elayne miała wielką ochotę krzyknąć “bu!”, żeby sprawdzić, co się stanie.

Reanne zachwiała się, twarz jej kompletnie zbladła, wyraźnie próbowała się jakoś pozbierać, ale z niewielkim powodzeniem. Dopiero po chwili ogarnęła wzrokiem pięć Aes Sedai o chłodnych twarzach, które ustawiły się w szeregu przed drzwiami i zdecydowała, która jest najważniejsza. Chwiejnym krokiem przeszła po płytkach posadzki do Merilille i padła na kolana, z pochyloną głową.

– Wybacz nam, Aes Sedai. – Jej głos był pełen czci, niósł jednak w sobie niewiele więcej siły niż przedtem miały jej kolana. W rzeczy samej bełkotała. – Jesteśmy tylko grupką przyjaciółek. Nic nie zrobiłyśmy, zwłaszcza nic, by zdyskredytować Aes Sedai. Przysięgam, że to prawda, cokolwiek ta dziewczyna opowiadała. Powiedziałybyśmy ci o niej, ale bałyśmy się. Spotykamy się tylko na pogawędki. Ona ma przyjaciółkę, Aes Sedai. Czy ją też złapałyście? Potrafię ją opisać, jeśli chcesz, Aes Sedai. Zrobimy wszystko, co tylko sobie zażyczysz. Przysięgam, my...

Merilille chrząknęła głośno.

– Nazywasz się Reanne Corly, jak mniemam? – Reanne wzdygnęła się i wyszeptała, że istotnie tak się nazywa, nadal wpatrując się w posadzkę pod stopami Szarej siostry. -Obawiam się, że swe słowa winnaś zaadresować przede wszystkim do Elayne Sedai, Reanne.

Reanne nerwowo podniosła głowę w sposób wyrażający pełne zmieszanie. Zagapiła się na Merilille, a potem powoli skierowała oczy, które nie mogły chyba już być większe, w stronę Elayne. Oblizwała wargi. Zrobiła głęboki długi wdech. Obróciwszy się na kolanach, by znaleźć się twarzą do Elayne, raz jeszcze skłoniła głowę.

– Dopraszam się wybaczenia, Aes Sedai – powiedziała ołowianym głosem. – Nie wiedziałam. Nie mogłam... -Jeszcze jeden długi bezradny wdech. – Naturalnie przyjmę pokornie wszelką karę, jaką wyznacysz, ale proszę, błagam, uwierz...

– Och, wstańże – przerwała jej zniecierpliwiona Elayne. Chciała wprawdzie zmusić tę kobietę, by ta oddała jej należny szacunek tak samo, jak przedtem Merilille i wszystkie pozostałe, ale zemdlilo ją od tego płaszczenia. – O tak. Powstań. – Zaczekała, aż Reanne usłucha, po czym podeszła

do krzesła tej kobiety i usiadła na nim. Całe to tarzanie się nie było potrzebne, ale nie życzyła sobie żadnych wątpliwości odnośnie do tego, kto tu dowodzi. – Nadal zaprzeczasz, że wiesz cokolwiek na temat Czary Wiatrów, Reanne?

Reanne rozłożyła ręce.

– Aes Sedai – wybąkała niewinnym tonem – żadna z nas nigdy nie użyłaby *ter'angreala*, a tym bardziej *angreala* albo *sa'angreala*. – Niewinna i czujna jak lis w mieście. – Zapewniam cię, nie udajemy, że jesteśmy kimkolwiek zbliżonym do Aes Sedai. Jesteśmy tylko taką grupką przyjaciółek, jak widzisz, związanych tym, że kiedyś zostałyśmy wpuszczone do Białej Wieży. To wszystko.

– Tylko kilka przyjaciółek – powtórzyła sucho Elayne znad złączonych palców dłoni. – W tym oczywiście Garenia. I Berowin, Derys i Alyse.

– Tak – odparła z niechęcią Reanne. – I one.

Elayne bardzo wolno pokręciła głową.

– Reanne, Biała Wieża wie o istnieniu Rodziny. Wieża zawsze wiedziała. – Ciemna kobieta o wyglądzie Tairenianki, mimo iż miała na sobie kamizelę z niebiesko-białego jedwabiu z pieczęcią gildii złotników, wydała zduszony okrzyk i przycisnęła obie pulchne dłonie do ust. Szczupła, siwiejąca Saldaeanka w czerwonym pasie zgarbiła się z westchnieniem, po czym przyłączyła się do siwowłosej kobiety na posadzce, a dwie inne również się słaniały, jakby i one miały zaraz zemdleć.

Reanne popatrzyła na siostry stojące pod drzwiami w poszukiwaniu potwierdzenia i dostrzegła je, tak jej się przynajmniej zdawało. Twarz Merilille była bardziej lodowata niż spokojna, a Sareitha skrzywiła się, zanim zdążyła się powstrzymać. Vandene i Careane zaciskały usta i nawet Adelas zdawała się brać w tym udział, bo kręciła głową, przyglądając się kobietom pod ścianami takim wzrokiem, jakby przyglądała się nieznanym jej owadom. Rzecz jasna między tym, co zobaczyła Reanne, a tym, co istniało naprawdę, była poważna różnica. One wszystkie zaakceptowały decyzję Elayne, ale żadna liczba tych “Tak, Elayne...” nie mogła sprawić, by im się to spodobało. Byłyby tu zresztą już dwie godziny wcześniej, gdyby nie mnogość tych wtrąconych “Ależ, Elayne...” Czasami przewożenie sprowadzało się do pędzenia stada.

Reanne nie zemdląca, ale z twarzą wyrażającą przerażenie, podniosła ręce w górę w błagalnym geście.

– Czy zamierzacie zniszczyć Rodzinę? Dlaczego teraz, po tak długim czasie? Co takiego zrobiliśmy, że uwzięłyście się na nas właśnie teraz?

– Nikt was nie zniszczy – obiecała jej Elayne. – Careane, ponieważ żadna najwyraźniej nie zamierza pomóc tym dwóm, może ty byś się tym zajęła? – Izbę ogarnęło nagle poruszenie, wśród podskoków i podnieconych szeptów dwie kobiety przycupnęły nad tymi, które zemdląły, unosząc ich głowy i wymachując im pod nosem pachnącymi solami, zanim Careane zdążyła dać choćby krok. – Zasiadająca na Tronie Amyrlin życzy sobie, by każda kobieta, która potrafi przenosić, związała się z Wieżą – ciągnęła Elayne. – Oferta jest otwarta dla każdej członkini Rodziny, która zechce ją przyjąć.

Gdyby utkała sploty Powietrza wokół każdej z tych kobiet, nie zastygłyby bardziej nieruchomo. Gdyby zacisnęła te sploty, nie wybałuszyłyby oczu mocniej. Jedna z kobiet, które zemdląły, raptownie nabrała oddechu i zakasłała, odpychając maleńką fiolkę z solami trzeźwiącymi, którą trzymano pod jej nosem zbyt długo. To jakby obudziło je wszystkie, wywołując nagłą powódź głosów.

– To mimo wszystko możemy zostać Aes Sedai? -spytała podnieconym głosem Tairenianka w kamizeli złotnika, w tym samym momencie, w którym kobieta o krągłej twarzy, z czerwonym pasem co najmniej dwakroć tak długim jak pasy pozostałych, wybuchnęła:

– One będą nas uczyć? Znowu będą nas uczyć? -Powódź ożywionych bolesnym pragnieniem

głosów. – Czy naprawdę możemy... – To one naprawdę nam pozwolą? -Dobiegało ze wszystkich stron.

Reanne natarła na nie zapalczywie.

– Ivana, Sumeko, zapominacie się wszystkie! Odzywacie się w obecności Aes Sedai! Odzywacie się! W obecności! Aes! Sedai! – Cała drżąc, przesunęła dłonią po twarzy. Zapadło pełne zakłopotania milczenie. Wszystkie spuściły oczy, a na ich policzkach wykwitły rumieńce. Mimo tych pomarszczonych twarzy, tych siwych i wręcz białych jak mleko włosów, Elayne nie mogła odegnąć natrętnego obrazu walk na poduszki, na jakich przyłapywała nowicjuszek ich Mistrzynie po wybiciu Kompletu.

Reanne z wahaniem popatrzyła na nią ponad czubkami palców przytkniętych do ust.

– Czy naprawdę będzie nam wolno wrócić do Wieży? -wymamrotała w dłoń.

Elayne przytaknęła.

– Te, które są zdolne nauczyć się tyle, by zostać Aes Sedai, dostaną taką szansę, ale poza tym znajdzie się miejsce dla wszystkich. Dla każdej kobiety, która potrafi przenosić.

W oczach Reanne rozbłysły łzy. Elayne nie była pewna, ale miała wrażenie, że wyszeptała: “Mogę zostać Zieloną”. Z trudem się powstrzymała, by nie podbiec do niej i nie wziąć jej w ramiona.

Żadna z pozostałych Aes Sedai nie pokazała po sobie, że poddaje się emocjom, a i Merilille z pewnością została stworzona z wyjątkowo twardego tworzywa.

– Czy wolno mi zadać pytanie, Elayne? Reanne, ile z... was zabierzemy? – bez wątpienia to chwilowe zawieszenie głosu stanowiło zamianę za “ile dzikusów i kobiet, którym się nie powiodło za pierwszym razem”.

Jeżeli Reanne zauważyła, tudzież nabrała jakichś podejrzeń, to albo zignorowała je, albo zupełnie jej to nie obeszło.

– Nie uwierzę, że są takie, które by odrzuciły ofertę – odparła bez tchu. – Posłanie wieści do wszystkich zabierze trochę czasu. Żyjemy rozproszone, rozumiecie, żeby... -Roześmiała się, trochę nerwowo i nadal bliska łez. – ...żeby Aes Sedai nas nie zauważyły. Obecnie w wykazie figurują tysiąc siedemset osiemdziesiąt trzy nazwiska.

Większość Aes Sedai potrafiła ukrywać oszołomienie za fasadą spokoju i tylko Sareitha dopuściła, by jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Wymówiła też coś bezgłośnie, ale Elayne знаła ją dobrze, by móc odczytać z warg. “Dwa tysiące dzikusów! Światłości, dopomóż nam!” Elayne zajęła się imponującym pokazem starannego układania spódnic, dopóki nie nabrała pewności, że panuje nad swoją twarzą. Światłości, dopomóż im, to prawda.

Reanne zrozumiała to milczenie opacznie.

– Spodziewałyście się więcej? Co roku dochodzi do kilku wypadków albo naturalnych zgonów, tak jak w przypadku zwykłych ludzi, i obawiam się, że Rodzina uszczupliła się podczas ostatniego tysiąca lat. Być może byliśmy zbyt ostrożne, przyjmując nowe kobiety, które opuszczają Białą Wieżę, ale zawsze był ten strach, że któraś z nich mogłaby donieść, iż ją nagabywano i... i...

– Bynajmniej nie czujemy się rozczarowane – zapewniła ją Elayne, wykonując uspokajające gesty. Rozczarowane? Omal nie zachichotała histerycznie. Kuzynek było niemal dwa razy więcej niż Aes Sedai! Egwene nigdy już nie będzie mogła jej wyrzucać, że nie miała swego udziału w sprowadzaniu do Wieży kobiet, które potrafiły przenosić. Ale jeśli Rodzina nie przyjmowała dzikusów... Trzeba jednak przejść do sedna sprawy, ten pobór w Rodzinie wszak wyniknął zupełnie przypadkowo. – Reanne – powiedziała łagodnie – czy sądzisz, że może teraz sobie przypomnisz, gdzie jest Czara Wiatrów?

Twarz Reanne przybrała barwy zachodzącego słońca.

– Nigdy ich nie dotknęliśmy, Elayne Sedai. Nie wiem, dlaczego je gromadzono. W życiu nie słyszałam o tej Czarze Wiatrów, ale jest taki magazyn, jaki opisałaś, nad...

Jakaś kobieta na dole schodów przenosiła przez krótką chwilę. Któraś krzyknęła zdjęta najczystszy przerażeniem.

Elayne w mgnieniu oka poderwała się na nogi, podobnie jak pozostałe. Birgitte dobyte sztylet gdzieś z zanadru swej pierzastej sukni.

– To musiała być Derys – stwierdziła Reanne. – Tylko ona tam jest.

Elayne pomknęła przed siebie i złapała ją za rękę, gdy ta ruszyła w stronę drzwi.

– Jeszcze nie jesteś Zieloną – mruknęła i została nagrodzona uroczym uśmiechem z dołeczkami, zdziwionym, zadowolonym i bezczelnym jednocześnie. – My się tym zajmiemy, Reanne.

Merilille i pozostałe ustawiły się po obu jej stronach, gotowe pójść za Elayne, ale Birgitte była przy drzwiach przed nimi, z uśmiechem kładąc dłoń na zasuwie. Elayne przełknęła ślinę i nic nie powiedziała. Na tym polega honor Strażnika, mawiali gaidinowie; wchodzisz pierwszy, wychodzisz ostatni. Ale ona, i tak wypełniona *saidarem*, czekała, gotowa zniszczyć wszystko, co zagrozi jej Strażnikowi.

Drzwi otworzyły się, zanim Birgitte zdążyła podnieść zasuwę.

Do środka wbiegł podskokami Mat, popychając przed sobą szczupłą pokojówkę, którą Elayne zapamiętała.

– Tak myślałem, że tu właśnie będziesz... – Uśmiechnął się bezczelnie i, ignorując groźne spojrzenia Derys, ciągnął dalej. – ...kiedy znalazłem całe cholerne mnóstwo Strażników pijących w tawernie, która należy do najmniej przez mnie ulubionych. Właśnie wróciłem z wyprawy, w trakcie której szedłem śladem pewnej kobiety do Rahad. Na najwyższe piętro pewnego domu, w którym nikt nie mieszka, mówiąc dokładniej. Podłogi były tam tak zakurzone, że od razu się zorientowałem, do której izby się udała. Na drzwiach wisi cholernie wielki zardzewiały zamek, ale postawię tysiąc koron przeciwko kopniakowi w siedzenie, że wasza Czara jest za tymi drzwiami. – Derys próbowała go kopnąć, ale on ją odepchnął, wyciągając niewielki nóż z za pasa i podrzucając na rozpostartej dłoni. – Czy któraś z was zechce powiedzieć tej dzikiej kotce, po czyjej stronie ja jestem? Na widok kobiet z nożami robię się ostatnimi czasy nerwowy.

– Już o wszystkim wiemy, Mat – odparła Elayne. Raczej właśnie miały się o wszystkim dowiedzieć, ale ten wyraz oszołomienia na jego twarzy był bezcenny. Poczowała emocje Birgitte. Tamta patrzyła na nią bez żadnego szczególnego wyrazu, ale ten niewielki kłębek emocji w tyle głowy Elayne promieniował dezaprobatą. Aviendha zapewne też nie myślałaby o tym dobrze. Odezwanie się teraz było jedną z najtrudniejszych rzeczy, na jakie Elayne kiedykolwiek się zdobyła. – Ale muszę ci podziękować, Mat. To wyłącznie dzięki tobie znalazłyśmy to, czego szukałyśmy. – Jego oczy wytrzeszczone ze zdumienia były warte całego bólu.

Prędko zamknął usta, ale zaraz otworzył je i powiedział:

– To w takim razie wynajmijmy łódź i zabierzmy tę przeklętą Czarę. Jeżeli szczęście dopisze, wyjedziemy z Ebou Dar jeszcze wieczorem.

– To niedorzeczne, Mat. I nie mów mi, że traktuję cię z góry. Nie będziemy się włóczyć po Rahad po zmroku i nie wyjedziemy z Ebou Dar, dopóki nie użyjemy Czary.

Oczywiście próbował się wyklócać, ale Derys skorzystała z okazji, że skupił uwagę na czymś innym, i znowu próbowała go kopnąć. Umknął za plecy Birgitte, pokrzykując, żeby ktoś mu pomógł, gdy tymczasem szczupła kobieta uganiała się za nim.

– Czy to twój Strażnik, Elayne Sedai? – spytała Reanne, nie dowierzając.

– Nie, na Światłość! Birgitte jest moim Strażnikiem. -Reanne opadła szczęka. Odpowiedziawszy na pytanie, Elayne sama zadała to pytanie, którego nie potrafiła zadać żadnej siostrze: – Reanne, jeśli pozwolisz, ile właściwie masz lat?

Kobieta zawahała się, zerkając na Mata, ale on nadal lawirował podskokami, starając się, by wyszczerzona w uśmiechu Birgitte odgrodziła go od Derys.

– Moje następne imieniny – odparła Reanne, jakby to była najnormalniejsza rzecz na całym świecie – będą czterysta dwudzieste.

Merilille bez zmysłów osunęła się na posadzkę.

# ROZDZIAŁ 13

## ZAPIECZĘTOWANE DLA PŁOMIENIA

*“Otulona stułą o sześciu pasach Elaida do Avriny a’Roihan siedziała w królewskiej pozie na Tronie Amyrlin – wysokim, rzeźbionym w pnącza fotelu pomalowanym obecnie na sześć kolorów miast dawnych siedmiu – i toczyła wzrokiem po owalnym wnętrzu Komnaty Wieży. Stosownie pomalowane krzesła Zasiadających zostały uszeregowane w nowym porządku, na amfiteatralnym wzniesieniu, które otaczało zwieńczoną wielką kopułą salę; dzielące je teraz odległości zaświadczały dobitnie o istnieniu już tylko sześciu Ajah. Przed swoimi krzesłami stało posłusznie osiemnaście Zasiadających. Młody al’Thor klęczał niemy obok Tronu Amyrlin – nie wolno mu było się odzywać, dopóki nie dostanie takiego pozwolenia, a dziś nie miał go uzyskać. Dzisiaj jego rola ograniczała się wyłącznie do kolejnego symbolu jej władzy. Od dwunastu faworyzowanych Zasiadających biła luna połączenia, które kontrolowała osobiście, aby al’Thor został należycie przypilnowany.*

*– Osiągnięto jeszcze większystopień zgodności stanowisk, Matko – rzekła potulnie stojąca obok Alviarin i skloniła się przed zwieńczoną Płomieniem laską. Na posadzce, u stóp wzniesienia, wrzeszczała jak opętana Sheriam; musieli ją przytrzymywać stojący u jej boków członkowie Gwardii Wieży. Czerwona siostra, która otaczała ją tarczą, krzywiła się z pogardą. Romanda i Lelaine rozpaczliwie zachowywały resztki chłodnego, pozornego opanowania, ale prawie wszystkie pozostałe, otoczone tarczami i trzymane pod strażą na posadzce, szlochały cicho, być może z ulgi, że jedynie czterem kobietom wyznaczono najwyższy wymiar kary, a być może ze strachu przed tym, co dopiero miało nastąpić. Trzy kobiece twarze odznaczały się wyraźną bladością – należały do tych, które odważyły się zasiąść w rebelianckiej Komnacie z ramienia obecnie rozwiązanych Błękitnych. Wszystkie rebeliantki zostały wyrzucone z ich Ajah, na tak długo, aż Elaida nie udzieli im pozwolenia na ubieganie się o ponowne przyjęcie, ale byłe Błękitne wiedziały, że czekają je trudne lata wielkich starań, żeby wkraść się w jej łaski, długie lata, zanim będzie im wolno wstąpić do którychkolwiek Ajah. Do tego czasu Elaida będzie je trzymała w garści.*

*Właśnie powstała i w tym momencie strumień Jedynej Mocy, przepływający przez nią od kręgu, wyglądał jak ucieleśnienie jej władzy.*

*– Komnata godzi się z wolą Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Romanda zostanie wychłostana pierwsza. – Romanda gwałtownie podniosła głowę; zobaczymy, ile godności uda jej się zachować do chwili ujarznienia. Elaida wykonała szorstki gest. – Zabrać więźniarki i wprowadzić pierwsze z omamionych siostr, które poszły za nimi. Po kolei ukorzą się przede mną.*

*Wśród więźniarek podniósł się krzyk, a jedna wyrwała się gwardziście, który trzymał ją za ramię. Egwene al’Vere przypadła do stopni u stóp Elaidy, z wyciągniętymi błagalnie rękoma, policzki miała zalane strumieniami łez.*

*– Wybacz mi, Matko! – wyłkała dziewczyna. – Żałuję! Będę ci posłuszna; już jestem posłuszna. Błagam, nie ujarzmiaj mnie! – Załamana, padła twarzą w dół, jej ramiona wstrząsało łkanie. – Błagam, Matko! Żałuję! Żałuję z całego serca!*

*– Zasiadająca na Tronie Amyrlin może okazać litość – oznajmiła Elaida głosem pełnym triumfu. Biała Wieża musiała poświęcić Lelaine, Romandę i Sheriam, żeby posłużyły za przykład, ale Amyrlin chętnie zachowa siłę tej dziewczyny dla siebie. W końcu Biała Wieża to ona. – Egwene al’Vere, buntowałaś się przeciwko Amyrlin, ale ja okażę ci litość. Zostaniesz na nowo ubrana w*



*biel nowicjuszki, dopóki nie rozsądzę, że jesteś już gotowa do wyniesienia, ale dzisiaj będziesz pierwsza, która złoży Czwartą Przysięgę na Różdkę Przysięg, przysięgę lojalności i posłuszeństwa względem Zasiadającej na Tronie Amyrlin.*

*Więźniarki padały na kolana, krzycząc, by im też pozwolono złożyć tę przysięgę, aby mogły dowieść swego prawdziwego oddania. Jedną z pierwszych była Lelaine, a ani Romanda, ani Sheriam bynajmniej nie zaliczały się do ostatnich. Egwene podczołgała się do stopni, by ucałować rąbek sukni Elaidy.*

– *Poddam się twojej woli, Matko* – wymamrotała przez łzy. – *Dziękuję ci. Och, jakże ci dziękuję!*

*Alviarin ścisnęła Elaidę za ramię, potrząsnęła.*

– *Obudź się, ty głupia kobieto! – warknęła”.*

Elaida przestraszona wybałuszyła oczy w mętnym świetle pojedynczej lampy trzymanej przez pochylającą się nad jej łóżkiem Alviarin; tamta trzymała dłoń na jej ramieniu. Wciąż ledwie na poły przebudzona, wymamrotała:

– Co powiedziałaś?

– Powiedziałam: “Zbudź się proszę, matko” – odparła chłodnym tonem Alviarin. – Covarla Baldene wróciła z Cairhien.

Elaida potrząsnęła głową, usiłując przepędzić resztki snu.

– Tak prędko? Nie spodziewałam się ich przez jeszcze co najmniej tydzień. Covarla, powiadasz? A gdzie Galina? – Głupie pytania, Alviarin nie będzie wiedziała, o co chodzi.

A jednak tamta odparła tym swoim chłodnym, krystalicznie beznamiętnym głosem:

– Covarla twierdzi, że Galina nie żyje, ewentualnie została wzięta do niewoli. Obawiam się, że wieści nie... nie są dobre.

Kwestia tego, co Alviarin powinna albo czego nie powinna była wiedzieć, umknęło natychmiast z myśli Elaidy.

– Mów – zażądała, odrzucając jedwabną kołdrę. Zarzuciła szlafrok na koszulę nocną, zawiązała pasek, ale w trakcie ubierania się do jej uszu dotarły jedynie strzępy opowieści. Jakaś bitwa. Hordy przenoszących kobiet Aielów. Al’Thor zniknął. Katastrofa. Wytracona z równowagi, zauważyła, że Alviarin jest schludnie odziana w białą suknię haftowaną srebrem, że na szyi ma udrapowaną stułę Opiekunki Kronik. Ta kobieta stroiła się, zwlekając z przyniesieniem jej wieści!

Szafkowy zegar w jej gabinecie wybijał właśnie Jutrznę, kiedy weszła do bawialni. Pierwsze godziny nowego dnia, najgorsza pora na złe wieści. Covarla, której nieprzejejdana twarz zdradzała ogrom zmęczenia i trosk, powstała pośpiesznie z jednego z wyściełanych czerwonymi poduszkami foteli i przyklękła, by ucałować pierścień Elaidy. Ciemna suknia do konnej jazdy była pokryta podróżnym kurzem, jasne włosy domagały się szczotki, a jednak wdziała szal, który nosiła od tyłu przynajmniej lat, ile żyła Elaida.

Elaida ledwie zaczęła, aż wargi kobiety dotkną Wielkiego Węża, po czym cofnęła dłoń.

– Z czym cię posłano? – spytała szorstko. Porwawszy robótkę z krzesła, na którym ją pozostawiła, usiadła i zaczęła migotać długimi prętami z kości słoniowej. Robienie na drutach służyło zasadniczo tym samym celom, co gładzenie figurek wyrzeźbionych z kości słoniowej, a z pewnością potrzebowała teraz uspokojenia. Robienie na drutach pomagało jej również w myśleniu. Musiała się skoncentrować. – Gdzie jest Katerine? – Jeżeli Galina nie żyła, to dowodzenie powinna była przejąć Katerine, stojąca wyżej od Coiren; Elaida dała jasno do zrozumienia, że kiedy już al’Thor zostanie pojmany, władzę mają przejąć Czerwone Ajah.

Covarla wstała powoli, jakby nie była pewna, czy powinna, zaciskając dłonie na szalu z

czerwonymi frędzlami zapętlonym na ramionach.

– Katerine jest jedną z zaginionych, matko. Ja stoję najwyżej pośród tych, które... – Słowa zamarły jej na ustach, kiedy Elaida wybałuszyła na nią oczy, z palcami zastygłymi w trakcie nabierania oczka. Covarla kaszlnęła i przestąpiła z nogi na nogę.

– Ile ich, córko? – spytała wreszcie Elaida. Nie potrafiła uwierzyć, że mówi tak spokojnym głosem.

– Nie wiem, ile uciekło, matko – odparła z wahaniem Covarla. – Nie odważyliśmy się tam zostać, żeby przeprowadzić dokładne poszukiwania, a...

– Ile? – krzyknęła Elaida. Otrząsnąwszy się, z wysiłkiem skupiła uwagę na swojej robótce. Nie powinna była krzyczeć, uleganie gniewowi stanowiło oznakę słabości. Nabrać oczka, przerobić i zaciągnąć. Uspokajające ruchy.

– Ja... przywiozłam ze sobą jednaście siostr, matko. – Kobieta urwała, oddychając ciężko, a potem, kiedy Elaida nic nie powiedziała, pospiesznie ciągnęła dalej: -Niewykluczone, że pozostałe może jeszcze próbują jakoś wrócić, matko. Gawyn nie chciał dłużej czekać, a my nie odważyliśmy się zostać tam bez niego i jego Młodych, nie w sytuacji, kiedy wokół było tylu Aielów, a...

Tego już Elaida nie usłyszała. Powróciło dwanaście. Gdyby innym udało się uciec, przecież czym prędzej ruszyłyby do Tar Valon i dotarły tu razem z Covarlą. Nawet jeśli jedna czy dwie były ranne, to podróżując wolno... Dwanaście. Wieża nie poniosła takiej porażki nawet podczas Wojen z Trollokami.

– Te dzikuski Aielów muszą dostać lekcję – powiedziała, nie słuchając dalszego trajkotania Covarli. Galina uważała, że może wykorzystać Aielów przeciwko Aielom; ale okazała się głupia! – Odbijemy wzięte do niewoli siostry i pokażemy im, co znaczy występować przeciwko Aes Sedai! I raz jeszcze weźmiemy do niewoli al'Thora. – Nie pozwoli mu uciec, choćby miała osobiście poprowadzić całą Białą Wieżę, żeby go pojmać! Przepowiednia nie kłamała. Ona zatriumfuje!

Covarla rzuciła jedno niepewne spojrzenie w stronę Alviarin i znowu przestąpiła z nogi na nogę.

– Matko, tamci mężczyźni... Wydaje mi się...

– Niech ci się nic nie wydaje! – warknęła Elaida. Kurczowo zacisnęła dłonie na swoich drutach i pochyliła tak gwałtownie, że Covarla naprawdę uniosła dłoń, jakby się chciała zasłonić przed ciosem. Zapomniała o obecności Alviarin. No cóż, teraz tamta wiedziała, ale tym będzie można zająć się później. – Zachowałaś dyskrecję, Covarla? Mówiłaś komuś jeszcze oprócz Opiekunki?

– Nikomu, matko – zapewniła ją pospiesznie Covarla. Żarliwie pokiwała głową, zadowolona, że coś jednak zrobiła właściwie. – Wjechałam do miasta samotnie i ukrywałam twarz dopóty, dopóki nie dotarłam do Alviarin. Gawyn zamierzał mi towarzyszyć, ale straż na moście nie chciały przepuścić żadnego z Młodych.

– Zapomnij o Gawynie Trakand – rozkazała jej zniecierpliwionym tonem Elaida. Ten młodzieniec pozostał przy życiu, chyba tylko po to, żeby pokrzyżować jej plany. Galina, jeżeli się okaże, że jednak ocalała, zapłaci również za to niedopatrzenie, nie wspominając już o ucieczce al'Thora. -Wyjedziesz z miasta ukradkiem, tak jak wjechałaś, córko, i dobrze się ukryjesz wraz z pozostałymi w jednej z wiosek po drugiej stronie mostów, dopóki po was nie poślę. Myślę, że Dorlan doskonale do tego celu się nada. – Będą musiały spać w stodołach, bo w tej maleńkiej osadzie nie było żadnej karczmy, ale na to akurat sobie zasłużyły – bałaganem, jaki spowodowały. – Idź już sobie. I módl się, by któraś z tych, które stały ponad tobą, pojawiła się jak najprędzej. Komnata zażąda rozliczenia z tej niesłychanej katastrofy, a obecnie najwyraźniej na ciebie spada główne odium winy. No idź!

Twarz Covarli zbielała. Elaida miała wrażenie, że tamta zaraz upadnie, bowiem kiedy szła do wyjścia, nogi niemalże się pod nią uginały. Otaczały ją same idiotki, zdrajczynie i niezguły!

Gdy tylko usłyszała, że zewnętrzne drzwi się zamykają, odrzuciła robótkę, poderwała się na równe nogi i ruszyła na Alviarin.

– Dlaczego nie usłyszałam o tym wcześniej? Jeżeli al’Thor uciekł... kiedy, powiedziałaś? Siedem dni temu?... jeżeli uciekł siedem dni temu, to jacyś informatorzy musieli go widzieć. Dlaczego mnie o tym nie poinformowano?

– Mogę ci przekazać jedynie to, czego dowiem się od Ajah, matko. – Alviarin spokojnie poprawiła stulę, nawet odrobinę nie wytracona z równowagi. – Czy naprawdę chcesz doprowadzić do trzeciego pogromu, starając się odbić pojmane?

Elaida parsknęła lekceważąco.

– Naprawdę wierzysz, że dzikuski górują nad Aes Sedai? Galina dała się wziąć z zaskoczenia, nie mogło być inaczej. – Skrzywiła się. – Co masz na myśli, mówiąc o “trzecim pogromie”?

– Nie słuchałaś, matko. – O dziwo, Alviarin usiadła, mimo iż nie udzielono jej pozwolenia, zakładając nogę na nogę i spokojnie poprawiając spódnicę. – Covarla twierdzi, że może jakoś by się obroniły przeciwko dzikusom, choć ja żadną miarą nie podzielam jej pewności, ale problem stanowili ci dziwni mężczyźni. Kilkuset mężczyzn w czarnych kaftanach, wszyscy przynosili. Tego akurat była absolutnie pewna i pozostałe też zdają się nie mieć najmniejszych wątpliwości. “Żywa broń”, tak ich nazwała. Moim zdaniem omal nie narobiła ze strachu na samo tylko wspomnienie.

Elaida wstała, jakby uderzona obuchem. Kilkuset?

– To niemożliwe. Nie może być ich więcej jak... -Podeszła do stołu – który wyglądał, jakby w całości zrobiono go z kości słoniowej oraz złocen – i naląła winnego ponczu do kielicha. Brzeg kryształowego dzbana zaszczekał o kryształ naczynia i prawie połowa ponczu wylała się na złotą tacę.

– Al’Thor potrafi Podróżować – rzekła nagle Alviarin – a zatem wydaje się logiczne, że co najmniej kilku spośród tych mężczyzn też to potrafi. Covarla jest prawie pewna, że takim właśnie sposobem tam przybyli. Podejrzewam, że raczej mocno się zdenerwował tym, jak go potraktowano. Covarlę najwyraźniej nieco to niepokoi, dała do zrozumienia, że inne siostry również. Niewykluczone, że dojdzie do wniosku, iż powinien ci się jakoś odplacić. A nie byłoby miło, gdyby ci mężczyźni zniemacka pojawili się znikąd w Wieży, nieprawdaż?

Elaida w zasadzie jednym ruchem wlała sobie resztę ponczu w gardło. Galina została poinstruowana, aby podjąć kroki mające zapewnić uległość al’Thora. Gdyby tu przybył, by wziąć odwet... jeżeli tam były naprawdę setki mężczyzn, którzy potrafili przynosić, albo nawet choćby tylko stu... Myśleć! Musi pomyśleć!

– Myślę, że gdyby rzeczywiście mieli przybyć, to już by tu byli. Nie zmarnowałiby okazji zrobienia nam niespodzianki. Być może zresztą al’Thor nie życzy sobie konfrontacji z całą Wieżą. Przypuszczam, że tamci wrócili do Caemlyn, do tej ich Czarnej Wieży. Co, obawiam się, oznacza z kolei, że Toveine czeka bardzo nieprzyjemna niespodzianka.

– Wystosuj do niej rozkaz, na piśmie, że ma natychmiast wracać – odrzekła ochryple Elaida. Poncz wcale nie pomagał. Odwróciła się i wzdrygnęła, widząc stojącą tuż przed nią Alviarin. Może nie było ich nawet stu... Nawet stu? O zachodzie słońca dziesięciu wydawałoby się czystym szaleństwem, jednak nie mogła ryzykować. – Napisz do niej, Alviarin. Teraz, natychmiast.

– A w jaki sposób dostarczyć list? – Alviarin przekrzywiła głowę z lodowatym zainteresowaniem. Z jakiegoś powodu jej usta wykrzywił nieznaczny uśmiešek. -Żadna z nas nie potrafi Podróżować. Statki wiozące Toveine i jej oddział do Andoru wkrótce przybędą na miejsce, o

ile już się to nie stało. Kazałaś jej podzielić oddział na niewielkie grupki i unikać wiosek, żeby nikogo nie zaalarmować. Nie, Elaido, obawiam się, że Toveine skrzyknie swoje posiłki, kiedy już dotrą w okolice Caemlyn, i przypuści atak na Czarną Wieżę, nie odebrawszy od nas żadnych wieści.

Elaidzie aż zaparło dech. Ta kobieta właśnie zwróciła się do niej po imieniu! Zanim jednak zdążyła wybuchnąć wściekłością, nadeszło jeszcze gorsze...

– Moim zdaniem znalazłaś się w wielkich tarapatach, Elaido. – Zimne oczy wpatrywały się w jej oczy, a z uśmiechniętych warg wylewał się gładko potok lodowatych słów. – Prędzej czy później, Komnata dowie się o klęsce z al'Thorem. Galina być może jakoś ugłaskałaby Komnatę, ale wątpię, czy uda się to Covarli; będą chcieli, by ktoś... wyżej postawiony... zapłacił... I, prędzej czy później, dowiemy się wszystkie o losie Toveine. A wtedy trudno będzie dźwignąć ciężar odpowiedzialności. – Niedbałym ruchem poprawiła stołę Amyrlin na ramionach Elaidy. – W rzeczy samej okaże się to niemożliwe, jeśli się wkrótce dowiedzą. Ujarzmią cię, zrobią z ciebie przykład tak samo, jak ty chciałaś postąpić z Siuan Sanche. Może jednak jest jeszcze czas na to, aby się uratować z opresji, pod warunkiem wszak, że posłuchasz swojej Opiekunki. Musisz przyjąć dobrą radę.

Elaida miała wrażenie, że język stanął jej kołkiem. Pogróżka nie mogła zostać wyrażona jaśniej.

– To, co usłyszałaś dziś wieczorem, jest Zapieczętowane dla Płomienia – powiedziała zduszonym głosem, ale wiedziała, że te słowa na nic się nie zdadzą, jeszcze zanim opuściły jej usta.

– Jeżeli zamierzasz odrzucić moją radę... – Alviarin urwała, po czym zaczęła się odwracać.

– Zaczekaj! – Elaida opuściła rękę, którą nieświadomie wyciągnęła. Pozbawiona stoły. Ujarzmiona. I potem jeszcze będą dokładały wszelkich starań, żeby nawet na chwilę nie przestała skowycić. – Co...? – Musiała urwać i przełknąć ślinę. – Jaką to radę oferuje moja Opiekunka? – Musiał istnieć jakiś sposób, by do tego nie dopuścić.

Alviarin westchnęła i znowu stanęła tuż przy niej. Bliżej, wręcz o wiele za blisko niż komukolwiek wolno było stawać przed Amyrlin: ich spódnice niemalże się dotykały.

– Obawiam się, że musisz zostawić Toveine na pastwę losu, przynajmniej w tej chwili. A także Galinę i wszystkie inne, które zostały wzięte do niewoli, czy to przez Aielów czy to przez Asha'manów. Obecnie wszelka próba ich odbicia będzie oznaczała odkrycie się.

Elaida powoli skinęła głową.

– Tak. Rozumiem to. – Nie potrafiła oderwać przerażonych oczu od rozkazującego spojrzenia tamtej. Musi istnieć jakiś sposób! To się przecież nie może dziać naprawdę!

– I wydaje mi się, że czas już najwyższy, abyś ponownie przemyślała swoją decyzję odnośnie do Gwardii Wieży. Czy naprawdę nie sądzisz, że mimo wszystko Gwardia powinna powiększyć swe szeregi?

– Ja... teraz już rozumiem, dlaczego należy to zrobić. – Światłości, musi myśleć!

– No to bardzo dobrze – mruknęła Alviarin i Elaida zaczerwieniła się z bezsilnej złości. – Jutro osobiście przeszukasz izby Josaine i Adelorny.

– Dlaczego, na Światłość, miałabym...?

Alviarin znowu szarpnęła za jej prążkowaną stołę, tym razem brutalnie, jakby chciała ją zerwać albo wręcz przeciąć nią szyję Elaidy.

– Wydaje się, że Josaine znalazła przed kilku laty pewien *angreal* i nigdy go nie przekazała. Adelorna zrobiła coś jeszcze gorszego, obawiam się. Bez zezwolenia zabrała jakiś *angreal* z jednej z przechowalni. Kiedy już je znajdziesz, bezzwłocznie ogłosisz, jaką wyznaczasz im karę. Coś naprawdę nieprzyjemnego. I jednocześnie wymienisz Doraise, Kiyoshi i Farellien jako wzór poszanowania prawa. Każdej ofiarujesz jakiś prezent; dobre nowe wierzchowce wystarczą.

Elaida zaczęła się obawiać, że oczy zaraz wyskoczą jej z orbit.

– Dlaczego? – Od czasu do czasu któraś siostra zatrzymywała *angreal* dla siebie, łamiąc tym samym prawo, ale karą rzadko kiedy było coś więcej niż surowe trzepnięcie po palcach. Wszystkie siostry wiedziały, co to pokusa. I jeszcze tamto! Wniosek był oczywisty. Wszystkie będą sądziły, że to Doraise, Kiyoshi i Farellien wydały tamte dwie. Josaine i Adelorna należały do Zielonych, tamte trzy odpowiednio do Brązowych, Szarych i Żółtych. Zielone Ajah będą wściekłe. Mogą nawet spróbować się zemścić na tamtych, co z kolei podburzyłoby ich Ajah, a... – Dlaczego tego chcesz, Alviarin?

– Elaido, doprawdy powinno ci wystarczyć, że taka jest właśnie moja rada. – Drwiący, przyprawiany miodem lód nagle przeobraził się w zimną stal. – Chcę usłyszeć, jak mówisz, że postąpisz tak, jak ci każę. W przeciwnym razie nie ma sensu, bym pracowała na rzecz zachowania stuy na twoim karku. Powiedz to!

– Ja... – Elaida usiłowała odwrócić wzrok. Och Światłości, musiała myśleć! Żołądek zacisnął jej się w supeł. -Zrobię-to-co-mi-każesz.

Alviarin uśmiechnęła się lodowato.

– No i sama widzisz, wcale tak mocno nie bolało. – Zrobiła nagle krok w tył, rozpościerając spódnice i dygając niezbyt głęboko. – Za twoim przyzwoleniem, pójdę już sobie, abys mogła zaznać trochę snu, póki coś jeszcze zostało z nocy. Rankiem musisz wstać wcześniej, żeby wydać rozkazy Wysokiemu Kapitanowi Chubainowi i zająć się przeszukiwaniem apartamentów. Musimy też zdecydować, kiedy powiadomimy Wieżę o Asha'manach. -Ton głosu dawał jasno do zrozumienia, że ona sama o tym zadecyduje. – I, być może, powinniśmy zacząć planować nasz następny krok przeciwko al'Thorowi. Już najwyższy czas, by Wieża jasno określiła swe stanowisko i przywołała go do porządku, nie sądzisz? Dobrze się zastanów. Życzę ci dobrej nocy, Elaido.

Oszłomiona, bliska wymiotów, Elaida patrzyła, jak tamta wychodzi. Jasno określić stanowisko? To byłoby zaproszenie do ataku ze strony tych – jak ta kobieta ich nazwała? – tych Asha'manów. To nie mogło się jej przydarzyć. Nie jej! Zanim do niej dotarło, co robi, cisnęła pucharem przez całą długość pokoju i ten roztrzaskał się o gobelin z kwiatami. Pochwyciwszy dzban obiema dłońmi, uniosła go nad głowę z okrzykiem wściekłości i też nim rzuciła, rozbryzgując poncz na wszystkie strony. W Przepowiedni było tyle pewności! To ona będzie...!

Nagle znieruchomiła, ze skrzywionymi ustami wpatrzona w drobniutkie kryształowe okruchy, które przywarły do gobelinu i większe rozsiane po posadzce. Jej triumf! Alviarin mogła odnieść pomniejsze zwycięstwo, ale przyszłość należała do Elaidy. Pod warunkiem, że uda się jakoś pozbyć Alviarin. Ale to należało zrobić po cichu, w taki sposób, żeby nawet Komnata zapragnęła całkowitego milczenia w tej sprawie. W taki sposób, który nie będzie wskazywał na Elaidę, jeśli sprawy zajdą za daleko, a Alviarin coś zwietrzy. I nagle ją olśniło. Alviarin by nie uwierzyła, nawet gdyby jej powiedziano. Nikt by nie uwierzył.

Gdyby Alviarin mogła w tym momencie widzieć uśmiech Elaidy, to jej kolana zamieniłyby się w galaretę. Zanim Elaida ziści swój zamiar, Alviarin będzie zazdrościła Galinie, bez względu na to, czy tamta jest żywa czy martwa.

Alviarin przystanęła na korytarzu zaraz za drzwiami apartamentów Elaidy i przyjrzała się swoim dłoniom w świetle stojących lamp. Nie trzęsły się, co ją zdziwiło. Spodziewała się, że ta kobieta będzie walczyła bardziej zazarcie, że będzie dłużej się opierała. Niemniej, oto zaczęło się, a ona nie miała powodów do obaw. Chyba że do Elaidy dotrze, iż już wcześniej od chyba pięciu Ajah

otrzymała wzmianki o al'Thorzedetronizacja Colavaere sprawiła, że wszystkie agentki rzuciły się do piór. Nie, nawet gdyby Elaida się dowiedziała, ona i tak będzie bezpieczna, a to dzięki władzy, jaką teraz zyskała nad nią. I dzięki protektorce w osobie Mesaany. Tak czy owak, Elaida była skończona, czy sobie zdawała z tego sprawę czy nie. Nawet jeśli Asha'mani nie będą rozgłaszać wszem wobec, że rozgromili ekspedycję Toveine – a była przekonana, że ją rozgromią, na podstawie tego, co Mesaana opowiadała jej o zdarzeniach, jakie miały miejsce pod Studniami Dumai – wszyscy informatorzy z Caemlyn naprawdę dostaną skrzydeł, kiedy się dowiedzą. Elaidę, chyba że zdarzy się cud, jak na przykład pojawienie się rebeliantek u bram, spotka w ciągu kilku tygodni taki sam los jak Siuan Sanche. W każdym razie zaczęło się, i choć wolałaby wiedzieć, co dokładnie się zaczęło, to tak naprawdę nic już odtąd nie musiała robić, tylko okazywać posłuszeństwo. I być czujna. I uczyć się. Niewykluczone, że kiedy wszystko się skończy, sama przywdzieje stułę z siedmioma paskami.

Seaine umoczyła pióro w kałamarzu oblanym blaskiem porannego słońca zagładającego przez jej okna, ale nim zdołała napisać pierwsze słowo, drzwi do komnaty otworzyły się i do środka zamaszystymi krokami weszła Amyrlin. Seaine uniosła w zaskoczeniu gęste czarne brwi: spodziewałaby się dosłownie każdego, może i nawet samego Randa al'Thora, tylko nie Elaidy. A mimo to odłożyła pióro i powstała z gracją, obciągając srebrno-białe rękawy, które podwinęła, żeby ich nie powalać atramentem. Dygnęła tak, jak powinna dygać przed Amyrlin Zasiadającą w swoich własnych apartamentach.

– Żywię głęboką nadzieję, że nie dowiedziałaś się o jakiejś Białej siostrze, która by ukrywała *angreal*, Matko. -Pomimo tych wszystkich lat w jej głosie nadal słyszało się nieznaczące pozostałości akcentu z Lugardu. Naprawdę żywiła taką nadzieję i to z całego serca. Najście, jakiego Elaida dokonała na Zielone kilka godzin temu, kiedy większość z nich jeszcze spała, prawdopodobnie nadal stanowiło powód do szlochów i zgrzytania zębami. Żadna w pamięci żyjących nie została wychłostana za przetrzymywanie *angreala*, a teraz miały zostać ukarane dwie. Amyrlin musiała paść ofiarą jednego ze swych osławionych ataków lodowatej furii.

Nawet jeśli tak było, to teraz nie pozostało po nim ani śladu. Przez chwilę przypatrywała się Seaine w milczeniu, chłodna jak zimowy sad w tych swoich jedwabkach z czerwonymi cięciami, po czym posuwistymi krokami podeszła do rzeźbionego kredensu, na którym stały miniaturowe portrety członków rodziny Seaine, namalowane na kości słoniowej. Wszyscy pomarli przed wielu laty, ale ona nadal kochała każdego, bez wyjątku.

– Nie poparłaś mojego wyniesienia na Tron Amyrlin -powiedziała Elaida, podnosząc podobiznę ojca Seaine. Odłożyła ją pospiesznie i dla odmiany wzięła do ręki portret matki.

Seaine mało co, a znowu podniosłaby brwi, ale z zasady starała się nie dopuszczać, by zaskakiwano ją częściej niż raz dziennie.

– Nie zostałam w porę poinformowana, że Komnata się zbiera, Matko.

– Tak, tak. – Pozostawiwszy portrety w spokoju, Elaida podeszła do kominka. Seaine zawsze lubiła koty i cała półka nad kominkiem była zastawiona kotami wyrzeźbionymi z drewna, niektóre w bardzo zabawnych pozach. Amyrlin przyjrzała się z lekką dezaprobatą tej ekspozycji, po czym zacisnęła powieki i nieznacznie pokręciła głową. -Jednak pozostałaś -powiedziała, odwracając się szybko. – Wszystkie Zasiadające, które nie zostały poinformowane, uciekły z Wieży i przyłączyły się do rebeliantek. Z twoim wyjątkiem. Dlaczego?

Seaine rozłożyła ręce.

– Czy mogłam postąpić inaczej, Matko? Wieża musi stanowić całość. – “Niezależnie od tego,

kim jest Amyrlin – dodała w duchu. – A poza tym, co jest nie tak z moimi kotami, jeśli wolno spytać?” Tego pytania nigdy nie odważyłaby się zadać na głos. Sereille Bagand była wyjątkowo surową Mistrznią Nowicjuszek, zanim została wyniesiona do godności Zasiadającej na Tronie Amyrlin, tego samego roku, w którym Seaine dosłużyła się szala, i surowszą była później Amyrlin niż Elaida nawet z bólem zębów. Zbyt silnie i głęboko, całymi latami, wpajano w nią zasady dobrego wychowania, by teraz miała się zmienić. Względnie okazać niechęć kobiecie, która nosiła stułę. Nikt nie musiał lubić Amyrlin.

– Wieża musi stanowić całość – zgodziła się Elaida, zacierając dłonie. – Musi stanowić całość. – Zaraz, dlaczego jest tak zdenerwowana? Jej humory obejmowały dziewięćdziesiąt dziewięć odmian, wszystkie twarde jak ostrze noża i dwakroć ostrzejsze, ale nerwowa ta kobieta na pewno nie była. – To, co teraz ci mówię, jest Zapieczętowane dla Płomienia, Seaine. – Jej usta wykrzywiły się ironicznie i wtedy wzruszyła ramionami, z irytacją szarpiąc stułę. – Gdybym wiedziała, jak uczynić ją silniejszą, zrobiłabym to – powiedziała, a raczej rzuciła sucho.

– Zachowam twoje słowa w sercu, Matko.

– Pragnę... rozkazuję ci... byś zajęła się dochodzeniem. I musisz naprawdę zachować całą sprawę w sercu. Gdyby wieść o tym dotarła do niewłaściwych uszu, wszystko może się zakończyć zagładą i klęską całej Wieży.

Brwi Seaine drgnęły. Zagłada i klęska całej Wieży?

– W sercu – powtórzyła. – Czy zechcesz usiąść, Matko? – Tak się należało zwracać, gdy się znajdowało we własnych apartamentach. – Czy mogę ci nalać trochę miętowej herbaty? Albo śliwkowego ponczu?

Elaida machnęła ręką na znak, że odmawia, po czym zajęła najwygodniejsze krzesło, to, które ojciec Seaine wyrzeźbił dla niej w charakterze podarunku, kiedy otrzymała szal, choć oczywiście poduszki były wielokrotnie wymieniane od tego czasu. Amyrlin, z tymi sztywnymi plecami i żelaznym obliczem, sprawiała, że to zwykłe wiejskie krzesło wyglądało teraz jak tron. Okazując nadzwyczajny brak uprzejmości, nie pozwoliła Seaine usiąść, toteż ta tylko zaplotła ręce i nadal stała.

– Długo i dogłębnie zastanawiałam się nad zdradą, Seai ne, jako że nie zapomniałam, iż mojej poprzedniczce oraz jej Opiekunce pozwolono uciec. Udzielono im pomocy w ucieczce. Musiała za tym wszystkim stać zdrada i obawiam się, że mogła jej dokonać jedynie jakaś siostra albo wręcz kilka sióstr.

– Z pewnością istnieje taka możliwość, Matko. – Elaida skrzywiła się, kiedy jej przerwano.

– Nigdy nie możemy być pewne, w czym sercu kryje się cień zdrady, Seaine. No jakże, podejrzewam, że ktoś się postarał, aby nie wypełniono moich rozkazów. I mam powody, by wierzyć, że ktoś kontaktował się prywatnie z Randem al'Thorem. Z jakim skutkiem, nie umiem orzec, ale z pewnością stanowi to akt zdrady, wymierzonej tak przeciwko mnie, jak i przeciwko Wieży.

Seaine czekała na ciąg dalszy, ale Amyrlin tylko spojrzała na nią, wolnymi ruchami, jakby nieświadomie, gładząc spódnice z czerwonymi cięciami.

– A dokładnie, jakie dochodzenie mam przeprowadzić w twoim imieniu? – spytała ostrożnie.

Elaida poderwała się z krzesła.

– Nakazuję ci iść za smrodem zdrady, niezależnie od tego, dokąd cię zawiedzie, tudzież, jak wysoko, nawet jeśli aż do samej Opiekunki. Wszystko, czego się dowiesz, z kim by się nie wiązało, przedstawisz wyłącznie samej Zasiadającej na Tronie Amyrlin, Seaine. Nikt inny nie może się dowiedzieć. Czy mnie rozumiesz?

– Rozumiem treść twoich rozkazów, Matko.

Ale to akurat, pomyślała sobie, kiedy Elaida wyszła z jej pokoju, jeszcze szybciej niż do niego

wkroczyła, było niemal wszystkim, co rozumiała. Usiadła na krześle zwolnionym przez Amyrlin, żeby pomyśleć, z pięściami przyciśniętymi pod brodą w taki sam sposób, w jaki jej ojciec zawsze rozmyślał, gdy siedział. Wszystko, ostatecznie, dawało się uporządkować wedle zasad logiki.

Nigdy nie wystąpiłaby przeciwko Siuan Sanche – ona przede wszystkim zaproponowała, by ta dziewczyna została Zasiadającą na Tronie Amyrlin! – ale kiedy już wszystko się dokonało, kiedy odprawiono niezbędne rytuały, nieważne, w jak skąnym zakresie, pomaganie jej w ucieczce z pewnością stanowiło akt zdrady, w takim samym zresztą stopniu sprzeciwianie się rozkazowi Amyrlin. Być może kontaktowanie się z al'Thorem również; to zależało od tego, co się komunikowało, z jakimi intencjami. Wykrycie, kto naruszył rozkaz Amyrlin, będzie trudne, jeśli się nie znało treści rozkazu. Po tak długim czasie wykrycie, kto mógł pomóc Siuan w ucieczce, miało mniej więcej takie same szanse powodzenia jak znalezienie siostry pisującej do al'Thora. Tyle gołębi wylatywało codziennie z gołębników Wieży, że niekiedy z nieba zdawał się padać deszcz piór. Gdyby Elaida wiedziała coś więcej ponad to, co powiedziała, z pewnością osobiście poszłaby sprawdzić, co się kryje za tą informacją. W tym wszystkim niewiele było sensu. Elaida powinna aż się gotować ze złości z powodu zdrady, a tymczasem wcale nie była zła. Była zdenerwowana. I cały czas aż się paliła, żeby już sobie pójść. I zachowywała się bardzo tajemniczo, jakby nie chciała powiedzieć wszystkiego, co wiedziała albo choć podejrzewała. Prawie tak, jakby się czegoś bała. Cóż to musiała być za zdrada, skoro Elaida była zdenerwowana albo wręcz odczuwała strach? Zagłada i katastrofa dla całej Wieży.

I niespodzianie wszystko wskoczyło na swoje miejsce niczym kawałki kowalskiej układanki: brwi Seaine podskoczyły, jakby kierowane własną wolą usiłowały niemal wspiąć się na linię czoła. Pasowało, wszystko pasowało. Poczula, że krew ucieka jej z twarzy, dłonie i stopy ogarnął nagle lodowaty chłód. Zapieczętowane dla Płomienia. Przymknęła, że zatrzyma wszystko w sercu, ale wszystko się zmieniło, odkąd wymówiła te słowa. Pozwalała sobie na strach tylko wtedy, gdy tak nakazywała logika, a w tym momencie była śmiertelnie przerażona. Nie da rady uporać się z tym samotnie. Tylko z kim? Z kim, w takich okolicznościach? Odpowiedź znalazła bez trudu. Pozbieranie się zabrało jej trochę czasu, ale wypadła pospiesznie ze swoich pokoi, a potem z kwater Białych siostr, idąc znacznie szybciej niż zazwyczaj.

Słudzy przemykali się korytarzami jak zawsze, jednakże ona maszerowała tak żwawo, że mijała ich, zanim zdążyli dygnąć albo się skłonić. Siostr za to napotkała mniej, niż dałoby się to wytłumaczyć wczesną porą. Znacznie mniej. Ale z kolei, nawet jeśli większość z jakiegoś powodu trzymała się w okolicach swych kwater, obecność tych nielicznych na korytarzach zaznaczała się dostatecznie wyraźnie. Siostry sunęły dostojnie pod ścianami gobelinów, z twarzami pełnymi pozornego spokoju, jednak ich oczy gorzały. Tu i tam dwie albo trzy kobiety rozmawiały ze sobą, tocząc wkoło rozbieranym przenikliwym wzrokiem, by sprawdzić, czy ktoś im się przysłuchuje. Zawsze po dwie albo trzy z tych samych Ajah. Jeszcze wczoraj była pewna, widywała razem kobiety z różnych Ajah-złączone więzami przyjaźni. Powszechnie uważano, że Białe całkiem wyzbywają się uczuć, ona sama jednakże nigdy nie widziała powodu, żeby się w ten sposób zaślepiac, jak to czyniły niektóre. Od podejrzeń powietrze w Wieży upodobniło się do gorącej galarety. Nic nowego, niestety – zaczęła to Amyrlin swymi surowymi metodami postępowania, a pogłoski o Logainie dodatkowo zaogniły sytuację – ale tego ranka zdawało się, że jest gorzej niż zazwyczaj.

Zza rogu wyszła Talene Minly, z jakiegoś powodu z szalem nie tylko narzuconym na ramiona, ale rozpostartym na rękach, jakby po to, by wszystkim demonstrować te zielone frędzle. Seaine zdążyła już zresztą spostrzec, że wszystkie Zielone, które widziała tego ranka, nosiły szale. Talene, złotowłosa, majestatyczna i śliczna, przyczyniła się do obalenia Siuan, ale przybyła do Wieży, kiedy



Seaine była jeszcze Przyjętą i ta decyzja nie nadważyła ich wieloletniej przyjaźni. Talene miała swoje powody, które Seaine akceptowała, nawet jeśli się z nimi nie godziła. Dzisiaj jej przyjaciółka zatrzymała się, obserwując ją czujnie. Ostatnio wiele sióstr obserwowało się wzajemnie w takiż sposób. Innym razem sama by się zatrzymała, ale nie teraz, kiedy miała wrażenie, że lada chwila głowa jej wybuchnie niczym przegniły melon. Talene była przyjaciółką i Seaine wierzyła, że może być jej pewna, ale w tym momencie sama wiara nie mogła wystarczyć. Później, jeśli nadarzy się sposobność, podejdzie do Talene. Z nadzieją, że to jednak będzie możliwe, minęła tamtą pospiesznie, skinąwszy jedynie głową.

W kwaterach Czerwonych atmosfera zdawała się jeszcze gorsza, a powietrze gęstsze. Podobnie jak u innych Ajah, również tutaj było więcej pokoi niż sióstr, które mogłyby z nich korzystać – taki stan utrzymywał się od bardzo dawna, na długo zanim uciekły pierwsze rebeliantki – ale Czerwone tworzyły najliczniejszą z Ajah i nadal wypełniały używane piętra. Czerwone często nosiły szale bez potrzeby, ale nawet tutaj wszystkie, co do jednej wystawiały na pokaz swoje czerwone frędzle niczym sztandary. Rozmowy urwały się, kiedy nadciągnęła Seaine; zimny wzrok tych kobiet śledził ją w bańce lodowatego milczenia. Czowała się jak najeźdźca, który wkracza w głąb terytorium wrogiego państwa, kiedy tak szła przez osobliwe płytki posadzki, z czerwonym Płomieniem Tar Valon w kształcie łyzy na białym tle. Ale każda część Wieży mogła stanowić wrogie państwo. Gdy spojrzeć na nie z innej strony, te szkarłatne płomienie mogły zostać wzięte za czerwone Kły Smoka. Nigdy nie uwierzyła w te irracjonalne opowieści o Czerwonych i fałszywych Smokach, ale... Dlaczego żadna z nich nie zaprzeczyła?

W końcu musiała zapytać o drogę.

– Nie będę jej przeszkadzała, jeśli jest zajęta – obiecała. – Byłyśmy bliskimi przyjaciółkami, dawno temu, i chciałabym, abyśmy znowu się nimi stały. Ajah nie powinny się od siebie oddalać, szczególnie teraz jest to ważne. – Wszystko prawda, z tym że Ajah zdawały się nie tyle od siebie oddalać, co pozwalały na powstawanie głębokich rozłamów między nimi, niemniej kobieta Domani wysłuchiwała tego z twarzą, która wyglądała jak maska odlana z miedzi. Niewiele Domani należało do Czerwonych, a te nieliczne były zazwyczaj bardziej wredne niż węże, które zaklinowały się między deskami w płocie.

– Zaprowadzę cię, Zasiadająca – odpowiedziała w końcu kobieta głosem, w którym z pewnością nie było nadmiernego szacunku. Szła przodem, a potem przypatrywała się, gdy Seaine pukała do drzwi, jakby nie można jej było zaufać i zostawić tu samej. W płycinach drzwi też były wyrzeźbione Płomienie, pokryte lakierem barwy świeżej krwi.

– Wejść! – zawołał energiczny głos. Seaine otworzyła drzwi z nadzieją, że się nie pomyliła.

– Seaine! – zakrzyknęła radośnie Pevara. – Co cię tu sprowadza o poranku? Wejdz! Zamknij drzwi i siadaj! – Wydawało się, że wszystkie te lata, jakie minęły od czasu, gdy obie były nowicjuszkami i Przyjętymi, nagle gdzieś się rozwiały. Pevara, dość pulchna i niewysoka, w rzeczy samej niska jak na Kandoryjkę, była jednak urodziwa, z tym wesołym błyskiem w ciemnych oczach i szczerym uśmiechem. Smutne, że wybrała Czerwone – niezależnie od tego, jak ważne miała powody – ponieważ nadal lubiła mężczyzn. Czerwone Ajah przyciągały do siebie głównie te kobiety, które z natury były podejrzliwe względem mężczyzn, ale inne wybierały je dlatego, ponieważ bardzo poważnie traktowały misję wyszukiwania mężczyzn, którzy potrafią przenosić. Niezależnie od tego, czy z początku lubiły czy nie lubiły mężczyzn, względnie traktowały ich z całkowitą obojętnością, niewiele kobiet po dłuższym czasie przynależności do Czerwonych potrafiło ustrzec się przed nabraniem ujemnego stosunku do wszystkich przedstawicieli płci przeciwnej. Seaine miała powody, by sądzić, że Pevara odsłużyła jakąś karę krótko po zdobyciu szala za to, że wyznała, iż chciałaby

mieć Strażnika; od czasu osiągnięcia bezpieczniejszych poziomów Komnaty otwarcie twierdziła, że Strażnicy ułatwiliby prace Czerwonych Ajah.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że cię widzę – powiedziała Pevara, kiedy już się usadowiły w fotelach rzeźbionych motywami spiral, bardzo popularnymi w Kandorze przed stu laty, trzymając w dłoniach delikatne, malowane w motyle filiżanki napełnione jagodową herbatą. – Często myślałam, że powinnam przejść się do ciebie, ale przyznaję, bałam się, co powiesz po tym, jak się od ciebie odsunęłam przed tyloma już laty. Przysięgam na tamto ostrze, Seaine, nie zrobiłabym tego, ale Tesien Jorhald praktycznie trzymała mnie za kark, a zresztą zbyt krótko nosiłam szal, by się dorobić silnego kręgosłupa. Czy możesz mi wybaczyć?

– Ależ oczywiście, że mogę – odparła Seaine. – Zrozumiałam. – Czerwone w zasadzie stanowczo zrywały wszelkie przyjaźnie wykraczające poza ich Ajah. Stanowczo i dość skutecznie. – Nie możemy występować przeciwko naszym Ajah, kiedy jesteśmy młode, a później wydaje się, że nie da się już cofnąć po własnych śladach. Tysiąc razy wspominałam, jak sobie szeptałyśmy sekrety po wybiciu Komplety... Och i te nasze psoty! Czy pamiętasz, jak posypałyśmy bieliznę Seranchy sproszkowanym świerzbodębem. Ale ze wstydem przyznaję, że bałam się wtedy do utraty zmysłów, bałam się nawet zaszurać nogami. Naprawdę chcę, abyśmy znowu stały się przyjaciółkami, ale potrzebuję też twojej pomocy. Wiem, że tobie jedynej mogę zaufać.

– Serancha była wtedy zarozumiałą pedantką, zresztą nadal nią jest-rzekła ze śmiechem Pevara. – Szare to dobre miejsce dla niej. Ale nie potrafię uwierzyć, że ty się czegokolwiek bałaś. No jakże, nigdy nie uważałaś, że powinnyśmy się bać, dopóki nie powróciłyśmy do łóżek. Oprócz obietnicy, że stanę przed Komnatą, nie wiedząc za co, możesz się z mojej strony spodziewać wszelkiej pomocy, jakiej będę ci mogła udzielić, Seaine. Czego ci trzeba?

Zmuszona powiedzieć, po co tu przyszła, Seaine wahała się, popijając herbatę. Nie żeby miała jakieś wątpliwości w stosunku do Pevary, ale wyduszenie z siebie tych słów okazało się... trudne.

– Dziś rano przyszła do mnie Amyrlin – powiedziała w końcu. – Nakazała mi przeprowadzić dochodzenie, Zapieczętowne dla Płomienia. – Pevara skrzywiła się nieznacznie, ale nic nie powiedziała, dla obu było oczywiste, że Seaine nie powinna rzec ani słowa na ten temat. Niby to Seaine planowała wszystkie figle ich młodości, niemniej właśnie Pevara miała w sobie dość zuchwałości, by wymyślać większość i to ona dysponowała odwagą niezbędną do ich realizacji. – Wyrażała się bardzo oględnie, ale kiedy poddałam rzecz pod rozwagę, zrozumiałam jasno, czego chciała. Mam polować na... – I tu odwaga opuściła jej język. – ... Sprzymierzeńców Ciemności w Wieży.

Oczy Pevary, tak ciemne jak z kolei jej intensywnie niebieskie, stały się nagle niczym kamień, niewidzącym spojrzeniem omiotła półkę ponad kominkiem, na której w idealnie równym szeregu stały miniaturowe portrety członków jej rodziny. Wszyscy oni odeszli z tego świata, kiedy jeszcze była nowicjuską, rodzice, bracia i siostry, ciotki, wujkowie i reszta, pomordowani w szybko stłumionym powstaniu Sprzymierzeńców Ciemności, którzy uwierzyli, że Czarny lada chwila wyrwie się na wolność. Dlatego właśnie Seaine była tak pewna, że może jej zaufać. Dlatego właśnie Pevara wybrała Czerwone – aczkolwiek Seaine nadal uważała, że radziłaby sobie lepiej i byłaby szczęśliwsza jako Zielona – ponieważ wierzyła, że Czerwona polująca na mężczyzn, którzy potrafią przynosić, dysponuje większymi możliwościami znajdowania Sprzymierzeńców Ciemności. Była w tym bardzo dobra, pulchna sylwetka kryła wewnątrz stalowy rdzeń. I miała też odwagę, by spokojnie powiedzieć to, czego Seaine nie była zdolna wymówić.

– Czarne Ajah. No cóż. Nic dziwnego, że Elaida była ostrożna.

– Pevaro, wiem, że ona zawsze zaprzeczała ich istnieniu o wiele bardziej zdecydowanie niż

dowolne trzy siostry razem wzięte, ale jestem raczej pewna, że to właśnie je miała na myśli, a skoro ona jest przekonana...

Jej przyjaciółka zbyła to machnięciem ręki.

– Nie musisz mnie przekonywać, Seaine. Ja sama jestem pewna, że Czarne Ajah istnieją od... – O dziwo, Pevara zaczęła się wahać, zaglądając do swej filiżanki niczym wróżka na jarmarku. – Co wiesz o zdarzeniach, do jakich doszło tuż po zakończeniu Wojny z Aielami?

– Dwie Amyrlin zmarły nagle w przeciągu pięciu lat -odparła ostrożnie Seaine. Zakładała, że ta kobieta mówi o zdarzeniach, które zaszły w Wieży. Prawdę powiedziawszy, dopóki nie wyniesiono jej do godności Zasiadającej przed blisko piętnastu laty, dokładnie rok po Pevarze, nie zwracała szczególnej uwagi na nic, co działo się poza Wieżą. I również nie bardzo dbała o to, co działo się w jej wnętrzu. – Wiele sióstr zmarło w tych latach, jak sobie przypominam. Chcesz powiedzieć, że twoim zdaniem... że maczały w tym palce Czarne Ajah? – Nareszcie. Wymówiła to miano i wcale nie było tak, jakby poparzyło jej język.

– Nie wiem – rzekła cicho Pevara, kręcąc głową. -Udało ci się zagrzebać głęboko w filozofii. Działy się wtedy... pewne rzeczy... Zapieczętowane do Płomienia. -Z zakłopotaniem wciągnęła oddech.

Seaine nie naciskała jej, sama popełniła czyn pokrewny zdradzie, przełamując tę samą pieczęć, a Pevara będzie musiała podjąć decyzję na własną rękę.

– Przejrzenie raportów będzie bezpieczniejsze niż zadawanie pytań, nie mając pojęcia, kogo tak naprawdę pytamy. Logicznie rzecz biorąc, Czarna siostra musi być zdolna do mówienia kłamstw wbrew Przysięgom. – W przeciwnym razie Czarne Ajah zostałyby już dawno ujawnione. Wymawianie tej nazwy zdawało się przychodzić jej coraz łatwiej. -Jeżeli jakaś siostra napisała, że zrobiła jedno, podczas gdy uczyniła coś innego, to znaczy, że znalazłyśmy Sprzymierzeńca Ciemności.

Pevara przytaknęła.

– Tak, ale nie możemy się ograniczać. Być może Czarne Ajah nie maczały rąk w rebelii, ale jakoś nie chce mi się wierzyć, że patrzyłyby spokojnie na całe zamieszanie i nie próbowały z niego skorzystać. Moim zdaniem musimy przejrzeć dokładnie raporty z ubiegłego roku.

Seaine zgodziła się, aczkolwiek z niechęcią. Będzie mniej arkuszy papieru do przeczytania, a za to więcej pytań do zadania odnośnie do ostatnich miesięcy. Z podjęciem decyzji, z kim współpracować przy dochodzeniu, było jeszcze trudniej. Zwłaszcza po tym, jak Pevara powiedziała:

– Wykazałaś się dużą odwagą, że przyszedłaś do mnie, Seaine. Wiem, że Sprzymierzeńcy Ciemności zabijają braci, siostry, rodziców, że starają się ukryć, kim są i to, co zrobili. Kocham cię za to, naprawdę byłaś bardzo dzielna.

Seaine zadygotała, jakby gęś przeszła się po jej grobie. Gdyby chciała być odważna, wybrałaby Zielone. Niemalże żałowała, że Elaida nie zwróciła się do kogoś innego. Ale teraz nie było już odwrotu.

# ROZDZIAŁ 14

## KĄPIEL

Po odesłaniu Perrina dni zdawały się dłużyć Randowi w nieskończoność, a noce w ogóle nie miały końca. Wycofał się do swoich pokoi i zamknął w nich, nakazawszy Pannom, by nikogo nie wpuszczaly. Jedynie Nanderze wolno było wchodzić przez drzwi z połączanymi słońcami i przynosić mu posiłki. Żylasta Panna stawiała tacę nakrytą serwetą i wymieniała nazwiska tych, którzy chcieli się z nim zobaczyć, po czym spoglądała na niego z wyraźną przyganą, kiedy powtarzał, że z nikim nie będzie się spotykał. Często, zanim zatrzasnęła za sobą drzwi, słyszał nieprzychylnie komentarze z ust Panien warujących na zewnątrz; przeznaczone dla jego uszu, w przeciwnym razie użyłyby mowy dłoni. Ale jeśli uznały, że wywabią go z komnat takimi uwagami... Panny nie rozumiały i pewnie nie zrozumiałyby, nawet gdyby im wyjaśnił. Gdyby choć potrafił się zmusić do jakichkolwiek wyjaśnień.

Zabierał się za posiłki bez apetytu i usiłował czytać, ale nawet z ulubionych książek potrafił przeczytać jedynie po kilka stron. Przynajmniej raz dziennie, mimo że sobie obiecywał, że nie będzie tego robił, podnosił w górę masywną szafę z polerowanego czarnego drewna i kości słoniowej, która stała w jego sypialni, przemieszczał ją na bok za pomocą splotów Powietrza i ostrożnie rozplątywał zabezpieczenia, którymi ją otoczył oraz Maskę Zwierciadeł, dzięki której ściana zdawała się gładka, jej sploty bowiem dysponowały zdolnością odwracania obrazu, który tylko jego oczy mogły zobaczyć. Tam, w niszy wydrążonej z użyciem Mocy, stały dwa małe posążki z białego kamienia, o wysokości mniej więcej stopy, mężczyzna i kobieta, każde w zwiewnych szatach i z kulą z przezroczystego kryształu trzymaną w uniesionej nad głową dłoni. Tej samej nocy, której wysłał armię na Illian, wyprawił się samotnie do Rhuidean, by zabrać stamtąd *ter'angreal* -gdyby zniecka okazały się potrzebne, mogło nie starczyć czasu na ich wydostanie. Przynajmniej tak siebie samego zapewniał. Ręka jakby mimowolnie ruszyła ku figurce brodatego człowieka, tej jedynej z pary, którą mógł posłużyć się mężczyzna, wyciągnęła się i zatrzymała, cała drżąc. Wystarczyło dotknąć jednym palcem i zaczerpnąłby większą ilość Jedynej Mocy, niż sobie potrafił wyobrazić. Dzięki niej nikt by go nie pokonał, nikt by mu się nie przeciwstawił. Dzięki niej, powiedziała kiedyś Lanfear, mógł rzucić wyzwanie Stwórcy.

– Jest moja zgodnie z prawem – mruczał za każdym razem, z dłonią trzęsącą się tuż obok figurki.  
– Moja! Ja jestem Smokiem Odrodzonym!

I za każdym razem zmuszał się, by się cofnąć, i na nowo splatał Maskę Zwierciadeł, na nowo splatał niewidzialne pułapki, które spalą na popiół każdego, kto by spróbował przejść je bez klucza. Ogromna szafa sfruwała na miejsce niczym piórko. Był Smokiem Odrodzonym. Ale czy to wystarczało? Musiało wystarczyć.

– Jestem Smokiem Odrodzonym – szeptał niekiedy do ścian, a czasami krzyczał te słowa. – Jestem Smokiem Odrodzonym! – W milczeniu i na głos wściekał się na tych, którzy mu się sprzeciwiali, na tych ślepych durniów, którzy nie widzieli i tych, którzy nie chcieli zobaczyć, powodowani ambicją, chciwością lub strachem. Był Smokiem Odrodzonym, jedyną nadzieją świata w walce z Czarnym. I oby Światłość dopomogła światu.

Niemniej te ataki wściekłości i myśli o wykorzystaniu *ter'angreal* stanowiły jedynie próby ucieczki przed innymi rzeczami i on o tym wiedział. Posiadał się samotnie, z każdym dniem coraz bardziej skąpo, starał się czytać, aczkolwiek dość rzadko, i usiłował zażyć snu. Coraz częściej w miarę upływu dni, nie dbając o to, czy słońce już zaszło czy też stało wysoko na niebie. Sen przychodził bolesnymi zrywami, a to, co zadręczało jego umysł na jawie, wkradało się również w

sny i budziło zbyt szybko, by zdążyć odpocząć. Postawienie tarczy w niczym nie pomagało, z pewnością nie było właściwym sposobem, aby odseparować się od tego, co go od dawna gryzło. Musiał się zmierzyć z Przeklętymi, a prędzej czy później z samym Czarnym. Musiał coś zrobić z durniami, którzy albo usiłowali go zniszczyć, albo uciekali przed nim, podczas gdy jedyną dla nich szansą było stanąć w jednym szeregu. Dlaczego sny nie dawały mu spokoju? Był taki jeden sen, z którego zawsze budził się gwałtownie, zanim nawet zdążył się na dobre zacząć, a potem leżał przepełniony odrazą do samego siebie i zamroczony z niewyspania, ale te inne... Zasługiwał na nie wszystkie, wiedział o tym.

Colavaere stawała nad jego uśpionym ciałem, ze szerniałą twarzą i z tą samą szarfą, na której się powiesiła, nadal wciśniętą w obrzmiałe tkanki jej szyi. Colavaere, milcząca i oskarżycielska, a za nią wszystkie te Panny, które umarły za niego, ustawione milczącymi szeregami szeroko rozwartych oczu, wszystkie te kobiety, które umarły za niego. Znał każdą z tych twarzy równie dobrze jak własną, znał te imiona, wszystkie co do jednego. Z tych snów budził się z płaczem.

Sto razy ciskał Perrinem na wskroś Wielkiej Komnaty Słońca i sto razy owładały nim płonący strach i wściekłość. Sto razy zabijał Perrina w swoich snach i budził go własny krzyk. Po co ten człowiek wykorzystwał w kłótni więź do niewoli Aes Sedai? Rand starał się o nich nie myśleć, od samego początku robił, co mógł, by nie zauważać ich istnienia. Były zbyt niebezpieczne, by trzymać je zbyt długo w charakterze jeńców, ale nie miał pojęcia, co z nimi zrobić. Przerazały go. Czasami śniło mu się, że znowu go zwięzono i wpakowano do skrzyni, że Galina, Erian i Katherine wyjmują go z niej na kolejne tortury, śnił i budził się, skowycząc jeszcze wtedy, gdy już wiedział, że ma otwarte oczy, i że to był tylko sen. Przerazały go, ponieważ bał się, że mógłby pozwolić, by strach i gniew wzięły nad nim górę, a wtedy... Starał się nie zastanawiać, co by wtedy zrobił, ale czasami śnił o tym i budził się, cały dygocząc od zimnego potu. Nie robi tego. Nieważne, co zrobił dotychczas, tego nie robi na pewno.

W snach skrzykiwał Asha'manów, by zaatakowali Białą Wieżę i ukarali Elaide, wyskakiwał z bramy przepełniony słusznym gniewem i *saidinem* – i dowiadywał się; że list Alviarin to było kłamstwo, widział ją, jak staje u boku Elaidy, widział też obok nich Egwene i Nynaeve, a nawet Elayne, wszystkie z twarzami Aes Sedai, wszystkie przekonane, że jest zbyt niebezpieczny, aby mu darować wolność. Patrzył na Asha'manów zabijanych przez kobiety, które miały za sobą lata studiowania Jedynej Mocy, nie tylko kilka miesięcy pobierania intensywnych nauk, i z tych snów nigdy nie był w stanie się obudzić, dopóki wszyscy ci mężczyźni w czarnych kaftanach nie poginęli, a on nie został sam, by zmierzyć się z całą potęgą Aes Sedai. Sam jeden.

Cadsuane raz za razem powtarzała tamte słowa o szaleńcach, którzy słyszą głosy, aż w końcu każde cięło niczym bicz, i pod niewidzialnymi ciosami drżał przez sen. W snach i na jawie wzywał Lewsa Therina, krzyczał na niego, wrzeszczał na niego, ale odpowiadało mu tylko milczenie. Sam. Samotny. Maleńki tobolek wrażeń i emocji w zakamarku umysłu, poczucie obecności Alanny, niemalże równie intensywne jak dotyk, powoli stawało się pociechą. Z wielu względów to przerażało go najbardziej.

Czwartego ranka obudził się odurzony ze snu o Białej Wieży, podnosząc rękę, by osłonić obolałe oczy przed łuną, jak mu się zdawało, z *saidara* utkanego ognia. Promienie słońca wlewające się przez okna rozświetlały roztańczone drobiny kurzu i padały wprost na jego łożę z wielkimi, czworograniastymi postumentami inkrustowanymi kością słoniową. Wszystkie meble w tej komnacie były skonstruowane z polerowanego czarnego drewna i kości słoniowej, dostatecznie kanciaste, surowe i ciężkie, by harmonizować z jego nastrojem. Leżał przez chwilę nieruchomo, myśląc, że nawet gdyby znowu udało mu się zasnąć i tak czeka go kolejny koszmar.

“Jesteś tam, Lewsie Therinie?” – zastanowił się bez jakiegokolwiek nadziei na odpowiedź i śmiertelnie zmęczony podźwignął na nogi, wygładzając zmięty kaftan. Nie zmieniał ubrania od czasu, gdy się zamknął w odosobnieniu.

Kiedy chwiejnymi krokami wszedł do przedsionka, pomyślał z początku, że znowu coś mu się śni, ten sam sen, który zawsze sprawiał, że budził się, siadając sztywno, przepelniony wstydem, poczuciem winy i obrzydzeniem, ale kiedy Min spojrzała na niego z jednego z wysokich połączanych krzeseł, na którym siedziała z oprawną w skórę księgą rozłożoną na kolanach, jednak się nie obudził. Jej twarz okalały ciemne, podobne do pierścionków pukle, a w wielkich oczach było tyle napięcia, że nieomal poczuł jego nacisk. Spodnie z brokatowego jedwabiu zielonej barwy opinały jej nogi niczym druga skóra, a kaftanik z harmonizującej z nimi materii był rozpięty; ukryta pod spodem kremowa bluzka unosiła się i opadała z każdym oddechem. Modlił się, żeby się obudzić. To nie strach albo gniew, czy też poczucie winy z powodu Colavaere, względnie zniknięcie Lewsa Therina, kazały mu się zamknąć przed wszystkimi.

– Za cztery dni będzie swego rodzaju święto – powiedziała wesoło – podczas drugiej kwarty. Dzień Pokuty, tak to nazywają z jakiegoś powodu, ale w tę noc organizowane są tańce. To stateczne tańce, jak mi mówiono, ale każde tańce lepsze niż żadne. – Pieczołowicie założyła księgę cienkim paskiem skóry, po czym ułożyła ją obok siebie na posadzce. – Najwyższy czas sprawić sobie suknię, może uda mi się zagonić szwaczkę do pracy jeszcze dzisiaj. I oczywiście, o ile zechcesz ze mną tańczyć.

Oderwał od niej wzrok i przeniósł go na nakrytą ściereczką tacę obok wysokich drzwi. Na samą myśl o jedzeniu robiło mu się mdło. Nandera miała nikogo nie wpuszczać, a żeby szczęła! A już na pewno nie Min. Nie wymienił jej z imienia, ale powiedział “nikogo”!

– Min, ja... nie wiem, co ci powiedzieć. Ja...

– Pasterzu, wyglądasz tak, jakby psy się o ciebie gryzły. Teraz rozumiem, dlaczego Alanna była taka wzburzona, mimo iż nie mam pojęcia, jak się dowiedziała. W zasadzie to błagała mnie, żebym z tobą porozmawiała, kiedy Panny zawróciły ją po raz piąty. Nandera nie wpuściłaby mnie, gdyby się tak nie denerwowała tym, że nie chcesz nic jeść, ale i tak trochę musiałam ją prosić. Jesteś mi coś winien, wieśniaku.

Rand wzdrygnął się. W głowie błyskały mu wizje, w których widział samego siebie, jak zdziera z niej ubranie i bierze siłą niczym bezrozumna bestia. Był jej winien więcej, niżli kiedykolwiek będzie mógł zapłacić. Przeczesał włosy rozcapierzonymi palcami, zmusił się, by na nią spojrzeć. Podwinęła nogi pod siebie i teraz siedziała tak na krześle, z pięściami wspartymi na kolanach. Jak ona mogła patrzeć na niego tak spokojnie?

– Min, nie ma usprawiedliwienia dla tego, co zrobiłem. Gdyby istniała jakakolwiek sprawiedliwość, zawisłbym na szubienicy. Gdybym mógł, sam bym sobie założył pętlę na szyję. Przysięgam, zrobiłbym to. – Te słowa miały gorzki posmak. Był Smokiem Odrodzonym, a ona będzie musiała poczekać na sprawiedliwość aż do Ostatniej Bitwy. Ależ był durniem, że chciał przeżyć Ostatnią Bitwę. Nie zasłużył sobie na to.

– O czym ty gadasz, pasterzu? – spytała wolno.

– Mówię o tym, co ci zrobiłem – warknął. Jak on mógł to zrobić, komukolwiek, a przede wszystkim jej? – Min, wiem, jak trudno ci przebywać ze mną w jednym pokoju. -Jakim prawem upajał się wspomnieniami, gładkością, jedwabistą miękkością jej skóry pod dotykiem palców? Po tym, kiedy już zdarł z niej ubranie. – Nigdy nie myślałem, że jestem zwierzęciem, potworem. – A jednak był potworem. Brzydził się sobą za to, co zrobił. Brzydził tym bardziej, bo miał ochotę zrobić to raz jeszcze. – Jedyłą wymówką, na jaką mogę się powołać, jest obłąd. Cadsuane miała rację.

Naprawdę słyszałem głosy. Głos Lewsa Therina, jak mi się zdawało. Czy możesz...? Nie. Nie mam prawa prosić cię o wybaczenie. Ale musisz wiedzieć, jak bardzo mi przykro, Min. – Było mu przykro. A ręce aż go swędziały, tak bardzo pragnął pogłodzić jej nagie plecy, jej biodra. Był potworem. – Strasznie przykro. Wiedz to przynajmniej.

Siedziała tam bez ruchu, jakby nigdy przedtem go takim nie widziała. Teraz mogła już przestać udawać. Teraz mogła powiedzieć, co naprawdę o nim myśli i choćby nie wiadomo jak okropnie to zabrzmiało, nie byłoby nawet w połowie dostatecznie straszne.

– A więc to właśnie dlatego trzymałeś mnie z dala od siebie – powiedziała w końcu. – Posłuchaj mnie, ty drewnianogłowy tępaku. Byłam wtedy bliska spłakania się na proch, bo widziałam o jedną śmierć za dużo, a ty... ty byłeś gotów na to samo z tego samego powodu. To, co zrobiliśmy, mój ty niewinny baranku, miało nas oboje pocieszyć. Przyjaciele pocieszają się wzajem w takich chwilach. Zamknijże usta, ty strachu na wróble z Dwu Rzek.

Zrobił to, ale tylko po to, by przełknąć ślinę. Miał wrażenie, że oczy zaraz mu wyskoczą z orbit. Dobywał z siebie słowa, omal się nimi nie dławiąc.

– Pocieszaliśmy się? Min, gdyby członkinie Koła Kobiet z Dwu Rzek usłyszały, że to, co zrobiliśmy, to było pocieszanie się, to stanęłyby w kolejce, żeby obdrzeć nas ze skóry, nawet gdybyśmy mieli po pięćdziesiąt lat!

– Przynajmniej mówisz “my”, zamiast wyłącznie “ja” -odparła stanowczo. Powstawszy z wdziękiem, podeszła do niego, ze złością wygrażając mu palcem. – Myślisz, że ja jestem jakąś lalką, chłopcze z farmy? Myślisz, że jestem nazbyt powolna na umyśle, by ci nie dać do zrozumienia, że mi się nie podoba, jak mnie dotykasz? Myślisz, że nie powiedziałabym ci tego bez ogródek? – Wolną dłonią wyciągnęła z zanadru kaftana nóż, zrobiła nim wymach i schowała go z powrotem, na moment nie przerywając tyrady. – Pamiętam, jak zdierałam ci koszulę z grzbietu, ponieważ ty sam ściągałeś ją przez głowę zbyt wolno jak na mój gust. Oto jak bardzo nie chciałam, żebyś objął mnie ramionami! Zrobiłam z tobą coś, czego nigdy przedtem nie robiłam z żadnym innym mężczyzną... tylko nie myśl sobie, że nigdy nie czułam takiej pokusy! ... a ty twierdzisz, że to wszystko to twoja wina! Jakby mnie tam w ogóle nie było!

Zderzył się z krzesłem i wtedy dopiero dotarło do niego, że się przed nią cofał. A ona popatrzyła na niego ze zmarszczonym czołem i mruknęła:

– Chyba mi się nie podoba, że teraz patrzysz na mnie z góry. – I nagle z całej siły kopnęła go w goleń, wsparła obie dłonie na jego piersi i pchnęła go. Upadł na krzesło z takim impetem, że omal się nie przewróciło. Pierścionki zakołysały się, kiedy potrząsnęła głową i poprawiła swój brokatowy kaftan.

– Może tak jest, Min, ale...

– Tak właśnie jest, pasterzu – przerwała mu stanowczo. – I jeśli nadal będziesz twierdził, że jest inaczej, to lepiej skrzyknij tu Panny i przenieś tyle Mocy, na ile cię stać, bo inaczej tak cię zaraz obję, że zaczniesz skomleć o zmiłowanie. Powinieneś się ogolić. I wziąć kąpiel.

Rand zrobił głęboki wdech. Perrin żył w takim spokojnym związku z uśmiechniętą, delikatną żoną. Dlaczego jego zawsze ciągnęło do kobiet, które traktowały jego głowę, jakby to był dziecięcy bąk? Gdyby tylko wiedział bodaj dziesiątą część tego, co Mat wiedział o kobietach, potrafiłby teraz coś odpowiedzieć, ale w jego sytuacji mógł tylko dalej plątać się w niezręcznościach.

– W każdym razie – powiedział ostrożnie – jest jedna rzecz, którą mogę zrobić.

– A cóż to takiego? – Splotła ciasno ręce pod piersiami i zaczęła złowieszczo przytupywać nogą, ale on wiedział, że to właściwy pomysł.

– Odeślę cię. – Tak jak odesłał Elayne i Aviendhę. – Gdybym bodaj odrobinę panował nad

sobą, nie.... – Stopa zaczęła przytupywać jeszcze szybciej. Może lepiej poniechać tego pomysłu. Pocięli się? Światłości! – Min, każdemu, kto jest blisko mnie, grozi niebezpieczeństwo. Przeklećci nie są jedynymi, którzy wyrządziliby krzywdę komuś, kto przestaje ze mną, po to tylko, by wykorzystać szansę zaszkodzenia pośrednio również mnie. A poza tym chodzi też o mnie. Już nie panuję nad swoimi nastrojami. Min, ja omal nie zabiłem Perrina! Cadsuane miała rację. Popadam w obłąd albo już jestem obłąkany. Muszę cię odesłać, tylko dzięki temu będziesz bezpieczna.

– Kim jest ta Cadsuane? – spytała, tak spokojnie, że aż się wzdrygnął, gdy spostrzegł, że nadal przytupuje stopą. – Alanna wymówiła to imię takim tonem, jakby to była siostra samego Stwórcy. Nie, nie mów, nic mnie to nie obchodzi. – Co wcale nie znaczyło, by przerwała na chwilę bodaj dostatecznie długą, by zdołał cokolwiek powiedzieć. – Perrin też mnie nie obchodzi. Zraniłbyś mnie równie mocno jak jego. Moim zdaniem tamta awantura, którą wywołałeś publicznie, to było jedno wielkie oszustwo, tak właśnie. Nie obchodzą mnie twoje nastroje i nie obchodzi mnie, czy jesteś obłąkany. Nie możesz być bardzo obłąkany, bo inaczej byś się aż tak nie przejmował. Obchodzi mnie natomiast...

Pochyliła się, przez co te bardzo duże, bardzo ciemne oczy znalazły się na tym samym poziomie co jego oczy, tak blisko, i nagle rozbłysło w nich tyle światła, że aż pochwycił *saidina*, gotów się bronić.

– Odesłać mnie, żebym była bezpieczna? – warknęła. – Jak śmiesz? Jakie ty masz prawo uważać, że możesz mnie gdziekolwiek odsyłać? Potrzebujesz mnie, Randzie al’Thor! Gdybym ci opowiedziała o połowie widzeń, jakie miałam w związku z tobą, to połowa włosów by ci się skręciła, a druga wypadła! Spróbuj tylko! Pannom pozwalasz narażać się na każde ryzyko, kiedy sobie tylko tego zażyczą, a mnie chcesz odesłać jak jakieś dziecko?

– Panien nie kocham. – Zanurzony głęboko w pozbawionej emocji Pustce, usłyszał, jak te słowa wyskakują mu z ust; wstrząs roztrzaskał skorupę Pustki i sprawił, że *saidin* pierzchnął.

– No cóż – powiedziała Min, prostując się. Na jej ustach błąkał się nieznaczny uśmiezek. – No to sprawa załatwiona. – I usiadła mu na kolanach.

Powiedziała, że Perrina nie zraniłby bardziej niż jej, ale musiał zranić ją teraz. Musiał, dla jej własnego dobra.

– Kocham również Elayne – oznajmił brutalnie. – A także Aviendhę. Widzisz, jaki jestem? – Z jakiegoś powodu wcale jej to nie zdumiało.

– Rhuarc kocha więcej kobiet niż tylko jedną – powiedziała. Jej uśmiech zdawał się wyrażać ten sam spokój, jaki widywał na twarzach Aes Sedai. – Podobnie Bael, a ja nigdy nie zauważyłam u żadnego rogów trolloka. Nie, Randzie, ty mnie kochasz i nie możesz temu zaprzeczyć. Powinnam powiesić cię na jakimś haku za to, przez co kazałeś mi przechodzić, ale... Tak, żebyś wiedział, ja też cię kocham. – Jej uśmiech zbladł pod grymasem wewnętrznych zmagania, a w końcu westchnęła. – Życie byłoby czasami o wiele łatwiejsze, gdyby moje ciotki nie wychowały mnie na tak prawdopodobną – mruknęła. – A mówiąc szczerze, Rand, muszę ci zdradzić, że Elayne też cię kocha. I tak samo Aviendha. Skoro obie żony Mandelaina mogą go kochać, to przypuszczam, że ciebie mogą jakoś kochać trzy kobiety. Ale ja jestem tutaj i jeśli tylko spróbujesz mnie odesłać, to przywiążę się do twojej nogi. – Zmarszczyła nos. – Pod warunkiem, że zaczniesz znowu się myć. Ale nie odejdę, choćby nie wiem co.

W głowie wszystko mu wirowało, tak jakby rzeczywiście była rozbujanym bakiem do zabawy.

– Ty mnie kochasz? – spytał z niedowierzaniem. – Skąd wiesz, co czuje Elayne? Skąd wiesz cokolwiek na temat Aviendhy? Światłości! Mandelain może robić, co chce, Min, ale ja nie jestem Aielem. – Zmarszczył brwi. – Co to znaczy, że opowiedziałas mi zaledwie o połowie swoich



widzeń? Myślałem, że opowiadasz mi wszystko. O tak, pošlę cię w jakieś bezpieczne miejsce. I przestań tak kręcić nosem! Ja nie śmierzę! – Gwałtownie oderwał rękę, którą właśnie drapał się pod kaftanem.

Z tych wygiętych w łuk brwi można było wyczytać całe tomy, ale najwyraźniej postanowiła mu również nie szczędzić tyrady słownej.

– Masz czelność mówić takim tonem? Jakbyś w to nie wierzył? – Z każdym słowem coraz bardziej podnosiła głos i wbiła złowieszczy palec w jego pierś z taką siłą, jakby zamierzała go nim przebić na wylot. – Myślisz, że poszłabym do łóżka z mężczyzną, którego nie kocham? Naprawdę? A może uważasz, że ja nie jestem warta miłości? Czy tak jest? – Wydała taki odgłos jak kot, któremu nadepnęto na ogon. – A więc jestem małą bezrozumną trzpiotką, która się zakochała w jakimś nic nie wartym parobku, czy tak? Siedzisz tu, gapiąc się na mnie jak jakiś chory wół, i uwłaczasz mojej inteligencji, mojemu poczuciu smaku, mojej...

– Jeśli się nie uspokoisz i nie zaczniesz gadać do rzeczy – warknął – to przysięgam, dam ci klapsa! – To wyskoczyło znikąd, z bezsennych nocy i pomieszania, ale zanim zdążył sformułować jakieś słowa przeprosin, uśmiechnęła się. Ta kobieta się uśmiechnęła!

– Przynajmniej już się nie boczysz – powiedziała. – Nie użalaj się nad sobą, Rand, zupełnie nie umiesz tego robić. No dobrze. Chcesz, żebym mówiła do rzeczy? Kocham cię i nie odejdę. Jeśli spróbujesz mnie odesłać, to ja powiem Pannom, że mnie uwiodłeś i porzuciłeś. Powiem to każdemu, kto będzie chciał słuchać. Powiem...

Podniósł prawą rękę i przyjrzał się wnętrzu dłoni z wyraźnie odcisniętym wizerunkiem czapli, a potem przeniósł spojrzenie na Min. A ona spojrzała czujnie na tę rękę, poprawiła się na jego kolanach, po czym nie zwracała już na nic uwagi oprócz jego twarzy.

– Nie odejdę, Rand – powiedziała cicho. – Potrzebujesz mnie.

– Jak ty to robisz? – westchnął, opadając w krzesło. – Nawet kiedy mnie zmuszasz do stawiania na głowie, równocześnie sprawiasz, że moje kłopoty jakby nikną.

Min parsknęła.

– A więc chyba trzeba cię częściej zmuszać do stawiania na głowie. Opowiedz mi o tej Aviendzie. Nie sądzę, by istniała szansa, że jest koścista i pokryta bliznami jak Nadera.

Roześmiał się mimo woli. Światłości, od jak dawna nie śmiał się powodowany radością?

– Min, powiedziałbym, że jest równie ładna jak ty, ale jak można porównać dwa wschody słońca?

Przez chwilę wpatrywała się w niego z nieznacznym uśmiechem, jakby nie umiała orzec, czy powinna być zaskoczona czy zachwycona.

– Jesteś bardzo niebezpiecznym mężczyzną, Randzie al'Thor-wymruczała, powoli przytulając się do niego. Miał wrażenie, że mógłby wpaść w te jej oczy i zatonać w nich. Kiedyś, gdy siadywała mu na kolanach i całowała go, zawsze myślał, że ona się tylko droczy z wieśniakiem, lecz równocześnie wychodził ze skóry, bo pragnął całować ją po kres czasu. A teraz, jeżeli ona znowu go pocałuje...

Wziąwszy Min stanowczo w ramiona, wstał i postawił ją na posadzce. Kochał ją, a ona kochała jego, ale musiał pamiętać, że zawsze chciał całować Elayne po kres czasu, kiedy o niej pomyślał i że tak samo było z Aviendhą. Cokolwiek Min mówiła o Rhuarku czy jakimkolwiek Aielu, zrobiła kiepski interes w dniu, w którym się w nim zakochała.

– Połowa, powiedziałaś, Min – przypomniał cichym głosem. – O jakich widzeniach mnie nie poinformowałaś?

Spojrzała na niego z miną wyrażającą niemalże zawód, tyle że oczywiście to nie mogło być to.

– Kochasz się w Smoku Odrodzonym, Min Farshaw -burknęła – i lepiej o tym pamiętaj. I ty też, Rand – dodała, odpychając się od niego. Puścił ją z niechęcią, a jednocześnie skwapliwie; sam nie wiedział, jak to właściwie się stało. -Wróciłeś do Cairhien pół tygodnia temu i nadal nic nie zrobiłeś z Ludem Morza. Berelain przewidziała, że będziesz znowu zwlekał. Zostawiła mi list, w którym prosi, bym ci stale przypominała, tyle że ty mi nie pozwoliłeś... No cóż, nieważne. Berelain uważa, że oni są z jakiegoś powodu ważni, twierdzi, że w twojej osobie spełnia się jakieś ich proroctwo.

– Wiem o tym wszystkim, Min. Ja... – Umyślił sobie, że nie dopuści, by Lud Morza wplątał się z nim w konszachty, nie znalazł bowiem o nich nawet wzmianki w Proroctwach Smoka. Jeśli jednak miał pozwolić, by Min pozostała blisko niego, pozwolić, by narażała się na niebezpieczeństwa... Wygrała, dotarło do niego. Serce mu zamierało, kiedy patrzył na odchodzącą Elayne, obserwował odchodzącą Aviendhę z żołądkiem zasupłanym na węzły. Nie był w stanie przeżywać tego raz jeszcze. Min stała tam i czekała. – Odwiedzę ich statek. Zrobię to jeszcze dzisiaj. Lud Morza może ukłęknąć przed Smokiem Odrodzonym w całym jego splendorze. Nie sądzę, by kiedykolwiek istniała nadzieja, że będzie inaczej. Albo należą do mnie, albo są moimi wrogami. Tak chyba jest zawsze. Czy opowiesz mi teraz o tych widzeniach?

– Rand, powinieneś się nad nimi zastanowić, zanim...

– Nad widzeniami?

Skrzyżowała ramiona i popatrzyła nań spod firany rzęs. Zagryzła wargę i spojrzała na drzwi. Potrząsnęła głową i mruknęła coś niesłyszalnie. A na koniec powiedziała:

– Tak naprawdę jest tylko jedno. Przesadzałam. Widziałam ciebie i drugiego mężczyznę. Nie potrafiłam rozpoznać żadnej z twarzy, ale wiedziałam, że jeden z was to ty. Dotykaliście się i zdawaliście stapiać z sobą, ale... – Z troską zacisnęła usta i mówiła dalej bardzo cichym głosem. – Nie wiem, co to oznacza, Rand, oprócz tego, że jeden z was umrze, a drugi nie. Ja... Dlaczego ty się śmiejesz? To nie są żarty, Rand. Nie wiem, który z was umrze.

– Uśmiecham się, ponieważ przekazałaś mi właśnie bardzo dobrą wiadomość – odparł, dotykając jej policzka. Tym drugim mężczyzną musiał być Lews Therin.

“Nie jestem zwykłym wariatem, który słyszy głosy” – pomyślał, nie posiadając się z radości. Jeden żył, a jeden umarł, ale on od dawna wiedział, że umrze. Przynajmniej nie był obłąkany. Albo nie aż tak obłąkany, jak się obawiał. Tu nadal szło o jego nastroje, nad którymi ledwie panował. – Widzisz, ja...

Nagle uświadomił sobie, że już nie dotyka jej policzka, tylko ujmuje jej twarz obiema dłońmi. Oderwał je jak oparzony. Min wydeła wargi i skarciła go wzrokiem, niesłusznie, gdyż nie zamierzał jej wykorzystywać. To nie byłoby uczciwe. Na szczęście, w tym momencie głośno zaburczało mu w brzuchu.

– Muszę coś zjeść, jeżeli mam się spotkać z Ludem Morza. Widziałem tacę...

Min parsknęła kpiąco, kiedy się odwrócił, ale w następnej chwili już sunęła w stronę wysokich drzwi.

– Musisz wziąć kąpiel, jeśli wybieramy się do Ludu Morza.

Nandera była zachwycona, entuzjastycznie kiwała głową i natychmiast kazała Pannom pobiec po wszystko. A potem podeszła blisko do Min i wyznała:

– Powinnam cię była wpuścić już pierwszego dnia. Chciałam go kopnąć, ale kopanie *Car'a'carna* nie jest przyjęte. – Tonem głosu dawała jednak do zrozumienia, że tak właśnie należało postąpić. Mówiła cicho, ale nie tak cicho, by nie mógł usłyszeć. Był pewien, że robiła to umyślnie; skierowane ku niemu spojrzenie było zbyt ostre, zbyt prowokujące, aby można było sądzić inaczej.

Panny same przystąpiły wielką miedzianą wannę, zamigotały mową dłoni, kiedy już ją postawiły

na posadzce, zaśmiewając się, zanadto podniecone, by pozwolić, aby pałacowi służący wykonali za nie tę pracę albo choć nanieśli wiadra z gorącą wodą. Rand przeżywał trudne chwile, gdy zdejmował z siebie ubranie. Zresztą umyć się samemu też mu nie chciały pozwolić i ostatecznie Nandera namydliła mu włosy. Słomianowłosa Somera i Enaila o włosach jak ogień uparły się, że go ogolą, kiedy siedział po piersi zanurzony w wodzie; tak się skupiły na tym zajęciu, że bał się, iż z gorliwości poderzną mu gardło. Był już jednak do tego przyzwyczajony po tych wszystkich razach, kiedy to absolutnie nie chciały pozwolić, by sam sobie uczesał włosy albo się ogolił. Był przyzwyczajony do tego, że otaczał go wianek Panien, które przypatrywały mu się i oferowały, że wyszorują mu plecy albo stopy, w milczeniu migocząc dłońmi, nadal jakby lekko zgorszone widokiem kogoś siedzącego w wodzie. Tak czy owak, udało mu się kilku z nich pozbyć, odesławszy z jakimiś poleceniami.

Nie był natomiast przyzwyczajony do obecności Min, która usadowiła się ze skrzyżowanymi nogami na jego łożu, z podbródkiem wspartym na dłoniach, i obserwowała wszystko z wyraźną fascynacją. Z początku nie dostrzegł jej w całym tym rojowisku Panien, dopóki nie rozebrał się do naga, i w tym momencie jedyne, co mu pozostało, to usiąść jak najszybciej, nie bacząc, że rozbryzguje wodę dookoła wanny. Ta kobieta byłaby sobie znakomicie poradziła jako *Far Dareis Mai*. Otwarcie dyskutowała na temat jego ciała z Pannami, ani razu się nie czerwieniąc! To jemu aż płonęły rumieńce.

– O tak, jest bardzo skromny – powiedziała, zgadzając się z Malindare, kobietą najbardziej pulchną z wszystkich Panien, z najciemniejszymi włosami, jakie Rand kiedykolwiek widział u Aiela. – Skromność to najwyższa cnota mężczyzny. – Malindare przytaknęła z powagą, ale Min miała na twarzy uśmiech od ucha do ucha. – Po chwili dodała: – Och nie, Domeille, szkoda byłoby bliźną szpeciść taką piękną twarz.

Domeille, z włosami jeszcze bardziej posiwiałymi niż Nandery, chudsza i z wydatnym podbródkiem, upierała się jednak, że nie jest dość piękny bez blizny. Jej własne słowa! Reszta była jeszcze gorsza. Panny najwyraźniej uwielbiały, jak pod wpływem ich słów się czerwienił. Min zaś z pewnością za tym przepadała.

– Prędzej czy później będziesz musiał się wytrzeć, Rand -powiedziała, podając mu obiema dłońmi długi biały ręcznik. Stała w odległości dobrych trzech kroków od wanny, a wszystkie Panny cofnęły się i obserwowały go teraz, stojąc wokół niego w kręgu. Min uśmiechała się tak niewinnie, że każdy sędzia już choćby na tej podstawie uznałby jej winę. -No wyjdź i wytrzyj się, Rand.

W życiu nie czuł takiej ulgi, jak wówczas, kiedy już wkładał ubranie.

Do tego czasu jego rozkazy zostały wypełnione i wszystko czekało w pogotowiu. Rand al'Thor mógł zostać ośmieszony w wannie, ale Smok Odrodzony wybierał się do Ludu Morza w stylu, który miał sprawić, że Atha'an Miere padną na kolana zdjęci trwogą.

# ROZDZIAŁ 15

## TA'VEREN

Tak jak rozkazał Rand, wszystko zostało przygotowane na dziedzińcu przed Pałacem Słońca, albo niemal wszystko. W promieniach porannego słońca otoczone stopniami wieże rzucały długie cienie, przez co jedynie przestrzeń o promieniu dziesięciu kroków wokół wysokich spiżowych bram była w pełni oświetlona. Dashiva, Flinn i Narishma, trzej Asha'mani, których zatrzymał przy sobie, czekali obok swoich koni, przy czym Dashiva ze swoim rzucającym oślepiające błyski srebrnym mieczem i czerwono-złotym Smokiem na czarnym kołnierzu gładził bezustannie rękojeść miecza przypasanego do biodra, jakby się dziwił, że wciąż tam jest. Stu zbrojnych Dobraine siedziało na swych wierzchowcach za plecami samego Dobraine, z dwoma długimi sztandarami, zwisającymi nieruchomo w martwym powietrzu, w ciemnych zbrojach świeżo pokrytych lakierem, tak że lśniły w słońcu i z jedwabnymi czerwono-biało-czarnymi proporcami przywiązanymi tuż pod grotami lanc. Zaczęli wiwatować na widok Randa odzianego w czerwony, ciężki od złota kaftan, spięty pozłacaną sprzączką w kształcie Smoka.

– Al'Thor! Al'Thor! Al'Thor! – rozbrzmiało na dziedzińcu. Do wiwatów przyłączyli się stłoczeni na balkonach łuczniczych pozostali: Tairenianie i Cairhienianie w swoich jedwabiach i koronkach, którzy zaledwie tydzień wcześniej bez wątplenia wiwatowaliby równie głośno Colavaere. Mężczyźni i kobiety, którzy woleliby, aby nie wrócił do Cairhien -przynajmniej niektórzy – machali rękoma i wznosili okrzyki. Gdy uniósł Berło Smoka na powitanie, ryknęli jeszcze głośniej.

Wiwaty zagłuszyło donośne łomotanie bębnow i fanfary dobiegające ze strony, gdzie stał kolejny oddział żołnierzy Dobraine'a, ubranych w szkarłatne tuniki z czarno-białymi dyskami na piersi: połowa trzymała trąby udrapowane w identyczne tkaniny, druga połowa wielkie bębny także ozdobione i uwieszone do końskich grzbietów. Kiedy schodził po szerokich schodach, na jego powitanie wyszło pięć Aes Sedai w szalach. W każdym razie dały kilka statecznych kroków w jego stronę. Alanna obrzuciła go badawczym spojrzeniem swoich ciemnych przenikliwych oczu-maleńki kłębek emocji w jego czaszce mówił mu, że jest spokojniejsza, bardziej odprężona, niż kiedykolwiek pamiętał – jedno badawcze spojrzenie, potem nieznaczny ruch dłonią, a wtedy Min dotknęła jego ramienia i stanęła obok niej. Bera i pozostałe dygnęły niezbyt głęboko, lekko pochylając głowy, gdy tymczasem z pałacu, za jego plecami, wysypali się Aielowie. Nandera poprowadziła dwieście Panien – nie zamierzały dać się przyćmić przez “wiarołomców” – a Camar, smukły i długonogi z klanu Daryne, o włosach bardziej siwych niż Nandery i o pół głowy wyższy od Randa, prowadził dwustu *Seia Doon*, którzy nie chcieli dać się przyćmić *Far Dareis Mai*, nie mówiąc już o Cairhienianach. Rozstawili się, tworząc pierścień wokół dziedzińca, z nim i Aes Sedai pośrodku. Wszystkie obserwowały go z niepokojem: Bera, niczym dumna farmerska żona, i Alanna, podobna do obdarzonej mroczną urodą królowej, obie w swoich szalach z zielonymi frędzlami, pulchna Rafela, o jeszcze ciemniejszej karnacji, otulona w swoje błękity, chłodnooka Faeldrin, jeszcze jedna Zielona, z kolorowymi paciorkami w cienkich warkoczykach, oraz szczupła Merana w szarościach, której krzywy grymas sprawiał, że Rafela zdawała się uosobieniem opanowania Aes Sedai. Razem pięć.

– Gdzie są Kiruna i Verin? – spytał podniesionym tonem. – Wezwałem wszystkie.

– Tak uczyniłeś, lordzie Smoku – odparła bez zająknięcia Bera. I na dodatek jeszcze raz dygnęła, nieznacznie, co stanowiło dlań zaskoczenie. – Nie mogliśmy znaleźć Verin, jest gdzieś w namiotach Aielów. Wypytuje... – Na chwilę zająknęła się. – ...wzięte do niewoli, jak sądzę, starając się dowiedzieć, co zaplanowały uczynić, kiedy już dotrą do Tar Valon. – Kiedy już jego dostarczą do

Tar Valon... była na tyle domyślna, by nie paplać tam, gdzie wszyscy mogli usłyszeć. – A Kiruna... konsultuje się z Sorileą odnośnie do protokołu. Ale nie mam najmniejszych wątpliwości, że będzie bardziej niż szczęśliwa, mogąc przyłączyć się do nas, kiedy pošlesz osobiste wezwanie do Sorilei. Mogłabym pójść sama, gdybyś...

Zbył propozycję machnięciem dłoni. Pięć powinno wystarczyć. Być może Verin uda się wyciągnąć jakieś informacje. Tylko czy naprawdę chciał je poznać? I Kiruna. Sprawa protokołu?

– Bardzo mnie cieszy, że się dogadujecie z Mądrymi. – Bera zaczęła coś mówić, po chwili jednak stanowczo zacisnęła usta. Cokolwiek Alanna powiedziała do Min, na policzkach dziewczyny wykwitły rumieńce i, rzecz osobliwa, zadarła podbródek, ale zdawała się odpowiadać dość spokojnie. Był ciekaw, czy mu później o tym opowie. O kobietach wiedział jedno z całą pewnością: każda, bez wyjątku, miała w swym sercu tajemne miejsca, które niekiedy dzieliła z inną kobietą, ale nigdy z mężczyzną. Była to jedyna rzecz, jakiej był pewien, jeśli chodzi o kobiety.

– Nie przyszedłem tu po to, by stać tak cały dzień – oznajmił z irytacją. Aes Sedai zajęły miejsca: Bera na czele, pozostałe pół kroku z tyłu. Gdyby to nie była ona, zastąpiłaby ją Kiruna. Ich własne ustawienia, nie jego. Takie sprawy w ogóle dotąd go nie obchodziły, zwłaszcza że przecież trzymały się swoich przysiąg i teraz też byłby je zostawił w spokoju, gdyby nie ta rzecz z Min i Alanną. – Od tej pory w waszym imieniu będzie przemawiała Merana, to od niej będziecie przyjmowały rozkazy.

Sądząc po nagle rozszerzonych oczach, można by pomyśleć, że każdej z nich wymierzył policzek. Łącznie z Meraną. Nawet Alanna gwałtownie odwróciła głowę. Czemu były takie zaskoczone? Prawda, od Studni Dumai to albo Bera, albo Kiruna pełniły rolę ich rzeczniczek, ale to przecież Merana stała na czele misji poselskiej wysłanej do Caemlyn.

– Jesteś gotowa, Min? – zapytał i, nie czekając na odpowiedź, wyszedł na środek dziedzińca. Osiodłano tam dla niego wielkiego ognistookiego karego wierzchowca, na którym przyjechał od Studni Dumai. Siodło miało wysoki łęk, czaprak ozdobiony był złotem i wyściełany purpurą haftowaną na rogach w czarno-białe dyski. Uprząż pasowała do zwierzęcia, podobnie jego imię. Tai'daishar; w dawnej mowie: Władca Chwały. A z kolei i koń, i jego uprząż były jak najbardziej stosowne dla Smoka Odrodzonego.

Kiedy dosiadł konia, Min wyprowadziła tę samą klacz o mysim umaszczeniu, na której tu przyjechała, włożyła rękawice do konnej jazdy i dopiero wskoczyła na jej grzbiet.

– Seiera to wspaniałe zwierzę – powiedziała, poklepując klacz po wygiętym w łuk karku. – Żałuję, że nie należy do mnie. Jej imię też mi się podoba. W okolicach Baerlon te kwiaty nazywamy modraszkami, kwitną wszędzie podczas wiosny.

– Jest twoja – powiedział Rand. Żadna Aes Sedai, do której należała ta klacz, nie odmówi mu i sprzeda zwierzę. Za Tai'daishara dałby Kirunie i tysiąc koron: nie mogłaby wtedy narzekać, bo najlepszy ogier taireniańskiej krwi nigdy nie kosztował nawet dziesiątej części takiej kwoty. – Interesująca była rozmowa z Alanną?

– W każdym razie ciebie nic w niej by nie zainteresowało – odparła bez namysłu. Niemniej jednak jej policzki zaróżowiły się nieznacznie.

Parsknął cicho, po czym podniósł głos.

– Lordzie Dobraine, chyba już za długo każemy Ludowi Morza czekać, jak sędzę.

Procesja przyciągnęła wielkie tłumy ludzi, którzy stanęli wzdłuż szerokich alei i wypełnili okna oraz dachy, gdy tylko dotarła do nich wieść o przejeździe Smoka Odrodzonego. Na czele podążało dwudziestu lansjerów Dobraine, którzy oczyszczali drogę, razem z trzydziestoma Pannami i taką samą liczbą Czarnych Oczu, dalej maszerowali dobosze, a wraz z nimi donośne – dum, dum, dum – oraz

trębacze, którzy akcentowali rytm swymi fanfarami. Okrzyki gapiów niemalże zagłuszały bębny i trąbki, bezsłowny ryk, który równie dobrze mógł wyrażać wściekłość, jak i aprobatę. Rozpostarli się sztandary, tuż przed Dobraine i za Randem, biały Sztandar Smoka i szkarłatny Sztandar Światłości, a Aielowie z osłoniętymi twarzami truchtali tuż obok trębaczy, których proporce też powiewały w powietrzu. Co jakiś czas w jego stronę ciskano kwiaty. Może wcale go aż tak nie nienawidzili. Może tylko się bali. To musiało wystarczyć.

– Świta godna króla – powiedziała Merana specjalnie głośno, by ją usłyszano.

– W takim razie jest wystarczająca dla Smoka Odrodzonego – odrzekł ostrym tonem. – Czy zechcesz trzymać się z tyłu? I ty też, Min. – Pamiętał dachy, na których kryli się skrytobójcy. Strzała z łuku albo kuszy przeznaczona dla niego, dziś nie trafi żadnej kobiety.

Przez czas jakiś trzymały się z tyłu za jego wielkim karym wierzchowcem... całe trzy kroki... ale potem znowu wróciły na poprzednie miejsce. Min streściła mu, co Berelain napisała o Ludzie Morza i jego statkach, o Proroctwie Jendai i o Coramoorze, a Merana dodała to, co wiedziała na temat tego proroctwa, aczkolwiek, jak sama przyznawała, nie było tego wiele, tylko trochę uzupełniła więc wiedzę Min.

Słuchał tego jednym uchem, cały czas obserwując dachy. Nie obejmował *saidina*, ale wyczuwał Źródło od strony Dashivy i pozostałych dwóch Asha'manów, jadących tuż za nim. Nie czuł tego łaskotania, które by oznaczało, że Aes Sedai obejmują Źródło, ale to on sam im przykazał, że mają tego nie robić bez pozwolenia. Może powinien odwołać zakaz. Zaprawdę, najwyraźniej dotrzymywały swych przysiąg. Bo jak mogły ich nie dotrzymać? To przecież Aes Sedai. Ale śmiesznie by było, gdyby dosięgło go ostrze jakiegoś skrytobójcy, podczas gdy siostry zastanawiałyby się, czy powinny go ratować, skoro mu służą, czy też posłuszeństwo w tym przypadku oznaczałoby dotrzymanie przysięgi, zgodnie z którą nie wolno im przenosić.

– Dlaczego się śmiejesz? – zapytała Min. Seiera przygalopowała bliżej i Min spojrzała na niego z uśmiechem.

– Tu nie ma się z czego śmiać, mój Lordzie Smoku -odpowiedziała z kwaśną miną Merana z drugiej strony. -Atha'an Miere potrafią być bardzo drażliwi. Wszyscy ludzie robią się drażliwi, gdy idzie o ich proroctwa.

– Świat to zabawne miejsce – odparł. Min śmiała się razem z nim, ale Merana parsknęła wyniośle i wróciła do tematu Ludu Morza, gdy tylko przestali.

Dotarli do rzeki w miejscu, gdzie wysokie mury obronne miasta wcinały się w wodę, obejmując z obu stron szare kamienne doki, wystające z nabrzeża. Wszędzie, jak okiem sięgnął, cumowały rzeczne statki, łodzie, barki wszelkich rodzajów i wielkości, członkowie załóg wylegli na pokłady, by przyglądać się zamieszaniu, jednakże statek, którego szukał Rand, stał w pogotowiu, uwiązany od strony dziobu do krańca doku, z którego spędzono już wszystkich robotników portowych. Był to tak zwany "barkas", długa i wąska łódź bez żadnych masztów, z jednym drzewcem na dziobie o wysokości czterech kroków, na którym wisiała latarnia i drugim takim samym na rufie. Blisko trzydzieści kroków długi i wyposażony w szereg długich wiosel, barkas nie dałby rady ponieść takiego ładunku jak łódź żaglowa tej samej wielkości, ale z kolei nie było się na nim zależnym od wiatru, a na płytkich wodach można było podróżować dniem i nocą, jeśli się zmieniało ludzi przy wiosłach. Barkasy stosowano na rzekach do przewożenia ważnych i pilnych ładunków.

Kapitan skłonił się kilkakrotnie, kiedy Rand wszedł na trap z Min u swego boku, wiodąc za sobą Aes Sedai i Asha'manów. Nadzwyczaj chuderławą sylwetkę Elvera Shaene podkreślał żółty kaftan o murandiańskim kroju, który sięgał mu do kolan.

– To zaszczyt móc cię gościć na pokładzie, Lordzie Smoku – mruknął, ocierając łysą czaszkę

wielką chustką. -Co za zaszczyt. Prawdziwy zaszczyt. Oj tak, zaszczyt.

Najwyraźniej ten człowiek wolałby statek po brzegi pełen jadowitych węży. Zamrugnął oczami na widok szali Aes Sedai, po czym zagapił się na ich pozbawione piętna wieku twarze, oblizał wargi i niespokojnie łypnął okiem na Randa. Na widok Asha'manów, kiedy już udało mu się połączyć ich czarne kaftany z wcześniej zasłyszczanymi plotkami, szeroko rozdziawił usta, a potem robił wszystko, by nawet przelotnie nie zerkać w ich stronę. Przyglądał się natomiast uważnie, jak Dobraine wprowadza na pokład mężczyzn ze sztandarami, trębaczy i doboszów targających bębny, po czym omiół wzrokiem mężczyzn na koniach ustawionych w szeregu na powierzchni doku, jakby podejrzewał, że oni też chcą dostać się na jego łódź. Nandera w towarzystwie dwudziestu Panien oraz Camar z dwudziestoma Czarnymi Oczami, wszyscy z *shoufami* udrapowanymi na głowach sprawili, że kapitan pospiesznie schował się za grupką Aes Sedai. Aielowie mieli groźne miny, jednoznacznie wskazujące, że konieczność osłonięcia twarzy może ich spowolnić jedynie na mgnienie oka, ale Atha'an Miere mogli wiedzieć, co oznacza zasłona i myśl, że są atakowani, raczej mogłaby im się nie spodobać. Rand miał wrażenie, że Shaene zaraz pozbawi się resztek siwych włosów, tak energicznie pocierał je chustką.

Barkas odbił od doku napędzany pociągnięciami długich wiosł, z dwoma sztandarami marszczącymi się na dziobie, przy wtórze łomotania bębnow i grzmotu trąb. Na pokładach statków znajdujących się pośrodku rzeki pojawili się ludzie, którzy chcieli im się przyjrzeć, niektórzy wspinali się nawet na olinowanie. Ci ze statku Ludu Morza też się pokazali, wielu w jaskrawych kolorach, tak nie podobnych do burego przyodziewku innych marynarzy. "Biała Piana" była większa od pozostałych statków, ale zarazem i smuklejsza, wyposażona w dwa wysokie maszty, mocno pochylone w tył, a liczne reje były przymocowane do nich prostopadle, podczas gdy niemal na wszystkich innych statkach większość takielunku podtrzymywała pojedyncza reja, ustawiona ukośnie, dłuższa od masztu. Wszystko w tym statku mówiło o dzielących ich różnicach, ale Rand wiedział, że pod jednym względem Atha'an Miere są tacy sami jak inni: albo pójdą za nim dobrowolnie, albo trzeba ich będzie do tego zmusić; Proroctwa twierdziły, że on połączy ludy z wszystkich ziem – "Powiąże północ ze wschodem, zachód połączy z południem", tak to brzmiało -i nikt nie będzie mógł stanąć z boku. Teraz to wiedział.

Kiedy z wanny wydawał polecenia, nie miał okazji zapoznać wszystkich ze szczegółami tego, co zamierzał zrobić, gdy już dotrą do "Białej Piany", teraz więc poinformował o swoich zamiarach. Tak jak się spodziewał, wywołał szerokie uśmiechy na twarzach Asha'manów – w każdym razie Flinn i Narishma się uśmiechali; Dashiva tylko zamrugnął nieobecnyi oczyma także krzywe grymasy na twarzach Aielów, również zgodnie z przewidywaniami. Nie lubili, jak ich zostawiano z tyłu. Dobraine jedynie skinął głową; wiedział, że jest tu dzisiaj tylko na pokaz. Rand nie przewidział natomiast reakcji Aes Sedai.

– Będzie, jak każesz, Lordzie Smoku – rzekła Merana, wykonując jedno z tych nieznaczących dygnięć. Pozostałe cztery wymieniły spojrzenia, ale też dygnęły i wymamrotały jak każesz" zaraz po niej. Ani jednego słowa protestu, ani jednej uniesionej brwi, ani jednego wyniosłego spojrzenia, względnie tyrady o tym, dlaczego wszystko powinno przebiegać właśnie w taki sposób, jaki on sobie wymyślił. Czyżby mógł już zacząć im ufać? Czy raczej znajdą jakąś strategię właściwą Aes Sedai, byle tylko obejść daną przysięgę, gdy tylko odwróci się do nich plecami.

– One dotrzymają słowa – mruknęła nagle Min, zupełnie jakby czytała w jego myślach. Wsunąwszy rękę pod jego ramię, wpita obiema dłońmi w jego rękaw, mówiła dalej głosem przeznaczonym wyłącznie dla jego uszu. – Właśnie zobaczyłam te pięć w twojej garści – dodała na wypadek, gdyby nie zrozumiał. A jednak dalej nie był do końca pewien, czy potrafi zawierzyć temu

przekonaniu, nawet jeśli ona zobaczyła wszystko w swej wizji.

Nie musiał długo się starać. Barkas pomknął przed siebie i niemalże natychmiast schował wiosła, w odległości jakichś dwudziestu kroków przed znacznie wyższą “Białą Pianą”. Bębny oraz trąbki umilkły, a Rand przeniósł, tworząc most z Powietrza splecionego z Ogniem, który połączył burtę łodzi ze statkiem Ludu Morza. Z Min u swego ramienia wszedł na niego, dla wszystkich, oprócz Asha’manów, wyglądało to jakby wędrował w powietrzu.

Na poły się spodziewał, że Min się zawaha, przynajmniej na początku, ale ona szła zwyczajnie u jego boku, jakby pod podeszwami swych wysokich butów z zielonymi obcasikami czuła kamień.

– Ufam ci – powiedziała cicho. Uśmiechnęła się również, częściowo po to, by go uspokoić, a częściowo, jak mu się zdało, z uciechy, że oto znowu czyta w jego myślach.

Zastanawiał się, do jakiego stopnia by mu zaufała, gdyby wiedziała, że większego mostu utkać już nie jest w stanie. Jeszcze mały kawałek, bodaj długości stopy i wszystko by się zawaliło przy pierwszym kroku. W danej chwili oznaczało to mniej więcej to samo, co unoszenie się w Powietrzu z wykorzystaniem tylko Mocy, czyli było czystą niemożliwością: nawet Przekłęci nie wiedzieli dlaczego tak jest, tak samo jak nie wiedzieli, dlaczego kobieta potrafiłaby utworzyć dłuższy most niż mężczyzna, nawet jeśli nie dorównywała mu siłą. Nie była to sprawa ciężaru; most mógł utrzymać dowolny ciężar.

Tuż przed relingiem zatrzymał się, stojąc w powietrzu. Mimo wcześniejszych opowieści Merany, przeżył wstrząs na widok wpatrzonych w niego ludzi. Ciemne kobiety i mężczyźni z obnażonymi torsami, przepasani kolorowymi szarfami, których końce zwisały im aż do kolan, w złotych i srebrnych łańcuchach na szyjach i z kolczykami w uszach, a także w nosach, i to na dodatek u kobiet, które nosiły tęczowe bluzki wpuszczone do ciemnych obszernych spodni. Na twarzy żadnego z nich nie było więcej wyrazu niż u Aes Sedai, która zresztą bardzo się starała pokazać, na co ją stać. Cztery kobiety, mimo iż bosa tak jak wszyscy, miały na sobie jaskrawe jedwabie, w tym dwie przetykane brokatem, i zawiesiły ponadto na sobie więcej naszyjników i kolczyków niż inni Atha’an Miere, rzędy wisiorków na łańcuszkach, które biegły od kolczyków w uszach do kółek wbitych w skrzydełko nosa. Nikt się nie odezwał: stali zbici w gromadę i obserwowali go, przytykając do nosów małe ażurowe szkatułki ze złota, które zwisały im z łańcuchów na szyjach. Przedstawił się sam.

– Jestem Smokiem Odrodzonym. Jestem Coramoorem.

Członkowie załogi westchnęli zbiorowo. Wszyscy, oprócz czterech kobiet.

– Jestem Harine din Togara Dwa Wiatry, Mistrzynie Fal Klanu Shodein – obwieściła ta, która miała najwięcej kolczyków, urodziwa kobieta o wydatnych ustach, w czerwonym brokacie, nosząca po pięć grubych złotych kółek w każdym uchu. Jej proste czarne włosy były przeplecione siwymi pasmami, a w kącikach oczu odznaczały się drobniutkie zmarszczki. Miała w sobie moc imponującej godności. – Mówię tu w imieniu Mistrzynie Statków. Jeżeli to miłe Światłości, Coramoore może wejść na pokład. – Z jakiegoś powodu wzdrygnęła się i podobnie jej trzy towarzyszki, ale jej słowa zabrzmiały trochę zbyt dobitnie, by było to zwykłe przyzwolenie. Rand wszedł na pokład razem z Min, żałując, że w ogóle na to zaczął.

Wypuścił splot podtrzymujący most i razem z nim *saidina*, ale natychmiast poczuł, że w jego miejscu powstaje drugi most. Po krótkiej chwili Asha’mani i Aes Sedai byli tuż obok, siostry nie okazywały ani odrobiny zdenerwowania, podobnie jak przedtem Min, aczkolwiek jedna lub dwie wygładziły sobie spódnice trochę staranniej, niż to było konieczne. Jednak ciągle jeszcze nie były aż tak spokojne w obecności Asha’manów, jak udawały.

Cztery kobiety z Ludu Morza obrzuciły pojedynczymi spojrzeniami Aes Sedai i natychmiast



zbiły się w ciasną gromadkę, po czym zaczęły o czymś szeptać między sobą. Harine mówiła dużo, a także młoda piękna kobieta w zielonym brokacie, z ośmioma kolczykami w uszach, choć tamte dwie w zwykłych jedwabiach też wtrącały sporadyczne komentarze.

Merana zakasłała delikatnie i przemówiła cicho w dłoń, którą osłoniła usta.

– Posłyszałam, jak nazwała cię Coramoorem. Atha'an Miere potrafią się znakomicie targować, jak mi wiadomo, ale moim zdaniem ona coś w tym momencie ujawniła. – Rand pokiwał głową i zerknął na Min. Patrzyła zmrużonymi oczyma na kobiety Ludu Morza, ale gdy tylko zauważyła jego spojrzenie, ze smutkiem potrząsnęła głową; nie zobaczyła nic, co mogłoby mu pomóc.

Harine obróciła się tak spokojnie, jakby nie odbyła właśnie żadnej pospiesznej konferencji.

– To jest Shalon din Togara Poranny Przypływ, Poszukiwaczka Wiatrów Klanu Shodein – powiedziała z nieznacznym ukłonem w stronę kobiety w zielonym brokacie – a to jest Derah din Selaan Wzbierająca Fala, Mistrzyni Żeglugi “Białej Piany”. – Wszystkie kobiety kłaniały się lekko, kiedy je wymieniano i dotykały palcami swych warg.

Derah, atrakcyjna kobieta wkraczająca już w wiek średni, nosiła proste błękity i również osiem kolczyków, aczkolwiek te, a także kółko w nosie i łączący je łańcuszek, były misterniejszej roboty w porównaniu z biżuterią Harine albo Shalon.

– Mój statek wita was – powiedziała Derah – i oby opromieniała was łaska Światłości, nim opuścicie jego pokład. – Wykonała nieznaczny ukłon w stronę czwartej kobiety ubranej na żółto. – To jest Taval din Chanai Dziewięć Mew, Poszukiwaczka Wiatrów “Białej Piany”. – Z uszu Taval zwisały jedynie trzy kolczyki, równie delikatne jak kolczyki Mistrzyni Żeglugi. Wyglądała na młodszą od Shalon, a równą wiekiem Randowi.

Harine znowu przejęła dowodzenie, wskazując gestem wznoszącą się rufę statku.

– Porozmawiamy w mojej kajucie, jeżeli pozwolisz. Nasz sojrer nie jest dużym statkiem, Randzie al’Thor, i kajuta jest również mała. Dla wszystkich nie starczy miejsca, więc jeśli nie masz nic przeciwko temu, tylko ciebie do niej zaproszę, tutaj naprawdę nie masz się czego obawiać. – A więc to tak. Od Coramoorą do zwykłego Randa al’Thora. Cofnie wszystko, co do tej pory powiedziała, jeśli tylko będzie mogła.

Już miał otworzyć usta i zgodzić się – wszystko, byle tylko osiągnąć cel; Harine już szła w tamtą stronę, nadal gestami nakłaniając, by szedł za nią, a pozostałe kobiety razem z nią – gdy Merana znowu cicho zakasłała.

– Poszukiwaczki Wiatru potrafią przenosić – mruknęła pospiesznie w dłoń. – Powinieneś zabrać ze sobą dwie siostry, inaczej będą przekonane, że mają przewagę.

Rand skrzywił się. Przewaga? Był ostatecznie Smokiem Odrodzonym. A jednak...

– Jest mi to miłe, Mistrzyni Fal, jednak zawsze i wszędzie towarzyszy mi ta oto Min. – Poklepał dłoń Min spoczywającą na jego ramieniu – nie puściła go ani na chwilę -i Harine przytaknęła. Taval już otworzyła drzwi, Derah wykonała nieznaczny ukłon, zapraszając go gestem do środka.

– I oczywiście Dashiva. – Mężczyzna drgnął na dźwięk swego imienia, jakby dotąd spał. Przynajmniej nie rozglądał się z wybałuszonymi oczyma po pokładzie tak jak Flinn i Narishma. I nie gapił się na te kobiety. O zwodniczej urodzie i gracji kobiet Ludu Morza krążyły legendy, którym nie sposób było odmówić racji, co Rand teraz zrozumiał... chodziły tak, jakby przy każdym kroku tańczyły, poruszając się miękkimi kocimi ruchami... ale nie sprowadził tych mężczyzn tu po to, żeby wybałuszali oczy. – Mieście oczy otwarte! -przykazał im surowo i przycisnął pięść do piersi. Flinn zasalutował zwyczajnie, ale obaj nabrali większej czujności. Min z jakiegoś powodu spojrzała na niego z ledwie widocznym, krzywym uśmiechem.

Harine przytaknęła z trochę większym zniecierpliwieniem. Spośród załogi wystąpił naprzód

jakiś mężczyzna w obszernych spodniach z zielonego jedwabiu, miał przypasany miecz z rękojeścią z kości słoniowej, a za szarfę wepchnięty sztylet. Bardziej od niej siwy, również nosił po pięć grubych kółek w każdym uchu. Odprawiła go machnięciem ręki, okazując jeszcze większe rozdrażnienie.

– Jak sobie życzysz, Randzie al’Thor – powiedziała.

– I oczywiście – dodał Rand, jakby po namyśle – muszę mieć przy sobie Meranę oraz Rafelę. – Nie bardzo był pewien, dlaczego wybrał tę drugą, może dlatego, że pulchna siostra rodem z Łzy była jedyną oprócz Merany, która nie należała do Zielonych, ale ku jego zdziwieniu, Merana uśmiechnęła się z aprobatą. A skoro już o tym mowa, Bera, Faeldrin i Alanna też się uśmiechnęły.

Harine wcale się to nie spodobało. Zacisnęła usta, zanim zdążyła się opanować.

– Jeżeli tego pragniesz – powiedziała, wcale nie tak uprzejmym tonem jak przed chwilą.

Kiedy już znalazł się we wnętrzu kajuty, gdzie wszystko z wyjątkiem kilku okutych mosiądzem skrzyń zdawało się wbudowane w ściany, nie był już taki pewny, czy sprowadzając go tutaj, ta kobieta nie uzyskała tego, co chciała. Przede wszystkim był zmuszony się zgarbić, nawet jeśli stał między belkami stropu, czy jak to się nazywało na statku. Przeczytał kilka książek o statkach, ale o tym modelu akurat żaden z autorów nie wspominał. Krzesło, które mu zaoferowano u szczytu wąskiego stołu, nie dawało się odsunąć, a kiedy Min pokazała mu, w jaki sposób odczepić poręcz i odsunąć ją na bok niczym skrzydło, dzięki czemu mógł usiąść, uderzył kolanami o blat. Stało tam tylko osiem krzesel. Harine usiadła na przeciwległym końcu, tyłem do skrytych za czerwonymi okiennicami okien wychodzących na rufę, ze swoją Poszukiwaczką Wiatru po lewej ręce i Mistrzynią Żeglugi po prawej, za tamtą z kolei usadowiła się Taval. Merana i Rafela zajęły krzesła za Shalon, Min zaś usiadła po lewicy Randa. Dashiva, dla którego nie starczyło krzesła, stał wyprostowany, mimo iż również ocierał głową o belki stropu. Młoda kobieta w jaskrawoniebieskiej bluzce, z pojedynczymi cienkimi kólkami w obu uszach, przyniosła grube filiżanki napełnione herbatą, czarną i gorzką.

– Załatwmy to – zagaił wstępnie Rand, gdy tylko kobieta wyszła, zabierając tacę. Odstawił swoją filiżankę już po pierwszym łyku. Nie mógł rozprostować nóg. Nie znosił takiego skrępowania. W głowie błyskały mu wspomnienia, jak zgięty wpół tkwił w skrzyni i jedyne, co mógł zrobić, to trzymać swój temperament na wodzy. – Kamień Łzy padł, Aielowie pokonali Mur Smoka, wszystkie części waszego Proroctwa Jendai zaczęły się spełniać. Jestem Coramoorem.

Harine uśmiechnęła się nad swoją filiżanką, chłodnym uśmiechem, w którym nie było rozbawienia.

– Może to prawda, jeżeli taka wola Światłości, ale...

– To jest prawda – warknął Rand, mimo ostrzegawczego spojrzenia Merany. Posunęła się nawet tak daleko, że trąciła jego nogę stopą. Ściany kajuty zdawały się z jakiegoś powodu bliższe. – W co takiego nie wierzysz, Mistrzyni Fal? Że Aes Sedai mi nie służą? Rafela, Merana. – Wykonał ostry gest w ich stronę.

Pragnął tylko, by podeszły do niego i żeby to zostało zauważone, ale one odstawiły swoje filiżanki i podniosły się z gracją, stanęły po obu jego bokach i uklękły. Ujęły jego ręce i przycisnęły wargi do ich grzbietów, dokładnie tam, gdzie znajdowały się lśniące złote grzywy Smoków oplatających jego przedramiona. Jakoś udało mu się ukryć przeżyty wstrząs, nie odrywając przy tym oczu od Harine, której twarz odrobinę poszarzała.

– Aes Sedai mi służą i podobnie będzie mi służyć Lud Morza. -Gestem nakazał siostrom wrócić na swoje miejsca. O dziwo, wyglądały na nieznacznie zdziwione. – To właśnie mówi Proroctwo Jendai. Lud Morza będzie służyć Coramoorowi. Ja jestem Coramoorem.

– Tak, ale pozostaje kwestia Targu. – Harine wypowiedziała to słowo wyraźnie “dużą literą”. –

Proroctwo Jendai powiada, że poprowadzisz nas do chwały i że wszystkie morza świata będą nasze. Tak jak my dajemy tobie, tak ty musisz dać nam. Jeżeli nie dobiję Targu na dogodnych warunkach, Nesta powiesi mnie naga za kostki na olinowaniu i wezwie Pierwszych Dwunastu z Klanu Shodein, by mianowały nową Mistrzynią Fal. -Na jej twarzy pojawił się wyraz najczystszy strachu, kiedy wymówiła te słowa i z każdym słowem jej czarne oczy robiły się coraz większe z niedowierzania. Jej Poszukiwaczka Wiatrów wytrzeszczyła na nią oczy, a Derah i Taval wbiwszy oczy w blat stołu, bardzo się starały, by tego nie zrobić.

Rand zrozumiał, zupełnie niespodziewanie. *Ta'veren*. Widywał rezultaty, doświadczał tych nagłych chwil, kiedy zdarzało się coś najmniej prawdopodobnego, tylko z tego powodu, że on był blisko. Jednak nigdy nie wiedział zawczasu, co się będzie działo, dopóki dane zdarzenie nie dobiegło końca. Starając się trzymać nogi jak najswobodniej, wsparł ręce na stole.

– Atha'an Miere będą mi służyć. To jest przesądzone.

– Tak, będziemy ci służyć, ale... – Harine omal nie przewróciła swego krzesła, rozlewając przy tym herbatę. – Co wy ze mną robicie, Aes Sedai? – krzyknęła, trzęsąc się. -Dobijanie Targu w taki sposób nie jest uczciwe!

– Nic nie robimy – odparła spokojnie Merana. Właśnie udało jej się upić łyk herbaty i to nawet bez skrzywienia.

– Patrzysz na Smoka Odrodzonego – dodała Rafela. – Coramoor z waszego proroctwa wzywa was, abyście mu służyli, jak mniemam. – Przyłożyła palec do krągłego policzka. -Powiedziałas, że wypowiadasz się w imieniu Mistrzyni Statków. Czy to oznacza, że twoje słowo jest wiążące dla Atha'an Miere?

– Tak – wyszeptała ochryple Harine, kuląc się w swoim krześle. -To, co mówię, jest wiążące dla wszystkich statków i wszystkich Atha'an Miere, aż po samą Mistrzynię Statków. – Nikt z Ludu Morza nie mógł tak naprawdę zblednąć, a jednak, gdy patrzyła teraz na Randa, zdawała się tego być bliska.

Rand uśmiechnął się do Min, pragnąc dzielić się z nią tą chwilą. Nareszcie jakiś naród przyjdzie do niego, nie walcząc przez całą drogę ani też nie ulegając rozłamom tak jak Aielowie. Min być może pomyślała sobie, że on chce jej pomocy w doprowadzeniu sprawy do końca, albo może chodziło o to, że był *ta'veren*. Nachyliła się w stronę Mistrzyni Fal.

– Zostaniesz ukarana za to, co tu dzisiaj zaszło, Harine, ale myślę, że nie tak surowo, jak się obawiasz. W każdym razie, któregoś dnia zostaniesz Mistrzynią Statków.

Harine spojrzała na nią krzywo, po czym zerknęła na swoją Poszukiwaczkę Wiatru.

– Ona nie jest Aes Sedai – powiedziała Shalon i Harine zdawała się równocześnie pełna uczucia ulgi i rozczarowania. Dopóki nie odezwała się Rafela.

– Przed kilku laty słyszałam doniesienia o dziewczynie obdarzonej wybitnymi zdolnościami widzenia różnych rzeczy. Czy to ty nią jesteś, Min?

Min skrzywiła się, patrząc w swą filiżankę, po czym niechętnie skinęła głową. Zawsze twierdziła, że im więcej ludzi wie, co ona potrafi, tym mniej dobrego z tego wynika. Zerknąwszy ponad stołem na Aes Sedai, westchnęła. Rafela tylko skinęła głową, ale Merana wpatrywała się w nią orzechowymi oczyma, nadzwyczaj pożądliwie mimo maski spokoju. Bez wątplenia zamierzała przy pierwszej nadarzącej się okazji zagnać Min do jakiegoś kąta i wyciągnąć z niej, czym jest ów talent i jak się objawia. Rand poczuł ukłucie irytacji; powinna była wiedzieć, że on ją będzie chronił i nie dopuści do żadnego nękania. Poczuł ukłucie irytacji i radość, że może ją ochronić przynajmniej przed czymś takim.

– Możesz zaufać słowom Min, Harine – oświadczyła Rafela. – Słyszałam relacje, z których

wynikało, że to, co ona widzi, najwyraźniej zawsze okazuje się prawdą. A nawet jeśli ona sama nie zdaje sobie z tego sprawy, to zobaczyła coś jeszcze innego. – Przekrzywiła głowę na bok i jej krągła twarz rozciągnęła się w uśmiechu. – Skoro masz zostać ukarana za to, co tu zaszło, to w takim razie zgodzisz się na wszystko, czego zechce wasz Coramoor.

– Chyba że na nic się nie zgodzę – wybuchnęła Harine. – Jeżeli nie dobiję żadnego Targu... – Zacisnęła pięści na blacie stołu. Już się przyznała, że musi go dobić. Przyznała, że Lud Morza będzie służyć.

– To, czego od was wymagam, nie wiąże się z żadnymi niedogodnościami-oznajmił Rand. Zastanawiał się nad tym od chwili, gdy postanowił, że tu przybędzie. – Gdy będę potrzebował statków do przewiezienia ludzi albo zapasów, to Lud Morza da te statki. Chcę również wiedzieć, co się dzieje w Tarabonie, Arad Doman i w krainach leżących między nimi. Wasze załogi mogą się dowiedzieć... dowiedzą się... tego, co chcę wiedzieć, przybijają wszak do portów w Tanchico, Bandar Eban i stu wiosek rybackich oraz miast leżących między nimi. Wasze statki potrafią wypływać dalej w morze niż statki innych nacji. Lud Morza będzie pełnił wartę tak daleko na zachód Oceanu Aryth, jak da radę dopłynąć. Jest taki lud, Seanchanie, którzy żyją za Oceanem Aryth i któregoś dnia pojawią się, żeby spróbować nas podbić. Lud Morza da mi znać, że nadciągają.

– Masz wysokie wymagania – mruknęła Harine z goryczą. – Wiemy o istnieniu Seanchan, pochodzą, jak się zdaje, z Wysp Śmierci, z których nie wraca żaden statek. Niektóre z naszych statków zetknęły się z nimi; posługują się Jedyńą Mocą w charakterze broni. Wymagasz więcej, niż ci się wydaje, Coramoorze. – Tym razem nie zawahała się, kiedy wymawiała ten tytuł. – Na Ocean Aryth zstąpiło jakieś mroczne zło. Od wielu miesięcy nie wrócił stamtąd żaden z naszych statków. Statki, które żeglują na zachód, znikają.

Rand poczuł zimny dreszcz. Obrócił w dłoniach Berło Smoka, wykonane z kawałka seanchańskiej włóczni. Czyżby już wrócili? Raz już zostali przegnani, w Falme. Nosił ten kikut włóczni, by mu przypominał, że na świecie są jeszcze inni wrogowie niż tylko ci, których dotąd spotkał, ale był przekonany, że Seanchanie będą potrzebowali wielu lat, by się otrząsnąć po swej porażce, kiedy to zostali zagnani na morze przez Smoka Odrodzonego i martwych bohaterów wezwanych z grobów przez Róg Valere. Czy Róg nadal się znajduje w Białej Wieży? Wiedział, że tam go właśnie zawieziono.

Nagle poczuł, że dłużej już nie wytrzyma ciasnoty tej kajuty. Zaczął obmacywać zasuwkę przy poręczy. Nie chciała się otworzyć. Schwyciwszy gładkie drewno, wyłamał poręcz jednym konwulsyjnym wysiłkiem mięśni.

– Zgodziliśmy się, że Lud Morza będzie mi służyć -powiedział, podrywając się z miejsca. Niskie sklepienie sprawiło, że zgarbił się groźnie nad stołem. Ta kajuta naprawdę zdawała się mniejsza. – Jeżeli coś jeszcze trzeba załatwić w związku z tym waszym Targiem, Merana i Rafaela to z wami omówią. – Bez czekania na odpowiedź, obrócił się w stronę drzwi, w których stał Dashiva zdający się mrużyć coś do siebie.

Merana dopadła go tam, złapała za rękaw, po czym przemówiła, szybko i cicho.

– Lordzie Smoku, będzie najlepiej, jeśli zostaniesz. Widzisz sam, czego dokonałeś jako *ta'veren*. Wierzę, że dzięki twej obecności tutaj, ona będzie nadal ujawniała to, co chce ukryć i wyrazi zgodę, zanim my cokolwiek zaproponujemy.

– Jesteś Szarą Ajah – powiedział jej oschle. – Negocjuj! Dashiva, chodź ze mną.

Na pokładzie zrobił kilka głębokich wdechów. Bezchmurne niebo nad jego głową było otwarte. Otwarte.

Dopiero po chwili zauważył Berę i pozostałe dwie siostry, obserwujące go z wyczekiwaniem.

Flinn i Narishma robili to, co mieli robić: jednym okiem pilnowali statku, drugim brzegi rzeki, miasto z jednej strony i częściowo odbudowane spichlerze z drugiej. Statek na środku rzeki był zupełnie nie zabezpieczony na wypadek ewentualnego ataku któregoś z Przeklętych. Skoro już o tym mowa, każde miejsce byłoby wtedy równie niebezpieczne. Rand nie potrafił pojąć, dlaczego któryś z nich przynajmniej nie spróbował zwalić mu na głowę Pałacu Słońca.

Wzdrygnął się, kiedy Min ujęła go za ramię.

– Przepraszam – powiedział. – Nie powinienem cię zostawiać.

– Nic takiego – roześmiała się. – Merana już się zabrała do pracy. Myślę, że chce zdobyć dla ciebie najlepszą bluzkę Harine i być może i drugą co do jakości również. Mistrzynie Fal wyglądała jak królik pochwycony przez dwie fretki.

Rand przytaknął. Lud Morza należał do niego, albo przynajmniej prawie należał. Czy to ważne, że Róg Valere znajdował się w Białej Wieży? Był *ta'veren*. Był Smokiem Odrodzonym i Coramoorem. Żłociste słońce płonęło na niebie wciąż jeszcze daleko od zenitu.

– Dzionek jeszcze młody, Min. – Mógł zrobić dosłownie wszystko. – Czy chcesz zobaczyć, jak się rozprawiam z buntownikami? Stawiam tysiąc koron przeciwko całusowi, że przed zachodem słońca będą moi.

# ROZDZIAŁ 16

## W LESIE

Usadowiona ze skrzyżowanymi nogami na łożu, Min przyglądała się Randowi, który w samej tylko koszuli grzebał w czeluściach ogromnej, inkrustowanej kością słoniową szafy. Jak on może spokojnie spać w tej komnacie, wśród tych wszystkich mebli, tak czarnych i ciężkich? Zupełnie rozkojarzona, niejasno rozważała pomysł, by wszystko stąd wynieść i zastąpić takimi meblami, jakie sobie upodobała w Caemlyn – rzeźbione i lekko pozłacane, do tego można by dodać jasne draperie i lny, które rozświetliłyby całość. Dziwne, dotychczas nigdy nie zwracała szczególnej uwagi na meble czy dekoracyjne tkaniny. Z pewnością jednak ten gobelin – utkany na pamiątkę jakiejś bitwy – wyobrażający osamotnionego wojownika z mieczem w dłoni, osaczonego przez wrogów, którzy lada chwila go pokonają... będzie musiał stąd zniknąć.

Na powrót zwróciła uwagę na samego Randa.

W jego oczach barwy błękitu poranka było tyle skupienia... I te plecy... takie barczyste, że aż rozsadzały śnieżnobiałą koszulę, gdy się odwracał, żeby sięgnąć do wnętrza szafy. Miał też nad wyraz zgrabne nogi i cudownie kształtne łydki, doskonale uwydatnione w ciemnych, ciasno opiętych spodniach i wysokich butach z cholewami. Od czasu do czasu krzywił się, przeczesując palcami ciemnorude włosy, żadne szczytkowanie nie mogło doprowadzić ich do porządku, zawsze skręcały się lekko za uszami i nad karkiem. Wcale nie zaliczała się do tych głupich kobiet, które razem z sercem rzucają do stóp mężczyzny swój mózg. Po prostu czasami, będąc blisko niego, okazywało się, że trochę jej trudno trzeźwo myśleć. Ot, i wszystko.

Jeden po drugim wynurzały się z szafy kolejne kaftany z haftowanego jedwabiu i lądowały na posadzce, tam gdzie już leżał kaftan, który Rand włożył z okazji wizyty u Ludu Morza. Ciekawe, czy dalsze negocjacje potoczą się w miarę pomyślnie, skoro nie będzie uczestniczył w nich *ta'veren*? Och, gdyby chociaż miała jakieś konkretne widzenie związane z Ludem Morza. Wokół Randa – jak zwykle, kiedy na niego patrzyła – migotały kolorowe aury i wizje, przeważnie jednak ulatywały zbyt szybko, by dało się je wyraźnie dostrzec. Prócz jednej, wszystkie były pozbawione znaczenia. Ta jedna wizja pojawiała się i znikwała niemal sto razy dziennie, ogarniając również Mata albo Perrina, jeśli któryś z nich był akurat obecny. I niekiedy również inne osoby. Nad głową Randa czaił się wielki cień połykający maleńkie, podobne świetlikom iskierki, które wpadały doń całymi tysiącami, jakby usiłowały wypełnić sobą mrok. Dziś iskierki migotały nieprzeliczalnymi dziesiątkami tysięcy, ale również i cień zdawał się większy. Wizja, z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu, symbolicznie obrazowała bitwę Randa z Cieniem, jednak on sam nigdy nie chciał poznać jej wyniku. Z drugiej strony, choć nie była tego do końca pewna, wydawało się jej, że Cień zwyciężał, w większym lub mniejszym zakresie jednak zwyciężał. Odetchnęła z ulgą, gdy spostrzegła, że wizja znika.

Leciutkie ukłucie poczucia winy sprawiło, że poprawiła swoją siedzącą pozycję na łożu. Tak naprawdę wcale nie skłamała, kiedy ją spytał o te widzenia, które przemilczała. Wcale nie. Po co mu mówić, że prawdopodobnie poniesie porażkę, jeśli nie będzie przy nim pewnej kobiety, która nieodwołalnie umarła? I bez tego zbyt łatwo dopadały go ponure nastroje. Musiała go podnieść na duchu, sprawić, by sobie przypomniał, co to śmiech. Tyle że...

– Moim zdaniem to nie jest dobry pomysł, Rand. -Niewykluczone, że mówiąc to, popełniła błąd. Mężczyźni to pod wieloma względami dziwne istoty; w jednej chwili przyjmują rozsądne rady, w następnej robią coś zgoła przeciwnego. I to całkiem rozmyślnie, jak się zdawało. Mimo wszystko czuła... że powinna się opiekować... tym mężczyzną, o ileż od niej wyższym i silniejszym fizycznie:

mógłby ją zapewne jedną ręką wnieść do góry. I to wcale nie przynosząc Mocy!

– To wspaniały pomysł – upierał się, ciskając na posadzkę niebieski kaftan ze srebrnymi haftami. – Jestem *ta'veren* i akurat dzisiaj to wydaje się działać na moją korzyść. – Tym razem na posadzkę wylądował zielony kaftan ze złotym haftem.

– A czy zamiast tego, nie wolałbyś znowu mnie pocieszyć?

Wpatrzony w nią, zastygł w miejscu, trzymając w dłoni czerwony kaftan zdobiony srebrem, o którym jakby nagle zapomniał. Miała nadzieję, że się nie zaczerwieniła. “Pocieszyć. Skąd mi się w ogóle wziął ten wymysł?”, zastanowiła się w duchu. Ciotki, które ją wychowały, były kobietami delikatnymi i życzliwymi, i gdy chodziło o właściwe zachowanie, kierowały się niezłomnymi zasadami. Ganiły ją za to, że nosi spodnie, ganiły za to, że pracuje w stajni, które to zajęcie ona wprost uwielbiała, ponieważ dzięki niemu miała kontakt z końmi. Nie trzeba było szczególnie się zastanawiać, co one by sobie pomyślały o “pocieszaniu” człowieka, któremu nie była poślubiona. Gdyby się dowiedziały, to pokonałyby całą drogę od Baerlon, żeby obedrzeć ją ze skóry. I jego też, bez wątpienia.

– Ja... muszę być w ciągłym ruchu, dopóki wciąż mam pewność, że to działa – powiedział powoli, po czym jakby trochę szybciej odwrócił się z powrotem w stronę szafy. – O, ten może być! – wykrzyknął, wyciągając prosty kaftan z zielonej wełny. – Nie miałem pojęcia, że jeszcze tu jest.

Był to ten sam kaftan, w którym wrócił spod Studni Dumai. Zauważyła, że na samo wspomnienie zdrząły mu dłonie. Starając się, by to wyglądało jak najbardziej normalnie, wstała, podeszła do niego i zarzuciła mu ramiona na szyję, a potem jeszcze wtuliła głowę w jego pierś, gniotąc trzymany przez niego kaftan.

– Kocham cię – tyle tylko powiedziała. Czują przez koszulę owalną, nie do końca wygojoną bliznę w lewym boku. Pamiętała, skąd się wzięła, jakby to było wczoraj. Pamiętała, jak leżał nieprzytomny i bliski śmierci, a ona tuliła go po raz pierwszy w życiu.

Wpił dłonie w jej plecy, ściskając ją co siłą, dławiąc oddech, ale po chwili – niestety – odsunęli się od siebie. Wydało jej się, że mruknął pod nosem: “nieuczciwe”. Czyżby myślał o Ludzie Morza, kiedy go obejmowała? I słusznie, powinien. Merana wywodziła się z Szarych, ale o Ludzie Morza powiadano, że potrafił wycisnąć siódme poty nawet z mieszkańców Arad Doman. Powinien, ale... Miała ochotę kopnąć go w kostkę. Odsunął ją delikatnie i zaczął wdziawać kaftan.

– Rand – przestrzegła stanowczym tonem – nie możesz być pewien, że to będzie przynosiło rezultaty tylko dlatego, że tak się stało w przypadku Harine. Gdyby twoje zdolności *ta'veren* zawsze działały, to klękaliby przed tobą już wszyscy władcy i Białe Płaszczce na dokładkę.

– Jestem Smokiem Odrodzonym – odparł wyniosłym tonem – i dzisiaj mogę wszystko. – Podniósł pas z mieczem i zapiał go na biodrach na zwykłą mosiężną klamrę: połączony Smok dalej leżał na łożu. Potem naciągnął rękawice z cienkiej czarnej skóry, ukrywając złotogrzywe łby na wierzchach dłoni i czaple w ich wnętrzach. – Ale nie widać tego po mnie, nieprawdaż? – Rozłożył ręce, uśmiechając się. – Nie zorientują się, dopóki nie będzie za późno.

Zirytowana, niemal wyrzuciła ręce w górę.

– Na durnia też raczej nie wyglądasz. – I niech to sobie rozumie, jak chce. Tymczasem ten idiota spojrział na nią z ukosa, jakby mimo wszystko się nie połapał. – Rand, wystarczy, że zobaczą Aiela i natychmiast albo rzucą się do ucieczki, albo ruszą do ataku. Skoro nie zabierasz żadnej Aes Sedai, to zabierz przynajmniej Asha'manów. Jedna strzała i nie żyjesz, czy jesteś Smokiem Odrodzonym, czy też pastuchem kóz!

– Jestem Smokiem Odrodzonym, Min – odrzekł z powagą. – I równocześnie *ta'veren*. Wyprawiamy się sami, tylko ty i ja. O ile zechcesz mi towarzyszyć, ma się rozumieć.

– Beze mnie nigdzie nie będziesz się wyprawiał, Randzie al’Thor. – Pohamowała się i nie dodała, że wcześniej potknie się o własne stopy, niż dopuści, by sami wybrali się na to spotkanie. Jego euforia była równie zatrważająca jak poranna ponura apatia. – Nanderze to się nie spodoba. – Nie wiedziała dokładnie, co zaszło między nim a Pannami, chyba coś naprawdę szczególnego, sądząc po tym, co widziała. Jednak wszelka nadzieja, że tym ostrzeżeniem być może go powstrzyma, zgasła, kiedy uśmiechnął się szelmowsko niczym mały chłopiec, który próbuje przechytrzyć własną matkę.

– Ona o niczym się nie dowie, Min. – Miał nawet triumfalny błysk w oku! – Stale to robię i jeszcze się nie zorientowały. – Wyciągnął ku niej dłoń, jakby się spodziewał, że zaraz podskoczy, bo tak jej kazano.

Nie było innego wyjścia, jak tylko poprawić zielony kaftan, w który była ubrana, zerknąć do stojącego lustra, żeby sprawdzić fryzurę – i ująć go za rękę. Problem polegał na tym, że naprawdę skoczyłaby, gdyby bodaj skinął palcem; zależało jej tylko na tym, by nigdy się tej jej gotowości nie domyślił.

W przedśionku otworzył bramę na złotym Wschodzącym Słońcu osadzonym w posadzce... a potem podała mu dłoń i pozwoliła się poprowadzić po zeschniętych liściach zalegających poszycie lasu porastającego wzgórze. W oddali przemknął ptak rozjarzony czerwienią skrzydeł. Na gałęzi przysiadła wiewiórka, która zaszczekotała w ich stronę, machając futrzastym ogonkiem z białym końcem.

Ten las nie bardzo przypominał bory, które pamiętała z okolic Baerlonu; wokół Cairhien rosnęło niewiele lasów z prawdziwego zdarzenia. Większość drzew dzieliły przestrzenie czterech, pięciu, a nawet i dziesięciu kroków, wysokie drzewa skórzane i sosny, wyższe od nich dęby i jeszcze jakieś inne drzewa, których nie знаła, porastały kotlinę, do której oboje trafili, i wspinały się w górę zbocza, zaledwie kilka piędzi dalej. Nawet poszycie zdawało się tutaj rzadsze, krzewy, pnącza i wrzosi płożyły się w nielicznych kępach, niekiedy zresztą wcale nie takich małych. I wszystko zbrązowiełe, zeschnięte. Wyjęła z rękawa chusteczkę obrzeżoną koronką i starła pot, który nagle wystąpił na jej twarzy.

– W którą stronę pójdziemy? – spytała. Po położeniu słońca sądząc, północ była tam, gdzie wznosiło się zbocze -w kierunku, który Min sama by obrała. Miasto powinno się znajdować w odległości siedmiu, może ośmiu mil w tamtą stronę. Jeżeli im szczęście dopisze, dojdą piechotą, nie napotykając po drodze żywej duszy. Albo jeszcze lepiej -biorąc pod uwagę jej buty na obcasach i teren, nie wspominając już o upale – Rand mógłby zrobić bramę, która zawiodłaby ich z powrotem do Pałacu Słońca. W pałacowych komnatach było mimo wszystko znacznie chłodniej.

Nim jednak zdążył odpowiedzieć, usłyszeli szelest poszycia i trzaski łamanych gałęzi – ktoś zbliżał się w ich stronę. Wkrótce zobaczyli jeźdźca na długonogim siwym wałachu z uzdą i wędzidłem obrzeżonymi kolorowymi frędzlami -Cairhieniankę, niską i szczupłą, w ciemnogrnatowej, niemalże czarnej, jedwabnej sukni do konnej jazdy, z poziomymi cięciami od szyi aż po kolana, wypełnionymi czerwoną, zieloną i białą tkaniną. Pokryta potem twarz nie ujmowała niczego jej bladej, jakby woskowej urodzie, nie przyćmiewając wyrazu oczu podobnych do dwu wielkich ciemnych źródeł. Czoło zdobił przezroczysty, zielony kamyk na cienkim złotym łańcuszku wplecionym w czarne włosy, które opadały falami na ramiona.

Min aż zaparło dech i to nie na widok kuszy, którą kobieta uniosła spokojnie dłonią obleczoną w zieloną rękawicę. Przez chwilę była przekonana, że to Moiraine. A jednak...

– Nie przypominam sobie, bym widziała którekolwiek z was w obozowisku – powiedziała kobieta gardłowym, lekko opryskliwym tonem. Jej głos zabrzmiał jak Moiraine -przywódzący na myśl trącony kryształ. Kusza opadła spokojnym ruchem, ostrze nasadzonego grotu mierzyło,



niewzruszenie niczym skała, w pierś Randa.

Zlekceważył to.

– Pomyślałem sobie, że z chęcią przyjrzałbym się waszemu obozowisku – oświadczył i skłonił się lekko. – Domyślam się, że mam do czynienia z lady Caraline Damodred? -Szczupła kobieta pochyliła głowę, potwierdzając jego słowa.

Min westchnęła z żalem, mimo iż tak naprawdę nie oczekiwała, że zobaczy żywą Moiraine. Moiraine, z którą wiązało się jedyne widzenie, jakie się jej kiedykolwiek nie sprawdziło. Ale coś takiego, Caraline Damodred we własnej osobie, Caraline Damodred, która współdowodziła buntem przeciwko Randowi tu w Cairhien, kobieta, która rościła sobie prawo do Tronu Słońca... On chyba rzeczywiście szarpał za wszystkie otaczające go wątki Wzoru, skoro właśnie teraz musiała się tu pojawić.

Lady Caraline powoli uniosła kuszę, cięciwa wydała donośny trzask, wyrzucając szeroki grot w powietrze.

– Wątpię, czy jednym bełtem coś bym przeciwko tobie zdziałała – stwierdziła, bez pośpiechu prowadząc swego wierzchowca w ich stronę. – I nie chciałabym też, abyś sobie pomyślał, że ci grożę. – Rzuciła jedno spojrzenie na Min, tylko jedno, które omiotło ją od stóp do głów; poza tym nie odrywała wzroku od Randa. Ściągnęła wodze w odległości trzech kroków, zachowując dostateczny dystans, by zdążyć wbić pięty w boki swego konia, gdyby Rand spróbował coś jej zrobić. – Szarooki mężczyzna twojego wzrostu, który pojawia się znikąd, przywodzi mi na myśl jedną tylko osobę, no, chyba że jesteś jakimś Aielem w przebraniu, mimo wszystko jednak, może byłbyś tak uprzejmy i zechciał mi się przedstawić?

– Jestem Smokiem Odrodzonym – odparł Rand, w każdym calu równie arogancki jak na spotkaniu z Ludem Morza. Jeśli również teraz jego atrybuty *ta'veren* wywoływały jakieś zawirowania we Wzorze, to Caraline nie dała niczego po sobie poznać.

Zamiast zeskoczyć z konia i natychmiast paść na kolana, tylko skinęła głową, wydymając wargi.

– Dużo się o tobie nasłuchiłam. Powiadają, że ponoć udałeś się do Wieży, by poddać się władzy Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Powiadaj a też, że zamierzasz przekazać Tron Słońca Elayne Trakand. Słyszałam również, że zabiłeś Elayne i jej matkę.

– Nie poddam się niczyjej władzy – odparł ostrym tonem Rand. Spojrzał na nią tak zapalczywie, jakby chciał wyrzucić ją z siodła. – Elayne znajduje się już w drodze do Caemlyn, żeby przejąć tron Andoru. Potem zasiądzie również na tronie Cairhien. – Min skrzywiła się. Jego głos przepełniała taka pycha i pewność siebie, że nie sposób by było go w tym przewyższyć. A już liczyła, że trochę się pomiarkował po spotkaniu z Atha'an Miere.

Lady Caraline ułożyła kuszę w poprzek siodła, gładziła teraz jej leże dłonią obleczoną w rękawiczkę. Czyżby żałowała utraconego bełtu?

– Skłonna byłabym zaakceptować moją młodą kuzynkę na tronie... lepsza ona niż niektórzy... ale... – Wielkie ciemne oczy, które dotąd zdawały się takie przejrzyste, nagle skamieniały. – Nie jestem jednak pewna, czy mogę zaakceptować ciebie w Cairhien i nie chodzi mi wyłącznie o zmiany, które wprowadziłeś w nasze prawa i obyczaje. Ty... zmieniasz los samą swoją obecnością. Od dnia, w którym przybyłeś, codziennie giną ludzie w wypadkach tak dziwacznych, że nikt nie potrafi uwierzyć, iż naprawdę miały miejsce. Tylu mężów porzuca swoje żony, a żony mężów, że nikt już nawet tego nie komentuje. Doprowadzasz do rozpadu Cairhien tylko dlatego, że w nim przebywasz.

– Równowaga – wtrąciła pospiesznie Min. Randowi pociemniała twarz, wyglądał, jakby miał lada chwila wybuchnąć. Może jednak miał rację, że tu przybył. Niemniej jednak nie należało pozwalać mu, by przeobraził to spotkanie w awanturę. Mówiła więc dalej, nie dając żadnemu dojść

do głosu. -Zawsze istnieje równowaga dobra i zła. Tak właśnie działa Wzór. Nawet on nie jest w stanie tego zmienić. Tak jak noc balansuje dzień, tak dobro równoważy krzywdę. Od czasu, kiedy się pojawił, w mieście nie urodziło się ani jedno martwe dziecko, żadne też nie przyszło na świat zdeformowane. W niektóre dni zawierane jest więcej małżeństw niż kiedyś w ciągu całego tygodnia, a na każdego mężczyznę, który dławi się na śmierć piórkiem, jedna kobieta spada na łeb na szyję z trzech pięter i miast złamać sobie kark, staje na nogi bez jednego sińca. Wskaż jakieś zło, a ukaze ci się dobro. Każdy obrót Koła wymaga równowagi, a Rand tylko zwiększa prawdopodobieństwo tego, co i bez jego obecności mogłoby się wydarzyć w naturze. – Spłoszowała nagle, uświadomiwszy sobie, że stała się centrum uwagi. Oni po prostu się na nią gapili.

– Równowaga? – mruknął Rand, unosząc brwi.

– Ja... przeczytałam kilka książek pana Fela– wyjaśniła słabym głosem. Nie chciała, by ktokolwiek pomyślał, że udaje filozofa. Lady Caraline uśmiechała się do swego wysokiego łęku, bawiąc się jednocześnie wodzami. Ta kobieta śmiała się z niej. Już ona jej pokaże, co naprawdę jest śmieszne!

Nagle rozległ się trzask tratowanego poszycia, cwałował w ich stronę wysoki kary wałach o wyglądzie rumaka bojowego, niosący na swym grzbiecie mężczyznę w średnim wieku, z krótko przystrzyżonymi włosami i spiczastą bródką. Mężczyzna miał na sobie żółty taireniański płaszcz z obszernymi rękawami ozdobionymi paskami z zielonej satyny, z jego smagłej twarzy, wilgotnej od potu, wyzierały zaskakująco piękne błękitne oczy, podobne do jasnych wypolerowanych szafirów. Niespecjalnie był urodziwy, ale te oczy kompensowały nawet zbyt długi nos. W jednej dłoni chronionej skórzaną rękawicą trzymał kuszę, drugą, uniesioną do góry, wymachiwał bełtem o szerokim grocie.

– Przeleciała w odległości kilku cali od mojej twarzy, Caraline, i nosi twoje znakowania! Fakt, że nie ma tu grubego zwierza, to jeszcze nie powód... – W tym momencie zauważył Randa i Min i wtedy naciągnięta kusza skierowała się w ich stronę. – Czy ci ludzie zabłąkali się tutaj, Caraline, czy też znalazłaś szpiegów z miasta? Nawet przez moment nie wierzyłem, że al'Thor pozwoli nam tu spokojnie siedzieć.

Tuż za nim pojawiło się jeszcze pół tuzina zmęczonych upałem jeźdźców, mężczyźni w kaftanach, których bufiaste rękawy zdobiły paski satyny i kobiety w sukniach do konnej jazdy z wielkimi koronkowymi kryzami. Wszyscy mieli kusze. Jeźdźcy jadący na końcu jeszcze nie zdążyli się zatrzymać – ich konie wciąż dreptały kopytami i potrzasały łbami, a dwakroć tyłu właśnie przedarło się przez zarośla z drugiej strony i przystało blisko Caraline – szczupli bladzi mężczyźni i kobiety w ciemnych ubraniach z kolorowymi wstawkami niekiedy sięgającymi kolan. Wszyscy mieli kusze. Tuż za nimi nadbiegli piesi słudzy, zmordowani i zadyszani z powodu upału, ich zadanie z pewnością polegało na oprawianiu i dźwiganiu wszelkiej upolowanej zwierzyny. Nie miało znaczenia, że żaden nie miał za pasem nic więcej oprócz myśliwskiego noża. Min przełknęła ślinę i wiedzioną nieświadomym odruchem zaczęła nieco zwawiej poklepywać policzki chusteczką. Jeżeli chociaż jedna osoba rozpozna Randa, zanim on się zorientuje...

Lady Caraline nie zawahała się.

– To nie szpiedzy, Darlinie – powiedziała, zawracając konia, by stanąć twarzą ku nowo przybyłym. Wysoki Lord Darlin Sisnera! Brakowało już tylko lorda Torama Riatina. Min zapragnęła w tym momencie, aby *ta'veren* w Randzie szarpał Wzór trochę mniej skrupulatnie. – To mój kuzyn z żoną – ciągnęła Caraline – przybyli z Andoru, żeby się ze mną zobaczyć. Pozwolisz, że przedstawię ci Tomasa Trakand, z bocznej gałęzi Domu, oraz jego żonę Jaisi. – Min omal nie spiorunowała jej wzrokiem, jedyna Jaisi, jaką w życiu poznała, była podobna do zakurzonej suszonej śliwki, mimo iż

jeszcze nie ukończyła dwudziestu lat, zgorzkniała i tak nieznośna, że nie można było z nią wytrzymać.

Darlin ponownie omiół wzrokiem postać Randa, na moment zatrzymując się na Min. Opuścił kuszę i nieznacznie skłonił głowę, jak przystało na Wysokiego Lorda Łzy, któremu przedstawiono szlachcica pośledniejszej pozycji.

– Witaj, lordzie Tomasie. Trzeba być odważnym człowiekiem, żeby chcieć przyłączyć się do nas w sytuacji, w jakiej znaleźliśmy się obecnie. Al’Thor lada dzień może napuścić na nas swoich barbarzyńców. – Lady Caraline rzuciła na niego rozdrażnione spojrzenie, którego ten ostentacyjnie zdawał się nie zauważać.

Zauważył natomiast, że ukłon, jakim odwzajemnił mu się Rand, wcale nie był bardziej uprzejmy; zauważył i skrzywił się. Jakaś ciemna, urodziwa kobieta z jego orszaku mruknęła coś gniewnie – miała pociągłą, nieprzejednaną twarz, nawykłą do nie hamowanych wybuchów gniewu – a krępy mężczyzna, rzucający groźne spojrzenia i pocący się w jasnozielonym kaftanie w czerwone paski, uderzył piętami konia, który zrobił kilka kroków do przodu, jakby chciał staranować Randa.

– Koło obraca się tak, jak chce – rzekł chłodno Rand, udając, że niczego nie zauważył. Smok Odrodzony dla... Smok Odrodzony prawie dla wszystkich był kimś nadzwyczajnym. Wcieleniem niebotycznej arogancji. – Rzadko dzieje się tak, jak się tego spodziewamy. Słyszałem na przykład, że byłeś w Łzie, w Haddon Mirk.

Min pożałowała, że nie odważyła się odezwać, że nie odważyła się powiedzieć czegoś, co by go uspokoiło. Zamiast tego pogładziła go po ramieniu. Żona – określenie, które zniecka bardzo jej się spodobało – żona zdawkowo poklepująca męża. Jeszcze jedno przyjemnie brzmiące słowo. Światłości, jakże trudno było zachowywać się uczciwie! Światłości, to naprawdę nieuczciwe, że musi się zachowywać uczciwie.

– Wysoki Lord Darlin dopiero co przybył łodzią w towarzystwie swych bliskich przyjaciół, Tomasie. – Do gardłowego głosu Caraline nie wkradła się ani jedna nowa nuta, za to jej wierzchowiec nagle zatańczył w miejscu, bez wątpienia mocno uderzony piętą, ona zaś, udając, że odzyskuje nad nim panowanie, odwróciła się plecami do Darlina i rzuciła w stronę Randa ostrzegawcze spojrzenie. – Nie zwracaj głowy Wysokiemu Lordowi, Tomasie.

– Ależ ja nie mam nic przeciwko temu, Caraline -oznajmił Darlin, zawieszając kuszę w pętli przy siodle. Podjechał trochę bliżej i wsparł dłoń na wysokim łuku. – Człowiek powinien wiedzieć, w co się pakuje. Być może słyszałeś opowieści o wyprawie al’Thora do Wieży, Tomasie. Przybyłem tu, ponieważ Aes Sedai skontaktowały się ze mną wiele miesięcy temu, sugerując, jak może wyglądać przyszły bieg zdarzeń, a twoja kuzynka poinformowała mnie, że i do niej się zwróciły w tej samej sprawie. Wymyśliliśmy, że można by usadzić ją na Tronie Słońca, zanim zdąży go przejąć Colavaere. Cóż, al’Thor nie jest durniem, nie wierz w to pod żadnym pozorem. Ja osobiście uważam, że zagrał na planach Wieży niczym na harfie. Colavaere zawisła, on siedzi bezpiecznie za murami Cairhien... bez żadnej uźdżienicy Aes Sedai, o to się założę, nieważne, co mówią pogłoski... i dopóki nie znajdziemy jakiegoś sposobu, żeby wywikłać się z tej sytuacji, on będzie nas trzymał w garści, przyjdzie nam czekać tylko na to, aż zaciśnie pięść.

– Przywiozła was tu łódź – rzekł z prostotą Rand. – Łódź może was zabrać. – Nagle Min zorientowała się, że on delikatnie poklepuje jej dłoń ułożoną na jego ramieniu. Stara się ją uspokoić!

O dziwo, Darlin odrzucił głowę w tył i zaniósł się śmiechem. Wiele kobiet z pewnością zapomniało o jego nosie za sprawą tych oczu i tego śmiechu.

– Niech i tak będzie, Tomasie, ale ja poprosiłem twoją kuzynkę, żeby mnie poślubiła. Ona nie raczy odrzec ani tak, ani nie, mężczyzna jednakowoż nie może porzucić kobiety, która być może zostanie jego żoną, na pastwę Aielów. A ona nie chce wyjechać.

Caraline Damodred poprawiła się w siodle, z twarzą tak obojętną, że mogłaby zawstydzić doskonale pod tym względem Aes Sedai, ale wokół niej i Darlina rozblęły zniecka czerwono-białe aury i Min już wiedziała. Kolory zdawały się zazwyczaj nie mieć znaczenia, ale ona wiedziała, że tych dwoje pobierze się-tylko Caraline będzie go najpierw długo zwodzić dla zabawy. Co więcej, zobaczyła koronę, która pojawiła się na głowie Darlina, prosta złota obręcz z lekko zakrzywionym mieczem ułożonym tuż nad jego brwiami. Któregoś dnia ten człowiek przywdzieje królewską koronę, aczkolwiek Min nie umiała orzec jakiego kraju. W Łzie panowali Wysocy Lordowie, nie królowie.

Wizja i aury zniknęły, kiedy Darlin tak pokierował swym koniem, by stanąć przodem do Caraline.

– Dzisiaj nie upolujemy już żadnej zwierzyny. Toram wrócił do obozu. Proponuję uczynić to samo. – Błękitne oczy omiotły otaczający ich krąg drzew. – Jak się zdaje, twój kuzyn i jego żona zgubili swoje konie. I tak by się błakali, ukarani za moment beztroski – dodał uprzejmym tonem, zwracając się do Randa. Wiedział bardzo dobrze, że nie mieli żadnych koni. – Jestem jednak pewien, że Rovar i Ines oddadzą im swoje wierzchowce. Spacer na powietrzu dobrze im zrobi.

Krępy mężczyzna w kaftanie w czerwone paski natychmiast zeskoczył ze swojego wysokiego cisawego konia, rzuciwszy przymilny uśmiech do Darlina i ostentacyjnie służbowy, lecz równie oleisty w stronę Randa. Kobieta o gniewnej twarzy zsiadła sztywno ze swej srebrnoszarej klaczy, ale dopiero po chwili. Nie wyglądała na zachwyconą.

Podobnie jak Min.

– Zamierzasz jechać do ich obozu? – spytała szeptem, kiedy Rand poprowadził ją w stronę koni. – Oszalałeś? – dodała, nie zastanowiwszy się nad tym, co mówi.

– Jeszcze nie – odparł cicho, dotykając jej nosa czubkiem palca. – Wiem o tym dzięki tobie. – I posadził ją na grzbiecie klaczy, po czym sam wspiął się na siodło cisawego i piętami pogał zwierzę, zajmując pozycję u boku Darlina.

Kierując się na północ i lekko na zachód, na wskroś zbocza, pozostawili za sobą Rovaira i Ines, którzy stali pod drzewami ze skwaszonymi minami. Kiedy zostali z tyłu w towarzystwie grupy Cairhienian, inni Tairenianie pokrzykiwali ze śmiechem, życząc im miłego spaceru.

Min jechałaby obok Randa, ale Caraline położyła dłoń na jej ramieniu, odciągając od obu mężczyzn.

– Chcę zobaczyć, co on robi – powiedziała cicho Caraline.

“Ale który” – zastanowiła się Min.

– Jesteś jego kochanką? – spytała Caraline.

– Tak – odparła butnym tonem Min, kiedy już odzyskała dech. Miała wrażenie, że policzki stanęły jej w ogniu. Jednak ta kobieta tylko skinęła głową, jakby to była najnormalniej sza rzecz na świecie. Może i była, w Cairhien. Czasami odnosiła wrażenie, że “warstwa” całej tej wyrafinowanej ogłady, której nabrała dzięki kontaktom ze światowymi ludźmi, jest nie grubsza niż jej bluzka.

Rand i Darlin jechali w przodzie, kolano w kolano, młodszy mężczyzna o pół głowy wyższy od starszego, każdy okutany dumą niczym płaszczem. Niemniej jednak rozmawiali jak równy z równym. Niestety, nie można było usłyszeć, o czym mówią. Rozmawiali przyciszonymi głosami, a pod kopytami koni szeleściły uschłe liście, pękały opadłe gałązki, co skutecznie zagłuszało padające słowa. Sporadyczny okrzyk jastrzębia albo szczebioty wiewiórek na drzewach pogarszały tylko słyszalność. A jednak wpadały jej do ucha jakieś strzępy rozmowy.

– Jeśli mi wolno tak rzec – powiedział w pewnym momencie Darlin, kiedy zjeżdżali w dół ze szczytu pierwszego wzniesienia – i, na Światłość, nie chcę okazać braku szacunku, masz szczęście, żeś się ożenił z tak piękną kobietą. Z wolą Światłości sam będę miał równie piękną żonę.

– Dlaczego nie rozmawiają o czymś ważnym? – mruknęła Caraline.

Min odwróciła głowę, by ukryć lekki uśmiech. Lady Caraline nie wyglądała na w połowie tak zadowoloną, jak to wynikało z jej głosu. Jej samej nigdy nie obchodziło, czy ktoś ją uważa za piękną czy nie. Cóż, w każdym razie dopóki nie spotkała Randa. Może nos Darlina wcale jednak nie był taki długi.

– Pozwoliłbym mu zabrać Callandor z Kamienia – powiedział Darlin jakiś czas później, kiedy wspinali się po rzadko zalesionym zboczu – ale nie mogłem stać z boku, kiedy sprowadził do Łzy Aielów.

– Czytałem Proroctwa Smoka – odparł Rand, pochylając się do przodu ponad karkiem cisawego wierzchowca i poganiając go. Min podejrzewała, że mimo lśniącej sierści, zwierzę nie miało więcej ducha niż jego właściciel. – Kamień musiał paść, zanim zdoła ująć Callandora – ciągnął Rand. – Pozostali taireniańscy lordowie, jak słyszałem, opowiedzieli się po jego stronie.

Darlin parsknął.

– Płaszczą się i liżą mu buty! Mogłem się przyłączyć, jeśli tego właśnie chciał, jeśli... – Westchnął i potrząsnął głową. – Za wiele tych “jeśli”, Tomasiu. Jest takie powiedzenie w Łzie: “Każda waśń daje się zapomnieć, jednak królowie nie zapominają nigdy”. W Łzie nie było króla od czasu Artura Hawkwinga, ale moim zdaniem Smok Odrodzony zachowuje się niczym istny król. Nie, skazał mnie na utratę praw za zdradę, jak to sam określił, dlatego teraz muszę dalej postępować konsekwentnie. Jeżeli taka będzie wola Światłości, zanim umrę, raz jeszcze zobaczę suwerena Łzy na jego własnej ziemi.

Min wiedziała, że to musi być działanie *ta'veren*. Ten człowiek nigdy by nie rozmawiał tak swobodnie z kimś przygodnie poznanym, niezależnie od tego, czy był to domniemany kuzyn Caraline Damodred, czy ktoś inny. Ale co Rand właściwie sobie wyobrażał? Omal nie mogła już się doczekać, kiedy mu opowie o koronie.

Gdy dotarli już prawie na szczyt wzgórza, natknęli się nagle na grupę lansjerów – niektórzy w mocno pogiętych napierśnikach albo hełmach, większość jednak nawet bez takich nędznych fragmentów zbroi; pokłonili się na widok ich grupy. Po lewej i prawej stronie, za drzewami, Min widziała resztę oddziałów wart. W dole rozciągał się obóz, spowity, jak się zdawało, we wszechobecną chmurę pyłu, zalegającą u stóp bezleśnego wzgórza, w kotlinie i na następnym zboczu. Namioty rozbite w obozie były nieliczne, lecz duże, wieńczyły je zwisające luźno sztandary poszczególnych szlachciców. Koni uwiązanych do palików było prawie tyle samo co ludzi w obozie, wśród ognisk i wozów wałęsały się tysiące mężczyzn oraz garstka kobiet. Nikt nie zaczął wiwatować, gdy na teren obozowiska wjechali przywódcy.

Min przyglądała im się ponad rąbkiem chusteczki, którą przycisnęła do nosa, dla ochrony przed kurzem, nie dbając, czy Caraline widzi, co ona robi. Ich przejazd obserwowały zobojętniałe i ponure twarze, twarze ludzi, którzy wiedzieli, że znaleźli się w pułapce. Tu i tam zza czyjegoś ramienia wystawał sztywno *con* reprezentujący jeden z Domów, jednakże większość mieszkańców obozu zdawała się nosić to, co im wpadło w ręce, najrozmaitsze elementy zbroi, często nie dopasowane. Liczni mężczyźni zbyt wysocy, by mogli to być Cairhienianie, nosili czerwone kaftany pod wyszczerbionymi napierśnikami. Min przyjrzała się częściowo ukrytemu białemu lwu wyhaftowanemu na brudnym czerwonym rękawie. Łodzią Darlin mógł tu sprowadzić zaledwie garstkę ludzi, być może nie więcej niż tylu, ilu towarzyszyło mu na polowaniu. Caraline nie rozglądała się na boki, kiedy przemierzali obóz, ale za każdym razem, gdy przejeżdżali obok tych mężczyzn w czerwonych kaftanach, gniewnie zaciskała usta.

Darlin zsiadł z konia przed ogromnym namiotem, największym, jaki Min kiedykolwiek widziała i jaki umiałyby sobie wyobrazić, wielkim owalem w czerwone paski, tak lśniącym w słońcu, jakby go uszyto z jedwabiu, zwieńczonym aż czterema wysokimi spiczastymi wierzchołkami; znad każdego powiewało na leniwym wietrze Wschodzące Słońce Cairhien, złote na niebieskim tle. Z wnętrza,

wplatając się w gwar głosów podobny gęganiu gęsi, dochodziło pobrzękiwanie harfy. Kiedy słudzy odebrali już od nich konie, Darlin podał ramię Caraline. Po bardzo długim wahaniu objęła palcami jego nadgarstek i pozwoliła mu wprowadzić się do środka, z twarzą całkiem pozbawioną wyrazu.

– Moja pani żono? – wymamrotał Rand z uśmiechem i wyciągnął rękę.

Min prychnęła i wsparła dłoń na jego dłoni. Nie miał prawa robić sobie z tego żartów. Nie miał prawa sprowadzać jej tutaj, tak bezwzględnie ufać swej mocy *ta'veren*. Mogli go tutaj zabić, a żeby szczeli! Ale czy jego by to obeszło, gdyby już do końca życia miała tylko płakać? Musnęła dłonią jedną z pasiastych klap, kiedy wchodzili do środka, i potrząsnęła głową ze zdumienia. To naprawdę był jedwab. Jedwabny namiot!

Jeszcze zanim znaleźli się we wnętrzu, poczuła, że Rand zeszywniał. Okrojona świta Darlina i Caraline stłoczyła się wokół nich, mamrocząc nieszczere przeprosiny. Między czterema głównymi wspornikami namiotu, na kolorowych dywanikach rozesłanych na podłodze, stały długie stoły na kozłach, uginające się pod ciężarem jada i trunków, oblegane przez ludzi, cairhieniańskich szlachciców w ich paradnych strojach i żołnierzy, którzy mieli wygolone i upudrowane czoła i najwyraźniej wysokich rangą, jeśli sądzić po wspaniałym kroju kaftanów. W tłumie przechadzało się kilku bardów, którzy rzucali się w oczy zarówno przez to, że posiadali rzeźbione i pozłacane harfy, jak i z powodu min wynioślejszych niż u niejednego arystokraty. A jednak wzrok Min natychmiast pobiegł, jakby przyciągało go nieodmienne źródło troski Randa, w stronę trzech Aes Sedai pogrążonych w rozmowie, odzianych w szale z zielonymi, brązowymi i szarymi frędzlami. Wokół nich błyskały wizje i kolorowe plamy, ale nic, co miałyby jakiś wyraźny sens. Zawirowanie w tłumie ukazało jeszcze jedną kobietę o przyjemnie krągłej twarzy. Więcej obrazów, więcej rozjarzonych kolorów, ale Min wystarczył szal z czerwonymi frędzlami zapętłony na pulchnych ramionach.

Rand wsunął sobie jej rękę pod ramię i poklepał delikatnie.

– Nie przejmuj się-powiedział cicho. – Wszystko jest dobrze.

Zapytałaby go, co one tu robią, ale bała się usłyszeć jego odpowiedź.

Darlin i Caraline zniknęli w tłumie razem ze swymi towarzyszami, ale kiedy kłaniający się sługa w ciemnych mankietach z czerwonymi, zielonymi i białymi paskami podsunął tacę ze srebrnymi pucharami w stronę Randa i Min, Caraline objawiła się ponownie, opędzając się od naprzykrzającego się jej osobnika z haczykowatym nosem i ubranego w jeden z tych czerwonych kaftanów. Ten spiorunował ją wzrokiem, w momencie gdy się od niego odwróciła i wzięła puchar z ponczem, gestem dłoni odprawiając służącego. Wtedy to też Min prawie zapało dech, ponieważ wokół tamtego nagle rozblęsnęła aura, sine barwy, tak ciemne, że zdawały się niemal czarne.

– Nie ufaj temu człowiekowi, lady Caraline. – Nie umiała się powstrzymać. – On zamorduje każdego, kto stanie mu na drodze. Zabije dla kaprysu, bez względu na to, kto to będzie. – Zacisnęła zęby, żeby nie mówić już nic więcej.

Caraline zerknęła przez ramię i mężczyzna o haczykowatym nosie odwrócił się gwałtownie.

– Bez trudu uwierzę w takie rzeczy mówione na temat Daveda Hanlona– stwierdziła sucho. – Jego Białe Lwy biją się o złoto, nie o Cairhien, a są jeszcze gorszymi rabusiami niż Aielowie. Ponoć w Andorze grunt zaczął im się palić pod nogami. – Mówiła to, zerkając na Randa spod brwi wygiętej w łuk. – Toram obiecał mu dużo złota, jak słyszałam, a także majątki: o tym wiem z całą pewnością. – Spojrzała zmrużonymi oczami na Min. – Czy znasz tego mężczyznę, Jaisi?

Min mogła jedynie potrząsnąć głową. Jak miała wyjaśnić to, co teraz już wiedziała o Hanlonie: że zanim umrze, będzie miał dłonie splamione czerwienią kolejnych gwałtów i mordów? Gdyby znała czas albo osobę... A tymczasem wiedziała tylko, że on będzie to robił. W każdym razie i tak nigdy niczego nie potrafiła zmienić, opowiadając o swoich wizjach, wszystko i tak musiało się

dokonać, niezależnie od tego, czy kogoś ostrzegła. Niegdyś, zanim nauczyła się strzec języka, posądzano ją o to, że dana rzecz nastąpiła w konsekwencji jej ostrzeżeń.

– Słyszałem o Białych Lwach – oświadczył chłodnym głosem Rand. – Poszukaj wśród nich Sprzymierzeńców Ciemności, a nie rozczarujesz się. – Byli wśród nich żołnierze Gaebrila; Min wiedziała trochę więcej, nie tylko to, że lord Gaebril to tak naprawdę Rahvin. Nie dziwiło więc, że w szeregach żołnierzy służących jednemu z Przeklętych kryli się Sprzymierzeńcy Ciemności.

– A tamten? – Rand wskazał skinieniem głowy mężczyznę po drugiej stronie namiotu, którego długi ciemny kaftan zdobiło tyle samo pasków co suknię Caraline. Bardzo wysoki jak na Cairhienianina, może niecałą głowę niższy od Randa, szczupły mimo barczystych ramion i zaskakująco przystojny, z silnie zarysowanym podbródkiem i odrobiną siwizny na ciemnych skroniach. Niemniej jednak Min z jakiegoś niewiadomego powodu powiodła wzrokiem w stronę jego towarzysza, chuderławego niskiego osobnika z wydatnym nosem i wielkimi uszami, w czerwonym kaftanie, który nie bardzo na nim leżał. Stale gładził palcem zakrzywiony szeptet wetknięty za pas, wyjątkowo piękny, w złotej pochwie i z dużym czerwonym kamieniem w głównej, który zdawał się pochłaniać światło. Nie widziała wokół niego żadnych aur, ale zdawał się jakby znajomy. Obaj mężczyźni obserwowali ją i Randa.

– A to – wyjaśniła Caraline ściśniętym głosem – jest sam lord Toram Riatin. Oraz jego nieodłączny towarzysz od kilku dni, pan Jeraal Mordeth. Obmierzły człeczyna. Jest coś takiego w jego oczach, że mam chęć wziąć kąpiel. Obaj zresztą sprawiają, że czuję się nieczysta. – Zamrugęła, zdziwiona tym, co właśnie powiedziała, ale opanowała się prędko. Min miała wrażenie, że mało co potrafiło na dłużej wytrącić Caraline z równowagi. Pod tym względem zdecydowanie przypominała Moiraine. – Na twoim miejscu byłabym bardzo ostrożna, kuzynie Tomasie – ciągnęła. – Być może to jakiś cud albo podziałałeś na mnie jako *ta'veren*, może nawet na Darlina również... Nie umiem orzec, do czego to może doprowadzić, i niczego też nie obiecuję, ale wiedz, że Toram ogromnie cię nienawidzi. Nie było tak źle, dopóki Mordeth nie przyłączył się do niego, ale odkąd... Toram z najwyższą chęcią pchnąłby nas natychmiast do ataku na miasto, pod osłoną pierwszej nocy. Gdybyś ty umarł, powiada, Aielowie by odeszli, ale ja uważam, że jemu obecnie znacznie bardziej zależy na twojej śmierci niż na tronie.

– Mordeth – powiedział Rand. Nie odrywał oczu od Torama Riatina i jego chuderławego towarzysza. – On się nazywa Padan Fain, za jego głowę wyznaczono sto tysięcy złotych koron.

Caraline niemal upuściła swój puchar.

– Królowe porywano dla mniejszego okupu. Cóż on takiego zrobił?

– Splądrował mój dom tylko dlatego, że był to mój dom. – Twarz Randa wykrzywił grymas, głos brzmiał lodowato. – Sprowadził trolloki, by zabiły moich przyjaciół, ponieważ to byli moi przyjaciele. Jest Sprzymierzeńcem Ciemności i na dodatek martwym. -Te ostatnie słowa zostały wypowiedziane przez zaciśnięte zęby. Poncz wylał się na dywan, kiedy srebrny puchar przechylił się w jego dłoni.

Min zrobiło się słabo, słabo ponieważ знаła jego ból -słyszała, co Fain zrobił w Dwu Rzekach – ale bliska paniki, położyła dłoń na piersi Randa. Jeżeli teraz nie zapanuje nad sobą, przeniesie w obecności przebywających tu Aes Sedai...

– Na miłość Światłości, weźże się w garść... – zaczęła, lecz w tym momencie za jej plecami rozległ się miło brzmiący, kobiecy głos.

– Czy zechcesz mnie przedstawić swojemu młodemu przyjacielowi, Caraline?

Min obejrzała się przez ramię, by zetknąć się z twarzą pozbawioną piętna upływu lat, chłodnooką, otoczoną siwymi jak stal włosami zebranych w kok, na którym kołysały się małe złote

ozdoby. Zdusiwszy pisk, Min zakasłała. Myślała, że Caraline rozszyfrowała ją za pomocą jednego spojrzenia, ale te zimne oczy zdawały się wiedzieć o niej takie rzeczy, które ona sama już dawno puściła w niepamięć. Uśmiech Aes Sedai, kiedy poprawiała swój szal z zielonymi frędzlami, wcale nie był taki przyjemny jak głos.

– Oczywiście, Cadsuane Sedai. – Głos Caraline wskazywał, że jest wyraźnie wstrząśnięta, jednak zdołała zapanować nad sobą, zanim dobiegło końca przedstawianie “kuzyna” oraz jego “żony”, którzy przybyli do niej w odwiedzinach. – Obawiam się jednak, że w obecnej chwili Cairhien nie jest dla nich odpowiednim miejscem – dodała, opanowana już, uśmiechając się z żalem, że nie może zatrzymać Randa i Min na dłużej. – Przyjęli moją radę i wracają do Andoru.

– Czyżby? – spytała sucho Cadsuane. Min zamarło serce. Rand wprawdzie o niej nie opowiadał, jednak patrzyła na niego w taki sposób, że było oczywiste, iż gdzieś już go spotkała. Małe złote ptaki, księżycy i gwiazdki zakołysały się, kiedy potrząsnęła głową. – Większości małych chłopców wystarczy, że się raz oparzą, by wiedzieli, że nie należy wsadzać palców do ognia, Tomasiu. Innym trzeba dać klapsa, żeby ich nauczyć. Lepsze obolałe siedzenie niż poparzona ręka.

– Wiesz, że nie jestem dzieckiem – odparł ostrym tonem Rand.

– Czyżby? – Obejrzała go od stóp do głów takim wzrokiem, pod którym zdawał się zupełnie niewysoki. – Cóż, wychodzi na to, że niebawem się przekonam, czy naprawdę nie potrzebujesz klapsa. – Chłodne spojrzenie przeniosło się na Min, potem na Caraline i, po raz ostatni poprawiwszy szal, Cadsuane dostojnymi krokami wmieszała się w tłum.

Min przełknęła z trudem ślinę, czując jak kula w gardle powoli niknie i z zadowoleniem zauważyła, że Caraline przeżywa podobną ulgę; więc jednak aż tak opanowana nie była. Rand – ten ślepy dureń! – odprowadził wzrokiem Aes Sedai, jakby zamierzał za nią pójść. Tym razem to Caraline położyła dłoń na piersi Randa.

– Jak rozumiem, poznałeś już Cadsuane – powiedziała półszepem. – Uważaj, nawet inne siostry się jej boją. – Gardłowy ton nabrał powagi. – Nie mam pojęcia, co się dziś zdarzy, ale cokolwiek to będzie, myślę, że czas najwyższy, abyś stąd odjechał, “kuzynie Tomasiu”. W istocie dawno już po czasie. Każę sprowadzić konie...

– To twój kuzyn, Caraline? – spytał głęboki i dźwięczny męski głos. Min wbrew sobie aż podskoczyła.

Z bliska Toram Riatin wyglądał jeszcze bardziej przystojnie, dysponował tym rodzajem męskiej urody i światowego obycia, które Min przed poznaniem Randa uznałaby za cechy nadzwyczaj atrakcyjne. Cóż, nadal bardzo jej się podobały, ale nie tak bardzo jak te, które podziwiała u Randa. Trzeba było jednak przyznać, że uśmiech tych jędrnych warg był całkiem ponętny.

Wzrok Torama padł na dłoń Caraline nadal spoczywającą na piersi Randa.

– Lady Caraline ma zostać moją żoną – powiedział leniwie. – Dowiedziałeś się o tym?

Policzki Caraline poczerwieniały gniewnie.

– Nie mów tak, Toram! Jeśli ci powiedziałam, że nie wyjdę za ciebie, to nie wyjdę!

Toram uśmiechnął się do Randa.

– Moim zdaniem kobiety nigdy nie wiedzą, czego chcą, dopóki im tego nie pokażesz. Co o tym sądzisz, Jeraal? Jeraal? – Rozejrzał się dookoła, wyraźnie zbity z tropu. Min zapatrzyła się na niego ze zdumieniem. Wszak był taki piękny, zwłaszcza z tym... Żałowała, że wizje nie przychodzą na życzenie. Bardzo pragnęła się dowiedzieć, jaka przyszłość jest pisana temu człowiekowi.

– Zauważyłam twój przyjaciel, jak umykał w tamtą stronę, Toramie. – Z ustami wykrzywionymi w grymasie niesmaku, Caraline wykonała dłonią niewyraźny gest. – Znajdziesz go przy trunkach, jak sądzę, albo tam gdzie można nękać usługujące dziewczęta.



– Później, najdroższa. – Usiłował dotknąć jej policzka i zrobił rozbawioną minę, kiedy się cofnęła. Ale już po chwili nie patrzył na nią, tylko, wciąż z wesołością w oczach, spojrzął na Randa. I na miecz u jego boku. – Czy miałbyś ochotę na małe zawody, kuzynie? Zapraszam ciebie, ponieważ będziemy kuzynami, kiedy Caraline zostanie już moją żoną. Na miecze ćwiczebne, ma się rozumieć.

– Mowy nie ma. – Caraline roześmiała się. – Tomas jest młody, Toramie, i ledwie odróżnia jeden koniec tego śmiercionośnego narzędzia od drugiego. Jego matka nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym pozwoliła...

– Zawody – przerwał jej brutalnie Rand. -Z chęcią się przekonam, jaki będzie wynik. Zgadzam się.

# ROZDZIAŁ 17

## OSTRZA

Min nie wiedziała, co zrobić: jęczeć, krzyczeć czy może usiąść na ziemi i rozplakać się. Caraline, wpatrzona szeroko rozwartymi oczyma w Randa, zdawała się przeżywać podobny dylemat.

Toram zaśmiał się i zatarł ręce.

– Słuchajcie wszyscy! – zawołał. – Zaraz będziecie świadkami małych zawodów. Zróbcie miejsce! Zróbcie miejsce! – Odszedł na bok, przeganiając ludzi ze środkowej części namiotu.

– Pasterzu – warknęła Min – ty nie masz wełny zamiast mózgu. Ty w ogóle nie masz mózgu!

– Ja bym tak tego nie ujęła – powiedziała Caraline bardzo oschłym tonem – jednakże sugeruję, abyś odjechał, i to zaraz. Niezależnie od tego, jakimi to... sztuczkami... zamierzasz się posłużyć, zważ, że w tym namiocie jest siedem Aes Sedai, przy czym cztery wśród nich to Czerwone Ajah, które przybyły niedawno z południa, zatrzymując się w drodze do Tar Valon. Mocno się obawiam, że jeśli któraś z nich nabierze bodaj cienia podejrzeń, to ten dzień może się nie zakończyć tak, jak powinien. Odjedź.

– Nie użyję żadnych... sztuczek. – Rand odpiął pas i wręczył go Min. – Skoro wpłynąłem na ciebie i Darlina w jeden sposób, to może uda mi się wpłynąć na Torama w inny. – Tłum cofał się, zwalniając przestrzeń o średnicy dwudziestu kroków między dwoma masywnymi głównymi masztami namiotu. Niektórzy spośród zgromadzonych przyglądali się Randowi, a wielu poszturchiwało się i podśmiewało ukradkiem. Aes Sedai naturalnie zaoferowano najlepsze miejsca, Cadsuane i jej przyjaciółkom z jednej strony, czterem kobietom w szalach Czerwonych Ajah z drugiej. Te pierwsze przypatrywały się Randowi z jawną dezaprobatą, okazując przy tym najwyższy stopień irytacji, jaki Aes Sedai kiedykolwiek pozwalały sobie demonstrować. Natomiast Czerwone siostry sprawiały wrażenie bardziej poruszonych obecnością tamtych trzech niż samymi zawodami. W każdym razie, mimo iż stały naprzeciwko nich, starały się, by wyglądało, jakby zupełnie nie dostrzegały innych siostr. A wszak nikt nie mógł być aż tak ślepy, o ile się do tego nie zmuszał.

– Posłuchaj mnie, kuzynie. – Cichy głos Caraline niemalże łamał się z przejęcia. Stała bardzo blisko, z wyciągniętą szyją, by móc patrzeć mu prosto w oczy. Wzrostem ledwie sięgała mu do piersi, a mimo to wyglądała na gotową wytargać go za uszy. – Jeśli nie uciekniesz się do którejś ze swych specjalnych sztuczek – ciągnęła Caraline – on cię poważnie porani. Zrobi to nawet wtedy, gdy będziecie walczyć na miecze ćwiczebne. Nigdy nie lubił, jak ktoś inny dotykał czegoś, co według niego stanowiło jego własność, a na dodatek podejrzewa każdego urodziwego młodzieńca o to, że jest moim kochankiem. Kiedy byliśmy dziećmi, zepchnął ze schodów Derowina, swego przyjaciela... przyjaciela!... tak, że ten złamał sobie kark, a wszystko dlatego, że ów przejechał się na jego kucyku, nie zapytawszy wprawdzie o pozwolenie. Odjedź, kuzynie. Nikt nie będzie tobą gardził; od młodego chłopca nie wymaga się, by stawał do walki z mistrzem ostrza. Jaisi... czy jak tam się naprawdę nazywasz... pomóż mi go przekonać!

Min otworzyła usta, ale Rand położył jej palec na wargach.

– Jestem, kim jestem – rzekł z uśmiechem. – I nie sądzę, by on pozwolił mi teraz uciec, gdybym nawet zechciał. A więc jest mistrzem ostrza, no proszę, proszę. – Odpiąwszy guziki przy kaftanie, wyszedł na środek wolnego pola.

– Dlaczego oni są tacy uparci wtedy, gdy sobie tego najmniej życzysz? – szepnęła Caraline przygnębionym tonem. Min mogła tylko pokiwać głową na znak, że się z nią zgadza.

Toram rozebrał się do samej koszuli i spodni, w ręku trzymał dwa miecze ćwiczebne, których

“ostrza” składały się z wiązek cienkich szczap ciasno powiązanych ze sobą. Uniósł brew na widok Randa, który tylko rozpiął kaftan.

– Będziesz miał skrępowane ruchy, kuzynie. Rand wzruszył ramionami.

Toram bez ostrzeżenia cisnął w jego stronę jeden z mieczy, Rand złapał go w powietrzu za długą rękojeść.

– W tych rękawicach uchwyt będzie ci się ślizgał, kuzynie. Musisz ścisnąć miecz pewnie.

Rand ujął rękojeść oburącz, przekrzywił miecz lekko, ostrzem w dół, i wystawił lewą stopę do przodu.

Toram rozłożył ręce, jakby chciał powiedzieć, że zrobił, co mógł.

– No cóż, przynajmniej wie, jak przyjąć postawę -orzekł ze śmiechem i wraz z ostatnim słowem skoczył do przodu, z całą siłą wyprowadzając cios na głowę Randa.

Drewniane ostrza uderzyły o siebie z donośnym trzaskiem. Rand z pozoru nie wykonał najmniejszego ruchu, poruszył tylko mieczem. Toram wpatrywał się w niego przez chwilę, a Rand spokojnie odwzajemnił spojrzenie. A potem zaczęli “tańczyć”.

Takim tylko słowem potrafiła określić Min te posuwiste, płynne ruchy, migotanie i wirowanie drewnianych ostrzy. Zdarzało jej się przyglądać, jak Rand ćwiczy walkę na miecze z najlepszymi, jakich potrafił znaleźć, często z dwoma, trzema albo nawet czterema jednocześnie, ale tamte walki były niczym w porównaniu z tą. Ta była po prostu piękna i nadzwyczaj łatwo było zapomnieć, że gdyby ostrza wykuto ze stali, popłynęłaby krew. Tyle że żadne z tych ostrzy, nieważne, czy stalowe, czy z drewnianych szczap, nie dotknęło jeszcze ciała. W swym tańcu przemieszczali się tam i z powrotem, na przemian wyprowadzając sztychy, które miały przeniknąć obronę przeciwnika, każdy ruch akcentowały głośnie trzaski drewna.

Caraline ścisnęła silnie ramię Min, na moment nie odrywając oczu od walczących.

– On też jest mistrzem ostrza – powiedziała bez tchu. – Nie ma wątpliwości. Popatrz tylko!

Min patrzyła i tuliła Randowy pas od miecza wraz ze schowanym do pochwy ostrzem, jakby to był on sam. Tam i z powrotem, obaj piękni, i cokolwiek myślał sobie Rand, Toram już żałował, że jego ostrze nie jest ze stali. Z twarzą, na której płonęła lodowata wściekłość, nacierał coraz bardziej zapalczywie. I mimo iż żadne z obu ostrzy nie dotknęło dotychczas niczego oprócz drugiego miecza, Rand stale się teraz cofał, osłaniając silnymi wymachami, a Toram postępował do przodu, atakując, z oczyma lśniącymi od zimnej furii.

Wtem, na zewnątrz, rozległ się okrzyk, paniczny wrzask wyrażający krańcowe przerażenie i ogromny namiot poderwał się w powietrze, znikając w gęstej szarzyźnie, która skryła niebo. Wszędzie, gdzie spojrzeć, kłębiła się mgła, pełna odległych wrzasków i lamentów. Do przypominającej odwróconą misę przestrzeni czystego powietrza pozostawionej przez namiot napływały cienkie szare wici. Wszyscy wytrzeszczyli oczy ze zdumienia. Prawie wszyscy.

Ostrze Torama przeszło bok Randa przy akompaniamencie trzasku przypominającego odgłos pękających kości, i sprawiając, że ten aż zgiął się w pół.

– Już nie żyjesz, kuzynie – rzekł drwiąco Toram, unosząc wysoko swe ostrze, by znowu wyprowadzić cios... i zastygł w miejscu z wytrzeszczonymi oczyma, gdy tymczasem ciężka szara mgła nad ich głowami... zestaliła się. Macka mgły, nie mogło to być nic innego, w kształcie grubego ramienia z trzema palcami opadła w dół i oplotła ciało krępej Czerwonej siostry, po czym porwała ją w górę, zanim ktokolwiek zdążył wykonać najmniejszy ruch.

Pierwsza otrząsnęła się Cadsuane. Uniosła ręce, strącając z ramion szal, wykręciła dłonie i z każdej z nich wyskoczyły kule ognia, które natychmiast strzeliły w głąb mgły niczym dwie smugi. W górze coś nagle buchnęło płomieniami, jednym wielkim rozbłyskiem, który zgasł natychmiast i tamta

Czerwona siostra pojawiła się ponownie – runęła całym ciężarem na dywany, twarzą w dół, tuż obok Randa, który klęczał na jednym kolanie, trzymając się za bok. W każdym razie leżałaby twarzą w dół, gdyby jej kark nie został potwornie wykręcony: leżąc na brzuchu, martwymi oczami wpatrywała się we mgłę.

W tym momencie zgromadzeni w namiocie utracili resztki opanowania, jakie do tej pory udało im się zachować. Sam Cień przyoblekł się w ciało. Krzyczący przeraźliwie ludzie rozbiegli się we wszystkie strony, arystokraci roztrącali służących, służący odpychali arystokratów. Poturbowana Min wywalczyła sobie drogę do Randa, używając pięści, łokci oraz miecza w charakterze pałki.

– Nic ci nie jest? – zapytała, pomagając mu podźwignąć się. Ze zdziwieniem spostrzegła Caraline, która też spieszyła z pomocą. Sama Caraline wyglądała zresztą na zdziwioną swoim postępowaniem.

Wyjął rękę spod kaftana, na szczęście palce nie były powalane krwią. W połowie zaleczona rana, jakże przecież wrażliwa, nie otworzyła się.

– Myślę, że powinniśmy ruszać – stwierdził, biorąc swój pas. – Musimy się stąd wydostać. – Przestrzeń czystego powietrza była już wyraźnie mniejsza. Prawie wszyscy uciekli. Z wnętrza mgły dobiegały ich straszliwe wrzaski, większość urywała się gwałtownie, ale po chwili rozlegały się kolejne.

– Zgadzam się, Tomasie – powiedział Darlin. Z mieczem w ręku ustawił się plecami do Caraline, odgradzając ją od mgły. – Pytanie tylko, w którym kierunku? A także, jak bardzo powinniśmy się oddalić?

– To jego dzieło – wycedził jadowicie Toram. – To dzieło al’Thora. – Cisnąwszy na ziemię miecz ćwiczebny, podszedł do porzuconego kaftana i spokojnie go przywdział. Kim jak kim, ale na pewno nie był tchórzem. – Jeraal? – krzyknął w stronę mgły, zapinając swój pas. – Jeraal, a żebyś szczeł w Światłości, człowieku, gdzieś ty się podział? Jeraal! – Mordeth... Fain... nie odpowiadał, a Toram nie przestawał wołać.

Jedynymi osobami, które pozostały w środku oprócz nich, były Cadsuane oraz jej dwie towarzyszki, które mimo spokojnych twarzy, nerwowo miętoszyły krawędzie szali. Sama Cadsuane wyglądała tak, jakby się właśnie wybierała na przechadzkę.

– Moim zdaniem na północ – orzekła. – To najbliższa droga do zbocza; jeśli na nie wejdziemy, wydostaniemy się ponad to wszystko. Przestań się awanturować, Toram! Ten twój człowiek albo nie żyje, albo cię nie słyszy. – Toram spojrzał na nią spode łba, ale rzeczywiście przestał pokrzykiwać. Cadsuane jakby tego nie zauważyła, może wcale jej to nie obeszło, liczyło się tylko to, że umilkł. – W takim razie na północ. My trzy zajmiemy się wszystkim, z czym nie upora się wasza stal. – Spojrzała wprost na Randa, kiedy to mówiła, a on skinął nieznacznie głową, po czym zapiął pas i dobył miecza. Min, która starała się nie wytrzeszczać oczu, wymieniła spojrzenia z Caraline; oczy tamtej były okrągłe jak spodki. Aes Sedai wiedziała, kim on jest i zamierzała to zachować dla siebie.

– Żałuję, że zostawiłyśmy naszych Strażników w mieście – powiedziała szczupła Żółta siostra. Maleńkie srebrne dzwoneczki w jej włosach zadźwięczały cicho, kiedy pokręciła głową. Sprawiała wrażenie równie władczej jak Cadsuane, do tego stopnia, że z początku poza dumą na obliczu nie sposób było dojrzeć jej urody, tyle że ruch głowy zdawał się... no cóż... jakby potulny. – Szkoda, że nie ma tu Roshana.

– Krąg, Cadsuane? – spytała Szara. Gdy obracała głowę to w jedną, to w drugą stronę i starała się przebić wzrokiem mgłę, przypominała pękata, jasnowłosa jaskółkę, zwłaszcza dzięki temu spiczastemu nosowi i wścibskim oczom. Może nie do końca przestraszona jaskółkę, ale z pewnością

taką, która jest gotowa natychmiast poderwać się do lotu. – Czy powinniśmy się połączyć?

– Nie, Niande – odparła z westchnieniem Cadsuane. – Kiedy coś zobaczysz, musisz być w stanie zaatakować natychmiast, a nie zwlekać, póki mi tego czegoś nie pokażesz. Samitsu, przestań się przejmować Roshanem. Mamy tu trzy znakomite miecze, przy czym dwa z nich noszą znak czapli, jak widzę. Ta wystarczy.

Toram obnażył zęby, zobaczywszy czaplę wytrawioną na ostrzu, które Rand dobył z pochwy. Jeżeli to miał być uśmiech, to brakowało mu wesołości. Na jego obnażonym ostrzu też widniała czapla. Miecz Darlina nie nosił żadnych oznakowań, i ten obrzucił teraz Randa i jego broń taksującym spojrzeniem, po czym złożył pełen szacunku ukłon, o wiele głębszy niż podczas wcześniejszego powitania Tomasa Trakanda, z bocznej linii Domu.

Dowodzenie przejęła siwowłosa Zielona i zachowała je mimo prób protestu ze strony Darlina, który jak wielu Tairenian zdawał się nie przepadać za Aes Sedai, a także Torama, któremu zwyczajnie było nie w smak, że ktoś wydaje mu rozkazy. A skoro już o tym mowa, podobna była z początku reakcja Caraline, jednak Cadsuane zlekceważyła jej grymasy równie beznamiętnie, jak zignorowała wcześniej głośne narzekania mężczyzn. Caraline w odróżnieniu od nich pojęła najwyraźniej bez trudu, że żadne przeciwstawianie się na nic się tu nie zda. I cud nad cudami, Rand posłusznie dał się ustawić po prawicy Cadsuane, gdy ta prędko uformowała szyk. Było to jednak pozorne posłuszeństwo, bowiem spojrzał na nią “z góry”, w taki sposób, że Min byłaby go spoliczkowała, gdyby jej zrobił coś takiego; Cadsuane tylko pokręciła głową i mruknęła coś, co sprawiło, że poczerwieniał – ale przynajmniej trzymał język za zębami. Min była w zasadzie pewna, że zaraz głośno oznajmi, kim jest. Choćby dlatego, że może liczyła na to, iż mgła się rozwieje ze strachu przed Smokiem Odrodzonym. Uśmiechnął się, jakby mgła przy takiej pogodzie nie była niczym niezwykłym, nawet taka mgła, która porywa namioty oraz ludzi.

Wkroczyli w sam środek oparów formacją o kształcie sześcioramiennej gwiazdy, Cadsuane na czele, Aes Sedai przy dwu innych czubkach i trzej uzbrojeni w miecze mężczyźni przy trzech pozostałych. Toram, rzecz jasna, głośno protestował, że musi zamykać tyły, dopóki Cadsuane nie wspomni o honorze, jakiego przysparza służba “tylna” czy coś w tym rodzaju. To sprawiło, że zamilkł. Min nie miała żadnych obiekcji względem wyznaczonego jej miejsca w środku gwiazdy, u boku Caraline. W obu dłoniach trzymała noże i zastanawiała się, czy w ogóle się do czegoś przydadzą. Z niejaką ulgą spostrzegła sztylet w drżącej garści Caraline. Przynajmniej jej dłonie były opanowane. Ale potem pomyślała sobie, że być może sama jest zanadto sparaliżowana przerażeniem, by się trząść.

Mgła była lodowata, jakby nagle przyszła zima. Otoczyły ich tumany szarości, tak gęste, że z trudem widzieli się nawzajem. Za to słyszeli wszystko aż za dobrze. Mrok tętnił rozmaitymi odgłosami, ludzkim wołaniem o pomoc, rżeniem koni. Mgła tłumiła dźwięki, brzmiały głucho, dzięki czemu, na szczęście, tamte straszne krzyki zdawały się odległe. W pewnym momencie opary przed nimi zaczęły gęstnieć, ale wtedy z dłoni Cadsuane natychmiast wyskoczyły ogniste kule, które przeleciały z sykiem przez lodowatą szarość i zgęstniałe obszary, po czym wybuchły jednym ryczącym spazmem ognia. Takie same ryki za ich plecami, świetlne smugi przelatujące przez mgłę niczym błyskawice na tle chmur, mówiły, że inne siostry też przystąpiły do dzieła. Min nie miała ochoty oglądać się za siebie. To, co widziała, wystarczało.

Szli obok zdeptanych płacht namiotów, częściowo niewidocznych za sinymi oparami, mijając ciała, a niekiedy fragmenty ciał, widoczne niestety aż nazbyt dokładnie. Noga. Ręka. Człowiek, który od pasa w dół przestał istnieć. Głowa, niegdyś należąca do jakiejś kobiety, która zdawała się szeroko z kąta obalonego wozu. Teren zaczął się wznosić, stając się coraz bardziej stromy. Min

sposzregła pierwszą żywą duszę oprócz jej towarzyszy i natychmiast tego pożałowała. W ich stronę szedł mężczyzna odziany w czerwony kaftan, ślaniając się i wykonując omdlałe ruchy ręką. Drugiej już nie miał, a z połowy twarzy pozostała mu teraz tylko strasząca białą kość. Spomiędzy zębów wydobyły się bańki śliny, słowa zapewne, po czym mężczyzna runął na ziemię. Samitsu przykłękała na chwilę obok niego, przyłożywszy palce do krwawej miazgi, jaką teraz stanowiło czoło. Podniosła się, potrząsnęła głową i ruszyli dalej. Cały czas w górę zbocza, aż w końcu Min zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie wspinają się na jakąś niebotyczną górę a nie zwykłe wzgórze.

Tuż przed Darlinem mgła zaczęła raptem krzepnąć w kształt – wzrostu przeciętnego mężczyzny, ale złożony z samych macek i ziejących paszcz pełnych ostrych zębów. Wysoki Lord być może nie był mistrzem ostrza, ale nie brakło mu szybkości reakcji. Jego miecz przeszył ciągle jeszcze zestalające się widmo na wylot, zrobił pętlę i rozpruł je od góry do dołu. Cztery obłoki mgły, gęstsze od otaczających ich oparów, osiadły na ziemi.

– No cóż – powiedział – przynajmniej wiemy, że stał jest w stanie pociąć te... stwory.

Zgęstniałe kłęby mgły zlały się ze sobą i znowu zaczęły się podnosić.

Cadsuane wyciągnęła rękę, z jej palców kapąły krople ognia; jeden jaskrawy błysk przepalił krzepnącą mgielną zjawę na wylot, dopiero wtedy przestała istnieć.

– Ale tylko pociąć, jak się zdaje – mruknęła.

Przed nimi, po prawej stronie, pojawiła się nagle jakaś kobieta otoczona skłębioną szarzyną, podtrzymując wysoko spódnicę, na poły zbiegała, na poły zsuwała się po zboczu w ich stronę.

– Dzięki niech będą Światłości! – krzyknęła. – Dzięki Światłości! Już myślałam, że zostałam całkiem sama! – Mgła tuż za nią skupiła się w jednym miejscu, przeobrażając w majaczącą nad nią koszmarną zjawę z zębami i pazurami. Zastanawiając się potem, Min była pewna, że Rand zawahałby się, gdyby szło o mężczyznę.

Unióśł rękę, jeszcze zanim Cadsuane zdążyła wykonać jakiś ruch, i ponad głową kobiety przeleciało coś, co miało kształt sztaby... z czegoś... z czegoś płynnego, jakby z białego ognia jaśniejszego niż słońce. Stwór zwyczajnie zniknął. Przez chwilę, w miejscu, gdzie się pojawił i wzdłuż linii wypalonej przez sztabę, pojawiło się czyste powietrze, ale natychmiast mgła zaczęła znowu zasuwając swą kurtynę. Kobieta na ten moment zastygła w bezruchu. A potem, wrzasnąwszy co sił w płucach, odwróciła się i uciekła przed nimi, nadal kierując się w dół zbocza, umykając przed tym, czego bała się bardziej niż zjaw ukrytych w oparach.

– To ty! – ryknął Toram tak głośno, że Min obróciła się na pięcie, stając twarzą ku niemu i unosząc noże. Stał, ostrzem miecza mierząc w Randa. – To jesteś ty! Miałem rację! To twoje dzieło! Nie złapiesz mnie w pułapkę, al’Thor! -I nagle wyłamał się z ich formacji, po czym jak oszalały zaczął się wdrapywać na ukos w górę zbocza. – Nie złapiesz mnie!

– Wracaj! – krzyknął za nim Darlin. – Musimy trzymać się razem! Musimy... – Zawiesił głos, wpatrując się w Randa. – To jesteś ty. A żebyś szedł w Światłości, jesteś! – Poruszył się, jakby chciał osłonić przed nim Caraline, ale przynajmniej nie rzucił się do biegu.

Cadsuane spokojnie podeszła do Randa. I uderzyła go w twarz tak mocno, że aż odrzuciło mu głowę do tyłu.

– Więcej tego nie zrobisz-przykazała. W jej głosie nie słyszało się wzburzenia, brzmiał twardo jak żelazo. – Słyszysz mnie? Tylko nie ogień stosu. Nigdy, przenigdy.

O dziwo Rand tylko potarł policzek.

– Myliłaś się, Cadsuane. On istnieje naprawdę. Jestem tego pewien. Wiem, że istnieje. – Mówił takim tonem, jakby bardzo chciał, żeby mu uwierzyła.

Min czuła, jak jej serce wyrывa się ku niemu. Wspominał, że słyszy głosy, musiał wierzyć w to,

co mówi. Wyciągnęła prawą rękę w jego stronę, zapominając na chwilę, że trzyma w niej nóż i otworzyła usta, chcąc powiedzieć coś na pocieszenie. Mimo iż nie była całkiem pewna, czy kiedykolwiek jeszcze będzie potrafiła bez podtekstów użyć słowa "pocieszenie". Otworzyła usta – i spomiędzy oparów za plecami Randa wyskoczył znieczulacz Padan Fain, ze stałą lśniącą w garści.

– Za tobą! – krzyknęła przeraźliwie Min, wyciągając rękę, w której trzymała nóż, i jednocześnie ciskając tym, który trzymała w drugiej. Wydawało się, że wszystko się dzieje w jednej chwili, zatopione w oparach lodowatej mgły.

Rand zaczął się odwracać, uskakując równocześnie w bok, a Fain również skręcił i rzucił się na niego, przez co nóż Min chybił celu, za to sztylet Faina otarł się o lewy bok Randa. Wyglądało, jakby zaledwie przeciął mu kaftan, a jednak Rand krzyknął. Krzyknął takim głosem, że Min aż ścisnęło się serce, po czym złapawszy się kurczowo za bok, padł na Cadsuane, czepiając się jej i pociągając na ziemię.

– Zejdźcie mi z drogi! – zawołała jedna z sióstr, chyba Samitsu, i nagle Min straciła oparcie pod stopami. Wylądowała ciężko, sapnąwszy z bólu, kiedy uderzyła w twarde podłoże zbocza razem z Caraline, której wymknęło się zadyszane: – Krew i popioły!

Wszystko w jednej chwili.

– Z drogi! – krzyknęła znowu Samitsu, kiedy Darlin rzucił się na Faina ze swym mieczem. Kościsty mężczyzna poruszał się z niesamowitą szybkością, przypadł do ziemi i odturlał się poza zasięg ostrza Darlina. I co dziwne, przez cały czas zanosił się rehotliwym śmiechem, i podnosząc się niezdarne na nogi, i potem, uciekając. Niemal natychmiast pochłonęły go opary mgły.

Min podźwignęła się z ziemi, cała drżąc.

Caraline miała w sobie znacznie więcej wigoru.

– Powiem ci teraz, Aes Sedai – powiedziała zimnym głosem, energicznie otrzepując spódnicę. – Nie dam się tak traktować. Jestem Caraline Damodred, Głowa Domu...

Min przestała słuchać. Cadsuane siedziała wyżej na zboczu, trzymając głowę Randa na kolanach. To było zwykłe draśnięcie. Sztylet Faina przecież nie mógł zrobić nic więcej jak tylko otrzeć się... Min krzyknęła i rzuciła się do przodu. Aes Sedai, a może którąś inną odepchnęła od Randa i objęła jego głowę ramionami. Miał zamknięte oczy, rwał mu się oddech. Twarz była gorąca.

– Pomóż mu! -wrzasnęła na Cadsuane podobnie do echa tych dalekich okrzyków dolatujących z mgły. – Pomóż mu! -Jakiś wewnętrzny głos mówił jej, że to teraz nie ma sensu, bo przecież sama odepchnęła Cadsuane, ale miała wrażenie, że jego twarz parzy jej dłonie, że wypala z niej wszelki rozsądek.

– Samitsu, szybko – rozkazała Cadsuane, powstając i poprawiając szal. – Mój Talent Uzdrawiania się go nie ima. – Ułożyła dłoń na głowie Min. – Dziewczyno, raczej nie pozwolę umrzeć temu chłopcu, wszak jeszcze nie nauczyłam go manier. Natychmiast przestań płakać.

To było bardzo dziwne. Min nie miała wątpliwości, że kobieta nie zrobiła z nią niczego takiego, co wymagało posłużenia się Mocą, a jednak uwierzyła jej. Nauczyć go manier. Ależ to będzie szamotanina. Odjąwszy ręce od jego głowy, nie bez niechęci, odsunęła się na klęczkach. Bardzo dziwne. Nawet do niej nie dotarło, że płakała, a jednak zapewnienie Cadsuane wystarczyło i strumień łez ustał. Siąkając nosem, otarła policzki wierzchem dłoni, a tymczasem Samitsu uklękła obok Randa, dotykając czubkami palców jego czoła. Min zastanawiała się, dlaczego nie ujęła jego głowy w dłonie, tak jak to zwykła robić Moiraine.

Nagle Rand dostał konwulsji, łapczywie chwytając oddech i rzucając się tak gwałtownie, że jego mlóca w powietrzu ręka obaliła Żółtą siostrę na plecy. Gdy tylko odjęła palce, uspokoił się. Min podpełzła bliżej. Oddychał lżej, ale nadal miał zamknięte oczy. Dotknęła jego policzka.

Chłodniejszy niż przedtem, wciąż jednak zbyt ciepły. I był taki blady.

– Coś jest nie tak – stwierdziła z irytacją Samitsu, kiedy już usiadła. Odsunawszy na bok połę kaftana Randa, schwyciła zakrwawioną koszulę i wydarła w lnę sporą dziurę.

Rana od noża Faina, nie dłuższa od jej dłoni i wcale niegłęboka, przebiegała w poprzek starej owalnej blizny. Nawet w tym mętym świetle Min widziała, że krawędzie są opuchnięte i wściekle zaognione, jakby od wielu dni ich nie opatrywano. Rana już nie krwawiła, ale przecież powinna zniknąć. Tak właśnie wyglądały efekty Uzdrawiania: rany zasklepiały się same na oczach patrzącego.

– Tak... – orzekła Samitsu takim tonem, jakby wygłaszała wykład – wygląda jak cysta, ale zamiast ropą wypełniona jest złem. A ta... – Odjęła palec od świeżej rany -...zdaje się pełna innego zła. – Nagle skrzywiła się do stojącej nad nią Zielonej siostry i jej głos stał się posępny i zaczepny. – Powiedziałabym bardziej precyzyjnie, Cadsuane, gdybym wiedziała, jakich słów użyć. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Nigdy. Ale powiem ci jedno. Moim zdaniem, gdybym zareagowała odrobinę wolniej albo gdybyś ty pierwsza nie spróbowała, już by nie żył. A tak... – Żółta siostra westchnęła, twarz jej przybrała znużony wyraz i zdawało się, że utraciła całą swoją energię. – A tak, myślę, że umrze dopiero za jakiś czas.

Min potrząsnęła głową, usiłując zaprzeczyć jej słowom, ale nie potrafiła poruszyć językiem. Usłyszała, że Caraline mruczy modlitwę: stała wyprostowana, wczepiona obiema dłońmi w rękawy Darlina. Sam Darlin przyglądał się skrzywiony Randowi, jakby usiłował dopatrzeć się jakiegokolwiek sensu w tym, co widzi.

Cadsuane pochyliła się, by poklepać Samitsu po ramieniu.

– Jesteś najlepszą z żyjących, być może najlepszą z wszystkich, jakie kiedykolwiek żyły – powiedziała cicho. – Nikt nie może się z tobą równać w Uzdrawianiu. – Samitsu skinęła głową i jeszcze zanim powstała, na powrót stanowiła wcielenie opanowania Aes Sedai. W odróżnieniu od Cadsuane, która wpatrywała się gniewnie w Randa z dłońmi wspartymi na biodrach. – Faj! Nie pozwolę, abyś tu umarł przy mnie, chłopcze – warknęła, takim tonem, jakby to była jego wina. Tym razem, zamiast dotknąć czubka głowy Min, postukała w nią kłykciami. – Wstawaj, dziewczyno. Nie jesteś jakąś mazgajową dziewczką, byle dureń może to dostrzec, więc przestań udawać. Darlin, ty go będziesz nioś. Z bandażami trzeba będzie zaczekać. Ta mgła nas nie zostawi, więc lepiej my zostawmy ją.

Darlin zawahał się. Może to sprawił ten stanowczy ton Cadsuane, a może ręka, którą Caraline uniosła w stronę jego twarzy, w każdym razie schował swój miecz do pochwy, mrużąc coś pod nosem i zarzucił sobie Randa na plecy.

Min wzięła ostrze ze znakiem czapli i pieczołowicie schowała je do pochwy wiszącej u Randowego pasa.

– Będzie go potrzebował – wyjaśniła Darlinowi, który przez chwilę patrzył na nią, jakby nic nie rozumiał, potem jednak przytaknął. Miał szczęście, że tak zrobił; ona obdarzyła Zieloną siostrę pełnym zaufaniem i nie zamierzała dopuszczać, by ktoś podważał jej wiarę w uzdrowienie Randa.

– Uważaj teraz, Darlin – powiedziała Caraline gardłowym głosem, kiedy Cadsuane wydała rozkaz do marszu. – Pamiętaj, trzymaj się mnie, to cię ochronię.

Darlin zaczął śmiać się tak mocno, że nie mógł się uspokoić dłuższą chwilę, więc rzeził i parskał, kiedy zaczęli się wspinać przez zimną mgłę. Wciąż słyszeli za sobą odległe okrzyki.

Min zdawała sobie sprawę, że stanowi tylko dodatkową parę oczu, podobnie jak Caraline przy drugim boku Cadsuane, i wiedziała też, że jej obnażony nóż na nic się nie przyda przeciwko mgielnym zjawom, natomiast Padan Fain we własnym ciele mógł nadal gdzieś się czaić. Drugi raz nie chybi. Caraline też ścisnęła swój sztylet w rękę, a sądząc po spojrzeniach, jakie rzucała ponad



ramieniem na Darlina, który mozolnie wspinał się w górę zbocza, obciążony ciałem Randa, być może zamierzała chronić również Smoka Odrodzonego. Niewykluczone jednak, że tu wcale nie o niego chodziło: równie dobrym kandydatem był miło uśmiechający się właściciel długiego nosa.

We mgle nadal powstawały zjawy i zaraz ginęły od ognia. Raz, po ich prawej stronie, coś ogromnego rozdarło przeraźliwie rżącego konia na dwie połowy, nim Aes Sedai zdążyły to coś unicestwić. Po tym zdarzeniu Min wymiotowała hałaśliwie, wcale się tego nie wstydząc; choć dookoła ginęli ludzie, widok nieszczęsnego zwierzęcia w dwójnasób wzbudził w niej współczucie. Najlichszy żołnierz byłby uciekł poprzedniego dnia, gdyby tak sobie postanowił, tamten koń nie mógł. Kształty powstawały i ginęły, a ludzie umierali, krzycząc strasznie, zawsze w oddali, jak się zdawało, a jednak coraz to potykali się o jakieś zmasakrowane ciało, które jeszcze przed godziną było człowiekiem. Min zaczęła się zastanawiać, czy kiedykolwiek jeszcze ujrzą światło dnia.

Nie zanosilo się na to, więc przeżyła dramatyczny wstrząs, kiedy niespodziewanie przyszło wyzwolenie: w jednej chwili otaczały ją szare opary, w następnej widziała słońce płonące złościście na tle błękitnego nieba, tak oślepiające, że aż musiała osłonić dłonią oczy. I zobaczyła też, w odległości jakichś pięciu mil za bezleśnymi wzgórzami, bryłę Cairhien, materialną i kanciastą. Z powodu przeżywanych koszmarów miasto już nie wydawało się takie rzeczywiste jak kiedyś.

Obejrzała się za siebie, w stronę skraju mgły i zadygotała. To istotnie był równo ścięty, skłębiony mur, ciągnący się między drzewami porastającymi szczyt zbocza, zbyt równy, bez żadnych wirów czy przerzedzeń. Tu tylko czyste powietrze, tam gęsta szarość. Odsłonił się trochę większy fragment pnia rosnącego tuż przed nią drzewa i wtedy pojęła, że mgła się cofa, być może wypalana przez słońce. Ale trwało to nazbyt wolno, by można było przyjąć za naturalne zjawisko. Pozostali wpatrywali się w mgłę z równym napięciem, nie wyłączając nawet Aes Sedai.

Dwadzieścia kroków dalej, po ich lewej stronie, na rozświetloną słońcem przestrzeń wygramolił się na czworakach jakiś mężczyzna. Miał wygolony przód czaszki, sądząc po zniszczonym czarnym napierśniku, był prostym żołnierzem. Toczył dookoła dzikim wzrokiem, zdając się ich nie widzieć, i nadal niezdarnie spełzał ze zbocza, wciąż na czworakach. Nieco dalej, po prawej stronie, pojawili się dwaj mężczyźni i kobieta, ta trójka biegła. Kobieta w przedzie sukni miała kolorowe cięcia, ale raczej nie dawało się orzec, ile ich jest, ponieważ podkasała spódnice najwyżej, jak się dało, żeby biec szybciej; dotrzymywała tempa mężczyznom krok w krok. Żadne z nich nie oglądało się na boki, tylko pędzili w dół zbocza, przewracając się, koziółkując i na powrót stając na nogi, by natychmiast rzucić się do dalszej ucieczki.

Caraline przez chwilę przyglądała się cienkiemu ostrzu swego sztyletu, po czym z impetem wsunęła je do pochwy.

– I w taki oto sposób znika moja armia – westchnęła.

Darlin, który nadal dźwigał nieprzytomnego Randa na swoich barkach, spojrzął na nią.

– Rzuć tylko hasło, a w Łzie natychmiast zbierze się druga.

Zerknęła na Randa, zwisającego bezwładnie niczym worek.

– Być może – odparła.

Darlin, jakby lekko zakłopotany, spojrzął w twarz Randa.

Cadsuane za to stanowiła uosobienie pragmatyzmu.

– Droga biegnie tamtędy – powiedziała, wskazując na zachód. – Tak będzie szybciej niż na przełaj. Łatwa przechadzka.

Min nie nazwałaby tej przechadzki łatwą. W porównaniu z ziąbem panującym we wnętrzu mgły, teraz powietrze zdawało się dwakroć gorętsze, pot lał się z niej strumieniami, a upał odbierał resztki sił. Uginały się pod nią kolana. Potykała się o wszystko: wystające korzenie, kamienie, a także o

własne stopy, za każdym razem upadając na ziemię. Wreszcie nogi zwyczajnie odmówiły jej posłuszeństwa i zjechała dobre czterdzieści kroków po zboczu na siedzeniu, młócąc ramionami, dopóki nie udało jej się uchwycić jakiegoś młodego drzewka. Caraline przewracała się chyba nawet jeszcze częściej; suknie nie zostały stworzone do eskapad tego rodzaju i bardzo prędko – kiedy przewrót do góry nogami sprawił, że spódnice zadarły się jej powyżej głowy – zaczęła wypytywać Min o nazwisko szwaczki, która uszyła jej kaftanik i spodnie. Darlin nie przewracał się. Och, zataczał się, potykał i wpadał w poślizg równie często jak one, ale za każdym razem, gdy już miał upaść, coś zdawało się go łapać i pomagać w odzyskaniu równowagi. Z początku popatrywał spode łba na Aes Sedai; on, uosobienie dumnego Wysokiego Lorda z Łzy, poniesie Randa bez niczyjej pomocy. Cadsuane i pozostałe udawały, że nic nie widzą. One w ogóle się nie przewracały, po prostu szły sobie, gawędząc cicho i chwytaly Darlina, zanim ten zdążył się przewrócić. Nim dotarli do drogi, na twarzy miał wyraz wdzięczności przemieszanej z udręką.

Wreszcie stanęli na środku szerokiego gościńca mocno ubitej ziemi, z którego widać już było rzekę. Cadsuane podniosła rękę, by zatrzymać pierwszy lepszy pojazd, jaki się pojawił: rozklekotany wóz ciągniony przez dwa bardzo stare muły; powoził nim chudy farmer w połatanym kaftanie, który skwapliwie ściągnął wodze. Ciekawe, co też pomyślał sobie na ich widok. Trzy Aes Sedai z twarzami pozbawionymi piętna wieku, na dodatek w szalach, które wyglądały tak, jakby dopiero co wysiadły z jakiegoś powozu. Złana potem Cairhienianka, najwyraźniej o wysokiej pozycji społecznej, sądząc po kolorowych paskach, albo może żebraczka, która odziała się w podarte suknie jakiejś arystokratki, jeśli ocenić stan sukni. Taireniański arystokrata, bez cienia wątpliwości, ze szpiczastą bródką, z nosem, z którego skapywały krople potu, niosący na swoich barkach mężczyznę jak worek z ziarnem. I ona sama. Dziury na kolanach oraz jeszcze jedno rozdarcie w siedzeniu, ukryte pod kaftanem, dzięki Światłości, aczkolwiek jeden z rękawów trzymał się jedynie na kilku nitkach. Nie miała ochoty roztrząsać szczegółów swego wyglądu.

Nie czekając na innych, dobyła nóż z rękawa-przy okazji zrywając większość tych nielicznych nitek – i wykonała zamaszty ukłon w taki sposób, jakiego nauczył ją Thom Merrilin, zgrabnie manipulując rękojeścią noża, dzięki czemu ostrze załśniło w słońcu.

– Musimy dojechać do Pałacu Słońca – oznajmiła takim głosem, że sam Rand nie zrobiłby tego lepiej. Bywały w życiu chwile, że apodyktyczny ton ratował przed kłótnią.

– Dziecko – włączyła się Cadsuane tonem, jakim udziela się reprimendy. – Jestem pewna, że Kiruna i jej przyjaciółki zrobiłyby, co się da, ale nie ma przy nich żadnej Żółtej. Samitsu i Corele naprawdę są dwiema najlepszymi, jakie kiedykolwiek żyły. Lady Arilyn była tak uprzejma, że użyczyła nam swego pałacu w mieście, więc zabierzemy go...

– Nie. – Min nie miała pojęcia, skąd wzięła odwagę niezbędną do powiedzenia “nie” tej kobiecie. Tyle że... Rozmawiały przecież o Randzie. – Jeżeli on się obudzi... – Urwała i odkaszlnęła, on się na pewno obudzi. – Jeżeli on się obudzi w obcym miejscu, znowu otoczony obcymi Aes Sedai, nie wyobrażam sobie, co robi. Ty też nie masz zapewne ochoty sobie tego wyobrażać. – Wytrzymała ten chłodny wzrok przez dłuższą chwilę, aż wreszcie Aes Sedai przytaknęła.

– Do Pałacu Słońca – powiedziała Cadsuane farmerowi. – I zmusz te worki na pchły, żeby biegly jak najszybciej.

Rzecz jasna nie było to aż takie proste, nawet dla Aes Sedai. Ander Tol miał wóz wyładowany nędznymi rzepami, które chciał sprzedać w mieście i nie miał zamiaru podjeżdżać w okolice Pałacu Słońca, gdzie, jak im wyjaśnił, Smok Odrodzony pożerał ludzi upieczonych na roznach przez kobiety Aielów, które miały po dziesięć stóp wzrostu. Nie zbliżyłby się do Pałacu nawet na odległość mili,

niezależnie od tego, jaka liczba Aes Sedai by go do tego zmuszała. Wtedy Cadsuane rzuciła w jego stronę sakiewkę, która sprawiła, że wytrzeszczył oczy, a potem jeszcze oświadczyła mu, że właśnie kupiła jego rzepy i wynajęła go razem z wozem. Jeżeli ten pomysł mu się nie podoba, to może oddać sakiewkę. Wygłosiła tę kwestię z pięściami wspartymi o biodra i wyrazem twarzy, który dawał mu do zrozumienia, iż ona doskonale wie, że prędzej zje swój wóz na miejscu, niż odda sakiewkę. Ander Tol okazał się rozsądnym człowiekiem. Samitsu i Niande opróżniły wóz – rzepy zwyczajnie ulatywały w powietrze i lądowały na schludnym stosie obok drogi. Sądząc po ich skwaszonych minach, nie była to żadną miarą praca, przy jakiej kiedykolwiek spodziewały się użyć Jedynej Mocy. Darlinowi, który stał tam nadal z Randem na barkach, wyraźnie ulżyło, że to nie jemu kazały to robić. Ander Tol, na którego twarzy malowało się i szczęście, i zdziwienie, usiadł na koźle, po czym pogładził sakiewkę, jakby się zastanawiał, czy obfita zawartość jednak okazała się wystarczająca.

Kiedy już usadowili się na wozie, a cała słoma, jaka leżała pod rzepami, została zebrana w jednym miejscu, by posłużyć jako posłanie dla Randa, Cadsuane spojrzała na siedzącą przy jego drugim boku Min. Pan Tol potrząsnął lejcami, sprawiając, że muły poderwały się do zaskakująco prędkiego biegu. Wóz kolebał się i podskakiwał straszliwie, koła nie tylko się trzęsły, ale najwyraźniej były zdecentrowane. Min, która żałowała, że nie zachowała bodaj odrobiny słomy dla siebie, ubawiła się, widząc stężałe twarze Samitsu i Niande podskakujące w górę i w dół. Caraline śmiała się z nich całkiem jawnie, nie racząc nawet ukrywać zadowolenia, że chociaż raz Aes Sedai zostały tak niedelikatnie potraktowane. Mimo iż przecież sama, jako że była lżejsza, podskakiwała wyżej i spadała z większym impetem niż tamte. Darlin, który przywarł do burty wozu, sprawiał takie wrażenie, jakby nic go nie obchodziły te wstrząsy; stale marszczył brwi i wodził wzrokiem od Caraline do Randa.

Cadsuane była jeszcze jedną osobą, która wyraźnie się nie przejmowała, że od tych podskoków aż dzwonią jej zęby.

– Spodziewam się dotrzeć tam przed zapadnięciem zmroku, panie Tol – zawołała, powodując tym samym może nie tyle większy pęd, co z pewnością bardziej gwałtowne potrząsanie lejców. – Powiedz mi teraz – zwróciła się do Min – co dokładnie się stało ostatnim razem, kiedy ten chłopiec obudził się otoczony obcymi Aes Sedai? – Złapała kontakt z oczami Min i już jej nie puściła.

Min wiedziała, że Rand chciał to zachować w tajemnicy tak długo, jak to będzie możliwe. Ale umierał i Min uznała, że te trzy kobiety są jego jedyną szansą. Być może fakt, że się o wszystkim dowiedzą, w niczym nie pomoże. Albo przynajmniej choć trochę lepiej go zrozumieją.

– Wsadziły go do skrzyni – zaczęła.

Nie do końca zdawała sobie sprawę, jak do tego doszło, że opowiedziała rzecz całą ze wszystkimi szczegółami – ani też jak jej się udało nie wybuchnąć płaczem – jakoś przebrnęła przez historię uwięzienia w skrzyni i o torturach bez drżenia w głosie, aż do momentu, gdy Kiruna i pozostałe ukłękły, by przysięgać lojalność. Darlin i Caraline wyglądali na oszołomionych. Samitsu i Niande wyglądały na przerażone. Aczkolwiek z innych powodów niż można by oczekiwać.

– On... ujarzmił trzy siostry? – spytała piskliwym głosem Samitsu. Niespodzianie przycisnęła dłoń do ust i obróciwszy się, wychyliła poza burtę rozkołysanego wozu i głośno zwymiotowała. Niande najwyraźniej poczuła się podobnie i już po chwili obie wisały tak i opróżniały żołądki.

A Cadsuane... Cadsuane dotknęła bladej twarzy Randa, odgarnęła pasma włosów opadające mu na czoło.

– Nie bój się, chłopcze – powiedziała cicho. – One przysporzyły trudności mojemu zadaniu i twojemu zresztą także, ale ja nie skrzywdzę cię bardziej, niż będę musiała. – Min poczuła, że cała aż lodowacieje w środku.

Strażnicy przy miejskich bramach krzyczeli coś na widok pędzącego w ich stronę wozu, ale Cadsuane zakazała panu Tolowi się zatrzymywać, ten więc zaczął poganiać muły z jeszcze większym zapałem. Ludzie na ulicach uskakiwali z drogi, by ich nie przejechano, i wóz toczył się dalej, a jego ślad znaczyły krzyki oraz przekleństwa, tudzież poprzewracane lekyty i pojazdy, które zderzyły się ze straganami ulicznych sprzedawców. Przemknęli przez ulice, a potem wpadli na szeroką rampę prowadzącą do Pałacu Słońca, z którego podwoi wylewali się gwardziści w barwach lorda Dobraine, wyglądając, jakby gotowi byli stawić czoła całym hordom napastników. Pan Tol zaczął skrzeczeć co sił w płucach, że to Aes Sedai go do tego zmusiły, ale w tym momencie gwardziści dostrzegli Min. A potem zobaczyli Randa. Min myślała, że już wie, jak to jest, gdy zostaje się wessanym przez trąbę powietrzną, ale myliła się.

Ponad dwudziestu mężczyzn usiłowało dopchać się jednocześnie do wozu, żeby wynieść Randa, a ci, którym udało się go dotknąć, traktowali go tak delikatnie, jakby mieli do czynienia z niemowlęciem; po obu stronach ustawiło się po czterech i splekli ramiona pod spodem. Cadsuane musiała z tysiąc razy powtarzać, że wcale nie umarł i wśród tego zamieszania wpadli gwałtownie do pałacu i, podążając jego korytarzami, które zdawały się Min nadzwyczaj długie, dobierali coraz to nowych żołnierzy cairhieniańskich do tego orszaku. We wszystkich, jak się zdawało, drzwiach i korytarzach pojawiali się arystokraci i z pobladłymi twarzami przyglądali niesionemu Randowi. Caraline i Darlin gdzieś się zgubili, uświadomiła sobie, że nie pamięta, by ich widziała po opuszczeniu wozu, ale życząc im wszystkiego najlepszego, natychmiast o nich zapomniała. Jediną osobą, która ją obchodziła, był Rand. Jediną osobą na całym świecie.

Wśród Far Dareis Mai strzegących drzwi do pokoi Randa zobaczyła Nanderę. Kiedy jej wzrok spoczął na ciele Randa, maska opanowania, na zawsze zdawałoby się przyklejona do tej kamiennej twarzy, rozpadła się w kawałki.

– Co mu się stało? – załkała z oczyma zognionymi z przerażenia. – Co się stało? – Kilka innych Panien zaczęło lamentować, niskimi głosami podobnymi do pieśni pogrzebowej, od której włosy jeżyły się na głowie.

– Cicho bądźcie! – ryknęła Cadsuane, klaszcząc w dłonie tak głośno, że przypominało to trzaski błyskawic. – Ej ty, dziewczyno. On potrzebuje łoża. Nuże! – I Nandera natychmiast przystąpiła do działania. Rand został w mgnieniu oka rozebrany i położony do łóżka, w obecności bezustannie krążących przy nim Samitsu i Niande. Cairhienian przepędzono, a Nandera w drzwiach powtarzała instrukcje Cadsuane, że nikt mu nie może przeszkadzać, przy czym wszystko działo się tak prędko, że aż Min dostała zawrotów głowy. Miała nadzieję, że któregoś dnia będzie świadkiem konfrontacji między Cadsuane a Sorileą; musiało przecież do niej dojść, i z pewnością będzie stanowiła zdarzenie godne zapamiętania.

Jednakże, nawet jeśli Cadsuane sądziła, że jej polecenia naprawdę sprawią, iż wszyscy się wyniosą, to rzeczywistość zadała kłam jej przypuszczeniom. Zanim zdążyła zrobić coś więcej niż tylko przenieść krzesło strumieniami Mocy, by móc usiąść przy łożu Randa, do pokoju wkroczyły Kiruna i Bera, dwa wcielenia dumy: władczyni królestwa i władczyni domostwa na farmie.

– O czym to ja się dowiaduję...?-natarła z furią Kiruna i w tym momencie spostrzegła Cadsuane. Podobnie Bera. Ku zdumieniu Min stanęły jak wryte, z szeroko otwartymi ustami.

– On jest w dobrych rękach – powiedziała Cadsuane. – Chyba że któraś z was nagle znalazła w sobie więcej Talentu do Uzdrawiania, niż sobie przypominam?

– Tak, Cadsuane – odparły potulnymi głosami. – Nie, Cadsuane. – Na co Min zamknęła usta.

Samitsu usiadła pod ścianą na krześle inkrustowanym kością słoniową, rozpościerając spódnicę i splatając ręce, obserwowała pierś Randa, która unosiła się i opadała pod narzutą. Niande podeszła

do biblioteczki Randa i wybrała jakąś książkę, potem usadowiła się w pobliżu okien. Zajęła się czytaniem! Kiruna i Bera zaczęły już siadać, po czym spojrzały na Cadsuane i czekały na jej zniecierpliwione skinienie głowy, zanim nareszcie zajęły miejsca.

– Dlaczego czegoś nie zrobicie? – krzyknęła Min.

– O to samo ja mogłabym spytać – powiedziała Amys, wchodząc do pokoju. Siwowłosa, a mimo to pełna młodzieńczego wigoru Mądra przyglądała się przez chwilę Randowi, po czym poprawiła ciemnobrązowy szal i zwróciła się do Kiruny i Bery. – Możecie odejść – oznajmiła. – Aha, Kiruna, Sorilea życzy sobie znowu się z tobą spotkać.

Ciemna twarz Kiruny pobladła, ale obie wstały i dygnęły, bąkając: “Tak, Amys”, nawet bardziej potulnie, niż zwracały się do Cadsuane. Zanim wyszły, rzuciły jeszcze zażenowane spojrzenia w stronę Zielonej siostry.

– Interesujące – stwierdziła Cadsuane po ich wyjściu. Ciemne oczy napotkały niebieskie oczy Amys i zdawało się, że to, co zobaczyła, spodobało się jej. W każdym razie się uśmiechnęła. – Chyba chętnie bym się spotkała z tą Sorileą. Czy to silna kobieta? – Słowo “silna” zostało jakby leciutko zaakcentowane.

– Najsilniejsza, jaką kiedykolwiek poznałam – odparła z prostotą Amys. Spokojnie. Człowiek nigdy by nie pomyślał, że oto leży przed nią nieprzytomny Rand. – Nie znam się na waszym Uzdrawianiu, Aes Sedai. Ufam, że zrobiłyście wszystko, co można? – Mówiła beznamiętnym tonem; Min miała wątpliwości odnośnie tego zaufania.

– Zrobiono wszystko, co można – westchnęła Cadsuane. – Teraz pozostaje już tylko czekać.

– Dopóki nie umrze? – odezwał się surowy męski głos, aż Min podskoczyła w miejscu.

Do pokoju wszedł Dashiva, jego pospolitą twarz wykrzywił grymas niezadowolenia.

– Flinn! – warknął.

Książka Niande upadła na posadzkę, czyniąc hałas, jakby sama wysunęła się z jej pozornie nieruchomych dłoni; Aes Sedai wpatrywała się w trzech mężczyzn w czarnych kaftanach tak, jakby spotkała właśnie samego Czarnego. Samitsu z pobladłą twarzą mruknęła coś, co zabrzmiało jak fragment modlitwy.

Na rozkaz Dashivy szpakowaty Asha’man pokuśtykał do łoża i, stanąwszy po przeciwnej stronie niż Cadsuane, zaczął wodzić dłońmi nad bezwładnym ciałem Randa, w odległości może stopy ponad narzutą. Młody Narishma stał przy drzwiach, krzywiąc się i głaszcząc rękojeść miecza, wielkie ciemne oczy starały się obserwować wszystkie trzy Aes Sedai równocześnie. Aes Sedai i Amys. Nie wyglądał jak człowiek przestraszony, tylko jak mężczyzna, który przekonany jest, że niezależnie od wszystkiego te kobiety okażą się jego wrogami. W przeciwieństwie do Aes Sedai, Amys zlekceważyła obecność Asha’manów, z wyjątkiem Flinna. Śledziła go wzrokiem, z tą spokojną twarzą całkiem pozbawioną wyrazu. Niemniej jednak kciukiem muskała rękojeść noża zatkniętego za pas w wielce wymowny sposób.

– Co ty wyprawiasz? – spytała podniesionym głosem Samitsu, podrywając się ze swego krzesła. Troska o nieprzytomnego pacjenta przewyciężyła w niej wszelki niepokój wywołany obecnością Asha’manów. – Ty, Flinn, czy jak tam się nazywasz. – Ruszyła w stronę łoża, ale Narishma jednym płynnym ruchem zagroził jej drogę. Krzywiąc się, usiłowała obejść przeszkodę, a wtedy położył dłoń na jej ramieniu.

– Jeszcze jeden chłopiec, któremu brak manier – wymruczała Cadsuane. Z wszystkich trzech siostr ona jedna w żaden sposób nie zareagowała na widok Asha’manów. Przyglądała im się natomiast, wsparłszy brodę na splecionych palcach dłoni.

Narishma zaczerwienił się, gdy usłyszał jej komentarz i opuścił rękę, ale kiedy Samitsu znowu

próbowała go obejść, jeszcze raz zatarasował jej drogę.

Poprzestała na rzucaniu groźnych spojrzeń zza jego ramienia.

– Ej ty, Flinn, co ty tam robisz? Nie pozwolę, żebyś go zabił swoją ignorancją! Słyszysz mnie? – Min praktycznie przebierała nogami w miejscu. Nie sądziła, by Asha'man mógł zabić Randa, na pewno nie celowo, ale... On im ufał, jednak... Światłości, nawet Amys zdawała się niepewna, bo popatrywała to na Randa, to na Flinna, mocno marszcząc brwi.

Flinn odgarnął kołdrę z piersi Randa, obnażając ranę. Nie wyglądała ani lepiej, ani gorzej, niż ją zapamiętała: otwarta, wściekła, bezkrwawa rana przecinająca na wskroś owalną bliznę. Rand wciąż zdawał się pogrążony we śnie.

– Na pewno rany mu się od tego nie pogorszyły -stwierdziła Min. Nikt nie zwrócił na nią uwagi.

Z gardła Dashivy wyrwał się jakiś odgłos, Flinn popatrzył na niego.

– Widzisz coś, Asha'manie?

– Brak mi Talentu do Uzdrawiania – odparł Dashiva, krzywiąc się kwaśno. – To ty skorzystałeś z mojej rady i nauczyłeś się.

– Co, jakiej rady? – pochwyciła Samitsu. – Nalegam, abyście...

– Cicho bądź, Samitsu – skarciła ją Cadsuane. Zdawała się jedyną spokojną osobą w tym pokoju, jeśli nie liczyć Amys. Sądząc jednak po tym, że Mądra wciąż nie przestawała gładzić rękojeści noża, Min nie była wcale taka pewna jej opanowania. – Moim zdaniem robienie krzywdy temu chłopcu to ostatnia rzecz, jakiej można by sobie życzyć.

– Ależ, Cadsuane – zaczęła nerwowym tonem Niande -ten człowiek jest...

– Powiedziałam, bądź cicho – przerwała jej stanowczo siwowłosa Aes Sedai.

– Zapewniam was – odezwał się Dashiva, którego głos jakimś sposobem zabrzmiał jednocześnie przymilnie i stanowczo – Flinn wie, co robi. On już potrafi takie rzeczy, o jakich wy, Aes Sedai, nigdy nawet nie marzyłyście. -Samitsu parsknęła głośno. Cadsuane tylko przytaknęła i usiadła z powrotem na krześle.

Flinn przejechał palcem po obrzmiałej szramie w boku Randa i po starej bliznie. Ta druga zdawała się naprawdę bardziej wrażliwa.

– Są podobne i zarazem inne, jakby wchodziły w grę dwa rodzaje zakażenia. Tyle że to nie jest zakażenie, tylko... ciemność. Nie potrafię znaleźć lepszego określenia. – Wzruszył ramionami, mierząc wzrokiem szal z żółtymi frędzlami Samitsu, która początkowo patrzyła na niego ze zmarszczonym czołem, stopniowo jednak przyglądała mu się z coraz większą uwagą.

– Do dzieła, Flinn – mruknął Dashiva. – Jeżeli on umrze... – Marszcząc nos, jakby poczuł jakiś bardzo nieprzyjemny zapach, zdawał się niezdolny oderwać wzroku od Randa. Poruszał ustami, jakby coś mówił do siebie, a raz nawet wydał dziwny odgłos, na poły szloch, na poły gorzki śmiech, ani na jotę nie zmieniając przy tym wyrazu twarzy.

Flinn zrobił głęboki wdech i rozejrzał się po pokoju, obejmując wzrokiem Aes Sedai i Amys. Wreszcie spojrzął na Min, wzdrygnął się i jego pomarszczona twarz poczerwieniała. Pospiesznie poprawił narzutę, nakrywając nią Randa po szyję, na wierzchu zostały tylko obie rany, stara i nowa.

– Mam nadzieję, że nikt nie będzie miał nic przeciwko, jak będę gadał – powiedział, zaczynając gładzić bok Randa swymi pokrytymi odciskami dłońmi. – Gadanie chyba mi ździebko pomaga. – Mrużył oczy, skoncentrowany na obrażeniach i powoli przebierał palcami. Zupełnie tak, jakby coś tkał, zorientowała się Min. Mówił niemalże nieobecny głosem, jedynie część uwagi skupiając się na wypowiedzanych słowach. – To ze względu na Uzdrawianie poszedłem do Czarnej Wieży, tak można rzec. Byłem żołnierzem, póki lanca nie przebiła mi uda, potem nie umiałem już usiąść w siodle jak się należy ani nawet daleko zajść o własnych nogach. To była piętnasta rana, jaką

odniosłem w ciągu blisko czterdziestu lat służby w Gwardii Królowej. Piętnasta z liczących się: rana się nie liczy, jeśli możesz z nią chodzić albo jeździć konno. Wielu przyjaciół pomarło na moich oczach. Dlatego więc poszedłem do Wieży, a M’Hael nauczył mnie Uzdrawiania. I innych rzeczy. Brutalnego Uzdrawiania. Byłem raz Uzdrawiany przez Aes Sedai... och, przed blisko trzydziestu laty... i to naprawdę boli, ale też i skutkuje. Potem, pewnego dnia, obecny tu Dashiva... wybacz Asha’manie Dashiva... powiada, że się zastanawia, dlaczego tak nieważne jest, czy człek złamał sobie nogę, albo czy się zaziębił, no i zaczęliśmy gadać i... Cóż, jemu samemu brakuje do tego wyczucia, ale ja... zdaje się, że mam do tego dryg. Do tego Talentu, znaczy się. No więc zacząłem się zastanawiać, co by było, gdybym...? Już. Ot wszystko, co mogłem zrobić.

Dashiva chrząknął, kiedy Flinn przysiadł nagle na piętach i otarł czoło wierzchem dłoni. Na twarzy perlił mu się pot – Min po raz pierwszy widziała spoconego Asha’mana. Cięcie w boku Randa nie zniknęło, ale zdawało się jakby mniejsze, mniej zaognione. Nadal spał, ale jego twarz nie była już taka blada.

Samitsu przemknęła obok Narishmy tak szybko, że nie miał możliwości interweniować.

– Co zrobiłeś? – spytała, kładąc palce na czole Randa. Cokolwiek znalazła, posłużywszy się Mocą, jej brwi uniosły się w niemym zdziwieniu, a w jej głosie nie słyszało się już władczego tonu tylko nutę niedowierzania: – Co zrobiłeś?

Flinn z żalem wzruszył ramionami.

– Niewiele. Nie mogłem tak naprawdę dotknąć tego, co zostało zakażone złem. W pewnym sensie odgrodziłem te rany od niego, na jakiś czas w każdym razie. Ale nie na stałe. One się teraz zwalczają nawzajem. Może się nawet pozabijają, a on tymczasem wyleczy się do końca. – Westchnął i pokręcił głową. – Z drugiej strony, nie mogę powiedzieć, że go nie zabijają. Ale uważam, że teraz ma większe szanse.

Dashiva przytaknął z zarożumiałą miną.

– O tak, teraz ma szanse. – Można było pomyśleć, że to on sam Uzdrawiał.

Ku jawnemu zdumieniu Flinna, Samitsu obeszła łożę, by pomóc mu się podźwignąć.

– Opisz mi, co zrobiłeś – rozkazała władczym tonem, który zdecydowanie kłócił się ze sposobem, w jaki jej szybkie palce prostowały kołnierz starca i wygładzały mu kłapy. – Gdyby tylko istniał sposób, żebyś mógł mi pokazać! Ale opisz mi to. Musisz! Dam ci całe złoto, jakie posiadam, urodzę ci dziecko, cokolwiek sobie życzysz, ale ty mi powiesz wszystko, tak jak potrafisz. – Najwyraźniej sama niepewna czy rozkazuje, czy błaga, podprowadziła całkiem oglupionego Flinna do okien. Ten zresztą nie raz próbował otworzyć usta, ale ona była zanadto zajęta zmuszaniem go do mówienia, żeby cokolwiek zauważyć.

Nie dbając o to, co sobie inni pomyślą, Min wdrapała się na łożę i położyła na nim w takiej pozycji, że mogła wsunąć sobie głowę Randa na pierś i otulić go ramionami. Szansa. Ukradkiem przyglądała się trojgu ludziom zebranym wokół łoża: Cadsuane na jej krześle, Amys stojąca naprzeciwko, Dashiva wsparty o jeden z postumentów łoża, wszyscy otoczeni roztańczonymi aurami i obrazami, całkiem niezrozumiałymi. Spojrzenia skupione na Randzie. Bez wątplenia Amys w śmierci Randa widziała katastrofę Aielów, Dashiva zaś – jedyny z całej trójki na twarzy którego malowało się jakiegokolwiek uczucie: ponury, zmartwiony grymas – katastrofę dla Asha’manów. A Cadsuane... Cadsuane, którą Bera i Kiruna nie tylko znały, ale która sprawiała, że skakały niczym młode dziewczęta mimo ich przysięg złożonych Randowi... ona nie skrzywdzi Randa “bardziej niż będzie musiała”.

Wzrok Cadsuane na chwilę napotkał wzrok Min i ta zadygotała. Jakoś go ochroni teraz, kiedy nie mógł bronić się sam przed Amys, Dashivą i Cadsuane. Jakoś. Nieświadomie zaczęła nucić

kołysankę, delikatnie kołysząc Randa. Jakoś.



# ROZDZIAŁ 18

## LIST Z PAŁACU

Świt dnia, jaki nastał po Święcie Ptaków, przyniósł silne wiatry od Morza Sztormów, które przynajmniej nieco złagodziły skwar panujący w Ebou Dar. Niemniej jednak bezchmurne niebo i czerwono-złota kopuła słońca na horyzoncie obiecywały ponowną katorgę upałów, gdy tylko wiatr ustanie. Mat spieszył przez Pałac Tarasin, w rozchełstany zielonym kaftanie i koszuli zasnuwanej jedynie do połowy. Z pewnością nie był panicznie przestraszony, ale wzdrygał się - znacznie częściej i bardziej niespokojnie, niżby sobie życzył - za każdym razem, gdy mijala go jakaś służebna, poświstując halkami i obdarzając uśmiechem. Tak, najgorsze były te ich uśmiechy, jakby wszechwiedzące.

Gdy był już na miejscu, zwolnił kroku i niemalże na palcach wemknął się na ocieniony chodnik graniczący z dziedzińcem stajennym. Między żłobionymi w rowki kolumnami pożółkłe wynędzniałe rośliny w wielkich czerwonych donicach oraz pnącza o szerokich liściach z czerwonymi żyłkami zwisające z metalowych koszy na łańcuchach tworzyły coś w rodzaju cienkiej zasłony. Odruchowo naciągnął rondo kapelusza na czoło, pragnąc zasłonić twarz. Obląpił dłońmi włócznię - *ashandarei*, tak ją nazywała Birgitte - bezmyślnie wodząc palcem po drzewcu, jakby zanosilo się na to, że znowu trzeba będzie się bronić. Kości we wnętrzu jego głowy toczyły się żywo, ale choć raz nie stanowiły głównej przyczyny przepelniającego go niepokoju. Źródłem niepokoju była osoba Tylin.

Pod wysokimi sklepionymi łukami zewnętrznych bram czekał szereg sześciu zamkniętych powozów z zieloną Kotwicą i Mieczem Domu Mitsobar wymalowanymi na drzwiach; konie były już zaprzężone, a woźnice w liberiach siedzieli na kozłach. Widział naprzeciwko nich ziewającego Naleseana w kaftanie w żółte paski, a także Vanina, który siedział zgarbiony na odwróconej do góry dnem beczce nieopodal wrót stajni, najprawdopodobniej spał. Większość pozostałych żołnierzy Legionu przykucnęła na bruku dziedzińca i cierpliwie czekała, kilku grało w kości w cieniu ogromnych pobielonych stajni. Elayne stała w pół drogi między Matem a powozami, tuż po drugiej stronie zasłony z roślin. Była z nią Reanne Corly, a także, blisko nich, siedem innych uczestniczek tego osobliwego zebrania, na które wtargnął poprzedniego wieczora; Reanne była jedyną, która nie nosiła czerwonego pasa Mądrej Kobiety. Obawiał się, że nie pojawią się tego ranka. Wszystkie przybrały miny osób przyzwyczajonych do dyrygowania nie tylko własnym życiem, ale również cudzym, ich włosy zaś miały w sobie więcej niż tylko odrobinę siwizny, a mimo to przyglądały się młodzieńczej twarzy Elayne z wyraźnym wyczekiwaniem, jakby były gotowe skakać na jej rozkaz. Całej grupie poświęcił jednak tylko moment swej uwagi - nie było wśród nich tej kobiety, z powodu której gotów był prawie wyskoczyć ze skóry. Tylin sprawiała, że czuł się... no cóż... "bezbronny" - takie tylko określenie zdawało się tu pasować, jakkolwiek niedorzecznie by brzmiało.

- Nie potrzebujemy ich, pani Corly - oświadczyła Elayne. Dziedziczka Tronu wymówiła te słowa takim tonem, jakby przemawiała do dziecka. - Kazałam im tu zaczekać do naszego powrotu. Będziemy przyciągały mniej uwagi, zwłaszcza na drugim brzegu rzeki, jeśli nie będzie nam towarzyszył ktoś, w kim łatwo rozpoznać Aes Sedai. - Elayne wymyśliła sobie, że najlepszym strojem na wizytę w najgorszej dzielnicy miasta, strojem, który nie będzie specjalnie przyciągał uwagi, jest zielony kapelusz z szerokim rondem i ufarbowanymi na zielono piórami, lekki płaszcz podróżny z zielonego lnu ozdobiony złotymi zakrętami na plecach, zielona suknia do konnej jazdy z wysoką kryzą oraz złotymi haftami na dzielonych spódnicach i na obrzeżu jej mocno wyciętego dekoltu. Włożyła nawet jeden z tych naszyjników, na których wieszano się małżeński nóż. Wszystkich

złodziei w Rahad z pewnością zaswędzą ręce na widok szerokiego paska złotej plecionki. A wszak nie miała przy sobie żadnej broni oprócz małego noża za pasem. Ale jaka broń mogła się przydać kobiecie, która potrafi przenosić? Natomiast za każdym z czerwonych pasów towarzyszących jej kobiet krył się zakrzywiony sztylet. Rękojeść identycznego wystawała zza zwykłego rzemienia, którym przepasała się Reanne.

Reanne zdjęła z głowy wielki kapelusz z ufarbowanej na niebiesko słomy, przyjrzała mu się ze zmarszczonymi brwiami, znowu go włożyła i zawiązała wstążki. Wydawało się, że to wcale nie ton Elayne stanowi powód jej zafrasowania. Razem z kapeluszem pojawił się również nieśmiały uśmiech i bojaźliwe tony głosu.

– Ale dlaczego Merilille Sedai uważa, że my kłamiemy, Elayne Sedai?

– One wszystkie są tego zdania – odparł jeden z czerwonych pasów zdławionym głosem. Wszystkie nosiły suknie o posępnych barwach, uszyte według modły obowiązującej w Ebou Dar, z wąskimi i głębokimi dekolantami oraz spódnicami, których rąbek był z jednej strony zadarty, przez co spod spodu wзираły warstwy halek. – Tylko jedna kobieta, koścista, o długich włosach, bardziej już siwych niż czarnych, miała oliwkową skórę i ciemne oczy charakterystyczne dla Ebou Dari. – Sareitha Sedai powiedziała mi w twarz, że kłamałam, odnośnie do naszych liczb, odnośnie... – Karcące spojrzenie i “bądź cicho, Tamarla” ze strony Reanne kazały jej zamilknąć; pani Corly gotowa była dygać i wdzięczyć się przed dzieckiem, jeśli tylko była nim Aes Sedai, ale wobec swych towarzyszek stosowała surowy reżim.

Mat zadarł głowę i spojrzał spode łba na okna wyglądające na dziedziniec stajenny. Część z nich była ukryta za ekranami wykutymi z żelaza i pomalowanymi na biało, inne za takimi samymi, tyle że wyrzeźbionymi z drewna. Niepodobna, by Tylin była tam, na górze; niepodobna, by miała się pojawić na dziedzińcu. Bardzo uważał, by jej nie obudzić, kiedy się ubierał. Jednak tutaj nie próbowałaby chyba niczego. W każdym razie miał nadzieję, że byłaby do tego zdolna. Ale z kolei, czy kobieta, która ubiegłej nocy wysłała pół tuzina służek, żeby go pojmały i zawlokły do jej apartamentów, nie była gotowa na wszystko? Ta cholerna królowa traktowała go jak zabawkę! Nie zamierzał dłużej się na to godzić. Co to, to nie. Światłości, kogo on stara się oszukać? Jeżeli nie dorwą tej Czary Wiatrów i nie wyniosą się z Ebou Dar, tej nocy Tylin znowu będzie szczypała go w siedzenie i nazywała swoim małym gołąbeczkiem.

– To ten wasz wiek, Reanne. – W głosie Elayne niby nie słyszało się wahania, bo ona nigdy nie miała jakichkolwiek wątpliwości, ale mówiła teraz bardzo ostrożnym tonem. – Aes Sedai są zdania, że mówienie o wieku to grubiaństwo, ale... Reanne, wychodzi na to, że od czasów Pęknięcia żadna z Aes Sedai nie żyła tak długo, jak którakolwiek z was, należących do Kółka Dziewiarskiego. – Tak brzmiała dziwaczna nazwa, jaką członkinie Rodziny nadały swej radzie. – W twoim choćby przypadku nie jest to kwestia nawet stu lat. – Czerwonym pasom głośno zapało dech i zognomniały oczy. Szczupła kobieta o piwnych oczach z włosami barwy jasnego miodu zachichotała nerwowo i natychmiast zakryła usta, utemperowana ostrym “Famelle!” ze strony Reanne.

– To niemożliwe – rzekła omdlałym głosem Reanne. – Ależ, Aes Sedai na pewno...

– Dzień dobry -powiedział Mat, wychodząc zza zasłony roślin. Cała ta dyskusja była idiotyczna; wszyscy wiedzieli, że Aes Sedai żyją dłużej niż inni ludzie. Zamiast marnować czas, powinni już ruszać do Rahad. – Gdzie są Thom i Juilin? Albo Nynaeve? – Musiała wrócić ubiegłej nocy, bo inaczej Elayne ze zdenerwowania wychodziłaby już ze skóry. – Krew i popioły, Birgitte też nie widzę. Powinniśmy już być w drodze, Elayne, a nie wystawać tutaj. Czy Aviendha wybiera się z nami?

Na jego widok nieznacznie się skrzywiła, raz tylko jeszcze zerknęła w stronę Reanne, i już wiedział, że obmyśla teraz przedstawienie na jego użytek. Niewinny wyraz ślicznej buzi mógł tylko

jej zaszkodzić w oczach tych kobiet, podobnie zresztą jak czarowanie go dołkiem w policzku; Elayne zawsze się spodziewała, że wdzięczne mizdrzenie się pomoże tam, gdzie zawiodło wszystko inne. Ostatecznie poprzestała na lekkim zadarciu podbródka.

– Thom i Juilin pomagają Aviendzie i Birgitte w obserwacji pałacu Carridina, Mat. -Miała to być poza Dziedziczki Tronu niemalże w pełnym rozkwicie; jeszcze nie w całej swojej krasie – z pewnością wiedziała, jak on by na to zareagował – ale głos miała pełen przekonania, chłodne niebieskie oczy żądały, a piękna twarzyczka była zimna, o ile nie całkiem zmrożona arogancją. Czy na całym świecie nie można znaleźć kobiety, która miałaby tylko jedno oblicze? -Nynaeve zejdzie do nas niebawem, jestem pewna. Nie ma powodu, żebyś ty też jechał, wiesz, Mat? Nalesean i twoi żołnierze są lepsi niż zwykła straż osobista. Mógłbyś się jakoś zabawić tu w pałacu, dopóki my nie wrócimy.

– Carridin! – krzyknął. – Elayne, przecież nie siedzimy w Ebou Dar po to, żeby się zasadzać na Jaichima Carridina. Bierzemy Czarę, potem ty albo Nynaeve zrobicie bramę i wynosimy się stąd. Czy to jasne? A poza tym jadę z wami do Rahad i basta. – Zabawić się! Światłość tylko wiedziała, do czego by się posunęła Tylin, gdyby został w pałacu przez cały dzień. Na samą myśl miał ochotę śmiać się histerycznie.

Poczuł, jak kłują go lodowate spojrzenia Mądrych Kobiet; krępa Sumeko gniewnie wydeła wargi, a Melore, pulchna Domani w średnim wieku, której łonu przyglądał się z przyjemnością ubiegłego dnia, wsparła pięści na biodrach z wyrazem twarzy, który przywodził na myśl chmurę gradową. Powinny były od wczoraj wiedzieć, że on nie da się zastraszyć Aes Sedai, a tymczasem nawet Reanne obdarzyła go takim groźnym spojrzeniem, jakby chciała za chwilę wytargać go za uszy. Najwyraźniej uważały, że skoro one w obecności Aes Sedai z przejścia wszystko by zrobiły, to inni też muszą.

Po Elayne było widać, że toczy jakąś wewnętrzną walkę. Zaciśnęła wargi, ale jedno musiał jej oddać: była zbyt sprytna, by ciągnąć coś, co najwidoczniej nie skutkowało. Z drugiej strony, cokolwiek by robiła, za nic nie potrafiła się wyzbyć tego protekcyjnego tonu. Mimo iż tamte kobiety wszystkiego słuchały.

– Mat, wiesz, że nie możemy wyjechać, dopóki nie wypróbujemy Czary. – Wyniosły podbródek pozostał zadarty, a jej ton stanowił w najlepszym razie coś pośredniego pomiędzy wyjaśnieniem a rozkazem. – Być może będziemy potrzebowały kilku dni, by nabrać wprawy w posługiwaniu się nią, może nawet tygodnia czy więcej, a zatem mamy czas, by spróbować wykończyć Carridina. – Tak jej głos zaskrzypiał, kiedy wymawiała to nazwisko, że można było pomyśleć, iż żywi względem niego jakąś osobistą urazę. Ale równocześnie ujawniła coś jeszcze, a kiedy to zrozumiał, poczuł się, jakby ktoś pięścią zdzielił jego mózg.

– Tydzień! – Mając wrażenie, że coś go dusi, wsunął palec pod chustę zapętloną na szyi i szarpnął, żeby ją rozluźnić. Ubiegłej nocy Tylin wykorzystwała ten kawał czarnego jedwabiu, żeby skrępować mu ręce, zanim się zorientował, co ona robi. Tydzień. Albo i więcej! Mimo wszelkich starań w jego głosie zabrzmiała odrobina zdenerwowania. – Elayne, Czarę bez wątplenia możecie wypróbować w dowolnym miejscu. To wcale nie musi być tutaj. Egwene na pewno chce, abyście wróciły jak najszybciej; założę się, że przydałoby jej się kilka przyjaciółek. – Sądząc po tym, co widział przy ich ostatnim spotkaniu, przydałoby jej się ich kilka setek. Może kiedy już zmusi te kobiety do powrotu, Egwene będzie gotowa zrezygnować z tego bzdurnego pomysłu zasiadania na Tronie Amyrlin i pozwoli zabrać siebie do Randa, razem z Elayne, Nynaeve i Aviendhą. – A co z Randem, Elayne? A Caemlyn? A Tron Lwa? Krew i popioły, przecież wiesz, że powinnaś jak najszybciej dotrzeć do Caemlyn, żeby Rand mógł ci przekazać Tron. – Z nie znanego mu powodu jej

twarz stawała się coraz czerwiejsza z każdym jego słowem, a oczy rzucały groźne błyski. Powiedziałaby, że chyba jest oburzona, gdyby, rzecz jasna, miała ku temu jakikolwiek powód.

Kiedy skończył, gniewnie otworzyła usta, najwyraźniej zamierzając się kłócić, on zaś zebrał się w sobie, gotów wymieniać wszystkie obietnice, jakie złożyła jemu i do Szczeliny Zagłady, a cała rzecz odbyłaby się na oczach Reanne i reszty. Sądząc po wyrazie ich twarzy, gdyby były na miejscu Elayne, już dawno utarłyby mu nosa.

Niemniej, zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, tłusta posiwiata kobieta w liberii Domu Mitsobar dygnęła, najpierw przed Elayne, potem przed kobietami noszącymi czerwone pasy, a na koniec przed nim.

– To od Królowej Tylin, panie Cauthon – rzekła Laren, podając koszyk nakryty pasiastą serwetą, wokół rączki miał zaplecione małe czerwone kwiatki. – Nie śniadałeś jeszcze, a przecież winieneś zachować siły.

Mat poczuł, że palą go policzki. Kobieta teraz ledwie na niego spojrzała, ale zdążyła przecież obejrzeć go sobie o wiele dokładniej niż za pierwszym razem, kiedy to prowadziła go przed oblicze Tylin. Znacznie dokładniej. To na jej widok usiłował się schować pod jedwabną narzutą, kiedy ubiegłej nocy przyniosła tacę z wieczerzą. Nic już z tego nie rozumiał. Te kobiety zmuszały go, żeby podrygiwał i czerwienił się jak jakaś dziewczyna. Za nic nie potrafił tego pojąć.

– Na pewno nie wolałbyś zostać tutaj? – spytała Elayne. – Jestem przekonana, że Tylin ucieszyłaby się z twego towarzystwa przy śniadaniu. Królowa zdradziła, że uważa cię za cudownie zabawnego i nad podziw uległego – dodała z wyraźnym zwątpieniem w głosie.

Mat umknął w stronę powozów z koszykiem w jednej ręce i *ashandarei* w drugiej.

– Czy wszyscy mężczyźni z północy są tacy nieśmiali? – spytała Laren.

Zaryzykował i, nie zatrzymując się, obejrzał przez ramię, po czym westchnął z ulgą. Służąca już podkasywała spódnicę, odwracając się, by przejść za zasłonę z roślin, a Elayne dała znak Reanne i Mądrym Kobietom, by skupiły się ciasnym kręgiem wokół niej. Zadygotał, mimo woli. Kobiety naprawdę okazały się kiedyś przyczyną jego zguby.

Znalazł się właśnie przy najbliższym powozie i omal nie upuścił koszyka na widok Beslana siedzącego na stopniu; promienie słońca odbijały się od wąskiej klingi obnażonego miecza, którą tamten właśnie oglądał.

– Co ty tu robisz? – zawołał Mat.

Beslan schował miecz do pochwy, a jego twarz rozciągnęła się w uśmiechu.

– Jadę z wami do Rahad. Liczę, że tam dzięki tobie zabawimy się jeszcze zacniej.

– Oby tak się stało. – Nalesean ziewnął, zasłaniając usta dłonią. – Ubiegłej nocy nie zaznałem zbyt wiele snu, a teraz ty mnie wleciesz dokądś, mimo że kręci się tu tyle kobiet Ludu Morza. – Vanin wyprostował się na swojej becze, rozejrzał dookoła i stwierdziwszy, że nic się nie dzieje, na powrót zgarbił plecy i zamknął oczy.

– Żadnej zabawy, jeśli to tylko będzie zależało ode mnie – prychnął Mat. A więc Nalesean się nie wyspał? Ha! Cała ta banda zabawiała się na święcie. Trudno powiedzieć, by on sam nie bawił się chwilami zupełnie nieźle, ale niestety tylko wtedy, gdy udawało mu się zapomnieć, że jest z kobietą, która uważała go za jakąś przeklętą lalkę. – Jakie kobiety z Ludu Morza?

– Nynaeve Sedai wróciła ubiegłej nocy, sprowadzając ich tu tuzin albo i więcej, Mat. – Beslan gwizdnął, a jego ręce wykonały ruchy naśladowujące kołysanie. – Żebyś ty widział, jak one się ruszają, Mat...

Mat pokręcił głową. Nie potrafił zebrać myśli, Tylin mu namieszała w głowie. Nynaeve i Elayne opowiedziały mu o Poszukiwaczkach Wiatru, wymusiwszy najpierw przyrzeczenie, że

zachowa wszystko w tajemnicy. W końcu mu to wyjawili, mimo iż najpierw usiłowały ukryć nawet to, dokąd Nynaeve się wybiera, nie mówiąc już o celu wyprawy. I ani razu się przy tym nie zaczerwieniły. “Kobiety dotrzymują obietnic na swój własny sposób”, mówiło przysłowie. Dziwne, że Lawtin i Belvyn nie przyłączyli się do pozostałych Czerwonorękich. Być może Nynaeve postanowiła zrekompensować zachowanie tamtych, pozwalając im zostać. “...Na ich własny sposób”. Ale skoro sprowadziła już Poszukiwaczki Wiatru do pałacu, to w takim razie próby z Czarą nie będą musiały trwać przez tydzień. Światłości, błagam: nie!

Jakby wezwana jego myślami, zza zasłony roślin wyłoniła się Nynaeve. Matowi opadła szczeka. A ten wysoki mężczyzna w ciemnozielonym kaftanie, który wisiał u jej ramienia, to przecież Lan! Czy może raczej ona wisiała na jego ramieniu, wczepiona w nie obiema dłońmi. I nie odrywała przy tym ani na chwilę roześmianego wzroku od jego twarzy. O każdej innej kobiecie Mat powiedziała, że jest rozmarzona i całkiem rozkojarzona, ale to była przecież Nynaeve.

Wzdrygnęła się, kiedy do niej dotarło, gdzie się znajduje i pospiesznie odsunęła od Lana, ale nadal trzymała go za rękę. Suknię wybrała sobie nie lepszą niż Elayne, całą z niebieskiego jedwabiu i ozdobioną zielonymi haftami, z tak głębokim dekoltem, że było widać ciężki złoty pierścień, który byłby się zsunął z jej dwóch złączonych kciuków, a który teraz dyndał na cienkim złotym łańcuszku między piersiami. Szerokie rondo kapelusza, który trzymała za wstążki, było obrzeżone niebieskimi piórami, a zielony płaszcz podróżny wyróżniał się niebieskim haftem. W porównaniu z nią, pozostałe kobiety, odziane w proste wełny, a nawet i sama Elayne, wyglądały nadzwyczaj bezbarwnie.

Tak czy owak, nawet jeśli przed chwilą robiła cielece oczy, teraz na powrót stała się sobą, zaraz przerzuciła warkocz na plecy.

– Przyłącz się do pozostałych mężczyzn, Lan – powiedziała stanowczo-i będziemy mogli ruszać. Mężczyźni jadą w czterech ostatnich powozach.

– Jak rzeczesz – odparł Lan, kłaniając się, z dłonią wspartą na rękojeści miecza.

Zdumiona obserwowała, jak idzie w stronę Mata, prawdopodobnie niezdolna uwierzyć, że słucha jej tak bez sprzeciwu, ale zaraz potem otrząsnęła się, nadęta i nastroszona jak zawsze. Zgromadziła Elayne i inne kobiety w jednym miejscu, po czym zagnała je w stronę dwóch pierwszych powozów niczym stadko gęsi. Potem krzyknęła, że ktoś powinien nareszcie otworzyć bramy dziedzińca, takim tonem, że nikt by się nie domyślił, iż to ona właśnie opóźniła ich wyjazd. Zaczęła też pokrzykiwać na woźniców, aż ci schwycili wodze i trzasnęli ze swych długich batów, cud, że w ogóle zaczekali, aż wszyscy wsiądą do powozów.

Mat wdrapał się niezdarnie do powozu w ślad za Lanem, Naleseanem i Beslanem, wsparł włócznię o drzwiczki i klapnął ciężko na siedzenie, gdy pojazd ruszył. Koszyk ustawił sobie na kolanach.

– Skąd ty się tu wziąłeś, Lan? – wybuchnął, kiedy już wszyscy zostali sobie przedstawieni. – Jesteś ostatnią osobą, jaką spodziewałem się zobaczyć. Gdzieś ty się podziewał? Światłości, myślałem już, że nie żyjesz. Wiem, że Rand też się tego obawiał. I pozwalasz, żeby Nynaeve tobą rządziła. Dlaczego, na Światłość, godzisz się na coś takiego?

Po kamiennym obliczu Strażnika widać było, że się zastanawia, na które z tych pytań odpowiedzieć najpierw.

– Ubiegłej nocy ja i Nynaeve pobraliśmy się, ślubu udzieliła nam Mistrzynie Statków – powiedział w końcu. – Zawieraniu związku małżeńskiego u Atha’an Miere towarzyszą... dość osobliwe... obyczaje. Oboje przeżyliśmy zaskoczenie. – To, co się pojawiło na jego wargach, to miał być chyba nieznaczny uśmiech. I jeszcze lekko wzruszył ramionami, najwyraźniej na tym postanowił poprzestać.

– Oby Światłość pobłogosławiła ciebie i twoją oblubienicę – mruknął uprzejmie Beslan i wykonał taki ukłon, na jaki pozwoliło mu ciasne wnętrze powozu, a Nalesean coś wymamrotał, aczkolwiek z wyrazu jego twarzy wynikało jasno, że jego zdaniem Lan musiał oszaleć. Jemu towarzystwo Nynaeve dość dało się we znaki.

Mat siedział tylko, kołysząc się do rytmu ruchów powozu, i wytrzeszczał oczy. Nynaeve mężatką? Lan poślubiony Nynaeve? Ten człowiek zwariował. Nic dziwnego, że w oczach miał taki posępny wyraz. Mat prędzej by sobie wepchnął wściekłego lisa za koszulę. Żenili się tylko durnie, ale żeby ożenić się z Nynaeve trzeba było być szaleńcem.

Jeżeli Lan zauważył, iż nie wszyscy z jego powodu mają ochotę podskakiwać z radości, to nie dał tego po sobie poznać. Gdyby nie te oczy, wyglądałby tak samo, jak Mat go zapamiętał. Może tylko wyglądał na jeszcze bardziej nieugiętego, o ile to w ogóle możliwe.

– Jest jeszcze jedna, ważniejsza sprawa-ciągnął Lan. – Nynaeve nie chce, żebyś wiedział, Mat, niemniej powinieś o tym usłyszeć. Dwóch twoich ludzi zginęło, zostali zabici przez Moghedien. Przykro mi i jeśli to może stanowić jakieś pocieszenie, obaj umarli, zanim się w ogóle zorientowali. Nynaeve uważa, że Moghedien zniknęła, bo inaczej raz jeszcze dałaby o sobie znać, ale ja nie jestem tego taki pewien. Zdaje się, że ona żywi jakąś osobistą wrogość względem Nynaeve, aczkolwiek Nynaeve jakoś się wykręciła i nie podała mi przyczyny. – Znowu ten uśmiech; Lan najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z jego obecności. – A w każdym razie nie podała prawdziwej przyczyny, nic co miałoby jakiegokolwiek znaczenie. Lepiej jednak, żebyś wiedział, z czym możemy mieć do czynienia po drugiej stronie rzeki.

– Moghedien – powiedział Beslan bez tchu, z błyszczącymi oczyma. Ten człowiek prawdopodobnie dostrzegwał w tym jakąś możliwość “zabawienia się”.

– Cholerne, przeklęte kobiety – burknął Mat.

– Mam nadzieję, że nie mówisz o mojej żonie – odparł zimno Lan, jedną dłonią obłapiając rękojeść miecza, Mat zaś prędko podniósł ręce.

– Oczywiście, że nie. Tylko o Elayne i o... Rodzinie.

Po krótkim namyśle Lan przytaknął, a Mat odetchnął z ulgą. To byłoby całkiem podobne do Nynaeve: namówić swego męża – męża! – żeby go zabił, a jednocześnie, tak pewne, jak chleb jest brązowy, ukryć fakt, że jedno z Przeklętych być może jest w mieście. Moghedien zresztą tak naprawdę wcale go nie przerażała, dopóki na szyi nosił medalion w kształcie lisiej głowy, ale ten medalion nie ochroni przed nią ani Naleseana, ani żadnego z pozostałych. Nynaeve bez wątpienia ubrdała sobie, że ona i Elayne ich ochronią. Pozwoliły mu przyprowadzić Legion Czerwonej Ręki, cały czas kryjąc usta w rękawach, by nie widział, jak się z niego wyśmiewają, a przy tym...

– Nie zamierzasz przeczytać listu od mojej matki, Mat?

Dopóki Beslan o nim nie wspomniał, nie zauważył, że pod pasiastą serwetą, którą nakryty był koszyk, tkwi złożona we czworo kartka papieru. Wystający skrawek był dostatecznie duży, by można było zobaczyć zieloną pieczęć z Kotwicą i Mieczem.

Przełamał wosk kciukiem i rozprostował kartkę, tak ją trzymając, by Beslan nie zobaczył, co tam jest napisane. A zresztą mógł sobie nawet zobaczyć, zważywszy na to, jak zapatrywał się na te sprawy. Tak czy owak, Mat był zadowolony, że nie widzą tego niczyje oczy, tylko jego. Za to serce mu zamierało w miarę, jak czytał kolejne linijki listu:

“Mat, mój najśłodszy!

Kazałam przenieść twoje rzeczy do moich apartamentów. Tak będzie o wiele wygodniej. Riselle wybiera się do twych dawnych pokoi, przypilnuje młodego Olvera, dopóki nie wrócisz.

Chłopiec zdaje się przepadać za jej towarzystwem.

Kazałam szwaczce, by przysłała zdjąć z ciebie miarę. Chętnie będę się temu przyglądała. Powinieneś nosić krótsze kalf tany. I oczywiście przydadzą ci się też nowe spodnie. Masz cudowne siedzenie. Kaczorku, kim jest ta Córka Dziewięciu Księżyców, z którą mnie sobie skojarzyłeś? Opowiesz mi -obmyśliłam kilka wybornych sposobów, żeby cię do tego zmusić.

Tylin”

Pozostali przyglądali mu się wyczekująco. Cóż, Lan tylko patrzył, ale jego wzrok był jeszcze bardziej denerwujący niż spojrzenia pozostałych; zdawał się niemalże... martwy.

– Królowa uważa, że potrzebuję nowych ubrań-powiedział Mat, wpychając list do kieszeni kaftana. – Chyba się zdrzemnę. – Naciągnął kapelusz na oczy, ale ich nie zamknął, tylko zerkał za okno, przez które do wnętrza wlatywały niekiedy tumany kurzu. Okno wpuszczało także powiewy wiatru, co było znacznie lepsze od duchoty zamkniętego powozu.

Moghedien i Tylin. Gdyby miał wybierać, to wolałby raczej konfrontację z Moghedien. Musnął przelotnie lisią głowę zwisającą w rozcięciu rozsznurowanej koszuli. Przynajmniej coś go chroni przed Moghedien. Przeciwno Tylin miał tyleż samo możliwości obrony co w przypadku Córki przeklętych Dziewięciu Miesięcy, kimkolwiek była. Wszyscy się dowiedzą, chyba że znajdzie jakiś sposób, by nakłonić Nynaeve i Elayne do opuszczenia Ebou Dar, zanim zapadnie noc. Spochmurniały, naciągnął kapelusz jeszcze niżej. Przez te przekłete kobiety zachowywał się niczym jakaś dziewczyna: one go do tego zmuszały. Jeszcze chwila, przestraszył się, a być może zacznie płakać.

# ROZDZIAŁ 19

## SZEŚĆ PIĘTER

Mat chętnie wysiadłby i sam pociągnął powóz, gdyby to cokolwiek dało. Jego zdaniem, naprawdę mogli jechać szybciej. Słońce nie osiągnęło jeszcze szczytu swej drogi przez nieboskłon, a jednak na ulicach już było rojno, rozterkotane wozy i fury lawirowały pośród tłumów i nawianych przez wiatr tumanów pyłu, przy akompaniamencie krzyków i przekleństw woźniców, a także przechodniów zmuszanych do ustępowania z drogi. Przy brzegach kanałów chybotą się takie multum barek uwiązanych do pali, że człowiek mógł po tych kanałach chodzić jak po ulicach: wystarczyło przechodzić z pokładu na pokład. Nad całym tym połyskującym bielą miastem rozbrzmiewał ogłuszający, jednostajny zgiełk. Ebou Dar zdawało się nadrabiać czas utracony nie tylko poprzedniego dnia, ale również podczas Wysokiego Chasaline i Święta Świąteł, i czyniło tak nie bez powodu, gdyż następnego dnia miało się odbyć Święto Popiołów, dwa dni potem Dzień Maddina, założyciela Altary, który z kolei poprzedzał Święto Półksiężycy. O południowcach powszechnie mówiono, że są bardzo przedsiębiorczy, ale zdaniem Mata oni po prostu musieli tak się zaharowywać, żeby odrobić te wszystkie święta. Cud, że im w ogóle starczało na to sił.

Powozy nareszcie doturłały się do rzeki i zatrzymały przy jednym z długich kamiennych molo wyposażonych w stopnie, z których wsiadało się na pokłady przycumowanych łodzi. Schował gomółkę ciemnożółtego sera i pajdę chleba do kieszeni, po czym wsunął koszyk pod siedzenie. Czuł głód, ale niestety, komuś w kuchniach za bardzo się spieszyło, w koszyku był wprawdzie jeszcze gliniany garniec pełen ostryg, ale tamten w kuchni najwyraźniej zapomniał je ugotować.

Wygramoliwszy się śladem Lana z powozu, pozostawił Naleseana i Beslana, by pomogli innym w wysiadaniu z kolejnych ekwipaży, które w końcu powoli docierały na miejsce. Blisko pół tuzina mężczyzn i to wcale jakieś ułamki rodem z Cairhien: jechali stłoczeni niczym jabłka w beczce, toteż wysiadali całkiem sztywni. Mat ułożył sobie *ashandarei* na ramieniu, po czym wyprzedził Strażnika, kierując się w stronę powozu, który jechał na czele. Nynaeve i Elayne będą musiały poświęcić mu uwagę i nieważne, kto będzie się temu przysłuchiwał. One próbowały zataić fakt pojawienia się Moghedien! Nie wspominając już o tych dwóch poległych! Już on je...! Zmitygował się, nagle aż nadto świadom obecności górującego nad nim Lana, podobnego z tym mieczem przy biodrze do kamiennego posągu. Ale przynajmniej Dziedziczka Tronu posłucha sobie, co on myśli o robieniu tajemnic z takich rzeczy.

Nynaeve stała na molo; kiedy tam dotarł, zawiązywała właśnie tasiemki od kapelusza z niebieskimi piórami i zwracała się do kogoś, kto jeszcze siedział w powozie.

– ...to się jakoś rozwiąże, to pewne, ale kto by pomyślał, że akurat Atha'an Miere zażądają czegoś takiego, choćby nawet prywatnie.

– Ależ, Nynaeve – odrzekła Elayne, wysiadając ze swym kapeluszem z zielonymi piórami w rękę – jeżeli ostatnia noc była tak wspaniała, jak mówisz, to jak możesz się skarżyć na...

Wtedy właśnie zdały sobie sprawę z obecności jego i Lana. Tak naprawdę, to głównie chodziło o Lana. Oczy Nynaeve otwierały się coraz szerzej, a jej twarz tak poczerwieniała, że dwa zachody słońca mogłyby się zawstydzić. Może nawet trzy. Elayne zastygła w miejscu, z jedną nogą ciągle jeszcze na stopniu powozu, i zmierzyła Strażnika takim wzrokiem, jakby uważała, że właśnie chytrze się do nich podkradł. Lan jednakże spojrzął z góry na Nynaeve – w oczach miał pewnie nie więcej wyrazu niż kołek w płocie – i Nynaeve, mimo iż wydawała się gotowa wpełznąć pod powóz i tam się schować, spojrzęła mu w twarz, jakby na świecie nie istniało nic innego. Uświadomiwszy sobie,



że marnuje tutaj swoje miny, Elayne zdjęła nogę ze stopnia i usunęła się z drogi Reanne oraz dwóm innym Mądrym Kobietom, które jechały z nią tym samym powozem: Tamarli i siwiejącej Saldaeance o imieniu Janira. Nie poddała się jednak; o, co to, to nie. Adresatem tej nachmurzonej miny stał się natomiast Mat Cauthon, a jeśli wyraz jej twarzy cokolwiek się zmienił, to tylko tyle, że wyrażał jeszcze większy gniew. Mat parsknął i pokręcił głową. Tak to już zazwyczaj się działo, że jak kobieta się myliła, to potrafiła znaleźć tyle powodów do obarczenia winą najbliższego mężczyzny, że ów ostatecznie nabierał przekonania, iż może rzeczywiście pobił. Z jego doświadczeń wynikało, że starych czy nowych wspomnień, że istniały tylko dwa rodzaje sytuacji, w których kobieta przyznawała się do pomyłki: kiedy czegoś chciała i kiedy w samym środku lata spadł śnieg.

Nynaeve ścisnęła swój warkocz, nie wkładając w to jednak specjalnie serca. Chwilę przebierała palcami, po czym puściła warkocz i dla odmiany zaczęła splatać i rozplatać dłonie.

– Lan – zaczęła niepewnie – tylko nie myśl, że ja opowiadałabym o...

Strażnik przerwał jej zgrabnie, kłaniając się i oferując ramię.

– Jesteśmy w miejscu publicznym, Nynaeve. W miejscu publicznym możesz sobie mówić, co tylko chcesz. Czy wolno mi odprowadzić cię do łodzi?

– Ależ tak – odparła, kiwając głową z takim zapalem, że omal nie spadł jej kapelusz. Pośpiesznie poprawiła go obiema dłońmi. – Tak, tak. W miejscu publicznym. Odprowadź mnie. – Ujawszy go pod ramię, odzyskała nieco pewności siebie, przynajmniej jeśli sądzić po minie. Podkasawszy płaszcz podróżny wolną ręką, niemal powlokła go w stronę mola.

Mat zastanawiał się, czy ona przypadkiem się nie rozchorowała. Uwielbiał wprawdzie widok Nynaeve, której przytarto rogów, ale to nigdy nie trwało dłużej niż dwa oddechy. Aes Sedai nie potrafiły Uzdrawiać samych siebie. Może powinien zasugerować Elayne, by to ona zajęła się dolegliwościami Nynaeve. Osobiście unikał Uzdrawiania jak śmierci – albo małżeństwa – ale najwyraźniej inni mieli na ten temat odmienne zdanie. Najpierw jednakże miał zamiar skierować kilka starannie dobranych słów na temat skrytości i tajemniczości do Elayne.

Otworzył usta, uniósł palec upominającym gestem...

...a Elayne wbiła mu w pierś swój palec, z tak zaciętą miną kryjącą się pod tym upierzonym kapeluszem, że aż go zabolowały palce u stóp.

– Pani Corly – rzekła lodowatym głosem królowej ogłaszającej wyrok – wyjaśniła mnie i Nynaeve, jakie jest znaczenie tych czerwonych kwiatków przy koszyku, dobrze więc, że chociaż miałeś choć tyle wstydu, żeby go schować.

Nawet Nynaeve nie przyszłoby na myśl, że można się tak zaczerwienić, jak jemu się teraz udało. Kilka kroków dalej Reanne Corly i pozostałe dwie Mądre Kobiety mocowały kapelusze i poprawiały suknie w taki sposób, w jaki kobiety zawsze to robią przy wstawaniu, siadaniu albo kiedy zajdzie konieczność zrobienia trzech kroków. Niemniej jednak, mimo iż tak się skupiły na swoim odzieniu, i tak rzuciły spojrzenia w jego kierunku, i po raz pierwszy chyba nie wyrażały w nich ani dezaprobaty, ani zaskoczenia. Nie miał pojęcia, że te cholerne kwiaty cokolwiek znaczą! Dziesięć zachodów słońca nie mogłoby iść w konkury z jego spąsowiałą twarzą.

– A więc to tak! – Elayne mówiła cichym głosem przeznaczonym wyłącznie dla jego uszu, ale za to przepelnionym obrzydzeniem i pogardą. Szarpnęła za poję swego płaszcza, jakby się bała, że się o niego otrze. – A więc to prawda! Nigdy bym się tego nie spodziewała, nawet po tobie! Jestem pewna, że Nynaeve też by nie uwierzyła. Wszelkie obietnice, jakie ci złożyłam, zostają niniejszym anulowane! Nie będę dochowywała żadnych przyrzeczeń złożonych mężczyźnie, który potrafi siłą narzucać swoje względy kobiecie, jakiegokolwiek kobiecie, a zwłaszcza królowej, która zaferowała mu...

– Ja niby narzucam jej swoje względy siłą!?-krzyknął. Czy raczej próbował krzyknąć; dławił się, więc wyszedł z tego charkot.

Złapawszy Elayne za ramiona, odciągnął ją na bok. Mijali ich śpiesznie dokerzy, odziani w kamizele z zielonej skóry narzucone na nagie torsy; taszczyli na ramionach worki, toczyli beczki po nabrzeżu albo pchali niskie wózki wyładowane pakami, jak jeden mąż omijając powozy szerokim łukiem. Królowa Altary mogła nie dysponować dużą władzą, ale jej pieczęć na drzwiach pojazdu wystarczała, by ludzie z gminu dawali takiemu dużo wolnej przestrzeni. Nalesean i Beslan wprowadzili Czerwonorękich na pomost, gawędząc ze sobą po drodze. Vanin zamykał pochód i wpatrywał się ponuro w lekko wzburzoną rzekę; twierdził, że na łodzi jego żołądek robi się bardzo wrażliwy. Mądre Kobiety z obu powozów zgromadziły się przy Reanne, obserwując Mata i Elayne, ale nie podeszły dostatecznie blisko, by móc podsłuchiwać. Dalej szeptał ochryple, nie przejmując się nimi.

– Tylko mnie posłuchaj! Tamta kobieta nie przyjmuje “nie” w odpowiedzi; ja mówię “nie”, a ona śmieje się ze mnie. Morzyła mnie głodem, oszukiwała, uganiała się za mną jak za jakimś jeleniem! Przecież ona ma tyle rąk, ile sześć kobiet razem wziętych. Zagroziła, że każe służebnym mnie rozebrać, jeśli nie pozwolę jej... – Nagle dotarło do niego, co on właściwie wygaduje. I przy kim. Udało mu się zamknąć usta, zanim połknął muchę i bardzo się też zainteresował jednym z ciemnych metalowych kruków, którymi było inkrustowane drzewce *ashandarei*, dzięki czemu nie musiał patrzeć Elayne w oczy. – Chcę powiedzieć, że ty nic nie rozumiesz – wybąkał. – Wszystko zrozumielaś opacznie. – Zaryzykował i zerknął na nią spod skraju ronda.

Policzki spąsowiały jej nieznacznie, ale twarz miała tak uroczystą jak oblicza marmurowych popiersi.

– Wydaje się... wydaje się, że być może istotnie niewłaściwie to zrozumielałam – odparła z powagą. – To... bardzo źle świadczy o Tylin. – Odniósł wrażenie, że drgnęły jej wargi. – Czy zastanawiałeś się może nad ćwiczeniem uśmiechów przed lustrem, Mat?

Zaskoczony zamrugął.

– Że co?

– Słyszałam z wiarygodnego źródła, że robią tak młode kobiety, które wpadły w oko jakiemuś królowi. – Coś sprawiło, że ten śmiertelnie poważny ton uległ nagłemu załamaniu i tym razem nie miał wątpliwości, że naprawdę drgnęły jej wargi. – Mógłbyś też wypróbować trzepotanie rzęsami. - Przygryzła dolną wargę, odwróciła się, po czym z trzęsącymi się ramionami i w płaszczu rozdętym na wietrze pospieszyła w dół mola. Nim jednak odeszła tak daleko, że nie mógł jej usłyszeć, już krtusząc się ze śmiechu, opowiadała o jakimś “smaku jego własnego lekarstwa”. Reanne i Mądre Kobiety mknęły jej śladem niczym stadko kur, które biegnie za kurczakiem, zamiast na odwrót. Kilku marynarzy o obnażonych torsach przestało zwijać liny czy cokolwiek akurat robili i z szacunkiem skłoniło głowy, kiedy ta procesja ich mijała.

Porwawszy swój kapelusz, Mat zastanowił się, czy nie cisnąć go na ziemię i nie podeptać. Kobiety! Powinien był to przewidzieć i nie spodziewać się współczucia. Z chęcią by udusił przekłętą Dziedziczkę Tronu. I Nynaeve również, dla zasady. Ale oczywiście nie mógł tego zrobić. Obiecał. Kości ni stąd, ni zowąd zaczęły się posługiwać jego czaszką niczym kubkiem. A na dodatek jeden z Przeklętych mógł się gdzieś plątać w pobliżu. Poprawił kapelusz i pomaszerował w dół mola, przepychając się po drodze obok Mądrych Kobiet. Dogonił Elayne, która nadal usiłowała stłumić chichot, ale za każdym razem, gdy trafiała na niego wzrokiem, rumieniec powracał i podobnie chichot.

Wbił wzrok w przestrzeń. Cholerne kobiety! Cholerne przyrzeczenia! Zdjął na chwilę kapelusz,

by ściągnąć z szyi rzemyk, po czym z niechęcią wysunął w jej kierunku swoją dłoń ze srebrną lisią głową.

– Ty i Nynaeve będziecie musiały zdecydować, która z was będzie nosiła ten medalion. Ale chcę go dostać z powrotem, gdy już będziemy wyjeżdżali z Ebou Dar. Rozumiesz? Dokładnie w chwili, gdy będziemy wyjeżdżali...

Nagle dotarło do niego, że idzie sam. Odwróciwszy się, spostrzegł Elayne, która zatrzymała się dwa kroki wcześniej i teraz podobna do słupa soli gapiała się na niego razem z Reanne i pozostałymi zbitymi za nią w gromadę.

– O co teraz chodzi? – spytał podniesionym głosem. – Aha. Tak, wiem wszystko o Moghedien. – Jakiś chuderlawy mężczyzna, z czerwonymi kamykami w mosiężnych kolczykach, który zwijał linę cumowniczą, obrócił się na pięcie tak szybko, gdy usłyszał to imię, że aż wyleciał za burtę z głośnym krzykiem i wpadł do wody z jeszcze głośniejszym pluskiem. Mata nic nie obeszło, kto to może słyszeć. – Próbowaliście zachować w tajemnicy, że się zjawiała... oraz to, że dwóch moich ludzi nie żyje!... mimo danego mi przyrzeczenia. No cóż, pogadamy o tym później. Ja też coś przyrzekłem; przyrzekłem, że zachowam was dwie przy życiu. Moghedien będzie dybała na was, jeśli się jeszcze pokaże. Bierz, trzymaj. -Znowu podsunął jej medalion.

Zdumiona, powoli pokręciła głową, po czym odwróciła się i mruknęła coś do Reanne. Dopiero wtedy, gdy starsze kobiety ruszyły w stronę Nynaeve, która przywoływała je ze szczytu stopni wiodących do łodzi, wzięła do ręki lisią głowę i obróciła ją w palcach.

– Czy masz pojęcie, czego bym nie zrobiła, by móc go zbadać? – spytała cicho. – Jakiegokolwiek pojęcie? – Była wysoka jak na kobietę, ale nadal musiała zadzierać głowę, żeby spojrzeć mu w oczy. Takim wzrokiem, jakby go widziała pierwszy raz w życiu. – Nieznośny z ciebie człowiek, Macie Cauthon. Lini powiedziałyby, że się powtarzam, ale ty...! -Odetchnąwszy, Elayne podniosła rękę, zdjęła mu z głowy kapelusz i zawiesiła rzemyk z powrotem na jego szyi. Mało tego, schowała jeszcze lisią głowę pod koszulę, poklepała ją i dopiero wtedy oddała mu kapelusz. -Nie nałożę go, dopóki Nynaeve albo Aviendha też takiego nie będą miały, i sądzę, że one postąpiłyby tak samo. Ty go noś. Wszak nie będziesz mógł chyba dotrzymać swojej obietnicy, jeśli Moghedien zabije właśnie ciebie. Zresztą nie wydaje mi się, że ona gdzieś tu jest. Moim zdaniem wierzy, że zabiła Nynaeve i nie zdziwiłabym się, gdyby pojawiła się tu tylko w tym celu. Ale ty musisz uważać. Nynaeve powiada, że nadciąga burza i wcale nie wiąże jej z tym wiatrem. Ja... -Znowu oblała się lekkim rumieńcem. -Przepraszam, że się z ciebie wyśmiewałam. -Chrząknęła, odwracając wzrok. -Czasami zapominam o obowiązkach względem swoich poddanych. Jesteś zacnym poddanym, Macie Cauthon. Dopilnuję, by Nynaeve zrozumiała, jak się naprawdę przedstawia sprawa między... tobą i Tylin. Może będziemy mogły pomóc.

– Nie! – wybuchnął. – Znaczy się, tak. Znaczy się... To jest... Och, już sam nie wiem, co chcę powiedzieć. Prawie żałuję, żeś poznała prawdę. – Nynaeve i Elayne, które zasiadają do herbatki, by wspólnie przedyskutować sprawę jego i Tylin. Ciekawe, jak miałyby im to potem wymazać z pamięci? I czy potrafiłby choćby spojrzeć im w oczy? Ale jeśli one mu nie pomogą... Znajdował się w potrzasku, między wilkiem a niedźwiedziem, i nie miał dokąd uciec. – A żesz to owcze bobki! Owcze bobki i przeklęte cebulki w maśle glazurowane! – Niemalże zapragnął, żeby zbeształa go za ten język, jakby to zrobiła z pewnością Nynaeve, dzięki czemu zmieniliby temat.

Elayne bezdźwięcznie poruszyła wargami i przez chwilę miał dziwne wrażenie, że ona powtarza to, co właśnie wykrzyknął. Przecież nie mogła tego robić. Coś mu się przywidziało, to wszystko. A potem powiedziała na głos:

– Rozumiem – takim tonem, jakby rzeczywiście rozumiała. – No chodźże już, Mat. Nie możemy

mitrzyć czas, wystając tak tutaj.

Wytrzeszczywszy oczy, przypatrywał się jej, jak zakasuje spódnicę i płaszcz, by przejść po molo. Zrozumiała? Zrozumiała i nie wygłosiła żadnego zgryźliwego komentarza ani jednej uszczypliwej uwagi? I był jej poddanym. Zaczynam poddanym. Ruszył za nią, głaszcząc medalion. Spodziewał się, że będzie musiał się bić, aby go odzyskać. Choćby nawet żył tyle lat co dwie Aes Sedai razem wzięte, nie zrozumie kobiet, a już na pewno nigdy arystokratek, bo te były po prostu najgorsze.

Kiedy dotarł do stopni, po których Elayne zeszła na pokład, dwaj wioślarze z mosiężnymi kołami w uszach odpychali już łódź od nabrzeża. Elayne właśnie zaganiała Reanne oraz ostatnią z Mądrych Kobiet do kabiny, Lan natomiast stał na dziobie razem z Nynaeve. Beslan gestem przywołał go do drugiej łodzi, na której zgromadzili się wszyscy mężczyźni z wyjątkiem Strażnika.

– Nynaeve powiedziała, że tu nie ma miejsca dla żadnego z nas – wyjaśnił Nalesean, kiedy rozchybotana łódź wypłynęła na środek Eldaru. – Twierdziła, że narobimy tłoku. – Beslan roześmiał się, rozglądając po ich pokładzie. Vanin usiadł obok kabiny z zamkniętymi oczyma, usiłując udawać, że znajduje się zupełnie gdzieś indziej.

Harnan i Tad Kandel, Andoranin, mimo karnacji równie ciemnej jak wioślarz, wspięli się na daszek kabiny, pozostali żołnierze Legionu przycupnęli w różnych miejscach pokładu, starając się nie wchodzić w paradę załozdy łodzi. Żaden nie wszedł do kabiny, wszyscy najwyraźniej zwlekali, by przekonać się, czy Mat, Nalesean albo Beslan nie będą jej przypadkiem potrzebowali.

Mat zajął miejsce obok wysokiego masztu na dziobie i stamtąd przyglądał się ukradkiem drugiej łodzi posuwającej się tuż przed nimi pchnięciami długich wiosel. Wiatr chłostał spienione ciemne wody, rozwiewał jego chustę i usiłował porwać kapelusz. Co ta Nynaeve knuje? Pozostałe dziewięć kobiet na drugiej łodzi schroniło się do kabiny, pozostawiając pokład na wyłączny użytek jej i Lana. Oboje stali na dziobie, Lan z rękoma splecionymi na piersiach, Nynaeve gestykulowała, jakby coś mu tłumaczyła. Tyle że Nynaeve rzadko kiedy cokolwiek tłumaczyła. Może nawet nie tyle rzadko, co raczej nigdy.

Cokolwiek robiła, nie trwało to długo. W głębi zatoki można już było dostrzec grzywiaste fale, tam gdzie rakery, szkimery i sojrery Ludu Morza kołysały się na swych kotwicach. Rzeka nie była silnie wzburzona, a jednak łódź chybotąca się jeszcze gorzej, niż Mat zapamiętał z ostatniego rejsu. Nie upłynęło dużo czasu i Nynaeve przewiesiła się przez reling, po czym, podtrzymywana przez Lana, zaczęła się pozbywać śniadania. To przypomniało Matowi o jego własnym żołądku, wetknąwszy kapelusz pod pachę, żeby go wiatr nie porwał, wyciągnął z kieszeni kawałek sera.

– Beslan, czy możliwe, żeby burza rozpętała się, zanim wrócimy z Rahad? – Zjadł kawałek sera o ostrym smaku, w Ebou Dar mieli pięćdziesiąt najrozmaitszych gatunków, wszystkie smaczne. Nynaeve nadal trwała przewieszona przez krawędź burty. Ile ta kobieta zjadła dziś rano? – Nie wiem, gdzie się schronimy, jeśli nas złapie. – Ze wszystkich tych oberży, które odwiedził w Rahad, nie przychodziła mu do głowy ani jedna, do której mógłby zabrać kobiety.

– Nie będzie żadnej burzy – powiedział Beslan, sadowiąc się na relingu. – To są zimowe pasaty. Pasaty wieją dwa razy w roku, pod koniec zimy i późnym latem, a poza tym wiałyby znacznie mocniej, gdyby się zanosilo na burzę. – Skierował lekko zawiedzione spojrzenie w stronę zatoki. – Co roku te wiatry sprowadzają... sprowadzały... statki z Tarabonu i Arad Doman. Ciekaw jestem, czy jeszcze kiedyś tak będzie.

– Koło obraca się... – zaczął Mat i udławił się grudką sera. Krew i popioły, zaczyna już gadać jak jakiś siwowłosy staruch wygrzewający obolałe stawy przed kominkiem. Gryzie się tym, że miałby zabrać kobiety do jakiejś podejrzanego oberży. Jeszcze rok, pół roku temu zabrałby je i byłby

się zaśmiewał na widok ich wybałuszonych oczu, byłby się zaśmiewał z każdego wyniosłego prychnięcia. – No cóż, może jednak uda ci się zabawić w Rahad. Ktoś na pewno zechce zwędzić czyjąś sakiewkę albo porwać naszyjnik Elayne. – Może tego właśnie potrzebował, żeby zmyć posmak trzeźwości z języka. Trzeźwość. Światłości, co za słowo w połączeniu z Matem Cauthonem! Tylin musiała go chyba nastraszyć bardziej, niż myślał, skoro marniał w taki sposób. Może potrzebował zabawy z rodzaju tych, za którymi gonił Beslan. To było istne szaleństwo... w życiu nie widział takiej bójki, z której raczej wolałby zrezygnować... jednak być może...

Beslan pokręcił głową.

– Jeśli ktoś ma wiedzieć, gdzie można się zabawić, to tylko ty, ale... Będziemy tam w towarzystwie siedmiu Mądrych Kobiet, Mat. Wystarczy jedna u twego boku, i gdy w Rahad spoliczkujesz człowieka, ten tylko ugryzie się w język i odejdzie. I te kobiety. Co zabawnego w całowaniu kobiety, jeśli nie ryzykujesz, że ona dźgnie cię nożem?

– A żeby mi dusza szczyła – burknął Nalesean z gęstwiny swojej brody. – Wychodzi na to, że zwlokłem się z łóżka po to tylko, by nudzić się przez cały poranek.

Beslan przytaknął ze współczuciem.

– Ale jak nam szczęście dopisze... Gwardia Obywatelska posyła czasami patrole do Rahad i kiedy urządzają obławę na przemytników, ubierają się tak jak wszyscy. Im się wydaje, że nikt nie zauważy kilkunastu mężczyzn z mieczami, niezależnie od ubioru, i zawsze się dziwią, jak przemytnicy biorą ich z zaskoczenia, do czego dochodzi niemal za każdym razem. Jeżeli szczęście Mata, jego szczęście *ta'veren*, będzie po naszej stronie, to może zostaniemy więźni za żołnierzy Gwardii i jacyś przemytnicy zaatakują nas, nim spostrzegą te czerwone pasy. – Nalesean pojaśniał i zaczął zacierać ręce.

Mat zgromił ich wzrokiem. Może jednak zabawy w stylu Beslana w niczym mu nie pomogą. A przede wszystkim miał już po dziurki w nosie kobiety z nożami. Nynaeve nadal wisiała za burtą płynącej przed nimi łodzi; to ją nauczy, że nie powinna się tak objadać. Pochłonawszy ostami kawałek sera, zabrał się za chleb i usiłował nie zwracać uwagi na kości toczące się w głowie. Spokojna podróż rzeką, bez żadnych kłopotów po drodze, wcale nie wydawała się aż taka zła. Szybka wyprawa, a potem szybki wyjazd z Ebou Dar.

W Rahad zastali wszystko tak, jak zapamiętał z poprzedniego pobytu, i zresztą tak, jak się obawiał Beslan. Wiatr sprawił, że wspinaczka po stopniach z szarego kamienia wiodących na molo przeobraziła się w bohaterski wyczyn, potem zaczął dąć jeszcze silniej. Podobnie jak po drugiej stronie rzeki, również tę część miasta przecinało całe mnóstwo kanałów, ale tutaj mosty były zwyczajne, oblepione brudem kamienne parapety popękały i skruszały, połowa kanałów była tak zamulona, że mali chłopcy brodzili w nich, zanurzeni zaledwie do pasa, a barek było jak na lekarstwo. Wysokie budynki tłoczyły się jedne na drugie, przysadziste konstrukcje – pokryte chropawym, niegdyś białym tynkiem, który odpadał wielkimi płatami, ukazując nadgryzione erozją czerwone cegły – stały przy wąskich uliczkach brukowanych spękanyymi płytami. To znaczy tam, gdzie jeszcze nie zdążono ich wykraść. Światło poranka nie docierało w te ponure zakątki. W co trzecim oknie suszyło się bure pranie, wyjąwszy domy opuszczone przez mieszkańców, w których okna ziały pustką niczym oczodoły czaszki. Powietrze przesycił słodko-kwaśny odór rozkładu całomiesięcznej zawartości nocników oraz odpadków gnijących tam, gdzie ktoś je cisnął. W ten sposób, na każdą muchę po drugiej stronie Eldar tu brzęczało ich sto, tworzących niebieskie i zielone chmury. Mat zauważył odrapane niebieskie drzwi "Złotej Korony Niebios" i wzdrygnął się na myśl o wprowadzaniu tu kobiet, gdyby jednak burza się zerwała – wbrew temu, co mówił Beslan. Te jego obiekcje bardzo go niepokoiły. Coś działo się z nim i wcale mu się to nie podobało.

Nynaeve i Elayne uparły się, że będą szły na czele, z Reanne pośrodku i Mądrymi Kobietami tuż za nimi. Lan trzymał się obok Nynaeve niczym pies myśliwski, z ręką wspartą na rękojeści miecza stale wypatrywał czegoś, aż emanując groźbą. Tak naprawdę, nawet tutaj stanowiłby dostateczną ochronę dla dwóch tuzinów pięknych szesnastoletnich dziewczyn targających worki pełne złota, niemniej Mat nalegał, by Vanin i reszta mieli oczy otwarte. W rzeczy samej, były złodziej koni i kieszonkowiec w jednej osobie trzymał się tak blisko Elayne, że łatwo było mu przypiąć łatkę jej Strażnika, nieważne że raczej tłustego i odzianego w wymiętoszone ubranie. Beslan wymownie wywrócił oczami, gdy usłyszał polecenia Mata, a Nalesean z irytacją pogładził brodę i mruknął, że spokojnie mógłby dalej leżeć w łóżku.

Po ulicach przechadzali się w dość zaczepny sposób niedbale ubrani mężczyźni, często w podartych kamizelach, a za to bez koszul, w uszach nosili wielkie mosiężne koła, a na palcach mosiężne pierścienie z kolorowymi szkiełkami, zza pasów wystawały im noże, niekiedy nawet aż dwa. Z rękoma błędzącymi przy rękojeściach, patrzyli takim wzrokiem, jakby rzucali wyzwanie każdemu, kto tylko spojrzy na nich nie tak, jak trzeba. Inni przekradali się od jednego rogu ulicy do następnego, od jednych drzwi do następnych, z oczyma ukrytymi w cieniu kapturów, podobni do tych psów o zapadniętych żebrach, które niekiedy warczały na nich z ciemnych, niewiarygodnie wąskich alejek. Ci ludzie szli skuleni, ukrywając swoje noże i trudno było przewidzieć, który będzie uciekał, a który dźgnie ostrzem. W porównaniu z kobietami ci mężczyźni zdawali się skromni, te paradowały bowiem w znoszonych sukniach, a mosiężnej biżuterii miały dwakroć więcej. Oczywiście, też uzbrojone były w noże, a ich śmiałe oczy z każdym spojrzeniem rzucały zuchwałe wyzwanie. Rahad, mówiąc krótko, stanowiło miejsce, w którym każdy, kto odział się w jedwabie, nie mógł liczyć, że ujdzie dziesięć kroków i nie dostanie w głowę. I tak miałyby dużo szczęścia, gdyby ocknął się rozebrany do naga, ciśnięty na stertę śmieci w jakiejś bocznej alejce, gdyż mógłby już nigdy się nie obudzić. Ale...

Z co drugich drzwi wypadały dzieci z wyszczerbionymi kubkami napelnionymi wodą, to ich matki je wysyłały, na wypadek gdyby Mądre Kobiety życzyły sobie ugasić pragnienie. Mężczyźni o pokiereszowanych twarzach, z mordem ukrytym w oczach, gapili się z rozdziawionymi ustami na siedem Mądrych Kobiet skupionych w jednym miejscu, po czym składali im niezdarne ukłony i pytali uprzejmie, czy mogą w czymś być pomocni, może coś im ponieść? Kobiety, niekiedy naznaczone taką samą liczbą blizn, z oczyma, na widok których Tylin byłaby się wzdrygnęła, dygały nieumiejętnie i pytały bez tchu, czy może wskazać drogę, czy może ktoś stał się takim utrapieniem, że aż trzeba było sprowadzić tyle Mądrych Kobiet? Jeżeli tak, dawały jasno do zrozumienia, Tamarla i pozostałe nie muszą same się fatygować, wystarczy tylko, że wskażą nazwisko.

Och, spoglądały na żołnierzy równie pałającymi oczyma jak zawsze, aczkolwiek wystarczyło, że któraś zerknęła tylko na Lana, by natychmiast umknąć wzrokiem. I o dziwo, tak samo reagowały na Vanina. Kilku mężczyzn warknęło na Beslana i Naleseana, gdy ci zbyt długo zaglądali za głęboki dekolt którejś z nich. Niektórzy poburkiwali też na Mata, czego on za nic nie pojmował; jemu w odróżnieniu od tamtych dwóch nigdy nie groziło, że gałki oczne wpadną mu za dekolt kobiecej sukni. Potrafił przyglądać się dyskretnie. Nynaeve i Elayne były nie zauważane, mimo całego ich wyrafinowania, i podobnie Reanne w jej sukni z czerwonej wełny: one trzy nie nosiły czerwonych pasów. Niemniej jednak czerwone pasy Mądrych Kobiet rzeczywiście chroniły wszystkich. Mat pojął, że Beslan miał rację. Mógłby wysypać zawartość sakiewki na ziemię i nikt nie podniósłby nawet miedziaka, dopóki Mądre Kobiety pozostawały w pobliżu. Mógł uszczypnąć w siedzenie każdą kobietę, na oczach wszystkich, i nawet gdyby taka dostała apopleksji, on odszedłby bez szwanku.

– Co za przyjemna przechadzka – rzucił kąśliwie Nalesean – wśród jakże interesujących widoków i zapachów. Czy już ci mówiłem, że ubiegłej nocy nie dane mi było spać, Mat?

– Czy ty chcesz umrzeć w łóżku? – odburknął Mat. Równie dobrze wszyscy mogli zostać w łóżkach; w tym cholernym miejscu na nic nie mogli się przydać, to było pewne. Tairenianin prychnął gniewnie. Beslan roześmiał się, ale prawdopodobnie pomyślał sobie, że Mat mówił o czymś innym.

Maszerowali przez Rahad, dopóki Reanne nie przystanęła nagle przed budynkiem, który niczym nie różnił się od pozostałych, tynk obłaził zeń płatami, a cegły były zmurszałe. Był to ten sam dom, do którego Mat ubiegłego dnia śledził kobietę. W oknach nie wisało żadne pranie, tu mieszkały tylko szczury.

– To tutaj – powiedziała.

Wzrok Elayne powoli powędrował do płaskiego dachu.

– Sześć – mruknęła tonem niezmiernej satysfakcji.

– Sześć – westchnęła Nynaeve i Elayne poklepała ją po ramieniu, jakby jej współczuła.

– Nie byłam do końca pewna – powiedziała. Na co Nynaeve się uśmiechnęła i też poklepała ją po ramieniu. Mat nie rozumiał ani słowa. A więc budynek miał sześć pięter. Kobiety zachowywały się czasami bardzo dziwnie; w zasadzie na co dzień.

Wewnątrz długi korytarz wyścielony kurzem niczym dywanem niknął gdzieś w ciemnościach. Drzwi wiodących do izb ostało się niewiele, wszystkie wykonane z nie heblowanych desek. Z jednego z otworów, mniej więcej w jednej trzeciej korytarza, wchodziło się na wąskie strome kamienne schody. Tędy właśnie szedł ubiegłego dnia, kierując się śladami stóp odcisniętych w kurzu, przy czym stwierdził, że kilka innych otworów to wejścia do bocznych korytarzy. Wtedy nie marnował czasu, by się tu rozejrzeć, ale teraz uznał, że budynek był zbyt wielki, by przecinał go tylko ten jeden korytarz. Za duży, by wiodło doń tylko jedno wejście.

– Doprawdy, Mat – powiedziała Nynaeve, kiedy kazał Harnanowi i połowie Czerwonorękich, by sprawdzili, czy jest tu jakieś tylne wejście i postawili przy nim wartę. Lan trzymał się tak blisko jej boku, jakby był przyklejony. – Czyżbyś się jeszcze nie połapał, że nie ma takiej potrzeby?

Ten łagodny ton wskazywał, że Elayne najprawdopodobniej już jej zdradziła prawdę o Tylin, co tylko jeszcze bardziej pogorszyło jego samopoczucie. Nie chciał, by ktokolwiek się dowiedział. Cholernie nieprzydatni! A kości mimo to nadal grzechotały we wnętrzu czaszki.

– Może Moghedien lubi tylne wejścia – rzucił sucho. W ciemnym końcu korytarza coś pisnęło i jeden z ludzi towarzyszących Harnanowi głośno sklął szczury..

– Powiedziałeś mu – syknęła ze złością Nynaeve w stronę Lana, chwytając warkocz.

Elayne mruknęła z rozdrażnieniem.

– To nie pora na kłótnie, Nynaeve. Czara jest na górze! Czara Wiatrów! – Nagle tuż przed nią rozbłysła w powietrzu niewielka świetlna kula i Elayne, nie czekając, by sprawdzić, czy Nynaeve idzie z nią, podkasła spódnice i wbiegła na schody. Vanin rzucił się jej śladem z zaskakującą jak na jego tuszę szybkością, a za nim pobiegła z kolei Reanne i większość Mądrych Kobiet. Sumeko, o krągłej twarzy oraz Ieine, wysoka, ciemna i piękna mimo zmarszczek w kącikach oczu, zawahały się, po czym zostały z Nynaeve.

Mat też by poszedł, gdyby Lan z Nynaeve nie zagradzali mu drogi.

– Może mnie przepuścisz, Nynaeve? – zapytał. Zasłużył sobie przynajmniej na to, żeby towarzyszyć Elayne, kiedy ta osławiona, przeklęta Czara zostanie odkryta. – Nynaeve? – Była tak pochłonięta Lanem, że najwyraźniej zapominała o wszystkim innym. Mat wymienił spojrzenia z Beslanem, który uśmiechnął się szeroko i przykucnął obok Corevina i pozostałych Czerwonorękich. Nalesean oparł się o ścianę i ostentacyjnie ziewnął. Co okazało się katastrofalne w skutkach dla

niego ze względu na wszechobecny kurz: ziewnięcie przeobraziło się w atak kaszlu, od którego poczerwieniał na twarzy i zgiał się wpół.

Nawet to nie zwróciło uwagi Nynaeve. Powoli i z wyraźnym ociąganiem oderwała dłoń od warkocza.

– Nie jestem zła, Lan – zapewniła.

– Ależ tak, jesteś – odrzekł spokojnie. – Ale trzeba mu było powiedzieć.

– Nynaeve? – odezwał się Mat. – Lan? – Żadne nawet nie łypnęło okiem w jego stronę.

– Zamierzałam mu wyznać, kiedy już będę gotowa, Lanie Mandragoran! – Zaciśnęła usta, ale jej wargi drgały, jakby mówiła do siebie. – Nie będę się na ciebie złościła -powiedziała w końcu, znacznie łagodniejszym tonem i zabrzmiało to tak, jakby obiecywała to również samej sobie. Bardzo zdecydowanym ruchem odrzuciła warkocz na plecy, poprawiła kapelusz z niebieskimi piórami i zaciśnęła dłonie na pasie.

– Skoro tak mówisz – odparł miękko Lan.

Nynaeve zatrzęsa się.

– Nie mów do mnie takim tonem! – krzyknęła. -Powiadam ci, nie jestem zła! Słyszysz mnie?

– Krew i popioły, Nynaeve – warknął Mat. – On wcale nie uważa, że ty jesteś zła. Ja też nie uważam, że jesteś wściekła. – Kobiety nauczyły go jednej użytecznej rzeczy: jak kłamać z niewzruszoną twarzą. – Czy teraz możemy wejść na górę i wziąć tę przeklętą Czarę Wiatrów?

– Cudowny pomysł – odezwał się kobiecy głos z drzwi prowadzących na ulicę. – Czy wejdziemy tam razem i zrobimy niespodziankę Elayne? – Mat nigdy przedtem nie widział tych dwu kobiet, które weszły do korytarza. Zgadł, że były to Aes Sedai. Twarz mówiącej była pociągła i zimna jak jej głos, oblicze jej towarzyszki okalały dziesiątki cienkich ciemnych warkoczyków ozdobionych kolorowymi paciorkami. Za nimi tłoczyły się blisko dwa tuziny mężczyzn, potężnie zbudowanych, o barczystych ramionach, w rękach trzymali pałki i noże. Mat poprawił uchwyt na *ashandarei* – potrafił wyczuć, kiedy zanosilo się na kłopoty, a zresztą lisia głowa na jego piersi była chłodna, niemalże zimna. Ktoś tu posługiwał się Jedyńą Mocą.

Dwie Mądre Kobiety zadygotały z wyraźnym przestachem na sam widok tych nie tkniętych upływem lat rysów, za to Nynaeve jakby domyśliła się powodu ich obecności. Jej usta poruszyły się bezgłośnie; kiedy te dwie ruszyły w głąb korytarza, twarz wyrażała konsternację i poczucie winy. Mat posłyszał za sobą odgłos wysuwanego miecza z pochwy, ale nie zamierzał się oglądać, by sprawdzić, czyj to miecz. To przecież Lan tam stał, co oznaczało, że przypominał gotowego do skoku lamparta.

– To Czarne Ajah – odezwała się w końcu Nynaeve. Jej głos był z początku omdlały, ale nabierał siły, w miarę jak mówiła. – Falion Bhoda i Ispan Shefar. W Wieży dopuścili się mordu, a potem jeszcze gorszych rzeczy. Są Sprzymierzeńcami Ciemności i... – jej głos na chwilę się załamał – ...właśnie odcięły mnie tarczą od Źródła.

Nowo przybyłe nadal zbliżały się spokojnie.

– Czy kiedykolwiek słyszałaś podobne bzdury, Ispan? – Aes Sedai o pociągłej twarzy zapytała swą towarzyszkę, która przestała oglądać z niesmakiem zalegający wszędzie kurz, by spojrzeć drwiąco na Nynaeve. – Ispan i ja przybywamy z Białej Wieży, podczas gdy Nynaeve i jej przyjaciółki to uczestniczki buntu przeciwko Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Zostaną za to przykładowo ukarane i każdy, kto im pomaga. – Oszołomiony Mat zorientował się, że ta kobieta nie wie wszystkiego, że uważa jego i Lana oraz pozostałych tylko za wynajętych siłaczy. Falion spojrzała na Nynaeve z uśmiechem, w porównaniu z którym lodowiec wydawałby się ciepły. – Jest ktoś, kto aż zatrząsie się z radości na twój widok, Nynaeve. To ktoś, kto żywi przekonanie, że nie żyjesz.



Pozostali lepiej by zrobili, gdyby sobie stąd poszli. Po co mieszać się do spraw Aes Sedai. Moi ludzie odprowadzą was do rzeki. -Nie odrywając oczu od Nynaeve, Falion dała znak mężczyznom stojącym za jej plecami, że mają podejść.

Lan poruszył się. Nie dobył miecza i mimo iż nie miał żadnej szansy przeciwko Aes Sedai, już w następnej chwili rzucił się całym ciałem na te dwie. Jeszcze w locie stęknął głośno, jakby coś uderzyło go z całej siły, ale i tak runął na nie, powalając Czarne siostry na zakurzoną posadzkę. I tym jakby rozwarł wrota słuzy.

Kiedy Strażnik dzwigał się jakoś na czworaki, potrząsając głową w zamroczeniu, jeden z osiłków towarzyszących Czarnym Ajah uniósł w górę pałkę okutą żelazem z zamiarem rozbicia mu czaszki. Mat dźgnął go w brzuch swoją włócznią, a Beslan, Nalesean i pięciu Czerwonorękich pognali na spotkanie wrzaskliwej szarzy Sprzymierzeńców Ciemności. Lan stanął chwiejnie i, wykonawszy szeroki wymach mieczem, rozplątał ciało Sprzymierzeńca Ciemności od krocza po kark. W korytarzu było zbyt mało miejsca, żeby posłużyć się mieczem albo *ashandarei*, ale to właśnie dzięki tej ciasnocie udało im się stawić czoło przewadze w stosunku dwóch na jednego i nie ulec od razu. Zdyszani napastnicy walczyli z nimi twarzą w twarz, wzajemnie kuksając się łokciami, by zdobyć miejsce, dzięki któremu mogliby pchnąć któregoś z nich mieczem albo zdzielić pałką.

Czarne siostry, a także Nynaeve otaczały niewielkie kręgi wolnej przestrzeni, same potrafiły o to zadbać. Żyłasty Andoranin z Legionu niemalże wpadł na Falion, ale w ostatniej chwili coś targnęło nim w powietrze, po czym przefrunął przez korytarz, po drodze obalając dwóch zwalistych Sprzymierzeńców Ciemności, a następnie rozbił się o ścianę i osunął na posadzkę, tyłem głowy smarując krwawą smugę na popękany i zakurzony tynk. Łysy Sprzymierzeniec Ciemności przedarł się przez szereg broniących się i natarł na Nynaeve wyciągniętym nożem; wrzasnął przeraźliwie, kiedy nagle stracił grunt pod nogami, po czym raptownie umilkł, gdy jego głowa zderzyła się z posadzką z taką siłą, że odbiła się od niej niczym piłka.

Nynaeve najwyraźniej nie była już odcięta od Źródła i nawet gdyby chłód srebrnej lisiej głowy, która ślizgała się po piersi walczącego Mata, nie wystarczył jako tego dowód, to krzyczały o tym spojrzenia, jakimi piorunowały się wzajem, nie zwracając uwagi na otaczającą je bitwę. Mądre Kobiety patrzyły na to z panicznym przerażeniem, w dłoniach trzymały zakrzywione noże, jednak stać je było tylko na to, by z otwartymi ustami przywrzeć do ścian, wielkimi oczyma popatrując to na Nynaeve, to na tamte dwie.

– Walczcie – warknęła w ich stronę Nynaeve. Odwróciła głowę o zaledwie ułamek cała, dzięki czemu widziała zarówno je, jak i Falion z Ispan. – Nie dam im rady w pojedynkę, one się połączyły. Zabiją was, jeśli nie zaczniecie walczyć. Wiecie już, kim są! – Mądre Kobiety zagapiły się na nią takim wzrokiem, jakby proponowała, że mają splunąć królowej w twarz. Ispan natomiast wybuchnęła melodyjnym śmiechem, jakże kontrastującym z wszechobecnymi wrzaskami i głuchymi stęknieniami. Nagle, w tej kakofonii dźwięków od strony klatki schodowej doleciało ich echo czyjegoś przeraźliwego krzyku.

Nynaeve błyskawicznie obróciła głowę w tamtą stronę. Po czym, zachwiałwszy się ni stąd, ni zowąd, obróciła ją z powrotem, z grymasem, który zmusiłby Falion i Ispan do natychmiastowej ucieczki, gdyby miały choć trochę rozsądku. Ale potem spojrzała też na Mata zbolalym wzrokiem.

– Na górze ktoś przenosił – powiedziała przez zęby. -Tam dzieje się coś złego.

Mat zawahał się. Bardziej prawdopodobne, że Elayne zobaczyła szczura. Bardziej prawdopodobne... Udało mu się udaremnić cios sztyletem w zębra, ale zabrakło miejsca, by odwzajemnić się tym samym albo użyć *ashandarei* jako pałki. Beslan utorował sobie nożem drogę obok niego i zabił napastnika pchnięciem w samo serce.

– Proszę, Mat – powiedziała Nynaeve ścisniętym głosem. Nigdy nie błagała. Prędzej poderżnęłaby sobie gardło. -Proszę!

Mat cisnął przekleństwo i wyrwawszy się z ognia walki, pomknął na górę po stromych wąskich stopniach, na łeb na szyję pokonując wszystkie sześć kondygnacji w ciemnej klatce schodowej. Nie było tam ani jednego okna, które dawałoby choć odrobinę światła. Jeśli się okaże, że to był tylko szcur, to już on dorwie Elayne i tak nią potrząśnie, że aż jej zęby... Dobiegł do ostatniego piętra, oświetlonego niewiele lepiej niż schody, jako że było tam tylko jedno okno, na samym końcu, od strony ulicy. Wpadł na scenę rodem z koszmaru.

Wszędzie widział ciała leżących bezwładnie kobiet. Była wśród nich Elayne, wsparta plecami o ścianę, miała zamknięte oczy. Vanin słaniał się na kłęczkach, z nosa i uszu płynęła mu krew, omdlałymi ruchami czepiał się ściany, próbując się podźwignąć. Ostatnia kobieta, która jeszcze trzymała się na nogach, Janira, zaczęła biec w stronę Mata, gdy tylko go zobaczyła. Przedtem uważał, że jest podobna do jastrzębia z tym haczykowatym nosem i wystającymi kośćmi policzkowymi, ale teraz jej twarz przepełniał najczystszy strach, ciemne oczy były wytrzeszczone i pozbawione wyrazu.

– Pomóż mi! – wrzasnęła, ale od tyłu złapał ją jakiś mężczyzna. Wyglądał całkiem zwyczajnie, nieco starszy od Mata, tego samego wzrostu, szczupły, odziany w prosty szary kaftan. Uśmiechając się szeroko, ujął głowę Janiry w dłoń i wykręcił ją energicznie. Odgłos pękającego karku zabrzmiał niczym trzask suchej gałązki. Upuściwszy ją, przyjrzał się z góry ciału. Przez chwilę jego uśmiech zdawał się... entuzjastyczny.

Niewielka grupka mężczyzn, tuż za Vaninem, w świetle dwóch latarni wyważała jakieś drzwi, czemu towarzyszył pisk zardzewiałych zawiasów, ale Mat ledwie zwrócił na to uwagę. Oderwał natomiast wzrok od potwornie wykręconego ciała Janiry i przeniósł go na Elayne. Obiecał Randowi, że dopilnuje, by była bezpieczna. Obiecał. Rzucił się na zabójcę z okrzykiem, z *ashandarei* wystawioną do zadania ciosu.

Mat widział już kiedyś Myrddraala w ruchu, ale mężczyzna był szybszy, tak szybki, że aż trudno było dać wiarę. Jakby przefrunął przed jego włóczęgią i, schwyciwszy drzewce, wykonał obrót, przerzucając Mata w głąb korytarza na odległość pięciu kroków.

Zaparło mu dech, kiedy runął na posadzkę, wzbijając niewielki obłok kurzu. *Ashandarei* upadła tuż obok. Lisia głowa wyslizgnęła mu się zza koszuli, kiedy podźwignął się, z trudem łapiąc powietrze. Dobywszy noża z zanadrza kaftana, rzucił się na mężczyznę w tym samym momencie, w którym u szczytu schodów pojawił się Nalesean z mieczem w ręku. Teraz już go dopadną, choćby nie wiadomo jak był szybki...

Myrddraal okazał się jednak niedocenionym przeciwnikiem. Wyminął pchnięcie miecza Naleseana, jakby w ciele nie miał ani jednej kości, jednocześnie wyrzucając prawą rękę i chwytając Naleseana za gardło. A kiedy odjął tę rękę, rozległ się taki odgłos, jakby ktoś rozdzierał coś ociekającego wilgocią. Pod brodą Naleseana wytrysnęła fontanna krwi. Upuszczony miecz odbił się dźwięcznie od zakurzonej kamiennej posadzki, Nalesean złapał się oburącz za zmasakrowaną szyję. Gdy padał, spomiędzy palców wypływały mu już czerwone strumienie.

Mat rzucił się na zabójcę od tyłu i wszyscy trzej jednocześnie runęli na posadzkę. Nie miał żadnych skrupułów przed zadaniem komuś ciosu w plecy, kiedy to było konieczne, zwłaszcza człowiekowi, który potrafił rozdrzeć komuś gardło. Że też nie pozwolił Naleseanowi pozostać w łóżku. Ta smutna refleksja naszała go w tym samym momencie, gdy z całej siły wbijał ostrze, jeden raz, potem drugi i jeszcze trzeci.

Mężczyzna wyrwał się z jego uścisku. Coś takiego nie powinno się zdarzyć, a jednak jakimś sposobem przeturlał się pod nim, wrywając mu z ręki nóż. Mat jednak cały czas miał przed oczyma

wytrzeszczone oczy Naleseana i jego zakrwawione gardło. Jedna z dłoni omsknęła mu się po śliskiej od krwi dłoni napastnika, gdy desperackim ruchem schwycił go za nadgarstki.

Mężczyzna uśmiechnął się do niego. Z boku sterczał mu nóż, a on się uśmiechał!

– On pragnie nie tylko jej śmierci, ale również twojej -powiedział cicho. I jakby Mat w ogóle go nie trzymał, wyciągnął ręce w stronę jego głowy, odpychając ramiona.

Mat napiął się jak oszalały, naparł całym swoim ciężarem na ręce tamtego, ale bez skutku. Światłości, jakby był dzieckiem, które walczy z dorosłym mężczyzną. Napastnik robił sobie z tego niezłą zabawę, nie szczczędając przekłętego czasu. Ręce dotknęły głowy. Gdzie jego przekłete szczęście? Szarpnął się, wkładając w to, jak się zdawało, ostatki sił -i medalion dotknął policzka mężczyzny. Ten wrzasnął przeraźliwie. Od brzegów lisiej głowy uniósł się dym i rozległo się skwierczenie, jakie wydaje bekon na patelni. Targany drgawkami, odepchnął od siebie Mata rękami i nogami jednocześnie. Tym razem Mat przeleciał całe dziesięć kroków, dopóki nie zatrzymał się z poślizgiem.

Kiedy podniósł się chwiejnie, na poły zamroczony, mężczyzna już stał, badał twarz trzęsącymi się rękoma. Medalion pozostawił na niej wypalone do żywego mięsa piętno. Mat ostrożnie pogładził medalion palcami. Był chłodny. Nie tak zimny, jakby ktoś obok przenosił -być może kobiety na dole nadal przenosiły, ale to było za daleko – tylko tak chłodny, jak chłodne jest srebro. Nie miał pojęcia, kim jest ten osobnik, oprócz tego, że na pewno nie jest człowiekiem, ale z tym oparzeniem, trzema ranami i rękojeścią noża nadal mu wystającego pod pachą, musiał przecież stracić dość sił, by dało się przejść obok niego do schodów. Dobrze byłoby pomścić nie tylko Elayne, ale również Naleseana, ale to nie miało nastąpić dziś. A zresztą, czy to był dostateczny powód, by stawiać kogoś innego w sytuacji zmuszającej do pomszczenia Mata Cauthona?

Mężczyzna wyszarpnął nóż sterczący z boku i cisnął nim w Mata. Mat odruchowo schwycił frunące ostrze. Thom nauczył go żonglowania i powiedział mu również, że ma najszybsze ręce, jakie kiedykolwiek widział. Błyskawicznie obrócił nóż, by trzymać go jak należy, czubkiem zadartym pod kątem w górę, spojrzął na połyskujący metal i zamarło mu serce. Ani śladu krwi. Powinien zobaczyć bodaj cienką smużkę, a tymczasem stal lśniła, jasna i czysta. Może nawet trzy kłute rany nie były w stanie spowolnić tego człowieka -kimkolwiek był.

Zarzykował i obejrzał się przez ramię. Grupa rabusiów wysypywała się zza drzwi, które udało im się wyważyć, te same drzwi, do których wczoraj doprowadziły go odciski stóp w kurzu; nieśli całe naręcza śmieci, jakichś małych, na poły przegnitych szkatulek, beczułkę z napęczniałymi klepkami, spomiędzy których wystawały owinięte w szmaty przedmioty, nawet połamane krzesło i popękane lustro. Zapewne dostali rozkaz, by wynieść wszystko. Zupełnie nie zwracając uwagi na Mata, pobiegli w stronę przeciwległego krańca korytarza i zniknęli za rogiem. To tam musiały być inne schody. Może mógłby pójść za nimi w pewnej odległości. Może... Tuż przed drzwiami, zza których wyszli, Vanin jeszcze raz spróbował się podnieść i upadł. Mat zmełł w ustach przekleństwo. Z Vaninem na plecach będzie szedł wolniej, ale jeśli wspomagało go dalej szczęście... Nie uratowało Elayne, ale może... Kątem oka zauważył, że tamta się rusza, unosi rękę w stronę głowy.

Mężczyzna w szarym kaftanie też to zauważył. Odwrócił się z uśmiechem w jej stronę.

Mat westchnął i schował beużyteczny nóż do pochwy.

– Nie dostaniesz jej – powiedział głośno. Przyrzeczenia. Jednym szarpnięciem zerwał rzemyk z szyi, srebrna lisia głowa zatańczyła mu w garści. Rozległ się cichy szum, kiedy puścił ją w wir podwójnej pętli. – Za cholerę jej nie dostaniesz. -Ruszył naprzód, nadal kręcąc medalionem. Pierwszy krok był najtrudniejszy, ale musiał dotrzymać obietnicy.

Uśmiech tamtego zamarł. Czujnie obserwując połyskującą lisią głowę, cofał się na czubkach

palców. Światło, które padało z pojedynczego okna i odbijało się od wirującego srebra, tworzyło wokół niego aureolę. Jeżeli Mat mógł go zagnać tak daleko, to może również sprawdzi, czy upadek z szóstego piętra dokona tego, czego nie mógł dokonać nóż.

Mężczyzna z piętnem wypalonym na twarzy cofał się, czasami wyciągał rękę, jakby usiłował coś schwycić, omijając medalion. I nagle uskoczył w bok, do jednej z izb. Te miały drzwi i napastnik zatrzasnął je za sobą. Mat usłyszał szczęk opadającego rygla.

Może powinien był tak to zostawić, ale nie myśląc wiele, podniósł nogę i walnął piętą w środek drzwi. Chropawe drewno buchnęło kurzem. Drugi kopniak i przegniłe zaczepy rygla ustąpiły, razem z zardzewiałym zawiasem. Drzwi zapadły się do środka, zawisnąwszy przekrzywione.

W izbie nie było całkiem ciemno. Docierała tam odrobina światła od okna na końcu korytarza, a ułamany kawałek lustra wspartego o przeciwległą ścianę lśnił skąpo. Oprócz tego lustra i szczątków krzesła w izbie było pusto. Jedyne prowadzącym do niej otworem były drzwi oraz szczurza dziura obok lustra, mimo to człowiek w szarym kaftanie zniknął.

– Mat! – zawołała słabym głosem Elayne. Pospiesznie wybiegł na korytarz. Z dołu dobiegały okrzyki, ale w tej sytuacji Nynaeve i reszta musieli sami zadbać o siebie.

Elayne podnosiła się, poruszając szczęką i krzywiąc twarz z bólu, kiedy obok niej ukląkł. Suknię miała pokrytą kurzem, kapelusz się przekrzywił, a część piór połamała, rudozłote loki wyglądały tak, jakby ktoś nimi zamiótł podłogę.

– Strasznie mocno mnie uderzył – wyznała zbolalym głosem. – Chyba nie mam nic złamanego, ale... – Jej oczy wpiły się w jego twarz i jeśli kiedykolwiek mu się wydawało, że patrzy na niego takim wzrokiem, jakby był kimś obcym, to tym razem na pewno się nie mylił. – Widziałam, co zrobiłeś, Mat. Z nim. Równie dobrze mogliśmy być kurami zamkniętymi w jednej klatce z łąsacą. Moc się go nie miała, sploty topniały tak, jak to się dzieje przy twoim... -Zerknąwszy na medalion nadal zwisający mu z garści, wstrzymała oddech, przez co widok prezentujący się w tym owalnym dekolcie stał się jeszcze bardziej interesujący. – Dziękuję ci, Mat. Przepraszam za wszystko, co kiedykolwiek zrobiłam albo pomyślałam. – Wygłosiła to takim tonem, jakby tak naprawdę myślała. – Moje *toh* względem ciebie stale rośnie – uśmiechnęła się smutno – ale nie pozwolę, żebyś miał nade mną przewagę. Będiesz musiał pozwolić mi chociaż raz uratować sobie życie, by wyrównać rachunki.

– Zobaczę, co uda mi się w tej sprawie dla ciebie załatwić – odparł sucho, wpychając medalion do kieszeni kaftana. *Toh?* Przewaga nad nią? Światłości! Ta kobieta spędzała zdecydowanie za dużo czasu z Aviendhą.

Kiedy już pomógł jej wstać, omiotła wzrokiem wewnątrz korytarza, Vanina z twarzą zasmarowaną krwią i kobiety leżące tam, gdzie upadły, i skrzywiła się. -Na Światłość! -powiedziała półszepem. – Krew i cholerne, przeklęte popioły! – Mimo sytuacji, wzdrygnął się. Nie żeby się nigdy nie spodziewał, że usłyszy takie słowa z jej ust, ale one brzmiały dziwnie, jakby znała ich brzmienie, ale nie znała znaczenia. Z jakiegoś powodu wydała się młodsza.

Odrąciwszy jego ramię, pozbyła się kapelusza, zwyczajnie ciskając go na posadzkę i pospiesznie uklękła przy najbliższej Mądrej Kobiecie, Reanne, ujmując jej głowę w obie dłonie. Kobieta leżała bezwładnie, twarzą w dół, z wyciągniętymi ramionami, jakby się potknęła podczas biegu. W stronę izby, której wszyscy szukali, w stronę napastnika, nie w przeciwną.

– To mnie przerasta – mruknęła Elayne. – Gdzie Nynaeve? Dlaczego ona nie przysłała tu z tobą, Mat? Nynaeve! – krzyknęła w stronę schodów.

– Po co tak się wydierasz niby jakiś kot – warknęła Nynaeve, pojawiając się u szczytu schodów. Ale oglądała się w dół przez ramię. – Trzymaj ją mocno, słyszysz? – sama wrzasnęła nie

gorszym głosem. W rękę trzymała kapelusz i potrząsała nim w stronę osoby, do której adresowała te krzyki. -Jak jej też pozwolisz uciec, to tak cię wytargam za uszy, że będziesz słyszała dzwony przez cały następny rok!

Odwróciła się i w tym momencie oczyomal nie wyszły jej z orbit.

– Oby nas Światłość opromieniała – wyszeptała i podbiegła do Janiry. Jeden dotyk i wyprostowała się, krzywiąc boleśnie. Mógł ją uprzedzić, że ta kobieta nie żyje. Nynaeve zdawała się traktować zgony jak sprawę osobistą. Otrząsnąwszy się, podeszła do następnej, Tamarli, i tym razem wydawało się, że tu może coś zdziałać Uzdrawianiem. Uklękła przy niej, marszcząc czoło, gdyż okazało się, że obrażenia Tamarli nie są takie zwyczajne. -Co się tu stało, Mat? – spytała surowo, nie oglądając się na niego. Westchnął, słysząc jej ton, powinien był przewidzieć, że winą za wszystko obarczy jego. -No co, Mat? Co się stało? Odezwiesz się, człowieku, czy muszę... – Nigdy się nie dowiedział, do jakiej pogrózki zamierzała się uciec.

Z klatki schodowej wyłonił się Lan, idący śladem Nynaeve, a za nim depcząca mu po piętach Sumeko. Krępa Mądra Kobieta ogarnęła wnętrze korytarza jednym spojrzeniem, zakasała spódnice i podbiegła do Reanne. Spojrzała jeszcze z przejęciem na Elayne i dopiero wtedy padła na kolana, po czym zaczęła w dziwny sposób wodzić dłońmi po ciele Reanne, sprawiając, że Nynaeve skupiła na niej całą uwagę.

– Co ty wyprawiasz? – spytała ostro. Nie przerywając tego, co robiła z Tamarlą, rzucała na Sumeko jedynie krótkie spojrzenia, ale były równie dociekliwe jak jej słowa. – Gdzieś ty się tego nauczyła?

Sumeko wzdrygnęła się, ale jej dłonie nie znieruchomiały.

– Wybacz mi, Aes Sedai – zaczęła się tłumaczyć zadyszczanym, pozbawionym ładu potokiem słów. – Wiem, że mi nie wolno... Ona umrze, jeśli ja nie... Wiem, że miałam zaprzestać dalszych prób... ja tylko chciałam się uczyć, Aes Sedai. Błagam.

– Nie, nie, rób tak dalej – odparła nieobecnie Nynaeve. Większość jej uwagi była teraz skupiona na leżącej kobiecie, ale nie cała. – Zdaje się, że wiesz o kilku rzeczach, których nawet ja... Chcę powiedzieć, że stosujesz bardzo interesujący sposób tkania splotów. Zapewne przekonasz się, że wiele siostr zechce się od ciebie uczyć. -Prawie bezgłośnie dodała: – Może teraz zostawię mnie w spokoju. – Sumeko nie mogła słyszeć tego ostatniego zdania, ale to, co usłyszała, sprawiło, że opuściła podbródek na swą rozłożystą pierś. Ale dłonie się nie zatrzymały.

– Elayne – mówiła dalej Nynaeve – czy zechciałabyś może poszukać Czary? Podejrzewam, że to są te drzwi. -Wskazała właściwe drzwi, stojące otworem jak kilka innych. A Mat zamrugał, kiedy spostrzegł leżące przed nimi dwa maleńkie tobołki, tam gdzie musieli je upuścić rabusie.

– Tak – wymamrotała Elayne. – Tak, na to chyba mnie stać. -Uniosła rękę w stronę Vanina, który nadal klęczał, po czym opuściła ją z westchnieniem i przestąpiła przez próg, natychmiast wznecając chmurę kurzu i zanosząc się kaszlem.

Tłustawa Mądra Kobieta nie była jedyną, która tu przyszła za Nynaeve i Lanem. Z klatki schodowej wyszła ukradkiem Ieine, prowadząca przed sobą za kark taraboniańską Czarną siostrę, której wykręciła rękę na plecach. Ieine z całej siły zaciskała szczęki; jej przerażona twarz zdradzała mieszaninę odczuć: z jednej strony strach, że zostanie ukarana za takie traktowanie Aes Sedai, z drugiej determinację, by wytrwać mimo wszystko. Nynaeve wywierała niekiedy taki wpływ na ludzi. Czarna siostra miała oczy rozszerzone panicznym strachem, słaniała się i bez wątpienia byłaby upadła, gdyby nie uścisk Ieine. Najprawdopodobniej była otoczona tarczą i zapewne wybrałaby dla siebie obdarcie żywcem ze skóry zamiast tego, co miało ją spotkać. Z oczu lały jej się łzy, a kąciki ust obwisły w bezgłośnym szlochu.

Za nimi przyszedł Beslan, który westchnął żałośnie na widok Naleseana i jeszcze smutniej na widok kobiet, a potem zjawili się Harnan i trzech członków Legionu: Fergin, Gorderan i Metwyn. Ci trzej, którzy zostali na zewnątrz budynku. Harnan i dwaj inni mieli krwawe cięcia na kaftanie, ale Nynaeve najprawdopodobniej Uzdrowiła ich na dole, ponieważ nie sprawiali wrażenia rannych. Niemniej wyglądali na przygnębionych.

– Co się tam zdarzyło na tyłach? – spytał cicho Mat.

– A żebym szczeł, jeśli wiem – odparł Harnan. – Po ciemku wpadliśmy na bandę zabijaków. Był tam taki jeden, który poruszał się jak wąż... – Wzruszył ramionami, z roztargnieniem dotykając zakrwawionej dziury w kaftanie. – Któryś z nich ugodził mnie nożem i następną rzeczą, jaką pamiętam, jest Nynaeve Sedai, która pochyła się nade mną oraz widok Mendaira i pozostałych, którzy leżą martwi niczym wczorajsza pieczeń z barana.

Mat pokiwał głową. Poruszający się jak wąż. Z izby też wymknął się jak wąż. Rozejrzał się po korytarzu. Reanne i Tamarla stały już – oczywiście wygładzały sobie suknie -i Vanin, zaglądnący do pokoju, w którym Elayne, wyraźnie rozżłoszczona, bez powodzenia wypróbowywała kolejne nowe przekleństwa. Nie przychodziło jej to łatwo przez ten kaszel. Nynaeve stała, pomagając Sibelli, drobnej jasnowłosej kobiecie, a Sumeko uwijała się przy Fabelle, tej z włosami barwy jasnego miodu i wielkimi piwnymi oczami. Ale już nigdy nie miał podziwiać łona Melore; Reanne uklękła, by rozprostować jej członki i zamknąć powieki, gdy tymczasem Tamarla oddała taką samą posługę Janirze. Dwie Mądre Kobiety nie żyły, a także sześciu jego Czerwonoręczkich. Zabici przez... człowieka... którego Jedyna Moc się nie miała.

– Znalazłam! – zawołała podnieconym głosem Elayne. Wyszła na korytarz z obszernym okrągłym tobołkiem ze zbutwiałej tkaniny, nie pozwalając go sobie odebrać Vaninowi. Od stóp do głów była aż popielata, jakby się położyła na podłodze i wytarzała w kurzu. – Mamy Czarę Wiatrów, Nynaeve!

– W takim razie – obwieścił Mat – wynośmy się stąd. Natychmiast. – Nikt nie dyskutował. Och, Nynaeve i Elayne uparły się, żeby mężczyźni zrobili worki ze swoich kieszeni na rzeczy, które one wygrzebały w tamtej izbie, objuczyły nawet Mądre Kobiety oraz siebie, a Reanne musiała zejść na dół i zwerbować jakichś ludzi, którzy mieli zanieść martwe ciała na pomost. Nikt jednak się nie sprzeciwił tym rozkazom. Mat wątpił, czy w Rahadzie kiedykolwiek widziano dziwniejszą procesję zdążającą w stronę rzeki. Względnie taką, która by zdążyła szybciej od nich.

# ROZDZIAŁ 20

## OBIETNICE, KTÓRYCH NIE MOŻNA ZŁAMAĆ

— Wynosimy się stąd w cholerę. Natychmiast! -powtórzył jakiś czas później Mat i sprzeczka ponownie wybuchła. Kłócili się już prawie od pół godziny. Słońce dawno już minęło szczyt swej wędrówki przez nieboskłon. Pasaty nieco łagodziły upał, sztywne żółte zasłony zawieszane na wysokich oknach wybrzuszały się i łopotały w podmuchach wiatru. Minęły trzy godziny od powrotu do Pałacu Tarasin, a on nadal czuł kości toczące się w głowie. Miał wielką ochotę coś kopnąć. Albo kogoś. Szarpnął chustę zawiązaną pod brodą; nie potrafił pozbyć się wrażenia, że ten sznur, który zostawił bliźnię ukrytą pod chustą, znowu oplata jego szyję i zaciska się powoli. — Na miłość Światłości, czy wy wszystkie jesteście ślepe? Czy tylko głuche?

Pokój, którego użyczyla im Tylin, był duży, miał zielone ściany i wysoki niebieski sufit, i mimo iż za całe umeblowanie służyły jedynie pozłacane krzesła i małe stoliczki inkrustowane macicą perłową, to jednak sprawiał wrażenie zatłoczonego. Sama Tylin siedziała przed jednym z trzech marmurowych kominków, z nogą założoną na nogę, i z nieznacznym uśmiechem obserwowała Mata swymi ciemnymi orlimi oczyma, leniwie rozkopując warstwy błękitno-żółtych halek i bawiąc się wysadzaną klejnotami rękojeścią zakrzywionego noża. Podejrzewał, że Elayne albo Nynaeve rozmówiły się z nią. Obie zresztą tu siedziały po obu stronach królowej. Jakimś cudem udało im się nie tylko przebrać w czyste suknie, ale nawet wziąć kąpiel, mimo iż po powrocie do pałacu zniknęły mu z oczu zaledwie na kilka minut. Niemalże dorównywały Tylin królewską godnością, nadawaną im przez jaskrawe jedwabie, nie bardzo jednak był pewien, na kim właściwie chciały wywrzeć wrażenie tymi wszystkimi koronkami i skomplikowanymi haftami. Tak się wystroili, jakby czekał je bal na jakimś królewskim dworze, a nie podróż. On sam wciąż jeszcze był brudny, odziany w rozpięty zielony kaftan powalany kurzem, a srebrna lisia głowa uwięzła w rozchełstanej niechlujnie koszuli. Rzemyk skrócił się, kiedy zrobił na nim węzeł, ale Mat dbał, by medalion dotykał jego skóry. Ostatecznie znajdował się w obecności kobiet, które potrafiły przenosić.

Miał wrażenie, że gdyby w komnacie znajdowały się jedynie te trzy kobiety, już wydawałaby się pełna. Sama obecność Tylin by wystarczyła, przynajmniej gdy o niego chodzi. Jeśli Nynaeve czy Elayne rzeczywiście się z nią rozmówiły, to naprawdę świetnie się składa, że już wyjeżdżał. Mogły wszystko załatwić między sobą, jednak...

— To nedorzeczność — stwierdziła Merilille. — W życiu nie słyszałam o żadnym Podmiocie Cienia zwanym *gholam*. A wy? — Pytanie zostało skierowane równocześnie do Adelas, Vandene, Sareithy i Careane. Usadowione naprzeciwko Tylin, patrzące z chłodnym spokojem Aes Sedai, bez trudu potrafiły sprawić wrażenie, że ich krzesła o wysokich oparciach stanowią prawdziwe trony królowych. Nie potrafił pojąć, dlaczego Nynaeve i Elayne siedzą jak dwie kłody, równie chłodne i spokojne, ale całkiem milczące. One najwidoczniej jednak wiedziały; mało tego, Merilille wraz z resztą towarzyszek z jakiegoś nie wyjaśnionego powodu odnosiły się do nich nadzwyczaj pokornie. Mat Cauthon natomiast był dla nich gburem o włochatych uszach, któremu koniecznie należało dokopać, i one wszystkie, poczynając od Merilille, najwyraźniej gotowe były podjąć się tego zadania.

— Ja go widziałem! — zachnął się. — Elayne go widziała, widziały go Reanne i inne Mądre Kobiety. Zapytajcie, którą chcecie!

Reanne i pięć pozostałych przy życiu Mądrych Kobiet stały w zbitej gromadce pod tylną ścianą

komnaty, podobne do stadka zalęknionych kur, przestraszone, że naprawdę będą je wypytywać. No, niemal wszystkie, wyjąwszy Sumeko -krągła kobieta, z kciukami wetkniętymi za długi czerwony pas, stale popatrywała spod zmarszczonych brwi na Aes Sedai, kręciła głową, marszczyła brwi, znowu kręciła głową. Podczas powrotnego rejsu Nynaeve długo z nią o czymś rozmawiała w zaciszu kabiny. Mat był prawie pewien, że miało to coś wspólnego z rewelacjami, jakie w związku z tą kobietą Nynaeve odkryła w Rahad. Od czasu do czasu wpadła mu do ucha wzmianka o Aes Sedai, co bynajmniej wcale nie znaczyło, że próbował podsłuchiwać. Pozostałe kobiety natomiast wyraźnie się zastanawiały, czy przypadkiem nie powinny zaproponować, że zajmą się podawaniem herbaty. Kiedy zaoferowano im krzesła, chyba jedynie Sumeko rozważała, czy ma ochotę skorzystać z propozycji. Sibella, na przykład, zaczęła gwałtownie gestykulować kościstymi ramionami i omal nie zemdląła.

– Nikt nie przeczy słowu Elayne Aes Sedai, panie Cauthon – oznajmiła Renaile din Calon Niebieska Gwiazda niskim, ale chłodnym głosem. Nawet gdyby ta pełna godności kobieta w jedwabiach, których barwy znakomicie harmonizowały z czerwono-żółtymi płytkami posadzki, nie została mu wcześniej przedstawiona z nazwiska, dawne wspomnienia zmieszane z jego własnymi pozwoliłyby mu i tak zidentyfikować ją jako Poszukiwaczkę Wiatrów, służącą samej Mistrzynie Statków. Rozpoznał ją po dziesięciu grubych złotych kołach w uszach, połączonych złotym łańcuszkiem i częściowo ukrytych pod wąskimi pasemkami siwizny w prostych czarnych włosach. Wisioriki nanizane na cieńszym łańcuszku, który biegł do kółka w nosie, poinformowały go, między innymi, z jakiego klanu pochodziła. Podobnie zresztą jak tatuaże na szczupłych smągłych dłoniach. – Zastanawiamy się natomiast, czym to może grozić – kontynuowała. – Nie lubimy opuszczać wód bez uzasadnionego powodu.

Za jej krzesłem stało blisko dwadzieścia kobiet z Ludu Morza, przyozdobionych przeważnie w orgie kolorowych jedwabi, kolczyków i wisiorów na łańcuszkach. Przede wszystkim rzuciła mu się w oczy ich osobliwa postawa wobec Aes Sedai. Okazywały im szacunek, który przynajmniej pozornie zdawał się całkowicie bez zarzutu, jednakże nigdy dotąd nie widział, by ktoś potrafił patrzeć na Aes Sedai wzrokiem do tego stopnia pełnym samozadowolenia. Dalsze osobliwości ich zachowania był w stanie wyłapać tylko dzięki tamtym starożytnym wspomnieniom, nie dowiedział się wprawdzie z nich zbyt wiele na temat Atha'an Miere, ale i to wystarczyło. Każdy z Ludu Morza, czy to kobieta czy mężczyzna, zaczynał jako najniższy rangą majtek, nieważne, czy pisane mu było zostać kiedyś Mistrzem Ostrzy czy też samą Mistrzynią Statków, z każdym pośrednim szczeblem kariery zaś związane było tak wielkie poczucie godności, że doprawdy długo by szukać podobnie intensywnej emocji u byle króla czy Aes Sedai. Kobiety zgromadzone za plecami Renaile pod każdym względem stanowiły dosyć dziwną mieszaninę rang i szarż -Poszukiwaczki Wiatru służące pod Mistrzyniami Fal stały ramię w ramię z Poszukiwaczkami Wiatru z sojrerów – potrafił to wywnioskować z rodzaju ozdób, jakie nosiły – dwie spośród nich wszakże były ubrane w jaskrawe bluzy z przasanej wełny i ciemne, usmarowane olejem spodnie majtków, nadto miały tylko po jednym kółku w lewym uchu. Drugi i trzeci kolczyk w prawym uchu wskazywał, że szkolono je na Poszukiwaczki Wiatrów, jednak musiały jeszcze dosłużyć się dwóch kolejnych, nie mówiąc już o kółku w nosie, zanim mistrz pokładu wezwałby taką, by wciągnęła żagiel na maszt i dał jej przy tym klapsa w siedzenie za to, że nie porusza się dostatecznie prędko. Zgodnie z wszelkimi jego wspomnieniami te dwie nie pasowały do składu zgromadzenia – w normalnych okolicznościach Poszukiwaczka Wiatrów pod Mistrzynią Statków nawet nie odezwałaby się do żadnej.

– To się zgadza z tym, co powiedziałam, Renaile – odrzekła Merilille tonem zarazem oschłym, jak i protekcyjnym. Z pewnością nie umknęły jej te zadowolone spojrzenia. Pobrmiewające w jej głosie nuty nie zniknęły, kiedy zwróciła się do Mata: – Proszę się nie denerwować, panie Cauthon. Z



chęcią wysłuchamy głosu rozsądku. O ile takowym dysponujesz.

Mat wszelkimi siłami próbował zachować spokój; miał nadzieję, że znajdzie ich dosyć. Chyba że naprawdę doprowadzą go do ostateczności.

– *Gholam* zostały stworzone podczas Wojny o Moc, w Wieku Legend-zaczął wyjaśniać mniej więcej od początku opowieści, którą przekazała mu Birgitte. Odwrócił się, tak by stać twarzą do wszystkich kobiet, niezależnie od ich przynależności. A żeby sześć, jeśli dopuści, by któraś z nich doszła do wniosku, że uważa jej zgrupowanie za ważniejsze od innych. Albo żeby uznały, iż przyjmuje postawę proszącą. Zwłaszcza że rzeczywiście tak było. – Skonstruowano je do zabijania Aes Sedai. Wyłącznie w tym celu. Żeby zabijały ludzi, którzy potrafili przenosić. Jedyna Moc wam nie pomoże, Jedyna Moc nie ma się *gholam*. Co więcej, potrafią wyczuć zdolność przenoszenia, jeżeli znajdują się w odległości, powiedzmy, pięćdziesięciu kroków od was. Potrafią też zwietrzyć wypełniającą was Moc. Nie rozpoznasz *gholam*, dopóki nie będzie za późno, ponieważ niczym się nie różnią od zwykłych ludzi. Zewnętrznie. Wewnętrznie zaś... *Gholam* nie mają kości, potrafią się precyzyjnie przesuwać przez szparę pod drzwiami. I są tak silne, że jedną ręką mogą wyrwać drzwi z zawiasów. – Albo rozerwać komuś gardło. Światłości, że też nie pozwolił Naleseanowi zostać w łóżku.

Próbując powstrzymać przeszywający go dreszcz, mówił dalej. Wszystkie kobiety patrzyły nań szeroko rozwartymi oczami. Nie dopuści, by zauważyły, że drży.

– Stworzono zaledwie sześć *gholam*, trzy kobiety i trzech mężczyzn: w każdym razie istoty przypominające z wyglądu kobiety i mężczyzn. Najwyraźniej nawet Przekłęci czuli się nieswojo w ich obecności. A może po prostu doszli do wniosku, że sześć wystarczy. Tak czy siak, wiemy, że jeden przebywa w Ebou Dar, prawdopodobnie od Pęknięcia przechowywano go w jakiejś kapsule statycznej, utrzymując przy życiu. Nie wiemy, czy pozostałe również w niej przechowywano, ale jeden to i tak aż nadto. Ten, kto go nasłał... z pewnością któryś Przekłęty... wiedział, że uda się po naszych śladach na drugą stronę rzeki. Bez wątplenia kazano mu zdobyć Czarę Wiatrów, a także, sądząc z tego, co powiedział, zabić Nynaeve albo Elayne, względnie obie. – Obrzucił je przelotnym spojrzeniem, w którym była uspokajająca pewność i współczucie, nikt przecież nie mógł czuć się swobodnie, wiedząc, że ściga go takie monstrum. W zamian doczekał się pytającego grymasu od Elayne, która lekko zmarszczyła czoło; Nynaeve zaś niecierpliwie machnęła ręką, dając mu do zrozumienia, że ma już kończyć swoje wywody.

– Kontynuując – powiedział dobitnie, gromiąc je wzrokiem. Bardzo trudno było nie wzdychać głośno, kiedy miało się do czynienia z kobietami. – Ten, kto przysłał *gholam*, wie na pewno, że Czara jest teraz tutaj, w Pałacu Tarasin. Jeżeli on albo ona przysła tu *gholam*, niektóre z was na pewno zginą. Być może nawet wiele. Nie mogę chronić wszystkich równocześnie. Przy okazji zapewne stracie również Czarę. I dochodzi jeszcze sprawa Falion Bhody. Niewielkie są szanse, że była sama, i nawet jeśli Ispan została schwytana, to musimy mieć na uwadze również inne Czarne Ajah. Mówię to na wypadek, gdyby Przekłętych i *gholam* nie było wam dość. -Na wzmiankę o Czarnych Ajah zarówno Reanne, jak i Mądre Kobiety wyprostowały się z jeszcze większym oburzeniem niż Merilille i jej przyjaciółki, choć same Aes Sedai, sztywno zbierające spódnice, wyglądały na gotowe natychmiast wyjść z sali. Musiał odwoływać się do takich emocji, nic więcej przecież nie mógł zrobić. – Do rzeczy. Czy rozumiecie teraz, dlaczego wszystkie musicie wyjechać z pałacu i zabrać Czarę do jakiegoś miejsca, o którym *gholam* nie wie? Do miejsca, o którym nie wiedzą Czarne Ajah? Czy pojmujecie, jak ważne jest, by zabrać się do tego natychmiast?

Prychnięcie Renaile mogłoby wystraszyć gęsi w sąsiednim pokoju.

– Powtarzasz się wciąż, panie Cauthon. Merilille Sedai powiada, że w życiu nie słyszała o żadnych *gholam*. Elayne Sedai twierdzi, że był tam jakiś dziwny człowiek, jakaś istota, ale niewiele

więcej pamięta. I cóż to takiego ta... kapsuła statyczna? Nie raczyłeś nam wyjaśnić. Poza tym, skąd ty to wszystko niby wiesz? Dlaczego mamy oddalać się od wody, polegając na słowie mężczyzny, który opowiada nam jakieś wydumane bajki?

Mat spojrział na Nynaeve i Elayne, z niewielką jednakże nadzieją. Gdyby tylko zechciały otworzyć usta, cała sprawa skończyłaby się już dawno, one jednak tylko beznamiętnie odwzajemniły jego spojrzenie; ich twarze skrzeły w pozbawione wyrazu maski Aes Sedai. Nie pojmował, dlaczego milczą. Podały jedynie suche fakty odnośnie do zdarzeń w Rahad, a Mat gotów był się założyć, że nie wspomniałyby o Czarnych Ajah, gdyby istniał jakiś inny sposób wyjaśnienia tego, że zjawily się w pałacu ze związaną i odciętą od Źródła Aes Sedai. Ispan przetrzymywano w innej części pałacu, o jej obecności wiedzieli tylko nieliczni. Nynaeve wlała jej siłą do gardła jakiś odwar, mieszankę paskudnie śmierdzących ziół, które sprawiły, że kobieta najpierw dziko wybałuszyła oczy w trakcie ich przełykania, a wkrótce potem bezmyślnie chichotała, co krok się potykając. Sąsiedni pokój zajmowały pozostałe członkinie Kółka Dziewiarskiego – miały jej strzec. Strażniczkami zostały z przymusu, ale za to bardzo przykładały się do przydzielonego im zadania – Nynaeve dała im jasno do zrozumienia, że jeśli pozwolą Ispan uciec, to lepiej niech od razu same też zmykają, nim wpadną w jej ręce.

Bardzo się pilnował, żeby nie patrzeć na Birgitte, stojącą obok drzwi w towarzystwie Aviendhy. Aviendha miała na sobie suknię Ebou Dari, nie proste wełny, w których wróciła do pałacu, tylko kobiecy strój do konnej jazdy ze srebrnoszarego jedwabiu, całkowicie nie pasujący do rogowej rękodzielnicy noża zatkniętego za pasem. Birgitte dla odmiany prędko zrzuciła swoją suknię, zastępując ją charakterystycznym krótkim kaftanikiem granatowej barwy i obszernymi, ciemnozielonymi spodniami. Przypasała też kołczan do biodra. Ona stanowiła źródło całej jego wiedzy o *gholam*, a także kapsułach statycznych – pominałszy oczywiście doświadczenia z Rahad. Ale nigdy nie zdradziłby tego, choćby go przypiekano na rożnie.

– Czytałem kiedyś książkę, która opowiadała o... – zaczął, ale Renaile przerwała mu.

– Książkę – powiedziała szyderczym tonem. -Soli nie zastąpi żadna książka, zwłaszcza taka, o której nie mają pojęcia nawet Aes Sedai.

Nagle uderzyło go, że jest jedynym mężczyzną obecnym w komnacie. Lan wyszedł na rozkaz Nynaeve, równie posłusznie jak Beslan odesłany przez swą matkę. Thom i Juilin pakowali się do wyjazdu. Prawdopodobnie już skończyli. O ile ich wysiłek nie pójdzie na marne, wszak zapowiadało się, że nigdy stąd nie wyjadą. Był jedynym mężczyzną, otoczonym murem kobiet, które zapewne każą mu walić głową w ten mur, aż mu się całkiem pomiesza w mózgu. To nie miało sensu. Żadnego. One zaś patrzyły na niego wyczekująco.

Nynaeve, w błękitach z żółtymi cięciami ozdobionymi koronką, przerzuciła sobie warkocz przez ramię, aż zawisł między jej piersiami, ale ten ciężki złoty pierścień – dowiedział się niedawno, że to pierścień Lana – poprawiła pieczołowicie, tak by wszyscy mogli go widzieć. Twarz miała nadzwyczaj spokojną, dłonie zaś spoczywały na podołku, tylko jej palce nieznacznie drżały. Elayne – w zielonych jedwabkach Ebou Dari, które podkreślały bardzo skąpą suknię Nynaeve, której nie ratowała nawet ciemnoszara, koronkowa kryza na szyi – spojrzała na niego oczyma podobnymi do dwóch kałuż ciemnoniebieskiej wody. Ona też splotła dłonie na podołku, ale co jakiś czas zaczynała wodzić palcem po złotym hafcie, który zdobił jej spódnice, po czym natychmiast przestawała. Czemu nic nie mówią? Czyżby próbowały odegrać się na nim? A może miał to być prztyczek z serii: “Mat tak bardzo chce przewodzić, to w takim razie zobaczymy, jak sobie da radę bez nas?” Byłby nawet uwierzył, gdyby chodziło tylko o Nynaeve, zwłaszcza w takiej sytuacji, nie przypuszczał jednak, by Elayne tak myślała. Więc dlaczego?

Choć Reanne i Mądre Kobiety nie kulily się pod jego wzrokiem, tak jak to czynily, gdy spoglądały na nie Aes Sedai, zaczęły go jednak traktować inaczej. Tamarla obdarzyła go pełnym szacunku skinieniem głowy. Fabelle o włosach barwy miodu posunęła się nawet krok dalej: uśmiechnęła się przyjaźnie. Reanne, o dziwo, dostała białych plam na policzkach – tak wyglądał rumieniec w jej wydaniu. Ale, niestety, Mądre Kobiety nie stanowiły liczącej się opozycji. Te sześć kobiet nie zamieniło ze sobą nawet tuzina niepotrzebnych słów, odkąd weszły do tego pomieszczenia. Każda zaczęłaby skakać, gdyby Nynaeve albo Elayne tylko pstryknęły palcami, i tak długo by skakały, dopóki nie kazano by im przestać.

Może więc zwrócić się do pozostałych Aes Sedai? Miały nieskończenie spokojne, nieskończenie cierpliwe twarze. Tyle że... w pewnym momencie wzrok Merilille przemknął obok niego, w stronę Nynaeve i Elayne. Sareitha zaczęła na jego oczach powoli wygładzać spódnice, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z tego, co robi. Wewnątrz jego głowy wykwitło mroczne przecucie. Dłonie poruszające się na spódnicach. Rumieniec na twarzy Reanne. Przygotowany kołczan Birgitte. Mętne przecucie. Nie wiedział nawet, czego dotyczy, pojął jednak, że zabrał się za wszystko w zupełnie niewłaściwy sposób. Spojrzał surowo na Nynaeve i jeszcze bardziej upominająco na Elayne. Nic jednak nie było w stanie ożywić ich zastygłych twarzy.

Powoli ruszył w stronę kobiet Ludu Morza. I choć zupełnie zwyczajnie sobie szedł, ze zdumieniem usłyszał, jak któraś przy Merilille prycha i jak Sareitha mruczy: “Co za bezczelność!” Więc to tak! Już on im pokaże, co znaczy bezczelność. Jeżeli Nynaeve i Elayne będą oburzone, ich sprawa, powinny mu być powierzać swoje tajemnice. Światłości, jak on nie znosił, gdy go wykorzystywano. Zwłaszcza wówczas, gdy nie miał pojęcia, ani w jaki sposób to robią, ani dlaczego.

Zatrzymał się przed krzesłem Renaile, przyjrzał najpierw smagłym twarzom stojących za nią kobiet Atha’an Miere i dopiero potem spojrział na tę kobietę. Zmarszczyła brwi, kładąc dłoń na wysadzaną klejnotami rękojeści noża wetkniętego za szarfę, którą obwiązała się w pasie. Była kobietą bardziej przystojną niż piękną, gdzieś w średnim wieku i w innych okolicznościach z przyjemnością patrzyłby jej w oczy. Przypominały dwa wielkie ciemne stawy, w które mężczyzna mógłby wpatrywać się cały wieczór. Ale w innych okolicznościach. Kobiety Ludu Morza z jakiegoś powodu jawiły się mu jako mucha w garncu śmietanki, a on nie miał najmniejszego pojęcia, jak ją wyłowić. Udało mu się zapanować nad irytacją. Ledwie. Co on ma, do cholery, robić?

– Jak rozumiem, wszystkie potraficie przenosić – powiedział cicho – ale ja właściwie mam to gdzieś. – Trzeba od samego początku postawić sprawę jasno. – Spytajcie Adelas albo Vandene, jeśli chcecie wiedzieć, ile mnie obchodzi, czy kobieta potrafi przenosić.

Renaile spojrzała na siedzącą za nim Tylin, ale nie do niej skierowała swoje słowa.

– Nynaeve Sedai – rzekła sucho. – O ile się nie mylę, w treści waszego targu nie ma zawartej klauzuli, że będę musiała wysłuchiwać tego młodego zbieracza pakuł. Ja...

– Wasze przekłete targi nic mnie nie obchodzą, ty córo piachów – odciął się Mat. Więc jednak nie panował do końca nad swoją irytacją. Są jakieś granice tego, ile mężczyzna jest w stanie znieść.

Stojące za nią kobiety głośno wciągnęły powietrze. Jakies tysiąc lat wcześniej kobieta z Ludu Morza nazwała pewnego esseńskiego żołnierza synem piachu, po czym wbiła mu nóż pod żebra; to właśnie wspomnienie naszło go w tej chwili. Nie była to może najgorsza obelga, jaką znali Atha’an Miere, niemniej była nad wyraz obraźliwa. Twarz Renaile nabiegła krwią, sycząc, z oczyma wybałuszonymi z wściekłości, poderwała się na równe nogi, a w jej garści błysnęły nabijany księżycowymi kamieniami sztylet.

Mat wyrwał jej go z ręki, zanim zdążyła zadać cios w pierś, i wbił w poręcz jej krzesła.

Naprawdę miał szybkie ręce. Ale potrafił też utrzymać swój temperament na wodzy. Nieważne, ile kobiet uważa, że mogą się nim bawić jak lalką, mógł...

– Posłuchaj mnie, ty osadzie z dna żęzy. -Niech będzie, może jednak wcale nie potrafił utrzymać go na wodzy. -Nynaeve i Elayne cię potrzebują, więc albo otrzymają twoją pomoc, albo oddam cię *gholam*, żeby połamał ci kości, a potem Czarnym Ajah, żeby pozbierały, co zostanie. Cóż, jeśli o ciebie chodzi, to powiem tyle: jestem Mistrzem Ostrzy i obnażyłem właśnie swe ostrza. – Nie miał pojęcia, co to dokładnie oznacza, bo słyszał to tylko raz w życiu: “Kiedy ostrza są obnażone, nawet Mistrzynie Statków kłania się przed Mistrzem Ostrzy”. – Taka jest treść targu między tobą a mną. Pójdiesz tam, gdzie zechcą Nynaeve i Elayne, a ja w zamian nie uwięzę cię do koni i nie zawlokę siłą!

Na tym należało poprzestać, przynajmniej wobec Poszukiwaczki Wiatrów służącej pod Mistrznią Statków. Renaile zadygotała z wysiłku, by nie rzucić się na niego z gołymi rękoma, nie dbając już, że to on trzymał jej sztylet.

– Zostało uzgodnione, pod Światłością! – warknęła. Oczy omal nie wyszły jej z orbit. Poruszyła ustami, na twarzy zmagaly się konfuzja i niedowierzanie. Tym razem zdławione westchnienia zabrzmiały, jakby wiatr zrywał zasłony z okien.

– Zostało uzgodnione – powtórzył szybko Mat i, dotknawszy najpierw palcami swoich warg, przycisnął je do jej warg.

Po chwili Renaile zrobiła to samo drżącymi palcami. Wyciągnął sztylet w jej stronę, a ona przez dobrą chwilę patrzyła na niego tępym wzrokiem i dopiero wtedy odebrała. Ostrze powędrowało z powrotem do wysadzanej klejnotami pochwy. Nie uchodziło zabijać kogoś, z kim dobiło się targu. A w każdym razie nie wcześniej, niż zostaną wypełnione jego postanowienia. Kobiety za jej krzesłem zaczęły coś pomrukiwać, podnosić się, wtedy Renaile poruszyła się, by raz klasnąć w dłonie. Poszukiwaczki Wiatrów zamknęły usta tak prędko, jakby były majtkami oddanymi do terminu.

– Właśnie dobiłam targu z *ta'veren*, jak sądzę – powiedziała bezbarwnym, lecz głębokim mocnym głosem. Ta kobieta mogła nauczać Aes Sedai, w jaki sposób szybko się opanować. – Ale któregoś dnia, panie Cauthon, jeżeli to miłe Światłości, przespacerujesz się po linie.

Nie wiedział, co to może znaczyć, oprócz tego, że zabrzmiało nad wyraz nieprzyjemnie. Wykonał swój najlepszy ukłon.

– Wszystko jest możliwe, jeśli to miłe Światłości – wymamrotał. Ostatecznie, grzeczność odplacona. Ale jej uśmiech był niepokojąco pełen nadziei.

Kiedy odwrócił się z powrotem do reszty zgromadzonych w pomieszczeniu kobiet, ze spojrzeń, jakimi go obrzuciły, można by wywnioskować, że oto wyrosły mu rogi i skrzydła.

– Czy na tym dosyć sprzeczek? – spytał kwaśno i nie czekał nawet na odpowiedź. – Tak też myślałem. Sugeruję więc, abyście wybrały sobie jakieś miejsce, byle daleko stąd, i gdy tylko spakujecie manatki, możemy ruszać w drogę.

Dla zachowania pozorów próbowały jeszcze się spierać. Elayne, tonem na poły tylko poważnym, wspomniała Caemlyn, a Careane zaproponowała kilka odosobnionych wiosek wśród Czarnych Wzgórz, dokąd dałoby się bez trudu dotrzeć przez bramę Światłości, przez bramę było łatwo dotrzeć wszędzie. Vandene mówiła o Arafel, Aviendha zaś napomknęła o Rhuidean, na Pustkowiu Aiel, kobiety z Ludu Morza zaś coraz bardziej pochmurniały, w miarę jak wymieniano miejsca położone dalej i dalej od morza. Wszystko na pokaz. W każdym razie Mat nabrał takiego przekonania, obserwując, jak Nynaeve niecierpliwie bawi się warkoczem, mimo że propozycje wysuwano z zapałem i bardzo ochoczo.

– Jeśli wolno mi coś powiedzieć, Aes Sedai? – odezwała się na koniec lęklwym głosem

Reanne. Podniosła nawet rękę w górę. – Rodzina prowadzi farmę po drugiej stronie rzeki, kilka mil na północ. Wszyscy wiedzą, że to samotnia kobiet, które oddają się kontemplacji wymagającej spokoju, ale nikt nie kojarzy tego miejsca z nami. Budynki są stare i dostatecznie wygodne, gdyby trzeba tam było zatrzymać się na dłużej, a...

– Tak – przerwała jej Nynaeve. – Tak, sądzę, że to miejsce w sam raz dla nas. A co ty na to, Elayne?

– Myślę, że to brzmi wspaniale, Nynaeve. Wiem, że Renaile będzie wdzięczna, mogąc pozostać blisko morza. – Pozostałe pięć siostr niemal ją zagłuszyło, chóralnie zapewniając, że ta propozycja brzmi zdecydowanie lepiej niż wszystkie pozostałe.

Mat wznosił oczy ku niebu. Tylin stanowiła uosobienie kobiety, która nie ma pojęcia o tym, co spoczywa tuż pod jej nosem, za to Renaile połknęła to wszystko niczym pstrąg muchę. Czyli zrobiła dokładnie to, o co chodziło. Z jakiegoś powodu miała się nie dowiedzieć, że Nynaeve i Elayne zaaranżowały wszystko z góry. Wyprowadziła pozostałe kobiety z Ludu Morza z komnaty, by pozbierały dobytek, nim Nynaeve i Elayne zmienią zdanie.

Te ostatnie najwyraźniej miały zamiar wyjść razem z Merilille i pozostałymi Aes Sedai, ale skinął na nie palcem. Wymieniły spojrzenia – musiałby gadać całą godzinę, żeby opowiedzieć, co te spojrzenia wyrażały – po czym, ku jego zdumieniu, podeszły do niego. Aviendha i Birgitte obserwowały go spod drzwi, Tylin ze swojego fotela.

– Bardzo mi przykro, że cię wykorzystaliśmy – powiedziała Elayne, zanim zdążył wydobyć z siebie słowo. I uśmiechnęła się, ukazując dołki w policzkach. – Naprawdę miałyśmy powody, Mat, musisz uwierzyć.

– Powody, których nie musisz znać – wtrąciła stanowczo Nynaeve, odrzucając warkocz na plecy tym aż nadto dobrze wyćwiczonym ruchem i sprawiając, że pierścień między piersiami podskoczył. Lan chyba naprawdę zwariował. – Muszę powiedzieć, iż nigdy się nie spodziewałam, że to zrobisz. Co takiego sprawiło, że próbowałeś je okpić? Mogłeś wszystko zniszczyć.

– Jakie byłoby życie, gdyby człowiek od czasu do czasu nie kusił losu? – odparł wesoło. Tym lepiej dla niego, jeśli uznały, że wszystko zostało z góry ukartowane, a nie stanowiło wyłącznie przypadkowego wybuchu temperamentu. Ale znowu go wykorzystaly, nic mu zawczasu nie mówiąc, teraz chciał więc coś za to uzyskać. – Następnym razem, gdy będziecie musiały dobić targu z Ludem Morza, pozwólcie, że ja to za was zrobię. Może dzięki temu nie pójdzie tak źle jak ostatnio. – Widok czerwonych plam na twarzy Nynaeve jednoznacznie upewnił go, że trafił w samo sedno. Nieźle, jak na strzał z zamkniętymi oczami.

Elayne tylko mruknęła:

– Szalenie spostrzegawczy poddany. – W jej głosie zabrzmiała nutka gorzkiego rozbawienia. Zdobyć jej łask nie do końca oznaczało korzystną dla wybrańca sytuację.

Podeszły do drzwi, nie pozwalając mu już nic dodać. Cóż, tak naprawdę nie spodziewał się, że cokolwiek mu wyjaśnią. Obie do szpiku kości były już Aes Sedai. Człowiek musiał się nauczyć dawać sobie radę z tym, co los mu podsuwał.

Problem Tylin zupełnie wypadł mu z głowy, ona jednak bynajmniej nie zapomniała. Złapała go, nim zdążył zrobić dwa kroki. Nynaeve i Elayne zatrzymały się przy drzwiach i obserwowały go wspólnie z Aviendhą oraz Birgitte. I dzięki temu zobaczyły, jak Tylin szczypie go w siedzenie. W pewnych sytuacjach trudno było zachować spokój i opanowanie. Mina Elayne wyrażała współczucie, twarz Nynaeve – piorunującą dezaprobatę. Aviendha nieskutecznie tłumiała śmiech, a Birgitte całkiem otwarcie szczyrzyła zęby. Wszystkie wiedziały.

– Nynaeve uważa, że jesteś małym chłopczykiem, który potrzebuje opieki – wydyszała mu w

twarz Tylin. – Ja jednak wiem, że jesteś bardzo dorosłym mężczyzną. – Jej namiętny chichot był najbardziej wulgarną aluzją, jaką w życiu usłyszał. Cztery kobiety w drzwiach patrzyły, jak robi się czerwony niczym burak. – Będę za tobą tęskniła, gołąbku. To, co zrobiłeś z Renaile, było wspaniałe. Jakże ja podziwiam władczych mężczyzn.

– Ja też będę za tobą tęsknił – wybąkał. I przeżył wstrząs, bo zrozumiał, że to najczystsza prawda... Okazuje się, że w samą porę wyjeżdża z Ebou Dar. – Ale jeśli jeszcze się kiedyś spotkamy, to ja będę uganiał się za tobą, a nie ty za mną.

Parsknęła śmiechem, a ciemne orle oczy rozjarzył blask.

– Naprawdę podziwiam władczych mężczyzn, kaczorku. Ale nie wtedy, kiedy usiłują być władczy wobec mnie. – Chwyciwszy go za uszy, nachyliła ku sobie jego głowę, aby go pocałować.

W ogóle nie zauważył odejścia Nynaeve i pozostałych, wyszedł na chwiejnych nogach, wypychając koszulę do spodni. Musiał jeszcze się wrócić, żeby zabrać z kąta włócznię i kapelusz. Ta kobieta nie miała żadnego wstydu. Ani odrobiny.

Spotkał Thoma i Juilina, kiedy wychodzili właśnie z apartamentów Tylin, a za nimi Nerim z Lopinem, krępyim sługą Naleseana. Każdy dźwigał duży wiklinowy kosz, przeznaczony do siodła. Dotarło doń, że to wszystko to był jego dobytek. Juilin niósł nie naciągnięty łuk Mata, a przez jedno z ramion przerzucił sobie kołczan. Prawda, powiedziała przecież, że zadba o jego przeprowadzkę.

– Znalazłem to na twojej poduszce – rzekł Thom, rzucając w jego stronę pierścień, który Mat kupił, jak mu się zdawało, chyba już rok temu. – Prezent pożegnalny, jak się zdaje, na obu poduszkach były rozsypane miłorośle i inne kwiaty.

Mat wcisnął pierścień na palec.

– Należy do mnie, a żebyś szczęśliwy. Sam za niego zapłaciłem.

Stary bard przejechał dłonią po wąsach i zakasłał, nieumiejętnie ukrywając szeroki uśmiech, który z nagłą wykwitł na jego twarzy. Juilin zerwał z głowy swój idiotyczny taraboniański kapelusz, jakby nagle bardzo zainteresowany jego wnętrzem.

– Krew i przekłete!... – Mat zrobił głęboki wdech. – Mam nadzieję, że wy dwaj poświęciliście choć chwilę na spakowanie własnych manatków – powiedział chłodnym tonem – bo kiedy tylko złapię Olvera, ruszamy w drogę, nawet jeśli się okaże, że trzeba zostawić za sobą jakąś zapleśniałą harfę albo zardzewiały łamacz mieczy. – Juilin potarł palcem kącik oka, cokolwiek to miało znaczyć, ale Thom naprawdę zmarszczył brwi. Kto obrażał flet albo harfę Thoma, obrażał jego samego.

– Mój panie – odezwał się żalobnym tonem Lopin. Był smagłym, łysiejącym mężczyzną, jeszcze grubszym od Sumeko, jego czarny wieśniaczy kaftan z Łzy, dopasowany do pasa, a dalej rozdęty, opinał go doprawdy bardzo ściśle. Zazwyczaj równie sztywny i uroczysty jak Nerim, miał teraz zaczerwienione oczy, jakby niedawno płakał. – Mój panie, czy istnieje najmniejsza choćby szansa, bym mógł pozostać i uczestniczyć w pochówku lorda Naleseana? Był dobrym panem.

Mat z wielką przykrością musiał odpowiedzieć: “nie”.

– Każdy, kto zostanie, może zostać tu naprawdę na długo, Lopin – przestrzegł go delikatnie. – Posłuchaj, będę potrzebował kogoś do opieki nad Olverem. Nerim ma przeze mnie pełne ręce roboty. A resztą Nerim wróci do Talmanesa, wiesz o tym. Jeśli chcesz, przyjmę cię do siebie. – Nawykł do posiadania osobistego sługi, a poza tym czasy były trudne dla poszukujących pracy.

– Bardzo byłbym rad, mój panie – odrzekł grobowym tonem mężczyzna. – Młody Olver okrutnie mi przypomina syna mojej najmłodszej siostry.

Traf jednak chciał, że kiedy weszli do pokojów, które Mat niegdyś zajmował, zastali tam lady Riselle, odzianą znacznie bardziej przyzwoicie niż ostatnim razem. Była zupełnie sama.

– Miałabym go niby przywiązać do siebie? – powiedziała, a to zaiste cudowne łono zafalowało

z emocji, kiedy wzięła się pod boki. Wychodziło na to, że kaczkowi królowej nie wolno przemawiać takim niegrzecznym tonem do jej dwórek. -Jak za mocno podetniesz chłopcu skrzydła, nigdy nie wyrosnie na prawdziwego mężczyznę. Najpierw czytał na głos, siedząc na moim kolanie... mógłby tak czytać cały dzień, gdybym mu pozwoliła... a potem odrobił jeszcze swoje rachunki, więc pozwoliłam mu wyjść. No i czym się tak trapisz? Obiecał wszak wrócić przed zmierzchem, a zdaje się przykładać wielką wagę do obietnic.

Mat postawił *ashandarei* w tym samym kącie co zwykle, a potem powiedział tamtym, by zrzucili swoje brzemie i poszli szukać Vanina oraz reszty żołnierzy Legionu. Po czym zrezygnował z przyglądania się pociągającemu łonu Riselle i pobiegł na pokoje, które zamieszkiwała Nynaeve i inne kobiety. Zastał je wszystkie, w bawialni, był tam również Lan, w płaszczu Strażnika już udrapowanym na plecach i z sakwami podróżnymi na ramionach. Nie były to tylko jego sakwy, ale również Nynaeve, jak się zdawało. Całą posadzkę zaścielało mnóstwo tobołków z sukniami i wcale nie takich małych kufrów. Mat zastanawiał się, czy kobiety każą Lanowi także je ponieść.

– To oczywiste, że musisz go odszukać, Macie Cauthon – oświadczyła Nynaeve. – Czy sądzisz, że tak zwyczajnie porzucilibyśmy dziecko? – Jak się ją słyszało, można było pomyśleć, że naprawdę coś takiego chciał zrobić.

Nagle zalała go istna powódź ofert pomocy, nie tylko ze strony Nynaeve i Elayne, które zaproponowały, że odłożą wyjazd na farmę, ale także ze strony Lana, Birgitte i Aviendhy, którzy proponowali, że przyłączą się do poszukiwań. Lan mówił to z kamiennym spokojem, ponury jak zawsze, ale Birgitte i Aviendha...

– Serce mi pęknie, jeśli coś się stanie temu chłopcu – zapowiedziała Birgitte, a Aviendha dodała, z równym żarem: – Zawsze mówiłam, że nie dbasz o niego jak należy.

Mat zazgrzytał zębami. Na ulicach miasta Olver mógł się ukrywać przed ośmiorgiem ludzi, aż nie zapadnie zmierzch i sam nie zdecyduje, że powinien wrócić do pałacu. Rzeczywiście dotrzymywał obietnic, ale jeśli nie będzie musiał, to niewielkie były szanse na to, że zrezygnuje z jednej choćby chwili swobody. Więcej par oczu będzie oznaczało szybsze poszukiwania, zwłaszcza jeśli zaangażują Mądre Kobiety. Wahał się przez krótki moment trzech uderzeń serca. S am miał swoje własne obietnice, których musiał dotrzymać, ale miał też dość rozumu, by tak nie stawiać sprawy.

– Czara jest zbyt ważna – powiedział im. – Ten *gholam* nadal gdzieś tu jest, być może również Moghedien, a Czarne Ajah już na pewno. – Kości załomotały w jego głowie. Aviendha nie będzie zachwycona, że się ją wrzuca do jednego garnka z Nynaeve i Elayne, ale w danej chwili nic go to nie obchodziło. Zwrócił się do Lana i Birgitte: – Pilnujcie ich, dopóki was nie dogonię. Pilnujcie ich wszystkich.

Ku jego zaskoczeniu, odezwała się Aviendha:

– Przypilnujemy ich. Obiecuję. – Musnęła palcem rękojeść noża. Najwyraźniej nie zrozumiała, że ją też zaliczył do tych, których trzeba pilnować.

Nynaeve i Elayne natomiast rozumiały. Oczy Nynaeve zaśniły tak groźnie, jakby wzrokiem próbowała wyborować mu dziurę w czaszce; spodziewał się, że szarpnie warkocz, ale o dziwo jej dłoń tylko zatrzepotała niepewnie, po czym stanowczym ruchem przerzuciła go przez ramię. Elayne zadowolona się uniesieniem podbródka, a wielkie niebieskie stawy jej oczu całkiem zamarzły.

Lan i Birgitte też zrozumieli.

– Nynaeve jest całym moim życiem – rzekł z prostotą Lan, kładąc dłoń na jej ramieniu. A ona, ni stąd, ni zowąd, bardzo posmutniała, a potem, równie nagle, zacisnęła szczęki, jakby zamierzała właśnie przejść przez kamienny mur, taranując go swoim ciałem.

Birgitte obdarzyła Elayne czułym spojrzeniem, ale przemówiła do Mata.

– Będę ich pilnowała – obiecała. – Prawda honoru. Mat poprawił kaftan, żeby ukryć zmieszanie. Nadal nie bardzo potrafił sobie przypomnieć, ile jej opowiedział, kiedy razem pili. Światłości, toż ta kobieta potrafiła wchłaniać wino jak suchy piach wodę. Niemniej odpowiedział, jak przystało na barashandańskiego lorda, akceptując jej zobowiązanie.

– Honor krwi, prawda krwi.

Birgitte skinęła głową, a sądząc po zaskoczonych spojrzeniach Nynaeve i Elayne, nadal strzegła jego tajemnic. Światłości, jeśli jakaś Aes Sedai kiedykolwiek się dowie o tych wszystkich wspomnieniach, jakie nosił w głowie, to zapewne reszta dowie się szybko, że to on zadał w Róg Valere – nie dbając o jego lisi łeb, tak długo będą go ciągnęły za język, aż wygrzebią zeń ostatnie “jak” i “dlaczego”.

Kiedy już się odwracał, żeby wyjść, Nynaeve złapała go za rękaw.

– Pamiętaj o burzy, Mat. Ona niebawem się zerwie, wiem o tym. Uważaj na siebie, Macie Cauthon. Słyszysz mnie? Tylin wskaże ci drogę do farmy, kiedy już wrócisz z Olverem.

Przytaknął i wziął nogi za pas, kości w głowie odpowiadały echem na łomot jego butów. Ciekawe, czy miał uważać na siebie podczas poszukiwań, czy też raczej wówczas, gdy będzie pytał Tylin o drogę? Nynaeve i jej Słuchanie Wiatru. Czy jej się wydaje, że on jest z cukru i rozpuści się w paru kroplach deszczu? Nietrudno się domyślić, że kiedy już użyją Czary Wiatrów, znowu spadnie deszcz. Zdawało się, że minęło wiele lat od czasu, kiedy po raz ostatni padało. Jakaś myśl zaczęła wykluwać się w jego głowie, coś w związku z pogodą i Elayne, coś, co nie miało szczególnego sensu, ale zbył to wzruszeniem ramion. Jedna rzecz na raz, a obecnie najważniejszy był Olver.

Mężczyźni czekali w izbie Czerwonorękich, blisko stajni, wszyscy na nogach, z wyjątkiem Vanina, który leżał na jednym z łóżek, z dłońmi splecionymi na brzuchu. Vanin twierdził, że człowiek powinien odpoczywać, kiedy tylko nadarzy się okazja. Gdy jednak wszedł Mat, przerzucił nogi na posadzkę i usiadł. Lubił Olvera tak samo jak inni – Mat bał się tylko tego, że zacznie uczyć chłopca, jak kraść konie i kłusować na bażanty. Siedem par oczu z napięciem skupiło się na Macie.

– Riselle powiedziała, że Olver był ubrany w czerwony kaftan – wyjaśnił. – Zdarza mu się rozdawać kaftany, ale zapewne każdy ulicznik, którego zobaczycie w czerwonym kaftanie, będzie wiedział, gdzie po raz ostatni był Olver. Niech każdy pójdzie w inną stronę. Obejdźcie całe Mol Hara i postarajcie się wrócić za godzinę. Zaczekajcie, aż wszyscy wrócą, i dopiero wtedy wyjdźcie znowu. Tym sposobem, jeśli któryś go znajdzie, pozostali nie będą szukać do jutra. Wszyscy zrozumieli? – Pokiwali głowami.

Czasami nie posiadał się ze zdumienia. Chuderlawy Thom, z jego siwymi włosami i wąsami, który był kiedyś kochankiem królowej, i to z własnej woli, nie tak jak on, a nawet kimś więcej niż kochankiem, jeśli wierzyć bodaj w połowę z tego, co mówił. Harnan o kanciastej szczęce, z tatuażami na policzku i na kilku innych fragmentach ciała, który całe życie był żołnierzem. Juilin z jego bambusową laską i łamaczem mieczy przy biodrze, uważający siebie za kogoś równego lordowi, nawet jeśli nadal nie umiał się oswoić z pomysłem, że mógłby sam nosić miecz, oraz tłustawy Vanin, przy którym Juilin wyglądał niczym zwykły sługus. Chuderlawy Fergin i Gorderan, niemal równie barczysty jak Perrin, oraz Metwyn, którego blada cairhieniańska twarz nadal wyglądała chłopięco, mimo iż był wiele lat starszy od Mata. Niektórzy z nich szli za Matem Cauthonem, ponieważ uważali go za szczęściarza, a jego szczęście mogło uratować im życie, kiedy nie były w stanie dokonać tego ich miecze, i jeszcze zapewne z jakichś innych powodów, których nie potrafił do końca rozpoznać. Nawet Thom nigdy nie posunął się dalej, jak tylko do oprostowania jego rozkazu. Może w przypadku tej Renaile zadziałało coś więcej niż szczęście. Być może bycie



ta'veren nie wiązało się wyłącznie z umiejętnością pakowania w kłopoty. Nagle poczuł się... odpowiedzialny za tych mężczyzn. Było to niewygodne uczucie, bo Mat Cauthon i odpowiedzialność nie szły ze sobą w parze. Odczuwał to jako coś nienaturalnego.

– Uważajcie na siebie i miejcie oczy szeroko otwarte -przykazał. – Wiecie, co tam czyha. Nadciąga burza. -Dlaczego to wszystko mówił?-Ruszajcie. Marnujemy tylko światło dnia.

Nie było żadnych oznak nadchodzącej burzy, choć wiatr nadal dął silnie, zamiatając kurz na placu Mol Hara z posągami dawno zmarłej królowej nad fontanną. Nariene zasłynęła swoją uczciwością, ale widać tego nie wystarczyło, bo przedstawiono ją z całkiem obnażoną piersią. Popołudniowe słońce płonęło wysoko na bezchmurnym niebie, ludzie jednak gnali przez plac tak szybko jak podczas porannego chłodu. Nawet wspomnienie po nim nie zostało. Płyty chodnika zdawały się niczym patelnia pod podszewkami jego butów.

Rzucając złe spojrzenia ku przeciwnej stronie placu, gdzie stała "Wędrowna Kobieta", Mat ruszył w kierunku rzeki. Kiedy mieszkali w tej oberży, Olver nawet w połowie tak często nie włączył się z ulicznikami; zadowalał się przymilaniem do usługujących dziewcząt i córek Setalle Anan. A jemu kości powiedziały, że ma się przeprowadzić do pałacu. Wszystko, co zrobił od czasu przeprowadzki – wszystko, co chciał zrobić, poprawił się, myśląc o Tylin i jej oczach, a także dłoniach – wszystko to można było załatwić, mieszkając tutaj. Kości toczyły się również teraz, tak bardzo pragnął, żeby wreszcie przestały.

Próbował iść szybko, niecierpliwie lawirując między wlokącymi się furami i wozami, klnąc na lakierowane lektyki i powozy, które nie zwracały uwagi na przechodniów, i wciąż wypatrując czerwonego kaftana, jednak rojna ulica spowalniała jego marsz. I właściwie dobrze, że tak się działo. To by było dopiero, gdyby przemknął obok chłopca, nie zauważając go. Żałując, że nie zabrał Oczka z pałacowych stajni, popatrywał krzywo na sunący obok niego potok ludzki, w ciżbie człowiek na koniu nie poruszałby się szybciej, ale z siodła widziałby dalej. Ale z kolei zadawanie pytań z siodła byłoby niezręczne, mało kto jeździł konno w obrębie miejskich murów, a niektórzy ludzie wręcz bali się jeźdźców.

To samo pytanie, do znudzenia. Pierwszy raz zadał je przy moście, tuż za Mol Hara, mężczyźnie sprzedającemu jabłka opiekane w miodzie z tacy zawieszanej na szyi.

– Widziałeś może chłopca, mniej więcej tego wzrostu, odzianego w czerwony kaftan? – Olver lubił słodczy.

– Chłopca, mój panie? – odparł jegomość, zasysając powietrze przez luki w uzębieniu. – Widziałem z tysiąc chłopców. Ale takiego kaftana nie pamiętam. Czy mój pan zechciałby może kilka jabłuszek? – Ujął dwa jabłka kościstymi palcami i podsunął je Matowi, były zbyt miękkie, choćby nie wiadomo jak długo je pieczono. -Czy mój pan słyszał o zamieszkach?

– Nie – odparł zniecierpliwiony Mat i ruszył dalej. Przy drugim krańcu mostu zatrzymał zażywną kobietę z tacą pełną wstążek. Wstążki żadną miarą nie fascynowały Olvera, ale pod spódnicą, której rąbek był przyszyty niemalże do lewego biodra, błyskały czerwone halki, a wycięcie w staniczku ukazywało krągłe łono, niemal takie same jak u Riselle. – Czy widziałaś może chłopca...

Od niej też nasłuchiwał się o zamieszkach, a później co drugi z napotkanych ludzi nie mówił już o niczym innym. Źródłem tej plotki, jak podejrzewał, były zdarzenia, które tego właśnie ranka miały miejsce w pewnym domu w Rahad. Kobieta siedząca na koźle wozu, z biczem owiniętym wokół szyi, powiedziała mu nawet, że za rzeką wybuchł bunt, wyznawszy pierwej, że nigdy nie zauważa małych chłopców, dopóki nie wpadają pod kopyta jej mułów. Mężczyzna o kanciastej twarzy, który sprzedawał plastry miodu – wyglądały na nadzwyczaj wyschnięte – twierdził, że zamieszki wybuchły w okolicach latarni morskiej, przy krańcu Drogi nad Zatoką, po wschodniej stronie ujścia, które to

miejsce było równie prawdopodobne jak sam jej środek. Po mieście zawsze krążyło całe mnóstwo plotek, jeśli człowiek tylko wsłuchał się w to, co ludzie mówią, a on teraz nie miał, jak się zdawało, innego wyjścia. Jedną z najpiękniejszych kobiet, jakie w życiu widział, stojącą pod jedną z tawern, o imieniu Maylin, była posługaczką w "Starej Owcy". Wyglądało jednak na to, że cała jej praca polegała na wystawaniu przed budynkiem, by przyciągać gości, co z pewnością jej się udawało – ona też poinformowała go, że tego ranka doszło do bitwy, wśród wzgórz Cordese na zachód od miasta. A może na wzgórzach Rhannoh, po drugiej stronie zatoki. Albo może... Maylin była nadzwyczaj piękna, ale niezbyt rozgarnięta, Olver byłby z pewnością zdolny przypatrywać jej się godzinami, pod warunkiem że nie otwierałaby ust. Ale nie umiała sobie przypomnieć, by widziała jakiegokolwiek chłopca od... Powiedział, że jakiego koloru był ten kaftan? Nasłuchał się o zamieszkach i bitwach, nasłuchał się o dziwnych rzeczach zauważonych na niebie albo wśród wzgórz, o dostatecznej liczbie dziwadeł, by nawet na Ugorze zrobiło im się ciasno. Nasłuchał się o Smoku Odrodzonym, który miał lada chwila zaatakować miasto na czele tysiąca mężczyzn, którzy potrafili przenosić, o tym, że nadciągają Aielowie, armia Aes Sedai-nie, to armia Białych Płaszcz; Pedron Niall nie żył, a Synowie zamierzali go pomścić, aczkolwiek dla czego akurat na Ebou Dar, to już nie było wcale jasne. Człowiek mógł pomyśleć, że miasto powinno być zdjęte paniką od tych wszystkich krążących po nim opowieści, a jednak wyraźnie było widać, że nawet ci, którzy opowiadali daną opowieść, nie ufali zbyt wiele własnym słowom. A więc usłyszał wszelkiego typu bzdury, jednak ani słowa o chłopcu w czerwonym kaftanie.

W odległości kilku ulic od rzeki zaczął docierać do jego uszu jakiś łoskot, donośne głucho dudnienie, które zdawało się dochodzić od morza. Ludzie spoglądali z ciekawością na bezchmurne niebo, drapali się po głowach i wracali do swoich spraw. I jego to zainteresowało, lecz nie zrezygnował ani na moment ze swoich prób, wypytując każdego napotkanego sprzedawcę słodczy czy owoców względnie każdą piękną kobietę, która szła pieszo. Wszystko na nic. Dotarł do kamiennego nabrzeża biegnącego wzdłuż rzeki od strony miasta, zatrzymał się tam i omiótł badawczym wzrokiem szare przystanie oraz przycumowane do nich statki. Wiał silny wiatr, mocno kołyszący łodzie, które ocierały się z chrzęstem o kamienne pomosty, mimo iż zabezpieczono ich burty workami z wełną. W odróżnieniu od koni, statki dla Olvera stanowiły tylko środek, za pomocą którego można było dostać się z jednego miejsca na drugie, a poza tym w Ebou Dar statki stanowiły domenę mężczyzn, nawet jeśli nie zawsze tylko oni zajmowali się frachtunkiem. Kobiety kręcące się po przystaniach były albo kupcami pilnującymi swych towarów, albo uzbrojonymi po zęby członkiniami gildii towarowej, na pewno zaś nie można było tam spotkać żadnych sprzedawców słodczy.

Już miał zawrócić, kiedy nagle spostrzegł, że w zasięgu jego wzroku prawie nikt się nie porusza. Na przystaniach zazwyczaj panował wielki rejewach, jednak teraz na wszystkich statkach, jakie widział, marynarze stali rzędem przy relingach albo, wspiąwszy się na olinowanie, stamtąd obserwowali zatokę. Wszędzie stały porzucone beczki i paki, a obnażeni do pasa mężczyźni i zylaste kobiety w kamizelach z zielonej skóry tłoczyli się na krańcach doków, skąd mogli patrzeć, w otwartej przestrzeni między statkami, w stronę, skąd dobiegał łoskot. Unosił się tam czarny dym, w grubych wysokich kolumnach, nachylanych podmuchami wiatru ku północy.

Wahając się tylko chwilę, wbiegł na najbliższą przystań. Z początku statki uwiązane do długich kamiennych słupów na południu przesłaniały mu widok na wszystko z wyjątkiem tego dymu. Linia wybrzeża była tak ukształtowana, że każda kolejna przystań wciniała się dalej w wodę niż poprzednia; kiedy już wpełchnął się w ostatnie szeregi tłumu, zobaczył szerokie nurty rzeki, która niczym ścieżka wzburzonej zielonej wody wpływała do wstrząsanej falami zatoki.

Co najmniej dwa tuziny statków, może więcej, płonęło na szerokiej połaci zatoki, pożar trawił je wszystkie równocześnie od ruf do dziobów. I widać też było szkielety wielu, które zdążyły już spłonąć do cna, a nad powierzchnię wody wystawały teraz tylko resztki ich dziobów albo ruf, które zresztą osuwały się już na dno. Na jego oczach dziób szerokiego dwumasztowca, nad którym powiewał wielki sztandar w czerwieni, błękitnie i złocie, sztandar Altary, nagle poderwał się z trzaskiem w powietrze, rozległ się łoskot przypominający huk gromu i prędko gęstniejące macki dymu rozwiały się na wietrze, a statek jął tonąć. Po zatoce pływały setki najrozmaitszych statków: trójmasztowe rakery, szkimery i dwumasztowe sojrery Ludu Morza, statki przybrzeżne z trójkątnymi żaglami, statki rzeczne pod żaglem albo na wiosłach, niektóre uciekały w górę rzeki, większość jednak usiłowała wydostać się na pełne morze. Z kolei dziesiątki obcych statków wpływały do zatoki gnane wiatrem, wielkie okręty o prostopadłych dziobach, tak wysokie jak rakery, przebijały się przez przetaczające się fale, rozbryzgując pianę. Oddech uwiązł mu w piersi, kiedy nagle dojrzał kwadratowe żebrowane żagle.

– Krew i przekłete popioły – mruknął wstrząśnięty. – To przecież cholerni Seanchanie!

– Kto? – spytała kobieta o surowej twarzy, napierająca na niego całym ciałem. Granatowa suknia przedniego kroju zdradzała, że jest kupcem, podobnie jak skórzany folder, w którym trzymała swoje dokumenty przewozowe, wreszcie srebrna szpila gildii w kształcie gęsiego pióra, przypięta nad piersią. – To Aes Sedai – oznajmiła tonem niezłomnego przekonania. – Potrafię się zorientować, kiedy ktoś przynosi. Synowie Światłości rozprawią się z nimi, gdy tylko tu przybędą. Zobaczysz.

Chuda siwowłosa kobieta w brudnej, zielonej kamizeli obróciła się, stając do niej twarzą, dłoń miała wspartą na drewnianej rękojeści sztyletu.

– Pilnuj swego języka, kiedy mówisz o Aes Sedai, cholerna wyzyskiwaczko, bo inaczej obedrę cię ze skóry i wepchnę ci Białego Płaszczka do gardzieli!

Mat zostawił je – nadal wymachiwały rękami i wydzierały się na siebie – po czym wy dostał się z tłumu i pobiegł w stronę nabrzeża. Widział już trzy – nie, cztery – ogromne stwory kołujące na niebie nad południową częścią miasta, miały takie skrzydła jak nietoperze, tyle że nieporównywalnie większe. Do ich grzbietów przywarły jakieś sylwetki, podtrzymywane czymś w rodzaju siodeł. Pojawił się kolejny latający stwór i jeszcze jeden. I nagle pod nimi z rykiem wybuchła fontanna ognia, ogarniając dachy domów.

Ludzie biegli już, popychając Mata, który nadal przemierzał ulice.

– Olver! – wołał, licząc, że zostanie usłyszany mimo krzyków rozlegających się ze wszystkich stron. – Olver!

Ni stąd, ni zowąd okazało się, że wszyscy teraz biegną w przeciwną stronę, nie dbając o to, czy ktoś stoi im na drodze. Uparcie brnął przed siebie, wbrew naporowi tłumu. Aż dotarł na ulicę, z której wszyscy ci ludzie najwyraźniej uciekali.

Obok przemknęła kolumna Seanchan, ze stu albo i więcej mężczyzn w hełmach przypominających owadzie głowy i zbrojach skonstruowanych z nakładających się płytek, wszyscy dosiadali zwierząt, które wyglądały jak koty, z tym że były niemal wielkości koni i zamiast futrem były pokryte łuskami. Skuleni w siodłach, wymachując pochylonymi lancami, których czubki zdobiły niebieskie proporce, galopowali w stronę Mol Hara, nie oglądając się na boki. Tyle że słowo “galop” niezbyt precyzyjnie określało sposób, w jaki te stworzenia się poruszały; prędkość była właściwa, ale one... płynęły. Najwyższy czas stąd zniknąć, dawno po czasie. Gdy tylko znajdzie...

Kiedy kolumna minęła go, jego oko przykuł błysk czerwieni w tłumie za skrzyżowaniem.

– Olver! – Rzucił się do biegu, niemalże depcząc po piętach ostatniemu, pokrytemu łuskami stworzeniu, przepchnął przez tłum i zobaczył, jak jakaś kobieta chwyta małą dziewczynkę w

czerwonej sukience i ucieka, z całej siły przyciskając ją do piersi. Owładnięty szaleństwem, Mat zaczął przeć przed siebie, roztrzając napotkanych ludzi, sam wpadając na innych. – Olver! Olver!

Jeszcze dwa razy zobaczył słup ognia, górujący przez krótką chwilę ponad dachami domów i dym w kilkunastu miejscach wzlatający ku niebu. Kilka razy też usłyszał ten dudniący ryk, znacznie głośniejszy niż nad zatoką. Nie było wątpliwości, że jego źródło znajdowało się gdzieś w mieście. Ziemia kilkakrotnie zadrżała mu pod stopami.

Wtem ulica znowu nagle opustoszała, ludzie pierzchali we wszystkich kierunkach, kryjąc się w bocznych uliczkach, domach i sklepach, bo zbliżali się Seanchanie na koniach. Nie wszyscy byli uzbrojeni, a na czele tego niewielkiego zagajnika lanc jechała smągła kobieta w niebieskiej sukni. Mat wiedział, że te duże czerwone wstawki w jej spódnicach i na łonie są ozdobione srebrnymi błyskawicami. Od jej lewego nadgarstka biegła połyskująca w słońcu srebrna smycz, przymocowana drugim końcem do karku kobiety odzianej na szaro, *damane*, która biegła obok konia *sul'dam* niczym tresowany pies. W Falme napatrzył się na Seanchan więcej, niż by sobie tego życzył, ale odruchowo zatrzymał się w wylocie jakiejś bocznej uliczki i stamtąd ów przejazd obserwował. Te ryki i ognie stanowiły dowód, że ktoś w mieście próbuje stawiać opór, zanosilo się na to, że oto za chwilę będzie naocznym świadkiem takiej próby.

Widok Seanchan nie stanowił jedynej przyczyny, dla której wszyscy jakby natychmiast zapadli się pod ziemię. Na drugim końcu ulicy pojawiło się co najmniej stu konnych w obszernych białych spodniach i zielonych kaftanach, z lancami wymierzonymi przed siebie. Hełm oficera zdobiły połyskliwe złote sznury. Do wtóru bitewnego zawołania żołnierze Tylin rzucili się hurmą na tych, którzy zaatakowali ich miasto. Mieli przewagę liczebną nad Seanchanami, w stosunku co najmniej dwa do jednego.

– Cholerni durnie – mruknął Mat. -Nie w taki sposób. Tamta *sul'dam*...

Seanchanie nawet nie drgnęli, tylko kobieta w sukni z błyskawicami podniosła rękę takim gestem, w jaki posyła się sokoła do lotu albo psa myśliwskiego w pościg za zwierzyną. Złotowłosa kobieta na drugim końcu srebrnej smyczy zrobiła mały krok do przodu. Dotyk medalionu na skórze stał się niczym muśnięcie chłodu.

Przed czołem szarżujących Ebou Dari ulica wybuchła, płyty chodnikowe, ludzie i konie wylecieli w powietrze przy akompaniamencie ogłuszającego ryku. Podmuch wstrząsu powalił Mata na plecy, a może to ziemia usunęła mu się spod nóg. Podźwignął się w chwili, gdy przednia ściana oberży po drugiej stronie ulicy nagle zawałiła się w chmurze pyłu, odsłaniając wnętrza izb.

Wszędzie, jak okiem sięgnął, leżały pokawałkowane ciała ludzi i koni; ci, którzy jeszcze żyli, kłębili się wokół leja zięjącego na pół szerokości ulicy. Powietrze wypełniły głośnie laments rannych. Nie więcej niż połowa Ebou Dari powstawała niezdarnie, szli dalej, potykając się i przewracając zamroczeni. Niektórzy chwyтали wodze koni, nogi ugiwały się pod nimi, gdy niezdarnie próbowali wspinać na siodła, kopniakami starając się zmusić zwierzęta do namiastki biegu. Inni uciekali pieszo. Jak najdalej od Seanchan. Gotowi byli stawić czoło stali, ale nie czemuś takiemu.

Mat zrozumiał, że w tej chwili ucieczka to najlepszy pomysł. Gdy obejrzał się w głąb alejki, zobaczył tumany pyłu i sterty gruzu sięgające co najmniej pierwszego piętra. Biegł co sił w nogach ulicą, na czele uciekających Ebou Dari, trzymając się tak blisko murów, jak to tylko było możliwe, licząc, że żaden z Seanchan nie uzna go za jednego z żołnierzy Tylin. Przenigdy nie powinien był wkładać zielonego kaftana.

*Sul'dam* wszystko to najwyraźniej nie usatysfakcjonowało. Lisia głowa znowu tchnęła zimnem i do wtóru kolejnego ryku dobiegającego zza pleców runął na chodnik, który jakby skoczył mu na spotkanie. Przez dzwonienie w uszach słyszał jęk murów. Otynkowana na biało ściana z cegieł, pod

którą właśnie leżał, zaczęła się chylić.

– Co się stało z moim przeklętym szczęściem? – zdążył krzyknąć. Na nic więcej nie starczyło czasu. A kiedy cegły i drewno waliły się na niego, ostatnią myślą, którą zdążył jeszcze zarejestrować, było to, iż kości w jego głowie właśnie zamarły.

# ROZDZIAŁ 21

## WŁÓCZNIĘ

Galinę Casban otaczały góry; te za jej plecami były niewiele wyższe od stromych wzgórz, przed nią jednak pokryte śniegiem szczyty kłuły niebo, a nad nimi, dalej, górowały kolejne – ona jednak tak naprawdę wcale ich nie widziała. Kamienie na zboczu kaleczyły jej nagie stopy. Dyszała ciężko, płuca walczyły o oddech. Słońce prażyło nad głową – bez chwili przerwy, przez kolejne dni, które wydawały się nie mieć końca – dobywając z jej ciała strumienie potu. Wszelki wysiłek, który byłby czymś więcej niż miarowym przestawianiem stóp, zdawał się ponad jej siły. I choć spływała potem, nie potrafiła znaleźć bodaj odrobiny wilgoci w ustach.

Przynależała do Aes Sedai od niecałych dziewięćdziesięciu lat, w jej długich czarnych włosach nie lśniło nawet pojedyncze pasmo siwizny, a już ponad połowę tego czasu piastowała pozycję przywódczyni Czerwonych Ajah-pozostałe siostry prywatnie określały ją tytułem Najwyższej, traktując jako równą Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Jednakże przez wszystkie te lata, od chwili, gdy przywdziała szal – bez pięciu lat – w istocie była Czarną Ajah. Wynikających stąd zadań bynajmniej nie traktowała marginalnie, jako uzupełnienia

obowiązków Czerwonej siostry – wynikające z tej przynależności zobowiązania miały zdecydowane pierwszeństwo. W Najwyższej Radzie Czarnych Ajah zajmowała pozycję ustępującą znaczeniem jedynie samej Alviarin i była jedną z trzech tylko kobiet znających imię tej, która przewodniczyła posiedzeniom ich kapturowego sądu. Kiedy na tych posiedzeniach padło czyjeś imię – choćby i króla – można było mieć pewność, że należy ono do osoby już martwej. Tak się to właśnie odbyło i w przypadku jednego króla i pewnej królowej. Pomogła zniszczyć dwie Amyrlin, po dwakroć uczestniczyła w spiskach, których celem było obrócenie najpotężniejszej kobiety świata w rozwrzeszczany ludzki śmieć, chciwy wyznania wszystkiego, co wiedział, a potem zadbała, by wszystko tak wyglądało, jakby jedna z tych dwóch zmarła we śnie, druga zaś została zdetronizowana i ujarzmiona. Takie rzeczy w jej oczach składały się na pojęcie obowiązku, podobnie jak konieczność eksterminacji mężczyzn zdolnych do przenoszenia, obowiązku bynajmniej nie dostarczającego jej innej przyjemności niż satysfakcja z dobrze wykonanego zadania – a jednak, gdy przewodziła kręgowi, który ujarzmił Siuan Sanche, czuła przenikający ją dreszcz radości. Z pewnością wszystkie te dokonania jednoznacznie świadczyły, że Galina Casban zajmuje należne jej miejsce wśród możliwych tego świata. Bez wątplenia. Nie mogło być inaczej.

Nogi zakolysały się pod nią niczym rozciągnięte sprężyny, ciężko osunęła się na ziemię, niezdolna złapać równowagi przez to, że łokcie i ramiona miała ściśle przywiązane do ciała. Biała niegdyś, jedwabna bielizna – jedyny ubiór, jaki pozwolono jej zatrzymać – rozdarła się znowu, kiedy ześlizgnęła się po luźnym osypisku, boleśnie urażając wcześniej odniesione rany. Zatrzymała się wreszcie na jakimś pniu drzewa. Z twarzą wciśniętą w ziemię zaczęła łkać.

– Jak? – zawodziła ochryłym głosem. – Jak coś takiego mogło mi się przydarzyć?

Po chwili zdała sobie sprawę, że tym razem nie została brutalnie postawiona na nogi; wcześniej, niezależnie od tego jak często padała, nigdy nie pozwalano jej nawet na moment wytchnienia. Mrugając oczyma, aby oczyścić je z łez, uniosła głowę.

Zbocze pełne było kobiet Aielów, co najmniej kilkaset rozproszyło się wśród drzew, w dłoniach trzymały włócznie, zasłony w każdej chwili gotowe do uniesienia zwisały na piersi. Galinie zachciało się śmiać. Panny – nazywali te potworne kobiety Pannami. Żałowała, że roześmiać się jednak nie potrafi. Przynajmniej w pobliżu nie było żadnych mężczyzn, co stanowiło nieznaczny, ale

jednak uśmiech losu. Obecność mężczyzn sprawiała, że dostawała dreszczy, a gdyby jeszcze któryś mógł ją teraz zobaczyć, na poły naga...

Z niepokojem rozejrzała się za Theravą, ale większość z siedemdziesięciu Mądrych stała razem, obserwując coś, co znajdowało się na wyższej części zbocza i nie potrafiła wśród nich odnaleźć sylwetki tamtej. Gdzieś od czoła grupy dobiegał pomruk niespokojnych głosów. Może Mądre naradzały się nad czymś. Mądre. Z brutalną skutecznością sprawiły, że szybko nauczyła się właściwych tytułów – nigdy po prostu: kobiety Aielów i nigdy: dzikuski. Potrafiły wyczuć jej pogardę, niezależnie jak starannie ją skrywała. A, rzecz jasna, nie musisz skrywać tego, co wypalone zostanie z twojej duszy.

Większość Mądrych patrzyła w drugą stronę, jednak nie wszystkie. Poświata *saidara* otaczała młodą śliczną rudowłosą kobietę o delikatnym kroju ust, która obserwowała Galinę wielkimi, intensywnie błękitnymi oczyma. Być może, aby dodatkowo okazać jej swoją pogardę, wybrały najśłabszą spośród siebie, by tego ranka odgradzała ją tarczą od Źródła. Micara zresztą wcale nie była tak naprawdę słaba, jeśli chodzi o dysponowanie Mocą – żadna z nich nie była – ale nawet w tak opłakanym stanie Galina bez szczególnego wysiłku potrafiłaby strzaskać tarczę Micary. Mięsień w jej policzku niepowstrzymanie zadygotał, zawsze tak się działo, kiedy rozważała kolejną możliwość ucieczki. Pierwsza próba skończyła się wystarczająco źle. Po drugiej... Drżąc niepohamowanie na całym ciele, próbowała powstrzymać łkanie. Nie podejmie kolejnej próby, póki nie będzie pewna sukcesu. Całkowicie pewna. Absolutnie.

Grupa Mądrych rozdzieliła się, część obserwowała, jak Therava z tą swoją jastrzębią twarzą idzie do miejsca, gdzie leżała Galina. W odruchu zrozumienia, ciężko dysząc, spróbowała powstać. Ze związanymi rękami i mięśniami jak z waty, udało jej się podnieść tylko na kolana, kiedy Therava do niej dotarła i pochyliła się nad nią przy wtórze cichego szczękania licznych naszyjników z kości słoniowej i złota. Jedną dłonią chwyciła garść włosów Galiny i ostrym szarpnięciem uniosła jej głowę. Wyższa od większości mężczyzn mogła dalej ją tak trzymać, nawet gdy tamta już stała na palcach. Wyginała boleśnie kark, póki Galina nie spojrzała prosto w jej oczy. Therava była nieco silniejsza od niej, jeśli chodzi o władanie Mocą, co stanowiło rzadkość wśród kobiet, które dotąd w życiu spotkała, ale nie to sprawiło, że Galina znowu zadrżała. Spojrzenie zimnych niebieskich oczu wpilo się w jej oczy, biorąc w uścisk jeszcze silniejszy niż chwyt szorstkiej dłoni; wydawało się jej, że wzrok ten obnaża ze szczerem jej duszę, równie łatwo, jak Mądre dawały sobie z nią radę. Jeszcze wszak ani razu o nic ich nie błagała, nawet gdy kazały jej przez cały dzień wędrować, częstując tylko kroplą wody, albo kiedy zmuszały ją do biegania z nimi całymi godzinami. Nie ukorzyła się nawet wówczas, gdy wyła pod ciosami różg. Okrutna nieprzejednana twarz Theravy, jej oczy spoglądające na nią w dół bez śladu jakiegokolwiek uczucia, dopiero to sprawiło, że miała ochotę zacząć żebrać o łaskę. Czasami budziła się w nocy, rozciągnięta między czterema palami, do których ją wiązały, jęcząc, bo śniło jej się, że już resztę życia będzie musiała spędzić pod ręką Theravy.

– Ona już się śłania – oznajmiła Mądra głosem twardym jak kamień. – Dajcie jej wody i ponieście ją. – Odwróciła się, poprawiła szal na ramionach, zapominając o Galinie Casban aż do czasu, kiedy znowu nie pojawi się potrzeba zwrócenia uwagi na jej istnienie. Galina Casban była mniej warta niż najędzniejszy pies.

Galina zaprzestała prób podniesienia się, “dawano jej wody” już dość razy. Tylko w taki sposób pozwalały jej się napić. Pragnienie doprowadzało ją już do kresu wytrzymałości, dlatego też nie opierała się, kiedy umięśniona Panna chwyciła ją za włosy jak wcześniej Therava i odchyliła głowę do tyłu. Tylko szeroko otworzyła usta. Druga Panna z wypukłą blizną przecinającą na ukos nos i policzek przechyliła worek z wodą i powoli wlała wąską stróżkę w otwarte usta Galiny. Woda była

ciepła i bez smaku – była wspaniała. Połknęła niezgrabnie, zakrztusiła się, ale nie zamknęła ust nawet odrobinę. Pragnienie picia walczyło w niej z chęcią podstawienia twarzy pod ciekącą stróżkę, aby woda spłynęła po jej czole i policzkach. Opanowała się jednak i nawet nie drgnęła, pozwalając każdej kropli spłynąć do gardła. Kiedyś uroniła odrobinę i stało się to przyczyną następnego bicia; potem cisnęły ją w pobliżu strumienia szerokiego na sześć kroków, a wszystko dlatego, że pozwoliła, by łyk wody pociekł jej po policzku.

Kiedy tamta druga wreszcie zabrała worek z wodą, krępa Panna szarpnięciem za związane łokcie postawiła ją na nogi. Galina jęknęła. Mądre już unosiły spódnice, zadzierając je ponad wysokie do kolan miękkie buty. Przecież nie będą chciały znowu biegać. Nie teraz. Nie w tych górach.

Mądre pomknęły do przodu, tak lekko, jakby biegły po zupełnie równym gruncie. Panna, której Galina wcześniej nie widziała, ponieważ tamta stała za jej plecami, cięła ją przez uda różgą; nie pozostawało nic innego, jak zatoczyć się w kiepskiej imitacji biegu, na poły wleczona przez drugą Pannę. Różga cięła jej nogi, gdy choćby tylko się zachwiały. Jeśli bieg ten potrwa przez resztę dnia, będą się zmieniać, jedna Panna będzie dzierżyć różgę, druga ją ciągnąć. Ciężko gramoląc się w górę kolejnych zboczy, a w rzeczywistości ciągle ześlizgując się w dół, Galina biegła. Ciemnożółty górski kot, z paskami w odcieniach brązów i cięższy z pewnością od człowieka, warknął na nie ze skalistej półki nad głową; samica, sądząc po braku pędzelków na uszach i szerokości pyska. Galina chciała krzyknąć na nią, by uciekała, zanim Therava ją złapie. Panny przebiegły spokojnie obok warczącego zwierzęcia, a Galina zapłakała gorzko, zazdroszcząc mu wolności.

W końcu ratunek oczywiście przyjdzie, co do tego nie miała wątpliwości. Wieża nigdy się nie zgodzi, by któraś z sióstr pozostała w niewoli. Elaida nie pozwoli, aby więziono Czerwoną. Z pewnością Alviarin przyśle kogoś. Ktoś o to zadba, ktokolwiek miałby to być, i uratuje ją od tych potworów, a zwłaszcza od Theravy. Za coś takiego gotowa była obiecać wszystko. I nawet dotrzymałaby tych obietnic. Kiedy przystąpiła do Czarnych Ajah, została uwolniona spod władzy Trzech Przysiąg, które zastąpiła nowa trójca zobowiązań, w tej chwili jednak szczerze wierzyła, że naprawdę dotrzymałaby słowa, gdyby tylko ktoś przyszedł jej z pomocą. Złożyłaby każdą obietnicę, każdemu, kto by tylko podarował jej wolność. Nawet mężczyźnie.

Kiedy wreszcie jej oczy ujrzały namioty – ich ciemno ubarwione, niskie kształty zlewały się z górkim otoczeniem równie łatwo jak umaszczenie kota – Galinę musiały podtrzymywać już dwie Panny, w zasadzie ciągnęły ją za sobą. Z obu stron podniosły się radosne powitalne okrzyki, ale Galinę w całkowitym milczeniu zaciągnięto śladem Mądrych w głąb obozu, wciąż każąc jej biec, a raczej bez końca zataczać się i potykać.

Bez słowa ostrzeżenia tamte puściły jej ramiona. Bezwładnie dała jeszcze krok, padła twarzą w dół i leżała tak z nosem zagrzebanym w ziemi i zeschniętych liściach, łapiąc powietrze szeroko rozdziawionymi ustami. Wykaszała strzęp liścia, ale była zbyt słaba, by choć odwrócić głowę. Krew łomotała jej w uszach, jednak otaczające ją głosy docierały do świadomości i powoli zaczynała rozumieć, o co chodzi.

– Nie śpieszyłaś się, Therava – usłyszała znajomo brzmiący kobiecy głos. – Minęło dziewięć dni. Od dawna już jesteśmy na miejscu.

Dziewięć dni? Galina pokręciła głową, drapiąc sobie twarz drobinami ziemi. Od czasu, jak Aielowie zastrzelili pod nią konia, w jej pamięci wszystkie te dni zlały się w jedno pasmo nieustannego pragnienia, biegu i bicia, z pewnością jednak musiało to trwać znacznie dłużej niż dziewięć dni. Z pewnością całe tygodnie. Może miesiąc.

– Przeprowadźcie ją – rozkazał niecierpliwie znajomy głos.



Uniesiono ją i powleczono, przyginając równocześnie kark, aby nie zahaczyła głową o brzeg płachty wielkiego namiotu ze ścianami uniesionymi ze wszystkich stron. Następnie została ciśnięta na warstwę dywanów, tuż przed jej nosem skraj czerwono-niebieskiej taireńskiej arabeski zachodził na ostentacyjnie zdobne kwiaty. Z trudem uniosła głowę.

Z początku nie widziała nikogo prócz Sevanny, usadowionej naprzeciw niej na wielkiej poduszce z żółtymi frędzlami. Sevanna o włosach niczym delikatna złota przędza, z jasnymi szmaragdowymi oczami. Zdradziecka Sevanna, która dała jej słowo, że odwróci uwagę, napadając na Cairhien, a potem złamała przysięgę, próbując uwolnić al'Thora. Sevanna, która jedyna chyba mogła ją wyswobodzić ze szponów Theravy.

Z wysiłkiem podniosła się na kolana i wtedy po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że nie są same w namiocie. Therava siedziała na poduszce po prawej stronie Sevanny, zajmując pierwsze miejsce pośród usadowionych łukiem Mądrych, czternastu kobiet, które potrafiły przenosić; Micara, wciąż trzymająca jej tarczę, stała na samym końcu szeregu. Połowa z nich były to Mądre, które schwytały ją z tak bolesną łatwością. Nigdy już nie będzie tak nieostrożna, gdy przyjdzie do następnego spotkania z Mądrymi, nigdy więcej. Niscy mężczyźni i kobiety o bladych twarzach, odziani w białe szaty, krążyli za plecami Mądrych, bez słowa podając im złote albo srebrne tace, na których stały małe filiżanki, jeszcze więcej zgromadziło się po drugiej stronie namiotu, gdzie siwowłosa kobieta w kaftanie Aielów i szaro-brązowych spodniach zajmowała miejsce po lewicy Sevanny, wieńcząc szereg dwunastu Aielów o kamiennych obliczach. Mężczyźni. A ona nie miała na sobie nic prócz poszarpanej bielizny, z licznymi dziurami, przez które prześwitywało ciało. Galina z całej siły zacisnęła zęby, dławiąc krzyk. Napinała mięśnie pleców, próbując powstrzymać się przed natychmiastowym zagrzebaniem w stosie dywaników, z dala od tych zimnych męskich oczu.

– Wygląda na to, że Aes Sedai jednak potrafią kłamać – stwierdziła Sevanna i w tym momencie Galinie cała krew odpłynęła z twarzy. Ta kobieta nie mogła wiedzieć, nie mogła przecież... – Złożyłaś mi przysięgi, Galino Casban, i złamałaś je. Czy sądzisz, że możesz zamordować Mądrą, a potem bezkarnie uciec poza zasięg naszych włóczy?

Na moment poczucie ulgi sprawiło, że Galinie język stanął kołkiem w ustach. Sevanna nie wiedziała jednak o Czarnych Ajah. Dziękowałaby Światłości, gdyby jeszcze przynależała do niej duchowo. Teraz tylko ulga kazała jej zamilczeć i może odrobina urazy. Ośmieliły się zaatakować Aes Sedai, a potem dziwiły się, że kilka zginęło? Jednak na tyle tylko potrafiła się zdobyć. Mimo wszystko, czym były zniekształcone fakty w ustach Sevanny wobec całych dni bicia i oczu Theravy? Zbolały, skrzeczący śmiech był jedyną jej reakcją na absurdalność całej sytuacji. W gardle całkiem jej wyschło.

– Ciesz się, że choć niektóre wciąż jeszcze żyją-udało jej się wykrztusić przez ten śmiech. – Nawet teraz nie jest jeszcze za późno, by naprawić swoje błędy, Sevanno. -Z wysiłkiem przełknęła ponurą radość, zanim ta zamieniła się w łzy: Ledwie jej się udało. – Kiedy powrócę do Wieży, na zawsze zapamiętam tych, którzy mi pomogli, choćby nawet dopiero teraz. – Mogłaby dodać: “oraz tych, którzy zachowali się dokładnie odwrotnie”, ale niewzruszone spojrzenie Theravy sprawiło, że w żołądku zaczęło ją ścisnąć ze strachu. Na ile zrozumiała panujące tu zasady, Therava wciąż jeszcze mogła otrzymać wolną rękę, by robić z nią, co jej się spodoba. Musi być jakiś sposób, żeby skłonić Sevannę do... zajęcia się nią. Sama myśl smakowała gorzko, jednak wszystko lepsze od Theravy. Sevanna była ambitna i chciwa. Właśnie patrzyła na Galinę spod zmarszczonych brwi, ale kiedy przelotnie pochwyciła widok własnej dłoni, nie potrafiła się powstrzymać i uśmiechnęła się przelotnie, podziwiając pierścienie ze szmaragdami i ognistymi łzami. Połowę jej palców zdobiły pierścienie, na wypukłościach łona pyszniły się naszyjniki z pereł, rubinów i diamentów, które

zadowolili by każdą królową. Sevannie nie można było ufać, ale może da się ją kupić. Therava była jak siły przyrody, równie dobrze można by chcieć przekupić powódź czy lawinę. – Ufam, że postąpisz w zgodzie z rozsądkiem, Sevanno – zakończyła. – Nagroda za przyjaźń okazaną Wieży potrafi być doprawdy szczodra.

Przez dłuższą chwilę panowało milczenie, wyjąwszy szelest białych szat służby roznoszącej tace. Potem...

– Jesteś *da'tsang* – oznajmiła Sevanna. Galina zamrugła. Ona miała być godną pogardy? Z pewnością jasno jej swoją pogardę ukazały, jednak dlaczego?...

– Jesteś *da'tsang* – zaintonowała Mądra o okrągłej twarzy, której Galina nie знаła, a kobieta o dłoń wyższa od Theravy podchwyciła: – Jesteś *da'tsang*.

Jastrzębia twarz Theravy mogłaby chyba być wyrzeźbiona w drewnie, jednak jej oczy, których nie odrywała od Galiny, zaśniły oskarżycielsko. Galina poczuła się tak, jakby ją przykuto do miejsca, gdzie klęczała, niezdolna poruszyć choćby jednym mięśniem. Zahipnotyzowany ptak, który obserwuje podpełzającego coraz bliżej węża. Nigdy w życiu nikt jeszcze nie sprawił, by czuła się w taki sposób. Nikt.

– Trzy Mądre przemówiły. – Pełen satysfakcji uśmiech Sevanny był niemalże pełen wdzięczności. Therava jednakże miała ponurą twarz. Tej kobiecie nie przypadło do gustu to, co się właśnie stało. A coś się wydarzyło, nawet jeśli Galina nie potrafiła tego dokładnie określić. Wyjąwszy przecucie, że oto właśnie zabrały ją z rąk Theravy. A tego było aż nadto, przynajmniej w tym momencie. Aż nadto.

Kiedy Panny rozcięły jej więzy i odziały brutalnie w czarną wełnianą szatę, była tak wdzięczna, że prawie nie obeszło jej, iż najpierw zdarły z niej nędzne pozostałości bielizny, wprost na oczach tych wszystkich mężczyzn o lodowatym spojrzeniu. W grubych wełnach było gorąco, drapały ją, urażały nie zagojone rany, a jednak ich dotyk na skórze zdawał jej się gładki niczym jedwab. Mimo iż Micara wciąż trzymała jej tarczę, gotowa była się śmiać, gdy Panny wyprowadzały ją z namiotu. Nie minęło jednak wiele czasu, a to pragnienie rozwiało się jak dym. Prawie natychmiast zaczęła się zastanawiać, czy błaganie Sevanny na kolanach nie byłoby najlepszym wyjściem. Nie wahałaby się teraz ani chwili, gdyby ją tylko do niej dopuszczono, gdyby Micara nie dała całkowicie jasno do zrozumienia, że będzie mogła pójść tylko tam, dokąd pójdzie jej każą, i nie wypowie słowa, aż się do niej nie odezwą.

Z zaplecionymi na piersiach rękami, Sevanna obserwowała, jak Aes Sedai, którą uczyniono *da'tsang*, chwiejnie schodzi z górskiego zbocza i zatrzymuje się obok Panny kucającej z różgą w dłoni, a potem upuszcza głaz wielkości głowy, który niosła w rękach. Rozcięcie czarnego kaptura na moment zwróciło się w jej stronę, ale natychmiast prawie *da'tsang* pochyliła się, szybko podnosząc następny wielki kamień, i zawróciła, by przejść pięćdziesiąt kroków do miejsca, gdzie Micara czekała w towarzystwie drugiej Panny. Tam upuściła niesiony właśnie kamień, podniosła z ziemi następny i ruszyła w dół. *Da'tsang* zawsze czekała hańba bezużytecznej pracy, przynajmniej póki nie pojawiła się naprawdę dojmująca potrzeba. Tej kobiecie nie pozwolą unieść nawet kubka wody, jednak jej godziny wypełni bezcelowa mordęga, póki nie będzie gotowa eksplodować od zaznanej hańby. Słońce miało jeszcze sporo drogi do szczytu nieboskłonu, a takich dni czekało ją wiele.

– Nie sądzę, byśmy doczekały się samopotępienia z jej własnych ust – oznajmiła Rhiale, stojąca obok Sevanny. – Efaelin oraz pozostałe są prawie pewne, że otwarcie przyznała się do zabicia Desaine.

– Ona jest moja, Sevanno. – Therava zacisnęła usta. Wcześniej mogła rościć sobie prawo do kobiety, ale teraz już nie. *Da'tsang* nie należeli do nikogo. – Zamierzałam ją ubrać w jedwabne szaty *gai'shain* – wymruczała. – Jaki jest cel tego wszystkiego, Sevanno? Oczekiwałam, że będę się musiała kłócić, aby jej nie podcięto gardła, ale nie o coś takiego.

Rhiale przekrzywiła głowę, rzuciła spod oka spojrzenie na Sevannę.

– Sevanna chce ją złamać. Długo rozmawialiśmy o tym, co powinniśmy zrobić, kiedy złapiemy jakąś Aes Sedai. Sevanna chce mieć wytresowaną Aes Sedai, która będzie nosić biel i jej służyć. Jednak Aes Sedai w czerni również się nadaje.

Sevanna poprawiła szal na ramionach, zirytowana tonem tamtej. Nie był jawnie szyderczy, ale pobrzmiwała w nim aż nazbyt wyraźnie prześmiewcza nuta, że Sevanna chce wykorzystać zdolność przenoszenia Aes Sedai jako surogat własnego braku. Niewykluczone, że okaże się to możliwe. Obok trójki Mądrych przeszli dwaj *gai'shain* niosący wielką okutą mosiądzem skrzynię. Niscy, o bladych twarzach, mąż i żona, byli lordem i damą w kraju zabójców drzew. Oboje skłonili głowy pokorniej, niż to się kiedykolwiek mogło udać Aielowi w bieli, ich ciemne oczy zwężał strach przed ostrym słowem, znacznie mniej bali się różg. Mieszkańców mokradeł można było ujeżdżać niczym konie.

– Kobieta już jest wytresowana – warknęła Therava. – Spoglądałam w jej oczy. Jest niby ptak trzepoczący w dłoniach i lękający się odlecieć.

– W ciągu dziewięciu dni? – zapytała z niedowierzaniem Rhiale, a Sevanna żywo pokręciła głową.

– Ona jest Aes Sedai, Theravo. Sama widziałaś, jak jej twarz pobladła z wściekłości, kiedy ją oskarżyłam. Słyszałaś, jak się śmiała, kiedy mówiła o pozabijaniu Mądrych. – Prychnęła ze zniecierpliwieniem i złością. – I słyszałaś, jak nam groziła. – Ta kobieta była równie podstępna jak zabójcy drzew, mówiła o nagrodzie, a równocześnie groziła milcząco, na wypadek, gdyby wizja nagrody nie podziałała. Czegóż jednak innego można było się spodziewać po Aes Sedai? – Złamanie jej zabierze dużo czasu, jednak nawet gdyby miało to trwać cały rok, ta Aes Sedai będzie jeszcze błagać, by pozwolono jej słuchać poleceń. – A kiedy już się to stanie... Aes Sedai oczywiście nie mogły kłamać, wcześniej oczekiwała, że Galina zaprzeczy jej oskarżeniu. Jednak kiedy już przysięgnie posłuszeństwo...

– Jeśli chcesz, by Aes Sedai słuchała twoich rozkazów – powiedział za nią męski głos – to mogę służyć ci pomocą.

Sevanna z niedowierzaniem odwróciła się na pięcie i zobaczyła Caddara stojącego zupełnie spokojnie, a wraz z nim kobietę – Aes Sedai – Maisię; oboje odziani byli w ciemne jedwabie i świetne koronki, tak jak sześć dni wcześniej; każde z nich miało zupełnie nie pasujący do tego stroju pękaty worek zwisający na pasku z ramienia. Caddar smagłą dłonią podał jej gładką białą różdżkę, długą mniej więcej na stopę.

– Jak się tu dostałeś? – zapytała, potem poczuła, jak usta zaciskają się jej w gniewie. Najwyraźniej dostał się tutaj tak samo, jak i przedtem przybył, jednak zaskoczyło ją jego pojawienie się w samym środku obozu. Porwała białą różdżkę, którą jej podawał, on zaś jak zawsze cofnął się na wyciągnięcie ramienia. – Po co tu przyszedłeś? – sprostowała swoje pytanie. – Co to jest? – Pałeczka, odrobinę węższa od przegubu jej dłoni, była gładka, wyjąwszy kilka dziwnych falistych symboli wrytych na jednym spłaszczonym końcu. Dotykaniem nie przypominała ani kości słoniowej, ani szkła. Palce czuły ziejący od niej chłód.

– Możesz to nazwać Różdżką Przysięg – odrzekł Caddar, ukazując zęby w grymasie, który bez wątpienia miał oznaczać uśmiech. – Nie dalej jak wczoraj dostała się w moje ręce i natychmiast pomyślałem o tobie.

Sevanna musiała się przemóc, by zacisnąć na różdżce palce dłoni, która jakby kierowana własną wolą, pragnęła odrzucić ją na bok. Wszyscy wiedzieli, do czego służyła Różdżka Przysięg Aes Sedai. Próbując nawet o tym nie myśleć, a cóż dopiero mówić, wsadziła ją za pas i odjęła dłonie.

Rhiale spod zmarszczonych brwi patrzyła na różdżkę przy talii Sevanny, a potem powoli uniosła wzrok, by spojrzeć jej twardo w oczy. Z towarzyszeniem szczękania bransolet Therava poprawiła szal na ramionach, a potem uśmiechnęła się nieznacznie, lecz z wyraźną rezerwą. Nie mogła nawet marzyć o szansie, by jedna z nich choćby dotknęła przelotnie różdżki, być może żadnych szans, by którakolwiek z pozostałych Mądrych dała się na to namówić. Ale wciąż pozostawała Galina Casban. Któregoś dnia się załame.

Maisia o kruczoczarnych oczach, stojąca nieco z tyłu za Caddarem, uśmiechnęła się równie przelotnie, jak wcześniej Therava. Zobaczyła i zrozumiała. Czujnie obserwowała wszystko, co się wydarzy, a potem poinformuje o tym mieszkańca mokradeł.

– Chodź – zwróciła się Sevanna do Caddara. – Napijemy się herbaty w moim namiocie. – Z pewnością nie podzieli się z nim wodą. Uniosła spódnice i ruszyła w górę zbocza.

Ku jej zaskoczeniu Caddar również okazał się spostrzegawczy.

– Musisz tylko kazać swojej Aes Sedai – zaczął, z łatwością dotrzymując jej kroku, dzięki swoim długim nogom. Znienacka uśmiechnął się, ukazując pełen garnitur zębów i zerkając na Rhiale oraz Theravę, dodając: – albo dowolnej kobiecie, która potrafi przenosić, trzymać różdżkę i wypowiedzieć te obietnice, które chcesz od niej uzyskać, podczas gdy któraś z pozostałych przeniesie trochę Ducha w liczbę. To te znaki na końcu różdżki – dodał, znacząco unosząc brwi. – Możesz jej użyć również do uwolnienia od przysięgi, ale to będzie znacznie bardziej bolesne. Przynajmniej tak mi powiedziano.

Palce Sevanny delikatnie musnęły różdżkę. Jednak bardziej szkło niż kość słoniowa, i naprawdę strasznie zimna.

– Działa tylko na kobiety? – Pierwsza zanurkowała w otwór namiotu. Mądre i przywódcy społeczności wojowników już zniknęli, ale kilkunastu obróconych w *gai'shain* zabójców drzew pozostawało wciąż w środku, klęcząc cierpliwie pod jedną ze ścian. Nikt jeszcze nigdy nie trzymał dla samego siebie kilkunastu *gai'shain*, a ona miała znacznie więcej. Trzeba będzie jednak wymyślić dla nich jakieś nowe miano, ponieważ i tak nigdy nie zrzucą bieli.

– Tylko na kobiety, które potrafią przenosić, Sevanno -odrzekł Caddar, wchodząc za nią do środka. Ton głosu tego człowieka był nieprawdopodobnie obraźliwy. Ciemne oczy jarzyły się nie skrywanym rozbawieniem. -Będziesz musiała poczekać, póki al'Thor nie wpadnie w twoje ręce, zanim dam ci coś, dzięki czemu będzie można go kontrolować.

Zdjął worek z ramienia i usiadł. Oczywiście nie zajął najbliższej poduszki. Maisia natomiast, najwyraźniej nie obawiając się ciosu nożem pod żebra, rozmościła się na poduszce tuż pod samym niemal bokiem Sevanny. Ta zmierzyła ją spojrzeniem z ukosa, a wówczas ona demonstracyjnie rozwiązała kolejną koronkę przy swojej bluzce. Sevanna nie pamiętała już, że łono tej kobiety było tak czarująco wypukłe. Jeśli już o tym mowa, twarz tamtej też zdawała się jakby jeszcze bardziej urodziwa. Musiała z całej siły powstrzymać się, by nie zazgrzytać zębami.

– Oczywiście – ciągnął dalej Caddar – jeśli masz na myśli jakichś innych mężczyzn... Jest rzecz nazywana krzesłem więzi. Związanie ludzi, którzy nie potrafią przenosić, jest znacznie trudniejsze niż w przypadku dysponujących Mocą. Być może krzesło więzi ocalało z Pęknięcia, ale musisz poczekać, póki go nie odnajdę.

Sevanna znowu przelotnie musnęła palcami różdżkę, potem niecierpliwie kazała jednemu z *gai'shain* przynieść filiżanki z herbatą. Mogła poczekać. Caddar był głupcem. Wcześniej czy później,

da jej wszystko, czego będzie chciała. A teraz dzięki różdżce mogła oderwać od niego Maisię. Z pewnością wówczas ta kobieta nie będzie go chronić. Za wszystkie obrazy, jakich od niego doznała, odzieje go w czern. Sevanna wzięła z podanej przez *gai'shain* tacy maleńką filiżankę z zielonej porcelany i własnoręcznie podała ją Aes Sedai.

– Jest przyprawiona miętą, Maisia. Przekonasz się, jak odświeża.

Kobieta uśmiechnęła się, ale te czarne oczy... Cóż, co można zrobić jednej Aes Sedai, będzie można zrobić i dwóm. Albo więcej.

– A co ze szkatułkami podróżnymi? – zapytała grzecznie Sevanna.

Caddar oddalił gestem *gai'shain* i poklepał leżący obok niego worek.

– Przywiozłem tyle tylko *nar'baha*... tak się właśnie nazywają... ile mogłem znaleźć.

Wystarczy, żebyście przed zmrokiem wszyscy przenieśli się na drugą stronę, jeśli tylko się pośpieszycie. A ja na waszym miejscu bym się spieszył. Al'Thor chce z wami skończyć, jak się wydaje. Dwa klany podążają do tego miejsca od południa, a dwa następne idą tu z północy, z gór. Wraz ze swoimi Mądrymi, gotowymi w każdej chwili do przenoszenia. Mają rozkazy, by nie odstępować, póki ostatni z was nie padnie martwy lub nie zostanie wzięty do niewoli.

Therava parsknęła.

– Jest to z pewnością powód, by ruszać, mieszkańcu mokradeł, ale nie by uciekać. Nawet cztery klany nie zajmą Sztyletu Zabójcy Rodu w ciągu jednego dnia.

– Nie mówiłem wam tego? – Uśmiech Caddara bynajmniej nie był miły. – Wychodzi na to, że al'Thor związał ze sobą również jakieś Aes Sedai, a one nauczyły Mądre, jak Podróżować bez *nar'baha*, przynajmniej na krótkie dystanse. Dwadzieścia lub trzydzieści mil. Najnowsze odkrycie, jak się wydaje. Mogą być tutaj, cóż... już dzisiaj. Wszystkie cztery klany.

Może kłamał, jednak ryzyko... Sevanna aż nazbyt dobrze potrafiła sobie wyobrazić uścisk dłoni Sorilei. Opanowała przesywający ją dreszcz i natychmiast posłała Rhiale, by poinformowała o wszystkim pozostałe Mądre. W jej głosie również nie sposób było usłyszeć jakiegokolwiek emocji.

Caddar sięgnął do worka i wydobył zeń szarą kamienną kostkę, znacznie mniejszą od szkatułki fonicznej, której użyła do wezwania go poprzednim razem, a także w mniej wyszukany sposób zdobioną, właściwie bez żadnych widocznych oznakowań prócz czerwonej kropki na jednej ze ścianek.

– Oto jest *nar'baha* – oznajmił. – Wykorzystuje *saidina*, tak że żadna z was niczego nie zauważy, lecz ma swoje ograniczenia. Jeśli dotknie go kobieta, nie będzie działał przez kilka następnych dni. Zatem sam będę musiał nimi operować. Poza tym brama raz otwarta, zamknie się po ściśle określonym czasie, wystarczającym jednak, by przeszło przez nią kilka tysięcy, jeśli nie będą się ociążać, a potem *nar'baha* będzie potrzebować trzech dni, by się ponownie naładować. Mam ich dosyć, by przenieść nas wszystkich tam, dokąd się udamy, ale...

Therava pochyliła się z takim napięciem, że groziło to przewróceniem się, lecz Sevanna ledwie słuchała tamtego. Jednocześnie nie wątpiła w słowa Caddara, nie odważyłby się jej zdradzić, zbyt żądny był złota, jakie mieli mu dać Shaido. Jednak nie podobało jej się kilka szczegółów. Maisia zastygła wpatrzona weń uważnie ponad krawędzią filiżanki. Dlaczego? A jeśli rzeczywiście aż tak się należało spieszyć, dlaczego w jego głosie nie było słyhać ponaglenia? Nie zdradzi jej, ale i tak postanowiła podjąć wszelkie środki ostrożności.

Maeric zmarszczył czoło i wbił wzrok w kostkę, którą podał mu mieszkaniec mokradeł, a potem zajrzał w... otwór... który pojawił się, gdy tylko nacisnął czerwoną kropkę. Otwór szeroki na pięć

kroków i wysoki na trzy, otwór w powietrzu. Za nim rozciągały się falujące wzgórza, nie takie wcale niskie, porośnięte zbrązowiałą trawą. Nie lubił rzeczy mających cokolwiek wspólnego z Jedyną Mocą, zwłaszcza z jej męską częścią. Sevanna wraz z mieszkańcem mokradeł i ciemnowłosą kobietą przeszli przez kolejny, znacznie mniejszy otwór, w ślad za Mądrymi, które wybrały się razem z Rhiale. Tylko garstka Mądrych została z Moshaine Shaido. Przez tamten drugi otwór mógł widzieć Sevannę rozmawiającą z Benduin. Szczepowi Zielonej Soli również nie pozostanie zbyt wiele ich Mądrych, Maeric nie miał co do tego wątpliwości.

Dyrele dotknęła jego ramienia.

– Mężu – mruknęła – Sevanna powiedziała, że pozostanie otwarty tylko przez jakiś czas.

Maeric skinął głową. Dyrele zawsze potrafiła dojrzeć samą istotę problemu. Zasłonił twarz i pobiegnął przed siebie, a potem skoczył przez otwór, który wcześniej stworzył. Cokolwiek mówili Sevanna i mieszkaniec mokradeł, nie wysze przodem żadnego ze swych Moshaine, póki sam się nie przekona, że jest to bezpieczne.

Wylądował ciężko na stoku pokrytym zeschniętymi liśćmi i omalże nie pokoziołkował w dół, wyhamował jakoś jednak swój pęd. Przez chwilę spoglądał na wejście do otworu. Po tej stronie jego wylot znajdował się dobrą stopę ponad powierzchnią ziemi.

– Żono! – zawołał. – Tu jest niżej!

Czarne Oczy zaczęli przeskakiwać na drugą stronę, zasłonięci, z gotowymi włóczyniami, prawie natychmiast ruszyły też Panny. Równie dobrze można by próbować ugasić pragnienie piaskiem, jak powstrzymać Panny przed wysforowaniem się naprzód. Reszta Moshaine biegiem podążyła za nimi, *algai'd'siswai* oraz żony i dzieci, większość ciągnęła za sobą ciężko obciążone konie juczne i muły; razem było ich prawie sześć tysięcy. Jego szczep, jego ludzie. Dalej tak będzie, kiedy tylko pójdzie do Rhuidean, Sevanna nie da rady dłużej już powstrzymać go przed zostaniem wodzem klanu.

Zwiadowcy rozproszyli się natychmiast, nie czekając, aż reszta szczepu pokona otwór. Maeric opuścił zasłonę, potem wykrzyczał rozkazy, w myśl których *algai'd'siswai* mieli tyralierą skierować się w kierunku grzbietów otaczających wzgórz, natomiast wszyscy pozostali nie ruszać się z ukrycia poniżej. Nie sposób było powiedzieć, kto lub co kryje się za tymi wzgórzami. Bogate ziemie, twierdził mieszkaniec mokradeł, ale ta ich część na szczególnie bogatą mu nie wyglądała.

Potok ludzi jego szczepu zmienił się w zalew *algai'd'siswai*, którym tak naprawdę nie bardzo ufał, ludzi, którzy uciekli ze swoich klanów, ponieważ nie wierzyli, że Rand al'Thor naprawdę jest *Car'a'carnem*. Maeric nie był do końca pewien, w co on sam wierzy, jednak mężczyzna nie powinien porzucać szczepu i klanu. Ci ludzie kazali określać się mianem *Mera'din*, Pozbawionych Braci, całkiem stosowne miano, a on miał dwie set...

Otwór nagle skurczył się w pionową pręgę srebra, która przecięła na pół dziesięciu Pozbawionych Braci. Fragmenty ciał posypały się na stok: ramiona, nogi. Przednia połowa człowieka ześlizgnęła się niemalże do stóp Maerica.

Wpatrzony ogłupiałym wzrokiem w miejsce, gdzie przed chwilą jeszcze był otwór, potarł kciukiem czerwoną kropkę. Bezużytecznie, wiedział jednak... Darin, jego najstarszy syn był jednym z Kamiennych Psów czekających w tylnej straży. Ostatni mieli przejść na drugą stronę. Suraile, jego najstarsza córka, została z Kamiennym Psem, dla którego myślała o porzuceniu włóczni.

Jego wzrok zetknął się ze spojrzeniem Dyrele, jej oczy były tak zielone i piękne, jak owego dnia, gdy położyła wianek u jego stóp. I zagroziła, że poderżnie mu gardło, jeśli go nie podniesie.

– Możemy poczekać - powiedziała cicho. Mieszkaniec mokradeł mówił o trzech dniach, ale mógł się mylić. Znowu dźgnął kciukiem czerwoną kropkę. Dyrele pokiwała uspokajająco głową.

Miał nadzieję, że nie będą mieli powodów do wypłakiwania się wzajem w swoich ramionach, gdy już zostaną sami.

Ze stoku ponad nimi zbiegła Panna, pośpiesznie opuściła zasłonę i okazało się, że naprawdę ciężko dyszy.

– Maeric – powiedziała Naeise, nie czekając nawet, aż wypowie zwyczajowe słowa pozdrowienia – na wschodzie są włócznie, tylko kilka mil stąd i biegną prosto na nas. Sądzę, że to Reyn. Przynajmniej siedem lub osiem tysięcy.

Widział już innych *algai'd'siswami* pędzących w jego stronę. Młody Brat Orła, Cairdin, z poślizgiem przystanął, i zaczął mówić, gdy tylko Maeric go “zobaczył”.

– Widzę cię, Maeric. Na północy, nie dalej niż pięć mil są włócznie i mieszkańcy mokradeł na koniach. Być może po dziesięć tysięcy jednych i drugich. Nie przypuszczam, by widzieli któregoś z nas ponad grzbietem wzgórza, ale już niektóre włócznie zwróciły się w naszą stronę.

Maeric już wiedział, zanim nawet posiwiały Poszukiwacz Wody imieniem Laerad otworzył usta:

– Włócznie przechodzą przez wzgórze, trzy, cztery mile na południe. Osiem tysięcy albo więcej. Zobaczyli moich chłopców. – Laerad nigdy nie marnował słów, nigdy też by nie powiedział, którego mianowicie z chłopców tamci zobaczyli, chłopcem zaś z kolei mógłby być każdy z jego ludzi, kto jeszcze nie dorobił się siwizny na głowie.

Maeric zdawał sobie doskonale sprawę, że nie ma czasu na zbędne słowa.

– Hamal! – krzyknął. Nie było czasu na okazywanie kowalowi stosownej grzeczności.

Potężny mężczyzna wiedział już, że sytuacja jest poważna, gramolił się po stoku, poruszając się chyba szybciej niż kiedykolwiek od czasów, gdy wziął po raz pierwszy młot do ręki.

Maeric podał mu kamienną kostkę.

– Musisz dusić tę czerwoną kropkę i nie ustawać, niezależnie od tego, co się będzie działo i jak długo to potrwa, nim pojawi się otwór. To dla nas wszystkich jedyne wyjście. – Hamal pokiwał głową, ale Maeric nie czekał nawet, aż tamten powie, że tak uczyni. Hamal zrozumie. Maeric dotknął policzka Dyrele, nie dbając, ile par oczu na nich spogląda. – Cieniu mego serca, musisz się przygotować do wdziania bieli. – Jej dłoń pomknęła ku rękojeści noża, była Panną, kiedy składała u jego stóp wianek, ale on pokręcił zdecydowanie głową. – Musisz żyć, żono, pani dachu, aby zadbać o tych, co pozostaną. – Przytaknęła i dotknęła palcem jego policzka. Był tym zdumiony: w obecności innych zawsze zachowywała się nadzwyczaj powściągliwie.

Unosząc zasłonę, Maeric potrząsnął ponad głową jedną z włóczni.

– Moshaine! – zagrzmiął. – Ruszamy do tańca!

Pobiegli za nim w górę stoku, mężczyźni i Panny, w sile niemalże tysiąca, jeśli liczyć Pozbawionych Braci. Być może należało ich jednak zaliczyć do szczepu. W górę stoku i na zachód – w stronę, gdzie znajdowali się najbliżsi i najmniej liczni wrogowie. Być może uda im się zdobyć dość czasu, chociaż tak naprawdę nie potrafił w to uwierzyć. Zastanowił się jeszcze przelotnie, czy Sevanna wiedziała. Ach, świat zmienił się w dziwne miejsce, od czasu, gdy nastał al'Thor. Jednak pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Śmiejąc się, zaczął śpiewać.

*Czyścimy włócznie – kiedy słońce wysoko stoi.*

*Czyścimy włócznie – i gdy zachodzi nam.*

*Czyścimy włócznie – Kto śmierci się boi?*

*Czyścimy włócznie – Nikt, kogo znam!*

Śpiewając, Moshaine Shaido pobiegli, by zatańczyć ze swoją śmiercią.

Graendal, marszcząc brwi, obserwowała, jak brama zamyka się za ostatnimi z Jumani Shaido. Za Jumani oraz grupą Mądrych. Inaczej niż w przypadku pozostałych, Sammael nie zapętlił tego splotu, tak że w końcu sam musiał się rozpaść. W każdym razie zakładała, że przytrzymał go aż do przejścia ostatnich, zamknięcie bramy niemal tuż na piętach ostatnich odzianych w szaro-brązowe ubiory postaci byłoby zbyt wielkim kuszeniem losu. Sammael śmiejąc się, odrzucił worek, wciąż jednak trzymał w dłoni te kilka bezużytecznych kawałków kamienia. Ona sama już dawno temu upuściła swój pusty worek. Słońce zachodziło za górami, widoczna była jeszcze tylko połowa rozplamionej czerwieni tarczy.

– Któregoś dnia – oznajmiła sucho – okażesz się zbyt sprytny i przedobrzysz. Szkatułka głupca, Sammaelu? Założmy, że któreś z nich jednak by się domyśliło?

– Żadnemu się nie udało – odparł zwyczajnie, ale nie przestawał zacierać rąk i wpatrywać się w miejsce, gdzie przedtem była brama. Albo może w jakieś miejsce za nią. Wciąż miał na sobie Maskę Zwierciadeł, otoczony iluzją dodającą mu wzrostu. Ona odrzuciła swoją, gdy tylko brama się zamknęła.

– Cóż, z pewnością udało ci się wywołać w nich panikę. – Wokół nich leżały rozrzucone świadectwa popłochu: kilka niskich namiotów wciąż stało, koce, garnek, szmaciana lalka, wszelkie rodzaje śmiecia, które leżały tam, gdzie upadły. -Gdzie ich wysłałeś? Jak przypuszczam, gdzieś na czoło armii al'Thora?

– Mniej więcej – odparł nieobecny głosem. – Wystarczy. – Towarzyszące niespodzianemu zamyśleniu martwe spojrzenie zniknęło. Razem z nim rozwiała się również Maska Zwierciadeł. Blizna przecinająca twarz zdawała się tętnić wściekłością. – Wystarczająco wielu, by narobić kłopotów, zwłaszcza że mają ze sobą te Mądre, które potrafią przenosić, ale nie aż tylu, by ktokolwiek mnie podejrzewał. Resztę rozproszyłem od Illian do Ghealdann. Chcesz wiedzieć, jak i dlaczego? Może al'Thor to zrobił dla jakichś swoich własnych powodów, ja jednak z pewnością nie zmarnowałbym większości z nich, gdyby to było moje dzieło, nieprawdaż? – Zaśmiał się znowu, zachwycony własną błyskotliwością.

Wyglądziła stanik sukni, aby ukryć przeszywający ją dreszcz. Tego rodzaju współzawodnictwo było zdecydowaną głupotą – powtarzała to sobie dziesiątki tysięcy razy, ale ani razu nie posłuchała własnych słów – zdecydowaną głupotą, a teraz czuła się tak, jakby suknia w każdej chwili mogła się z niej zsunąć. Co nie miało nic wspólnego z dreszczem, który ją przenikał. Nie wiedziała, czy Sevanna rzeczywiście wzięła wszystkie potrafiące przenosić kobiety ze sobą. Może nadszedł wreszcie czas, żeby go opuścić? Gdyby zdała się na łaskę Demandreda...

Jakby zdolny był czytać jej myśli, powiedział:

– Jesteś związana ze mną tak mocno jak mój pas, Graendal. – Otworzyła się brama, ukazując jego prywatne apartamenty w Illian. – Prawda nie ma już żadnego znaczenia, o ile kiedykolwiek w ogóle miała. Albo zostaniesz wyniesiona razem ze mną, albo razem upadniesz. Wielki Władca nagradza sukcesy i nigdy nie interesuje go, w jaki sposób zostały osiągnięte.

– Jako rzeczesz – odparła. Demandred nie miał litości. A Semirhage... – Wyniesiona lub stracona razem z tobą. – A jednak coś trzeba będzie wymyślić. Wielki Władca nagradzał sukcesy, ale Sammael nie pociągnie jej za sobą, jeśli upadnie. Otworzyła bramę do swego pałacu w Arad Doman, na długą komnatę otoczoną kolumnadą, gdzie mogła już widzieć swoje pieszczoszki igrające w basenie. – Ale co jeśli al'Thor osobiście przyjdzie po ciebie? Co wtedy?



– Al’Thor nie przyjdzie po nikogo – roześmiał się Sammael. – Wystarczy, że tylko będę czekał, nic więcej robić nie muszę. – Wciąż śmiejąc się, przeszedł przez bramę i pozwolił, by sama się zamknęła.

Myrddraal wyszedł z najgłębszych cieni, stał się widzialny. Przed oczami wciąż miał pozostałości bramy – trzy łaty lśniącej mgiełki. Nie potrafił wyodrębnić splotów, jednak zdolny był zapachem odróżnić *saidina* o d *saidara*. *Saidin* pachniał jak ostrze noża, czubek ciernia. *Saidar* pachniał miękko, ale jak coś, co będzie twardniało w miarę wywieranego nacisku. Żaden inny Myrddraal nie potrafiłby wyczuć różnicy. Shaidar Haran nie był jednak taki jak inne Myrddraale.

Podniósł upuszczoną włócznię i wykorzystał jej grot do otwarcia worka, który Sammael odrzucił, a potem zaczął grzebać w kamiennych odłamkach, które zeń wypadły. Dużo działo się rzeczy, których nikt nie zaplanował. Trudno powiedzieć, czy te wydarzenia dodatkowo wzmogą chaos, czy też...

Wściekłe czarne płomienie pomknęły po drzewcu od dłoni Shaidara Harana, dłoni Ręki Cienia. W jednej chwili drewniane drzewce zwęgliło się i poskręcało, grot odpadł. Myrddraal upuścił poczerńiały kij na ziemię i otrzepał sadzę z wierzchu dłoni. Jeśli Sammael służył chaosowi, wszystko było w porządku. Jeśli nie...

Poczuł nagłe ukłucie bólu w plecach, lekka słabość ogarnęła jego członki. Za daleko od Shayol Ghul. Więż musiała zostać jakoś osłabiona. Z warknięciem odwrócił się, by znaleźć skraj cienia, którego potrzebował. Ten dzień się zbliżał. Niebawem nadejdzie.

# ROZDZIAŁ 22

## KORONA MIECZY

Rand rzucał się na łóżku, nękany szalonymi snami, w których klócił się z Perrinem, błagał Mata, aby ten odnalazł Elayne, w których kolorowe plamy migotały tuż na skraju pola widzenia, a Padan Fain rzucał się na niego z połyskliwym ostrzem, i w których wydawało mu się, że słyszy czyjś głos, dobiegający z samego serca mgły, oplakujący zmarłą kobietę. Śnił, że próbuje się wytłumaczyć przed Elayne, przed Aviendhą, Min, przed wszystkimi trzema równocześnie, i że nawet Min patrzyła na niego z pogardą.

– ...nie wolno przeszkadzać! – Głos Cadsuane. To też mu się śniło?

Ten głos przerażał go; w swoim śnie wołał krzykiem Lewsa Therina i ten krzyk rozbrzmiewał echem pośród gęstej mgły, w której poruszały się jakieś kształty, w której rozlegał się wrzask umierających ludzi i rzenie zdychających koni, w której dysząc ciężko, uciekał przed goniącą go zawzięcie Cadsuane. Alanna próbowała go uspokoić, ale ona też bała się Cadsuane, czuł jej strach równie silnie jak własny. Bolała go głowa. I bok, stara blizna paliła jak ogień. Czuł *saidina*. Ktoś obejmował *saidina*. Czyżby on sam? Nie miał pojęcia. Ze wszystkich sił starał się przebudzić.

– Zabijecie go! – krzyknęła Min. – Nie pozwolę wam go zabić!

Otworzył oczy, nad sobą zobaczył jej twarz. Nie patrzyła na niego, tuliła jego głowę w ramionach i piorunowała wzrokiem kogoś, kogo z łoża nie potrafił dostrzec. Miała zaczerwienione oczy. Płakała pewnie, ale teraz już przestała. Tak... spoczywał we własnym łożu, w swoich komnatach Pałacu Słońca. Widział ciężkie kanciaste wsporniki z czarnego drewna, inkrustowane kością słoniową. Min, odziana w bluzkę z kremowego jedwabiu, leżała obok niego, na jedwabnej narzucie, którą był nakryty po szyję, opiekuńczo chroniąc go swoim ciałem. Alanna bała się; to uczucie dygotało w zakamarku myśli. Bała się o niego. Tego był całkowicie pewien, choć nie wiedział skąd.

– On się chyba obudził, Min – zauważyła łagodnie Amys.

Min spojrzała na niego i jej twarz, okoloną ciemnymi kosmykami włosów, rozpromienił nagły uśmiech.

Ostrożnie – ponieważ czuł się naprawdę bardzo słaby -odsunął jej rękę i usiadł. Kręciło mu się w głowie, ale opanował się i nie położył na powrót. Jego łoże otaczał krąg ludzi.

Po jednej stronie stała Amys, u jej boków Bera i Kiruna. Młodzieńcze rysy twarzy Amys nie wyrażały nic, jednak odgarnęła swe długie siwe włosy i poprawiła szal w taki sposób, jakby szykowała się do walki. Obie Aes Sedai wydawały się spokojne, ale był to spokój pełen determinacji, jak spokój królowej gotowej walczyć o swój tron czy wieśniaczki zdecydowanej nie oddać farmy. Dziwne, trzy osoby stojące razem – razem, nie tylko obok siebie – ile już razy widywał grupki ludzi, stojących ramię przy ramieniu, ale nigdy nie stanowili takiej jedności, jak te trzy.

Samitsu, po drugiej stronie łoża, z nieodłącznymi srebrnymi dzwoneczkami we włosach i jeszcze jakaś szczupła siostra o gęstych czarnych brwiach i zwichrzonych kruczoczarnych włosach, stały obok Cadsuane, która wsparła pięści na biodrach. Samitsu i ta druga Aes Sedai miały szale z żółtymi frędzlami i obie zaciskały usta równie mocno jak Bera albo Kiruna, jednak surowe spojrzenie Cadsuane sprawiało, że miny wszystkich czterech były co najmniej nietęgę. Kobiety z obu grup nie patrzyły wzajem na siebie, tylko na mężczyzn.

U stóp łoża stał Dashiva ze srebrnym mieczem i czerwono-złotym Smokiem połyskującymi w kołnierzu, tuż obok niego Flinn i Narishma, wszyscy trzej ponurzy, starając się z kolei nie spuszczać z

oka kobiet. I jeszcze Jonan Adley, w czarnym kaftanie z osmalonym rękawem. Żaden nie wypuszczał *saidina*, wypełniał ich bodaj do granic możliwości. Dashiva pochwycił tyle niemal, ile sam Rand zdolny byłby zaczerpnąć. Adley poczuł na sobie wzrok Randa i nieznacznie skinął głową.

Rand zorientował się nagle, że pod narzutą, która zsunęła mu się do pasa, jest całkiem nagi, a jego tors osłaniają tylko sploty bandaża.

– Jak długo spałem? – zapytał. – Jak to się stało, że żyję? – Ostrożnie dotknął bandaża. – Sztylet Faina pochodzi z Shadar Logoth. Widziałem raz, jak zwykle draśnięcie w przeciągu kilku chwil zabiło człowieka. Umarł szybko i w męczarniach. – Dashiva cicho skłął imię Padana Faina.

Samitsu i pozostałe Żółte wymieniły zaskoczone spojrzenia, ale Cadsuane przytaknęła tylko żywo, aż zakółsały się złote ozdoby w siwym koczku.

– Tak... Shadar Logoth, to istotnie wyjaśnia kilka spraw. Możesz podziękować Sumeko i panu Flinnowi za to, że żyjesz. – Nie spojrzała na szpakowatego mężczyznę, za to ów uśmiechnął się szeroko, jakby wręcz złożyła mu głęboki pokłon. A co jeszcze dziwniejsze, Żółte siostry rzeczywiście popatrzyły nań i skłoniły głowy. – I oczywiście obecnej tu Corele również – ciągnęła Cadsuane. – Każde z nich zrobiło, co w jego mocy, w tym kilka rzeczy, jakich, moim zdaniem, świat nie widział od Pęknięcia. – Jej głos nabrał ponurych barw. – Bez całej tej trójki już byś nie żył. Nadal możesz umrzeć, o ile nie będziesz słuchał zaleceń. Odpoczywać, unikać wysiłku. – W brzuchu zaburzało mu nagle głośno i wtedy dodała: – Od czasu, gdy zostałeś ranny, udało nam się wlać ci do gardła jedynie odrobinę wody i bulionu. Dwa dni bez jedzenia to o wiele za długo dla chorego.

Dwa dni. Tylko dwa. Unikał patrzenia na Adleya.

– Wstaję – oznajmił.

– Nie pozwolę, żeby oni cię zabili, pasterzu – odezwała się Min z iskrą uporu w oku – ale nie pozwolę też, byś sam się zabił. – Objęła go ramionami, jakby chciała przytrzymać.

– Jeżeli *Car'a'carn* życzy sobie wstać – rzekła beznamiętnie Amys – każe Nanderze, by sprowadziła z korytarza Panny. Somera i Enaila będą szczególnie uradowane, że mogą mu w tym asystować. – Kąciki jej ust zadrgały, jakby chciała się uśmiechnąć. Jako była Panna, wiedziała dość, by rozumieć sytuację. Ani Kiruna, ani Bera nie uśmiechnęły się, przyglądając mu się krzywo, jakby był skończonym durniem.

– Chłopcze – rzekła sucho Cadsuane – napatrzyłam się na twoje włochate pośladki więcej, niż bym sobie tego życzyła, ale jeśli już koniecznie chcesz z nimi paradować w obecności wszystkich nas sześciu, to proszę bardzo, może którąś ucieszy taki pokaz. Jeśli jednak padniesz na twarz, to niewykluczone, że dam ci kilka klapsów przed ponownym położeniem do łóżka. – Z min Samitsu i Corele wyraźnie wynikało, że w takim przypadku chętnie służyć jej będą wszelką pomocą.

Narishma i Adley, dogłębnie wstrząśnięci, spojrzeli na Cadsuane, a Flinn zajął się energicznym wygładzaniem kaf tara, jakby chciał ukryć ten nieustanny wewnętrzny spór, który nim targał. Dashiva natomiast zaniósł się gardłowym śmiechem.

– Jeśli chcesz, żebyśmy wyprowadzili stąd te kobiety... – I zaczął tkać sploty, nie tarcze, ale skomplikowane sploty Ducha i Ognia; Rand podejrzewał, że nałożone na kogoś, spowodowałyby ból zbyt wielki, by taka osoba bodaj pomyślała o przenoszeniu.

– Nie – powiedział szybko. Bera i Kiruna usłuchają, jeśli zwyczajnie każe im wyjść, a z kolei Corele i Samitsu, choćby za to, że pomogły uratować mu życie, zasłużyły sobie na coś więcej niż wicie się w boleściach. Ale jeśli Cadsuane uważała, że wstyd przed własną nagością zatrzyma go w łóżku, to czekała ją niespodzianka. Zresztą nie sądził, by po tym, co przeszedł z Pannami, dalej był aż tak nieśmiały. Uśmiechając się do Min, rozplótł jej ramiona, odrzucił narzutę i wstał z łóżka, z tej strony, gdzie czuwała Amys. Mądra zacisnęła usta, prawie widział, jak się zastanawia, czy nie

wezwać Panien. Bera rzuciła zbolale, niepewne spojrzenie na Amys, a Kiruna pospiesznie odwróciła się tyłem, z pociemniałymi policzkami. Powoli podszedł do szafy. Powoli, ponieważ spodziewał się, że Cadsuane mogłaby naprawdę ziścić swoje obietnice, gdyby próbował poruszać się szybko.

– Faj! – mruknęła za jego plecami. – Przysięgam, naprawdę powinnam dać temu upartemu chłopcu klapsa w siedzenie. – Ktoś chrząknął, ale nie wiadomo, czy na znak, że się z zgadza z tym, co zrobił, czy też, wyrażając swoją dezaprobatę.

– No tak, ale czyż nie jest to piękne siedzenie? – spytała któraś śpiewnym murandiańskim akcentem. To musiała być Corele.

Dobrze, że akurat schował głowę do szafy. Może jednak wysiłki Panien spełzły na niczym, a jemu zostały jeszcze jakieś resztki przyzwoitości. Na Światłość! Miał wrażenie, że twarz mu płonie. W nadziei że, ubierając się, ukryje zawstydzenie, pośpiesznie wdział swoje rzeczy. Miecz stał wsparty o boczną ścianę szafy, pas owinięty był wokół ciemnej pochwy ze skóry dzika. Dotknął długiej rękojeści, po czym odjął rękę.

Na boso odwrócił się do tamtych, jeszcze kończąc zawiązywać tasiemki przy koszuli. Min siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łożu, w obcisłych spodniach z zielonego jedwabiu, sądząc z wyrazu twarzy, nie mogła zdecydować, co okazać: aprobatę czy raczej frustrację.

– Muszę pogadać z Dashivą i innymi Asha'manami -powiedział. – Sam.

Min zeszła z łoża i podbiegła, by go objąć. Nie mocno, bardzo uważała na jego zabandażowany bok.

– Zbyt długo czekałam, by zobaczyć cię znowu przytomnego – oznajmiła, delikatnie obejmując go w pasie. -Muszę być z tobą. – Ostatnie zdanie lekko zaakcentowała, zapewne miała widzenie. A może chciała tylko mu pomóc pewniej stanąć na nogach, jej uścisk dawał oparcie. Tak czy owak, zgodził się, gdyż nie czuł się najlepiej. Położywszy dłoń na jej ramieniu, nagle zrozumiał, że wcale nie ma ochoty, aby nie tylko Cadsuane czy Amys dowiedziały się o jego słabości, ale to samo odnosi się do Asha'mani.

Bera i Kiruna dygnęły niechętnie i ruszyły w stronę drzwi, po chwili jednak przystanęły, widząc, że Amys nawet nie drgnęła.

– Pod warunkiem, że nie przyjdzie ci do głowy opuszczać tych pokoi – oświadczyła Mądra, takim tonem, jakby zapomniała, że przemawia do *Car'a'carna*.

Rand podniósł bosą stopę.

– Czy ja wyglądam, jakbym się dokądś wybierał? -Amys prychnęła, ale spojrzawszy raz na Adleya, skinęła na Berę i Kirunę i wszystkie trzy wyszły razem.

Cadsuane i pozostałe dwie Aes Sedai przez moment zwlekały z odejściem. Siwowłosa Zielona też zerknęła na Adleya. Nie było wielką tajemnicą, że ten zniknął z Cairhien na kilka dni. Przy drzwiach zatrzymała się.

– Tylko nie zrób niczego głupiego, chłopcze – powiedziała tonem surowej ciotki, przestrzegającej ofermowatego siostrzeńca, która wszakże nie bardzo liczy na to, że ów jej usłucha. Samitsu i Corele wyszły zaraz za nią, wcześniej jednak poczęstowawszy i jego, i Asha'manów ponurymi spojrzeniami. Kiedy już sobie poszły, Dashiva zaczął się śmiać, głośno charcząc i kręcąc głową, chyba naprawdę setnie się tym wszystkim ubawił.

Rand odsunął się od Min, żeby wziąć swoje buty stojące obok szafy, potem wygrzebał z jej czeluści parę skarpet.

– Dołączę do ciebie w przedsionku, gdy tylko się obuję, Dashiva.

Asha'man o pospolitej twarzy wzdrygnął się. Przedtem przyglądał się ze zmarszczonymi brwiami Adleyowi.

– Jak każesz, Lordzie Smoku – odparł, przyciskając pięść do serca.

Zaczekawszy, aż czterej mężczyźni wyjdą, Rand z ulgą osunął się na krzesło i zaczął wkładać skarpety. Był przekonany, że nogi ma teraz trochę silniejsze, choćby dlatego, że wstał i rozruszał się. Silniejsze, ale nadal nie bardzo chciały go nosić.

– Jesteś pewien, że to rozsądne?– spytała Min, klękając obok krzesła, a on spojrzał na nią zaskoczony. Gdyby mówił przez sen podczas tych dwóch dni, Aes Sedai by wiedziały... Amys kazałaby Enaili, Somerze i pięćdziesięciu innym Pannom czekać na jego przebudzenie.

Skończył wkładać skarpety.

– Miałaś widzenie?

Min przysiadła na piętach, splatając ręce na piersiach i spojrzała na niego surowym wzrokiem. Po chwili stwierdziła, że to jednak nie działa, toteż westchnęła.

– Chodzi o Cadsuane. Ona nosi się z zamiarem udzielenia wam lekcji, tobie i Asha'manom. Wszystkim Asha'manom. Nie mam pojęcia, czego dokładnie chce was nauczyć, ale wiem z całą pewnością, że nie spodoba się to żadnemu z was.

Rand znieruchomiał na chwilę, z jednym butem w ręku, po czym wsunął w niego stopę. Czego mogłaby Cadsuane, tudzież dowolna Aes Sedai nauczyć Asha'manów? Przecież kobiety nie mogły udzielać żadnych nauk mężczyznom, podobnie jak mężczyźni kobietom: fakt ten niewzruszenie wynikał z natury Jedynej Mocy.

– Jeszcze zobaczymy. – Tyle tylko powiedział.

Min jednakże nie mogło to wystarczyć. Doskonale wiedziała, że jej słowa się sprawdzają, podobnie jak on to wiedział – nigdy się nie myliła. Tylko czegoż to mogłaby go nauczyć Cadsuane? I czy rzeczywiście pragnąłby od niej nabyć jakiegokolwiek wiedzy? Ta kobieta odbierała mu pewność siebie, w jej obecności targał nim niepokój, jakiego nie czuł od upadku Kamienia Łzy.

Tupnął nogą, by dopasować drugi but, po czym wyjął z szafy pas od miecza oraz czerwony kaftan ozdobiony złotem, ten sam, który przywdział na czas wizyty u Ludu Morza.

– Jakiego targu dobiła w moim imieniu Merana? – spytał, a Min zareagowała na to z początku nieartykułowanym, rozdrażnionym dźwiękiem.

– Do dziś rana niczego nie załatwiła– odparła po chwili z irytacją. – Obie z Rafelą nie zeszły dotąd ze statku, za to przysłały pół tuzina listów, w których pytają, czy już wydobrzałeś na tyle, by tam wrócić. Coś czuję, że bez ciebie rozmowy chyba nie idą im dobrze. Ale zapewne nie ma szans, żebyś wybrał się na statek?

– Nie teraz – odparł. Min nie odezwała się, ale za to całą swoją postawą: pięści wsparte na biodrach, brew uniesiona wysoko, dawała jasno do zrozumienia, co myśli na ten temat. Cóż, już niebawem dowie się wszystkiego, a przynajmniej prawie wszystkiego.

Kiedy Rand pojawił się w przedsionku, razem z towarzyszącą mu Min, wszyscy Asha'mani z wyjątkiem Dashivy poderwali się z krzesel. Dashiva, który gapił się w przestrzeń pustym wzrokiem i gadał coś do siebie, nie zauważył Randa, dopóki ten nie doszedł do Wschodzącego Słońca osadzonego w posadzce; zamrugał jeszcze kilka razy i dopiero wtedy się podniósł.

Rand zwrócił się do Adleya, jednocześnie dopinając sprzączkę w kształcie Smoka.

– Armia naprawdę dotarła już do górskich fortów w Illian? – Miał wielką ochotę usiąść na jednym z pozłacanych foteli, ale ostatecznie się opanował. – Jakim cudem? Toż to powinno zająć im jeszcze kilka dni. W najlepszym przypadku. – Flinn i Narishma mieli równie zdziwione miny jak Dashiva, żaden nie wiedział, gdzie byli Adley, Hopwil czy Morr. Decyzja, komu zaufać, zawsze była trudna, tym bardziej gdy w grę wchodziło ryzyko, że obdarzy się zaufaniem kogoś, kogo można być pewnym mniej więcej w takim samym stopniu jak ostrza brzytwy.

Adley zebrał się w sobie. Jego oczy pod krzaczastymi brwiami miały jakiś niepokojący wyraz. Zobaczył wilka, jak powiadali w Cairhien.

– Wysoki Lord Weiramon pozostawił piechotę, a sam parł do przodu razem z konnicą – zaczął relacjonować beznamiętnym głosem. – Aielowie oczywiście bez trudu dotrzymani mu tempa. – Skrzywił się. – Wczoraj napotkaliśmy Aielów Shaido, nie mam pojęcia, skąd się tam wzięli. Razem – może dziewięć albo dziesięć tysięcy, ale chyba nie było wśród nich żadnej Mądrej, która umiałaby przenosić i poradziliśmy sobie z nimi szybko. Do fortów dotarliśmy dzisiaj w południe.

Rand omal nie pozwolił sobie na wybuch gniewu. Zostawili piechotę w tyle! Czyżby Weiramon ubrdał sobie, że jego konnica pokona palisady fortów? Prawdopodobnie. Ten człowiek zostawiłby również Aielów, gdyby tylko potrafił ich prześcignąć. Durni arystokraci i ten ich głupi honor! Ale to wszystko i tak nie miało znaczenia. Chyba że dla tych, którzy tam ginęli wyłącznie dlatego, iż Wysoki Lord Weiramon gardził każdym żołnierzem, który nie walczył z końskiego grzbietu.

– Zaczęliśmy z Ebenem niszczyć pierwsze palisady, zaraz jak dotarliśmy na miejsce – ciągnął Adley. – Weiramonowi też się to nie spodobało, moim zdaniem powstrzymałby nas, gdyby się nie bał. W każdym razie zaczęliśmy podkładać ogień pod bale i wysadzać dziury w murach, ale zanim udało się nam osiągnąć coś więcej, pojawił się Sammael. A w każdym razie jakiś mężczyzna władający *saidinem*, i to daleko silniejszy od Ebena czy mnie. Rzekłbym nawet, tak silny jak ty, Lordzie Smoku.

– Pojawił się od razu? – spytał z niedowierzaniem Rand, ale w tej samej chwili zrozumiał. Uznał z góry, że Sammael zabarykaduje się w Illian, za umocnieniami utkanymi z Mocy, gdy tylko się dowie, że czeka go starcie ze Smokiem Odrodzonym; zbyt wielu Przeklętych próbowało wcześniej stawić mu czoło i większość już nie żyła. Mimo woli roześmiał się... i natychmiast złapał za bok. Śmiech bolał. Taki skomplikowany fortel, żeby przekonać Sammaela, iż on jest gdziekolwiek indziej, tylko nie z armią najeźdźców, a przez to wywabić go z Illian... i wszystko na nic za sprawą noża Padana Faina. Dwa dni. Do tej pory wszyscy już, którzy mieli swoich informatorów w Cairhien, w tym z pewnością Przekłęci, wiedzieli, że Smok Odrodzony legł na łożu śmierci. Wszyscy, którzy wyciągnęliby inne wnioski, równie dobrze mogliby zająć się dorzucaniem mokrego drewna do ognia. -Mężczyźni spiskują, a kobiety knują, ale Koło obraca się tak, jak chce: powiadali w Łzie. – Mów dalej – rozkazał. – Czy Morr był z wami ubiegłej nocy?

– Tak, Lordzie Smoku, Fedwin stawia się co noc, tak jak mu kazano. Wczoraj było jasne, i proste jak nos Ebena, że dzisiaj dotrzemy do fortów.

– Nic z tego nie rozumiem. – Dashiva najwidoczniej się przejął, w jego policzku drgał jakiś mięsień. – Wywabiliście go, ale w jakim celu? Niech no tylko poczuje, że jakiś mężczyzna przenosi, i to z taką siłą, jaką wy dysponujecie, a zaraz smyknie z powrotem do Illian i wszelakich pułapek i alarmów, które tam utkał. Tam go nie dopadniecie, połapie się, gdy tylko jakaś brama otworzy się w odległości choć mili od miasta.

– Za to możemy uratować armię – wybuchł Adley. – Kiedy stamtąd odchodziłem, Weiramon nadal szturmował fort, szarża za szarżą, a Sammael ciął każdą na strzępy, bez względu na to, co byśmy z Ebenem robili. – Pokazał osmalony rękaw. -Musieliśmy kontratakować i natychmiast uciekać, a i tak omal nas na miejscu nie spalił, i to nie raz. Wśród Aielów też są ofiary. Walczą tylko z tymi Illianami, którzy wyszli na zewnątrz... pozostałe forty chyba zostały zupełnie bez obrony, tyłu ich było... ale za każdym razem, gdy Sammael zauważy pięćdziesięciu naszych w jednym miejscu, Aielów, nie Aielów, wycina ich w pień. Gdyby było tam trzech takich jak on... co tam trzech: dwóch! ... to nie jestem pewien, czy po powrocie zastałbym choć żywą duszę. – Dashiva zagapił się na niego niczym na szaleńca, a Adley zniemacka wzruszył ramionami, jakby nagle zaczął mu

przeszkadzać jego pusty czarny kołnierz, tak lekki w porównaniu z obciążonym srebrnym mieczem i Smokiem kołnierzem starszego mężczyzny. – Wybacz mi, Asha’manie – mruknął zawstydzony, po czym dodał jeszcze stłumionym głosem: – Ale naprawdę możemy ich jeszcze uratować.

– Uratujemy – zapewnił go Rand. Tylko nie tak, jak się tego spodziewał Adley. – Wszyscy pomożecie mi dzisiaj w zabiciu Sammaela. – Jedyne Dashiva wyglądał na zaskoczonego, pozostali mężczyźni tylko pokiwali głowami. Nawet Przekłety już ich nie przerażał.

Rand spodziewał się sprzeciwów ze strony Min, być może żądania, żeby ją zabrał ze sobą, czekała go jednak niespodzianka.

– Zapewne wolałbyś, pasterzu, aby nikt się przedwcześnie nie dowiedział, żeś zniknął. – Westchnęła, kiedy przytaknął. Być może agenci ‘Przekłetych, tak jak wszyscy inni, musieli polegać na gołębiach i informatorach, ale przesadna pewność siebie mogła zakończyć się tragicznie.

– Panny będą chciały mi towarzyszyć, jeśli się dowiedzą, Min. – Na pewno będą chciały, uprą się i będzie mu ciężko odmówić. O ile w ogóle może odmówić. Niemniej jednak zniknięcie choćby tylko Nandery i tych, które postawiła na warcie pod drzwiami, mogło się okazać brzemiennie w skutkach.

Min znowu westchnęła.

– Chyba pójdę pogadać z Nanderą. Może uda mi się zatrzymać je na korytarzu przez godzinę, ale nie będą mi wdzięczne, kiedy się dowiedzą. – Już miał się roześmiać, ale przypomniał sobie o swoim boku. Z pewnością nie będą wdzięczne ani jej, ani jemu. – Co więcej, wieśniaku, Amys też nie będzie zadowolona. Ani Sorilea. W co ty mnie wciągasz?

Otworzył usta, chcąc wskazać, że o nic jej przecież nie prosił, ale zanim zdążył wypowiedzieć choć jedno słowo, podeszła bardzo blisko. A potem spojrzała na niego zza firany długich rzęs, położyła mu dłoń na piersi i zabębniła palcami. Uśmiechała się ciepło, mówiła cicho, a jednak te palce ją zdradzały.

– Jeśli dopuścisz, by coś ci się stało, Randzie al’Thor, to wtedy ja pomogę Cadsuane, czy będzie potrzebowała mojej pomocy czy nie. – Zanim odwróciła się w stronę drzwi, jej uśmiechnięta twarz rozpromieniła się na chwilę, niemalże radośnie. Odprowadził ją wzrokiem. Czasami przyprawiała go o zawroty głowy, lecz niemal każdej kobiecie, jaką w życiu poznał, udało się tego dokonać przynajmniej kilka razy, ale doprawdy, ona poruszała się w taki sposób, że nie potrafił oderwać od niej oczu.

Nagle spostrzegł, że Dashiva też jej się przypatruje. Oblizując wargi, Rand chrząknął dostatecznie głośno, by zostać usłyszanym na tle odgłosu zatrzaskiwanych drzwi. Mężczyzna podniósł rękę obronnym gestem, mimo iż Rand nawet nie skarcił go wzrokiem – nie mógł przecież na nikogo krzywo patrzeć, tylko dlatego, że Min nosiła obcisłe spodnie. Otoczył się skorupą Pustki, objął *saidina*, a potem przekształcił zmrożony ogień i płynny brud na sploty bramy. Dashiva odskoczył, kiedy się otworzyła. A gdyby tak brama odcięła mu dłoń, może wreszcie zapamiętałby, że nie powinien się oblizywać jak jakiś kozioł. Skorupę Pustki oplotła pajęczyna czegoś czerwonego, czegoś, co tchnęło podłością.

Dał krok przez bramę, stając na nagiej ziemi. Uwolnił Źródło, gdy tylko przeszli przez nią Dashiva i wszyscy pozostali. Poczul nagły zalew tęsknoty: opuścił *go saidin*, a świadomość istnienia Alanny gdzieś się rozmyła. Poczucie straty nie zdawało się aż tak przemożne, kiedy był z nim Lews Therin; nie aż tak dojmujące.

Złote słońce pokonało już ponad połowę swej drogi przez nieboskłon. Podmuchy wiatru nawiewały kurz pod jego stopy, nie przynosząc nawet śladu chłodu. Brama otworzyła się w samym środku pustego poletka, ograniczonego sznurem rozpiętym na czterech drewnianych palikach. Przy

każdym stało po dwóch gwardzistów w krótkich kaftanach i obszernych spodniach wepchniętych do butów, z mieczami o płomienistych główkach. Niektórzy mieli sumiaste wąsy albo gęste brody, wszyscy wydatne nosy i ciemne, jakby skośne oczy. Na widok Randa jeden natychmiast dokąś pobiegl.

– Co my tu właściwie robimy? – spytał Dashiva, z niedowierzaniem rozglądając się na wszystkie strony.

Dookoła widzieli setki spiczastych namiotów, szarej albo brudnobiałej barwy, oraz długie rzędy palików, przy których stały już osiodłane konie. Od Caemlyn, przesłoniętego drzewami, dzielił ich dystans zaledwie kilku mil, a Czarna Wieża znajdowała się niewiele dalej, niemniej Taim nie mógł wiedzieć o tym miejscu, o ile nie najął szpiega. Jednym z zadań Fedwina Morra było słuchanie – wyczuwanie – czy ktoś nie próbuje szpiegować. Przy akompaniamencie pomruku rozprzestrzeniającego się w głąb obozowiska od strony sznurów, mężczyźni o wydatnych nosach powstawali z ziemi i odwracali się, by wyczekująco obserwować Randa. Tu i tam powstały również kobiety; Saldaeanki często wyprawiały się na wojaczkę razem ze swymi mężami, przynajmniej te poślubione arystokratom i oficerom. Tego dnia jednakże nie miała im towarzyszyć ani jedna.

Rand przeszedł pod sznurem i ruszył prosto w stronę namiotu niczym nie różniącego się od pozostałych, jeśli nie liczyć zatkniętego przed nim sztandaru z trzema prostymi kwiatkami na niebieskim tle. Grosiki nie wiodły nawet podczas saldaeńskich zim, a kiedy pożoga trawiła lasy, te czerwone kwiaty zawsze wybijały z ziemi pierwsze. Kwiaty, których nic nie mogło zabić: godło Domu Bashere.

W namiocie zastali Bashere, który przywdział już buty z ostrogami i przypasał do biodra miecz. Zły znak, bo towarzyszyła mu Deira, w szarej sukni do konnej jazdy, tej samej barwy co kaftan jej męża, zamiast miecza miała długi sztylet umocowany do pasa z ciężkich srebrnych kół. Skórzane rękawice zatknięte za tym pasem wskazywały, iż przygotowała się do długiej jazdy na końskim grzbiecie.

– A myślałem, że przyjdzie nam czekać jeszcze wiele dni – oświadczył Bashere, powstając ze składanego, polowego krzesła. – Prawdę mówiąc, spodziewałem się nawet wielu tygodni czekania. Liczyłem, że większość członków armii Taima zostanie uzbrojona tak, jak to z młodym Matem zaplanowaliśmy... utworzyłem manufakturę z wszystkich rzemieślników wyrabiających kusze, jakich udało mi się znaleźć, i produkcja idzie już w takim tempie, w jakim maciora wypływa ze swego łona prosięta... ale póki co, ledwie piętnaście tysięcy żołnierzy dostało kusze i wie, jak się nimi posłużyć. – Podniósł srebrny dzban ze składanego stolika usłanego mapami i spojrzał pytająco. – Czy mamy czas, żeby napić się ponczu?

– Żadnego ponczu – odparł niecierpliwie Rand. Bashere już przedtem opowiadał o mężczyznach znalezionych przez Taima, którzy nie potrafili nauczyć się przenoszenia, ale on prawie go nie słuchał. Jeżeli Bashere uważał, że wyszkolił ich dostatecznie dobrze, nic więcej się nie liczyło. – Na zewnątrz czeka Dashiva i trzech innych Asha'manów, a kiedy tylko dołączy do nich Morr, będziemy gotowi. – Zmierzył wzrokiem Deirę ni Ghaline t'Bashere, górującą nad swym niskim mężem, zapatrzył się przelotnie na jej jastrzębi nos i oczy, przy których ten drapieżny ptak wyglądałby na łagodnego. – Żadnego ponczu, lordzie Bashere. I żadnych żon. Nie dzisiaj.

Deira otworzyła usta, ciemne oczy rozjarzyły się groźnie.

– Żadnych żon – powtórzył Bashere, podkręcając wierzchem zawiniętych w pięść dłoni sumiaste, przetkane siwizną wąsy. – Wydam taki rozkaz. – Obrócił się w stronę Deiry i wyciągnął ku niej rękę. – Żono – powiedział łagodnie. Rand skrzywił się, czekając na wybuch.

Deira zacisnęła wargi. Spojrzała na swego męża z góry, niczym jastrzęb gotowy rzucić się na



mysz. Choć bynajmniej Bashere nie przypominał myszy, raczej innego, nieco mniejszego drapieżnego ptaka. Deira zrobiła głęboki wdech: potrafiła to robić w taki sposób, że zdawało się, iż zaraz spowoduje trzęsienie ziemi. Po czym wyjęła sztylet zza pasa i położyła go na dłoni męża.

– Porozmawiamy sobie o tym później, Davramie -powiedziała. – Ze wszystkimi szczegółami.

Rand postanowił, że któregoś dnia, kiedy będzie miał czas, poprosi Bashere, by mu wyjaśnił, jak on to robi. O ile kiedykolwiek jeszcze będzie miał ku temu okazję.

– Ze szczegółami – zgodził się Bashere, uśmiechając się szeroko i wpychając sztylet za swój pas. Może ten człowiek zwyczajnie miał samobójcze skłonności.

Na zewnątrz czworokąt ze sznurów został już uprzątnięty, Rand wyszedł z namiotu i pozostało mu tylko czekać, razem z Dashivą oraz pozostałymi Asha'manami, na to, aż dziewięć tysięcy lekkiej kawalerii saldaeańskiej ustawi się za plecami Bashere w potrójną kolumnę. Jeszcze dalej, za nimi, miało uformować szyk te piętnaście tysięcy pieszych, którzy przyjęli miano Legionu Smoka. Rand widywał ich przelotnie, odziewali się w niebieskie kaftany zapinane z boku, aby nie przecinać symbolu naszytego na piersiach czerwono-złotego Smoka. Większość uzbroiła się w okute stałą kusze, niektórzy dźwigali ciężkie, nieporęczne tarcze, za to żaden nie niósł piki. Niezależnie, na jaki dziwaczny pomysł wpadli Mat z Bashere, Rand z całej duszy wolał wierzyć, że nie prowadzi legionu na śmierć.

Morr już czekał, jego twarz rozcinał szeroki uśmiech wyrażający wielki zapał i aż podskakiwał na czubkach palców. Być może zwyczajnie się cieszył, że oto znowu wdział czarny kaftan ze srebrnym mieczem przy kołnierzu, ale Adley i Narishma uśmiechali się identycznie, a i Flinn nie był daleki otwartej radości. Wiedzieli już, dokąd się wybierają i jakie dokładnie są ich zadania. Dashiva rzucał spojrzenia spode łba, niczemu w szczególności się nie przypatrując, i bezgłośnie poruszał ustami. Jak zwykle. Podobnie milczące i ponure były saldaeańskie kobiety zbite w gromadę za plecami Deiry, obserwujące to wszystko z boku. Orlice i sokolice, nastroszone, wściekłe. Randa nie obchodziło, że tak się krzywią i zzymają; jeśli tylko on sam będzie potrafił stawić czoło Nanderze i pozostałym Pantom po tym, jak odsunął je od wszystkiego, to w takim razie mężczyźni z Saldaei z pewnością również wyjdą obronną ręką z wszelkich dłuższych dyskusji. Dzisiaj, jeżeli Światłość pozwoli, ani jedna kobieta nie umrze z jego powodu.

Takiej rzeszy nie sposób było zorganizować w zwarty szyk w ciągu minuty, mimo iż zawczasu wiedzieli, że dostaną rozkaz wymarszu, ale i tak po czasie zdumiewająco krótkim Bashere podniósł miecz i zawołał:

– Lordzie Smoku!

Rand objął Źródło i zrobił między palikami bramę o rozmiarach cztery kroki na cztery, natychmiast podwiązał splot i wypełniony *saidinem* przebiegł, razem z Asha'manami, na wielki otwarty plac otoczony rzędami wielkich białych kolumn zakończonych marmurowymi wieńcami oliwnych gałązek. Na obu krańcach placu stały dwa niemalże identyczne pałace z czerwonymi dachami, krużgankami, wysokimi balkonami i smukłymi iglicami: Pałac Króla oraz nieco mniejszy Wielki Dwór Rady. A ten plac to był plac Tammuz, samo serce Illian.

Jakiś chudy mężczyzna, z brodą i wygolonym wąsem, wlepił osłupiały wzrok w Randa oraz odzianych w czarne kaftany Asha'manów wyskakujących z otworu w powietrzu, a krępa kobieta w zielonej sukni, tak krótkiej, że wyzierały spod niej zielone trzewiki i łydki w zielonych pończochach, przycisnęła dłonie do twarzy i z wytrzeszczonymi oczyma znieruchomiła w miejscu, jakby wrosła w bruk. Wszyscy zresztą ludzie przystawali, żeby się na nich gapić, uliczni sprzedawcy z ich tacami, furmani zatrzymujący woły, mężczyźni, kobiety i dzieci z otwartymi szeroko ustami.

Rand wyrzucił ręce w górę i przeniósł.

– Jestem Smokiem Odrodzonym! – Jego słowa zadudniły nad placem, spotęgowane Powietrzem i Ogniem, a z dłoni wyskoczyły płomienie sto stóp wysokie. Stojący za jego plecami Asha'mani wypełnili całe niebo ognistymi kulami rozpryskującymi się na wszystkie strony. Wszyscy oprócz Dashivy, który utworzył nad placem poszarpaną sieć głośno trzaskających niebieskich błyskawic.

Nic więcej nie było trzeba. Rozwrzeszczany ludzki potok rozlał się we wszystkich kierunkach, umykając jak najdalej od placu Tammuz. Uciekli w samą porę. Rand i Asha'mani odskoczyli od bramy i Davram Bashere wpuścił do Illian swych rozwrzeszczanych dziko Saldaean, stado wymachujących mieczami jeźdźców. Bashere prowadził środkowy rząd kolumny, tak jak zaplanowali – wydawać by się mogło, że działo się to w zamierzchłej przeszłości – a tymczasem pozostałe dwa szeregi rozjeżdżały się na boki. Wysypywali się z bramy, dzieląc zaraz na mniejsze grupy, które wpadały galopem na ulice odchodzące od placu.

Rand nie czekał na ostatniego jeźdźca. W chwili gdy dopiero trzeci z kolei opuszczał bramę, natychmiast utkał następną, mniejszą. Nie musiał znać miejsca, do którego teraz Podróżował, bo zamierzał pokonać niewielką odległość. Czując, że Dashiva i inni zabrali się za tkanie własnych bram, przeszedł przez swoją, pozwalając, by zamknęła się za nim na szczycie jednej ze smukłych wież Pałacu Króla. Przelotnie zastanowił się, czy Mattin Stepaneos den Balgar, Król Illian, jest gdzieś pod nim w tym momencie, ale nie poświęcił tej myśli większej uwagi.

Szczyt wieży miał w przekroju nie więcej jak pięć kroków, otaczały go sięgające ledwie do piersi blanki z czerwonego kamienia. Wieża, wznosząca się na pięćdziesiąt kroków w niebo, była najwyższym punktem w całym mieście. Stąd widział dachy domów połyskujące w popołudniowym słońcu, czerwone, zielone i we wszelkich innych kolorach, a w dali długie, usypane z ziemi groble, które przecinały bezkresne bagna otaczające zewsząd miasto i port. W powietrzu unosiła się ostra woń soli. Dzięki tym bagnetom Illianie nie potrzebowali murów, mogły one bowiem zatrzymać każdy atak. I każdego najeźdźcę, który nie potrafił zrobić dziur w powietrzu. Ale takiemu z kolei mury też by się nie oparły.

Było to piękne miasto, zbudowane przeważnie z jasnego ciosanego kamienia i podzielone kanałami, które dorównywały swą liczbą liczbie ulic. Z tej wysokości kanały wyglądały jak jakieś niebiesko-zielone maswerki, ale nie zatrzymał się, by je podziwiać. Obracając się dookoła, kierował strumienie Powietrza, Wody, Ognia, Ziemi i Ducha w stronę dachów tawern i sklepów. Nie starał się tkać splotów, po prostu kreślił strumieniami szerokie łuki nad miastem, sięgając jeszcze dalej, na odległość dobrej mili ponad bagna. Z pięciu innych wież też wylewały się półkoliście strumienie Mocy, a w miejscach, gdzie przypadkiem zetknęły się ze sobą, błyskało światło, wytryskiwały iskry i wybuchały chmury kolorowej pary – pokaz, jakiego mógłby pozazdrościć każdy Illuminator. Lepszego sposobu na przestraszenie ludzi, tak by pochowali się pod łóżka i zeszli z drogi żołnierzom Bashere, nie umiał sobie wyobrazić – niemniej zasadniczy cel tych wszystkich zabiegów był zupełnie inny.

Już dawno temu przyjął, że Sammael z pewnością utkał nad całym miastem zabezpieczenia, które miały go zaalarmować, gdyby ktoś na jego terenie przeniósł *saidina*. Były to zabezpieczenia przenicowane, więc nikt oprócz samego Sammaela nie mógł ich znaleźć, zabezpieczenia, które dokładnie powiedzą Przekłętemu, w którym punkcie miasta mężczyzna przenosi, dzięki czemu będzie można go w mgnieniu oka unicestwić. Jeżeli szczęście i tym razem dopisało Randowi, to wszystkie te zabezpieczenia właśnie się uruchomiły. Lews Therin był przekonany, że Sammael wyczuje alarm, gdziekolwiek by się znajdował, nawet jeśli odległość będzie znaczna. Zabezpieczenia tracą użyteczność, wymagały bowiem odnowienia. Sammael pojawi się w Illian. Nigdy w życiu nie wyrzekł się bez walki czegokolwiek, co uważał za swoją własność, choćby nie wiadomo jak chwiejne były podstawy owych roszczeń. Tego wszystkiego Rand dowiedział się od Lewsa Therina.

O ile ów istniał naprawdę. Musiał istnieć. W tych wspomnieniach kryło się zbyt wiele szczegółów. Ale czyż szaleniec nie mógł śnić swych fantazji w najdrobniejszych detalach?

“Lewsie Therinie!”, zawołał w duchu. Odpowiedział mu wiatr wiejący ponad Illian.

Plac Tammuz opustoszał i ucichł, nie zostało na nim nic, z wyjątkiem kilku porzuconych fur. Ze swego miejsca nie widział bramy, tylko wykorzystane do jej stworzenia sploty.

Sięgnąwszy je, Rand rozplątał mocujący węzeł, a kiedy brama, kilka razy mrugnawszy, przestała istnieć, niechętnie wypuścił *saidina*. Wszystkie strumienie Mocy zniknęły z nieba. Może niektórzy Asha'mani jeszcze obejmowali Źródło, ale kazał im przerwać. Uprzedził, że gdy tylko sam przestanie przenosić, bez ostrzeżenia zabije każdego przenoszącego mężczyznę. A nie chciał później dowiedzieć się, że zabił swojego człowieka. Oparł się o blanki i czekał, żałując, że nie może choćby na chwilę usiąść. Bolały go nogi, bok palił, w jakiegokolwiek pozycji by stanął, ale musiał nie tylko czuć cudze sploty, lecz również je widzieć.

Miasto nie uspokoiło się do końca. Z kilku stron dobiegały go dalekie krzyki, słabe poszczekiwanie metalu o metal. Sammael nie zostawił Illian bez obrony, mimo że przerzucił tylu ludzi do granicy. Rand obracał się, starając obserwować wszystkie dzielnice miasta równocześnie. Spodziewał się, że Sammael przyjdzie do Pałacu Króla bądź do tego przeciwległego, jednak nie mógł być pewien. Na jednej z ulic dostrzegł Saldaean walczących z nieustępującymi im siłą jeźdźcami w błyszczących napierśnikach, kolejni ludzie Bashere wygalopowali nagle z boku i walczący zniknęli mu z oczu za budynkami. W innej części miasta wypatrzył oddział Legionu Smoka, maszerujący przez niski mostek na jednym z kanałów. Oficer z wysokim czerwonym pióropuszem na hełmie szedł na czele dwudziestu mężczyzn niosących szerokie tarcze, sięgające im aż do ramion, za nimi z kolei podążało z dwustu żołnierzy uzbrojonych w ciężkie kusze. Jacy okażą się w walce? Okrzyki i dźwięczenie stali gdzieś mieszało się ze słabymi okrzykami umierających ludzi.

Słońce skłaniało się ku zachodowi, cienie nad miastem wydłużały. Zmierzch nadchodził pod czerwoną kopułą słońca. Rozbłyły pierwsze gwiazdy. Czyżby się pomylił? Czyżby Sammael zwyczajnie wyniósł się w nieznaną, w poszukiwaniu innego kraju, którym mógłby zawładnąć? Czyżby to, co usłyszał, było tylko jego własnym szaleńczym bredzeniem?

Jakiś mężczyzna przeniósł. Rand zamarł na chwilę, wpatrzony w Wielki Dwór Rady. Takiej ilości *saidina* wystarczyłoby do utworzenia bramy; oddalony o całą długość placu nie wyczułby słabszego strumienia. To musiał być Sammael.

W mgnieniu oka objął Źródło, utkał bramę i przeskoczył przez nią z błyskawicą gotową wystrzelić z rąk. Znalazł się w przestronnej komnacie, rozświetlonej ogromnymi stojącymi lampami wyposażonymi w odblasnice i innymi, które wisiały na łańcuchach, ściany ze śnieżnobiałego marmuru zdobiły fryzy obrazujące bitwy i statki tłoczące się przy bagnistych brzegach Illian. Pod przeciwległą ścianą, na wysokim białym podium z prowadzącymi doń stopniami stało dziewięć bogato rzeźbionych i pozłaczanych krzesel podobnych tronom, przy czym środkowe miało wyższe oparcie niż pozostałe. Zanim zdążył uwolnić bramę, szczyt wieży, na której wcześniej się czał, rozsądził wybuch. Poczul zalew Ognia i Ziemi w tym samym momencie, w którym przez bramę buchnęła mu w twarz nawałnica kamiennych odłamków i pyłu. Upadł, czując kłujący ból w boku, ostrą czerwoną lancę, która wraziła się w Pustkę, sprawiając, że wypuścił sploty bramy. Cudzy ból, cudza słabość. W Pustce potrafił je ignorować.

Poruszył się, przymuszając mięśnie tego drugiego człowieka do pracy, podźwignął się i poderwał do chwiejnego biegu w stronę podium. Właśnie setki czerwonych włókien przepaliło na wskroś strop i posadzkę z marmuru morskiej barwy, tworząc szeroki krąg dookoła miejsca, gdzie jeszcze blakły pozostałości po bramie. Jedno z tych włókien przebiło mu podeszwę buta, a potem

pięte, i padając na posadzkę, usłyszał własny krzyk. Ale ból nie był jego, ani ten w boku, ani ten w stopie. Nie jego.

Przewróciwszy się na plecy, dostrzegł resztki tych płonących czerwonych pasm, dostatecznie świeżych, by potrafił wyróżnić w nich Ogień i Powietrze splecione w nie znany mu sposób. Wypatrzył też kierunek, z którego pochodziły. Czarne dziury w posadzce i zdobnym białym tynku sufitu syczały i trzeszczały głośno w podmuchach powietrza.

Podniósł ręce i zaczął tkać ogień stosu. Czyjś policzek rozgorzał od zapamiętanego uderzenia, głos Cadsuane zasyczał i zatrzeszczał w jego głowie niczym te dziury wypalone przez czerwone włókna. “Nigdy więcej, chłopcze, nigdy więcej tego nie zrobisz”. Wydało mu się, że słyszy w dalekim skowycie Lewsa Therina, lęk tamtego o to, co zaraz miał utracić, lęk przed tym, co niegdyś omal nie unicestwiło świata. Wszystkie strumienie oprócz Ognia i Powietrza odpadały, tkał, kopiując to, co właśnie zobaczył. Tysiąc cienkich jak włos pasem czerwieni wykwitło między jego dłońmi, rozkładając się niczym wachlarz, gdy wystrzeliwały w górę. Wycięty w suficie krąg o średnicy dwóch kroków runął na posadzkę w postaci gradu kamiennych odłamków i sproszkowanego tynku.

Dopiero wtedy zaczął podejrzewać, że między nim a Sammaelem mógł znaleźć się jakiś człowiek. Zamierzał być dziś świadkiem śmierci Sammaela, jeżeli miał przy tym ginąć ktoś jeszcze... Sploty zniknęły w chwili, gdy po raz kolejny podnosił się ciężko i pospiesznie kuśtykał do wysokich bocznych drzwi z płycinami; w każdej osadzone było po dziewięć złotych pszczoł wielkości jego pięści.

Niewielki strumień Powietrza otworzył jedno ze skrzydeł drzwi, nim jeszcze do nich dotarł, strumień zbyt mały, by dało się go wykryć z dowolnej odległości. Utykając, wyszedł na korytarz i tam opadł na jedno kolano. Bok tamtego drugiego człowieka stał w ogniu, piętę katował ból nie do zniesienia. Podniósł swój miecz i wsparł się na nim, czekając. Zza rogu wyjrzał ostrożnie jakiś ogolony mężczyzna z pulchnymi różowymi policzkami, poszarpana liberia zdradzała służę. W każdym razie z wierzchu zielony, a od spodu żółty kaftan wyglądał jak liberia. Mężczyzna spostrzegł Randa i, noga za nogą, jakby poruszając się odpowiednio wolno, mógł pozostać nie zauważony, zniknął. Prędzej czy później, Sammael będzie musiał...

– Illian należy do mnie! – Głos zadudnił w powietrzu, dobiegając z wszystkich stron jednocześnie, i Rand zaklął. To musiał być splot taki sam jak ten, którego użył na placu albo bardzo podobny: wymagał tak niewielkich ilości Mocy, że nikt nie mógłby wyczuć strumieni, nawet gdyby znalazł się w odległości dziesięciu kroków od przenoszącego mężczyzny. – Illian jest moje! Nie zniszczę tego, co należy do mnie, tylko po to, by cię zabić, i tobie też nie pozwolę tego zniszczyć. Masz czelność atakować mnie właśnie tutaj? Masz odwagę znowu mnie ścigać? – Do grzmiącego głosu wkradła się lekko drwiąca nuta. – Stać cię na to? – Gdzieś w górze otworzyła się i zaraz zamknęła brama, teraz Rand nie miał żadnych wątpliwości.

Odwaga? Czy starczy mu odwagi?

– Jestem Smokiem Odrodzonym – mruknął – i zamierzam cię zabić. – Utkawszy bramę, przeszedł przez nią do jakiegoś miejsca znajdującego się kilka kondygnacji wyżej.

Zobaczył jeszcze jeden korytarz, obwieszony gobelinami z wizerunkami statków na pełnym morzu. Na jego przeciwległym końcu ostatni czerwony skrawek tarczy słońca przeświecał przez krużganki. W powietrzu unosiły się resztki Sammaelowej bramy, rozpraszające się strumienie podobne do duchów otoczonych słabą łuną. Ale nie tak blade, by Rand nie mógł ich dostrzec i zidentyfikować. Zaczął tkać, po czym nagle przestał. Wskoczył tu, nie pomyślawszy o pułapce. Jeżeli skopiuje dokładnie to, co widział, to trafi dokładnie tam, dokąd udał się Sammael, albo tak blisko, że to nie będzie czyniło żadnej różnicy. Wystarczy nieznaczna zmiana; nie istniał sposób, by sprawdzić,

czy różnica wyniesie pięćdziesiąt czy pięćset stóp, ale dzięki temu i tak znajdzie się dostatecznie blisko.

Pionowa srebrna kreska zaczęła się obracać, stopniowo ukazując morze ruin skryte w cieniach, ale nie w takiej pomroce, jaka wypełniała wnętrze korytarza. Płat poczerwieniałego słońca widziany przez bramę był tutaj nieco grubszy, częściowo schowany za roztrzaskaną kopułą. Znał to miejsce. Ostatnim razem, kiedy tam się wybrał, musiał dodać kolejne imię Panny do listy w swojej głowie; to tutaj Padan Fain dotarł w pogoni za nim, stając się czymś gorszym od Sprzymierzeńca Ciemności. Pościg za Sammaelem do Shadar Logoth pod wieloma względami oznaczał zatoczenie pełnego koła. Teraz jednak nie można było tracić czasu na zbyteczne rozważania. Zanim brama skończyła się rozszerzać, wbiegł do zniszczonego miasta, które kiedyś nazywało się Aridhol, wbiegł, lekko kulejąc i równocześnie wypuszczając splot. Podeszwy butów głośno szurały na roztrzaskanych płytach chodnika i uschłych pędach chwastów.

Wyjrzał zza pierwszego rogu, do którego dotarł. Ziemia zatrzęsła się pod jego stopami, a z miejsca, skąd przybył, ścigały go ryki, błyskawice, jedna za drugą, jarząc się w pomroce zmierzchu. Czuł obmywające go Ziemię, Ogień i Powietrze. W tle ogłuszających łomotów pobrzmiwały jakieś wrzaski i wycia. Odkuśtykał stamtąd, nie oglądając się za siebie, czując pulsowanie *saidina* we wnętrzu swego jestestwa. Po chwili zaczął biec. Dzięki przepelniającej go Mocy widział wszystko wyraźnie, nawet w najmroczniejszych cieniach.

Miasto wypełniały ogromne marmurowe pałace, z czterema albo i pięcioma kopułami o fantastycznych kształtach, malowane purpurą przez zachodzące słońce, spiżowe fontanny i posągi na każdym skrzyżowaniu, wielkie ciągi kolumn biegnące ku wieżom, które szybowały ku słońcu. Niewiele jednak zostało z ich świetności, większość bowiem wieńczyły poszarpane krawędzie. Na każdą kopułę, która stała nietknięta, przypadało dziesięć przypominających popękane skorupy jaj, z odrąbanym wierzchołkiem albo bokiem. Posągi albo leżały w szczątkach na ziemi, albo jeszcze stały, za to bez głów czy rąk. Prędko zapadający mrok pędził po rozległych kopcach gruzu, kilka skarłałych drzew przywarło do ich zboczy niczym połamane palce rozczapierzone na tle nieba.

Ruina, która niegdyś mogła być pałacem, rozpościerała się na kształt wachlarza z cegieł i kamienia, połowa frontu przestała istnieć, reszta krążankowej fasady chyliła się pijacko ku ulicy. Zatrzymał się na samym środku drogi, tuż przed tym kamiennym pobojuwiskiem, i czekał, badając zmysłami, czy ten drugi używa *saidina*. Skradanie się skrajem ulicy nie było dobrym pomysłem i wcale nie dlatego, że któryś budynek mógł lada chwila się zawalić. Z okien podobnych do wydrążonych oczodołów zdawało się obserwować go tysiące niewidzialnych oczu, obserwować z niemalże wyczuwalnym napięciem. Jakby zza grubej zasłony czuł pulsowanie nowej rany w boku, płonącej szramy dźwięczącej echem zła, które przywarło nawet do kurzu Shadar Logoth. Stara blizna zacisnęła się niczym pięść, ból w stopie zdawał się zaiste bardzo odległy. Bliżej tętniła obejmująca go Pustka, skaza Czarnego na *saidinie* uderzała w rytm cięć noża przez żebra. Shadar Logoth było niebezpiecznym miejscem nawet za dnia. Nocą...

W głębi ulicy, za zwieńczonym iglicą pomnikiem, który cudem jeszcze stał prosto, coś się poruszyło, jakiś niewyraźny kształt mknął przez mrok. Rand omal nie przeniósł, ale nie potrafił uwierzyć, by Sammael skradał się w taki sposób. Kiedy po raz pierwszy wszedł do miasta, gdy Sammael próbował zniszczyć wszystko wokół jego bramy, usłyszał przeraźliwe wrzaski. Wtedy ledwie je zarejestrował. W Shadar Logoth nie istniało żadne życie, nie mieszkwały w nim nawet szczury. Sammael zapewne sprowadził tu jakichś swoich totumfackich, ludzi, którzy nie cofnęliby się nawet przed zabijaniem, byle tylko dopaść Randa. Może jeden z takich zaprowadziłby go do Sammaela. Pośpieszył przed siebie, tak szybko jak mógł, tak bezgłośnie, jak tylko był w stanie.

Potrząskany chodnik chrząścił pod jego butami odgłosem podobnym pękającym kościom. Miał nadzieję, że jest tak hałaśliwy jedynie dla swego wzmocnionego *saidinem* słuchu.

Przystanął pod iglicą, grubą, kamienną, pokrytą jakimś falistym pismem, wyteżył wzrok. Ktokolwiek tam się ruszał, zdążył zniknąć; tylko głupcy albo owładnięci szaleństwem śmiałkowie zapuszczali się do Shadar Logoth nocą. Zło, które skaziło Shadar Logoth, zło, które zamordowało Aridhol, nie umarło wraz z nim. W oddali, z jednego z okien wychynęła macka srebrzystoszarej mgły, popęzła w stronę drugiej takiej, wylewającej się z wielkiej szczeliny w wysokim kamiennym murze. W środku wgłębienia coś lśniło, jakby skrył się tam księżyc w pełni. Gdy zapadała noc, Mashadar tułał się po swym więzieniu, Mashadar, czyli ogromny bezkształtny byt, który potrafił pojawiać się w kilkunastu miejscach równocześnie, nawet w stu. Dotknięcie Mashadara nie było miłym sposobem umierania. Rand czuł, jak skaza *saidina* w jego wnętrzu atakuje coraz silniej: odległy ogień w boku migotał niczym dziesięć tysięcy błyskawic, nadlatujących jedna za drugą. Nawet ziemia zdawała się kipieć pod jego stopami.

Odwrócił się, rozważając nawet pomysł, by się stąd wynieść, zrezygnować. Całkiem możliwe, że Sammael odszedł w tej samej chwili, gdy po ulicach zaczął grasować Mashadar. Całkiem prawdopodobne, że zwabił go tutaj, w nadziei, iż będzie przeszukiwał ruiny, póki Mashadar go nie zabije. Odwrócił się i zatrzymał, przykucając obok iglicy. Ulicą skradały się dwa trolloki, zwaliste sylwetki w czarnych kolczugach, wyższe o połowę od niego, albo i więcej. Z ramion i łokci ich zbroi wystawały kolce, w rękach zaś trzymały włócznie z długimi czarnymi czubkami i złowieszcze haki. Jego wypełniony *saidinem* wzrok wyraźnie rozróżniał rysy ich pysków, jeden zniekształcony dziobem orła, drugi ryjem i kłami dzika. Każdy ruch zdradzały przepełniający je strach – trolloki uwielbiały zabijać, uwielbiały krew, ale Shadar Logoth je przerażało. Gdzieś blisko musiał czatować jakiś Myrddraal, żaden trollok nie wszedłby do tego miasta nie zagnany przez Myrddraala. Żaden Myrddraal nie wszedłby do tego miasta nie zagnany przez Sammaela. Co razem oznaczało, że Sammael musiał nadal gdzieś tu się czaić, gdyż inaczej trolloki umykałyby do bram miasta, a nie polowały. Bo one rzeczywiście polowały. Tamten z pyskiem dzika węszył, próbując złapać trop.

Wtem z okna, pod którym właśnie przechodziły trolloki, wyskoczyła jakaś postać w łachmanach, runęła na nie i z miejsca jęła dźgać włócznią. Kobieta Aiel, z *shoufq* na głowie, ale bez zasłony na twarzy. Trollok z orlim dziobem wrzasnął, gdy czubek włóczni wbił się głęboko w jego bok, po czym wyrwany ponownie go dźgnął. Kiedy padał, wierzgając nogami, jego towarzysz, ten z pyskiem dzika, odwrócił się, warcząc i złowieszczo wymachując swoją włócznią, ale kobieta zrobiła unik przed czarnym zakrzywionym ostrzem i wbiła swój grot w brzuch stwora – bez jednego jęku padł na cielsko towarzysza.

Rand nie myśląc wiele, powstał z ziemi i rzucił się do biegu.

– Liah! – krzyknął. Myślał, że ona nie żyje, porzucona tutaj przez niego, martwa z jego winy. Liah z Cosaida Chareen, to właśnie imię płonęło na czele listy.

Obróciła się na pięcie, by spojrzeć mu w twarz, z włócznią w pogotowiu, ze skórzaną tarczą w drugiej ręce. Twarz, którą zapamiętał jako piękną mimo blizn na obu policzkach, była teraz zniekształcona wściekłością.

– Jest moje! – syknęła ostrzegawczo przez zęby. – Moje! Nikomu nie wolno tu wchodzić! Moje!

Zatrzymał się jak wryty. Włócznia czekała, spragniona smaku jego ciała.

– Liah, znasz mnie przecież – powiedział cicho. – Znasz mnie. Zabiorę cię z powrotem do Panien, z powrotem do twych sióstr-włóczni. – Wyciągnął rękę.

Wściekłość na jej twarzy powoli ustępowała niedowierzaniu. Przekrzywiła głowę.

– Rand al'Thor? – spytała powoli. A kiedy spojrzenie zognomniących oczu padło na martwe

trolloki, na twarzy dziewczyny wykwitło bezgraniczne przerażenie. – Rand al’Thor – wyszeptła, po omacku usiłując zarzucić czarną zasłonę na twarz tą ręką, w której trzymała włócznię. – *Car’a’carn* – załkała. I uciekła.

Pokuśtykał za nią, niezdarnie brnąc przez sterty gruzu zalegające ulicę, padając, rozdzierając sobie kaftan, znowu padając i niemal zdzierając go sobie z ciała, turlając się i podnosząc. Słabość ciała była czymś odległym, jak i ból, ale nawet dryfując w głębinach Pustki, na nic więcej nie potrafił się zdobyć. Liah zniknęła gdzieś w nocnym mroku, za następnym pogrążonym w czerni rogiem, jak mu się zdawało.

Pokonał go, kuśtykając tak szybko, jak mógł. I omal nie wpadł na cztery trolloki w czarnych kolczugach i Myrddraala, w płaszczu atramentowej barwy, który zwisał mu z pleców nienaturalnie nieruchomo. Zaskoczone trolloki warknęły, ale otrząsnęły się w mgnieniu oka. Zakrzywione włócznie i miecze o ostrzach w kształcie kosy podniosły się, w garści Myrddraala błysnęło czarne jak śmierć ostrze, od którego rany były niemal tak śmiertelne jak od sztyletu Faina.

Rand nawet nie próbował dobywać swego miecza ze znakiem czapli. Niczym śmierć odziana w podarty czerwony kaftan przeniósł i już w rękę trzymał miecz z ognia, tętniący ciemno od pulsowania *saidina*, wykonał nim zamaszysty ruch i odrąbał bezoką głowę od karku. Prościej byłoby zniszczyć ich wszystkich na raz, tak jak to robili Asha’mani pod Studniami Dumai, ale zmiana splotów mogłaby okazać się fatalna w skutkach. Te miecze mogły go nawet zabić. Puścił je w ruch podobny tańcowi; pośród ciemności rozświetlanych płomieniem tętniącym w jego dłoniach, wpatrywał się w cienie pomykające po twarzach górujących nad nim sylwetek, po tych wilczych i koźlich pyskach, które wykrzywił wrzask, gdy jego płonąca głownia drążyła czarną kolczugę i ukryte pod nią ciało, jakby było wodą. W zwykłej walce trolloki stosowały taktykę opartą na przewadze liczebnej i porażającym okrucieństwie. Teraz przeciwko niemu i mieczowi utkanym z Mocy nie mogły nic poradzić, równie dobrze mogłyby stać nieruchome, nie uzbrojone.

Miecz zniknął. Rand dokończył formę zwaną Wykręcaniem Wiatru – otaczały go już same trupy. Ostatni trollok jeszcze się rzucał, kozie rogi drapały o popękany chodnik. Pozbawiony głowy Myrddraal nadal młócił rękoma, obute nogi wierzgały szaleńczo, Półludzie nie umierali szybko, nawet jeśli pozbawiono ich głowy.

Ledwie miecz zniknął, bezchmurne rozgwieżdżone niebo zaczęło pluć srebrnymi błyskawicami.

Pierwsza uderzyła w ziemię z ogłuszającym rykiem w odległości mniejszej niż cztery kroki. Świat pobiełał i Pustka rozsypała się na kawałki. Grunt pod nim podskoczył, kiedy runęła kolejna i zaraz za nią następna. Dopiero wtedy zauważył, że leży twarzą w dół. Powietrze jakby pękało. Zamroczony podźwignął się i rzucił do ucieczki na łeb na szyję przed tym gradem błyskawic, który rozdzierał ulicę przy wtórze rumoru zapadających się budowli. Słaniając się, brnął przed siebie, nie dbając dokąd, byle jak najdalej.

Nagle w głowie rozjaśniło mu się na tyle, by pojął, gdzie się znalazł, że oto przemierza chwiejnie jakąś kamienną posadzkę pokrytą kęsami kamiennych odłamków, niekiedy tak dużymi jak on sam. Tu i ówdzie w płytach posadzki ziały ciemne nierówne dziury. Dookoła wznosiły się wysokie ściany i wsporniki głębokich balkonów. Po wielkim dachu został jedynie fragment w jednym z rogów budowli. Na niebie jasno świeciły gwiazdy.

Dał niepewny krok i posadzka zapadła się pod nim. Desperacko zamachał rękoma, prawa dłoń natrafiła na chropawą krawędź. Zawisł w absolutnej ciemności. Przepaść pod jego nogami mogła prowadzić do jakiejś piwnicy i sięgać najwyżej kilka piędzi, równie dobrze jednak i całą milę – to wszystko, co był w stanie orzec. Mógł umocować pasma uplecione z Powietrza do poszarpanej krawędzi dziury nad jego głową i na nich się podciągnąć, tyle że... Jakimś sposobem Sammael

wyczuł stosunkowo niewielką ilość *saidina* użytego do utworzenia miecza. Wprawdzie błyskawice uderzyły z pewnym opóźnieniem, ale nie miał bladego pojęcia, ile czasu zajęło mu zabijanie trolloków. Minutę? Sekundy?

Z wysiłkiem wyrzucił lewą rękę w górę, starając się uchwycić brzegu otworu. Przeszył go ból w boku, nie tłumiony przez Pustkę – jakby ktoś wbijał w to miejsce sztylet. Przed oczyma zatańczyły mu plamy. Co gorsza, prawa ręka omsknęła się po skruszonym kamieniu i poczuł, że słabną mu palce. Będzie musiał...

Czyjaś wyciągnięta ręka pochwyciła jego prawą dłoń.

– Dureń z ciebie – przemówił głęboki męski głos. – Uważaj się za szczęśliwca, że dzisiaj nie mam ochoty oglądać cię martwym. – Ręka zaczęła go wciągać do góry. – Pomożesz mi czy nie? – spytał głos. – Nie zamierzam ani dźwigać cię na swoich barkach, ani też zabijać Sammaela w twoim imieniu.

Otrząsnąwszy się, Rand wyciągnął rękę i zacisnął palce na brzegu otworu, podciągając się, mimo śmiertelnego bólu w boku. Mimo ogarniającej go słabości udało mu się też odzyskać Pustkę i objąć *saidina*. Nie przeniósł, ale chciał być gotowy.

Jego głowa i ramiona wynurzyły się ponad posadzkę i wtedy zobaczył tamtego mężczyznę, rosłego, nieco odeń starszego, z włosami czarnymi jak noc i odzianego w czarny kaftan, podobny do tych, które nosili Asha'mani. Rand nigdy wcześniej go nie widział. Przynajmniej nie był to jeden z Przeklętych, ich twarze znał. W każdym razie tak mu się wydawało.

– Kim jesteś? – spytał.

Mężczyzna, nie ustając w wysiłkach, wybuchnął śmiechem.

– Powiedzmy tylko, że jestem wędrowcem, który akurat tędy przechodził. Czy naprawdę chcesz teraz rozmawiać?

Oszczędzając oddech, Rand mozolnie piął się w górę – wydostał już pierś ponad krawędź, chwilę później biodra. I raptem dostrzegł, że posadzkę zalewa jakaś łuna, jasna jak księżyc w pełni.

Obróciwszy się, by spojrzeć ponad ramieniem, zobaczył Mashadara. Nie pojedynczą mackę, ale lśniąca srebrzystoszarą falę wytaczającą się z jednego z balkonów, sklepionych łukiem nad ich głowami. Opadała.

Nie myśląc, podniósł wolną rękę i wystrzelił ogniem stосу, pręgą płynnego białego ognia tnącego na wskroś sunącą ku nim falę. Mglisto zarejestrował pojawienie się jeszcze jednej pręgi jasnego litego ognia tryskającego z wolnej dłoni mężczyzny. Zetknęły się.

Poczuł, jakby w jego głowie zahuczał nagle gong, ciałem targnęły konwulsje, *saidin* i Pustka roztrzaskały się. Widział wszystko podwójnie, balkony, odłamki kamienia zalegające posadzkę. Wydawało mu się, że widzi dwóch mężczyzn, których sylwetki nakładały się na siebie, każdy ścisnął głowę w dłoniach. Mrugając, Rand szukał Mashadara. Fala lśniącej mgły zniknęła, łuna pozostała na górnych balkonach, ale kiedy wzrok zaczął mu się poprawiać, dostrzegł, że ciemnieje, cofa się. Najwyraźniej nawet bezrozumny Mashadar uciekał przed ogniem stосу.

Powstał niepewnie i wyciągnął rękę.

– Chyba powinniśmy wynieść się stąd jak najszybciej. Co się tu stało?

Mężczyzna podźwignął się, patrząc krzywo na wyciągniętą rękę Randa. Był z pewnością równie jak on wysoki: rzadkość, jeśli nie liczyć Aielów.

– Nie mam pojęcia, co tu się stało – warknął. – Uciekaj, jeśli chcesz żyć. – I natychmiast sam wprowadził swoją radę w czyn, mknąc w stronę szeregu otwartych łuków -jednak nie w najbliższym murze, gdyż stamtąd przed chwilą wychynał Mashadar.

Po omacku szukając Pustki, Rand kuśtykał jego śladem, tak szybko, jak potrafił, ale zanim obaj



zdążyli pokonać przestrzeń wnętrza, znowu runęła na nich ulewa błyskawic, burza srebrnych strzał. Obaj dopadli do sklepionych przejść, ścigani łomotem ścian i posadzek rozpadających się za nimi w chmurach kurzu i gradzie kamieni. Kuląc się i osłaniając dłonią twarz, nękany atakiem kaszlu, Rand przebiegł wielką komnatę, gdzie łukowe sklepienia drżały przy wtórze sypiących się kamieni.

Zanim się zorientował, już był na zewnątrz, pęd zepchnął go jeszcze z trzech stopni. Ból w boku sprawiał, że miał ochotę zgiąć się w pół, ale bał się, że wtedy upadnie na dobre. Czuł pulsowanie w poranionej stopie, miał wrażenie, że minął rok, odkąd czerwony drut z Ognia i Powietrza poraził mu piętę. Jego wybawca przyglądał mu się – od stóp do głów pokryty kurzem, mimo to nadal wyglądał niczym król.

– Kim jesteś? – spytał ponownie Rand. – Jednym z ludzi Taima? Czy może uczyłeś się sam? Mógłbyś udać się do Caemlyn, do Czarnej Wieży. Nie musisz żyć w strachu przed Aes Sedai. – Z jakiegoś powodu mówiąc to, skrzywił się, ale nie rozumiał dlaczego.

– Nigdy w życiu nie bałem się Aes Sedai – odwarknął mężczyzna, po czym zrobił głęboki wdech. – Prawdopodobnie powinieneś oddalić się stąd jak najprędzej, ale jeśli zamierzasz zostać i zabić Sammaela, to lepiej zacznij myśleć jak on. Pokazałeś, że potrafisz. On zawsze najbardziej lubił niszczyć człowieka w otoczeniu największych jego zdobyczy. A jeśli nie miał po temu okazji, to niszczył go w dowolnym miejscu, które dlań było jakoś ważne, które traktował jak swoje.

– Brama – powiedział wolno Rand. Jedyne miejsce, które w Shadar Logoth mógł traktować jako swoje, stanowiła Brama. – Sammael czeka gdzieś w pobliżu Bramy. I bez wątpienia zastawił pułapki. – I zapewne utkał też zabezpieczenia, takie same jak tamte w Illian, dzięki którym mógł wykryć przenoszącego mężczyznę. Sammael dobrze to wszystko obmyślił.

Mężczyzna zaśmiał się zdawkowo.

– Wychodzi na to, że jak chcesz, to jednak potrafisz znaleźć sposób. Pod warunkiem że ktoś cię prowadzi za rękę. Postaraj się nie potknąć. Wiele planów trzeba będzie odłożyć na później, jeśli dasz się teraz zabić. – Odwróciwszy się, przeszedł na drugą stronę ulicy, kierując się do jakiejś bocznej alejki.

– Zaczekaj! – zawołał Rand. Mężczyzna szedł dalej, nie oglądając się za siebie. – Kim jesteś? Jakie plany? – Lecz mężczyzna już zniknął w alejce.

Rand ruszył za nim niepewnym krokiem, ale kiedy dotarł do wylotu alejki, nikogo już nie zobaczył. Widział ciąg nie zrujnowanych murów, które biegły na odległość dobrych stu kroków do następnej ulicy, rozświetlonej łuną świadcząca o tym, że znowu jakaś część Mashadara błąkała się swobodnie. Nieznajomy mężczyzna wszakże zniknął. Co było właściwie niemożliwe. Miał oczywiście czas, by zrobić bramę, jeśli potrafił, ale jej resztki byłyby jeszcze widoczne, a poza tym *saidin* tkany tak blisko, w takich ilościach, wręcz krzyczałby w głos.

Nagle uprzytomnił sobie, że nie poczuł *saidina* również wtedy, gdy mężczyzna utkał ogień stosu. Wystarczyło, że tylko o tym pomyślał, o tych dwóch dotykających się strumieniach, i od nowa zaczął widzieć podwójnie. Tylko przez krótką chwilę widział znowu twarz mężczyzny, bardzo wyraźnie, mimo iż wszystko inne było zamazane. Potrząsnął głową, żeby tło nabrało ostrych konturów.

– Kim ty, na Światłość, jesteś? – wyszeptał. I po chwili: – Czym, na Światłość, jesteś?

Mężczyzna, kimkolwiek albo czymkolwiek był, zniknął jednakie. Sammael nadal krążył po Shadar Logoth. Z wysiłkiem ponownie objął Pustkę. Skaza *saidina* wibrowała teraz, szumiąc w nim głęboko, wibrowała nawet sama Pustka. Ale słabość w zwiotczałych mięśniach i ból ran ustępowały. Nim nastanie poranek, zabije jednego z Przeklętych.

Cały czas utykając, błąkał się niczym duch po ciemnych ulicach, nadzwyczaj uważnie stawiając stopy. Nie martwił się jednak wydawanymi dźwiękami, gdyż noc była teraz pełna hałasów. Z daleka

dobiegały wrzaski i gardłowe krzyki. Bezrozumny Mashadar zabijał wszystko, co znalazł na swej drodze – tej nocy więc trolloki ginęły w Shadar Logoth tak samo jak dawno, dawno temu. Spostrzegał je niekiedy w bocznych uliczkach, po dwa, po pięć albo i dziesięć, czasami towarzyszył im Półczłowiek, zazwyczaj wszak były same. Żaden z tych stworów go nie zauważył, a on ich nie zaczepiał. Nie dlatego tylko, że Sammael wyczułby przenoszenie. Trolloki i Myrddraale, których Mashadar nie zabił, były i tak już martwe. Sammael z pewnością sprowadził je tutaj przez Drogi, ale najwyraźniej nie połapał się, jaką też zdobyczą sztuki Randa było otoczenie tutejszej Bramy.

Tuż przed placem, na którym znajdowała się Brama, zatrzymał się i rozejrzał dookoła. W pobliżu stała jakaś wieża, z pozoru cała. Nie tak wysoka jak inne, jednak szczyt znajdował się co najmniej na wysokości pięćdziesięciu kroków ponad ziemią. Z ciemnego otworu wejściowego u jej podstawy ziało pustką, drzwi dawno temu zgniły, a rdza ze szczerem przeżarła zawiasy. Wspiął się powoli po kręconych schodach, przedzierających się przez mrok rozświetlony jedynie światłem gwiazd padającym przez okna, wzniecając niewielkie obłoczki kurzu, przy każdym kroku czując ukłucia bólu w nodze. Odległego bólu. Na szczycie wieży oparł się o gładki parapet, by złapać oddech.

Ponad domami, którym brakowało dachów, widział fragmenty wielkiego placu, niegdyś najważniejszego w Aridhol. Dawno, dawno temu większość tego obszaru porastał gaj Ogirów, ale w ciągu trzydziestu lat od czasu odejścia budowniczych, którzy wzniesli najstarsze dzielnice miasta, mieszkańcy ścięli drzewa, by zrobić miejsce dla rozwijającej się metropolii. Ogromny plac otaczały pałace i ruiny tych pięknych budowli – w głębi kilku okien pobłyskiwała łuna Mashadara – na jednym z jego krańców wznosił się kopiec gruzu, ale w samym środku stała Brama: na pierwszy rzut oka niczym nie różniąca się od masywnej kamiennej płyty. Rand nie znajdował się dostatecznie blisko, by widzieć misternie rzeźbione liście i pnącza, ale widział przewrócone fragmenty wysokiego ogrodzenia, które niegdyś ją otaczało. Metal wykuty Mocą nie zaśniedział, jego sterty błyszcząły w nocnym mroku. Widział także pułapkę, którą utkał wokół Bramy, przenicowaną, dzięki czemu nie mogło jej zauważyć niczyje oko oprócz jego. Nie miał jak orzec, czy trolloki i Półludzie rzeczywiście przez nią przeszli, ale jeśli tak, to niebawem mieli pomrzeć. Okropność. Nie widział żadnej z pułapek, jakie tam musiał zastawić Sammael, przewidział jednak ich istnienie. Efekty ich uruchomienia zapewne też nie były przyjemne.

Z początku nie dostrzegł nawet śladu tamtego, ale po chwili ktoś się poruszył pośród żłobionych kolumn otaczających jeden z pałaców. Rand czekał. Pragnął się upewnić, wiedział, że będzie miał tylko jedną szansę. Postać postąpiła do przodu, wyłaniając się spomiędzy kolumn, i zrobiła krok na plac, rozglądając się na wszystkie strony. Był to Sammael, w lśniących śnieżnobiałych koronkach przy szyi, który czekał, aż Rand wejdzie na plac, prosto w jedną z pułapek. Łuna w oknach pałacu za jego plecami pojaśniała. Sammael ogarnął wzrokiem mrok zalegający przeciwległą stronę placu, z jednego z okien wylał się Mashadar, gęste kłęby srebrzystoszarej mgły, stapiające się nad jego głową. Sammael zrobił kilka kroków w bok i fala jęła opadać, powoli nabierając prędkości.

Rand potrząsnął głową. Sammael już był jego. Strumienie potrzebne do ognia stosu zdawały się przeżyć do skoku, mimo odległego echa głosu Cadsuane, które pobrzmiwało w jego głowie. Podniósł rękę.

Nagle krzyk rozdarł ciemność, krzyk kobiety targanej śmiertelnym bólem. Rand zobaczył Sammaela, który skierował spojrzenie w stronę wielkiego kopca gruzu, w tym samym momencie jego wzrok także skoczył w tamtą stronę. Na szczycie kopca stała postać, wyraźnie obrysowana na tle nieba, odziana w bury kaftan i spodnie. Pojedyncza macka Mashadara oplatała jej nogę. Z wyciągniętymi na boki ramionami miotła się, niezdolna odejść stamtąd, usta wykrzywione

bezsłownym łkaniem niemo wypowiadały jego imię.

– Liah – wyszeptał. Nie myśląc, wyciągnął rękę, jakby mimo dzielącego ich dystansu mógł jej dosięgnąć i ją uratować. Nic jednak nie mogło uratować tego, co zostało dotknięte przez Mashadara, tak jak nic nie mogłoby uratować jego, gdyby sztylet Faina ugodził go w samo serce. – Liah – wyszeptał. I z jego ręki wyskoczył ogień stosu.

Sylwetka chyba stała tam jeszcze przez mgnienie oka, cała w surowych czerniach i śnieżnych bielach, a potem zniknęła, martwa na sekundy wcześniej, nim zaczęła się agonizacja.

Krzycząc przeraźliwie, Rand smagnął ogniem stosu ponad placem; gruzy obracały się w gruzy, a on siał w krąg śmierć, która wypalała wszelkie ślady w czasie – i uwolnił *saidina*, zanim pręga bieli musnęła choćby fale Mashadara, które teraz przelewały się po placu, pieniąc obok Bramy, sunąc w stronę rzek rozjarzonej szarości, które napływały z pałacu stojącego po przeciwnej stronie. Sammael musiał być martwy. Musiał. Nie zdążyłby uciec, nie zdążyłby utkać bramy, a nawet gdyby starczyło mu na to czasu, to Rand poczułby, że ktoś posługuje się *saidinem*. Sammael nie żył, zabity przez zło prawie tak wielkie jak to, które wcielał. Po powierzchni Pustki sunęły emocje, miał ochotę się śmiać, czy może raczej płakać. Przybył tu, by zabić jednego z Przeklętych, a zamiast tego zabił kobietę, którą porzucił ongiś na pastwę losu.

Przez dłuższy czas stał na szczycie wieży, gdy tymczasem ubywający księżyc u schyłku trzeciej kwadry przepelźnięł część swej drogi po nieboskłonie. Rand stał i przyglądał się, jak Mashadar wypełnia plac, do momentu, w którym ponad powierzchnię mgły wystawał już tylko czubek Bramy, a potem zaczyna cofać się powoli, ruszając na polowanie w jakimś innym miejscu. Gdyby Sammael przeżył, to właśnie teraz mógłby z łatwością zabić Smoka Odrodzonego. Rand nie był pewien, czy to by go w ogóle obeszło: Ostatecznie otworzył bramę do Przemyskania i zrobił platformę w kształcie dysku, w połowie białego i w połowie czarnego. Przemyskanie było wolniejsze od Podróżowania, toteż potrzebował co najmniej pół godziny, by dotrzeć do Illian, i przez całą tę drogę bez końca wytrawiał w swych myślach imię Liah, bez końca biczował się kojarzonym z nim poczuciem winy. I żałował, że nie potrafi płakać. Miał wrażenie, że zapomniał, jak to się robi.

Czekali na niego w Pałacu Króla, w sali tronowej. Bashere, Dashiva i Asha'mani. Była to niemal taka sama komnata jak ta, którą odwiedził po przeciwnej stronie placu, wyposażona w takie same stojące lampy, rzeźbione frezy i długie białe podium. Niemała taka sama, tyle że nieco większa, a na podium, zamiast dziewięciu krzeseł, stał wielki połączony tron z poręczami w kształcie lampartów oraz zaplekiem udekorowanym dziewięcioma złotymi pszczołami wielkości pięści, które miały koronować głowę każdego, kto na tym tronie zasiądzie. Znużony Rand przysiadł na stopniach podium.

– Jak rozumiem, Sammael nie żyje – powiedział Bashere, mierząc go wzrokiem od stóp do głów w tym poszarpanym, okrytym kurzem kaftanie.

– Nie żyje – potwierdził Rand. Dashiva głośno westchnął z ulgą.

– Miasto należy do nas – ciągnął Bashere. – A raczej do ciebie, powinienem rzec. – I ni stąd, ni zowąd wybuchł śmiechem. – Walki rychło ustały, kiedy ludzie się dowiedzieli, że to ty. Pod koniec w zasadzie nie było już z kim walczyć. – Na rozdartym rękawie kaftana miał czarną plamę zaschniętej krwi. – Rada z niecierpliwością oczekiwała twojego powrotu. Z niepokojem, można by powiedzieć – dodał z krzywym uśmiechem.

Kiedy Rand wchodził do sali tronowej, zwrócił uwagę na ośmiu spoconych mężczyzn, którzy stali pod przeciwległą ścianą. Byli odziani w kaftany z ciemnego jedwabiu, ozdobione złotymi albo srebrnymi haftami na wyłogach i rękawach, oraz kaskadami strojnych koronek wokół szyi i nadgarstków. Niektórzy mieli brody, choć równocześnie golili wąsy, ale każdego zdobiła szarfa z

zielonego jedwabiu, biegnąca ukośnie przez pierś, z dziewięcioma złotymi pszczołami.

Na znak Bashere podeszli do przodu, co trzeci krok kłaniając się Randowi, jakby widzieli go w pełni majestatu. Wysoki mężczyzna zdawał się przywódcą, miał krągłą twarz i brodę, a także wyraz wrodzonej godności na twarzy o rysach napiętych od trosk.

– Lordzie Smoku – powiedział, kłaniając się i przyciskając obie dłonie do serca. – Wybacz mi, ale nijak nie możemy znaleźć lorda Brenda i...

– I nie znajdziecie go – zimno przerwał mu Rand.

W twarzy mężczyzny zadygotał mięsień, gdy usłyszał ton Randa. Nerwowo przełknął ślinę.

– Jako rzeczesz, Lordzie Smoku – wymamrotał. -Jestem lord Gregorin den Lushenos, Lordzie Smoku. Pod nieobecność lorda Brenda to ja przemawiam w imieniu Rady Dziewięciu. Oferujemy ci... – Któryś z idących u jego boku zamachał energicznie w stronę niższego mężczyzny, bez brody, który postąpił naprzód, wyciągając poduszkę owiniętą w zielony jedwab. – ...oferujemy ci Illian. – Niższy mężczyzna odgarnął tkaninę, ukazując ciężką złotą obręcz, wieniec z liści laurowych, grubości dwu cali. -Miasto jest twoje, ma się rozumieć – ciągnął z niepokojem Gregorin. – Zdusiliśmy wszelki opór. Oferujemy ci koronę, tron i całe Illian.

Rand bez jednego poruszenia wpatrywał się w ułożoną na poduszce koronę. W Łzie ludzie myśleli, że on chce koronować się na ich króla, bali się tego w Cairhien i Andorze, nikt jednak dotychczas naprawdę nie ofiarował mu korony.

– A to dlaczego? Czyżby Mattin Stepaneos zamierzał abdykować?

– Król Mattin zniknął przed dwoma dniami – odparł Gregorin. – Niektórzy z nas obawiają się... Obawiamy się, że ma coś z tym wspólnego lord Brend. Brend istotnie... -Urwał i odkaszlnął. – Brend miał spory wpływ na króla, niektórzy powiadają, że zbyt wielki, ale w ostatnich miesiącach bywał roztargniony i Mattin jął na powrót umacniać swą władzę.

Strzępy brudnego rękawa kaftana i porwanej koszuli zakołysały się, kiedy Rand podniósł Laurową Koronę. Smok opleciony wokół jego przedramienia zalśnił w świetle lamp tak jasno jak złoto Korony. Obrócił ją w dłoniach.

– Nie podałeś mi jeszcze waszych racji. Czy to dlatego, że zdobyłem miasto? – Podbił Łzę i Cairhien, ale w obu tych krajach wciąż byli tacy, którzy mu się opierali. A jednak wydawało się, że to jedyna droga.

– To jeden z powodów – odparł sucho Gregorin. -Wszak mogliśmy wybrać kogoś spośród nas; zdarzało się już, że królowie wywodzili się z członków Rady. Jednakowoż, dzięki ziarnu, które na twój rozkaz przysyłają z Łzy, twoje imię jest na ustach wszystkich tutaj, wymieniane jednym tchem ze Światłością. Bez niego całe rzesze pomarłyby z głodu. Brend pilnował, by każda kromka chleba szła na potrzeby armii.

Rand zamrugał i oderwał dłoń od korony, by posać ukłuty palec. Wśród liści laurowych ukryte były ostre czubki mieczy. Ile czasu minęło, odkąd wydał rozkaz, by Tairenianie sprzedawali ziarno swemu odwiecznemu wrogowi, zresztą pod groźbą śmierci na wypadek odmowy? Nie miał pojęcia, że nie zaprzestali, gdy dowiedzieli się o przygotowaniach do inwazji na Illian. Może przestali to robić oficjalnie, ale najwyraźniej zboże dalej szło. Niewykluczone więc, że jednak zasłużył na prawo noszenia tej korony.

Ostrożnie nasadził wieniec z laurowych liści na głowę. Jedna połowa mieczy była wycelowana w górę, druga w dół. Nikt nie dałby rady nosić tej korony na co dzień, wymagało to zbyt dużo uwagi i ostrożności.

Gregorin uklonił się gładko.

– Oby Światłość opromieniła Randa al'Thora, króla Illian – zaintonował i siedmiu pozostałych

lordów skłoniło się razem z nim, mrużąc: – Oby Światłość opromieniła Randa al'Thora, króla Illian.

Bashere zadowolili się ukłonem głowy – ostatecznie był wujem królowej – za to Dashiva zawołał:

– Chwała Randowi al'Thorowi, Królowi Świata! – Flinn i pozostali podjęli okrzyk.

– Chwała Randowi al'Thorowi, Królowi Świata!

– Chwała Królowi Świata!

W tych głosach kryła się nadzieja na lepszą przyszłość.

Opowieść ta rozniosła się, jak to bywa z opowieściami, i zmieniała się wraz z upływem czasu i pokonywaną odległością, wywieziona z Illian przez statki przybrzeżne, karawany kupieckie i potajemnie wysłane gołębie, rozchodząc się falami, które mieszały się z innymi falami i wspólnie tworzyły nowe. Do Illian przybyła armia, powiadano, armia Aielów, armia Aes Sedai pojawiających się znikąd, armia mężczyzn, którzy przenosili z grzbietów skrzydlatych bestii, nawet armia Saldaean, aczkolwiek w to ostatnie wierzyło niewielu. Jedni opowiadający twierdzili, że Rada Dziewięciu ofiarowała Smokowi Odrodzonemu Laurową Koronę Illian, inni, że sam Mattin Stepaneos miał paść przed nim na kolana. Powiadali, że to Smok Odrodzony zdarł koronę z głowy Mattina, a potem jeszcze nabił tę głowę na pal. Nie, Smok Odrodzony zrujnował Illian i pogrzebał króla w jego gruzach. Nie, on i jego armia Asha'manów spalili Illian do gołej ziemi. Nie, to było Ebou Dar, które zniszczył po zniesieniu z powierzchni ziemi Illian.

Ale był jeden niezmienny element, który zawsze pojawiał się we wszystkich tych relacjach. Laurowa Korona Illian otrzymała nowe miano: Korony Mieczy.

I z jakiegoś powodu mężczyźni i kobiety, którzy przekazywali te opowieści, często odczuwali potrzebę dodawania niemal identycznych słów. Nadciąga burza, mówili, patrząc z troską na południe. Nadciąga burza.

*Pan błyskawic, jeździec burzy  
ten, który nosi Koronę Mieczy, ten, który odmienia los,  
Ten, któremu zdaje się, iż obraca Kołem Czasu,  
może zbyt późno usłyszeć prawdy głos.*

Z fragmentarycznego tłumaczenia *Proroctw Smoka* na język zwany wówczas mową, przypisywanego lordowi Mangore Kiraminowi, bardowi Miecza Aramelle i Strażnikowi Caraighan Maconar (ok. 300 OP).

# GLOSARIUSZ

Nota o datach w poniższym glosariuszu.

Kalendarz Tomański (opracowany przez Tomędur Ahmida) został przyjęty około dwu wieków po śmierci ostatniego mężczyzny Aes Sedai i rejestrował lata, które upłynęły Od Pęknięcia Świata (OP). Wiele zapisów uległo zniszczeniu podczas Wojen z Trollokami i pod ich koniec wybuchł spór o poszczególne daty liczone według starego systemu. Opracowany został zatem nowy kalendarz, autorstwa Tiama z Gazar, którego początkiem był koniec Wojen i który uświetniał wyzwolenie spod zagrożenia ze strony trolloków. Każdy odnotowany w nim rok określano jako Wolny Rok (WR). Kalendarz Gazarański wszedł do powszechnego użytku w ciągu dwudziestu lat od zakończenia Wojen. Artur Hawkwing starał się wprowadzić nowy kalendarz datujący swój początek od ufundowania jego imperium (OU), ale dzisiaj znany jest on jedynie historykom. Po tym, jak Wojna Stu Lat przyniosła z sobą ogólną destrukcję, śmierć i zniszczenia, pojawił się trzeci kalendarz, opracowany przez Uren din Jubai Szybującą Mewę, uczoną Ludu Morza, i upowszechniony przez Farede, Panarch Tarabon. Kalendarz Faredański, zapisujący lata Nowej Ery (NE), liczone od arbitralnie przyjętego końca Wojny Stu Lat, jest obecnie w powszechnym użytku.

*a'dam* (AYE-dam): Instrument służący do podporządkowania kobiety, która potrafi przenosić; przydatny jedynie w odniesieniu do kobiet, które potrafią przenosić, lub też takich, które można nauczyć przenoszenia. Tworzy połączenie między dwoma kobietami. Jego seanchańska odmiana składa się z kołnierza i bransolety, połączonych smyczą ze srebrzystego metalu, ale powstał też jeden unikatowy egzemplarz bez takiej smyczy i podobno istnieje również taka odmiana *a'dam*, dzięki której kobieta może kontrolować mężczyznę potrafiącego przenosić. Jeżeli połączy się takiego mężczyznę z kobietą, która potrafi przenosić, za pomocą zwykłej *a'dam*, wówczas oboje zapewne umrą. Już samo dotykanie *a'dam* może wywołać ból u mężczyzny, który potrafi przenosić, jeżeli *a'dam* jest noszona przez kobietę potrafiącą przenosić. Patrz również: łączenie, Seanchanie.

Ajah (AH ;jah): Społeczności Aes Sedai; jest ich w sumie siedem i swoje nazwy biorą od poszczególnych barw: Błękitne, Czerwone, Białe, Zielone, Brązowe, Żółte i Szare. Należą do nich wszystkie Aes Sedai, z wyjątkiem Zasiadającej na Tronie Amyrlin. Wszystkie wyznają odrębne filozofie korzystania z Jedynej Mocy i celu, jakim służą Aes Sedai. Czerwone Ajah całą swoją energię koncentrują na wyszukiwaniu i poskramianiu mężczyzn, którzy próbują władać Mocą. Brązowe Ajah, dla odmiany, odmawiają zaangażowania w sprawy świata i poświęcają się poszukiwaniu wiedzy, natomiast Białe Ajah rezygnują i z jednego, i z drugiego, poświęcając się pytaniom filozoficznym oraz ogólnej teorii prawdy. Zielone Ajah (nazwane Bojowymi Ajah podczas Wojen z Trollokami) trwają w gotowości, oczekując Tarmon Gaidon, Żółte oddają się studiom nad Uzdrawianiem, a Błękitne siostry uczestniczą aktywnie w sprawach polityki i sprawiedliwości. Szare są mediatorami, poszukującymi harmonii i wzajemnego zrozumienia. Pogłoski o istnieniu Czarnych Ajah, które poświęciły się służbie dla Czarnego, są oficjalnie dementowane.

*algai'd'siswai*: W Dawnej Mowie “wojownicy włóczy”. Nazwę tę nadaje się tym Aielom, którzy walczą z użyciem włóczy i regularnie uczestniczą w bitwach, w odróżnieniu od tych, którzy zajmują się rzemiosłem.

Altara (al-TAH-rah): Kraina położona na Morzu Sztormów, ale tak naprawdę to niewiele ją jednoczy oprócz nazwy. Altarani uważają siebie za mieszkańców danego miasta albo wioski, lub też poddanych jakiegoś lorda albo lady, a dopiero w drugiej kolejności za mieszkańców Altary. Niewielu arystokratów płaci podatki na rzecz Korony, bądź czyni coś więcej poza opowiadaniem się

za swym państwem. Władca Altary (obecnie królowa Tylin Quintara z Domu Mitsobar, TIE-lihn quin-TAHR-ah; MIHT-soh-bahr) rzadko kiedy jest kimś więcej niż najpotężniejszym arystokratą w kraju, a bywało, że nie był nawet kimś takim. Tron Wiatrów dysponuje tak nieznaczną władzą, że wielu arystokratów wzdragałoby się przed jego przyjęciem, gdyby stanęli wobec takiej konieczności. Na sztandarze Altary widnieją dwa złote lamparty na tle czerwono-niebieskiej szachownicy. Godłem Domu Mitsobar jest kotwica skrzyżowana z mieczem. Patrz również: Mądre Kobiety.

Amys (ah-MEESE): Mądra z Siedziby Zimnych Skał i wędrująca po snach. Kobieta Aiel ze szczepu Dziewięciu Dolin, Taardad Aiel. Żona Rhuarka, siostra-żona Lian (lee-AHN), pani dachu Siedziby Zimnych Skał oraz siostra-matka Aviendhy.

*angreal* (ahn-gree-AHL): Pozostałość Wieku Legend, dzięki któremu każdy, kto jest zdolny do przenoszenia Jedynej Mocy, może bezpiecznie zaczerpnąć jej więcej niż to jest możliwe bez wspomagania. Niektóre tworzono z myślą o mężczyznach, inne dla kobiet. Pogłoski o *angrealach*, których zdolni byliby używać zarówno mężczyźni, jak i kobiety, nie zostały nigdy potwierdzone. Sposób jego wytwarzania nie jest już znany. Pozostało ich niewiele. Patrz również: *sa'angreal*; *ter'angreal*.

Asha'man: (1) W Dawnej Mowie "opiekun" albo "obrońca", silnie nacechowany dodatkowym znaczeniem, w sensie obrońcy prawdy i sprawiedliwości. (2) Miano przyjmowane przez wyznawców Smoka Odrodzonego, mężczyzn, którzy przybywają do miejsca zwanego obecnie Czarną Wieżą, aby tam uczyć się przenoszenia. Są wśród nich tacy, którzy zawsze marzyli, że posiadą tę umiejętność, mimo związanego z tym strasznego ryzyka, ale są też tacy, którzy po prostu zdali sprawdziany wykrywające u nich zdolność do przenoszenia i teraz muszą się nauczyć, jak ową zdolność kontrolować, zanim ona ich zabije. Szkołą się nie tylko w posługiwaniu Jediną Mocą, ale także we władaniu mieczem oraz w walce wręcz. Asha'mani, którzy noszą wyróżniające ich czarne kaftany, są zhierarchizowani zgodnie z poziomem nabytej wiedzy, przy czym najniższą rangą jest Żołnierz. Następny poziom to Oddany, symbolizowany przez szpilę w kształcie srebrnego miecza wpinaną w kołnierz kaftana. Najwyżsi rangą to po prostu Asha'mani i ci wyróżniają się czerwono-złotą emaliowaną szpilą w kształcie Smoka, wpinaną w kołnierz kaftana po przeciwnej stronie miecza. W odróżnieniu od Aes Sedai, które bardzo pilnują, by szkolone przez nich kobiety nie ryzykowały, robiąc zbyt szybkie postępy, Asha'mani są od samego początku mocno poganiani, zwłaszcza w uczeniu się posługiwania Mocą w charakterze broni. O ile śmierć albo ujarzmienie nowicjuszek podczas szkolenia jest czymś, o czym zawsze mówiono z przerażeniem w Białej Wieży, o tyle w Czarnej Wieży z góry się zakłada, że pewna liczba Żołnierzy umrze lub wypali się w trakcie pobierania nauk. Powstanie Czarnej Wieży oraz związki Asha'manów ze Smokiem Odrodzonym sprawiły, że niektóre Aes Sedai zmieniły swe stanowisko względem konieczności natychmiastowego poskramiania przenoszących mężczyzn, wiele z nich jednakże nie zmieniło swoich poglądów. Patrz również: poskramianie, ujarzmianie.

Asunawa, Rhadam (ah-soo-NAH-wah, RAH-dam): Wysoki Inkwizytor Ręki Światłości. Żywi przekonanie, że paranie się Jediną Mocą to uzurpowanie sobie władzy Stwórcy stanowiące przyczynę nieszczęść świata. Nade wszystko pragnie niszczyć wszystkie osoby, które potrafią przenosić, albo tylko o tym marzą; ci muszą wyznać swoje grzechy przed Ręką Światłości, a potem umrzeć. Patrz również: Śledczy.

Atha'an Miere (Ah-thah-AHN mee-EHR). Patrz: Lud Morza.

Berelain sur Paendrag (BEH-reh-fain suhr PAY-ehn-DRAG): Pierwsza z Mayene, Błogosławiona Światłością Obrończyni Fal, Zasiadająca na Wysokim Tronie Domu Paeron (pay-eh-ROHN). Piękna i zdecydowana młoda kobieta, nadto utalentowana władczyni. Patrz: Mayene.

Birgitte (ber-GEET-teh): Strażnik Elayne Trakand, uważana za pierwszą kobietę Strażnika w historii, który to fakt stanowił przyczynę wielu problemów, rzadko kiedy przewidywalnych. Birgitte to w rzeczywistości bohaterka legend o tym samym imieniu, jedna z tych, którzy mieli zostać wezwani z grobu przez Róg Valere, ale została wyrwana z *Tel'aran'rhiod* do świata żywych podczas potyczki z Moghedien i tylko więź z Elayne mogła ją uratować przed śmiercią. Z wyjątkiem urody i talentów łuczniczych, niewiele w niej tego, o czym opowiadają legendy. Patrz również: Przekleci, Róg Valere, Strażnik.

Bryne Gareth (BRIHN, GAH-rehth): Niegdyś kapitan-generał Gwardii Królowej w Andorze, obecnie dowodzący armią tych Aes Sedai, które zbuntowały się przeciwko władzy Elaidy do Avriny a'Roihan. Uważany za jednego z najlepszych żyjących generałów. Jego stosunki z Sivan Sanche wprawiają go w niemalże równe zakłopotanie co ją. Godłem Domu Bryne jest dziki byk z różaną koroną Andoru na karku. Osobistym godłem Garetha Bryne'a są trzy złote pięcioramienne gwiazdy.

*cadin'sor* (KAH-din-sohr): Ubiór *algai'd'siswai*: kaftan i spodnie w barwach szarości i brązu, łatwo wtapiające się w skaliste lub cieniste otoczenie, oraz miękkie sznurowane buty sięgające kolan. W Dawnej Mowie: "ubiór roboczy", aczkolwiek jest to, rzecz jasna, przekład niedokładny. Patrz również: *algai'd'siswai*.

Cadsuane Melaidhrin (CAD-soo-ain meh-LIE-drihn): Aes Sedai z Zielonych Ajah, która wśród Aes Sedai zdobyła status żywej legendy, aczkolwiek wiele sióstr uważa, że ona dawno temu umarła. Urodzona, jak się powszechnie uważa, około 705 r. NE w Ghealdan, co czyniłoby ją najstarszą z żyjących Aes Sedai, była także najsilniejszą w korzystaniu z Mocy, dopóki nie pojawiły się Nynaeve, Elayne oraz Egwene, a i tak nawet one nie prześcignęły jej w znacznym zakresie. Mimo iż należy do Zielonych, przez całe lata pojmowała więcej mężczyzn, którzy potrafią przenosić, niż jakakolwiek inna z żyjących sióstr; do mało znanych osobliwości zalicza się fakt, że mężczyźni, których ona sprowadziła do Białej Wieży, zazwyczaj żyli dłużej po swym poskromieniu niż ci, których pojmały inne siostry.

Cairhien (KEYE-ree-EHN): Nazwa kraju położonego przy Grzbiecie Świata i jednocześnie nazwa jego stolicy. Miasto zostało spalone i złupione podczas Wojen z Aielami, podobnie jak wiele innych miast i wsi. Na skutek wojen opuszczone zostały tereny uprawne w pobliżu Grzbietu Świata, co z kolei zmusiło kraj do importu ogromnych ilości ziarna. Zabójstwo króla Galldriana (998 NE) wtrąciło Cairhien w wojnę domową o sukcesję na Tronie Słońca między szlacheckimi Domami, a także spowodowało przerwę w dostawach zboża i w konsekwencji klęskę głodu. Miasto było oblegane przez Shaido podczas konfliktu, zwanego obecnie przez niektórych Drugą Wojną z Aielami; z odsieczą obleżonym przyszli inni Aielowie dowodzeni przez Randa al'Thora. Potem wielu arystokratów z Cairhien, w tym liczni z Łzy, przysięgło lojalność wobec Smoka Odrodzonego, niemniej jednak w kraju, gdzie Grę Domów wyniesiono do rangi sztuki, nie dziwi wcale, że wśród tych, którzy przysięgli, zdarzają się ludzie gotowi spiskować, w celu osiągnięcia własnych korzyści. Sztandarem Cairhien jest złote słońce o licznych promieniach wschodzące na tle niebieskiego nieba.

Caraighan Maconar (kah-RYE-gihn mah-CON-ahr): legendarna Zielona siostra (212-373 OP), bohaterka około stu przygód, spośród których część nawet pewne Aes Sedai uważają za niewiarygodne, mimo iż wzmianki o nich zostały zamieszczone w dokumentach Białej Wieży; np. stłumienie rebelii w Mosadorin w pojedynkę, a także zażegnanie Zamieszek w Comaidin w czasie, kiedy Caraighan nie miała żadnych Strażników. Przez Zielone Ajah uważana za archetyp Zielonej siostry. Patrz również: Ajah.

Dawna Mowa: Język, którym mówiono w Wieku Legend. Jej znajomości oczekuje się zazwyczaj od ludzi szlachetnie urodzonych i wykształconych, większość jednak zna zaledwie kilka słów. Tłumaczenia często następują wiele trudności, ze względu na to, że słowa posiadają kilka subtelnie



różniących się znaczeń. Patrz również: Wiek Legend.

Druciarze: Właściwa nazwa Tuatha' an (too-AH-thah-AHN); zwani również Ludem Wędrowców. Wędrowny lud, który mieszka w jaskrawo pomalowanych wozach i wyznaje pacyfistyczną filozofię, zwaną Drogą Liścia, która nie pozwala na zadawanie przemocy z jakiegokolwiek przyczyny. Ci Tuata'anie, którzy wyrzekną się tej wiary, są nazywani "Straconymi" i przestają być uznawani przez pozostałych.

Dzikuska: Kobieta, która zupełnie sama nauczyła się przenosić Jedyną Moc; udaje się to tylko jednej na cztery. Takie kobiety zazwyczaj budują bariery mentalne wokół wiedzy dotyczącej tego, co rzeczywiście robią, ale kiedy uda się przełamać owe

bariery, wówczas taka kobieta może znaleźć się wśród najpotężniejszych z przenoszących. Przydomku tego używa się często w pogardliwy sposób.

Ebou Dar: Stolica Altary. Wielki port i miasto, w którym obowiązuje wiele dziwacznych obyczajów trudnych do zaakceptowania dla cudzoziemców. Patrz również: Altara.

Elaida do Avriny a'Roihan (eh-Ly-da doh AHV-rih-nee ahROY-han): Aes Sedai, dawniej należąca do Czerwonych Ajah; obecnie wyniesiona do godności Zasiadającej na Tronie Amyrlin, aczkolwiek ma przeciwniczkę w osobie innej kobiety, która rości sobie prawo do tego tytułu. W przeszłości była doradczynią Morgase, królowej Andoru. Czasami potrafi głosić Przepowiednie.

Gaidin (GYE-deen): W Dawnej Mowie "Brat Bitew". Tytuł, który Aes Sedai nadają Strażnikom. Patrz również: Strażnik.

*gai'shain* (GYE-shain): W Dawnej Mowie "Zaprzysiężony Pokojowi w Bitwie". Aiel wzięty do niewoli podczas rajdu albo bitwy przez innego Aiela, który zgodnie z wymogami *ji'e'toh* musi służyć temu lub tej, którzy go pojmali, pokornie i posłusznie przez jeden rok i jeden dzień, nie dotykając broni i nie stosując przemocy. Nie można uczynić *gai'shain* z Mądrej, kowala, dziecka, bądź też z kobiety, która ma dziecko poniżej dziesięciu lat. Od czasu, gdy ujawniono, że przodkowie Aielów byli w rzeczywistości pacyfistycznymi wyznawcami Drogi Liścia, wielu *gai'shain* nie chce zdejmować bieli, kiedy ich czas się kończy. Ponadto, mimo iż zgodnie z tradycją, która jest tak silna jak prawo, nikt, kto nie wyznaje zasad *ji'e'toh* nie może zostać uczyniony *gai'shain*, Aielowie Shaído zaczęli ubierać jeńców z Cairhien i innych krajów w szaty *gai'shain* i wielu uznało, że skoro ci ludzie nie znają *ji'e'toh*, to w takim razie nie istnieje konieczność uwalniania ich po upływie przepisowego roku i jednego dnia.

Gawyn (GAH-wihn) z Dynastii Trakand (trah-KAND): Syn Królowej Morgase i brat Elayne, który będzie Pierwszym Księciem Miecza, gdy Elayne zasiądzie na tronie. Przyrodni brat Galada. Człowiek pochwycony w pułapkę nadzwyczaj trudnych dylematów, gardzi Aes Sedai, a jednak przyrzekł im służyć, i nienawidzi Randa al'Thora, a jednak przysiągł, że nie podniesie przeciwko niemu ręki: a to dlatego, ponieważ kocha Egwene al' Vere do utraty zmysłów. Nie wie, że Egwene została nie tylko Aes Sedai, ale również Zasiadającą na Tronie Amyrlin, która kieruje buntem przeciwko tej Amyrlin, którą on sam uznał. Jego godłem jest biały dzik.

Grzbiet Świata: Wysokie pasmo górskie z nielicznymi przełęczami, które dzieli Pustkowie Aiel od ziem położonych na zachodzie. Zwany również Murem Smoka.

Illian (IHL-lee-ahn): Wielkie miasto portowe położone nad Morzem Sztormów; stolica kraju noszącego taką samą nazwę. Odwieczny wróg Łzy. Sztandarem Illian jest dziewięć złotych pszczoł na zielonym polu.

Juilin Sandar (JUY-lihn salin-DAHR): Łowca złodziei z Łzy. Człowiek zakochany w zapewne ostatniej kobiecie, po której mógłby się spodziewać, że będzie obiektem jego miłości.

kalendarz: Tydzień składa się z dziesięciu dni, miesiąc z 28 dni, a rok z trzynastu miesięcy.

Kilku świąt nie zalicza się do żadnego z miesięcy; należy do nich Niedziela (najdłuższy dzień w roku, Święto Dziękczynienia (raz na cztery lata podczas wiosennego zrównania dnia z nocą) oraz Święto Zbawienia Wszystkich Dusz, zwane również Dniem Wszystkich Dusz (raz na dziesięć lat podczas jesiennego zrównania dnia z nocą). Wiele świąt jest obchodzonych na całym świecie (na przykład Święto Świąteł, które kończy stary rok i zaczyna nowy), ale każdy kraj posiada też własne święta, a niejednokrotnie zdarza się tak w przypadkach poszczególnych miast i wsi. Najmniej świąt obchodzi się w Ziemiach Granicznych, najwięcej zaś mają ich miasto Illian oraz Ebou Dar.

Kamień Łzy: Wielka forteca w mieście Łza, o której powiada się, iż wzniesiono ją wkrótce po Pęknięciu Świata. Była oblegana i atakowana niezliczoną ilość razy, zawsze jednak bez powodzenia; padła w ciągu jednej nocy, zdobyta przez Smoka Odrodzonego i kilka setek Aielów, w ten sposób wypełnione zostały dwa Proroctwa Smoka.

Komnata Wieży: Organ legislacyjny Aes Sedai, zgodnie z tradycją złożony z przedstawicielek wszystkich siedmiu Ajah, które wybierają swoje trzy Zasiadające w Komnacie. Obecnie w Białej Wieży obraduje Komnata, w której nie ma przedstawicielki Błękitnych, a oprócz niej istnieje jeszcze druga Komnata, ustanowiona przez Aes Sedai pozostające w opozycji wobec Elaidy do Avriny a'Roihan. W tej Komnacie z kolei nie ma przedstawicielek Czerwonych. Mimo iż zgodnie z prawem absolutną władzę sprawuje w Białej Wieży Zasiadająca na Tronie Amyrlin, to w rzeczywistości jej władza zawsze zależy od tego, czy potrafi pokierować Komnatą, względnie ją sobie podporządkować, jako że istnieje wiele sposobów, dzięki którym Komnata może przeciwstawić się wszelkim planom Amyrlin. Istnieją dwa poziomy porozumienia, jakie mogą być wymagane dla spraw, które przechodzą przez Komnatę: zgoda mniejszości i zgoda większości. Do osiągnięcia zgody większości konieczne jest powstanie wszystkich obecnych sióstr oraz obecność co najmniej jedenastu Zasiadających; wymagana jest także obecność co najmniej jednej Zasiadającej z każdej Ajah, chyba że sprawą omawianą przez Komnatę jest usunięcie Amyrlin albo Opiekunki, w którym to przypadku te Ajah, z których została wyniesiona, nie zostają poinformowane o głosowaniu, dopóki ono nie zostanie przeprowadzone. Do zgody mniejszości również wymagane jest kworum jedenastu Zasiadających, ale tylko dwie trzecie obecnych musi powstać, by dany wniosek przeszedł. Jeszcze jedna różnica polega na tym, że nie jest wymagana reprezentacja wszystkich Ajah, o ile nie chodzi o wypowiedzenie wojny przez Białą Wieżę, który to przypadek zalicza się do kilku takich, kiedy niezbędna jest zgoda mniejszości, a nie większości, jakby można się spodziewać. Zasiadająca na Tronie Amyrlin może nakazać każdej Zasiadającej zrezygnować z jej stanowiska, nawet wszystkim, i takie polecenie musi zostać wykonane. Do tego jednakże dochodzi rzadko, jako że nic nie powstrzymuje Ajah przed wybraniem tej samej Zasiadającej lub Zasiadających, oprócz zwyczaju, że mianowicie w Komnacie nie zasiadają ponownie, które ją same opuściły. Miara, jak poważne może się okazać takie wezwanie do masowej rezygnacji, jest to, co się zdarzyło cztery razy w liczącej sobie ponad trzy tysiące lat historii Białej Wieży. W dwóch przypadkach taka rezygnacja zakończyła się wyborami całkiem nowej Komnaty, w dwóch pozostałych doszło do rezygnacji i wygnania zaangażowanej w to Amyrlin.

Legion Czerwonej Ręki: (1) Legendarna formacja bohaterów (Shen an Calhar) Wojen z Trollokami, którzy zginęli podczas Bitwy na Polu Aemona, w wyniku której z kolei padło Manetheren. (2) Formacja militarna złożona z popleczników Mata Cauthona, która obecnie podąża niczym cień za zbuntowanymi Aes Sedai i ich armią, gdyż wyposażono ich w rozkazy zawiezienia Egwene al'Vere do Randa al'Thora, gdyby ta wyraziła życzenie, że pragnie się wywikłać z jej obecnej sytuacji.

Lini (LIHN-nee): Piastunka lady Elayne, a prLed nią jej matki, Morgase, a także matki Morgase.

Kobieta dysponująca wielką siłą wewnętrzną, spostrzegawczością oraz mnóstwem powiedzonek.

Logain Ablar (loh-GAIN): Urodzony w 972 NE, niegdyś proklamował się Smokiem Odrodzonym. Pojmany po tym, gdy wywołał wojnę w Ghealdan, Altarze i Murandy, zawieziony do Białej Wieży i tam poskromiony. Uciekł w trakcie zamieszania, jakie wynikło w związku z obaleniem Siuan Sanche. Przypadkowe odzyskanie przez niego umiejętności przenoszenia stanowiło dowód na to, że utrata tej umiejętności nie jest czymś nieodwracalnym. Wzięty do niewoli po tym, jak go Uzdrawiono, uciekł ponownie i obecnie jego miejsce pobytu nie jest znane. Patrz również: poskramianie, ujarzmianie.

Lud Morza: Bardziej właściwa nazwa Atha'an Miere (a-tha-AHN-mee-AIR), Morski Naród. Większą część życia spędzają na statkach i bardzo nie lubią oddalać się od oceanu. Stosunkowo niewiele wiadomo na temat ich obyczajów, przez co towarzyszy im mgła egzotycznej tajemnicy, i opowiada się o nich nadzwyczaj wymyślne historie. Główna część handlu morskiego jest uskuteczniana za pomocą statków Ludu Morza, najszybszych i największych na świecie, a sami Atha'an Miere są uważani przez mieszkańców portowych miast za jeszcze lepszych w targowaniu się niż mieszkańcy Arad Doman. Ponieważ przeżycie na morzu często zależne jest od natychmiastowego wypełniania rozkazów, nie powinno dziwić, że Atha'an Miere ściśle przestrzegają swojej hierarchii władzy, aczkolwiek bywa ona w niektórych przypadkach zaskakująco labilna. Atha'an Miere dzielą się na rozliczne klany, i duże, i małe, na czele których stoją Mistrzynie Fal. Podlegają im Mistrzynie Żagli, które są kapitanami statków należących do danego klanu. Mistrzynie Fal ma ogromną władzę, a na to stanowisko jest wybierana przez Dwanaście Pierwszych z jej klanu i można ją z tego stanowiska usunąć z rozkazu Mistrzynie Statków Atha'an Miere. Mistrzynie Statków ma tak wiele władzy, że mogłoby jej pozazdrościć dowolny król czy królowa ze stałego lądu, niemniej ona również jest wybierana, dożywotnio, drogą głosowania dwunastu najstarszych Mistrzyń Fal: to one właśnie są Dwunastoma Pierwszymi. (Termin "Dwanaście Pierwszych" jest również używany przez dwanaście najstarszych Mistrzyń Fal albo Mistrzyń Żagli obecnych na dowolnym zgromadzeniu). Stanowisko Mistrza Ostrzy jest piastowane przez mężczyznę, który może, ale nie musi, być mężem Mistrzynie Statków. Jest on odpowiedzialny za obronę i handel Ludu Morza, a następnymi po nim w hierarchii władzy są Mistrzowie Ostrzy danych Mistrzyń Fal oraz Mistrzowie Cargo Mistrzyń Żagli; ci sprawują władzę jedynie w obrębie tych dziedzin, o ile kobieta, której służą, nie poruczy im jakiegoś specjalnego zadania. To, dokąd i kiedy dany statek pożegluje, zależy zawsze od Mistrzynie Żagli, ale ponieważ handel i finanse znajdują się całkowicie w rękach Mistrza Cargo (albo, na wyższych poziomach, Mistrza Miecza służącego pod Mistrzem Ostrzy), wymagana jest tutaj bliska współpraca osób zajmujących te stanowiska. Każdy statek Ludu Morza, jakkolwiek by był mały, a także każda Mistrzynie Fal, ma swoją Poszukiwaczkę Wiatru, kobietę, która prawie zawsze potrafi przenosić i jest wyszkolona do Tkania Wiatrów, jak Atha'an Miere nazywają manipulowanie pogodą. Poszukiwaczka Wiatrów Mistrzynie Statków stoi ponad Poszukiwaczkami Wiatrów Mistrzyń Fal, które mają z kolei władzę nad Poszukiwaczkami Wiatrów Mistrzyń Żagli swoich klanów. Jeden z osobliwszych obyczajów Ludu Morza polega na tym, że wszyscy muszą zaczynać od najniższej rangi i stopniowo piąć się w górę, ponadto każdy, oprócz Mistrzynie Statków, może zostać zdegradowany przez tych, którzy stoją wyżej, nawet do najniższej rangi w ekstremalnych przypadkach.

Łączenie: Umiejętność kobiet zdolnych do przenoszenia, która polega na łączeniu strumieni Jedynej Mocy. Połączonymi splotami kieruje jedna kobieta, dzięki czemu można je wykorzystać znacznie bardziej precyzyjnie i ze znacznie lepszym skutkiem niż w przypadku pojedynczych splotów. Mężczyźni nie są w stanie łączyć swoich zdolności, jeżeli w utworzonym przez nich kręgu nie bierze udziału co najmniej jedna kobieta. Z kolei kobiety mogą się połączyć w krąg złożony z trzynastu bez

udziału mężczyzny. Przy pomocy jednego mężczyzny krąg może się rozrosnąć do dwudziestu sześciu. Dzięki dwóm mężczyznom kobiet w kręgu może być trzydzieści cztery i tak dalej, dopóki nie zostanie osiągnięta granica sześciu mężczyzn i sześćdziesięciu sześciu kobiet. Zdarzają się połączenia, w których bierze udział więcej mężczyzn, a za to mniej kobiet, ale wyjąwszy połączenie jednego mężczyzny z jedną kobietą, w kręgu musi być zawsze o co najmniej jedną kobietę więcej niż mężczyzn. W większości kręgów połączenie może kontrolować zarówno mężczyzna, jak i kobieta, ale to mężczyzna musi kontrolować krąg złożony z siedemdziesięciu dwóch osób czy też kręgi mieszane, w których bierze udział liczba mniejsza niż trzystaście. Mimo iż to mężczyźni są zasadniczo silniejsi we władaniu Jediną Mocą, to jednak najsilniejsze kręgi stanowią te, w których liczba mężczyzn i kobiet jest mniej więcej równa.

**Łza:** Kraj położony nad Morzem Burz, a także stolica tego kraju, wielki port. Na sztandarze Łzy widnieją trzy białe półksiężyce na polu w połowie czerwonym, a połowie złotym. Patrz również: Kamień Łzy.

**Mayene (may-EHN):** Miasto-państwo nad Morzem Burt, terytorialnie i historycznie zawsze zależne od Łzy. Obecnie władcą Mayene jest "Pierwsza z Mayene"; przedtem władał nim zawsze Pierwszy Lord albo Pierwsza Lady. Pierwsi nieodmiennie utrzymują, iż są potomkami Artura Hawkwinga. Godłem Mayene jest złoty jastrząb w locie na niebieskim tle.

**Mazrim Taim (MAHZ-rihm tah-EEM):** Człowiek, który wszczął zamieszki w Saldae; ostatecznie pokonano go i pojmano, ale potem uciekł z niewoli, niewątpliwie dzięki pomocy swych popleczników. Nie tylko zdolny przenosić, ale również dysponujący znaczną siłą. Obecnie znany jest jako M'Hael (MA'kHAIL, w Dawnej Mowie "przywódca"). Patrz również: Asha'mani.

**Mądra:** Wśród Aielów Mądre są kobietami wybranymi przez inne Mądre i wyuczonymi w leczeniu, stosowaniu ziół itp., mniej więcej tak, jak Wiedzące. Cieszą się wielkim autorytetem, ale również spoczywa na nich znaczna odpowiedzialność; ich wpływ na wodzów klanów i szczepów jest niemały, chociaż mężczyźni często oskarżają je o wtrącanie się w nie swoje sprawy. Wiele Mądrych potrafi przenosić, z mniejszym lub większym skutkiem; wyszukują wszystkie kobiety Aielów, które urodziły się z iskrą, i większość tych, które mogą się uczyć przenoszenia. Zgodnie z obyczajem, Aielowie nie mówią o tym, że Mądre potrafią przenosić, dlatego wielu Aielów nie ma pewności co do tego, która Mądra potrafi, a która nie. Również zgodnie z obyczajem, Mądre unikają wszelkich kontaktów z Aes Sedai, bardziej jeszcze niż pozostali Aielowie. Tradycyjnie, Mądre stały ponad wszelkimi waśniami krwi i bitwami; obecnie jednak ta tradycja legła w gruzach, być może na zawsze. Jeszcze się okaże, jaki to może mieć skutek na zgodną z nakazami *ji'e'toh* ochronę, jaką Aielowie winni otaczać Mądre.

**Mądra Kobieta:** Jedna z osławionych uzdrowicielek z Ebou Dar, które wyróżniają się swymi czerwonymi pasami. O ich umiejętnościach w zakresie stosowania ziół i wiedzy medycznej mówi się nawet w Ziemiach Granicznych; uważa się, że ich pomoc jest najlepsza zaraz po Uzdrawianiu Aes Sedai. Mimo iż Ebou Dar to miasto kosmopolityczne, gdzie do miejskich gildii wstępuje wielu cudzoziemców, zauważono dziwną prawidłowość, a mianowicie, że wśród Mądrych Kobiet rzadko spotyka się kobiety rodem z Ebou Dar.

**Melaine (meh-LAYN):** Mądra ze szczepu Jhirad, Goshien Aiel. Wędrująca po snach. Umiarkowanie silna we władaniu Jediną Mocą. Żona Baela (BAYL), wodza klanu Go-shien. Siostra-żona

**Dorhindy (dohr-IHN-dah),** pani dachu Siedziby Dymiących Źródeł.

Miary odległości: 10 cali = 1 stopa; 3 stopy = 1 krok; 2 kroki = 1 piędź; 1000 piędzi = 1 mila; 4 mile = 1 liga.

Miary wag: 10 uncji = 1 funt; 10 funtów = 1 kamień; 10 kamieni = 1 cetnar; 10 cetnarów = 1 tona.

Moiraine Damodred (mwah-ItAIN DAHM-oh-drehd) : Aes Sedai z Błękitnych Ajah. Pochodząca z wówczas panującej Dynastii Damodred; zniknęła we wnętrzu *ter'angreala* w Cairhien podczas swej potyczki z Lanfear, najwyraźniej zabijając i siebie, i przekłątą. Ponieważ nie tylko znalazła Smoka Odrodzonego, ale również zabiła Be'lala, jednego z Przeklętych, zalicza się ją już do niemalże mitycznych sióstr, postrzeganych jako bohaterki z legend. Patrz również: Przeklęci.

Morgase (moor-GAYZ): Z Łaski Światłości Królowa Andoru, Obrończyni Królestwa, Opiekunka Ludu, Głowa Domu Trakand. Obecnie przebywa na wygnaniu, przy czym wielu ludzi jest przekonanych, że została zamordowana przez Smoka Odrodzonego. Jej godłem są trzy złote klucze. Godłem Domu Trakand jest srebrny klucz sklepienia.

Padan Fain (PAD-an FAIN): Niegdyś wędrowny handlarz krążący po Dwu Rzekach i Sprzymierzeniec Ciemności; w Shayol Ghul uległ transformacji, za sprawą której nie tylko jest zdolny odnaleźć młodego mężczyznę, który zostanie Smokiem Odrodzonym, tak jak psy myśliwskie odnajdują upolowaną zwierzynę dla myśliwego, ale również ma w sobie zaszczepioną potrzebę, by owego młodzieńca odnaleźć. Wynikły z tego ból zrodził w Fainie nienawiść zarówno wobec Czarnego, jak i Randa al'Thora. W trakcie swej pogoni za al'Thorem natknął się w Shadar Logoth na uwięzioną duszę Mordetha; dusza ta starała się zawładnąć ciałem Faina. Drogą tego stopienia Fain nabył umiejętności dalece wykraczające poza to, czym on sam i tamten drugi uprzednio dysponowali, aczkolwiek Fain jeszcze nie do końca pojmuje, na czym one dokładnie polegają. Większość ludzi obawia się

bezokiego spojrzenia Myrddraala; Myrddraale czują lęk na widok spojrzenia Faina.

Płomień Tar Valon: Symbol Tar Valon, Zasiadającej na Tronie Amyrlin i Aes Sedai. Stylizowany wizerunek ognia, biała łąza ustawiona czubkiem do góry.

Poskramianie: Uprawiany przez Aes Sedai akt unieszkodliwiania mężczyzny, który potrafi korzystać z Jedynej Mocy. Jest on niezbędny, ponieważ każdy mężczyzna, który nauczy się to robić, popada w obłęd pod wpływem skazy na *saidinie* i w swoim szaleństwie nieuchronnie będzie dokonywał straszliwych rzeczy z Mocą, nim skaza go zabije. Mężczyzna, który został poskromiony, nadal może wyczuwać Prawdziwe Źródło, jednak nie może go dotykać. Wszelkie oznaki szaleństwa, które dają się zauważyć przed poskromieniem, zostają powstrzymane przez akt poskramiania, mimo że samo szaleństwo nie zostaje uleczone, jednak jeśli wykona się ten akt dostatecznie szybko, można zapobiec śmierci. Należy jednak dodać, iż poskromiony mężczyzna nieuchronnie traci wolę życia; ci, którym nie udaje się popełnić samobójstwa, zazwyczaj i tak umierają przed upływem dwóch lat. Niegdyś uważano, że skutki poskromienia są nieodwracalne, obecnie jednak wiadomo, iż można je uleczyć za pomocą wysoce wyspecjalizowanej formy Uzdrawiania. Patrz również: Jedyna Moc; Ujarzmianie.

prawie-siostra, prawie-brat: Termin stosowany przez Aielów w relacjach pokrewieństwa, a oznaczający przyjaciółkę bądź przyjaciela równie bliskich, jak pierwsza-siostra czy pierwszy-brat. Prawie-siostry często adoptują się wzajemnie, czyniąc się pierwszymi-siostrami, podczas skomplikowanego ceremoniału odbywanego w obecności Mądrych, po którym są postrzegane przez pozostałych Aielów jako rodzone siostry bliźniaczki, tyle że urodzone przez dwie matki. Prawie-bracia nie czynią tego prawie nigdy.

Prorok: Bardziej rozbudowana forma tego miana to Prorok Lorda Smoka. Tytuł, jaki przypisał sobie Masema Dagar, były shienarański żołnierz, który naucza o Smoku Odrodzonym i jego powtórnych narodzinach. Zyskał ogromne czesze wyznawców w Ghealdan i północnej Amadicii,

częściowo za sprawą szerzącej się wieści, że Smok istotnie się Odrodził, a częściowo za sprawą niezwykle brutalnego traktowania, z jakim jego wyznawcy obchodzą się nie tylko z każdym, kto nie chce uznać Smoka Odrodzonego, ale również z tymi, którzy nie chcą uznać władzy Proroka jako ręki i głosu Smoka Odrodzonego.

**Przeklęci:** Przydomek nadany trzynastu najpotężniejszym Aes Sedai Wieku Legend, jednym z najpotężniejszych, jacy kiedykolwiek żyli i którzy przeszli na stronę Czarnego podczas Wojny z Cieniem, w zamian za obietnicę nieśmiertelności. Sami siebie nazywają “Wybranymi”. Zgodnie z legendą, a także szczątkowymi zapisami, zostali uwięzieni razem z Czarnym, kiedy na mury jego więzienia ponownie nałożono pieczęcie. Nadane im imiona do dziś wykorzystuje się w celu straszenia dzieci. Oto one: Aginor (AGH-ih-nor), Asmodean (ahs-MOH-dee-an), Balthamel (BAAL-thah-mell), Belal (BEH-lahl), Demandred (DE-man-drehd), Graendal (GREHN-dahl), Ishamael (ihSHAH-may-Ehl), Lanfear (LAN-feer), Mesaana (meh-SAH-nah), Moghedien (moh-GHEH-dee-ehn), Rahvin (RAAV-ihn), Sammael (SAHM-may-EHL) oraz Semirhage (SEH-mih-RHAHG). Ci, którzy są w posiadaniu aktualnych informacji, uważają, że spośród mężczyzn przy życiu ostali się tylko Demandred i Sammael, a spośród kobiet tylko Graendal, Mesaana, Moghedien i Semirhage. Doszło jednakże do wielu dziwnych spotkań, z których wynika, że Czarny być może wybrał kilku nowych Wybranych albo że Władca Grobu w niektórych przypadkach pokonał samą śmierć.

**Przysięgi, Trzy:** Przysięgi składane przez Przyjętą wynoszoną do godności Aes Sedai. Podczas ceremonii Przyjęta trzyma w dłoni Różdżkę Przysięg, *ter'angreal*, który czyni przysięgę wiążącą. Sens przysięg jest następujący: (1) Nie wypowiadać żadnych innych słów prócz prawdy. (2) Nie wytwarzać żadnej broni, za pomocą której jeden człowiek mógłby zabić drugiego. (3) Nigdy nie używać Jedynej Mocy jako broni, z wyjątkiem sytuacji, kiedy kieruje się ją przeciwko Pomiotowi Cienia, albo w ostateczności zagrożenia własnego życia, życia Strażnika lub innej Aes Sedai.

Druga Przysięga jest historycznie pierwsza, była efektem Wojny z Cieniem. Pierwszaprzysięga, jeżeli traktować ją literalnie, daje się częściowo przynajmniej ominąć, dzięki ostrożnemu dobieraniu słów. Sądzi się jednak, iż pozostałe dwie są nienaruszalne.

**Rhuidean (RHUY-dee-ahn):** Wielkie miasto, jedyne w Pustkowiu Aiel i całkowicie nie znane zewnętrznemu światu. Porzucone od blisko trzech tysięcy lat. W przeszłości mężczyznom spośród Aielów wolno było wejść do Rhuidean tylko raz, po to by poddać ich sprawdzianowi we wnętrzu wielkiego *ter'angrealu*, czy nadają się na wodza klanu (po takim sprawdzianie żył tylko jeden na trzech), kobietom natomiast dwa razy, celem odbycia sprawdzianu w tym samym *ter'angrealu* i ponownie, gdy miały zostać Mądrymi, aczkolwiek w ich przypadku liczba tych, które owe próby przeżyły, była znacznie większa. Obecnie miasto jest ponownie zamieszkałe przez Aielów i w jednym krańcu doliny Rhuidean znajduje się wielkie jezioro, zasilane przez wielki podziemny ocean świeżej wody, który dla odmiany zasila jedyną rzekę płynącą przez Pustkowie.

**Róg Valere (vah-LEER):** Legendarny cel Wielkiego Polowania na Róg. Uważa się, iż za jego pomocą można wezwać z grobu legendarnych bohaterów, aby walczyli z Cieniem. Obecnie ogłoszono nowe Polowanie na Róg i w wielu krajach można napotkać zaprzysiężonych Myśliwych. Nawet wśród Aes Sedai niewielu wie, że Róg został odnaleziony i użyty i że jest obecnie ukryty w Białej Wieży.

**sa'angreal (SAH-ahn-GREE-ahl):** Pozostałości Wieku Legend, które pozwalają posiadającej je osobie korzystać ze znacznie większej ilości Jedynej Mocy, niż to w innym przypadku jest możliwe albo bezpieczne. *Sa-angreal* jest podobny, lecz znacznie potężniejszy od *angrealu*. Ilość Mocy, którą można zaczerpnąć za pomocą *sa'angrealu*, jest porównywalna z ilością Mocy, z której można korzystać za pomocą *angrealu*. Inaczej ujmując, ilość Mocy, którą można władać za pomocą

*angreala*, równa się ilości Mocy, którą można władać bez wspomaganie. Sposób jego wytwarzania nie jest już znany. Tak jak w przypadku *angreali*, *istniejąsa'angreale* przeznaczone tylko dla kobiet, a inne wyłącznie dla mężczyzn. Egzemplarzy *sa'angreali* pozostała już jedynie garstka, znacznie mniej jest ich niż *angreali*.

Seanchan (SHAWN-CHAN): Kraina, z której przybyli Seanchanie.

Seanchanie: Potomkowie armii wysłanych przez Artura Hawkwinga na drugi brzeg oceanu Aryth, którzy dokonali podboju tamtejszych ziem. Uważają, że każda kobieta, która potrafi przenosić, winna być kontrolowana dla bezpieczeństwa innych, i że z tych samych względów powinno się zabijać wszystkich mężczyzn, którzy potrafią przenosić.

Shayol Ghul (SHAY-ol GHOOOL): Góra w Ziemiach Przeklętych, za Wielkim Ugorem, teren więzienia Czarnego.

siostra-żona: Termin stosowany przez Aielów w relacjach pokrewieństwa. Te kobiety Aielów, które są dla siebie prawie-siostrami albo pierwszymi siostrami, a odkrywają, że kochają tego samego mężczyznę, lub też nie chcą, by jakiś mężczyzna stanął między nimi, poślubiają go obie, tym samym stając się siostrami-żonami. Kobiety, które kochają tego samego mężczyznę, starają się niekiedy sprawdzić, czy mogą się stać prawie-siostrami i adoptowanymi pierwszymi-siostrami, co stanowi pierwszy krok w celu zostania siostrami-żonami. Mężczyzna Aiel, który znajdzie się w takiej sytuacji, ma taki wybór, że może poślubić albo obie kobiety, albo żadnej; jeśli jest żonaty z kobietą, która postanowi przysposobić sobie siostrę-żonę, przekonuje się pewnego dnia, że jest żonaty z dwiema kobietami.

*siswai'aman*: W Dawnej Mowie: “włócznie smoka”, przy czym termin ten jest jeszcze wyposażony w dodatkowy sens oznaczający przynależność. Miano przyjmowane przez wielu mężczyzn Aielów, ale nigdy kobiety. Tacy mężczyźni nie przyznają się do tego miana – inni też głośno go nie wymieniają – a za to obwiązują skronie paskiem czerwonej tkaniny, na którym namalowany jest dysk, w połowie biały, a w połowie czarny. Mimo iż *gai'shain* zazwyczaj zabrania się nosić cokolwiek, co mogliby nosić *algai'd'siswai*, wielu *gai'shain* nawykło nosić taką opaskę. Patrz również: *gai'shain*.

Sorilea (soh-rih-LEE-ah): Mądra z siedziby Shende, Jana Chareen. Ledwie jest zdolna przenosić, jest również najstarszą żyjącą Mądrą, aczkolwiek nie jest aż tak wiekowa, jak się powszechnie uważa.

Sprzymierzeńcy Ciemności: Wyznawcy Czarnego, którzy wierzą, że zdobędą wielką władzę i nagrody, a nawet nieśmiertelność, po tym jak on zdoła uwolnić się ze swego więzienia. Z konieczności działając w ukryciu, organizują się w grupy zwane “kołami”, przy czym członkowie jednego “koła” rzadko kiedy są znani członkom innego. Rang, jakie im przysługują w zewnętrznym świecie, w kołach nie mają znaczenia; król albo królowa, którzy zaliczają się do Sprzymierzeńców Ciemności, są obowiązani wypełniać rozkazy żebraka, który pokaże im właściwe znaki. Między sobą posługują się niekiedy dawnym mianem “Przyjaciół Ciemności”.

Strażnik: Wojownik połączony zobowiązaniem z Aes Sedai. Zobowiązanie zostaje utrwalone za pomocą Jedynej Mocy, dzięki czemu Strażnik jest obdarzony zdolnością szybkiego odzyskiwania zdrowia, długiego obywatelstwa bez jedzenia, wody albo wypoczynku, a także wyczuwania z dużej odległości skazy Czarnego. Dopóki dany Strażnik żyje, dopóty Aes Sedai, z którą jest połączony zobowiązaniem, wie, że on żyje, niezależnie od tego, jak duża dzieli ich odległość; gdy zaś umiera, Aes Sedai zna dokładnie moment i sposób, w jaki umarł. Więc zobowiązania nie mówi jej natomiast, jak daleko od niej znajduje się Strażnik, ani też w której stronie świata. Większość Aes Sedai jest zdania, że mogą być połączone zobowiązaniem tylko z jednym Strażnikiem, przy czym Czerwone

Ajah nie chcą więzi z żadnym, natomiast Zielone Ajah uważają, że Aes Sedai może być połączona więzią z tyloma Strażnikami, z iloma tylko zechce. Zgodnie z etyką, Strażnik winien wyrazić zgodę na połączenie go zobowiązaniem, znane są jednak przypadki, gdy czyniono to wbrew jego woli. To, co Aes Sedai zyskują dzięki więzi zobowiązania, jest utrzymywane w ścisłej tajemnicy. Według wszelkich zapisków historycznych, Strażnicy byli zawsze mężczyznami, jednak ostatnio została związana więzią kobieta. Patrz również: Birgitte.

Synowie Światłości: Społeczność wyznająca surowe, ascetyczne reguły, która powstała w celu pokonania Czarnego i zniszczenia wszystkich Sprzymierzeńców Ciemności. Założona podczas Wojny Stu Lat w celu nawracania rosnących Czesz Sprzymierzeńców Ciemności, pnxkształciła się podczas wojny w organizację całkowicie militarną, nadzwyczaj sztywno trzymającą się swych reguł, zraszającą ludzi bezgranicznie przekonanych, że tylko oni znają prawdę i prawo. Nienawidzą Aes Sedai, uważając je i wszystkich, którzy je popierają albo się z nimi przyjaźnią, za Sprzymierzeńców Ciemności. Pogardliwie nazywa się ich Białymi Płaszczami, ich godłem jest promieniste słońce na białym tle. Patrz również: Śledczy.

Śledczy: Społeczność należąca do Synów Światłości. Ich celem jest odkrywanie prawdy na drodze dysput i demaskowanie Sprzymierzeńców Ciemności. W poszukiwaniu prawdy i Światłości, w najlepszy ich zdaniem sposób, są jeszcze bardziej gorliwi niż pozostali Synowie Światłości. Ich normalną metodą prowadzenia śledztwa jest zadawanie tortur, zazwyczaj z góry znają prawdę i potrzebują tylko zmusić swoją ofiarę do jej wyznania. Śledczy nazywają samych siebie Ręką Światłości i czasami zachowują się tak, jakby działali całkowicie niezależnie od Synów Światłości i Rady Pomazańców, która przewodzi Synom. Przywódcą Śledczych jest Czcigodny Inkwizytor, który Zasiada w Radzie Pomazańców. Ich godłem jest kij pasterski barwy krwi. Patrz również: Synowie Światłości.

Talenty: Zdolności używania Jedynej Mocy w różnych poszczególnych dziedzinach. Uzdolnienia w zakresie poszczególnych Talentów różni się w zależności od danej osoby i rzadko kiedy związane są z siłą, jaką taka osoba dysponuje w przenoszeniu Mocy. Istnieją Talenty znaczniejsze; najlepiej spośród nich znanym jest oczywiście Uzdrawianie. Innymi przykładami będą tu: Tańczenie po Chmurach, czyli kontrolowanie pogody, oraz Śpiewanie Ziemi, czyli kontrolowanie ruchów ziemi: zapobieganie, względnie powodowanie trzęsień ziemi lub lawin. Istnieją również pomniejsze Talenty, takie na przykład, jak umiejętność rozróżniania *ta'veren*, aczkolwiek jedynie na bardzo ograniczonych terenach, zazwyczaj nie większych niż kilka stóp kwadratowych. Niektóre, takie jak Podróżowanie (zdolność przenoszenia się z miejsca na miejsce bez konieczności pokonywania dzielącej je przestrzeni) zostały dopiero niedawno ponownie odkryte. Inne, jak Wrózenie (zdolność przepowiadania przyszłych wydarzeń, ale na sposób ogólny i wysoce abstrakcyjny), występują obecnie rzadko, jeśli w ogóle. Kolejnym Talentem, o którym długo myślano, iż został zapomniany, jest Śnienie, które zawiera w sobie, między innymi, zdolność przepowiadania przez Śniącego przyszłości w sposób znacznie bardziej szczegółowy, niż ma to miejsce we Wrózeniu. Niektórzy Śniący posiadają umiejętność wejścia do *Tel'aran'rhiod*, Świata Snów oraz (jak się twierdzi) w sny innych ludzi. Ostatnią znaną Śniącą była Corianin Nedeal (coh-ree-AHN-ihn neh-dee-AHL), która zmarła w roku 526 NE, obecnie jednak objawiła się jej następczyni.

Tallanvor, Martyn (TAL-lahn-vohr, mahr-TEEN): Były porucznik Gwardii Królowej, który kocha swoją królową bardziej niż własne życie albo honor. Patrz również: Morgase.

*ta'veren* (tah-VEER-ehn): Osoba, wokół której Koło Czasu oplata wątki losów otaczających ją ludzi, a może nawet wątki losów wszystkich ludzi. Proces ten jest słabo zbadany, wiadomo jedynie, iż pod wieloma względami polega na zmianie losu; to, co mogłoby się zdarzyć, aczkolwiek przy



niewielkim prawdopodobieństwie, dzieje się rzeczywiście. Czasami efekty oddziaływania *ta'veren* dają się umiejscowić. Ktoś, na kogo oddziałuje *ta'veren*, mówi albo robi coś, co powiedziała by albo zrobiłby jedynie raz na milion w tego typu okolicznościach. Dzieją się z pozoru nieprawdopodobne zdarzenia, na przykład dziecko spada z wieży wysokości stu stóp i wychodzi cało z takiego upadku. Niekiedy skutki te zdają się wpływać na samą historię, aczkolwiek jest tak często za sprawą efektów umiejscowionych. Uważa się, że to właśnie jest powodem, dla którego rodzą się *ta'veren*: ich celem jest zmienianie historii i przywracanie równowagi obrotom Koła.

*ter'angreal* (TEER-ahn-GREE-ahl): Jedna z kilku pozostałości po Wieku Legend, służących do korzystania z Jedynej Mocy. W odróżnieniu od *angreala* i *sa'angreala*, każdy *ter'angreal* został wykonany w specyficznym celu. Niektóre są używane przez Aes Sedai, aczkolwiek ich pierwotne przeznaczenie jest zasadniczo nieznanne. Jedne wymagają przenoszenia, innymi może się posłużyć każdy. Są też takie, które mogą zabić zdolność do przenoszenia Mocy u kobiety, która ich użyje. Podobnie jak w przypadku *angreali* i *sa'angreali*, wiedza o ich wytwarzaniu została utracona podczas Pęknięcia Świata. Patrz również: *angreal*; *sa'angreal*.

Thom Merrilin (TOM MER-rih-lihn): Nie tak zwyczajny bard i podróżnik.

Ujarmianie: Akt unieszkodliwiania kobiety, która potrafi korzystać z Jedynej Mocy. Kobieta, która została ujarmiona, nadal wyczuwa Prawdziwe Źródło, jednak nie może go dotykać. Oficjalnie, ujarmienie jest następstwem procesu i wyroku za popełnioną zbrodnię; ostatnim razem do takiego procesu doszło w roku 859 NE. Nowicjuszkom zawsze każe się uczyć na pamięć nazwisk i przestępstw tych kobiet, które zostały ujarmione w wyniku procesu. Kiedy do utraty umiejętności przenoszenia dochodzi przypadkowo, jest to nazwane wypaleniem, aczkolwiek równie często używa się tu terminu "ujarmienie". Ujarmione kobiety, niezależnie od przyczyny, rzadko żyją długo; poddają się jakby i umierają, chyba że znajdą coś, co im wypełni pustkę pozostałą po Jedynej Mocy. Niegdyś wierzono, że ujarmienie jest procesem nieodwracalnym, ostatnio jednak odkryto nową odmianę Uzdrawiania, ale wydaje się, że są tu pewne ograniczenia, które dopiero czekają na swoje zbadanie.

Valda, Eamon (VAL-il.-dah, AY-mon): Lord Kapitan Synów Światłości, człowiek niecierpliwy, który w życiu kieruje się przekonaniem, że nie da się zrobić kolacji bez rozbicia jaj i że czasami trzeba spalić stodołę, żeby pozbyć się szcurów. Uważa się za pragmatyka i korzysta z wszystkiego, co mu podsuwa los. Jest pewien, że Rand al'Thor to tylko marionetka Białej Wieży i że zapewne nie potrafi nawet przenosić. W życiu kieruje się przede wszystkim nienawiścią do Sprzymierzeńców Ciemności, do których, rzecz jasna, zalicza Aes Sedai. Patrz także: Synowie Światłości.

Wiek Legend: Wiek zakończony Wojną o Cień i Pęknięciem Świata. Czasy, w których Aes Sedai czyniły cuda, o jakich dzisiaj nikomu nawet się nie śni.

Wielki Władca Ciemności: Przydomek, którego Sprzymierzeńcy używają, mówiąc o Czarnym, twierdząc; że używanie jego prawdziwego imienia byłoby bluźnierstwem.

Wojna z Aielami: (976-978 NE) Kiedy król Cairhien, Laman, ściał Avendoralderę, cztery klany Aielów przekroczyły Grzbiet Świata. Złupili i spalili stolicę Cairhien, podobnie zresztą jak wiele innych miast i miasteczek, a konflikt rozszerzył się na tereny Andoru i Łzy. Powszechnie mówi się, że Aielowie zostali na koniec pokonani w Bitwie pod Lśniącymi Murami, pod Tar Valon, ale w rzeczywistości w tej bitwie zginął Laman, a spełniwszy swój zamiar, Aielowie powrócili za Grzbiet Świata. Patrz również: Cairhien, Grzbiet Świata.

zabójcy drzew: Pogardliwe miano, jakim Aielowie określają Cairhienian, nazywając ich również "tymi, którzy złamali przysięgę". Oba te terminy powstały z winy króla Lamana, który ściał Avendoralderę, podarunek od Aielów, który to czyn stanowił pogwałcenie przysięg złożonych w

czasie ofiarowania tego daru. Dla Aielów oba przezwiska zaliczają się do najgorszych, jakimi można kogokolwiek nazwać. Patrz również: Wojna z Aielami.

Zaprzysięgli Smokowi: Termin oznaczający wyznawców Smoka Odrodzonego, stosowany zazwyczaj przez tych, którzy albo tworzą jego opozycję, albo pragną pozostać neutralni. W rzeczy samej, wielu tych, którym nadano takie miano, nigdy nie składało żadnej przysięgi. Często nazywa się tak bandytów, wśród których część obiera to miano w nadziei, że pomoże im ono przewyciężyć ewentualny opór. Ludzie twierdzący, iż są Zaprzysięgłymi Smokowi, dopuścili się wielu zbrodni.

# Spis treści

<a href="#">STRONA TYTUŁOWA..</a>	<a href="#">1</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 1 WZORY WEWNĄTRZ WZORÓW...</a>	<a href="#">3</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 2 NOC SWOVAN..</a>	<a href="#">16</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 3 DROBNE POŚWIĘCENIA..</a>	<a href="#">31</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 4 NASTĘPNE DRZWI OBOK TKACZA..</a>	<a href="#">47</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 5 RODZINA..</a>	<a href="#">67</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 6 DUSZOŁAPKA..</a>	<a href="#">77</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 7 SŁOWA, KTÓRYCH NIE DA SIĘ COFNAĆ..</a>	<a href="#">87</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 8 SAMOTNY..</a>	<a href="#">107</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 9 CHLEB I SER..</a>	<a href="#">116</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 10 ŚWIĘTO PTAKÓW...</a>	<a href="#">132</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 11 PIERWSZA FILIŻANKA..</a>	<a href="#">144</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 12 MASHIARA..</a>	<a href="#">155</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 13 ZAPIECZĘTOWANE DLA PŁOMIENIA..</a>	<a href="#">173</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 14 KĄPIEL..</a>	<a href="#">190</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 15 TA' VEREN..</a>	<a href="#">201</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 16 W LESIE..</a>	<a href="#">215</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 17 OSTRZA..</a>	<a href="#">232</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 18 LIST Z PAŁACU..</a>	<a href="#">253</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 19 SZEŚĆ PIĘTER..</a>	<a href="#">263</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 20 OBIETNICE, KTÓRYCH NIE MOŻNA ZŁAMAĆ..</a>	<a href="#">284</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 21 WŁÓCZNIE..</a>	<a href="#">305</a>
<a href="#">ROZDZIAŁ 22 KORONA MIECZY..</a>	<a href="#">322</a>
<a href="#">GLOSARIUSZ..</a>	<a href="#">351</a>